

Aleksander Pieńkowski

# **Pamiętnik drozdowiaka**

Łomża 2016

*Wspomnienie poniższe staram się zebrać ze swojej pamięci na pustyni Iraku 160 km od Bagdadu, a z drugiej strony 24 km od granicy perskiej, w płóciennym namiocie, przy świetle latarki naftowej. Jest ze mną mój przyjaciel Alojzy Raksimowicz z okolic Wilna. 4 stycznia 1943 roku.*

Gdy wróciłem z wojny w 1921 r., ożeniłem się z Władysławą z domu Darmetko i założyłem sklep spożywczo-kolonialny w 1922 roku 1 lipca w swoim domu własnym w Drozdowie pod Łomżą i dodatkowo prowadziłem również kilkuhektarowe gospodarstwo rolne, które pozostało mi po śmierci Rodziców, po spłacie brata Emila i siostry Józefy Zabielskiej. Druga siostra Władysława Wykowska, będąca w USA, spłatę swojej części przekazała na brata Emila i siostrę Józefę i ja im wypłaciłem, potem dałem jej w posagu cztery tysiące złotych.

Zajęcie moje polegało przeważnie na handlu, który bardzo lubiłem i dawało mi to poważny zysk. Moja rodziny składała się z żony i ośmiorga dzieci. Starsze już mnie wyręczały czasowo w moim zawodzie. Do 1930 roku handlowałem w starym domu, po Rodzicach. Był lichy i słomą kryty. Jednej nocy przy pomocy kolegów i innych chłopów ze wsi rozebraliśmy go. Została jeszcze podłoga, to na niej wypiliśmy z dziesięć butelek wódki, a na zakąski była kiełbasa, salceson i chleb swojej roboty - to była cała zapłata za rozbiórkę tego starego domu. Było to w 1924 roku i tego roku zacząłem przygotowywać materiał na budowę nowego domu, który pobudowałem 1930 roku.

Na nowy dom miałem już zlasowane wapno, połowę cegły i wszystkie belki. Mech wytarli Wł. Nierwieński i Z. Sielawa, futryny na okna miałem już robić, okna i drzwi wądołowskie z Rakowa, potem dorabiał resztę F. Nitkiewicz. Do budowy domu zgodziłem majstra z Łomży K. Kozłowskiego za cztery tysiące sto złotych z jego murarzami, których było aż ośmiu, pomoc była moja - trzech chłopów, którym płaciłem po pięć złotych dziennie.

Żwir woził mi Włodkawski ze swojej góry, za który płaciłem mu dziesięć złotych dziennie z przywiezieniem. Dwa balkony robił mi kowal w Drozdowie, Cz. Jarota, resztę cegły dowozili mi z cegielni J. Sokołowski i J Jagodziński, płaciłem im po pół metra żyta za przywiezienie tysiąca cegieł. Dom cały był wybudowany w przeciągu jednego miesiąca, pokrył mi go blachą Kosakowski z Łomży, za rok go otynkowałem, kosztowała mnie całość

30.000 zł. Zadłużyłem się na 18.000 zł Żydom z Łomży, kupcom za pobrane towary na kredyt i na weksle 11.000 zł i rolnikom w Drozdowie, Rakowie i w Kosakach na 7.000 zł.

Przez czas budowy handlowałem w spichrzu, potem handlowałem w nowym domu, aż 1 września 1939 roku zastała mnie wojna.

### **1 września 1939 r. Niewola i więzienie w Rosji.**

To rok pełen łez i krwi w życiu Polski i jej Narodu. Nie będzie takiego obywatela w kraju na tej ziemi, który nie będzie opowiadał o zniszczeniu całego państwa i o torturach Polaków. Wielka ich liczba została już wykreślona spośród żyjących. A któż powie, ile jeszcze nie powróci na popioły i zgliszcza?

Ja handel prowadziłem do września 1939 roku, gdy lotnictwo niemieckie zaczęło bombardować obiekty wojskowe i prawie wszystkie miasta w Polsce, w tym i Łomżę. Swój sklep zamknąłem na sztabę, zostawiając żonę i ośmioro dzieci, żona była dwa tygodnie po porodzie. Wyprowadziłem swój rower, a przed moim sklepem naschodziło się ze trzydziestu młodych chłopów i pytają mnie, co będziemy robić. Zdążyłem jeszcze zameldować w *Selsowiecie*, że żona porodziła syna. Był tam przewodniczącym Waniewski i pyta się mnie, jak ma się syn nazywać. Ja mówię: „Henryk i Sebastian”, on mówi: „U nas nie dwa imiona, tylko jedno”.

Ja, mając radio, słyszałem, co się działo w tym czasie w Polsce. Hitler, nie wypowiadając wojny, rozkazał najprzód bombardować Polskę i jednocześnie rzucił na Polskę 70% swoich sił militarnych, uzbrojonych w najnowocześniejsze mordercze narzędzia.

Nasza armia polska nie była tak uzbrojona jak niemiecka i ilościowo też była o wiele mniejsza, ale toczyła zacięte boje na całym froncie, odpierając wroga, jednak musiała cofać się przed przeważającą siłą Niemców.

Gdy się mnie zapytali zebrani przed moim sklepem, co będziemy robić, powiedziałem: „Jedziem do Krzewa i tam przejedziemy promem do Pniewskiej Olszyny i gdy się będzie cofać nasze wojsko z Łomży, to wstąpimy do nich na ochotnika, kto zechce” i wszyscy ruszyliśmy do Krzewa. Przejechaliśmy promem, przenocowaliśmy w olszynie i potem olszyną poszliśmy na wschód. Po prawej stronie mieliśmy wieś Pniewo, ale nie zachodziliśmy do wsi. Idziemy dalej tą olszyną. Rosły w niej jesiony, brzozy i dęby grube do dwóch metrów, a nawet były i grubsze. Tu znowu się zatrzymaliśmy, ale dwóch z naszych

ludzi H. Ciuchnicki i St. Łepkowski mówią: „My się wrócimy do Drozdowa, zobaczymy, co tam słyhać” i zaraz poszli przed wieczorem w kierunku Krzewa. Tam była łódka, to nią przejechali na drugą stronę rzeki i już na godzinę dziewiątą wieczorem byli w Drozdowie, w swoich domach. Na drugi dzień rano przyszedli z powrotem i powiedzieli, że patrol niemiecki był w Drozdowie. Mój sklep był zamknięty. Niemcy nakazali mojej żonie otworzyć i ryż z worka wysypali na betonową posadzkę, a do worków zabrali cukierki, czekoladę, papierosy i tytoń. Zabrali to na plecy i poszli w kierunku Łomży. Łepkowski mówił, że w Piątnicy, jak ludzie wyszli z kościoła, to Niemcy wszystkich młodych chłopów zabrali i na samochodach powieźli do Prus na robotę. I słyszał, że w przyszłą niedzielę przyjadą do Drozdowa łapać chłopów na roboty do Niemiec.

Po wysłuchaniu tych wieści we trzech przed wsią Gac poszliśmy do szosy, która idzie przez Zambrów do Białegostoku. Jakies dwie godziny temu jechały tą szosą furmanki, wieźli Żydów z Łomży też do Białegostoku. Żydzi płacili chłopom, ile tylko oni chcieli. Ja pomyślałem, że mam konia i wóz w domu, a tu taki dobry zarobek, to bym i ja mógł zarobić, żebym miał tutaj konia i swój wóz. Wróciłem do olszyny i opowiadam o tym zarobku, a St. Żebrowski mówi: „Ja dziś wieczorem idę do Drozdowa, to niech mi da Aleksander kartkę do żony, to ja przyjadę wozem. Bo muszę tam iść, wziąć coś do jedzenia i jakąś grubszą kapotę, żeby chociaż było się na czymś położyć”. I tak było, napisałem kartkę do żony, podpisałem i dałem mu.

Poszli znowu we dwóch i raniutko przyjechali. Mam teraz konia, wóz i rower. Był razem z nami Antoni Kowalewski, kierownik szkoły w Drozdowie. On u mnie mieszkał i też miał rower ze sobą. Przenocowaliśmy trzecią noc i jedziemy dalej bocznymi drogami. Rowery pokładliśmy na wóz, ale coraz to nas było mniej. Zatrzymaliśmy się w młodym sosnowym lesie, odpoczęliśmy sobie. Po południu, była jakaś druga godzina, ja zdjąłem swój rower i mówię do pana Kowalewskiego: „Niech pan uważa na konia, a ja pojedę do wioski, to może czegoś się dowiem i może co kupię do jedzenia”. Wsiadłem na rower i pojechałem sam. Do tej wsi było około trzech kilometrów, tak trochę pod górkę. A tu nie tak daleko słyszę wystrzał i kula koło mnie tylko gwizdnęła, i jeszcze dwa wystrzały. Ja z roweru już zszedłem, strzelano do mnie ze wschodu, a potem zaczęli znowu do mnie strzelać z zachodu. Obok tej drogi, co nią jechałem, rosły kartofle, jeszcze miały dużo zielonej naczyny. Ja rower rzuciłem, a sam cofam się niżej przy kartoflach. I do leżącego strzelają, chociaż może nie widzą. I z tej strony, i z drugiej, tylko kule gwizdzą. Leżę i myślę, że chyba od wschodu to strzelają Polacy, a od zachodu to na pewno Niemcy.

Zacząłem w stronę wschodu wołać: „Nie strzelajcie, ja jestem Polak”. Chyba byli nie tak daleko, bo przestali strzelać, ale z zachodu strzelają dalej. Ja, już nie zważając na rower, podciągam go bliżej kartofli i sam czołgam się na brzuchu do tyłu. Czołgam się może więcej niż godzinę. Tam był już teren niższy, strzały ucichły, ale bałem się wstać. Szedłem na kolanach, aby bliżej do lasu i tak na wieczór byłem już przy swoich. Kowalewski się pyta: „A gdzie rower?” Opowiedziałem o swojej przygodzie i że rower zostawiłem.

Ten las, cośmy się zatrzymali, był nieduży, ale jakieś dwa kilometry dalej widać było duży las. Postanowiliśmy nad ranem przenieść się do tego dużego lasu. Jesteśmy już w nim. Wł. Baranowski, A. Wykowski i ja mieliśmy swoje furmanki, reszta szła na piechotę. Od szosy byliśmy jakieś dwa kilometry, było to około wsi Gać. Słyszymy na szosie jakiś szcęk i warkot motorów, podeszliśmy na skraj lasu, a tu czołgi niemieckie, co parę metrów, jeden za drugim. Przewalało ich się chyba z piętnaście na Rutki, w kierunku Białegostoku.

Jedni mówią: „Gdzie my dalej będziemy jechać, kiedy już Niemcy są na przodzie? Wracajmy do domu. Naszego wojska nigdzie nie spotkaliśmy i nie widzieliśmy nawet”. A drudzy mówią: „Pojedźmy do domu i Niemcy nas zabiorą i wywiozą na roboty do Niemiec. I tak źle, i tak niedobrze”. Przenocowaliśmy w tym lesie, ale dobrze rano w tym lesie szum, jakby wozy jechały. Skradamy się tam zobaczyć, co tam się dzieje. Patrzymy, a to polska kawaleria, cały pułk i mają ze sobą lekką artylerię. Ile tego mieli, to nie wiem, bo kazali się nam nie włączyć, ale oglądam się na wszystkie strony, patrzę - porucznik Bognar Lutosławski z Wikrzyń, dziedzic Porzowik. On mnie się pyta: „Co wy tu robicie?” Mówię mu: „Uciekamy przed Niemcami, bo łapią chłopów i do Niemiec na roboty wywożą”. On mnie się pyta: „Co słyszałeś więcej w Drozdowie? Może pan słyszał o mojej żonie cokolwiek?” Ja mu mówię, że nic nie wiem, bo zaraz 1 września wyjechalim. Ja radzę się jego: „Niech pan mi poradzi, co lepiej, czy wracać do domu, czy uciekać dalej”. On odpowiada: „Żadnej rady nie dam, bo nie wiem, co lepiej. My tu wojsko też nie wiemy, jak co nam wypadnie”. A ja jemu mówię, że czołgi niemieckie poszły już, a on mówi: „My widzieliśmy”. „To gdzie teraz myślicie jechać?” „Dziś w nocy przedrzemy się do Czerwonego Boru, a później tak od lasu do lasu, w stronę Warszawy”.

Ja mówię: „A jak te czołgi mogą się wrócić albo drugie nadjadą, to co będzie?” A on mówi, że to nic. „Oni nas nie widzą, a my tu ich będziemy widzieć jak na dłoni, to jak damy z artylerii, to trzy albo cztery czołgi rozwalim, reszta ucieknie. I zanim sformują się do boju, to już będziemy w tamtym lesie, a w lesie to oni czołgami nic nam nie zrobią”. Na tym się rozstaliśmy, do widzenia powiedzieliśmy sobie i ja poszedłem do swoich uciekinierów. Jeszcze mi mówił Lutosławski, że już takie spotkanie z czołgami niemieckimi mieli, to im

kilka rozwali, reszta zwiąła. Oni trzy kilometry pojechali bez żadnej potyczki z tego lasu, bo żadnych strzałów nie słyszeliśmy i kawalerii rano już nie było.

My również dojechaliśmy do drugiego lasu, który się ciągnął aż do wsi. Wieś była nieduża, a za nią szła szosa. Zatrzymaliśmy się, że tu będziemy nocować. Ja z W. Bronowiczakiem wyszliśmy na szosę, a tu ktoś pędzi na koniu galopem co tylko sił, a my stoimy. Zatrzymał konia i pyta się, czy tu byli Niemcy. Mówimy, że Niemców nie widzieliśmy, tylko wczoraj przejechały tą szosą czołgi niemieckie. Gdy mu to powiedzieliśmy, on wyjął szablę i trącił konia ostrogami po bokach i krzyknął „Wio!” i znowu z miejsca galopem, co tylko mógł koń uskoczyć. Pojechał w kierunku za czołgami. Był w zielonym ubraniu w stopniu plutonowego. Koń ładny, kasztan, osiodłany i bardzo spotniały. Wracamy do swoich furmanek i mówię do Wicka: „Nie wiadomo, czy to z tej kawalerii, cośmy z nią nocowali, czy może jakiś Niemiec przebrany w polski mundur. Bo gdzieżby jeden żołnierz pojechał za czołgami i to w takim pośpiechu z gołą szablą w ręku?”

To była ostatnia noc, kiedyśmy przenocowali razem, te trzy furmanki i kilkunastu chłopów. W. Baranowski mówi: „To gdzie dalej będziemy jechać?” Niemcy już poszli naprzód, bo huk armii było słychać gdzieś na Czerwonym Borze i pod Zambrowem. „Ja - mówi Baranowski - rano wracam do domu”. On był furmanką.

Znaleźliśmy miejsce odpowiednie o jakieś sto metrów od szosy. Las był bardzo gęsty, położyliśmy się do spania. Ale gdzie tam, spać nie można! Huk armat i błyski ognia artyleryjskiego, gdzieś daleko na prawo od nas. Mówimy do siebie: „Tam zginie żołnierz w tym boju”.

Nie śpimy, a tu słychać na tej szosie jakiś warkot coraz bliżej nas i już widzimy czołgi niemieckie, co jakieś pięć, może sześć metrów jeden za drugim, przy światłach małych, czerwonych, aż ziemia jęczy. Jak okiem sięgnąć, klucz ich jedzie bardzo wolno. Tylko motocykle to jadą szybko, raz do przodu, to znowu do tyłu. Tych czołgów mogło być około pięćdziesięciu.

Gdy się rozwidniło, W. Baranowski powiedział: „Ja wracam do domu”. Na szosie nic nie było widać, pojechał i razem z nim kilku drozdowiaków, a kilku poszło pieszo inną drogą. Za nimi pojechał furmanką H. Wykowski. Pozostałem tylko ja i kierownik szkoły A. Kowalewski i moja furmanka.

Pytam się p. Kowalewskiego, co my teraz będziemy robić, bo na pewno Białystok już padł. On mówi: „Jechać już dalej nie ma po co, wracajmy i my do domu”. „Ja też tak samo myślę, tylko najprzód pojedziemy do tej wsi, co naprzeciw niej zostawiłem rower, tam na pewno ktoś go znalazł i zabrał do domu, to może odda”.

Najprzód jedziemy szosą, żadnych wojsk nie widać, tak przejechaliśmy jakieś dziesięć kilometrów, ale potem jadą samochodami Niemcy. Szosa była szeroka. Ja kobyłę wstrzymałem, na wozie leży rower Kowalewskiego. Myślałem, że może nas będą o coś pytać, ale nie, my przed pierwszym samochodem czapki zdjelim, ukłoniliśmy się. Jechali nie bardzo ostro prawą stroną. Ja kobyłę lejcem pogałem i pomału jadę bokiem. Już samochody przejechały, jedziemy dalej jakąś godzinę spokojnie. Mówię do Kowalewskiego, że się nam dobrze udało, wcale nas nie zatrzymywali, może pomału dojedziemy do Drozdowa. Otucha w nas wstąpiła, jedziemy dalej, a tu nagle jedzie dwóch Niemców na motocyklach. Zatrzymali nas, jeden krzyknął „Halt!” Drugi umiał słabo po polsku mówić. Pyta się, gdzie jedziemy. My mówimy, że do domu. „A skąd wy?” Ja mówię, że z Drozdowa. „A gdzieście jeździli?” „Uciekalim przed frontem, a teraz wracamy do domu i do swoich rodzin”. „A skąd rower macie?” Ja mówię, że ten rower jest Kowalewskiego. „Dowód macie na ten rower?” Całe szczęście, że Kowalewski miał. Niemiec obejrzał i wszystko przetłumaczył temu drugiemu, ten wysłuchał i kazali jechać.

Jedziemy dalej wolno, bo już kawał drogi przejechaliśmy, ja tylko patrzę w prawo wciąż na lasy, to olchowe, to brzoźowe i mieszane, potem sosnowe i nareszcie dojeżdżamy do wsi, którą poznaję, że to ta, do której wypuściłem się rowerem jechać, aby się czegoś dowiedzieć i coś kupić do jedzenia, a w połowie drogi od lasu do wsi zaczęli do mnie strzelać z ręcznych karabinów z dwóch stron i ja rower zostawiłem i sam się wyczołgałem na brzuchu, potem na kolanach do lasu.

Wjeżdżamy do tej wioski. Kowalewski mówi: „Ja tę wioskę znam, tu są mojej żony dalsi kuzyni, my z żoną do nich raz przyjeżdżali w goście, Śleszyńscy się nazywają”. Ja się pytam, czy on czasami nie był członkiem Rady Powiatowej. „A tak, należał do rady”. „No to i mój znajomy, bo ja też byłem członkiem Rady i nieraz rozmawialiśmy ze sobą. To się dobrze składa”. Kowalewski mówi, że ta wioska należy do parafii Puchały, u nich na podwórzu jest studnia z żurawiem i kluczką uczeponą. Już z daleka widzimy ten żuraw, ale na całym podwórzu pełno osiodłanych koni i Niemcy się przy nich kręcą.

Było ich około stu, dojeżdżamy naprzeciw, ale tak, żeby oni mogli wyjechać swobodnie, bo widać, jak siodła poprawiają na koniach. Jedni jeszcze poją konie, taki ruch tam, rozmowa tak żywa.

Ja mówię do Kowalewskiego: „Niech pan tam idzie, przywita się i poprosi o wiadro. Napoim kobyłę. Tylko śmiało, nic się nie bać, żeby oni nie zauważyli strachu na panu”. Zszedł z wozu i poszedł śmiało do domu. Była tam stara matka, córka i synowa, przywitał się z nimi i poprosił o wiadro, aby napoić kobyłę. W mieszkaniu było trzech oficerów, jeden umiał po

polsku mówić. Kowalewski dostał wiadro, wyszedł i zaczerpnął wody, przyniósł ją, kobyłę, wykietlnął i poił. Wypiła jedno wiadro i chce jeszcze, ale że była spocona, to mówię, że potem jej damy się napić. Poszedł, nabrał jeszcze wody ze studni i poniósł do domu. Oficerowie jeszcze siedzieli przy stole i stała dziezka mleka i trzy szklanki, z których oni pili to mleko.

Ten, co umiał po polsku, pyta się: „Skąd wy jedziecie?” Kowalewski mówi: „Uciekaliśmy przed frontem, a teraz wracamy do domu”. „A po coście się tu zatrzymali?” „Chcieliśmy napić kobyłę i odwiedzić kuzynów”. Tu wtrąciła się synowa do rozmowy, że jej ojciec i matka Kowalewskiego to są rodzone dzieci.

On przetłumaczył temu drugiemu, ten widać najstarszy powiedział: „*Jawohl*” i wyszli z mieszkania. Dał rozkaz i wszyscy wsiedli na konie i odjechali w tym kierunku, co myśmy przyjechali. My wjechaliśmy na podwórze, kobyłę wyłożyłem, dałem jej koniczyny, bo była u nich i poszedłem do mieszkania i im mówię, że pięć dni temu ja jechałem rowerem i zaczęli do mnie strzelać z dwóch stron. To ja rower rzuciłem, a sam na brzuchu wycofałem się aż do lasu, do swoich ludzi, bo nas tam było dużo. I ten rower tam został i myślę, że go ktoś znalazł i ma, i może by go oddał.

Jedna z tych kobiet mówi, że tu dwóch jeździ rowerami, a oni rowerów nie mieli przedtem. Jeden chłopak to jest syn pastucha, Niemca. Oni tu się sprowadzili do naszej wsi już z piętnaście lat temu i on w całej wsi pasie krowy. Z nim strach zadzierać, bo może się poskarżyć do Niemców i wtenczas będzie bieda. Powiedzieli, jak oni się nazywają i w jakim mieszkają kierunku. „Jak nie pójdę sam - tak sobie myślę - to nic z tego nie będzie”. Mówię do Kowalewskiego: „Pójdzie pan ze mną”. „Albo oni nam oddadzą?” - Kowalewski mówi. Ja mówię: „Pójdziem najprzód do sołtysa i z sołtysem pójdziem”. „No dobrze, idziemy”. Wstał z krzesła. Zapytaliśmy się, gdzie sołtys mieszka i idziemy. Przychodzimy do sołtysa. „Dzień dobry, państwu” - powiedzieliśmy. Odpowiedzieli: „Dzień dobry, proszę, siadajcie panowie”. I siedliśmy na krzesłach, sołtys się pyta: „Co panów do nas przygnało, skąd panowie jesteście?” My mówimy, że my jesteśmy z Drozdowa, a przyszliśmy w takiej sprawie. I opowiedziałem, jak było z tym rowerem. Mówiłem, że mnie tu powiedzieli, że syn pastucha nie miał roweru, a teraz jeździ na rowerze, a sołtys na to mówi: „Albo on odda?” „No zobaczymy - mówię - spróbujemy”. Sołtys się podrapał w głowę, widać było, że wolałby nie iść, ale go poprosił i powiedział, że jest jego obowiązkiem iść w takiej sprawie. Wziął czapkę na głowę i mówi: „No to pójdziemy”.

Przychodzimy do nich i zastaliśmy obydwoch w domu. „Dzień dobry, panowie”. Odpowiedzieli: „Dzień dobry”. Ten pastuch miał około czterdziestu pięciu lat, a jego syn



około szesnastu. Pyta się pastuch: „Za czym panowie przyszedli do nas?” Ja mówię, że my przyszedli za rowerem, a on na to: „Za jakim rowerem i skąd wy jesteście?” I to tak hardo „do nas. Ja jemu mówię: „My jesteśmy z Drozdowa, uciekaliśmy przed frontem i zatrzymaliśmy się w tym lesie. Ja chciałem kupić coś do jedzenia. Jechałem na rowerze do tej wioski i zaczęli do mnie strzelać. Kule nade mną gwizdały i ja czym prędzej bryknąłem z roweru i rower z drogi odciągnąłem na bok i się wyczołgałem do lasu, a rower został”. „A kiedy to było?” Ja mówię: „Cztery dni temu”, a on: „To czemu pan na drugi dzień nie przyszedł po rower, tylko dopiero dzisiaj?” „Bo ja myślałem, że tu jest front i kiedy strzelają, to uciekliśmy dalej lasem”. A on: „Kto wam powiedział, że my mamy ten rower?” „Ja się pytałem kilku ludzi, jak tylko przyszedliśmy do wioski, to mi powiedzieli, że pana syn nie miał roweru, a teraz jeździ na rowerze”. Ojciec obejrzał się na syna, a syn zaczyna się pytać, jaki ten rower był. Ja mówię: „Miał czerwone opony, ster wygięty do góry, na nim naciągnięta zielona guma i na ramie pisze „*Duglas*”. Wtenczas ojciec mówi: „Idź, przyprowadź go”. Poszedł do chlewa i przyprowadził. „Wszystko się zgadza, jak mówiłem. Ojciec mówi: „No tak, zgadza się, to zabierajcie”.

Ja zaraz rower za rączki i wracamy. A sołtys mówi: „Ale im szkoda było oddać ten rower, tak niechętnie powiedział *»To zabierajcie go«*”. Podziękowałem sołtysowi i do widzenia. Poszlim do państwa Śleszyńskich. Przychodzimy, ja zaraz kładę rower na wóz. Przychodzimy do mieszkania. Pani Śleszyńska zaraz ukroiła słoniny na patelnię i parę jajek wbiła, zjedliśmy dobre śniadanie i mówię: „Rower mi oddali nie bardzo chętnie, byliśmy u nich z sołtysem”. Gospodyni mówi, że dobrze, że sołtys chciał iść. Mówię, że też niechętnie, ale poszedł z nami i wszystko się na razie dobrze skończyło.

Ale teraz z tymi dwoma rowerami nie możemy szosą jechać, bo jak Niemcy zobaczą dwa rowery na wozie, to mogą pomyśleć, że my te rowery gdzieś ukradli i nas mogą zatrzymać. To wygląda podejrzanie - furmanka i na niej dwa rowery. Więc ja mówię: „Musimy przed Rutkami skrócić w prawo i skierować się w stronę wsi Bronowo, a przez rzekę jakoś się tam przedostaniemy”. Podziękowałem za gościnę. Kobyłę napoiłem. Jeszcze szosą jechaliśmy jakiś kilometr drogi, potem droga szła w prawo, w stronę lasu. Skręciłem i wić kłusa pogałem kobyłę. Rutki minęliśmy z lewej strony jakieś pięć kilometrów, jedziemy boczną drogą obok lasu. Rosły w nim sosny, jałowiec, brzoźki, a niżej olszyna.

Tam spotkaliśmy dwóch chłopów. Zatrzymałem kobyłę i pytam się ich: „Czy można tu gdzieś przedostać się przez rzekę? My jesteśmy z Drozdowa i jedziemy do domu”. Oni mówią, że drogą dojedziemy do Pniewa, a z Pniewa droga jest prosto do Krzewa i tam jest prom, to tam ktoś nas przewiezie i pojedziemy prosto do Drozdowa. Ja im mówię: „Nie

chciałbym jechać do Krzewa, bo tam mogą być Niemcy, to mogliby nas zatrzymać, to byłoby niedobrze. A czy tu w Bronowie nie ma czasami promu?” Oni mówią, że promu nie ma, ale jakieś sześćdziesiąt metrów od rzeki mieszka rybak, ma dużą łódź, to może jakoś nas przewiezie. Mówią: „Jeszcze będziecie jechać prosto jakieś półtora kilometra, potem będzie droga w prawo przez olszynę na łąki i już tam zobaczycie jego budynki - dom, stodoła i chlewy. To jak dojdziecie do rzeki, to wołajcie głośno, to on przyjdzie. A może go spotkacie przy rzece”. I na tym rozmowa nasza skończyła się. Dziękujemy i do widzenia.

Jedziemy, dojechaliśmy do tej drogi w prawo i nią jedziemy. Skończył się las sosnowy, rośnie tylko olszyna i gdzieniegdzie grube jesiony i brzozy. Dojeżdżamy do łąk, droga prowadzi do rzeki, budynki tego rybaka już widzimy, ale droga nie idzie na wprost do niego, tylko trochę skręca w lewo. Łąki w tym roku były suche i ja jadę przez łąki na wprost. Przyjechalim do rzeki. Widzimy - jedna duża łódź stoi, przywiązana do pala, a druga stoi w krzakach parę metrów od tej dużej, ale rybaka nie widać. Zaczęlim wołać. Wyszedł, popatrzył, idzie. Przyszedł i pyta się: „Czego chcecie ode mnie?” Ja mówię: „My chcemy, żeby pan nas jakoś przewiózł przez rzekę”. On mówi: „Jedźcie do Krzewa, tam jest prom, to was przewiozą”. Ja mówię: „My boimy się jechać na Krzewo, bo tam mogą być Niemcy, to nas mogą zatrzymać. A słyszeliśmy, że Niemcy łapali wszystkich w Piątnicy, jak wyszli z kościoła. Podobno i w Drozdowie łapali”. „To którądy chcecie jechać?” Ja mówię: „Pomiędzy Krzewem a Kolakami, do drogi, która idzie z Pruszk do Drozdowa, tamtędy chyba się z Niemcami nie spotkamy”. I mówię mu, że zapłacę za przewiezienie.

Poszedł do tamtej łódki w krzakach, wsiadł do niej i podjechał do tej większej, związał obie łańcuchami i przyjechał do nas i powiada: „Wyprzęgać konia i z woza wszystko zdjąć, wóz rozebrać, bo musimy dwa razy przewozić, bo na raz jest za dużo”. My zaraz zdjęliśmy rowery, gnojówki pokładliśmy w poprzek łódek i najpierw wciągnęliśmy przód woza i jeden rower i ja z nim przejechałem na drugą stronę rzeki, a kobyłę trzymał pan Kowalewski. My ściągaliśmy przód wozu i rower i przyjechaliśmy po zad wozu i drugi rower i półszorek, a kobyłę ja trzymałem na lejcu i przepłynęliśmy w porządku. Zaraz ja złożyłem wóz, zaprzęgnąłem kobyłę, pan Kowalewski pokładł oba rowery. Pytam się: „Ile mam panu zapłacić za przewóz?” A on mówi: „Jedźta z Bogiem, nie chcę nic”. Podziękowaliśmy i jedziem.

Dojechaliśmy do drogi, którą się jedzie do Krzewa. Najprzód była droga przez olszynę, a potem z lewej strony rosła olszyna, a z prawej las sosnowy. Dojechalim, gdzie droga idzie do Kosak, jedziemy w kierunku na Kosaki. Las się skończył, widzimy te Kosaki, ale tam nie jedziemy, tylko przy lesie. Kosaki zostały w prawo, a Krzewo na lewo.

Dojechalim do drogi, która idzie z Krzewa do Trusk. Tą drogą dojechalim do lasu, przy tym lesie dojechalim do drogi, która z Trusk idzie do Drozdowa, do domu.

Przed wieczorem wjechaliśmy na podwórze. Kobyłę wyłożyłem, dałem siana i rowery z wozu do szopy postawiliśmy. Idziemy do domu. Żona moja ze łzami w oczach powiada: „Już myślałam, że cię Niemcy złapali. Co dzień wyglądałam, a tu nie ma i nie ma”. Dziesięć dni jeździliśmy w tamte strony i z powrotem, szczęśliwie, choć z przygodami, wróciłem.

Żona mi opowiada, że się ludzie rzucili do sklepu, jak pojechałem. A wprzód Niemcy we dwóch kazali sklep otworzyć, wysypali ryż z worka na posadzkę cementową, a do tego worka zabrali cukierki, czekoladę, papierosy i tytoń, tylko została zwykła machorka. To znowu wykupili ludzie tę machorkę i naftę, aż z Pątnicy przylecieli po naftę, sól, zapałki i co lepsze wszystkie towary wykupili.

Ale dużo jeszcze towaru zostało, takiego, co go nikt nie chciał kupić, z 1piętnaście par rękawiczek, które leżały już może z dziesięć lat, to krawaty, sweterki i inna drobnica. Ale w mieście można było jeszcze niektóre rzeczy kupić. Wziąłem kobyłę, założyłem do wozu i biorę małego Zbyszka, trzy lata miał i jedziemy do Łomży, może da się cokolwiek kupić.

Most żelazny Polacy zminowali, więc dojeżdżamy do mostu drewnianego, a tu idą żołnierze niemieccy. Szedł ich chyba cały pułk piechoty. Posterunek mnie zatrzymał, aż się wszystko przewaliło. Szli w nogę, a spoglądali na mnie z taką zajadłością w oczach jak wilki. Przy posterunku znalazł się drugi jakiś żołnierz, a ja miałem na nogach buty, w których chodziłem tylko w niedzielę, cholewy wysokie, chromowe i bardzo ładne. Podchodzi ten Niemiec do mnie. Ja jedną ręką trzymam lejce, a drugą małego syna, a on patrzy się na moje buty i bierze jedną ręką w połowie cholewy, szczypie, potem bierze za przyszwę i mówi: „Taka dobra buta!” Aż głową pokręcił. Później popatrzył na Zbyszka. On też był ubrany ładnie, w pantofelkach. Potem podszedł ten posterunkowy, poszczupał na wozie, w słomie, nic tam nie było, machnął ręką, żeby jechać.

Przyjechałem do Łomży, no i zachodzę do tych starych swoich kupców. U jednego kupiłem osiem wiader ocynkowanych i dziesięć arkuszy ocynkowanej blachy. U drugiego kupiłem po trochu towarów kolonialnych, jak pieprz, ziele, listki herbaty, u trzeciego kupiłem trochę galanterii. I to wszystko. No i jedziem do domu. Przed mostem stoi posterunek, rękę podniósł i mówi „Halt!” Ustałem, on zaczął rewidować i wszystko oglądać, co było na wozie i machnął ręką - kazał jechać. Jeszcze jeździłem parę razy, ale już w starych butach, choć już się nie opłacało jechać, bo nie było po co.

Wracam teraz do spraw organizacji. Niemcy przed uderzeniem na Polskę zawarli pakt rozbioru Polski po połowie. Niemiecki minister spraw zagranicznych Ribbentrop i rosyjski minister spraw zagranicznych Mołotow za wiedzą Stalina i innych dygnitarzy całego rządu w Rosji wytyczyli granice, dokąd który ma zająć ziemię Polski. Ale do okręgu Łomży Niemcy jeszcze nie ustąpili Sowietom, sowieckie wojsko wkroczyło dopiero 20 października.

W Polsce zapanowało straszne przygnębienie. Tylko generał Sikorski z Francji przemawiał do Polaków, żeby wstępowali do tajnej organizacji wojskowej pod nazwą Polska Organizacja Podziemna. I mówił, że niedługo Francja i Anglia wypowiedzą wojnę Niemcom i Sowietom. Więc w Polsce zaczął się ruch. Prawie wszystkie wioski i miasta organizowały jednostki POP.

Ja w Drozdowie zacząłem już 10 października organizować młodych i pewnych ludzi, dobrych Polaków, a znałem wszystkich w całej wsi. Potem byłem komendantem Drozdowa i Niewodowa. Ale gdy weszły wojska sowieckie, to nasza organizacja żadnej działalności nie objawiała. Każdy pracował spokojnie na swojej gospodarce i czekał na rozkaz, gdyby przyszło powstanie. Ale nie nadeszło powstanie, tylko mnie w maju 1940 r. aresztowały władze sowieckie.

Gdy niemiecki minister spraw zagranicznych Ribbentrop i radziecki minister spraw zagranicznych Mołotow zawarli pakt o nieagresji i umówili się uderzyć z dwóch stron na Polskę, zawojować ją i podzielić się po połowie, ja spać nie mogłem całymi nocami. Jak to, znowu mamy iść w niewolę?! I może znowu na 123 lata jak dawniej? Chyba nie.

Generał Sikorski wydał odezwę do Narodu Polskiego, że niedługo Francja i Anglia uderzą na Niemców i na bolszewików i na pewno ich pobiją przy naszej pomocy. Wszyscy Polacy do lat czterdziestu pięciu mieli się organizować w polskich organizacjach podziemnych. Wzywał, że gdy przyjdzie czas, żeby nikogo nie zabrakło, żebyśmy znowu nie stali się niewolnikami.

Wojska radzieckie wkroczyły do Polski z artylerią ciężką i lekką, z wyrzutniami rakietowymi z czterema lufami, tak zwanymi katuszami, na czołgach gąsienicowych karabiny maszynowe ciężkie i lekkie, granaty ręczne i inna broń, i lotnictwo. No nie tak liczne jak miał Hitler, który Czechom zabrał przeszło 3000 samolotów bez boju, a swoich miał około 4000.

I tak nasi obydwaj sąsiedzi, po zawojowaniu Polski zaczęli każdy w swoim zaborze segregować Polaków. Niemcy łapali i aresztowali komunistów i najlepszych Polaków - Ślązaków, którzy dawniej głosowali i bili się o przyłączenie Śląska do Polski, tych Niemcy rozstrzeliwali. Potem, żeby zniszczyć kulturę polską, aresztowali profesorów i księży i

uśmiercali w komorach gazowych. A najwięcej Żydów. Łapali też rolników i robotników i wywozili ich na roboty do Niemiec, również wywozili na roboty kobiety i dziewczyny.

Sąsiad drugi zaczął od panów - obszarników, leśników i niektórych, co w wojsku za cara służyli. Potem byłych policjantów polskich, dyrektorów, inżynierów, doktorów i wszystkich innych podejrzanych o to, że są niezadowoleni z władzy sowieckiej.

W dodatku prawie w każdej wsi i w miastach znaleźli się miejscowi, swoi komuniści, którzy donosili do władzy sowieckiej, że ten tam coś powiedział na władzę sowiecką, a drugi nie jest zadowolony. To takich całymi rodzinami wywozili do „raju”, a tam przydzielali jednych do kołchozów, a innych do lasów archangielskich i gdzie popadło. A ilu było w więzieniach, tego nikt nie zdoła się doliczyć.

Wojsko radzieckie lokalizowało się przeważnie w miastach i po dworach, z których dziedzice puciekali, a jeśli który nie uciekł, to go zaraz wywieźli do Rosji.

Do Drozdowa przyjechał sztab pułku kawalerii, który został podzielony na cztery części, jeden szwadron został w Drozdowie, drugi w Kaimowie, trzeci w Krzewie, a czwarty na Wiktorzynie. Tam był dwór. Trzech właścicieli już nie było, czwartego W. Pieńkowskiego, dziedzica właściciela majątku na Krzewie, zaraz wywieźli, syn jego został, to potem uciekł na zachód.

Pułkownik i jego zastępca, gruby jakiś starszy politruk, pewnie też w stopniu pułkownika, bo sam właściwy pułkownik nie mógł nic zdecydować bez wiedzy tego politruka, zakwaterowali się we dworze. Oficerowie zakwaterowali się we wsi u gospodarzy, również ich konie były poprzywiązywane po stodołach, w mojej stodole stało ich chyba z piętnaście.

W moim domu kwaterowało aż czterech oficerów. Jeden kapitan miał przedpokój mały i drugi duży pokój z oddzielnym wejściem, a tych trzech przechodziło przez moją kuchnię i przez pokój, w którym my wszyscy spali - siedmioro dzieci i ja z żoną, razem dziewięć osób. Wszyscy trzej oficerowie byli w stopniu poruczników.

Jeden był bardzo uczony, nazywał się Misza Łowianin i był tłumaczem. Sam mi powiedział, że umie mówić po angielsku, po francusku i po niemiecku. Był bardzo inteligentny, lubił tańczyć trzepačka i inne tańce też umiał. Był wesoły i bardzo grzecznie z nami się obchodził. Drugi był płatnikiem pułkowym, nazywał się Łopucha, a trzeci był oficerem gospodarczym, jak się nazywał - nie mówił, ale wszyscy trzej byli dobrymi ludźmi.

Ten kapitan sprowadził z Rosji swoją żonę i dwoje dzieci, z nim żadnych rozmów nie miałem. Potem najechało się dużo tych żon z dziećmi. Same nie bardzo były poubierane.

Pamiętam w naszym kościele nieszpory. Gdy wyszła procesja z kościoła, dziewczynki nasze były poubierane w białe sukienki, sypały kwiatki przed księdzem, który niósł monstrancję w rękach, starsze, już prawie panny, niosły obrazy, też były w białych sukniach. Wszyscy ludzie ubrani byli odświętnie, ładnie. Na ten ostatni nieszpór przyszły te wszystkie żony z dziećmi oficerów i mówią jedne do drugich; „*Smotryj, kak wsio krasiwio!*” (Patrzcie, jak wszystko ładnie!) One poszły do domów i opowiadały swoim mężom, jak to było ładnie, jak wszyscy byli ładnie ubrani. Doszło to do tego politruka, zastępcy pułkownika. Ten nakazał oficerom, żeby wszystkie przyszły tu przed sztab. Poprzychodziły, to dał im za to szkołę i powiedział: „Jak jeszcze chociaż jeden raz która pójdzie do kościoła, czy nawet przed kościół, to zaraz musi wyjechać do Rosji!” No i żadna więcej przed kościołem się nie pokazała.

Gdy oficerowie, którzy u mnie kwaterowali, wychodzili na jakieś zajęcia, to przychodziło do mnie dwóch politruków. Wchodziłem razem z nimi do tego pokoju, co kwaterowali oficerowie. Zawsze drzwi za sobą zamykali i na temat polityki zaczynali rozmowę ze mną. Ja tam na polityce się nie znałem i nigdy nią sobie głowy nie zawracałem. Potem, jak ja się do ich władzy ustosunkowałem, łągałem jak mogłem. Pytają się: „Ty na wojnie 1920 roku był?” „Byłem” - mówię. „Strzelał do naszych?” Ja mówię, że strzelałem, bo oni też strzelali do nas. To oni się pytają: „*Skolko ty naszych ubił?*” Ja mówię, że ja nie wiem. „Strzelać, strzelałem, ale czy zabiłem, to *nie znaju*”. Tak to przychodzili cały tydzień i to samo w kółko dokoła Macieju. Potem pytają się, czy ja coś wiem o *podpulnej* organizacji, czy nie słyszałem o niej. Mówię, że nic nie wiem i nic nie słyszałem o takiej. No i po tygodniu przestali do mnie przychodzić.

Był już rok 1940, mróz był 40 stopni, a tu nakazują podwody i jadę do lasu, do leśniczówki. Tam mieszkało trzech leśników – Głowacki i Tatarowski z rodzinami, a trzeci dopiero nastał, nieznajomy. Saniami podjechały cztery podwody i Głowackiego i Tatarowskiego z rodzinami zabrali. Przyjechali do Drozdowa i tu zabrali J. Sokalskiego z rodziną, bo on służył w wojsku za cara i był zawodowym plutonowym. On mieszkał obok mojego domu. Zrobił się krzyk, płacz, a tu bojce z karabinami poganiają, krzyczą „*Skorej!*”, to znaczy prędko siadać na sanie. Każdy z nich złapał coś do ręki, a nic do podróży nie przygotowali, nawet kawałka chleba nie mieli. Moja żona wyniosła im bochenek chleba, parę puszek kawy i jeszcze co miała pod ręką, bo nie było chwili czasu, bo zaraz pojechali w taki straszny mróz 40 stopni poniżej zera, do Łomży.

Żona moja i dzieci płaczą, widzieli, jak bojce z karabinami powsiadali na sanie, jeden z przodu, drugi z tyłu. Straszne to było przeżycie. Żona moja mówi do mnie: „Wiesz,

oni i nas powiozą”. Ja mówię: „Może być, piecz chleb i suchary susz”. Drugiego dnia żona już upiekła chleb, jeden bochenek kroi na takie cienkie skibki, układa na blachy. W tym czasie wchodzi dwóch oficerów, ten tłumacz Łowianin i płatnik Łopucha. Zatrzymali się i Łowianin się pyta: „*Chazajka, czto ty dzielajesz?*” A żona im mówi: „Wywozicie ludzi, nawet bez kawałka chleba, to i nas wywieziecie. To ja szykuję na drogę”.

A on powiedział: „Nie, kto będzie wywieziony, to będzie, ale wy nie będziecie wywiezieni. My rozmawiałim w sztabie, był sam pułkownik i zastępca i oni tak powiedzieli”. Na drugi dzień przychodzą we dwóch. Patrzę, pułkownik i jego anioł stróż - zastępca. Pułkownik powiedział: „*Zdrastwujcie!*” Ten drugi też tak powiedział. Ja siedziałem, jak oni weszli. Wstałem, odpowiedziałem „*Zdrastwujcie*”. Pułkownik się pyta, gdzie jest kwatera oficerów, ich nie było. Ja mówię: „*Pažausta*” i idę naprzód, a oni jeden za drugim. Weszliśmy do drugiego pokoju, gdzie oni kwaterują, a u nich wisi na ścianach widok w ramach - bitwa pod Grunwaldem. Pułkownik się pyta: „*Szto eto za wojna?*” Ja jemu mówię, że to Polacy, Rusini i Litwini pobili Germańców, Niemców pod Grunwaldem. Na drugiej ścianie wisi portret prezydenta Mościckiego. Pytają się: „*Kto eto jeść?*” Ja mówię: „To nasz prezydent”. A on mówi: „*Uże jego niet, udralsa*” (uciekł). A na tej samej ścianie obok wisi portret marszałka Piłsudskiego na swojej kobyle - Kasztance. On na niej siedzi, a na ziemi pod Kasztanką leży słup graniczny i ona stoi przodem z jednej strony, a zadem z drugiej strony. Słup był pomalowany na biało, a czerwony szeroki pas był okręcony od dołu do góry. Pułkownik się pyta: „*A kto eto jest?*” Ja mówię, że marszałek Piłsudski, ale on już nie żyje. Przyglądają się obydwaj, dość długo, nareszcie pułkownik się pyta: „*A na czyjej granicy on ten słup przewrócił?*” Ja mówię: „Na granicy Germańca”. Popatrzyli jeszcze na bitwę pod Grunwaldem i poszli. Za parę dni moi oficerowie przynieśli portret Stalina i powiesili go między moimi portretami na ścianie.

Ja pojechałem do Łomży. Niemcy mocno zbombardowali Łomżę, przeważnie dzielnice żydowskie, ulice Rządową, Długą, Senatorską i inne. Żydzi poszli mieszkać jeden do drugiego, ciasnota, w dodatku głód, nie było gdzie co kupić do jedzenia. Jeden Żyd to mój dobry znajomy, kupiec, miał hurt i detal. Ja u niego niektóre towary kupowałem. W jego dom trafiła bomba, rozwaliała całkowicie. Nic nie uratował ani mebli, ani ubrania, ni resztki towaru.

Wziąłem pół metra kartofli, żelazne łóżko, trochę fasoli i dałem mu to. On mieszkał przy starym rynku, ale dokoła starego rynku też były kamienice. Zbombardowany został tylko Magistrat i jedna kamienica, co ją kupił Karpiński, ale nie wiem od kogo.

Przyjeżdżam do domu, jakaś godzina druga po południu, kobylę wyłożyłem, wchodzę do domu. Zaraz za mną przyszli oficerowie, poszli do swojego pokoju. Wyskakuje

jeden taki, w oczach dziki i mówi: „*Chadzij siuda!*” i to tak hardo. Idę. Jak tylko wszedłem, oni do mnie: „*Kuda Stalin?!?*” Patrę - na ścianie on wisiał, nie ma go. Oni znowu: „*Kuda jest Stalin?!?*” Ja im mówię, że ja byłem w mieście i ja nic nie wiem. Jak na mnie jeden wrzaśnie: „*Snimaj swoje portrety, skarej, skarej!*” Ja czym prędzej zdjąłem, żeby nie połamali ich, zabrałem i wyniosłem na strych. Owinąłem w gruby papier, a kto ich ze strychu zabrał, to nie wiem. A portret Stalina, nikomu nic nie mówiąc, moja Zosia ze ściany zdjęła i zaniósła do kooperatywy, którą sowiecka władza założyła w moim domu na parterze. Nakrzyczelimi na córkę, ile tylko wlazło. I ona poszła i go przyniosła i zaraz go powiesili. I oni mówią do mnie: „*Nasz Stalin jest, a twoich już tu nie będzie*”.

Po tym wypadku już do nich nie zachodziłem i oni mnie nie wołali. Zresztą nie lubiłem rozmawiać z Łopucho, który zawsze wychwalał Stalina i cały swój rząd i swoje bohaterskie wojsko, jak bez broni naszych żołnierzy zabierali do niewoli.

Ja na drugi dzień, a były to zapusty, poszedłem z F. Nitkiewiczem do Robaczewskiego i tam sobie tak dobrze popiliśmy, że się upiłem. Przeszedłem do domu i zaczynam przeklinać na tego Łopuchę. Moja żona jeszcze nie spała, a dzieci już spały, a ja wciąż krzyczę, że ja temu *gierojowi* dziś wleję i chcę do nich drzwi otworzyć. A żona złapała mnie za rękę i trzyma, nie puszcza, krzyczy: „*Uspokój się!*”, dzieci też zerwały się z łóżek, złapały mnie, przewróciły na łóżko i trzymali, aż po wymiotach usnąłem.

Na drugi dzień rano oficerowie powstawali, ja też, podchodzi do mnie Łopucho i pyta się, co ja na niego wczoraj przeklinał i groził. Ja nic nie wiem, bo ja byłem pijany, a on mi mówi, że bym ja wieczorem nigdzie nie wychodził, bo będzie z tobą *plocho* (to znaczy źle) i poszedł.

Na drugi dzień żona mówi: „*Ty spałeś, ale oficerowie całą noc nie spali, tylko rozmawiali. Jak tak jeszcze raz zrobisz i takie głupstwa będziesz po pijanemu wygadawał, to ty nasz wyjazd do Rosji przyspieszysz. Łopucha pytał się mnie, co ty od niego chciał, że tak krzyczał: *Ja jemu dam!*” Żona mówiła, że ja byłem pijany i takie głupstwa gadałem, on głową pokiwał i poszedł.*

W niedzielę poszedłem do swego sąsiada Mariana T. na pogawędkę. Za jakiś czas przychodzi mój syn Zbigniew i mówi, że jakiś pan mnie prosi, że bym przyszedł, koniecznie chce się ze mną zobaczyć. Przysunął się do mnie i do ucha mi mówi po cichu, że ten pan nazywa się Malinowski Franciszek, ale mamusia powiedziała, żeby tata nie przychodził, coś przeczuwała. Ja powiedziałem Zbyszkowi: „*Idź i powiedz temu panu, że ja przyjść nie mogę, ale do niego przyjadę w tym tygodniu*”.



Ten jegomość pochodził z Rakowa Boginie, znałem go bardzo dobrze. Skończył szkołę podchorążych w Zambrowie, a w rezerwie pracował gdzieś na kresach w Urzędzie Skarbowym i często przyjeżdżał do Rakowa do matki i brata i bywał u mnie w sklepie. Znaliśmy się bardzo dobrze.

Pewnego dnia z początku stycznia pojechałem do Łomży. Gdy wróciłem, żona mi mówi, że przyszło do mieszkania dwóch młodych ludzi i zapytali się, czy jest pan Pieńkowski. Żona odpowiedziała, że pojechał do miasta. Bardzo żalowali i mówili, że w ważnej sprawie chcieliby się ze mną rozmówić. Żona mówi, żeby poczekać, mąż powinien niedługo wrócić. Oni odpowiedzieli, że czekać nie mogą, ale innym razem przyjdą i poszli. Przed odejściem powiedzieli, że mnie dobrze znają i że ja ich też znam.

Więcej oni do mnie nie przyszli, bo wiedzieli, że w moim domu kwaterują sowieccy oficerowie, a sztab pułku w Nowym Dworze. Inni oficerowie w starym dworze i na wsi też w niektórych domach kwaterowali.

W tygodniu pojechałem do Rakowa, zajechałem do Mietka Godlewskiego i mówię mu, że był u mnie Malinowski, a potem przyszło aż dwóch i chcieli ze mną porozmawiać w ważnej sprawie. Ja już miarkowałem jaka to sprawa. Mówię do Mietka: „Idź i go zawołaj”. On się uśmiechnął i poszedł.

Za jakieś dziesięć minut przychodzą obydwaj. „Dzień dobry”. „Dzień dobry” - odpowiadam. Pytam się: „W jakiej pan sprawie do mnie przychodził ?” On powiada: „W bardzo ważnej sprawie, ale pójdziemy do mego szwagra Samluka i tam pogadamy. Na odezwę generała Władysława Sikorskiego z Francji do Narodu Polskiego, żeby wstępowali wszyscy Polacy do tajnych organizacji wojskowych odpowiemy i będziemy walczyć z obydwoma wrogami naszymi aż do zwycięstwa”. No i mówi, są już zorganizowane wsie Kossaki, Krzewo, Rakowo Boginie i Rakowo Czachachy. „W Niewodowie mamy dopiero ośmioro ludzi, później będzie więcej, na pewno Olszyny, Truszki, Zelechy i prawie w każdej wsi naszej gminy Drozdowo są już zorganizowane, a do samego Drozdowa nie mamy wstępu, chociaż są ochotnicy. Ale nie mamy komendanta. Niech pan przyjmie tę funkcję”. Ja odmówiłem i powiedziałem: „Do organizacji wstąpię, ale komendantem być nie chcę. Mam już czterdzieści trzy lata, siedmioro dzieci i żonę w poważnym stanie, w ciąży. Toć to nie tylko poświęcić siebie, ale muszę poświęcić całą swoją rodzinę. Ja kocham swoją Ojczyznę, kochaną Polskę, ale i kocham swoją rodzinę”. Ale czego się nie robi dla Ojczyzny, której wojsko zostało rozbite, chociaż walczyli do ostatka. Tysiące zostało zabitych i rannych, reszta poszła do niewoli, jedni do Niemiec, a drudzy do Rosji.

Samluk był też moim dobrym znajomym, mieszkał obok Mietka Godlewskiego, przywitalim się i zaraz poszlim do oddzielnego pokoiku i zaczęła się rozmowa przy drzwiach zamkniętych.

Malinowski powiada: „Ja jestem tu przysłany przez władze wyższe na komendanta całej gminy Drozdowo. Wszędzie mi poszło dobrze, pomagali mi nauczyciele i znajomi, a w Drozdowie, że tam jest dużo wojska i sztab pułku, nie mogę znaleźć pewnego człowieka na komendanta. Niech pan mi pomoże. Najlepiej by było, żeby pan tę funkcję objął”. Powiedziałem, że muszę nad tym mocno się zastanowić i później dam odpowiedź. Na tym się nasza rozmowa zakończyła.

Za parę dni znowu przyszedł Malinowski z Wiśniewskim Aleksandrem w tej samej sprawie. Odpowiedziałem, że jeszcze się nie namyśliłem, ale tu w Drozdowie jest podchorąży Józef Kędziorek i on powinien tę funkcję objąć. „Jest młody i jeszcze kawaler, zwróćcie się do niego”.

Malinowski mówi, że w tej sprawie chodził do niego Wiśniewski, ale on powiedział, że do organizacji nie wstąpi i tej funkcji nie przyjmie, ale może służyć radą. Więc go Wiśniewski ostrzegł, że za wydanie tej tajemnicy wrogowi grozi mu kara śmierci, żeby o tym wiedział i wrócił z tą wiadomością.

To ja mówię, że jest tu zawodowy plutonowy Pisarski Antoni, to on może się zgodzi. Malinowski mówi, że też przysyłał do niego, ale on odmówił. „Pozostał nam tylko pan, niech się pan najmie do tej pracy dla ratowania Ojczyzny naszej kochanej”. Odpowiedziałem, że za tydzień dam konkretną odpowiedź i na tym się rozstaliśmy.

Za parę dni Malinowski przysłał do mnie mego siostrzanka Godlewskiego Mietka, który mieszka w tej samej wsi Rakowo Boginie. Mietek mówi, że on już należy do Polskiej Organizacji Podziemnej i namawia mnie, żebym też wstąpił i przyjął funkcję komendanta w Drozdowie i żeby się zająć organizowaniem drozdowiaków. Odpowiedziałem, że szkoda mi rodziny i jeszcze się nie namyśliłem. Mietek odjechał, a ja namyśliłem się jechać do Łomży i tam dowiedzieć się, co się w mieście dzieje. „Mam tam bardzo dużo dobrych znajomych. Zajdę naprzód do doktora Rogowskiego Jana, jest on moim współnikiem do browaru w Drozdowie, bardzo porządny człowiek i dobry Polak, porucznik rezerwy i pracuje w szpitalu Św. Ducha w Łomży” i pojechałem.

Doktor Rogowski mieszkał na ulicy Dwornej, było około 11. Zaszedłem do mieszkania, mówię: „Dzień dobry”. Pani Rogowska odpowiedziała: „Dzień dobry”. Pytam, czy jest pan doktor w domu. Mówi: „Nie ma, ale niedługo przyjdzie na obiad”. Poczekałem. Gdy przyszedł pan Rogowski, mówię „Dzień dobry”. Odpowiedział „Dzień dobry”. Doktor

pyta się mnie, co słyhać w Drozdowie. Ja zaczynam mówić o browarze, że Sowietci szykują się już do uruchomienia browaru, już przywieźli słodu i kocioł parowy, któreśmy kupili i przywieźli aż z Częstochowy i obmurowują.

Mówię doktorowi, że przychodzili do mnie temu z miesiąc czasu we dwóch - jeden to był dyrektor, a drugi to też jakiś ważny i pytają się, czy ja mam jakąś część w browarze. Ja mówię, że mam 15%, to ten dyrektor pyta, dlaczego my nie uruchomiamy browaru. Ja mówię, że nie mamy pieniędzy, a on mówi: „To wy wprzód mieliście *dzieńgi*, a teraz nie macie?” Ja mówię: „Jest nas pięciu wspólników. Doktor miał pieniądze w banku, a teraz nie ma nic. Pan Kalisz też pieniądze miał w banku, a teraz nie ma”. „A ty masz *dzieńgi*?” Ja mówię, że ja pożyczałem pieniądze u ludzi na wsi. „No to i teraz pożyczaj!” Ja im mówię, że teraz nikt pieniędzy nie pożyczycy. To dyrektor mówi: „To my wam damy pieniądze, ile będzie potrzeba, tylko bierzcie się do roboty”. Doktor posłuchał i powiada: „Oni nam dadzą pieniądze i wyjdzie coś źle, to od razu powiedzą, że to sabotaż i od razu nas wsadzą do więzienia. Powiedz im pan, niech sami zabierają browar i niech go uruchomiją”. I tak im powiedziałem.

Doktor znowu się pyta, co więcej słyhać w Drozdowie, czy tam się coś robi w organizacji podziemnej. A ja się pytam, czy w Łomży coś się robi. Mówi „Tak. Ja już należę do Polskiej Organizacji Podziemnej”. Wtenczas ja opowiedziałem o sobie i radzę się go, czy przyjąć funkcję tego komendanta w Drozdowie.

Doktor mówi: „Tak, musimy się z naszymi obydwojma wrogami rozprawić i uwolnić nasza kochaną Ojczyznę”. A ja się pytam, czy my damy radę tym dwóm kolosom. A doktor mówi: „Jeśli chodzi o Sowietów, to ich już czterdzieści pięć procent będzie razem z nami, razem oficerów i żołnierzy i wspólnie będziemy rozbijać resztę, to pójdzie łatwo”. A ja mówię: „Ale z Niemcami tak nie pójdzie”. A doktor mówi: „Na Niemców lada dzień uderzy Francja, Anglia, to też ich rozbiją i to w niedługim czasie”.

Nareszcie doktor mówi: „Chodź pan ze mną!” Wyszliśmy i idziemy krótko ulicą, minęliśmy ul. Długą do ul. Nowogrodzkiej i nią podeszliśmy. Jak się zaczyna park na drugiej stronie, na rogu stał dom drewniany, oszalowany deskami i pomalowany brązową farbą. Doktor mówi: „Tu zajdziemy”.

Wchodzimy tam po zapukaniu we drzwi. Za chwilę ktoś się pyta: „Kto tam?” Doktor odezwał się: „Swój, otwieraj!” Zaraz się drzwi otwarły, wchodzimy. Patrę, stoi porucznik rezerwy Kosakowski Henryk, mój dobry znajomy, miał przed wojną z panem Rodem i podporucznikiem inwalidą Dąbrowskim hurtownię tytoniową. Kupowałem u nich papierosy i tytoń. Na krześle siedzi Doda Franciszek, rzeźnik, razem z nim kupowałem świnie dla kupca

z Warszawy, który najpierw dawał nam pieniądze, a na końcu nabrał nas, mnie na półtora tysiąca złotych, a Dodę na trzy tysiące.

Po przywitaniu porucznik Kosakowski wprowadził nas do pokoiku. Tam przykryty na stole stał aparat radiowy czterolampowy. Nastawił go na Londyn i słuchamy dziennika. Tak jak zawsze, dużo nagadali, a mało co robili. Po dzienniku porucznik Kosakowski wygrzebał gdzieś taką kartkę odbitą na powielaczu. Była to odezwa generała Władysława Sikorskiego do Narodu Polskiego, ażeby się cały Naród włączał do tajnych organizacji podziemnych, zdobywał i ukrywał broń i czekał, aż przyjdzie rozkaz powstania.

Pożegnałem się z nimi i przyszedłem do domu. Na drugi dzień przychodzi rano, około ósmej jakiś mężczyzna i daje mi list i mówi: „Od pana Kozłowskiego Bieńka”. Wziąłem ten list do ręki, otwieram, a ten człowiek od razu się ulotnił.

Kozłowski Beniek był właścicielem młyna w Drozdowie i gdy przyszli tu Sowieci, to go wypędzili z tego młyna. Zamieszkał u brata na Zambrowskiej w Łomży i on mnie prosił, żebym znowu przyjechał do niego w bardzo ważnej sprawie. Tego dnia jeszcze nie pojechałem, na drugi dzień jest piątek, dzień targowy. Przychodzę do mieszkania i pytam się, czy jest Kozłowski. Żony jego nie ma, tylko jakaś kobieta powiada, że nie ma go w domu. Ja jej mówię, że wczoraj mnie prosił, to chyba jest, ja nazywam się Pieńkowski, proszę iść do niego i to mu powiedzieć. Wyszła do drugiego pokoju i za parę minut wyszli oboje.

Po przywitaniu się znalazła się na stole butelka samogonu zaprawionego sokiem wiśniowym, no i zagrycha, pierwszorzędna szynka wędzona i chleb. Po wypiciu paru kieliszków zaczęliśmy rozmawiać o tym i o tym, wreszcie on mi po cichu mówi, że organizuje się cała Polska, tak pod Niemcem, jak i pod Moskalami. Organizują się tak zwane trójki, że jeden mógł wiedzieć tylko o dwóch członkach, więcej nic i czekać na dalsze rozkazy.

Kozłowski znał mnie dobrze i powiada: „Ja już należę do tej organizacji, a co ty na to?” A ja mówię: „A co ja gorszy Polak od ciebie? W tych dniach i ja wstąpię do tej organizacji”. Podał mi rękę i na stole znalazła się druga butelka samogonu zaprawionego i świeża zagrycha. Wszedł też jakiś trzeci towarzysz, którego przestawił mi Kozłowski jako swego kuzyna, ale nazwiska nie pamiętam.

Po wypróżnieniu drugiej butelki, Kozłowski wyjmuje notes i pisze na kartce słowa przysięgi, którą należy przyjąć od każdego zwerbowanego członka. Przysięgę wydaje się przy jednym świadku, słowa przysięgi brzmią:

*Przysięgam w obliczu Boga i daję najuroczystsze słowo honoru, że będę wiernie służył idei Niepodległości Ojczyzny i powierzonej mi tajemnicy nie zdradzę nikomu.*

*Przełożonym swoim będę bezwzględnie posłusznym i rozkazy zwierzchnictwa aż do zwycięstwa wykonywać będę. A sprawie Niepodległości Państwa Polskiego poświęcę krew, życie i mienie, tak mi dopomóż Bóg i niewinna męka Syna Jego, amen.*

Gdy powtórzyłem słowa wydanej mi przysięgi, przy kuzynie, który był jako świadek, kartkę schowałem do swego notesu i pożegnałem się i powiedziałem, że niedługo dam znać o swojej pracy. Kuzyn Kozłowski jeszcze pozostał.

Pojechałem na rynek, kupiłem co potrzeba do domu i przyjechałem, nie mówiąc nic ani żonie, ani dzieciom.

Muszę nadmienić, że mieszkał u mnie pan Kowalewski Antoni, był kierownikiem szkoły w Drozdowie, bardzo sympatyczny i uczciwy gość, z którym nieraz już ubolewaliśmy nad upadkiem naszej kochanej Ojczyzny i mówiliśmy, że tak nie może być, jeszcze wszystko da się zrobić.

Tego wieczoru przyszedł pan Kowalewski do mnie i znowu rozmawiamy. I on mi mówi, że słyszał, że Bronowo, bardzo duża wieś, jest już cała zorganizowana i inne wioski tak samo się organizują. Ja odpowiedziałem, że wiem o tym i ja od dziś też jestem w organizacji i będę organizował w Drozdowie ochotników i w Niewodowie do Polskiej Organizacji Podziemnej. Antoni Kowalewski oświadczył mi, że też chce wstąpić do organizacji i chce wstąpić Gembarzewski Bronisław, też nauczyciel. Mówię: „Dobrze, może już w niedzielę przyjmę od was przysięgę u pana w mieszkaniu”. Odpowiedział: „Dobrze, dobranoc”. „Dobranoc” i już byliśmy pokrzepieni trochę na duchu. Poszedł do swego mieszkania, ja potem poszedłem na podwórze, oporządziłem dobytek, posłałem w chlewie i przyszedłem do domu. Zjadłem kolację i położyłem się spać. Ale usnąć nie mogłem, byłem bardzo przejęty tą tak odpowiedzialną pracą. Miałem tu dobrych kolegów i znajomych w ogóle w całym Drozdowie, wiedziałem, co kto wart i z kim można na konto organizacji porozmawiać.

Była to sobota. Niedaleko przed mostem mieszkał Jan Szymanek, a za mostem Antoni Pisarski, zawodowy plutonowy. Pogadałem najprzód z Jankiem Szymankiem na konto organizacji. Od razu powiada: „Ja wstąpię i mój brat Michał”. Ja mówię: „Dobrze, przejdź do Pisarskiego Antka i powiedz mu, żeby on jutro po sumie, jak wyjdą ludzie z kościoła, razem z tobą przyszedł do mieszkania kierownika szkoły pana Kowalewskiego. Tam porozmawiamy i ja zapoznam was z sytuacją, jaka teraz jest”.

Od niego wyszedłem i po drodze spotkałem Karwowskiego Adama, jemu powiedziałem tylko, żeby po nabożeństwie przyszedł do pana Kowalewskiego. I znowu pogadałem z bocznym sąsiadem Bolesławem Bargielskim, ażeby on i brat jego żony Stefan

Kędziołek, który przed Niemcami uciekł z Warszawy do Drozdowa, do swoich rodziców, żeby obydwaj jutro po kościele przyszli do pana Kowalewskiego. Powiedział: „Dobrze, przyjdziemy”.

Nad wieczorem w podwórzu oporządziłem, drzewa urąbałem i poszedłem do domu. Było to w końcu lutego, w niedzielę wstałem rano, trochę ogoliłem się, umyłem, poszedłem do gumna, dałem zjeść kobyłę, krowie i posłałem w chlewach i poszedłem do domu. Buty oczyściłem, wyglansowałem, ubrałem się jak zwykle do kościoła. Po nabożeństwie, jak ludzie wyszli z kościoła, nieznacznie do kilku ksuknąłem ściszym głosem „Do Kowalewskiego!” i sam wracam niby to do domu. Parę metrów z tyłu szedł pan Kowalewski z Gembarzewskim. Weszliśmy do mieszkania pana Kowalewskiego.

Pan Kowalewski wysłał swoją żonę i córkę do mojej żony, żeby tam posiedziały. Za parę minut weszli Kędziołek i Bargielski i jeszcze wszedł sam Karwowski Adam. Prawie wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Ja im powiedziałem, że ja dostałem polecenie z Łomży, ażeby zorganizować w Drozdowie ochotników do Polskiej Organizacji Podziemnej, ludzi pewnych, którzy kochają Ojczyznę i chcą za Nią walczyć aż do zwycięstwa.

„Ja już do tej organizacji należę. Czy wy wszyscy chcecie do tej organizacji należeć?” Odpowiedzieli, że chcą należeć. Wtenczas ja wyjąłem notes i spisałem ich personalia, datę urodzenia, dzień, rok, imię ojca, zawód i stan. Gdy wszystkich spisałem, postawiłem krzyż pasyjkę na stole i wyjąłem kartkę, na której mi B. Kozłowski wypisał słowa przysięgi i mówię: „Proszę wstać, chcę od Was przyjąć przysięgę. Proszę podnieść prawą rękę, ja czytam słowa przysięgi i proszę powtarzać za mną każde słowo.

*Przysięgam w obliczu Boga i daję najuroczystsze słowo honoru, że będę wiernie służył idei Niepodległości i powierzonej mi tajemnicy nie zdradzę nikomu. Przełożonym swoim będę bezwzględnie posłusznym i rozkazy zwierzchnictwa aż do zwycięstwa wykonywać będę. A sprawie Niepodległości Państwa Polskiego poświęcę krew, życie i mienie, tak mi dopomóż Bóg i niewinna Syna Jego męka. Amen.*

Było to dnia 16 października 1939 r. Po zaprzysiężeniu każdy sobie wybrał nowe nazwisko, czyli pseudonim, którym się będzie posługiwał aż do końca. Poza tym powiedziałem, że każdy z was ma zwerbować po jednym członku do organizacji i zaraz go zaprzysięć. Słowa przysięgi każdy sobie przepisał i po jednym zaczęli wychodzić, aż się wszyscy rozeszli. Pani Kowalewska wróciła do swego mieszkania. Mój pseudonim był Pięta. Ja też przyszedłem do mieszkania, bo już zaczęło się ściemniać, a jak kiedy posiedzę dłużej, to moi lokatorzy zaraz się żony pytają: „Kuda Aleks poszł, czto on tak długo dzielajet?” Żona moja zawsze odpowiada, że ja poszedłem na wieś do brata, bo miałem jakiś interes.

Ten Łopucha przeważnie się pytał, on mówi: „*Widno, szto on ma za mnogo interesów*”. Raz do mnie mówi: „*Znajesz, Aleks, ja by radził, szto ty mniej za interesami chodził, a lutszej w pieczke drzewo podkładał, to by było tiebie sutszej. Ja bym na twoim miestie tak działał*”. Zauważyłem, że on mnie podejrzewa, powiedziałem, że tak będę robił. Powiem jeszcze, że choćbym najdłużej gdzieś siedział, to oni się spać nie położyli, tylko jak ja się położyłem, to dopiero i oni rozbierali się do spania.

O istnieniu tajnej organizacji już wiedzieli, tylko wykryć jej nie mogli. Ja jak się w tygodniu zakręciłem i ci, co w niedzielę u pana Kowalewskiego byli, też po jednym członku się postarali. Miałem już razem dwudziestu członków. I ten spis ewidencyjny zaraz zawiozłem do Łomży, do B. Kozłowskiego. On go zaraz oddał swojej żonie i ona z nim gdzieś poszła i około jednej godziny wróciła i powiedziała, że już nadano szyfrem i wszystko w porządku.

Ja zaraz wróciłem do domu, przed wieczorem spotkałem się z Pisarskim. On mnie się pyta, co słyhać. Mówię, że nic nowego. A on się pyta, kto właściwie jest komendantem w tej naszej organizacji. Ja oficjalnie nie powiedziałem, że ja nim jestem. Wiedział tylko o tym pan Kowalewski, ale powiedziałem, żeby nikomu nic nie mówił. Pisarskiemu powiedziałem, że ma być, czy nawet już jest jakiś sierżant z Łomży z 33 pułku piechoty. „A ty będziesz jego zastępcą, zgadzasz się?” Odpowiedział, że się zgadza. „No to dobrze, do widzenia”.

Nadszedł miesiąc marzec, słońko ładnie grzało parę dni, myślę sobie: „Trzeba zobaczyć, czy już wszędzie śnieg zniknął na polu na Niewodowie, może by można już rozsiać nawozy”. Gdy już skręciłem na swoją polną drogę, naprzeciwko Dąbrowskiego Józwy, ktoś krzyknął: „Panie Pieńkowski, niech pan zaczeka!” Oglądam się, a to H. Rogiński, on rodak z Niewodowa, a mieszkał w Łomży, był sierżantem.

Przywitaliśmy się i on wyjmując kartkę z podspodniej kieszeni i mi mówi, że on w Niewodowie zwerbował ośmiu ochotników do organizacji POP i oni będą należeli do mnie. A ja się pytam, czy oni wiedzą o tym, że będą pod moją komendą. On mówi, że wiedzą, ale nie wszyscy. Wziąłem tę kartkę i patrzę, którzy to są i czy z nimi będzie można pracować i powiem im, jakie nasze hasło.

Rogiński pochodził z Niewodowa, a mieszkał w Łomży i bardzo dobrze żyli z B. Kozłowskim i on go do mnie przysłał z tą kartką ochotników z Niewodowa. Każdy członek tej organizacji musiał znać hasło i odzew, więc gdy usłyszał hasło, zaraz musiał powiedzieć odzew. Wtedy mogli sobie mówić różne wieści o naszej organizacji, bo obaj do niej należeli.

A byli to: Zaręba Zygmunt, brat jego Zaręba Stanisław, Antoni Targoński i jego brat Targoński, Gośkłowski, A. Staniorski, Cz. Dąbrowski, B. Dębnicki - razem ośmiu dobrych chłopów i dobrych Polaków. Przez tego Rogińskiego posłałem im nasze hasło, które brzmiało „Przyjacielu, może masz metr olszyny? Jest mi potrzebna, to kupiłbym” i to hasło wymawiało się, gdy chciało się porozmawiać o naszej organizacji.

W pierwszą niedzielę marca 1940 r. po nabożeństwie w kościele przychodzi do mnie M. Godlewski i powiada, że ten spis ochotników, co ja podałem w Łomży Kozłowskiemu, został odesłany do Malinowskiego i więcej żeby się wujek nie kontaktował z Łomżą, tylko z Malinowskim w Rakowie, a on dopiero jako komendant całej gminy Drozdowo będzie sprawozdanie zdawał swojej władzy wyższej w Łomży. W ten sposób nie będzie się stwarzać różnych trudności bieżących.

Od tego dnia w każdej sprawie porozumiewaliśmy się wspólnie z komendantem Malinowskim, co mi było na rękę, bo nie potrzebowałem jeździć czy chodzić do Łomży. Przez Mietka Godlewskiego załatwiałem wszystkie wiadomości i odwrotnie przez niego otrzymywałem wiadomości od komendanta.

Na drugą niedzielę przychodzi Mietek i mówi, że kupili jeden karabin maszynowy ciężki, a na drugi dali zadatek, oba mają być przewiezione z Czerwonego Boru do rzeki, a potem będą przewiezione łódką rzeką Narwią do pierwszego Rakowa Czachy.

No i Mietek mówi, że ja je muszę przyjąć i zachować u siebie w Drozdowie, bo tu one będą użyte, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

Potem mówi mi, że już mają sto granatów ręcznych i cztery karabiny maszynowe lekkie i dużo karabinów ręcznych i naboji do nich. A ponieważ drugi karabin maszynowy ciężki był tylko zadatkowany, więc ja powiedziałem o tym panu Kowalewskiemu i się złożyli i dali Mietkowi kilkadziesiąt rubli na wykupienie tego karabinu maszynowego.

B. Kozłowski z Łomży przysłał mi kartkę, że na ogół idzie w całym powiecie dobrze i że czterdzieści pięć procent sowieckiego wojska i oficerów będzie po naszej stronie, gdy będzie powstanie. Ja zacząłem zbierać dokładne wiadomości, gdzie, w którym budynku i ilu jest zakwaterowanych żołnierzy sowieckich i ile mają karabinów maszynowych. Donosili mi o tym wszystkim Karwowski Adam, murarz, który częściowo reperował im mieszkania i bielił prawie w każdym budynku browarnym, więc mi powiedział, że nad fermentacją, gdzie miał być kantor, był duży pokój z czterema oknami, z których było widać całe podwórze browarne i co na nim się dzieje.

W tym pokoju były dwa długie stoły zbite z desek. Na pierwszym stole od wejścia stał ciężki karabin maszynowy z taśmą z nabojami i lufą skierowaną w kierunku drzwi,



potem na stołach stały cztery karabiny maszynowe lekkie z taśmami z nabojami, każdy był skierowany w okno na podwórze. Potem pomogłem Karwowskiemu nieść glinę, gdzie był kantor, tam on postawił piec do ogrzewania. A tam jak pszczoł w ulu pełno żołnierzy, było ich około stu. W przybudówce do kantoru stały skrzynki z nabojami i z granatami ręcznymi, żadnego tam posterunku nie było, za to na każdej drodze czy dróżce do Drozdowa, gdy się ściemniało, już stały posterunki.

Razu jednego już się trochę ściemniło, szedłem z ulicy Górnej od Ciuchnickiego. Trafiam na posterunek, który stał naprzeciw domu Pisarskich. Rosła tam gruba topola. Tam co noc stał posterunek, bo to było blisko sztabu. Śnieg był do kolan, mróz duży, ten posterunkowy schował się za topolę, gdy byłem od topoli jakieś dwanaście metrów, wyskoczył i krzyknął „Stój!” Ustałem, on krzyczy: „*Łożyś na ziemi!*” Każe mi się kłaść na ziemię w śnieg. Na szczęście umiałem po rosyjsku mówić i mówię do niego, że ja jestem *ławocznik*, to znaczy sklepikarz. A ja jeszcze od czasu do czasu kupowałem wieprze i robiłem kiełbasę. Oni u mnie ją kupowali, do spółki z T. Mariakiem handlowałem.

Więc ja jemu mówię, żeby przyszedł jutro do sklepu, to mu dam kiełbasy. No i chwilę namyślał się i mówi: „*Idź!*”. Przyszedłem do domu, opowiadam żonie o tym, a żona mówi, że kiełbasy już nie ma, tylko zostawiła dla siebie kawałek. Ja mówię, że już ten kawałek to zostawię dla niego. Rano przychodzi do sklepu i mówi: „Nu, dawaj kiełbasu”. Było jej może ćwierć kilo, daję mu, a on mówi, że to mało. Ja mu mówię, że żona sprzedała i więcej nie mam, ale jak będę miał, to mu dodam jeszcze i poszedł.

Jeszcze jeżeli chodzi o informacje, to donosił mi B. Nawrocki. On był stróżem przy bramie i wiedział, co się dzieje w całym browarze. Mówił mi, że kocioł parowy już omurowali na miejscu, gdzie miał stać, mają już słód, pasów przywieźli cały samochód i olszynę do gotowania piwa, nagrzewania kotła parowego, który poruszał wszystkie maszyny i windę.

Powiedział mi to, co już wiedziałem o tych karabinach maszynowych, co stoją na stołach z gotowymi taśmami wycelowanymi w okna i drzwi. Poza tym przyszedł do mnie Jan Szymanek i powiada, że zwerbował Henryka Pisarskiego i dwóch braci Sobieszczyów, Jana i Leon, i przyjął od nich przysięgę i powiedział im hasło i odzew.

Hasło nasze było tej treści: „Przyjacielu, może masz metr olszyny, to sprzedaj, bo jest mi potrzebna”. Odzew: „Mam, mogę ci sprzedać nie jeden metr, ale ile zechcesz”. Po wypowiedzeniu hasła i odzewie było już wiadomo, że obydwaj rozmówcy należą do tej samej organizacji Polskiej Organizacji Podziemnej.

Wtenczas można było prowadzić rozmowę o tej organizacji i udzielać sobie informacji. Ja wszystkie informacje notowałem sobie w głowie i zawiadaniałem o wszystkim przez M. Godlewskiego komendanta Fr. Malinowskiego. Swoją kancelarię miał sztab pułku po panu Lubczańskim, który gdzieś wyjechał z Drozdowa. Zostawił dom, zabudowania gospodarskie, ogród duży i ziemię najlepszą z całego Drozdowa.

Na tym podwórzu było osiem samochodów z karabinami maszynowymi przeciwlotniczymi, razem było około sześciuset kawalerzystów w Drozdowie. Potem, nie wiem, czy przyszli piechotą, czy ich przywieźli, około dwustu piechurów nędznie ubranych i obutych. Kilku miało zamiast kamaszy czy jakichś butów kawały opon sznurkami poprzywiązywane do nóg.

Gdy ludzie się zbiegli i zaczęli się im przyglądać, co to za panowie przyjechali z „raju”, przyszedł jakiś kapitan i kazał rozejść się wszystkim ciekawym, a tych przyszłych żołnierzy zaraz umieścili w browarnych budynkach, żeby ich nie oglądali drozdowiaki.

W kwietniu, chcąc wykryć naszą organizację, pułkownik kazał oficerom zrobić alarm i szykować się wszystkim do udawanej ucieczki. Wszyscy się rzucili do swoich koni, samochody powyjeżdżały na drogę z karabinami maszynowymi, wszystko latało biegiem.

Ja w tym czasie byłem w domu. Wpadł do mnie Dzieżkoński Janek i mówi: „Olek, masz granaty? Sowietci uciekają! Z górnego dworu wyrzucają oknami różne skrzynki, dwa motocykle wyprowadzili na drogę i lada chwila będą uciekać. To my byśmy ich przyspieszyli do ucieczki, żeby oni nie zdążyli wszystkiego zabrać z magazynów”.

Ja mówię: „Janek, idź do domu i ani się waż cokolwiek robić, bo to jest udawana ucieczka, a żeby w ten sposób wykryć tajną organizację”. On pokręcił głową i mówi: „Może być” i poszedł. Kawaleria powyjeżdżała galopem ze wsi i za godzinę wszystko wróciło na swoje miejsce.

Za parę dni szedłem do kowala Jaroty poklepać siekierę, bo była gruba w ostrzu. Idę z powrotem i spotykam Janka Szymanka. On do mnie mówi, że tu jest w tej kawalerii kowal Rosjanin. To on do niego mówił, że jego ojciec miał ziemi czterdzieści dziesięcin, to mu zabrali do kołchozu tę ziemię, a jemu kazali przychodzić do roboty w tym kołchozie. On nie chciał iść do tej roboty, to go zabrali i nie wiadomo, co się z nim stało. I ten kowal mówił do Szymanka, że on wie, że tu jest *podpólna* organizacja i że on by chciał do niej należeć i pomścić się za swojego ojca. I mówił, że gdyby nadszedł czas powstania, to on od razu poprzecinałby telefony, które dochodzą do sztabu i pułkownik nie mógłby nigdzie żadnych rozkazów wyda. Zrobiłby się od razu popłoch i bałagan, w czasie którego można by rozbijać Sowietów.

No i nagadał mu, że tu jest dużo takich żołnierzy jak on, pokrzywdzonych przez rządy Sowietów i oni by też chcieli należeć do naszej organizacji i przynieśliby parę skrzynek granatów ręcznych. Ja na to: „Janek, ani się waż jemu mówić cokolwiek o organizacji! Owszem, rozmawiaj z nim jak najlepiej, grzecznie, ale nie mów mu o organizacji. Gdyby on wiedział i powiedział jeszcze drugiemu, to mogłoby się wydać i bylibyśmy zgubieni wszyscy i ogromną krzywdę wyrządzilibyśmy naszej kochanej Ojczyźnie i naszym rodzinom. Trzeba czekać, aż nadejdzie czas i rozkaz z góry! Pamiętaj o tym, co ci dziś powiedziałem!” Powiedział: „Dobrze i o organizacji ani piknę do niego”.

W połowie maja sołtys kazał mi furmanką jechać do pniewskiej olszyny i przywieźć jeden metr drzewa do browaru, do gotowania piwa. Codziennie jeździły ze wsi furmanki szarkowe po tę olszynę, bo już browar był czynny i codziennie gotowali piwo.

Pojechałem rano, miałem kwit od sołtysa na jeden metr drzewa olchowego, leśnik kwit przyjął i wydał mi to drzewo, które przywiozłem na plac browarny. Drzewa tego już było na placu chyba więcej jak sto metrów. Przyjmował je mój dobry kolega z Piątnicy Wt. Ch., razem nieraz popijaliśmy, przyjeżdżał do mnie do Drozdowa prawie na każdy odpust, bo przed wojną miałem w swoim sklepie wódkę, piwo, wino i różne zakąski dobre, jednym słowem - było co wypić i zakąsić.

Żyłem z nim ładnie parę la, jak brat z bratem. Ja drzewo zdejmuję z wozu i układam, on z zeszytem takim grubym zapisał to drzewo i pyta się mnie: „Olek, co słychać w Drozdowie? Jak tam ci idzie robota?” Ja, wierząc jak bratu, myślałem, że on mnie się pyta o organizację, nie powiedziałem mu hasła, tylko mówię: „Drozdowo jest w porządku zorganizowane”. Gdy mu to powiedziałem, wyszedł dyrektor browaru i idzie wprost na nas. Na szczęście, że już nic więcej nie mówiłem do niego. Wsiadłem na wóz i pojechałem do domu.

W niedzielę przyszedł do mnie M. Godlewski. Opowiedziałem mu o tym, co mi mówił J. Szymanek i o tym żołnierzu, sowieckim kowalu i co ja potem poleciłem Szymankowi. Godlewski poszedł i powiedział, że powie o tym komendantowi Malinowskiemu.

Nad wieczorem sołtys nakazuje mi furmankę wziąć do lasu. Będzie tam więcej furmanek i każdy ma zawieźć kłocę z lasu na stację kolejową do Łomży. Trudno, nie powiesz, że nie pojedę. Przygotowałem się do tego lasu, przy łóżku postawiłem takie codzienne buty, mundurek pod szyją zapinany i spodnie codzienne z naszytymi brezentowymi lejami na tyłku, to był ubiór tylko do lasu.

Położyłem się wcześniej, żeby rano wstać i jechać do tego lasu, ale usnąć jakoś nie mogę, wcale mnie sen nie bierze, przedstawiają mi się jakieś obce strony, jakieś nieznanome wysokie góry, czego nigdy przed tym nie było.

Ale jak zwykle drzwi skrzypnęły w kuchni i słyszę rozmowę, ale krótko. Potem otwierają się drzwi do naszej sypialni, przez którą przechodzą łącznicy prawie co noc do pokoju, w którym kwaterują oficerowie.

Ja oczy przymrużyłem, tak jakbym spał, ale niezupełnie, chcę widzieć, kto będzie przechodził. Patrzą - idzie adiutant pułku Łagutkin, otworzył drzwi do oficerów, za sobą zamknął. Jak tam im coś powie, jak tam się wszyscy zerwali z łóżek! Była chwila ciszy, widać się ubierali, potem zaczęli rozmawiać. Ja chciałem usłyszeć, o czym oni rozmawiają, ale była to rozmowa ściszona i nic nie słyszałem.

Godzina mogła być 22 w nocy. Około jednej godziny rozmawiali, nareszcie otwierają się drzwi, podchodzi adiutant do mego łóżka, bierze mnie za ramię i mówi: „*Chaziaj, wstawaj!*” Ja się podniosłem, oczy przecieram i pytam się: „*Cziewo choczecie od mienia?*” Myślę, że może chcą wina, bo ja tym swoim oficerom przynosiłem je z Łomży nieraz. Ale on ostrzej do mnie mówi: „*Wstawaj skorej i ubierajsia!*” Wstałem, ubieram się w te codzienne ubranie jak do lasu, gdy tam jadę. On mówi: „*Pojdziom w sztabu?*” Ja się pytam, po co, on mówi: „*Tam pogawarym i potom wiernioszisia damoj*”.

Moja żona jeszcze nie spała, w końcu kwietnia urodziła syna, źle się czuła, dzieci starsze wszystkie spały. Obejrzałem się na oficerów, którzy mnie kwaterowali, dwóch stało przy drzwiach, jeden oparł się o futrynę plecami, drugi o drugą futrynę oparł się plecami. Ten Łowianin spuścił głowę, patrzył na dół, Łopucha miał prawą rękę z tyłu na prawym boku, jakby trzymał rewolwer, trzeci stał z tyłu, a tu Łagutin krzyczy: „*Idziom, skorej, niedolgo wiernioszisia damoj.*”

Wychodzimy do kuchni, a tu stoi *zwodny*, po polsku plutonowy i trzyma rewolwer skierowany we mnie. Wychodzimy do sieni i po dwóch schodach mamy zejść do piwnicy. W tej chwili patrzą, Łagutkin też otwiera kaburę i rękę kładzie na rękojeści rewolweru, ale go nie wyjął. Ja do niego mówię: „Nie bójcie się, ja wam uciekać nie będę”. A on powiedział: „*Idziom, idziom*”.

Podchodzimy przed duży budynek po Lutosławskich. Była przy nim dość długa przybudówka, drzwi były na wprost i do nich dwa schody kamienne. Zatrzymaliśmy się przed schodami o jakieś trzy metry.

Łagutkin podszedł do drzwi i puknął w nie trzy razy rewolwerem. Drzwi się otwały i z nich wyskoczyło dwóch *bojcow* z karabinami. Na karabinach były nasadzone bagnety. I od

razu obskoczyli mnie, jeden z jednej strony jakieś półtora metra, a drugi z drugiej strony w tej samej odległości i trzymają te karabiny z bagnetami jak do ataku na mnie. Oczy powytrzeszczali jak wilki na owce. Gdybym się tylko ruszył, to bym miał dwa bagnety w brzuchu. A plutonowy stał z tyłu mnie, z rewolwerem w ręku.

Łagutkin po wyskoczeniu bojców zaraz poszedł do sztabu, nie było go może z godzinę. Gdy przyszedł, powiedział: „*Pajdziom!*” i od razu poszlim drogą w kierunku browaru. Tam stała stajnia, a za nią był równy plac, na tym placu stał samochód ciężarowy. Po drodze pytał się mnie Łagutkin, czy może tu jest drugi Aleksander Pieńkowski. Mówię, że nie ma. To on się pyta: „*Ty imiejesz wintowku?*” Mówię, że nie mam. To on: „*A może ty imiejesz kulomiotczyk?*” Ja mówię: „*To idźcie i szukajcie!*” Kazali wleźć na samochód, wlażłem i usiadłem na boku. Wtedy jeden bojec wrzaśnie: „*Na środku siadaj i ręce na kolana łóżyj!*”.

Gdy już usiadłem na środku samochodu, Łagutkin z plutonowym zaraz poszli z powrotem w kierunku sztabu. Był to miesiąc maj, ale poranek taki był zimny, że drżałem. Ludzie gnali krowy na pastwiska, patrzyli na mnie, jedni kiwali głowami, inni bali się kiwnąć, bali się, żeby razem i ich nie zabrali.

Było już około siódmej rano. Zaczęli się schodzić robotnicy browarni, przed bramą wszyscy się patrzą w moją stronę. Pracowali w browarze, który był nieczynny dwa lata i Żydzi do spółki z kilkoma Polakami, chcieli go kupić na rozbiórkę od banku w Warszawie, który przejął browar za długi od dwóch właścicieli Lutosławskich. Ja nie chciałem dopuścić do zniszczenia tego browaru, z którego piwo na całym świecie było znane z dobroci i smaku, osiemnaście złotych medali na wystawach światowych otrzymali właściciele za dobroć piwa. Było w nim produkowane marcowe, kuracyjne, złote, simpleks, porter, jasne i ciemne, siedem gatunków razem.

Piwowarem był Gronowski z Poznania, a potem Zeman z Czech, a na końcu przed bankructwem był piwowarem Soszyński. Bank w Warszawie ogłosił, że chce sprzedać browar w Drozdowie na uruchomienie za cenę 85.000 złotych, a jak na rozbiórkę - 120.000 złotych. Żydzi chcieli go zniszczyć, żeby nie mieć konkurencji. Chcieli dać tę sumę 120.000 złotych i dawali mnie 5.000 złotych, żebym ja tu na miejscu dopilnował tej rozbiórki całego browaru.

Gdy mnie to zaproponował jeden z Polaków w Łomży, to aż mi się w głowie zakręciło i jakby mnie kto nożem pchnął, tak mnie serce zabołało. Powiedziałem mu, że się namyślę i zacząłem szukać kupców. Zgadałem się o tym z właścicielem apteki panem Kaliszem i potem obaj namówiliśmy doktora J. Rogowskiego. Zgłosił się do nas piwowar pan Soszyński i kupiliśmy. Ja tylko piętnaście procent całości nabyłem, bo i więcej nie miałem

pieniędzy, a rozchodziło mi się nie o zysk, tylko o niedopuszczenie do zniszczenia browaru i danie ludziom pracy. Pół roku szukałem kupców, ale dopiąłem swego.

Toteż gdy stali przed bramą browarną, wszyscy zwróceni byli twarzami w moją stronę. Gdym siedział na samochodzie i gdy dzwonek zadzwonił, brama się otworzyła, prawie wszyscy kiwnęli mi rękoma i na pewno żalowali mnie, bo ja im dałem tę pracę.

Siedzę na tym samochodzie i drzę z zimna, goni krowy Dybicz. A on nieraz robił u mnie, więc krzyknąłem do niego: „Dybicz, zasiejcie mi grykę na Niewodowie!” Powiedział: „Dobrze”. Jak wtedy bojec krzyknie na mnie, że nie wolno mi z nikim rozmawiać. Potem patrzę, jedzie samochód ciężarowy, z mojej strony mijają mnie. Patrzę, na tym samochodzie siedzi mój komendant Malinowski z Rakowa i razem sołtys Nowacki i dwóch *bojców* z tyłu z bagnetami na karabinach, machnęli tylko ręką w moją stronę i pojechali w stronę Łomży,

Nareszcie idą lejtnant Łagutkin i ten plutonowy i Zbyszek z nimi, mój najstarszy syn, zapłakany. Przyniósł mi nowe buty, chleba i wędzonego boczku z półtora kilo i kawałek słoniny. Ja czym prędzej zdjąłem stare buty i obułem nowe z długimi cholewami, ucałowałem swego kochanego syna, nie mogąc z żalu ani słowa do niego przemówić, tylko łzy mi się z oczu posypały, bez słowa żadnej pociechy dla swojej kochanej rodziny. Lepiej by było, żeby zamiast butów przyniósł mi jakiś sukmanek, bo byłem strasznie zmarznięty. Gdy Zbyszek przyszedł, torbę *bojec* wziął od niego i zrewidował, co tam jest i dopiero podał mi, tak i buty zrewidował.

Wreszcie motor samochodu zadudnił i wyjechalim na drogę w kierunku Łomży. Jedziemy przez drozdowski lasek. Będąc jeszcze młodym chłopakiem, dużo w nim przyjemnych chwil spędziłem, prawie co niedziela tam byłem. Na samym szczycie stała tu altana, tu w niej młodzież się bawiła, tańczyła i śpiewała, byłem i ja razem z nimi. Stanęły mi znowu w pamięci ludzie stojący przy browarnej bramie i moja cała rodzina. Czy oni sobie dadzą radę beze mnie, czyja ich jeszcze kiedy zobaczę?

Żona była dwa tygodnie po urodzeniu czwartego syna. Trzeciego dnia od porodu musowo było zgłosić się do *sielsowietu*. My chcieliśmy dać dziecku dwa imiona: Sebastian i Henryk, Waniewiak z Drozdowa był sekretarzem. Przychodzę, mówię „Dzień dobry”. Nie odpowiedział, coś tam pisał. Mówię mu: „Urodził mi się syn”. On pyta się: „Jakie będzie miał imię?” Mówię: „Sebastian Henryk”. On powiada: „U nas nie ma Sebastian Henryk, tylko albo Henry, albo Sebastian” i to tak hardo. Myślę sobie, niech będzie Sebastian, bo tak się mojej żonie przedstawiło jeszcze przed porodem. Spisał taki akt i przyszedłem do żony i mówię, że tylko jedno imię zapisał, bo to już tak jest w Rosji.

Tak rozmyślając, dojechalim do Łomży na ulicę Drożną. Wjechalim przez bramę przy wysokim budynku naprzeciw sądu wojskowego, po przeciwnej stronie. W tym budynku, cośmy zajechali w podwórz, mieścił się sztab NKWD. Gdy tylko się samochód zatrzymał, już zlął *bojec* i kapitan ze sztabu Łagutkin wyskoczył z kabiny. Przywitali się i każe mi zsiadać z samochodu. Tylko zszedłem, on i kapitan poszli wprzód, a ja idę za nimi. Obraca się ten kapitan łomżyński do *bojca* i mówi: „*Kopaj skatine nogami, eto praklatyj bandyt, kopaj nogami!*” Ten *bojec* podskoczył do mnie blisko i chciał mnie kopnąć nogą, ale ja odskoczyłem. Potem drugi raz chciał kopnąć, ja znowu odskoczyłem i trzeci raz to samo, nie dałem się kopnąć. Weszlim do budynku i po schodach weszlim na górę. Przechodzimy przez dużą salę, patrzę, a tu leży kapucyn na posadzce na brzuchu, ręce ma pod swoją twarzą, obrócony w kąt głową. Naprzeciw leży drugi kapucyn w ten sam sposób twarzą w kąt obrócony, a w trzecim kącie stał człowiek obrócony w kąt twarzą.

Mnie poprowadzili dalej do mniejszego pokoju, tam stał stół i taborek, za tym stołem siedziało dwóch oficerów - kapitan i porucznik. Jeden wskazał palcem na taborek i mówi: „Siadaj i *ruki* na kolana położyć”. Łagutkin wyjął jakieś papiery ze swojej teczki i podał je kapitanowi, który siedział za stołem, ten przyjął, odwitali się i poszli.

Porucznik przysunął papiery, które zostawił mu Łagutkin i zaczął je przeglądać. Gdy je przejrzał, odsunął je i wyjął z szuflady czysty arkusz papieru i pyta się mnie, jak ja się nazywam. Mówię, że Pieńkowski Aleksander. A imię ojca? Mateusz. Rok urodzenia? Mówię – 1897. Gdzie się urodził? W Drozdowie, rejon Łomża, *oblast'* białostocka. Potem się pyta, czy ja mam braci. Odpowiedziałem: „Mam jednego”. Jakie imię? Odpowiedziałem, że nazywa się Emil. A gdzie mieszka? Mówię, że w Drozdowie. A ile siostr masz? Mówię, że dwie. A gdzie one mieszkają? Odpowiedziałem, że jedna mieszka w Krzewie, to Władysława. A on: „*Za kim jest, kak go zwać?*” Odpowiedziałem, że Wykowski Bronisław. A druga siostra? Odpowiedziałem, że nazywa się Józefa i mieszka w Drozdowie, a mąż jej nazywa się Zabielski Józef.

Potem pyta się: „Których ty masz w Drozdowie najlepszych kolegów?” Ja jemu mówię, że ja mam bardzo dużo kolegów dobrych. To on mówi: „Podaj pięciu takich najlepszych”. Zaraz pomyślałem, że będą ich ciągać. I podaję takich, co wiem, że ich ciągać nie będą. Pierwszy Sielawa Zygmunt, drugi Sielawa Jerzy, trzeci S. Waniewski - sekretarz *selsowietu*, czwarty jego brat Stanisław Waniewski, piąty Cz. Święckowski. A on wszystkich zapisywał i mówię, że to najlepsi moje *druzja*. On wykręcił ten papier, co na nim pisał i mówi: „*Podpisz!*” Podał mi pióro do ręki i ja podpisałem, on odłożył go na bok i sam podpisał.

Potem wziął arkusz papieru już zapisany i powiada: „To jest protokół rewizji w twoim domu i w całym *chaziajstwie*”. Niczego tam nie znaleźli, tylko zabrali książeczkę wojskową i miniaturkę brązowego krzyża zasługi, którą otrzymałem za zorganizowanie Ochotniczej Straży Pożarnej i za pracę społeczną w Drozdowie i powiada, że przy rewizji było dwóch świadków i daje mi do podpisania ten protokół. Podał obsadkę i odkręcił papier do mnie. Patrząc, a tu jest podpis mojej kochanej żony i dwóch świadków: Zabielski Józef, mój szwagier i Jagodziński Ja, mój bliski sąsiad.

Potem już na trzecim papierze musiałem podpisać *order* aresztowania, podpisałem. Schował wszystkie papiery i wyszedł ten porucznik, co pisał i z nim wyszedł kapitan, który tylko siedział i obserwował mnie cały czas. Drzwi za sobą nie zamknęli, bo zaraz wszedł *bojec* z krótkim karabinem i stał przy drzwiach i przyglądał mi się.

Za jakieś dwadzieścia minut wszedł starszy lejtnant i powiedział; „*Poszli!*” i sam poszedł naprzód przez ten pokój, co leżeli kapucyni i jeden mężczyzna, ale już ich nie było. Po schodach wyszliśmy na podwórko, a tam stała już taksówka i kazał mi do niej wsiadać. Wsiadłem, obok szofera kapitan i *bojec* z tyłu. Gdy wsiedli, kapitan powiedział: „*Krasnyj dom*”. Od razu skapowałem, że to więzienie. Pierwszy wyskoczył *bojec* z karabinem w rękę gotowym do strzału, że gdybym chciał uciekać, to zaraz by strzelał, potem wyszedł kapitan. Zaraz zastukał w bramę i klucz zgrzytnął. Brama otworzyła się, podszedł jakiś enkawudzista. Kapitan oddał mu protokół aresztowania, a sam poszedł do taksówki i odjechał. A tam była jeszcze jedna brama przy biurze, w tak zwanym czerwoniaku. Tam był cały urząd więzienny.

Enkawudzista stuknął w tę bramę, która zaraz otworzyła się i wprowadził mnie do czerwoniaka. Stamtąd skierowali mnie do takiej poczekalni. *Bojec* z karabinem zaraz odszedł, a przyszedł jakiś drugi enkawudzista i każe mi zdejmować buty i wszystkie ubranie z siebie. Staję goły jak święty turecki i patrząc na nich, jak oni. Jeden złapał spodnie, a drugi mundurek i rewidują, nie tylko po kieszeniach, ale każdy szew. Miałem haftki mundurka pod szyją, zaraz je scyzorykiem wypruli. Po zrewidowaniu ubrania, bielizny, oglądali buty na wszystkie strony. Postawili buty, podchodzą do mnie, każą otworzyć usta. Otworzyłem. Każą wypiąć tyłek, wypiąłem, przyglądają się, to jeden, to potem drugi zagląda. Nareszcie u nóg pomiędzy palcami, czy czego nie ma. Skarpety były takie grubsze, to je najprzód szczypali, a potem jeszcze odwracali. No i nic nie znaleźli. Ale jeszcze miałem boczek wędzony i chleb w torbie, wyjęli, obejrzel i torbę też i zdjęli papier z boczku, a boczek i chleb oddali. Wreszcie kazali mi się ubrać *skarej*, to znaczy prędzej, ubrałem się, wyprowadzili mnie na podwórze.



Przy wysokim murowanym ogrodzeniu stała jakaś przybudówka. Otwierają drzwi, popchnęli mnie do niej, zamknęli i poszli. Była to jakaś szopa czy może garaż samochodowy, posadzka była w nim cementowa, mokra. Żadnych gratów w nim nie było. Zaczynam chodzić, ale za jakieś pół godziny słyszę gwar, krzyki enkawudzistów, ruganie: „Wy sukinsyny, *bradziagi*, *idzicie skarej!*” i zbliżają się do tej szopy, w której ja siedzę sam. Już dochodzą i słyszę komendę: „*Stoj w dwoich, stawaj skarej!*”

Za chwilę klucz zgrzytnął we drzwiach i drzwi się otwały i zaczęli wchodzić do środka ludzie obdarci, głodni, widać było straszne przygnębienie na nich. Przywieźli ich z Grajewa z więzienia, mężczyzn było czterdziestu dwóch i trzy kobiety. Ja poczułem głód, wyjąłem chleb i boczek, ale nie mam noża. Chleba to sobie ułamałem, a boczek zaczynam zębami gryźć, po małym kawałeczku. Jak to zobaczyli, jak rzucą się do mnie, ręce wyciągają i proszą: „Daj, bracie, choć skosztować kawałek, bo już smaku zapomniałem. Niech sobie przypomnę, bo jeszcze dzisiaj nic jeść nie dali”.

Któryś miał scyzoryk, podał mi i ukroiłem temu pierwszemu i temu, co mi dał scyzoryk, dałem kawałek. Ale potem obstąpili mnie dokoła i każdy prosi. Ja dzielę po kawałku i tak rozdzieliłem dwie trzecie, a tu wciąż cisną się i proszą: „Jeszcze mnie, jeszcze mnie!” I byłbym wszystko rozdał i mało by było, ale Żyd już stary, mógł mieć lat około pięćdziesięciu lat, krawiec z zawodu, przysunął się do mnie i mówi: „Schowaj pan resztę, bo i tak wszystkich nie obdzielisz, a za chwilę i sam nic już nie będziesz miał i na drugi dzień będziesz pan głodny jak i oni”. Ukroiłem sobie jeszcze kawałek, resztę schowałem, pozostało mi może jedna czwarta. Ledwie zjadłem, zgrzytnął klucz w zamku, drzwi się otwały i wszedł *bojec* przy rewolwerze, a z nim dwóch więziennych fryzjerów. Zaczęli wszystkich po kolei strzyć maszynkami, głowy na kolano. Maszynki były tępe, toteż aż się zęby z bólu zaciskało, bo może jedną piątą włosów to jak nie uciął, to wprost je wyrwał.

Po ostrzyżeniu wszystkich ustawili nas dwójkami i poprowadzili do łaźni. Po wymyciu poprowadzili nas na szczepionki. Każdy dostał zastrzyk przeciw tyfusowi. Po zaszczepieniu dwóch zemdłało, byli strasznie osłabieni. Później przyprowadzili nas z powrotem do tej samej poczekalni. Jak już wszyscy weszli, zaczęli krzyżeć: „Dajcie nam jeść, my jesteśmy głodni!” Godzina mogła być około trzeciej po południu. Za jakąś godzinę przynieśli kocioł rzadkiej kaszy owsianej i ze dwadzieścia misek i każdy dostał pół litra tej kasianej zupy.

Gdy już wszyscy podjedli, przyszli we dwóch, jeden z listą w rękę i *bojec*. Ten z listą zaczął wyczytywać po dwóch i po trzech i zaraz ich odprowadzali do więzienia, do cel. Gdy

już wszystkich wyprowadzili, ja zostałem sam. Po paru minutach *bojec* drzwi otworzył i mnie do czerwoniaka zaprowadził, w którym mieścił się cały zarząd więzienny.

Wszedłem na korytarz, gdzie nigdy jeszcze nie byłem. Był dość czysty, ładne schody metalowe. Gdy już byłem przy schodach, to *bojec* kluczem uderzył trzy razy w poręcz, a mnie za rękę przytrzymał. Tym uderzeniem klucza dawał znać na wyższe piętra, żeby czasami w tej samej chwili drugi *bojec* nie prowadził z wyższego piętra aresztowanego na parter do śledztwa, tak żeby aresztowany nie mógł mnie zobaczyć i ja jego. Zawsze tak było. I gdy tamten z góry odpukał trzy razy kluczem w poręcz, wtenczas kazał ręce wziąć do tyłu, założyć jedną na drugą i tak iść po schodach na górę.

Przeszliśmy pierwsze piętro, idziemy na drugie, na drugim skręciliśmy w lewo i zatrzymaliśmy się przy ostatnich drzwiach od strony Łomżycy. *Bojec* kluczem otworzył drzwi i ja tam wszedłem popchnięty przez *bojca*, potem znów drzwi zamknął na klucz.

W tej samej chwili jakiś człowiek zerwał się z łóżka w matrowskim ubraniu, spojrzałem na niego, a on na mnie patrzy. Nie znałem ja jego i on mnie nie znał. Wyciągnąłem rękę do niego i przedstawiłem się jemu. „Pieńkowski jestem, z Drozdowa”. Złapał mnie za rękę i uściśnął i mówi: „Wyszyński jestem z Piątnicy - i mówi - dziś tydzień jak mnie aresztowali. Sam jeden tu siedzę, myślałem, że zwariuję, ale teraz już będzie mi lżej we dwóch siedzieć”. Gdyśmy zamieniliśmy tych kilka słów, spojrzałem na drzwi, a tam na każdych drzwiach była klapka odsuwana na bok, a w tej klapce małe okrągłe szkiełko, tak że *bojec* przez nie mógł obserwować i podsłuchać, co się dzieje w celi i o czym rozmawiają aresztowani.

Gdy spojrzałem na drzwi, widzę jedno oko w tym małym szkiełku, ktoś nas obserwował. Przestaliśmy rozmawiać. Ja przyglądałem się mojemu nowemu mieszkaniu. Cella była pięć metrów długa, a szeroka na dwa metry, jedno łóżko żelazne, półmetrowej szerokości i kibel do załatwiania się. A śmierdział jak cholera!

Do ustępu prowadzili tylko raz na cały dzień, rano żeby się umyć i załatwić na dwadzieścia cztery godziny. Usiadłem obok Wyszyńskiego, bo łóżko było tylko jedno, zaczęliśmy rozmawiać. Znowu się pokazało oko w okienku, przestaliśmy rozmawiać. Wyjąłem z woreczka resztę chleba i miałem ukrojone dwa plasterki boczku. Dałem taki sam kawałek chleba swojemu towarzyszowi, jak i sobie, i po plasterku boczku. Zjedliśmy z apetytem. Słuchamy pod drzwiami ściszonej rozmowy, potem oko w klapce i tak cały dzień nas podsłuchiwali i obserwowali.

Przed wieczorem już się zaczęło ściemniać, drzwi kluczem otwarli i *bojec* z kucharzem przynieśli kocioł zupy z kaszą owsianą. Ja jeszcze nie miałem swojej łyżki i miski,

to wlał do miski towarzysza półtorej chochli, bo całe dwie nie weszły i powiedział, że to na dwóch. Drzwi zamknął na klucz i poszli do innej celi. Wyszyński zjadł połowę, a ja resztę zjadłem, taki kleik owsiany z czystym postem, jak dieta dla chorego.

Po kolacji pytam się: „Za co pana aresztowali?” Ale tak ściszym głosem, żeby za drzwiami nie mógł nikt mnie usłyszeć. On mówi, że należał do POP, a wydał go S.W. i on się przyznał do tego, bo mu udowodnili jego pseudonim i kto jego werbował, i kto mu przysięgę wydawał. Z nim razem w Piątnicy aresztowali coś z sześć osób, w tym nauczyciela Krawczyka.

Ja jemu mówię, że mnie też aresztowali, jakobym ja należał do organizacji, ale zupełnie nic o organizacji nie słyszałem i nic nie wiem. Wtem lekko ktoś puknął w ścianę w bocznej celi. Nadstawiłem uszy, słuchamy, a przez wentylator ktoś mówi: „Halo, czy jest ktoś z Łomży?” Wyszyński przysunął się do wentylatora i najprzód się pyta, kto to mówi i skąd jest. On mówi, że jest z Łomży z 33 pułku pp. Nazywa się Bobrów, zawodowy plutonowy. Wyszyński nic nie odpowiedział i odszedł od wentylatora i mówi do mnie, że on jakoby w Łomży wydał kilku z organizacji i że jego tak z celi do celi przerzucają i rzekomo on jest na usługach NKWD jako ich szpieg. Co usłyszy, to im donosi, lepiej z nim nie rozmawiać. Jeszcze pukał trzy razy, ale my się wcale nie odezwaliśmy.

Na drugi dzień przed godziną ósmą przynieśli nam chleb i dwa kawałki cukru, a za jakąś godzinę przynieśli herbatę. Ja do nich mówię, żeby mi przynieśli miskę i łyżkę, bo ja nie mam w co wziąć herbaty, a on mówi, że miski i łyżki *niet*, a jak będzie to damy, a teraz to z jednej jedźcie i poszli. My herbatę wypilim, usta ocieramy, a tu klapka na bok się odsuwa i *bojec* mówi: „*Na bukww W!*”, to znaczy na literę W.

Mój towarzysz wstaje i mówi „Wyszyński”. „A imię?” Odpowiedział. „A po ojcu?” Imię ojca powiedział. „Rok urodzenia?” Odpowiedział. „Zbieraj się *skorej!*”, czyli prędko. On złapał marynarkę i czym prędzej się ubiera, a klucz już zgrzytnął, drzwi otwarły się, *bojec* mówi: „Wychodzi!” Prędko wyszedł, drzwi się zamknęły na klucz. Poszli, słychać było, jak schodzą po schodach na dół. Ja znowu zostałem sam, zacząłem rozmyślać nad swoją rodziną.

Gdy pisali protokoł, opisali wszystkich, żonę, dzieci, braci, siostry, gdzie wszyscy mieszkają i teraz przedstawiają mi się oni przed oczyma. Była u nich rewizja, a może i ich aresztują, a może wywiozą ich do Rosji?

Straszny żal mnie ogarnął, serce moje czuło, że oni nie będą spokojni. Westchnąłem całą pierś do Boga. „Boże mój, Boże, ratuj ich, nie daj im marnie zginąć! Co ze mną się stanie, to trudno, ja musiałem tak zrobić, ja musiałem swój obowiązek względem Ojczyzny spełnić, ja chciałem swoją kochaną Ojczyznę ratować jak inni. O sobie nie myślałem, że może

przyjdzie mi nawet zginąć, trudno, poświęciłem siebie i całą kochaną swoją rodzinę, za Wolną, Kochaną Ojczyznę” .

Siedziałem sam zamyślony, żal mnie ogarnął mojej kochanej rodziny. Najmłodszy mój synek miał dopiero trzy tygodnie. Czy moja żona da radę sobie z ośmiorgiem dzieci, będąc sama jeszcze chora po połogu? Ale mam nadzieję, że im tam ktoś pomoże. Przecież tam zostało dwóch braci moich i dwie siostry, a i państwo Kowalewscy, też uczciwi i porządni ludzie, którzy u mnie mieszkają, a i inni też im pomogą.

Trochę się uspokoiłem o nich i zacząłem myśleć o sobie. Wiedziałem już z góry, że będą mnie męczyć i będą bić, żebym wydał, kto mnie zwerbował, kto mnie przysięgę wydawał i kogo ja zwerbowałem do Polskiej Organizacji Podziemnej i kto mi dał polecenie na to. Ale postanowiłem, że sam się nie przyznam i nikogo nie wydam. Bo jakby to wyglądało? Być komendantem, zwerbować, a potem ich wszystkich wydać i powsadzać do więzienia? Co oni by o mnie powiedzieli? A ich rodziny naraziłbym na tak straszne nieszczęście. Nie, tego nie zrobię, niech mnie nawet zabiją, niech to się wszystko skończy na mnie i na mojej rodzinie.

A może Bóg Wszechmocny da, że ja jeszcze kiedyś wrócę do kochanego Drozdowa i zastanę swoją rodzinę i wszystkich moich znajomych i tych, których zwerbowałem. Nie zawstydzę się i śmiało będę mógł im spojrzeć w oczy i nikt mi nic nie zarzuci. I tak sam sobie przyrzekłem.

Około godziny dwunastej *bojec* przyprowadził Wyszyńskiego. Widać było na jego twarzy przygnębienie i zmęczenie, chociaż mówił, że go nie bili, bo się przyznał. Opowiedział mi, co jemu zarzucali i o innych się wypytywali i o czym my obydwoj rozmawiali. Ja to pilnie wysłuchałem i zaczynam się w myślach przygotowywać do odpierania zadawanych mi oskarżeń przy śledztwie, gdy mnie zawołają.

Po obiedzie bardzo rzadkim, bo w zupie były tylko jakieś dwa małe kartofelki, Wyszyńskiego znowu wywołali na śledztwo i wrócił dopiero w nocy, około godziny dwunastej. Ja już spałem, on zjadł swoją kolację, a była to kasza owsiana i kładzie się do mnie, do łóżka spać na czterdziestopięciocentymetrowej szerokości.

Ja położyłem się spać wprzód, to spałem od ściany, a on kładł się później, to musiał spać na krawędzi żelaznego łóżka, bo łóżko było tylko jedno. Na drugą noc położyliśmy się spać, ja znowu położyłem się pierwszy od ściany, światło elektryczne się świeci, a po korytarzu przechadza się dyżurny i zagląda do każdej kamery i patrzy przez otworek we drzwiach, czy wszyscy śpią.

Gdy zjrzał do nas, klucz zgrzytnął, drzwi się otwały i weszło dwóch. Podchodzą do nas, my spaliśmy znowu głowami w jedną stronę. Jeden był jakiś starszy, wziął Wyszyńskiego za rękę i każe mu się położyć głową w przeciwną stronę i mówi: „Tak będzie wam lepiej spać”. I faktycznie, było luźniej, ale Wyszyński zabrał mi poduszkę, bo on był już jej tygodniowym właścicielem.

Ja położyłem sobie pod głowę spodnie i czapkę, a marynarką się przykryłem, ale okazało się, że zimno w nogi, więc przykryliśmy się obydwaj moją marynarką do połowy, a jego marynarką niżej drugą połowę ciała, tak było ciepłej spać.

Noce były zimne, chociaż był maj, w sienniku było trochę zmielonej słomy i tak przesiedziałem cztery dni bez żadnego śledztwa. Na piąty dzień, a było to 28 maja, przez otworek dyżurny z kartką w rękę mówi: „*Na bukwu P!*” Ja się odezwałem: „Pieńkowski, a po ojcu Mateuszewicz”. Drzwi otworzył i mówi: „*Wychadzij!*” Wyszedłem, on kluczem uderzył w poręcz, a na dole uderzył kluczem w poręcz dyżurny, więc droga jest wolna. Wtenczas on mnie wziął za rękę z tyłu i idziemy na dół, po schodach, później korytarzem do drzwi. Klucznik nam zaraz otworzył drzwi, wyszliśmy na podwórze i idziemy do bramy wyjściowej. Tam za bramą stała kryta taksówka, a przy niej stał oficer i *bojec* z krótkim karabinem. Gdy wartownik bramę otworzył, ten, co mnie przyprowadził, oddał kartkę oficerowi. Ten wziął, drzwiczki były już otwarte w taksie, oficer powiada: „Siadaj do samochodu!” Ja wsiadłem pierwszy na tylne siedzenie, *bojec* wsiadł zaraz za mną z krótkim karabinem w dłoniach, a potem obok kierowcy usiadł oficer i rewolwer trzymał w otwartej kaburze.

Jedziemy do miasta, potem do sztabu NKWD, tam od razu wzięli mnie na badania. Było ich dwóch, jeden młody porucznik, a drugi trochę starszy, a może tylko starzej wyglądał - kapitan. Najprzód spisał personalia, jak się nazywam, jakie ojciec miał imię, żonaty, ile dzieci, rok urodzenia. Gdy wszystko spisał, zrobił miły wygląd twarzy, uśmiechnął się i mówi do mnie: „*Słysz, Pieńkowski, ty popadł w oszybku, ale to niczewo, u nas jest tak w naszym gosudarstwie, że chociaż kto zbłądzi, ale się przyzna, powie prawdę, może wrócić do domu. Ty należysz do podpulnej, tajnej organizacji wojskowej, to skażyj, kto ciebie namówił do tego, kto ci wydawał przysięgę, jak on się nazywa i kakaja twoja kliczka, to znaczy pseudonim. Ty bądź mądry człowiek, powiedz prawdę, to cię wypuszczą i pójdiesz do domu, żony i dzieci. No, gaworyj, kto ciebie zorganizował?*” Ja mówię: „Nikt mnie nie organizował, ja nie wiem o żadnej organizacji i ja w ogóle nic nie wiem”.

On miał teczkę na biurku obok siebie, wziął i ją otworzył, wyjął z niej jakiś arkusz papieru zapisany i pokazuje mi na dole tego papieru podpis i pyta się mnie: „Znasz ty ten podpis?” Patrząc, to jest podpis tego mego dobrego kolegi, co przyjmował ode mnie drzewo,

szczapy przy browarze w Drozdowie. Mówię, że znam. „No to ja ci przeczytam, coś ty do niego mówił, jak przywoziłeś drzewo do browaru”. Ja jemu bez podania hasła powiedziałem, że Drozdowo jest w porządku zorganizowane i na tym rozmowa się skończyła, bo wyszedł dyrektor browaru i szedł prosto do nas.

W tym protokóle było napisane, że ja na polecenie jakiegoś majora z Łomży organizowałem Drozdowo. „No widzisz, nie powiedziałeś prawdy, sam sobie pogarszasz sytuację. Mów prawdę, należałeś do POP?!” Mówię, że nie należałem. „Przecież sam mówiłeś do niego, że zorganizowałeś Drozdowo”. Mówię: „To nieprawda, ja do niego tego nie mówiłem. On jest mój wróg, on powiedział nieprawdę. Ja już siedziałem dwa lata w więzieniu przed wojną za polskich czasów. Wtedy on mnie niesłusznie oskarżył, że ja mówiłem źle o polskim rządzie”.

Badał mnie ten młody porucznik, a lejtnant cały czas tylko się na mnie patrzył i słuchał. Wreszcie wstał, podszedł do mnie i wziął mnie za ucho i ciągnie mówiąc: „*Kakoję on ma balszoje uszy, kak osioł!* No i uparty kak osioł, taki nietaki syn!” I on mówi: „Czy ty będziesz mówił prawdę, czy nie?” „Ja mówię prawdę, ale wy nie wierzycie”. I takie było to badanie od pół do ósmej godziny rano do pierwszej po południu, bez żadnego jedzenia.

*Śledowaciele* poszli na obiad, a mnie *bojec* wyprowadził na czas obiadu do drugiego, większego pokoju. Tam już był Wojewoda z Piątnicy w kącie, twarzą do ściany, a w drugim kącie siedział braciszek od kapucynów, a raczej leżał i stękał, bardzo był pobity.

Tak czekaliśmy, aż przyszli *śledowaciele* z obiadu. Potem *bojec* odprowadził nas, każdego do swojego *śledowaciela* i znowu zaczęło się badanie, tłumaczenie aż do godziny czwartej rano, całą noc. Gdy zaczęło się już rozwidniać, przyszedł *bojec* i zabrał mnie i poprowadził do taksówki i odwieźli mnie do więzienia, głodnego jak psa. Ledwie wlałem po schodach i doszedłem do celi. *Bojec*, widząc mnie bardzo zmęczonego, wcale mnie za rękę nie trzymał, drzwi otworzył, wszedłem. W głowie mi się kręciło, szum, pisk w uszach, niewyspany i głodny stałem przy łóżku i trzymałem się go jak pijany.

Wyszyński przebudził się, jak mnie *bojec* wprowadził, patrzy na mnie i mówi: „Jedz pan, stoi obiad, chleb na oknie leży, bo pan jest głodny. Ja wiem, bo i mnie tak długo już trzymali na śledztwie”. Wziąłem łyżkę drewnianą, zjadłem trochę i położyłem się spać. Przespałem się trochę i poczułem głód, a tu przez kłapkę w drzwiach dyżurny woła: „Podnimajsa”. Ja miałem jeszcze kawałek wędzonego boczku, wziąłem go do ręki i chleba do drugiej i trochę podjadłem, śniadania - kawy i chleba nie podali.

Całe szczęście, że podjadłem, bo już *bojec* przez kłapkę we drzwiach woła: „Na *bukwu P!*” Odzywam się, a on mówi: „*Uwierajsia skorej!*”. Ubrałem się. Otworzył drzwi i

woła: „Wychadź, ruki z zada!” Wziął mnie za rękę i idziemy po schodach na dół, później korytarzem do wyjścia i znów taksówka już stała, wsiedli i jedziemy do miasta, do siedziby NKWD.

Zaraz bojec wprowadził mnie do pokoju *śledowaciela*. Tam stał taboret kanciasty, *śledowaciela* każe mi na nim usiąść i ręce położyć na kolanach, położyłem. „No kak, Pieńkowski, ty podumał uże, czto by było dla ciebie haraszo?” Ja mu mówię, że podumał. „No to gaworyj, kto ciebie zwerbował”. „Ni kto mienia nie werbował i ja nicziewo nie znaju” - odpowiedziałem. Jak on się nie zerwie ze swojego fotela i „Ach ty, swołocz, dla siebie i dla swojej rodziny!” Wyjął z szuflady rewolwer, nabił go przy mnie, cały magazynek z nabojami wsadził do rewolweru, położył go na biurku przed sobą i patrzy się na mnie, a ja na niego. Nareszcie on mówi: „Pieńkowski, ja do ciebie mówię po dobroci, a ty jak nie powiesz prawdy, to będzie z tobą źle!” I pyta się mnie: „Chcesz iść do domu?” Ja mówię, że chcę. „No to powiedz, kto ciebie zwerbował, kto ci przysięgę wydawał, gdzie to było i kogo ty zwerbował? No gawaryj, tylko prawdę, a pójdziesz do domu”. Ja mu mówię, że już powiedziałem, że nic nie wiem, to co będę mówił. Jak on na mnie wrzaśnie: „Kłamiesz, ja wiem dobrze, że ty należysz do organizacji *podpólnej*!” I pyta się mnie: „Kakoj twój pseudonim?” Ja mówię, że nie mam żadnego pseudonimu. Patrzy się na mnie chyba z pięć minut prosto w oczy, a ja w jego oczy patrzę, też ani mrugnę powiekami.

On powiada: „Ja dziewiętnaście lat *uczyłaś*, ja widzę wszystko w tobie, a ty chcesz *mienia* omamić!” Spojrzał na zegarek, rewolwer wsadził do kabury i wyszedł na obiad. I zaraz nadszedł *bojec* i wyprowadził mnie do poczekalni, a w niej już trzech, każdy w swoim kacie stał do ściany twarzą, mnie postawił do czwartego kąta też twarzą do ściany.

Na korytarzu też stali, bo słyhać było, że jeden do drugiego coś mówił, ale zaraz bojec na niego krzyknął, że nie wolno *gaworyć*. Za jakieś dwadzieścia minut weszło trzech bojców z rewolwerami przy boku. Był na poczekalni stół i krzesła, usiedli przy stole i zaczęli jeść kielbasę i bułki i chwalili sobie, że kielbasa, to znaczy smaczna. A my aresztowani wszyscy głodni, prawie nic nie jedli, bo przed śniadaniem wszystkich wyprowadzili na śledztwo do gabinetów *śledowacieli*.

Ja zdążyłem przed śniadaniem zjeść kawałek chleba z boczkiem i to było moje szczęście, ale jeść się chciało, a tu nic nie dają na obiad. I tak na sucho, głodni siedzieli, aż znowu nas rozprowadzili, każdego do swego *śledowaciela*.

Gdy wszedłem, od razu mnie się pyta: „Czy dobrze *podumał*?” i dalej znowu te same pytania i te same odpowiedzi, aż do godziny trzeciej po północy. Później odwieźli mnie taksówką do więzienia.

Czułem się tak zmęczony, że ledwie szedłem po schodach na ostatnie piętro. Gdy *bojec* otworzył drzwi i wszedłem do celi, zjadłem tylko kawałek chleba, popiłem czarną kawą i położyłem się spać. Śniło mi się, że siedziałem w głębokiej piwnicy, rozwalonej i nie mogłem z niej wyleźć. A za ścianą znów jakiś człowiek łązi też w piwnicy i mówi do mnie, że niedługo on mnie z tej piwnicy wydostanie. A ja jemu mówię: „Jak ty mnie możesz wydostać?” i wtem się obudziłem. Pamiętam dokładnie ten sen i tę rozmowę z tym nieznanym człowiekiem i wziąłem ją za zły znak.

Zasnąłem na nowo i spałem twardo, aż *bojec* zastukał kluczykami we drzwi i krzyknął: „*Podnimajsa!*” Wstaliśmy i pozamiataliśmy swój pokój, śmiecie do kibla wrzuciliśmy. Później dyżurny otworzył drzwi i poprowadził nas do ustępu. Tam się umyliśmy i załatwiliśmy swoją potrzebę. Gdy wróciliśmy do celi, przynieśli nam chleb, dwie kostki cukru i potem przynieśli nam czarną kawę. Gdy zjedliśmy, za parę minut wezwał Wyszyńskiego, ja pozostałem sam. Tego dnia mnie do *śledowaciela* nie wzywali.

W południe przyprowadzili Wyszyńskiego, przynieśli obiad i jedliśmy. A ja jego się pytam, o co oni się pytają, kiedy on się przyznał. Wyszyński mówi, że najprzód pytali się, o czym myśmy obydwaj rozmawiali. Potem, czy on zna Wróblewskiego Staśka z Łomży i o innych z Piątnicy. Po obiedzie znowu: „*Na bukwu W!*” - przemówił przez otworek *bojec*. Mój towarzysz wstał i odpowiedział: „Wyszyński”. „*Wychadzij!*” Gdy Wyszyński wyszedł, zaraz drzwi zamknął i poszli po schodach na dół do *śledowaciela* na badanie. Ja usiadłem na łóżku, potem się położyłem i zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, tylko usłyszałem pukanie kluczem we drzwi. Spojrzałem w stronę drzwi, otworek był odkryty, a w nim oko *bojca*, patrzył się chwilę na mnie i poszedł.

Przed wieczorem przynieśli zupę na kolację, wlał do miski i powiedział, że to na dwóch. Ja zaraz zjadłem połowę, a drugą połowę zostawiłem dla Wyszyńskiego. Przyprowadzili go o godzinie dziesiątej w nocy, ja już spałem.

Światło zawsze w każdej celi się paliło całą noc i dyżurny chodził po korytarzu i co jakiś czas zaglądał przez otworek w drzwiach, czy wszyscy śpią, czy aby, broń Boże, ktoś czego nie robił. Ale kto tam mógł coś zrobić!

Na drugi dzień klucz w drzwiach zgrzytnął, drzwi się otwały i wszedł wysoki mężczyzna. Był w ubraniu cywilnym, w eleganckim garniturze, przedstawił się nam jako inżynier górniczy z Katowic, nazywał się Bielicki. Powiedział, że uciekał razem z żoną, bo go Niemcy chcieli wywieźć na robotę do Niemiec, bo co dzień robili łapanki i wywozili do Niemiec na roboty. A on nie chciał u wrogów pracować, więc uciekali z żoną do *oswobodzicieli*, na stronę bolszewicką. Ci ich przyłapali na granicy w Nowych czy Starych



Zarębach Kościelnych. Cały tydzień siedzieli w piwnicy w tych Zarębach. Siedziało ich tam razem przechodzących przez granicę ze czterdziestu, jeden na drugim. Jeść im nie dawali, byli głodni i brudni. Stamtąd przywieźli wszystkich do Łomży i gdy ich w więzieniu rozprawiali do cel, to z żoną musiał się rozstać.

Przy rewizji zabrali mu złoty zegarek Omega ze złotą bransoletką, jej też złoty zegarek ze złotą bransoletką, złote obrączki ślubne i złote pierścionki, jej dwa, a jemu jeden. Poza tym srebrną papierośnicę, zapalniczkę i inne drobne rzeczy.

Opowiadał nam: „Tam przed Niemcami ukrywałem się dłuższy czas, groziła mi śmierć, bo za byle opór rozstrzeliwali Polaków. A tu znowu wszystko zabrali i do więzienia wsadzili. Taka to jest Polaków dola! Dawniej podzielili się Polską we trzech sąsiadów - Austria, Niemcy, Rosja, a teraz we dwóch sąsiadów podzielili się”. I tak cały dzień zszedł nam na rozmowach i rozmyślaniach, ale miałem nadzieję, że to jeszcze się zmieni, gdy Francja i Anglia przystąpi do wojny z Hitlerem. Niemców pobiją, a z Sowiecami może się dogadają i Sowieci z Polski ustąpią i my wrócimy wolni do swych rodzin i do swych domów.

Następnego dnia przyprowadzili jeszcze jednego, czwartego do naszej celi, gościa w wojskowym ubraniu. Był w niewoli w Niemczech i pracował tam u gospodarza, było mu tam dobrze, miał oddzielny pokój do spania, łóżko, stół, krzesło i po pracy mógł chodzić do świetlicy na radio, otrzymywał listy z domu, od rodziny.

W ostatnim liście prosiła go siostra, żeby przyjechał na wesele, bo ona wychodzi za mąż. Po przeczytaniu tego listu zaraz wieczorem uciekł i spieszył się na jej wesele. Przyłapali go Sowieci w Zarębach Kościelnych na granicy i dwa tygodnie siedział w czarnej piwnicy, brudnej i tak ciasnej, że jeden drugiemu siedział między nogami. Siedziały matki z dziećmi małymi, dziewczyny w różnym wieku i razem mężczyźni. Żałował bardzo, że uciekł od gospodarza, bo było mu tam dobrze, ale nie spodziewał się, że go złapią na granicy i do więzienia wsadzą.

Na drugi dzień, po zwykłym śniadaniu - chleb i czarna kawa - we drzwiach klapka się odsunęła i bojec z kartką woła: „*Na bukwu P!*” Odzywam się: „Pieńkowski” „*Wychadzij!*” Otworzył drzwi, wyszedłem, kazał ręce do tyłu i założyć jedną na drugą, założyłem, stuknął kluczem w poręcz, tam mu odstuknęli, to znaczy przechód wolny. Schodzimy z trzeciego piętra na parter, tam skręcamy na korytarz w prawo. I otworzył drzwi do *śledowaciela*. Wszedłem i mówię: „*Zdrastwujcie grażdananin śledowaciel!*”. Odpowiedział: „*Zdrastwuj!*”, taborek stał jak zwykle naprzeciw biurka, za którym siedział na fotelu *śledowaciel*. „*Siadaj!*” - powiedział. Usiadłem na taboreczku czterokanciastym, ręce położyłem na kolana i patrzę się na niego, a on mnie pyta, czy ja już się namyśliłem

powiedzieć prawdę. Ja mu mówię, że do organizacji żadnej nie należę i nic o niej nie wiem. On mówi: „Kłamiesz! Ja chciałbym ci pomóc, a tyś się uparł i robisz sam sobie gorzej, że nie chcesz się przyznać, a ja mam protokół”. Otwiera szufladę i wyjmuję kilka papierów już zapisanych, bierze jeden do ręki i czyta: „25 marca powiedział mi Pieńkowski Aleksander w Drozdowie, przy browarze, jak przywiózł drzewo szczapy do gotowania piwa, że zorganizował do Polskiej Organizacji Podziemnej wszystkich młodych drozdowiaków i wszystko jest w porządku”. Była to prawda, ale siedzę obojętnie, żeby nie dać po sobie poznać zdenerwowania, jakie te słowa na mnie wywarły, patrzę na niego. On powiedział: „No powiedz, jak to było, kto ciebie do tego namówił?” Ja mówię, że ja nic nie wiem. On mówi: „Kłamstwo! Ty wystąpił przeciw nam!” i złapał za rewolwer, który wprzód nabił i położył przed sobą na biurku. Przyskoczył do mnie i tym rewolwerem, lufą, jak mnie zajędzie po boku, po żebrach! Ja się zerwałem z taborka, on odstąpił ode mnie z tym rewolwerem w rękę i krzyknął: „Siadaj na taborek!” Usiadłem, on poszedł za biurko i też usiadł i powiada: „Ty musisz się przyznać! Im prędzej się przyznasz, to będzie dla ciebie lepiej. Powiedz, kto ciebie namówił do tej *podpólnej* organizacji, kto ci wydawał przysięgę i gdzie to było. Powiedz, jaka twoja *kliczka*, czyli pseudonim i kogo ty zorganizował i *budzet wsio*”.

Rewolwer położył na stole, napił się wody, która stała w karafce na stole i obok niej szklanka do picia. Po napiciu splunął na podłogę i patrzy się na mnie i nic nie mówi. Po chwili wsadził rękę do kieszeni i wyjął kopertę, wyjął z niej list i wodził po nim oczami, pewnie go czytał, nie wiem.

Jakoś się udobruchał i tylko namawiał mnie, żebym się przyznał i opowiedział, kto mnie do tego namówił i kogo ja zwerbowałem, bo jak się nie przyznam, to będzie ze mną źle. Zadzwonił do *bojca*, który zaprowadził mnie do celi.

30 maja tylko zdążyłem zjeść śniadanie, jak zwykle kawa czarna i chleb, już przyszedł *bojec* i zaprowadził mnie do *śledowaciela*. Do samego południa zadawał mi te same pytania, a ja dawałem te same odpowiedzi. Wściekał się ze złości i groził mi, że dosyć, już tak gładko się ze mną będzie obchodził. O godzinie dwunastej dzwonił do *bojca*, który odprowadził mnie do celi. Po godzinie trzeciej *bojec* przyszedł po mnie i zaprowadził do innej celi. *Śledowaciel* już tam siedział i coś pisał przy biurku. Ja usiadłem na taborku, oglądam się w prawą stronę, na ścianie wisi deska przymocowana do ściany, a na niej jest oprawiona „z włącznikiem duża żarówka, jak do ogrzewania kurczaków małych.

*Śledowaciel* skończył pisanie, podchodzi do tej żarówki, bierze za kontakt. Jak ją włączył, błysnął duży blask i on mówi: „Tu ty wszystko powiesz!” i zgasił ją. Potem znowu włączył i znowu mówi, że ty tu wszystko powiesz. Ja przed wojną to tylko widziałem

wieczorem, jak w Łomży się żarówki świeciły po ulicach i domach, a z bliska przy żarówkach w ogóle nie byłem.

Myślę sobie, że on mnie będzie przystawiał do tej żarówki i będzie mnie elektryzować. Dreszcze po mnie przeszły, bo ja nic nie wiem, co się ze mną może stać, gdy on mnie przystawi do tej żarówki, ale on poszedł z powrotem za biurko i znowu zaczął coś pisać.

Nareszcie przerwał pisanie, podniósł głowę i patrzy się na mnie. Po chwili znowu pisze, a ja myślę, jaki to będzie ból, jak ja to długo wytrzymam, jak on mnie przystawi do tej żarówki. Ale postanowiłem nie dać się przystawić do tej deski, będę krzychał na całe gardło. Ale co mi ten krzyk pomoże, chyba tylko tyle, co umarłemu kadzidło.

Przestałem na chwilę myśleć, bo drzwi się otwały i wszedł drugi *śledowaciel*. Przywitali się, coś rozmawiali ściszym głosem i wyszli obydwaj. Ja myślałem, że pewnie oni obydwaj będą mnie elektryzować. Siedzę na taborku, poszczupałem go za nogę i będę czekał. Jak mnie przyjdą brać do elektryzowania, to złapię taborek za nogę i prosto w łeb będę walił obydwóch, aż mnie zastrzelą. Wszystko mnie już jedno, bo czy prędzej czy później, to mnie to czeka, jak mi udowodnią moją robotę, ale się sam nie przyznam do niczego.

Nareszcie przyszedł *śledowaciel*, ale sam, znowu usiadł za biurkiem i znowu coś pisze. Skończył, położył obsadkę na biurku i patrzy się na mnie, ale tak uporczywie, prosto w moje oczy, powiekami ani mrugnie. Ja też patrzę w jego oczy i też ani razu nie mrugnąłem powiekami. Nareszcie zerwał się z fotela i pyta się, czy powiem prawdę. Ja mówię, że już powiedziałem, że nic nie wiem i nic nie robiłem. Podszedł do deski, wziął za rączkę kontakt i opuścił do dołu, światło błysnęło, obrócił się do mnie i mówi: „Nie chcesz po dobroci, to tu powiesz wszystko, dosyć z tobą *bałowatsia* /to znaczy żartować/. Ty *skazesz wsio!*” i tak kilka razy zaświecił i zgasił i przy każdym zaświeceniu mówił, że tu powiesz *wsio*, ale do deski mnie ani razu nie przystawił. Poszedł za biurko, usiadł i schylił lekko głowę, a ja ciężko westchnąłem. On podniósł swoją głowę i mówi, że już ostatni raz pyta się mnie po dobroci, czy należałem do *podpólnej* organizacji. „Nie należałem”. „Iluś ludzi ty zorganizował?” Odpowiadam: „Nikogo nie organizowałem i nic nie wiem o organizacji”. A on: „Jak będziesz tak mówił, to zobaczysz, *czto* ja z tobą zrobię”. Wyszedł szybko za drzwi i woła dyżurnego. Pogadali tam coś i dyżurny poszedł po schodach na dół, za parę minut słyszę, idzie kilku po schodach. Myślę, że będą mnie albo do tej żarówki przystawiać, albo będą mnie torturować.

Weszli od razu - *śledowaciel*, dyżurny i dwóch wysokich ludzi. *Śledowaciel* krzyknął: „Brać go, *skatine!*” Dopadło do mnie tych dwóch wysokich, złapali mnie

pod pachy, podnieśli do góry. *Śledowaciel* idzie przodem po schodach na dół, a ci za nim niosą mni, ale byli tacy wysocy, że ja do schodów nie mogłem dostać swymi nogami.

Wyprowadzają mnie z więzienia na plac, idziemy przez plac do budynku, w którym mieści się cały urząd więzienny. Ci, co mnie nieśli po schodach, pewnie zmęczyli się, bo już nogami szedłem swoimi, a oni tylko trzymali mnie za ręce.

Gdy weszliśmy do tego czerwonego budynku na korytarz, już był wieczór. *Śledowaciel* wyjął baterijkę i przed sobą świeci, ale tylko małą żarówką, bez powiększającego szkła. Doszliśmy do końca korytarza, skręcamy w lewo i po schodach prowadzą mnie do piwnicy. Doszliśmy do drzwi, *śledowaciel* wyjął z kieszeni klucze, otworzył drzwi. Nic nie widziałem, było ciemno. Chciałem się przeżegnać, ale nie mogłem, bo trzymali mnie za ręce, tylko westchnąłem do Boga i w myśli powiedziałem: „Jezus, Maria, Józef, bądźcie przy duszy mojej”.

W tym czasie *śledowaciel* zaświecił elektryczność. Spojrzałem na salę. Była dość długa, może z dziesięć metrów i z osiem szeroka. Nic w niej nie zdążyłem zobaczyć, bo na lewo stał długi stół, przed nim taborek, na który zaraz kazał mi siadać, naprzeciw za stołem usiadł na fotelu *śledowaciel*.

A ci, co mnie nieśli, stali z tyłu. *Śledowaciel* wyjął z teczki papier, rozłożył, wziął obsadkę do ręki, patrzy się na mnie i powiada tak: „Jeżeli tu nie powiesz prawdy, to już stąd nie wyjdiesz żywy”. Na lewo od stołu stała szkolna tablica, na krawie u dołu leżała kreda i kawałek szmaty. *Śledowaciel* podszedł do tej tablicy, była trochę zagreżdżana kredą, wziął szmatę do ręki i wytarł ją dobrze i na środku tej tablicy narysował kredą kółko. Od tego kółka pociągnął kredą na wskroś do góry, drugą kreskę z drugiej strony na wskroś pociągnął na dół i powiada: „Ty tu jesteś w tym kółku i tylko masz dwie drogi. Jeżeli powiesz od początku, kto ciebie zwerbował do *podpólnej* organizacji i kto ci wydał przysięgę i gdzie to było i jaki jest twój pseudonim, potem kogo ty zwerbował - i trzyma kredę na tej kresce, która idzie do góry i mówi - ty pójdziesz tą drogą, która prowadzi do domu, na wolność. Ale ta do dołu, to jak nie *skażesz* prawdy, to *ubijom* ciebia.

Ja wszystko spiszę - ilu ludzi ochotników, wszystkich podaj imię i nazwiska i jutro pójdziesz do domu, do żony i dzieci, bo twoja żona jest bardzo chora. Ty powinien być przy niej. No mów, kto ciebie zwerbował”. Ja mówię: „Mnie nikt nie werbował i ja nikogo, bo ja nic o organizacji nie wiem”. „Ach, ty *swolocz*, *bradziaga*! Ty taki ojciec! Zostawić ośmioro dzieci i chorą żonę i *poszoł* do *podpólnej* organizacji!” I krzyczy na całe gardło: „Ty *postupił* przeciw nam!” Ja się odezwałem: „*Niet*, ja z wami”. „No to *gaworyj*, kiedy z nami,

tylko prawdę!” „Ja mówię prawdę, ale wy nie wierzycie. To co ja zrobię? Mam na siebie nieprawdę mówić?”

A on na to: „My już mamy twoich dziewięciu ludzi w więzieniu, a twoją żonę sparaliżowało, nie może się na łóżku przewrócić i nie włada jedną nogą i jedną ręką”. Jak to usłyszałem, łzy mi jedna za drugą po policzkach płyną. A on mówi dalej: „Jutro rano przywieziemy twoją żonę i dzieci tu na plac więzienny. Wyprowadzimy z więzienia tych dziewięciu partyzantów twoich i na ich oczach rozstrzelamy cię pod ścianą”. A ja mówię: „To rozstrzelajcie, ale ja nic nie jestem winien, bo nic o organizacji nie wiem. Ten, co to na mnie mówił, to jest nieprawda, on jest mój wróg”. A łzy mi bez przerwy płyną, taki straszny żal mnie ogarnął, gdy usłyszałem, że moją kochaną żonę sparaliżowało. Była dwa tygodnie po urodzeniu Sebastiana. Co ona teraz pocnie chora z ośmiorgiem dzieci, czworo większych, a czworo małych?

Śledowaciel, widząc, jak mi te łzy jedna za drugą płyną, kiwnął na tych, co stali za mną i oni odeszli. A on spojrzał na mnie i położył ręce przed siebie na stole, potem położył głowę i zasnął, aż chrapał. W tym czasie ja się dokładnie rozglądałem po całej sali, czy tu jakich narzędzi do tortur nie ma, ale nie ma nic takiego. Tylko po całej sali w rzędzie dokoła wiszą portrety wszystkich sowieckich dygnitarzy i generałów, a w środku na ścianie szczytowej wisi Stalin.

Nareszcie obudził się *śledowaciel*, przeciera oczy ręką i potem mówi do mnie: „Czy ty będziesz mówił prawdę?” A ja jego się pytam: „*Grażdanin śledowaciel*, czy wy żonaty?” On mówi: „Tak, żonaty jestem”. A ja się pytam: „A dzieci macie?” On mówi: „Mam dwoje”. Jak potem krzyknę: „Co tobie do mojej żony i do moich dzieci?! Ty odpowiadaj, co ja się ciebie pytam!” Była już może godzina trzecia po północy, a wciąż naciska mnie, żebym się przyznał i powiedział prawdę od początku, bo jak nie powiem prawdy, to mnie *ubijut*. Ja jak zwykle odpieram te zarzuty i znowu swoje myśli chwilowo skierowałem na swoją kochaną żonę i dzieci nieszczęśliwe. Ten wysoki mówi: „*Piszj, kak chcesz*, chuj z nim!” Ale ten mój *śledowaciel* odpowiedział. „*Niet, tak nie mogu*”. To ten mówi: „*Kak chcesz!*” i wstał z krzesła i wyszedł. A ten zaczął pisać. Gdy skończył pisanie, mówi do mnie, że on skończył ze mną badanie i wyjeżdża do Białegostoku. „A co z tobą będzie, *to ja nie znaju, eto uże prokurator osudit*”.

Przeczytał mi to, co napisał i kazał podpisać, podpisałem. Schował do teczki, zawołał dyżurnego i kazał odprowadzić mnie do celi.

Piątego czerwca przyszedł do naszej celi doktor z jakąś młodą dziewczyną, badał dokładnie każdego z nas i ta urzędniczka pisała na papierze personalia i to, co jej doktor powiedział przy badaniu. Po opisaniu wszystkich poszli.

Na drugi dzień, było to szóstego czerwca, zaraz po śniadaniu przyprowadził dyżurny dwie siostry szpitalne, były w białych fartuchach, dały nam po trzy pastylki żółte i powiedział nam, żeby przed jedzeniem je połknąć.

Siódmego czerwca poszedł na badanie Wyszyński. Mnie jakoś zrobiło się lżej na sercu. Trzy dni minęło, jakem był na ostatnim śledztwie. Mieli przywieźć moją żonę i moje dzieci i wyprowadzić moich dziewięciu ludzi należących do organizacji i na ich oczach mieli mnie rozstrzelać pod ścianą.

Wstąpiła we mnie jakaś otucha, że to, co mi *śledowaciel* mówił, to chyba nie jest prawda, bo gdyby była to prawda, to już bym nie żył. A tu doktor mnie badał i pastylki mi dali, to chyba nie na śmierć wygląda, a i śledztwo miało już być ostatnie.

H. Wyszyński ze śledztwa jeszcze nie wrócił, więc zaczęliśmy rozmawiać z żołnierzami, gdzie który był na froncie, jak się bili, jak się cofali i jak popadli do niewoli itp. Ja opowiedziałem, że widziałem, jak we wsi nasze niektóre dziewczyny chodzą na zabawę i tańczą z żołnierzami radzieckimi. Jedna już wyszła za mąż za Sowietą. I tak zeszło do wieczora. Wieczorem wrócił Wyszyński ze śledztwa bardzo blady i widać było na nim zmęczenie.

Ósmego czerwca po południu przyszedł *bojec*, odsunął klapkę i zawołał: „*Na bukwu P!*” Odezwałem się. Krzyknął: „*Wychadzij!*” Wyszedłem. „*Ruki z zada!*” Wziąłem ręce do tyłu i idziemy. Zaprowadził mnie do *śledowaciela*. Patrzę, ten sam, co mówił, że wyjeżdża do Białegostoku. Mówię: „*Zdrastwuj, grażdanin śledowaciel!*”. Odpowiedział: „*Zdrastwuj, Pieńkowski, jeszcze my się wstrecilis, jeszcze ja ciebia spraszu*”. I pyta mnie, czy ten, co mnie wydał, czy on należał do organizacji. Ja mu odpowiedziałem, że ja nie wiem. Męczył mnie ze dwie godziny, że on należał, a ja odpowiadam: „Nie wiem, może i należał, ale ja nic nie wiem”.

Wtenczas *śledowaciel* uniesionym głosem krzyknął: „Ty jemu sam powiedziałeś w Drozdowie przy piwnym *zawodzie*, że należysz do organizacji. To i on należy”. Ja od razu mówię: „To nieprawda, ja tego nie mówiłem, bo ja nie należę do żadnej organizacji”. Wtenczas zaczął mnie rugać: „Ach, ty *bradziago, swołocz* uparty!” Wyjął arkusz papieru i zaczął na nim pisać. Nie wiem, co pisał, bo i dumał, i znowu pisał. Nareszcie skończył i mi przeczytał. Nie wiem, czy prawda to była, co mi przeczytał. Powiedział, żebym podpisał,

podpisałem. Uśmiechnął się, czego nigdy nie było, zadzwonił do dyżurnego, który odprowadził mnie do celi.

Dziewiątego czerwca byłem spokojny do południa, ale zaraz tylko zjadłem obiad, klapka we drzwiach się odchyliła i dyżurny zawołał „*Na bukwę P!*” Odezwałem się, bo innego na tę literę nie było. Było ich dwóch, ten drugi mnie się pyta: „*Kak zwać?*” Powiedziałem: „Pieńkowski Aleksander”. „A po baćku?”, to znaczy imię mojego ojca. Powiedziałem: „Mateuszewicz” To on się pyta: „*Kakoj god roźdieńja?*” „1897”. „To zabieraj swoje *wieszczy* i *wychadzij skorej*”. Czym prędzej odwitałem się ze swoimi towarzyszami niedoli.

Gdy mnie sprowadził na dół, już tam na korytarzu czekało pięciu na mnie wykręconych twarzami do ściany, nowi towarzysze. Razem nas pognali do jakiegoś pokoju, który wyglądał jakby jakaś poczekalnia. Ustawili nas w rzędzie przy ścianie, potem weszło sześciu bojców i kazali nam się rozbierać do naga, a poganiali jakby się paliło – *skorej i skorej*.

Gdy się rozbieraliśmy z ubrania i z butów, kazali odnieść je do drugiej ściany, naprzeciw siebie i zaczęła się rewizja, najpierw nas golasów. Otwieraliśmy usta, wypinaliśmy tyłki i potem patrzyli w szpary u nóg. Gdy skończyli golasów, wzięli się za ubrania i buty. U jednego znaleźli złoty medalik ze złotym łańcuszkiem w tylnym szwie kapoty. Gdy go *bojec* wypruł, obejrzał i rzucił w kąt pokoju, była to Matka Boska z Panem Jezusem. Znaleźli jeszcze różnych rzeczy więcej, jak machorka, zapalki. Wszystkie grubsze szwy pruli, haftki i guziki blaszane odrzynie scyzorykiem. Grubsze daszki u czapek też pruli.

Po skończonej rewizji kazali się ubrać, a gdyśmy się ubrali, nasi prosili, żeby im oddali machorkę, zapalki. Ten prosił o medalik ze łzami w oczach, drugi tłumaczył im, że dopiero przedwczoraj kupił machorkę i zapalki na wypiskę, ale te prośby nic nie pomogły. Wyprowadzili nas przed kancelarię, zatrzymali się. Wchodziliśmy po dwóch do tej kancelarii. Był to duży pokój, w nim kilka stołów i krzeseł. Siedziało na krzesłach czterech lejtnantów i na stole leżały nasze dokumenty. Zaczęły mi znowu łzy z oczu lecieć i obracam głowę, gdzie wisiał Stalin i wskazuję ręką i ze łzami w oczach mówię, żeby ten Stalin wiedział, że wy mnie tak męczycie, to chyba by was do więzienia wsadził.

Myślałem, że się za to rozgniewa, ale nie, mówi do mnie: „*Wot, wot, ty patrz na naszego baćkę Stalina i mów prawdę, to do domu wrócisz*”. Więc ja odwracam się głową do portretu Stalina i mówię, że ja nic nie wiem o organizacji, nikogo nie organizowałem i jestem niewinny. A on krzyczy: „*Kłamiesz, ja wiem dobrze, że ty do *podpólnej* bandy należał, nie ujdiesz nam!*”

Podparł się ręką brodę, coś podumał i mówi: „*Wot* polskie kaprale, kurwa ich mać, oni chcieli *krasnuju armiu* rozbić, ale jej nie rozbili! Jej nic nie zrobicie, my was wszystkich rozstrzelamy jak psów!” Po tych słowach zaczął pisać protokół, jak zwykle po każdym badaniu, potem mi odczytał i kazał podpisać. Nic nie wiedząc, czy prawdę odczytał, podpisałem.

Schował go do teczki i wyprowadził mnie na korytarz. Już tam czekał dyżurny. Wyszlim po schodach na górę i przez plac do celi, znowu po schodach na trzecie piętro. Która mogła być godzina, nie wiem, ale było nad ranem, jeszcze ciemno. Gdy wszedłem do celi, wszyscy spali. Trzech na betonie, bo wpuścili jeszcze jednego cywila do naszej celi, gdy byłem na śledztwie, Wyszyński na łóżku, położyłem się przy nim i zaraz zasnąłem.

Śniło mi się, że jechałem na furze siana w parę koni przez rzekę, ja, mój brat Emil i Stefan Kędziorek. Brat jechał w konie w kierunku żelaznego mostu i coraz głębiej, tak że już konie płyną. Ja patrzę - ze wszystkich stron jest woda mętna, ale my już jesteśmy na środku rzeki. Ja krzyczę na brata: „Po coś tu wjechał?!” Ale on nic nie odpowiada, tylko pogania konie. Przepłynęliśmy tę rzekę Narew pod Łomżą i teraz trzeba nam było wjechać pod górę na szosę i pomału wjechaliśmy.

W tym czasie obudzili mnie koledzy. Otwieram oczy, jestem cały spocony, a oni się mnie pytają, co mi się śniło, że przez sen krzyczałem i że jakieś ruchy robiłem, twarz krzywiłem, aż mnie obudzili.

Opowiedziałem im dokładnie wszystko, co mi się śniło. Inżynier mówił, że to jest sen dobry. „Oni pana wypuszczą do domu - i mówi dalej - Jak pan wyjdzie, to z daleka naprzeciw naszego okna niech pan machnie chusteczką, my będziemy wyglądać, jak zobaczymy, będziemy widzieli, że pan wyszedł na wolność. Ale niech pan nam przyśle z parę paczek machorki, bo widzi pan, jak u nas krucho z paleniem”.

Mówię dobrze, tylko ja czuję, że prędzej będę w archangielskich lasach niż w domu. Byłem bardzo zmęczony i zamyślony. Czy naprawdę dziewięciu drozdowiaków już mają w więzieniu? I oni mają powiedzieć, że ja jestem ich komendantem i ich zwerbowałem, to byłby ze mną koniec.

Ale czy to jest prawda? Na badanie tego dnia mnie nie brali cały dzień, tylko myślałem o tych dziewięciu, co mają i co mogą powiedzieć o mnie. Ostatni raz jeszcze ujrzę moją kochaną żonę i moje kochane dzieci, ale wola Boska, co będzie, to będzie. Robiłem to dla ratowania mojej kochanej Ojczyzny. Ale było mi się jakoś dziwno, że mieli dziś przywieźć moją rodzinę i wyprowadzić dziewięciu drozdowiaków należących do organizacji i na ich oczach rozstrzelać mnie pod ścianą.



Był trzeci dzień czerwca 1940 roku, ale dzięki Bogu nie przywieźli mojej rodziny ani nie wyprowadzili tych dziewięciu partyzantów moich i zrobiło mi się źlej na sercu. Poczulem, że to, co mówił *śledowaciel*, to nie jest prawda, bo gdyby naprawdę ich mieli, to już by mnie choć jednego na oczną stawkę na badaniu postawili. I tak na rozmyślaniach cały dzień mi zeszedł spokojnie.

Czwartego czerwca po śniadaniu znowu się klapka w drzwiach odchyliła i odezwał się głos: „*Na bukwu P!*” Odezwałam się, klucz zazgrzytał w zamku, drzwi się otwarły i *bojec* krzyknął: „*Wychadzij, skarej, ręce do tyłu!*” i poprowadził mnie na pierwsze piętro znowu do innego pokoju, bo każde badanie, to prawie w innym pokoju się odbywało.

Już tam czekał na mnie *śledowaciel*, ten sam. Powiedziałem: „*Zdrastwujcie, grażdaniin, śledowaciel!*”. Odpowiedział: „*Zdrastwujcie*” i patrzy się na mnie, a ja na niego. Po chwili otwierają się drzwi i wszedł drugi *śledowaciel* i po cichu coś sobie pogadali. Myślę sobie, że znowu coś dla mnie planują. Gdy skończyli szeptać, z dala z tyłu biurka posiadali. Ten mój *śledowaciel* był średniego wzrostu, a ten drugi był wyższy i chudszy i on zaczyna mnie badać. Bardzo spokojnie i mówi: „*Słysz, Pieńkowski, jeszcze wremia, jeszcze możesz się spasatsia. Zeznajsa, bo kak niet, pogibniesz kak sobaka, masz osiem rebiatek, żenu bolnoju. Tiebie nada żyć! Mnie tiebia żalko. Ja gdybym był w twoim położeniu, skazałbym prawdu i poszoł damoj. Ja byłem w twoim domu i wsio smotrył, mnie twoich rebiatek żalko. A ty atiec nie chcesz do nich wrócić i do bolnej żeny? A twoi partyzany uże wsio skazali tut, tolko ty komendant nie chcesz, ale my uże wsio znajemy. No, ja spraszrywaju ciebie poślednij raz, kto ciebie zwerbował, kuda eto było, kto ci przysięgę wydawał i kakaja twoja kliczka?*” Ja mu mówię, że *nie znaju*, co to jest *kliczka*. Wtenczas on już groźniej mówi: „*Pseudonim twój jaki?*” Odpowiadam mu jak zwykle: „*Nic o organizacji nie wiem, nikt mnie nie werbował i nikogo ja też nie werbowałem*”. Gdy to powiedziałem, jak on się zerwie na nogi i krzyknął: „*Ach ty bradziago, nie chcesz skazać prawdu, nie żal ci ani dzieci ani żony?! Wot kakij ociec! Swołocz, tak zgnijesz w ciurmie, kak sobaka, gołowu urezać takiemu ojcu!*”

Potem znowu rozmawiali, odwrócili się do mnie plecami i coś po cichu mówili. Pierwszego wywołali mnie, przystąpiłem bliżej do stołu, jeden lejtnant pyta się, jak ja się nazywam. Powiedziałem: „*Pieńkowski Aleksander*”. A on się pyta: „*A po bat'ku?*” „*Mateuszewicz*”. Już on miał tam wszystko opisane, bo tylko się pytał i patrzył, sprawdzał, czy wszystko się zgadza, co powiem - data urodzenia i miejscowość, wszystko się zgadzało. Pokazał mi kwit na dziesięć rubli, które mi przysłała żona z domu. Włożył go do dokumentów, wsadził do koperty i zapieczętował lakiem. Potem kopertę tę położył przed starszym gradowatym lejtnantem, ten wziął kopertę i schował ją do dużej teczki.

Przy drugim stole tak samo sprawdzali drugiego, który razem ze mną wszedł do kancelarii. Potem bojec dyżurny wyprowadził mnie na korytarz, a za chwilę wyprowadził tego drugiego, a wprowadził następnych dwóch. Potem znów następnych dwóch i cała „ceremonia” się skończyła. Dwóch innych *bojców* z bagnetami na karabinach wyprowadziło nas na podwórze. Zobaczyłem Władka Kowalewskiego z Drozdowa, który siedział w więzieniu za jakąś kradzież, trzymał miednicę z kaszą i wcinał. Muszę nadmienić, że taką porcję kaszy dawali nam do celi na dziesięciu ludzi. On mnie też zobaczył i się uśmiechnął do mnie i wcinał dalej. Takim różnym złodziejom jeść nie żalowali, mieli swobodę, rąbali drzewo i inne roboty robili, Władek był przy drzewie.

Przez podwórze pognali nas i wsadzili do tego samego garażu, co siedziałem pierwszego dnia w podwórzu więziennym. Wieczorem przynieśli nam kolację, była kasza i po porcji chleba, jaką na cały dzień dawali. Gdyśmy podjedli, zaczęliśmy kłaść się do spania na zimnym betonie, ale prawie wszyscy spaliliśmy na siedząco i na kucajkach, bo beton był bardzo zimny.

O godzinie dwunastej, może trochę później, zbudził nas zgrzyt klucza we drzwiach, potem wszedł *bojec* i krzyknął: „*Podnimajsa skarej!*” Był to wysoki drab i naglił, żebyśmy prędko wychodzili. Gdyśmy wyszli, podprowadził nas bliżej domu urzędniczego, gdzie urzędowało *naczalstwo* więzienia. Tam już siedziało kilkudziesięciu ludzi, w czwórkach. Nas podprowadził z tyłu i krzyknął, żeby siadać w czwórkach. Usiedlim. Jeszcze raz wyczytali wszystkich, każdy się odezwał. *Bojców* już było chyba ze dwunastu. Tak siedzielim jeszcze z pół godziny. Potem z boku w jednego konia jeden *bojec* podjechał bryczką na dwóch kołach, a w tej bryczce siedział jakiś staruszek z gołą głową, już siwą i dwie młode dziewczyny. Jedna z jednego boku pod pachę trzymała tego starego, a druga z drugiej strony tak samo pod pachę trzymała, a on tylko siedział i patrzył się w naszą stronę. Widać było, że był strasznie przygnębiony i chory. Gdyby go nie trzymały te dziewczyny, na pewno by spadł z bryczki. Minęli nas i zatrzymali się z tyłu.

Wtenczas jakiś starszy krzyknął: „*Podnimajsa!*” Wszyscy wstali w czwórkach, obrócenii twarzami do bryczki. *Bojcy* nas otoczyli w koło i dał się słyszeć rozkaz: „*Ruszaj w pierod!*”. Zaraz bramę wartownik otworzył i bryczka ruszyła naprzód, a my w czwórkach za nią. Zaraz za bramą skręcili na szosę w prawo i szosą gnali nas aż do drogi, która znowu skręcała w prawo, do stacji kolejowej.

Ale zapomniałem - przed więzieniem, jak tylko ustawiliśmy się czwórkami, *bojce* karabiny naładowali, trzasnęły zamki i ten starszy powiedział, że gdyby któryś z nas chciał uciekać, będzie zastrzelony. Tak podegnali nas, gdzie stały towarowe wagony, po czterech

właziliśmy do tych wagonów, a w tych wagonach były pogrodzone takie kojce. Nas wpychali po dwunastu ludzi. Było strasznie ciasno, ale na to nic poradzić nie było można. W naszej przegrodzie był mały otworek pod samym sufitem wagonu, chyba dla powietrza.

Jechaliśmy na wschód, wiedzieliśmy, że wiozą nas do Rosji. Jechał ze mną w tym samym kojcu dyrektor Banku Polskiego w Łomży Cybulski. Miał w torebce cebulę, jedną zjadł. Okazało się, że pomimo ścisłej rewizji niektórzy mieli machorkę i bibułkę, tylko nie mieli zapalek, to nie mogli sobie popalić. Jechał również ze mną Nowacki z Rakowa, sołtys, potem był były prezydent miasta Łomży Świderski. Reszta była mi nieznaną. Gdy tylko lokomotywa gwizdnęła, zdawało się, że żałośnie. Każdy się przeżegnał, jedni płakali, inni się modlili, innym tylko łzy z oczu spływały po policzkach.

Tego dnia było jakieś święto, bo gdy przed jakimś miastem pociąg się zatrzymał, słyhać było rozmowę ludzi, którzy szli do kościoła. Nowacki wstał i przygarbił się, ja na niego wlażłem i przysunąłem się do okienka i przyglądałem się, jak ludzie poubierani spieszyli się do kościoła, a w kościele w tym czasie dzwony dzwoniły. Przechodzący *bojec* zauważył mnie i zdjął karabin z pleców, na nim miał nasadzony bagnet, ale ja pierwszy go zauważyłem i w porę się odsunąłem. A on dziuch! bagnetem w to okienko, tak kilka razy szturchał. Potem poszedł dalej i znowu przy drugim wagonie szturchał bagnetem w okienko.

Po półgodzinie postoju pociąg ruszył dalej. Tak rozmawiałem między sobą o wypadkach, jakie spotkały Polskę i wszystkich Polaków. Pan Cybulski odezwał się pocieszająco: „Nie martwcie się, dziś jedziemy do Rosji pod konwojem, a za dwa, może trzy miesiące możemy wracać do Polski. Przecież Francja już walczy i pewnie już i Anglia walczy, a jak pobiją Niemców, to i na Rosję przyjdzie kolej”.

Tak jechaliśmy dalej. 11 czerwca *bojec* podał nam gazetę, w której napisano, że Francja skapitulowała, Paryż rozbity i inne miasta. Wojsko się poddało albo poszło w rozsypkę, a teraz kolej będzie na Anglię. Śmieli się *bojcy*, że Francja i Anglia mieli nam pomóc i mieli nas odbić. Tak oni pomogli Czechosłowacji się odbić i wszystkim mieli pomagać, aż Germaniec ich rozbił.

Zasmuciliśmy się tą informacją, ale ja mówię, że jeszcze może się karta odwrócić. Ja mam nadzieję, że Ameryka wyda wojnę Niemcom, no i chyba ich wszystkich nie zawojują, zawsze się coś stanie.

Na każdej większej stacji doczepiali to po jednym wagonie, to po dwa i z takim samym nieszczęśliwym towarem, jak i my byliśmy. Gdy w jednym miejscu krzywił się tor, to widać było, że tych wagonów głuchych było przeszło dwadzieścia. Na każdej stacji kazali

nam się cicho zachowywać, aby przechodzący ludzie nie słyszeli, co się w tych wagonach wiezie.

Gdy dojechalim do granicy Białej Rusi, tam musieliśmy przesiadać się na pociąg radziecki, bo już tam był szerszy tor od polskiego. Dwa wagony, w których byli ludzie z więzienia łomżyńskiego, razem przesiadło się do osobowego dużego wagonu. Wtenczas widzę naszego komendanta gminy Drozdowo Franciszka Malinowskiego i wielu innych znajomych: prezydenta miasta Łomży Świderskiego, dyrektora Kasy Komunalnej pana Bielickiego, inspektora powiatowego pana Marszałka, on był już na emeryturze, potem urzędnika z poczty łomżyńskiej Jastrzembkiego i dyrektora Banku Polskiego Cybulskiego, który mówił, że dziś jedziemy do Rosji, a za parę miesięcy będziemy wracać do Polski i biedny nie wrócił już nigdy. Mówił, że Francja i Anglia pobiją Niemców, to potem pobiją Rosję i my wrócimy.

Spotkałem innych wielu z powiatu łomżyńskiego, no i tego chorego, co go te dwie panie całą drogę podtrzymywały. Był to senator hrabia Bisping z białostockiego województwa, już siwy i schorowany bardzo. Słyszałem tylko później o nim, że siedział w więzieniu w Mińsku dziewięć miesięcy, a potem zmarł w lasach archangielskich, w mieście Koźwie, sześćset kilometrów od Workuty.

Gdy dojechalim do Mińska, na stacji kolejowej wysiedliśmy wszyscy, chorego zaraz zabrali i te dwie kobiety, a nas trzymali w jakimś starym budynku do godziny jakiejś trzeciej rano. Potem przyszło więcej *bojców* i gnali nas przez tory kolejowe do ulicy i przez miasto do bramy więzienia jakiegoś bardzo wielkiego. Więzienie to było w bardzo starym klasztorze, ale tylko bramę otworzyli i wegnali nas na jakiś duży korytarz pod budynkami. Tam nas zatrzymali i kazali nam się rozbierać do naga i zdejmować buty i kamasze. Ja miałem buty z długimi cholewami, eleganckie, obuwałem się w nie tylko w niedzielę, gdy szedłem do kościoła albo gdy miałem jechać do Łomży po towary do swego sklepu.

Gdy *bojec* zrewidował moje ubranie, wziął się za moje buty. One miały z tyłu na szwie naszyty pasek skóry, żeby się cholewy nie gięły. Obszczupał ich i wyjął scyzoryk z kieszeni i chce ten naszyty pasek odpruć. Ja jego złapałem za rękę i proszę go, że tam nic nie ma, żeby mi nie psuł butów. Spojrzał na mnie, potem na te buty, jeszcze raz je obszczupał i kazał mi je obuć.

Tak samo zrewidowali nas jak przed odjazdem z Łomży. Rewidowali nas po czterech od razu, potem całą czwórkę wprowadzili do sali, nie bardzo dużej i co jakiś czas znowu czterech wpuszczali. Gdy ostatnią czwórkę zrewidowali, wypuścili nas i razem

wszystkich przegnali do dość dużej sali, tak zasranej, że nie było gdzie nogą stąpnąć, żeby nie było kału grubości jakichś piętnastu do dwudziestu centymetrów.

Pośrodku sali stał okrągły, gruby słup, podtrzymywał sufit, chyba żeby się nie zawalił. Na tym słupie dokoła, dokąd tylko można było ręką sięgnąć, były napisy polskie - nazwiska i imiona tych, co tu byli przetrzymywani przed nami, nie wiadomo jaka ilość, bo i na ścianach też było bardzo dużo podpisów - wszystkie polskie.

Za jakieś dwie godziny przynieśli nam jeść, jakąś zupę i gdzieś tam trafiał się mały kartofelek, ale prawie nikt nie miał żadnej miski ni jakiegoś naczynia, więc przynieśli kilkanaście misek, łyżek i dla dwóch do miski nalewali dwie porcje tej zupy, to tak każdy się zwijał, żeby mógł zdążyć przed tym drugim zjeść tyleż, co i on.

Tego dnia przed wieczorem, po tym obiedzie z zapachami z podłogi, smród był z ust, gdy się oddychało, tak jakby w tej zupie było łajno.

W tej zasranej sali były pod sufitem dwa okienka małe otwarte, okratowane. Było zimno, tak że niektórzy zaczęli chodzić. Zrobił się na sali jeszcze gorszy smród. Ja siedziałem obok Malinowskiego i Nowackiego, bo byliśmy jeszcze razem i umawialiśmy się, że jak będziemy brani na śledztwo, to żeby się nie przyznawać, że należymy do organizacji i że w ogóle nic o niej nie wiemy. Podaliśmy sobie ręce i więcej z Franciszkiem Malinowskim już się nie widziałem nigdy w życiu.

Po tej ostatniej rozmowie zaraz weszło dwóch bojców i sześciu z naszej sali zabrali i poprowadzili przez podwórze do prawdziwego więzienia, do cel ponumerowanych nad drzwiami, w piwnicach pod więzieniem. Korytarz był bardzo długi i szeroki około trzech metrów.

W następnej szóstce byłem wzięty i ja. Na dworze było jeszcze widno, ale gdy się znaleźlim na korytarzu, to było już ciemno. Przed drzwiami jeden *bojec* był z karabinem, zawsze szedł z tyłu, a drugi tylko z kluczami. Zatrzymaliśmy się przed jednymi drzwiami i od razu dwóch wpuścili do celi. Podeszliśmy do drugich drzwi, wpuścili tylko jednego, do następnych drzwi - wpuścili znowu jednego. Idziemy dalej, westchnąłem, oby Bóg dał, żeby nas obydwóch do jednej celi wpuścili, zawsze to byłoby raźniej we dwóch Polaków, bo nie wiem, czy ja będę sam w tej celi, czy może z ruskimi więźniami, to oni mogą mi dokuczać. W następnej celi jednego zostawiają, a mnie prowadzą dalej. *Bojec* otworzył drzwi do sali, w której było ciemno. Gdy pomału nogę przełożyłem przez próg, dostałem kolbą od karabinu w plecy, małym się nie przewrócił.

Zatrzymałem się jakieś dwa metry od drzwi, które bojec zaraz zamknął i rozglądam się po celi, żeby się rozpatrzeć trochę. Przy drzwiach z lewej strony stało łóżko w kącie, wzdłuż celi, reszta łóżek stała w poprzek celi, siedzieli na nich ludzie.

Przy pierwszym łóżku stał wysoki człowiek i zapytał mnie: „*Otkuda wy?*” Gdy się trochę rozpatrzyłem, oglądam się na niego i odpowiedziałem, że z łomżyńskiej guberni. Gdy te słowa powiedziałem, dwóch ludzi podniosło się szybko na nogi i jeden woła mnie: „Panie, chodź pan tutaj. Pan od Łomży?” Mówię: „Tak, z Drozdowa, Pieńkowski jestem”. A on na to: „A ja z Suchych Baczów, nazywam się Baczewski i mieszkam niedaleko Czerwonego Boru”. Potem podszedł jeszcze jeden mężczyzna, trochę młodszy od Baczewskiego, też Polak i pyta się mnie, czy pan z tego Drozdowa, co umarł Roman Dmowski. Mówię, że tak, z tego. „A to tam był dwór i browar?” Mówię: „Tak, był”.

Ten, co pytał się mnie, czy z tego Drozdowa, co umarł Roman Dmowski, to był z Grajewa. Nazwiska swego nie powiedział, tylko pytał się, co słyhać, czy już Francja i Anglia wydały wojnę Niemcom. Powiedziałem im, że Niemcy już Francję zawojowali i połowę zajęli pod swoje panowanie, a drugą połowę mieli rządzić Francuzi, ale pod nadzorem niemieckim. A Anglia jeszcze wojny Niemcom nie wydała i siedzi cicho na razie.

Wszyscy posmutnieli, gdy to im powiedziałem, bo siedzieli już po parę miesięcy i nic nie wiedzieli, co się robi na świecie. Nadzieja się oddala, nie wiadomo na jak długo. Wszyscy posiadali też na łóżku obok Baczewskiego, ale ten Ruski, co się pierwszy zapytał „*otkuda wy?*”, stał i pilnie słuchał i patrzył w naszą stronę. Ja już się dobrze rozpatrzyłem i przyglądam się jemu.

Czegoś podobnego w swoim życiu nie widziałem jeszcze. Wysoki, łysy, włosy tylko po bokach rosną na głowie, cały obrośnięty jak baran aż do kolan z pokręconymi włosami. Odwróciłem się do Baczewskiego i znowu rozmawiamy, pytam się jego, za co go aresztowali. On mówi: „Ja mieszkałem trochę z dala od wsi, zaraz przy lesie i przyszli do mnie enkawudziści i powiedzieli, że ja mam łączność z oficerami polskimi. I za to mnie aresztowali i zabrali”. Zawieźli go do więzienia w Łomży, tam siedział dwa miesiące i mówił, że go straszyli, bili i kopali codziennie w czasie śledztwa, raz w dzień, a drugi raz w nocy. Potem przewieźli do Mińska i tu już siedzi dwa miesiące. Ale ja znowu obejrzałem się w stronę tego Ruskiego. On w dalszym ciągu stał przy swym łóżku, lewą ręką trzymał się i patrzył na mnie. Ja zaraz się odwróciłem, ale po chwili znowu patrzę na niego po raz trzeci. On się roześmiał: Ha ha ha! To ja się jego pytam: „*Grażdanin, czto wam jest, czto wy takoj?*” i pokazuję mu swoimi rękami do swoich kolan, że on ma takie kołtuny od brody bez żadnej przerwy aż do kolan.

Na te moje zapytania on mi mówi: „Znajesz, ja w tej celi siedzę dziewiętnaście lat, bo byłem synem generała carskiego. A sam byłem w stopniu majora, dowodziłem szwadronem kawalerii i mnie wzięli do niewoli, przywieźli tu do Mińska, do więzienia, do tej celi wsadzili bez żadnego śledztwa, siedzę już dziewiętnaście lat. Byłem tłusty i gruby i z tego brzucha skóra się opuściła i dlatego ja tak wyglądam. I pewnie będę tu siedział aż do śmierci”. Nazwisko swoje potem powiedział, że nazywa się Ardamakow.

W tej celi siedział jeszcze jeden Litwin, nazywał się A. Pieczukiewicz i jeszcze jeden Białorusin, kapuś, który co usłyszał albo sam zaczął rozmawiać i narzekać na Stalina i na rząd sowiecki, to kto mu coś źle powiedział na Sowietów, to on zaraz szedł do drzwi i pukał, że chce iść do kancelarii. A *bojec* dyżurny już wiedział, o co chodzi, otwierał drzwi i go wypuszczał. On tam opowiadał, co Polacy na Sowietów gadali źle. Wtenczas, gdy on wrócił, to zaraz kogoś *bojec* zabierał, do kancelarii prowadził. Tam zaraz go badali i bili, gdy się wypierał, że on tego nie mówił, a na drugi dzień to już *śledowaciel* badał i też bez bicia się nie obeszło.

I tego kapusia tak z celi do celi przeprowadzali i on o wszystkim donosił. Trzeciego dnia wpuścili do naszej celi Dojlidę Franka z Białegostoku. Ten zaczął opowiadać, co Sowietci robią, ludzi aresztują i do więzienia wsadzają, nawet niewinnych. Ten kapuś słyszał to i zaraz puknął w drzwi i dyżurny mu otworzył i on w kancelarii to wszystko powiedział, co mówił Dojlida. Zaraz gdy kapuś wrócił, *bojec* zabrał Dojlidę do kancelarii. Gdy wrócił, był zaczerwieniony na twarzy i mocno zdenerwowany, ale już wiedział, że ten Białorusin doniósł o tym, co Dojlida mówił na sali. Kapuś usiadł na swoim łóżku z brzegu od korytarza, a Dojlida przeszedł dwa razy wzdłuż korytarza, a za trzecim razem szybko się odwrócił do siedzącego kapusia i jak nie rąbnie go w twarz. A ten fajt! z łóżka na podłogę, a Dojlida zaczął go kopać nogami. Kapuś zrobił krzyk, przyskoczył do drzwi, bębni obydwoma rękami i krzyczy, że Dojlida chce go zabić. Dyżurny drzwi otworzył, to kapuś zaraz wyskoczył na korytarz i krzyczy, że go zabić chcą. Dyżurny zamknął drzwi i poszli gdzieś obydwaj. Za jakieś dziesięć minut przychodzą do celi aż we trzech. Ten trzeci był dość gruby i wysoki, ubrany po wojskowemu. Pyta się kapusia, który go bił. On pokazuje na Dojlidę i mówi: „Ten”. Dojlida siedział na swoim łóżku. Ten to jakiś był starszy *politruk* i zwraca się do Dojlidy: „*Pajdziom* do kancelarii”. Dojlida wcale się nie podnosi, to ten krzyczy głośno: „*Wychadzij skarej!*” Dojlida nie wstaje wcale. Wtedy ten grubas wpada pomiędzy łóżka, łapie Dojlidę za rękę i ciągnie, ale obydwie łóżka się rozsunęły, a Dojlida siedzi na swoim. To grubas krzyknął na dyżurnego, żeby mu pomógł. Dyżurny skoczył, złapał Dojlidę za drugą rękę i za kilka minut szamotania wyciągnęli Dojlidę na korytarz i dociągnęli go do drzwi. Ale

tu Dojlida oparł się jedną nogą i obydwoma rękami o futrynę i nie mogą go wyciągnąć na korytarz. Grubasowi pot na łysinie wystąpił, nareszcie krzyknął: „*Czort z nim*, potem się z nim rozprawim!” Dyżurny drzwi zamknął, ale za jakieś trzy minuty znowu otworzył i wszedł kapuś, zabrał ze swego łóżka jakąś torbę i czym prędzej wyszedł z celi i już do nas nigdy nie wrócił.

Wszyscy czekamy, co z tego wyjdzie. Czy przyjdzie ich więcej po Dojlidę, czy może zaniechają, bo Dojlida za to uderzył go, że on na niego nieprawdę zeznał w kancelarii. Tak we drzwiach Dojlida mówił temu grubemu, gdy chcieli wyciągnąć go na korytarz.

Za parę dni do naszej celi przyprowadzili starszego człowieka z zarośniętą twarzą, chociaż wszyscy byli zarośnięci na brodach, jak Żydzi. W celi było gorąco i strasznie śmierdziało stęchlizną. Cella miała cztery metry szerokości i sześć metrów długości i małe okratowane okienki pod samym sufitem.

Obok mojego łóżka stało wolne łóżko. Ten nowo przybyły usiadł na nim i zaczął mocno stękać. Pytam się: „Co pana boli, że pan tak mocno stęka?” A on mówi: „To ostatnie moje śledztwo. We trzech mnie badali na przemian i bili, a gdym się przewrócił z taborka, to jeden złapał taborek za nogę i rąbnął mnie kantem tego taborka, aż się rozwalił, tylko jedna noga została w ręku tego, co mnie uderzył. Bili mnie leżącego na podłodze i kopali nogami, aż straciłem przytomność. Gdy odzyskałem przytomność, leżałem skulony na mokrym cemencie w kwadratowej celi, jeden metr szerokości, tyleż długości i wysokości. Na drugi dzień rano przyniósł mi *bojec* dyżurny śniadanie - czarną kawę i dwieście gramów chleba i powiedział, że na obiad przyniesie tylko dzbanek wody i na wieczór znowu kawa bez cukru, bo to jest karcer, to więcej nic nie dadzą, bo nie przysługuje”.

Po tym opowiadaniu znowu mocno stęknął i odpiął swoje kalessy, które miał krótkie, sięgały do kolan, zsunął je niżej i powiada: „Patrz pan, co mnie tak boli!” Zobaczyłem na jego prawym udzie taką głęboką i szeroką ranę, że gdybym swoją pięść złożył, to mógłbym mu do tej rany włożyć. Rana była już trochę obstarzała, bo siedział w tym karcu całe dziesięć dni bez żadnego opatrunku, tylko sobie swoim moczem ją przemywał i mówił, że całe szczęście, że drugiego dnia była zmiana dyżurnych i ten drugi dyżurny był bardzo dobry człowiek.

„Gdy mnie rano prowadził do ubikacji i patrzył się, jak ja swoją ranę obmywam, to aż swoje oczy ocierał chusteczką. Zaprowadził mnie do karca i przyniósł śniadanie - dwieście gramów chleba i czarną kawę bez cukru i dzbanek wody. Ale może za dwie godziny przyniósł mi znowu chleba jakieś trzysta gramów i prędko klapką we drzwiach podał mi i czym prędzej odszedł, żeby go nikt nie zobaczył. Gdy roznosili obiad po celach, ja też zacząłem



jeść ten chleb, co mi dał i wodą popijałem. Na korytarzu już ucichło, ale słyszę jakieś szybkie kroki. Zatrzymują się przy moich drzwiach. Strażnik otwiera i podaje mi pełną menażkę zupy kapuścianej, były w niej trzy małe kartofelki i powiada: »Kuszaj skarej, czto by nikt nie uwidział, a to byłoby mnie płocho«. Zjadłem, rozgrzałem sobie żołądek, bo jak mnie bojec rano zaprowadził na śledztwo, to trzymali mnie do wieczora i wczoraj dali tylko dwieście gramów chleba i kawę, i dzbanek wody. Byłem bardzo głodny i myślę, że chyba go Pan Bóg zrządził, bo całe dziewięć dni on mnie obiady przynosił i chleba nieraz całą pajkę, to znaczy sześćset gramów, bo chyba bym nie przeżył tych dziesięciu dni o dwustu gramach chleba i wodzie». Gdy powiedział, stęknął mocno, aż syknął i przestał mówić.

Po paru minutach ja jego zapytuję, skąd jest. On powiada: „Z Bieniakoń spod Wilna. Nazywam się Mickiewicz Ludwik, za cara byłem w wojsku rosyjskim, na wojnie z Niemcami. Po wojnie byłem kolejarzem, pomocnikiem maszynisty na parowozie, a po roku czasu byłem maszynistą dwa lata. Potem pojechałem do Ameryki Północnej, tam pracowałem w kopalni, zarabiałem osiem dolarów dziennie. Gdy już zarobiłem sporo dolarów, wróciłem do Polski, ożeniłem się i pracowałem na piętnastohektarowej gospodarce rolnej. Ziemia była dobra, druga i trzecia klasa. Ogrodu miałem około dwóch hektarów, były jabłonie, grusze, śliwy i porzeczki i do tego miałem dwadzieścia uli. Budynki zaraz po ożenieniu się pobudowałem nowe. Dobrze nam się powodziło, byłem dziesięć lat wójtem, aż do tej wojny. Mam już sześćdziesiąt siedem lat. W ciągu tych paru miesięcy w więzieniu odebrali mi zdrowie i zrobili mnie kaleką, a co będzie dalej, to chyba tylko Bóg raczy wiedzieć. Na śledztwie to grozili, że będę rozstrzelany, jak nie powiem, gdzie mam dużo ukrytej broni».

Ja mówię, że chyba pana ktoś oskarżył o tę broń. A on: „To oskarżył mnie jeden nauczyciel z naszej gminy. Gdy był na śledztwie, powiedział, że ja na pewno wiem, gdzie jest ta broń ukryta, a ja nic o tej broni nie wiem».

Po tej rozmowie on znowu zaczął stękać. A po mnie ciarki przeszły i myślę, czy ja tu będę na nowo badany, czy będzie na tym koniec, com na badaniu w Łomży zeznał. Przecież mam prawie taki sam zarzut, co miał Mickiewicz. O Boże, daj, żeby mnie tu już nie badali, bo bym takiego bicia nie wytrzymał!

Na drugi dzień bojec przyprowadził wysokiego mężczyznę, ładnie ubrany, starszy pan, może lat około pięćdziesięciu. Gdy już trochę odpoczął, zaczęliśmy go pytać, skąd on jest. Powiedział, że jest z Białegostoku, ale ukrywał się w okolicach Grodna u znajomych, aż jakiś gość zobaczył go i doniósł do NKWD. Przyjechali w kilka samochodów, otoczyli prawie całą wieś i go znaleźli w kryjówece, w sąsięku. Zaraz kajdanki założyli mu na ręce i nogi i samochodem przewieźli go do Grodna. A on był oficerem w wojsku polskim w stopniu

majora, nazywał się Marchewka. Tam go rozkuli z kajdanków i wprowadzili do dużej sali. Stał tam duży stół, a wkoło niego na fotelach siedziało aż dwunastu oficerów i to wszyscy od majora wzwyż.

Powiedział całą prawdę, że się ukrywał, bo wiedział, że go wsadzą do więzienia albo zabiją. Widział, co robią z Polakami. Siedział też na fotelu, ale wstał i im powiedział: „Źle robicie, powinniście obchodzić się dobrze z Polakami, bo prędzej czy później, jak na was Niemcy uderzą, to z Polakami wspólnie byśmy uderzyli na Niemców. Ale jak tak postępujecie z Polakami, pełne więzienia, a ile już wy zabili, to nie macie się czego dobrego od nas spodziewać”.

Wszyscy pilnie jego słów słuchali. Potem najstarszy rangą wstał i powiedział: „Może wiesz, gdzie ukrywają się oficerowie polscy, to powiedz. Niech oni się do nas zameldują, to potem *pogaworym*”. Na drugi dzień przyszedł dyżurny i zabrał majora Marchewkę jeszcze przed śniadaniem i on więcej do naszej celi nie wrócił. Nie wiadomo, co się z nim stało.

Po paru dniach przyprowadzili do naszej celi dwóch młodych chłopaków. Jeden nazywał się Kryński, syn kolejarza. Drugi nazywał się Zakościelny Stefan, syn murarza z Berezy Kartuskiej. Mieli z ojcem dwanaście hektarów ziemi ornej, dobrze im się powodziło. Ojciec dobrze zarabiał na budowach, a on prowadził bibliotekę i jednocześnie świetlicę. Był bardzo czytany i nadzwyczajną miał pamięć.

Na jaki temat go się o co pytałeś, umiał odpowiedzieć i szeroko mówić o różnych krajach, a najwięcej miał wiedzy o Rosji i jej republikach i całej gospodarce władz. Mówił: „Patrzcie po tych miskach i łyżkach, jaki u nich porządek!” Prawda, że ani jednej nie było podobnej do dobrej, prawie wszystkie pogięte, po wrębach zardzewiałe, dziurawe łyżki, wszystkie były drewniane. Jeżeli chodzi o przynoszenie jedzenia, nie było na to żadnej pory. Całe więzienie było przepelnione aresztowanymi, mówili, że w tym więzieniu w Mińsku siedziało od dwunastu do trzynastu tysięcy Polaków.

Toteż gdy dzisiaj dostalim obiad na godzinę dwunastą, to jutro już był na trzynastą i tak co dzień, to o godzinę później,. To było i o północy, i aż rano, a potem znowu tak samo było dawane. Utrzymywał nas tylko chleb, dostawaliśmy go sześćset gramów. Najlepsza to była skrajka pierwsza z brzoza albo ostatnia z końca bochenka, bo ze środka bywał zawsze niedopieczony.

Każdy dawał kawałek chleba na warcaby albo na szachy, ze środka, bo można go było gnieść i robić z tego figurki. Jeżeli chodzi o kolor figurek czy warcab, to do białych skrobało się delikatnie ścianę, a do czarnych paliło kawałek szmaty na popiół, mogła to być czy podszewka, czy jakaś zakładka z rękawa albo naskubana z koca jakaś czarna materia. Ale

do tej roboty trzeba było bardzo ostrożnie się brać, bo dyżurny, chodząc wciąż po korytarzu, to nieraz uchylał klapkę we drzwiach i przyglądał się, co się w sali robi. Gdy coś zauważył, otwierał drzwi i zabierał, co popadło - czy warcaby, czy szachy, tylko dykty, na której były namalowane kwadraty czarne i białe do grania w szachy czy warcaby, nie zabierał. Nieraz zabrał i już szedł do drzwi, ale jak się go poprosiło, to oddał.

Stefan Zakościelny lubił śpiewać i dużo umiał pieśni ruskich, a głos miał ładny, wysoki tenor. Ale gdy śpiewał ruskie piosenki, to dyżurny mówił: „Tylko ciszej, *a to kak usłyszyt śledowaciel, to budiet mnie rugał, nie nada gromko śpiewać*”. Nie dali nam śpiewać „Kiedy wstają ranne zorze” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Ja też śpiewałem pieśni pobożne i ludowe, ale tylko w myślach, a tak dużo ich umiałem. To jak było nas mniej w celi, to chodziłem korytarzem pomiędzy łózkami tam i z powrotem, i znowu tam i z powrotem, aż dużo tych swoich piosenek w myślach wyśpiewałem.

Razu jednego Stefan zaczął śpiewać piosenki ruskie. Dyżurny uchylił w drzwiach klapkę i mówi: „*Pociszej śpiewaj, a to może kto usłyszyc!*” Stefan ściszył głos, a dyżurny cały czas przy drzwiach stał i słuchał. Gdy Stefan skończył śpiewać, dyżurny powiedział, że w obiad przyniesie nam repety, bo nieraz w kuchni coś zostanie z obiadu, to potem dyżurny do której celi chce, to przyniesie i rozda po trochu. Stefanowi dał raz papierosa i powiedział, żeby on ruskie piosenki śpiewał, ale po cichu, bo on lubi słuchać.

Stefan nie palił, oddał tym, co palą. To zaraz wszyscy posiadali w kolejkę i każdy raz pociągnął dymka i drugiemu podał. I tak po jednym dymku, jak starczyło, to wszyscy pociągnęli. Ja papierosów ani machorki nie paliłem i nie wiedziałem, co to jest nałóg palenia.

Otóż opiszę, co tam w tej celi zobaczyłem - palacze pruli szwy w swych marynarkach i śmieci wydłubywali z piaskiem i sierścią, różne prochy zwijali w tutki od papierosów i to palili. Śmierdziało to w całej celi, ale co można było zrobić. Gdy się skończyły te śmieci z marynarek i z sukmanów, to skubali koce, którymi się okrywali, a dość łatwo dały się skubać, bo były bardzo stare, może miały po czterdzieści lat, a może i więcej. Ale gdy to skubanie szło, to jeden musiał stać przy drzwiach plecami, że gdyby dyżurny klapki podniósł, to nie zobaczyłby, co się w celi robi. Bo gdyby zobaczył, to byłaby bieda. No i potem znowu zwijanie w tutki i palenie. Co to był za smród! Ja aż nos ścisnąłem, żeby się jak najmniej tego nawąchać.

No ale to jeszcze nie wszystko. Do ubikacji zawsze prowadzali nas rano i wieczorem, a mieliśmy stale taki kibiel do sikania, który stał całe dnie i noce w celi. Siki to jeszcze były znośne, ale często się zdarzało, że jakiś chory na żołądek miał rozwolnienie, to siadał na kibiel i się załatwiał. To można się było nawąchać przez cały dzień albo przez całą

noc, bo tylko się wynosiło rano albo aż wieczorem, jak prowadzili do ustępu. Tam, gdy się wszyscy załatwili, to potem kibel wypróżniali i wody nabierali i miotłą go szorowali w kilku wodach. Codziennie dwóch innych tę czynność robiło, kolejka obowiązywała wszystkich, chyba że ktoś był chory, to omijano go.

Ja tej nocy mało spałem. Zaraz z wieczora jeden nawalił do kibla. Spałem trzeci od okienka. Wstałem i pomału przysunąłem się do tego okienka. Taki ostry wiatr wiał prosto w okienko i na mnie, poczułem ból w szyi i w całym karku. Wróciłem na swoje łóżko, nakryłem się kocem, ale usnąć już nie mogłem. Rano przyszedł dyżurny i jakiś urzędnik z kancelarii na *powierkę* policzyć, czy wszyscy są. Codziennie rano zawsze sprawdzali. Gdy wszedł do celi, wszyscy musieli z łóżek wstać, każdy naprzeciw swego łóżka. Zawsze przychodzili z grubszym zeszytem i z ołówkiem w ręku.

Gdy sprawdził i miał wychodzić, ja podszedłem do niego i proszę, żeby mnie zapisał do lekarza. Popatrzył na mnie. Głowę mi skręciło w prawo, tak że broda aż prawie była nad ramieniem. Zapisał i powiedział, że o godzinie dziesiątej przyjdzie po mnie. Ja już głowy nie mogłem skręcić na wprost siebie. Gdy próbowałem, to zaraz czułem straszny ból w karku i szyi. Myślę sobie: „Mój Boże, całe swoje życie byłem prosty, a tu zrobiłem się garbaty. Gdy da Bóg, że wrócę do Polski, to będzie nas dwóch w Drozdowie garbatych - Wiśniewski Adam i ja drugi”.

Ba, ale czy ja wrócę, to jest wątpliwe, nic nie wiadomo. Na śledztwo jeszcze mnie tu nie wzywali, dał Bóg, żeby już więcej nie badali. O dziesiątej przyszedł dyżurny i ten z zeszytem, co mnie zapisał i patrzy w zeszyt i wyczytał głośno „Pieńkowski”. Odezwałem się: „Jest”. „Aleksander?” Mówię: „Da”. „Chadzij do lekarza”.

Poprowadził mnie po schodach na parter i tam podeszlim kawałek korytarzem, zatrzymaliśmy się przy drzwiach, na których było nadrukowane: *Wracz*. Zapukał do drzwi. Jakaś kobieta powiedziała cienkim głosem: „Wejść”. Weszlim. Naprzeciw stało biurko, za tym biurkiem stała kobieta, lat może około trzydziestu, włosy miała widny blond, a na twarzy była piegowata.

Z prawej strony, ze szczytu biurka siedział w mundurze wojskowym oficer z dwiema gwiazdkami na pagonach. Ja, gdy tylko weszlim, powiedziałem jak zwykle „*Zdrastujcie*”. Potem pyta się: „*Szto was bolit?*” Ja jej odpowiedziałem, że mnie dziś w nocy przeciąg głowę skręcił, że nie mogę naprostować. Gdy to próbuję, to mnie strasznie boli i proszę ją, żeby mi przeznaczyła jakąś maść do smarowania, to może nie będzie boleć.

Ona patrzy się na mnie i mówi: „*Nie nada niczewo, eto samo prajdzio!*”. I dyżurny mówi: „*Pajdzio!*” Przeprowadził mnie do celi, zamknął i poszedł.

A przedwczoraj wprowadzili do naszej celi Ludwika Mickiewicza z Lidy, aptekarza i razem jakiegoś stolarza, starszego już człowieka, pewnie po sześćdziesiątce.

Aptekarz się pyta: „Co panu powiedzieli?”, bo wiedział już, że żadnego lekarstwa nie dostanę, bo mówi: „Wszystkie lekarstwa przygotowują na front, do szpitali, a tu oni nie mają, oni coś przeczuwają”.

Opowiadał, że miał w Lidzie swój własny dom i swoją aptekę i że żona jego i córka pozostały w domu. Opowiadał, jak razu jednego dali mu do pomocy jakąś Rosjankę, która miała jemu pomagać przygotowywać lekarstwa. Sama mu opowiedziała, że ukończyła trzymiesięczny kurs magisterski i że wie wszystko z dziedziny aptekarskiej. „Pokiwałem głową i mówię jej: »Jak to u was prędko nauka się rozwija. U nas trzeba najmniej trzy lata się uczyć na aptekarza, a u was aż dziw, naprawdę«. Ale co od razu się pokazało? Przychodzi do apteki jakaś kobieta z receptą po jakieś lekarstwo, a ona wzięła receptę do ręki, patrzy się dłuższy czas i podchodzi do mnie i mówi, że ona tego nie może przeczytać. Ja, widząc jej to wysokie wykształcenie i zaawansowanie, wziąłem receptę do ręki i musiałem jej mówić i pokazać, gdzie co stoi czy leży i ile tego wsypać, i innego znowu tyle, i to wszystko na wagę w gramach. A jak jakieś krople, to też ona w ogóle recepty przeczytać nie mogła. Za parę dni przydzielili do apteki kasjera z kasetką żelazną, cały utarg na wieczór zabierał i kasetkę ze sobą. Nareszcie aptekę zabrali i dali pensję jako kierownikowi - sześćset rubli na miesiąc, a po miesiącu przyszło NKWD, zabrali mnie i tu do Mińska, do więzienia wsadzili za to, że ja dawniej mieszkalem w Wilnie, a teraz w Lidzie. Ale to taka pretensja, żeby zabrać aptekę”.

Teraz wrócę do swojego garbu. Rano przyszedł dyżurny, poprowadził do ustępu, po załatwieniu się wszystkich i wymyciu kibla wróciłem do celi, położyłem się na łóżku, nakryłem się kocem na głowę, boli mnie bez przerwy cały kark i szyja, nawet nie mogę się przewrócić na drugi bok. Stękam z bólu. Sienkiewicz tylko stęka, gdy się przewraca, a tak to nie stęknę, widać, że jemu jest lepiej trochę. Rano przynieśli nam chleb, kawę i cukru każdemu pudełeczko od zapalek, bo prawie codziennie nam cukier dawali, rzadko kiedy nie dali, powiedzieli, że *siewodnia nie chwaciło*. Na obiad przynieśli jakąś zupę trochę zaczerwienioną i w niej znajdowały się plasterki jakby suszonej brukwi. Jakoś na szczęście wpadł mi kawałek śledzony, była śmierdząca, ale się zjadło. Zapytałem się Sienkiewicza: „Z jakiego to stworzenia może ona być?” A on mówi: „Pana szczęście spotkało, a pan jeszcze się pyta, z jakiego to stworzenia! Nam tak to jest potrzebne - kawałek mięsa, a to się trafia raz na parę miesięcy”. Okazało się, że po kawałku dostał tylko Zakościelny i ja.

Gdy trzeciego dnia ból mi nie ustępuje, a głową ani ruszyć nie mogę, Mickiewicz popatrzył na mnie i mówi: „Po śniadaniu ja panu zrobię masaż, to powinno panu pomóc”.

Po śniadaniu, które z biedą pomału zjadłem, Mickiewicz każe mi się położyć na brzuchu. Zdjąłem z siebie koszulę i położyłem się na brzuchu, a on mówi: „Choć pana i będzie boleć, niech pan zęby zaciśnie i nic nie mówi, a ja będę panu robił masaż”. Czuję, jak on bierze za skórę kciukiem i dwoma palcami unosi do góry lewą ręką, a prawą ręką kantem uderza mnie pod palce po odciągniętej skórze. Zabolało mnie to, ale nic nie mówię. A on jak tak zaczął od krzyża, tak prosto jedzie do góry, do samego karku, potem zaczyna znowu obok tamtego pasa i robi to samo aż do góry. Sykałem z bólu, ale czekałem, co to będzie dalej. A on zmęczony usiadł obok mnie. „Troszkę odpocznę - mówi - zaraz będę robił drugi masaż”. Pytam się, czy taki sam. On mówi, że nie. Zaciśnął swoje obie ręce w pięści i powiada: „Będę teraz gniótł pana tymi kłykciami po całych plecach”. No i teraz wstał i zaczyna naciskać, to strasznie boli, a on mówi: „To nic, za parę minut nie będzie boleć”. Już nic nie mówiłem, aż skończył.

A on znowu usiadł i mówi: „Trochę odpocznę i jeszcze raz zrobię to łokciem”. Patrzę na niego, a on cały jest spocony i dyszy ze zmęczenia. Ja jemu mówię: „Pana noga boli. Aby to panu nie zaszkodziło”. A on mówi: „Ja stoję na tej zdrowej nodze, a tą chorą to tylko lekko się podpieram palcami, to tak tylko trochę boli”. Wstał i mówi: „Niech pan tylko będzie cierpliwy!” I dalej zaczął mnie tym łokciem naciskać, aż pot z niego kapał na mnie. Nareszcie skończył i mówi: „Na dzisiaj dosyć, a jutro znowu to samo trzeba robić, bo raz to nic, trzeba kilka dni robi, aż panu się głowa nawróci. Niech pan sam sobie palcami masuje szyję, chociaż i boli, po trochu, ale nie raz, czym więcej razy, to lepiej będzie”.

Robiłem sobie masaż pomału sam, ale tylko dwa razy do wieczora, bo bolało. Ale już na drugi dzień tak mi się wydawało, że może jest trochę lepiej. Drugiego dnia po takim samym masażu, jaki mi zrobił pan Mickiewicz i potem ja sam sobie zrobiłem przeważnie po tej stronie, w którą miałem brodę skręconą, to już trzeciego dnia mogłem trochę głową ruszyć i nadzieja we mnie wstąpiła, że może Bóg da, że ja jeszcze dojdę do siebie i głowa mi się naprostuje.

Pod koniec czerwca jeszcze mnie nie brali na śledztwo, coraz to dobawiali do naszej celi nowych aresztowanych. Przyprawdzili szofera z Baranowicz, nazywał się Michałowski Kostek. Na śledztwo go nie brali na razie. Mnie po tygodniu czasu już pan Mickiewicz wyleczył tymi masażami. Głowa się naprostowała, a szyja to jeszcze trochę bolała, ale ręką rozcierałem i też już nie boli.

Prawie codziennie dziękowałem panu Mickiewiczowi za te bolące masaże. Polubiłem się obydwaj. Ja jemu się zwierzyłem, że byłem w organizacji podziemnej i za to mnie aresztowali, ale ja się nie przyznałem do tego. Miałem śledztwo w Łomży, w więzieniu badali

mnie osiem dni i potem przewieźli razem z innymi, około sześćdziesięciu ludzi, do Mińska. A czy tu będą jeszcze mnie badać, tego nie wiem.

On powiedział mi, że wiedział, gdzie była broń ukryta, ale też nie powiedział i to tak go za to bili, bili. Powiedział też, że syna aresztowali i wywieźli gdzieś, że nic o nim nie wie. Została w domu żona i córka. „Nie wiem, czy ich nie wywiozą. W jednym z uli z pszczołami miałem ukryte dwa tysiące rubli w złocie, jeszcze dawne carskie. Nie wiadomo, czy ich kiedy jeszcze zobaczę”.

W więzieniu pocieszał wszystkich, on był dla mnie jak rodzony ojciec. Wszystkim mówił: „Zobaczycie, jeszcze się wszystko zmieni. Ja byłem na wojnie za cara. Była też wojna z Niemcami i wróciłem. Prawda, że byłem młody, ale aby tylko Bóg dał zdrowie, to mam nadzieję, że jeszcze wrócę do swego domu. Śledztwo zakończyłem raną na udzie, pomału się goi, już i bólu mam tylko połowę. W Bogu nadzieja, trzymajcie się wszyscy i nie martwcie się, jeszcze będzie dobrze, zobaczycie! Ja tylko chciałem wrócić do swojej kochanej Ojczyzny Polski i zastać swoją żonę i córkę, o majątek mi się nie rozchodzi. Trudna to jest era, okres dwutysięczny po Narodzeniu Chrystusa Pana. To taki kataklizm musi przejść po całym świecie i każdy prawie to odczuje. Będzie szukać ojciec syna, córki, żony, a one będą szukać znowu ojca. A będą takie dzieci, co nie znajdą ani swego ojca, ani swej matki - sieroty. Ale każdy musi wierzyć, że wróci, bo wiarą i nadzieją człowiek się podtrzymuje i żyje”. I tak zawsze wszystkich pocieszał.

Pod koniec czerwca znowu do naszej celi wpuścili dwóch mężczyzn, jeden od razu powiedział, że jest z Rakowa, niedaleko od granicy bolszewickiej. Nazywał się Piekarski Władysław. Wieś była duża i w niej był Urząd Gminy, przed wojną był sekretarzem w tej gminie. A w 1940 roku, już za bolszewików, pracował na poczcie w Mołodecznie. Wszedł w binoklach, wyglądał jak jakiś dygnitarz.

Drugi był gajowym, mieszkał w tej samej wsi co i Mickiewicz. Mówił, że był natenczas w domu, jak zabierali jego żonę i córkę z zięciem i wywieźli ich do stacji kolejowej. Po wywiezieniu ich rzucili się Białorusini na rabunek wszystkiego - meble, zboże, siano i kartofle, a potem i ule z pszczołami.

Ja obserwowałem Mickiewicza, jak ten gajowy mu opowiadał, jakie na nim wrażenie ta tak bolesna wiadomość wywrze. Mickiewicz posmutniał na chwilę, ale ani łza nie pokazała mu się w oczach. „Trudno, nie tylko ja padłem ofiarą, ale setki tysięcy rodzin polskich takie wielkie nieszczęście spotkało. Ja zdaję się na wolę Boga ze wszystkim. Jak Bóg da, to wszystko się wróci - i żona, i córka, i syn, i może się wszyscy spotkamy. To jest tylko w Bogu nadzieja. Uważam po swoim życiu i czynach i wierzę mocno, że Bóg miłosierny tak

zrządzi, że ja wrócę do swojej kochanej Ojczyzny, którą tak kocham, jak dawniej swoją rodzoną Matkę”.

Poznałem w nim silną wolę i postanowiłem wziąć przykład z niego, a on usiadł na łóżku i nic więcej nie mówił. Ja też się zamyśliłem i po paru minutach westchnąłem i w myślach mówię: „Boże, ja też zdaję się na Twoją wolę i wierzę mocno, że Ty, Panie Boże, dopomożesz mi wrócić do mojej kochanej Ojczyzny, do kochanej żony mojej i do dzieci i do wszystkich moich kuzynów i znajomych i do kochanego Drozdowa, w którym się urodziłem i dużo społecznie pracowałem, i gdzie przy pomocy innych zorganizowałem Ochotniczą Straż Pożarną w roku 1928”.

Wspomniałem swojego śp. Ojca Mateusza i swoją śp. Matkę Julianę, którzy są pochowani na cmentarzu drozdowskim. Ojciec zmarł w roku 1915, a Matka w roku 1916. Wszystko myślałem tego dnia i w nocy, tylko o Drozdowie.

Nad ranem spałem twardo. Przyszedł dyżurny, drzwi otworzył na oścież i woła: „*Anuka idziom do uborny ! /ustępu/*. Gdy wróciłem, dali pajkie chleba sześćset gramów, pudełko kryształu od zapalek i zaraz przynieśli czarną kawę, którą cierpał kucharz takim cierpakiem trzy czwarte litra. Po śniadaniu znowu myślę, że ja takich lat nie dożyję, co mój Ojciec. Miał osiemdziesiąt sześć lat, ale w więzieniu nie siedział i na wojnie nie był, a ja byłem w roku 1919 na wojnie z Ukraińcami, a w roku 1920 z bolszewikami w okolicach Lwowa, Złoczowa, Tarnopola aż przy granicy dawnej Polski, miasteczko Skalał i Osiutatycz i inne. Mam dopiero lat czterdzieści trzy, połowę jak raz co miał mój Ojciec.

Siedzę w więzieniu w Mińsku, a w więzieniu w Łomży grozili mi, że mnie rozstrzelają, jak się nie przyznam, że należałem do *podpólnej* organizacji i byłem komendantem we wsiach Drozdowo i Niedowa. Ja się tłumaczyłem, że ja nic nie wiem o żadnej organizacji i nie byłem żadnym komendantem.

Badali mnie osiem dni i przywieźli do Mińska i siedzę już prawie dwa miesiące spokojnie. Na śledztwo mnie jakoś nie wołają i nie wiem, co w ogóle ze mną będzie. Na korytarzu słycać straszne krzyki, bo przy badaniu biją, kopią nogami, aż ciarki po plecach chodzą, gdy to się słyszy. Bo przecież wiemy, co robili z Mickiewiczem. Najgorzej się czułem pod koniec lipca 1940 roku. Przywozili i rozprawdzali po celach w całym więzieniu. Ja, nie wiedząc, co się ze mną stanie, przygotowywałem się choćby na śmierć.

Modliłem się, pacierze odmawiałem w myślach i rano i wieczorem, i tak samo pieśni pobożne w myślach śpiewałem. Czasem budzę się w nocy i ja klęczę na kolanach i odmawiam pacierz. Czasem dopiero zacząłem „Ojcie nasz, któryś jest w niebie”, to już go



do końca mówiłem, „Zdrowaś Maryja”, a czasem już mówiłem „Wierzę w Boga Ojca” i to zawsze klęczałem, ale też i zawsze dokończyłem „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Maryja” i „Wierzę w Boga Ojca”.

Tak się przygotowywałem do pojednania z Bogiem, bo nie wiem, co może być jutro. Może mnie rozstrzelają i bez księdza, bez spowiedzi i komunii świętej. Ale nie tylko ja się modliłem, inni też się modlili i wzdychali do Pana Boga, prosząc o szczęśliwy powrót do swojej Ojczyzny i do swoich rodzin. A tu nic nie wiadomo o powrocie.

Klapka we drzwiach się odchyliła i dyżurny woła na *bukwu* K, odezwał się Kryński i na *bukwu* Z - odezwał się Zakościelny. „*Wychodźcie z wieszczami*”. Z Zakościelnym się pocałowałem, potem Mickiewicz się z nim pocałował i więcej by się z nim całowali, ale dyżurny drzwi już otworzył i krzyknął: „*Wychadźcie skarej*”. Widziałem łzy w oczach Zakościelnego, to był dobroci chłopak, nazywałem go swoim zięciem. O swoim ojcu też nic nie wiedział. Jak go aresztowali i wywieźli, nie dawał żadnego znaku o sobie. Pozostała w domu tylko matka i siostra, ale też nic o nich nie wie, może ich wywieźli. Często sobie podśpiewywał. »Nie dbam, jaka spadnie na mnie kara, więzień, Sybir czy kajdany, zawsze pracować będę na cara. Polak tułacz i wygnany«.

A jak już wpadł w gniew, to jedną kończył, a drugą zaczynał. I znał także alfabet Morse’a, co się puka w ścianę i porozumiewa. »Ta nasza Polska, kraina, gdzie kwitnie tak pięknie maj, o której serce wspomina. To nasz kochany kraj« itd.

Nieraz za jego śpiew dyżurny przyniósł repetę dla wszystkich. Odszedł od nas, miał już śledztwo zakończone. Nie wiadomo, jak go osądzą za to tylko, że prowadził w Berezie Kartuskiej bibliotekę.

Zaraz po tych dwóch co odeszli, na drugi dzień zrobił się ruch na korytarzu. Słyszeliśmy, jak drzwi otwierali i aresztowanych wpychali i zamykali. I szli po drugich i po kolei do każdej celi świeżych zamykali. A mnie się śniło tej nocy, że byłem we młynie i tam dużo stało worków z mąką. I tego dnia do naszej celi wprowadzili aż ośmiu ludzi. Przywieźli ich z więzień z Polski, bardzo duży transport. W każdym mieście doczepiali pełne wagony, a najwięcej z Białegostoku. Mówili ci, co do nas przyszli, że chyba trzy wagony.

Pierwszy wszedł do naszej celi Juliusz Grzędzielski. Zabrali go wprost ze szpitala psychologicznego (psychiatrycznego) w Choroszczy z gołą głową, w ładnym garniturze i w koszulce siatkowej koloru ciemnogrnatowego. Był doktorem i lotnikiem w stopniu porucznika, a urodził się we Lwowie. W Choroszczy pracował jako doktor. Był młody, lat trzydzieści cztery, przystojny, energiczny, a wyglądał na sportowca. Miał ogromną pamięć

jak Zakościelny, opowiadał nam, jak ratował człowieka w różnych nagłych wypadkach i gdy nie było blisko doktora.

Dużo skorzystałem z tych lekcji, ale mnie później wybili i wykopali nogami prawie całą moją pamięć i to czegom się nauczył. Potem opowiadał nam dokładnie „Trylogię” Sienkiewicza, od początku rozdział pierwszy i wszystkie rozdziały po kolei aż do końca. Najpierw „Ogniem i mieczem”, potem „Potop” od początku aż do końca, potem „Pan Wołodyjowski” . I „Krzyżacy”, też od początku aż do końca. Wszyscy się dziwowali, żeby tak można zapamiętać i to wszystko, rozdział po rozdziale opowiedzieć.

Drugi z nowo przybyłych był nauczycielem z powiatu łomżyńskiego, uczył dzieci w szkole w Przytułach. Nazywał się L. Koziół. Zarzut - partyzantka. Trzeci był rolnikiem, nazywał się Fr. Lupiński, miał większe gospodarstwo w bok Zambrowa. Był na wojnie z Niemcami, dostał się do niewoli, z której uciekł. Wstąpił do Polskiej Organizacji Podziemnej, ja też do tej samej należałem. Jakiś szpicel go oskarżył. Ścigali go kilka miesięcy, ale zawsze udało mu się zwać. Ale ten szpicel go pilnował. Jak on poszedł do stodoły spać, on dał znać, gdzie jest, przyjechali w kilka samochodów. Z dała samochody zostawili, otoczyli stodołę i zaczęli go szukać, a on zakopał się w sianie. Oni po tym sianie chodzili i raz przy razie bagnietami dziubali w to siano. „Obok mnie jeden dziubnął w siano, ale blisko mnie, potem szedł z powrotem i wlaźł na mnie nogami i krzyknął: „Jest!” Ja się zerwałem, głową mu rąbnąłem w brzuch. On się przewrócił i ja bryknąłem z zasieka na klepisko. Ale rzucili się na mnie od razu z dziesięciu, kajdanki mi nałożyli, na samochód wpełnęli i za dwa dni odwieźli mnie do Białegostoku, a potem do Mińska.

Potem było dwóch braci stryjecznych, nazywali się Rzędziany. Przypomniało mi się z książki „Ogniem i mieczem”, że to ich mógł być prapradziadek, który u Jana Skrzetuskiego był pacholkiem, a po wojnie grubym urzędnikiem na Mazowszu.

Ale wróćmy do tematu, kto jeszcze w tej ósemce wczoraj przyszedł do celi 140, do nas. Przybyło jeszcze trzech razem z Rzędzianami, doktorem i innymi. Byli to młodzi rolnicy, też z okolic Białegostoku, a siedzieli w więzieniu w Białymstoku, ich nazwisk nie pamiętam, zarzut mieli - partyzantkę.

W naszej celi robiło się ciasno, łóżka pozsuwali jedno do drugiego i spalim jeden przy drugim, jak śledzie, inni na podłodze. Obok mnie spał z prawej strony aptekarz Mickiewicz, a z lewej strony spał Władysław Piekarski, a Sienkiewicz spał za aptekarzem. Spaliśmy bez koszul, tylko w kalesonach, jakie kto miał, jeden w długich, w inni w krótkich. Było strasznie gorąco pod koniec lipca 1940 r. Ciała się stykały i z prawej strony, i z lewej

strony. Ja byłem strasznie gorący. Mickiewicz mówił: „Pan ma niezdrową krew w sobie” i odgradzał się ode mnie swoją koszulą, a Piekarski jakoś wytrzymał tę moją gorączkę.

Razu jednego w nocy śni mi się, że idę z łak z jedną młodą kobietą ładną, często nam przed wojną pomagała obrzynać mięso na kiełbasy. I mamy przechodzić przez Narwicę. Woda była nie bardzo głęboka. Ja zagiąłem nogawki, ona uniosła spódnicę z koszulą i przeszliśmy. Ja odwinąłem nogawki, ona opuściła spódnicę z koszulą. Przy Narwicy była murawa. Ja jej mówię: „To może tu na tej murawie zrobimy uczynek miłosny?” Ona usiadła i mówi: „Możemy, mój mąż jest teraz w wojsku”. Co dalej było, nie wiem, tylko słyszę głos obocznika Piekarskiego: „Panie Pieńkowski, co tu pan ze mną wyprawia?! Śtura pan mnie po krzyżu i po plecach i czuję na krzyżu wilgoć!”

Pobudzili się inni, śmieją się ze mnie, a ja Piekarskiego przeprosiłem za przerwanie snu i nakryłem się koszulą na głowę i twarz i spałem aż do rana. Trochę mi było nieprzyjemnie, ale co ja byłem winien. Rano pobudka do ustępu i mycia się. Dyżurny drzwi otworzył, dwóch wzięło kibel i miotłę i idziemy. Jedni sikają, inni na stolec się załatwiają i znowu z tym panem Piekarskim nowy karambol mam. On usiadł na stolec załatwić się, a ja sikał obok. Po wysikaniu wzięłem we dwa palce i trząchnąłem nim i znowu panu Piekarskiemu padło na okulary ze dwie krople. A on na to mówi: „Panie Pieńkowski, to już za dużo tego! Pokarał się pan na mnie, czy co?!” Ja jemu mówię: „Panie Piekarski, ani w nocy, ani tu ja nie zrobiłem tego umyślnie, tylko niechcący, to musi mi pan wybaczyć”.

Doktor Grzędzielski mówi, że zna dobrze alfabet Morse’a, jest to umiejętność pukania zamiast liter, z których układają się słowa. I żeby tu był kawałek kamienia, to by popukał w ścianę, to by się dowiedział może coś ciekawego. Ale kamienia w celi nie było, ale było domino. On wziął jedną kostkę, spróbował pukać w ścianę i powiada: „Popukam”. Jeden poszedł pod drzwi, ustał naprzeciw klapki plecami, a żeby zastąpić otworek. Jak dyżurny usłyszy i będzie wsadzał klucz, wtenczas odskoczy i będzie udawał, że spał i będzie oczy przecierał. I tak się stało. Doktor zaczął pukać i dyżurny usłyszał, otworzył drzwi i pyta się, kto pukał w ścianę, ale wszyscy mówią, że u nas nikt nie pukał w ścianę. Przed przejściem tam i z powrotem zamknął drzwi i poszedł, ale za chwilę przychodzą we dwóch - dyżurny i ten, co rano przychodzi i liczy i zapisuje do zeszytu, aby zdać raport w kancelarii.

Pyta się od razu, kto pukał w ścianę. My mówimy, że u nas nikt nie pukał. Zaczęli rewidować po kolei, szukać kamienia czy czego takiego, żeby można było pukać w ścianę. Domino było ułożone na desce, obok leżały szachy i warcaby w torebkach. Przetrzyli całą celę i nic nie znaleźli. Zabrali nam szachy i warcaby i domino, ale zanim wzięli je, zaczęliśmy prosić, to domino zostawili.

Ten urzędnik darł się jak wściekły na nas, ale każdy z nas siedział albo stał spokojnie i nic sobie z tego nie robił. Na drugi dzień, po umyciu i po śniadaniu, przyszli aż we trzech i dopytywali się po kolei, kto i czym pukał w ścianę, ale każdy odpowiadał, że to nie w naszej celi pukali. Gdy nic się nie dowiedzieli, grozili nam i straszili, że wszystkich nas wsadzą do ciemnej celi i wody napuszczą i co trzeci dzień tylko obiad dostaniem, bo za pukanie w ścianę będzie zastosowany ścisły izolator.

Po tym dniu nastąpiła zmiana dyżurnego na korytarzu i tego, co rano obliczał i do zeszytu zanotował, a to dlatego, żeby czasami się dyżurni nie zwąchali z przestępcami.

Następnego dnia przyszedł jakiś starszy urzędnik i mówi do nas, że może kto chce jakieś zażalenie pisać, to niech mówi o co i on napisze i poda naczelnikowi więzienia, to on wszystko rozpatrzy.

My jego wzięliśmy prosić, żeby nam oddali szachy i warcaby. On powiedział, że zobaczy. Na tym się na razie zakończyło. Czekaliśmy dwa dni, ale ani szachów, ani warcabów nie oddali. Ale w celi byli spece i zrobili nowe i znowu grali. Dyżurny zobaczył przez kłapkę w drzwiach, że dwóch grało, otworzył drzwi, przyszedł do tych, co grali i mówi: „Pokażcie szachy!” Nie było rady, pokazali. Obejrzał, głową pokiwał i mówi: „Ach wy *Polaczki, czto wam zdziałać?*” Wtedy ja mówię: „*Niczewo, grażdanin, wy charoszy człowiek*”. Uśmiechnął się i poszedł.

Doktor Grzędzielski powiada: „Popukałbym dominem w ścianę. Może bym się czegoś dowiedział”. Alem mu odradzali, po co mamy się narażać na coś jeszcze gorszego. Następnego dnia do naszej celi wprowadzili trzech z powiatu łomżyńskiego - kierownika szkoły w średnim wieku, rolnika takiego bogatego gospodarza i młodego dziewiętnaście lat Mściwojewskiego, tych dwóch od Jedwabnego niedaleko.

Mściwojewski powiedział mi, że był w Drozdowie na początku sierpnia w 1940 r. On był wysłany, ażeby się dowiedzieć, co słyhać w Drozdowie, bo w Jedwabnem wykryli tajną organizację POP i dużo naaresztowali młodych ludzi. Czy on był w organizacji? Nie był. Także u jednego znaleźli spis całej organizacji, do której należał i ten kierownik szkoły, i ten rolnik. Gdy im pokazali listę i ich pseudonim, to kierownik się przyznał.

Kierownik szkoły był tylko w koszuli i nawet bez czapki. Ten rolnik był też bez marynarki, ale miał trzy koszule, dwie cienkie i jedną lnianą, ale była pocięta w pasy gumowymi pałkami policyjnymi, bo nie chciał się przyznać, że należał do POP. A był na liście zapisany, to tak go zbili.

Ja nie miałem ręcznika do otarcia się po myciu i mówię mu, żeby tę koszulę podał i dał mi kawałek tej koszuli do ucierania, to dam mu piętnaście deka chleba. On to zrobił, więc

musiałem sobie ująć z sześciuset gramów piętnaście deka., to zostało mi czterdzieści pięć deka na cały dzień. Poczułem głód tego dnia, ale miałem cały rękaw do wycierania po umyciu twarzy.

Po tej transakcji z ręcznikiem przywołałem do siebie Mściwojewskiego, czy on co wie o mojej rodzinie. On mówi, że moja rodzina mieszkała na miejscu w swoim domu. A wojsko bolszewickie już dwa razy uciekało z Drozdowa w popłochu udawanym, bo wiedzieli, że jest w Drozdowie tajna organizacja, ale nie mogli wpaść na żaden trop. Ale tam byli nie frajerzy w mózg kopani i spokojnie się przyglądali jak ci, jak pszczoły w ulu się kręcili i biegiem z Drozdowa wyjechali, a za jakąś godzinę wracali.

W tych czasach w każdej wsi znaleźli się donosiciele i byli powiadomieni, że ta ucieczka to jest udawana, a oni mieli uważać, co się we wsi będzie robić. Bo mieli w magazynach na zapas siodła, skóry podeszwowe, waciaki, tak zwane fufajki, w skrzynkach amunicję i granaty. Na szczęście nikt na rabunek się nie rzucił, bo wiedzieli, że to się nie ukryje i zaraz pójda do NKWD i o wszystkim doniosą. Wtenczas kto by coś wziął, to by całą rodzinę wywieźli do Rosji na przymusowe roboty w lasach Archangielska, aby zrzynać kloce i przyrzynać w metry cztery i pół metra, to była norma.

W stu procentach donosicielami był w Drozdowie młody Waniewiak, który zaraz został sekretarzem *selsowietu*. Było i dużo innych stronników, którzy się tak bardzo nie angażowali, bo się bali, że ich też będą obserwować. Nie będę ich całymi nazwiskami wymieniał, ale chociaż literami S.Z.S.J.K.J.P.Z. i dużo innych w Piątnicy byli już otwartymi, bo tak o sobie mawiali sami, komunistami - trzech braci Wyrwasów i też jeszcze dużo innych.

Ale znowu wrócę do celi nr 140. Ucieszyłem się bardzo wiadomością od Mściwojewskiego, że moja rodzina jest na miejscu i mieszka w swoim domu i tam w moim domu jest kooperatywa, w której była sklepową jakaś młoda dziewczyna z Drozdowa.

Ucieszyłem się również, że drozdowiaki się nie wsypali, że umieli panować nad swoimi nerwami, to była ważna rzecz. Za kilka dni wprowadzili znowu dwóch. Na zapytanie, skąd są, taki z gołą głową, młody, lat około trzydziestu, powiedział: „Z Łomży jesteśmy, nazywam się Ciborowski Zbyszek, a to mój szwagier Czerniewski”. I mówi dalej, że jest marynarzem, pływał na statku pięć lat, nazwy statku dobrze nie pamiętam, zdaje się „Dar Pomorza”. Pytam się go: „Czy pana ojciec był muzykantem?” Powiada, że tak, był. A ja jemu mówię: „Ja jestem z Drozdowa i pana ojca dobrze znałem, bo często grał u nas na zabawach. I siostrę też znałem, pracowała jako ekspedientka w księgarni pana Marczewskiego na ul. Długiej”.

Opowiedziałem mu o swoim śledztwie w Łomży i mówię, że tu na śledztwo mnie nie wzywają, zdaje się, że już zakończyłem. On mówi, że też w Łomży zakończył, ale tu będą badać na nowo i powiada, że w Łomży bardzo dużo zaaresztowali, przy końcu czerwca i w lipcu przeszło tysiąc osób. Zwęszyli, że prawie cała Łomża jest zorganizowana i dlatego tak aresztują. Doktor Rogowski też aresztowany. Ja wiedziałem, że doktor był w organizacji, a gdy jeździł do chorych po wsiach, to też organizował chłopów i przysięgę od razu od nich przyjmował.

Poza tym gdy ja jeszcze byłem w domu, to my się często spotykaliśmy, to sam do mnie mówił, że on i inni porozumiewają się z oficerami sowieckimi. I powiedział, że czterdzieści procent oficerów sowieckich chce należeć do naszej organizacji i będą razem rozbrajać swoje wojsko, jak nadejdzie ten czas.

Szkoda mi go było, ale pomyślałem, że każdy, kto się czuje Polakiem i poświęca siebie i nie tylko siebie, bo i całą rodzinę, aby walczyć o wolność kochanej Ojczyzny Polski, to jak nie zginie, to będzie siedział w więzieniu i będzie sądzony za to, że kochał swoją Ojczyznę i szedł za nią walczyć. Trudno, trzeba teraz cierpieć i czekać, co będzie dalej, a może się coś zmieni na świecie.

Na śledztwo wywołali Łupińskiego. Za jakieś cztery godziny dyżurny drzwi otworzył i Łupiński wszedł do celi ze śledztwa, na twarzy siniaki, oczy popodbijane. Łupiński, gdy przyszedł do celi po śledztwie, zaraz się położył na łóżko, nic do nikogo nie mówił i nikt go o nic nie pytał, widząc go tak strasznie pobitego.

Gdy odpoczął, zaczął opowiadać, że gdy *śledowaciel* zaczął pytać o organizację, a on mu odpowiedział, że o niej nic nie wie, wtenczas *śledowaciel* uderzył go w twarz. To on zerwał się z taborka i tak mu oddał, że gdyby nie biurko, to by się przewalił. „Ale znowu skoczył i chciał uderzyć mnie, to ja lewą ręką się zasłoniłem, a prawą znowu mu przyfasowałem. Wtenczas on wypadł na korytarz, a ja usiadłem na taborek i siedzę. A za jakieś trzy minuty wchodzi aż trzech i od razu zaczęli mnie bić. Ja zrazu też się nie dawałem i niejeden jeszcze dostał ode mnie, ale otoczyli mnie i bili, a ja już nie miałem siły się bronić. A oni z taborkiem mnie przewrócili i kopali nogami, aż chyba pomdleli i wyszli wszyscy trzej, a ja pomału się podniosłem i usiadłem znowu na taborku i ścieram krew, która sączy mi się z nosa. I gdzie dotknę się na twarzy, czuję ból, ale i po całym ciele mnie bolało. Przyszedł dyżurny i odprowadził mnie do celi”.

Jeszcze w lipcu znowu dwóch wpuścili do naszej celi, młodych chłopaków, obydwoj już po zakończeniu śledztwa. Jeden był z Grodna, uczeń gimnazjum, nazywał się Batowski, a

drugi nazywał się Polkowski, syn rolnika z okolic Grajewa. Obydwaj byli już po wyroku, osądzeni na karę śmierci.

Batowski rzucił butelkę z benzyną pod czołg, gdy sowieckie wojsko przejeżdżało przez miasto Grodno. Czołg się zapalił i jego zaraz złapali, a Polkowski przynosił jakieś papiery, złapali go przy granicy jako szpiega. Obydwaj nie przejmowali się tymi wyrokami, byli nawet w niezłym humorze.

Na drugi dzień, gdy przyszli do celi, jak co dnia obliczyć obecnych, dyżurny stał przy drzwiach, a urzędnik z kancelarii z grubym zeszytem i ołówkiem w ręku wszystkich obliczył i notował w zeszycie. Wyczytuje Batowskiego i Polkowskiego i powiada im: „Jesteście osądzeni na karę śmierci. Już są na was wyroki, ale że jesteście młodzi, nawet nie macie po dwadzieścia lat, chodźcie ze mną do kancelarii i tam napiszcie prośbę, ażeby wam zamienili wyroki na dożywotnie więzienie”.

A oni obydwaj mówią, że do kancelarii nie pójdą i pisać o zamianę wyroku nie będą i mówią: „Kiedy osądzili, to niech nas rozstrzelają”. Ten urzędnik namawiał ich i tłumaczył: „Jesteście tacy młodzi, wam jeszcze trzeba żyć”, ale to nic nie pomogło, to namawianie, iść nie chcieli. Urzędnik poszedł sam. Na drugi dzień gdy przyszedł znowu na *powierkę*, znowu ich namawiał, ale nie poszli. Na odchodnym powiedział, żeby się jeszcze dobrze namyślili, bo jeszcze można to zrobić i poszedł.

Za jakieś dwa tygodnie gdy przyszedł na *powierkę*, ten urzędnik z kancelarii powiedział tym, co nie chcieli pisać podań o ulaskawienie, że sąd zmienił wyrok z kary śmierci na dożywotnie więzienie, dlatego że są jeszcze młodzi.

Jakiś czas było spokojnie w naszej celi. Ciborowski Zbyszek powiada: „Niech każdy coś opowiada, prędzej będzie nam czas schodził”. Wszyscy się zgodzili, ale nikt pierwszy nie chce opowiadać i zwróciłem się do tego obrośniętego Ardamakowa. On mówi: „Ja wam opowiem o *skazku* o hrabim Dubrowskim i jego córce. No i opowiedział, ale z jego opowieści nic nie pamiętam.

Na drugi dzień opowiadał Ciborowski o swoich podróżach na okręcie „Dar Pomorza”. Pięć lat pływał do różnych portów, w różnych krajach. Mówił, że prawie cały świat objeździł.

Następnego dnia opowiadał Mickiewicz, też nie pamiętam o czym. A potem mówił Sienkiewicz. Na czwarty dzień przyczepili się do mnie, żebym ja im coś ciekawego powiedział. Myślę sobie, co tu im opowiedzieć, bo mam dużo do opowiedzenia. Byłem na wojnie w roku 1919 w okolicach Lwowa, Tarnopola, Złoczowa i wielu innych miastach i okolicach. Pracowałem prawie dwa lata w browarze drozdowskim i mówię: „Opowiem

panom, jak się piwo gotuje i co najprzód się robi. Że piwo robi się z jęczmienia, to prawie każdy wie. Otóż najsamprzód jęczmień się wysypuje na takie tak zwane pola, pięć metrów szerokie, dwadzieścia metrów długie. Spód jest ze specjalnej cegły kwadratowej, wypalanej. Równy się wysypuje i grabiami go się równa. Takich pól w browarze drozdowskim było dwadzieścia. Jak już jęczmień się wyrównało, zalewa się go wodą szlauchem z sitkiem. Tak zlaną wodą leży dwa tygodnie, a czasem i więcej, aż wypuści kielki od pięciu do dziesięciu centymetrów. Później go się przewraca kilka razy, a potem on trochę obziębnie i sypie go się do specjalnych wózków żelaznych i podjeżdża się do windy. Windą on jedzie aż na czwarte piętro. Tam były dwa piętra obok windy, tak blisko, że tylko się wózek przechylało i jęczmień już był na tak zwanych lasach, lasy były na bantajzach, do których były poprzykręcane stalowe, cienkie druty, tak żeby pomiędzy nimi jęczmień nie przeleciał. Pod lasami był duży piec, na dole opalany drzewem albo torfem. Jęczmień na lasach trzeba było kilka razy przemieszać i po wysuszeniu tymi wózkami przewozić do specjalnych młynków. Na jednym obleciał sam kwiat, czyli te wyrosnięte kielki, a na drugich się go grubo przemielilo i to był tak zwany sól, z którego się gotowało piwo w dużym kwadratowym kotle, złote, jasne i ciemne, a w kotle miedzianym gotowało się piwo marcowe, kuracyjne i sympleks. Piwowarem był poznaniak Gronowski, a potem Czech Zeman i Soszyński na ostatku. W roku 1932 browar zbankrutował”.

Podszedł do mnie Ciborowski Zbyszek, zaczęliśmy sobie rozmawiać. Uchyła klapkę *bojec*, który prowadził do *śledowaciela* na badanie i woła na *bukwu* P. Ja się nie odzywam, bo jest nas czterech na literę P: ja, Piekarski, Przeniak i Pieczukiewicz. Oni się kolejno odezwali, a on odpowiada *niet*. Gdy on im odpowiedział *niet*, ja się odzywam: „Pieńkowski”. On zawołał: „*Wychadzij!*” Wyszedłem na korytarz. On mówi: „*Ruki z zada*”. Wziąłem ręce do tyłu, on podszedł do mnie i założył mi jedną rękę na drugą, potem lewą ręką wziął mnie pod pachę i mówi: „*Idziom*”. Doszliśmy do końca korytarza, po schodach wyszlim na plac i idziemy do trzypiętrowego dużego więzienia. Gdy weszlim na korytarz, tam jak raz wyprowadzali od *śledowaciela* jednego ze śledztwa. Korytarz był długi i szeroki i idą w naszym kierunku. Mój *bojec* złapał mnie za obie ręce z tyłu i obrócił mnie twarzą do ściany, ażeby nie zobaczył tego, którego prowadził *bojec*.

Potem wprowadził mnie do *śledowaciela* pod nr 42, na drugim piętrze. Gdy wszedłem, skłoniłem mu się trochę i powiedziałem: „*Zdrastwujcie grażdandin śledowaciel*”. Odpowiedział: „*Zdrastwuj*”. Naprzeciw biurka stał kwadratowy taboret. Pokazał go i mówi: „*Siadaj*”. Usiadłem. On mówi: „*Ruki na kolana*”. Położyłem. On wyjął z biurka z szuflady arkusz papieru i pyta, *kak mnie zwać*, jak ja się nazywam. Powiedziałem: „Aleksander



Pieńkowski”. „A *oczestwo?*”, to znaczy imię ojca. Powiedziałem: „Mateusz”. On wszystko pisał. „A *god roźdenja?*” - kiedy się urodziłem. Mówię, że 11 października 1987 roku. Pyta się dalej, gdzie się urodziłem. Mówię: „W Drozdowie, powiat Łomża, gubernia warszawska”, bo przed wojną, na parę lat przemienili z guberni łomżyńskiej na gubernię warszawską.

„No to teraz *skazyj*, kto *ciebia* namówił do organizacji?” Ja mówię, że ja nic nie wiem o żadnej organizacji i nikt mnie nie namawiał. A on mówi: „*Ty gawaryj prawdu. Kak skażesz prawdu, damoj pajdziosz, bo ja znaju toczno, czto ty należał i sam organizował*”. Ja mówię, że to nieprawda. Zrazu dopytywał się grzecznie, wychodził z za biurka, przechadzał się po tym swoim gabinecie. Był elegancko ubrany, miał na nogach buty z długimi cholewami. Był to wysoki brunet, ale podobny do Żyda. Włosy miał czarne, kędziory. Zatrzymał się koło mnie i pyta się: „Jak tam u was w celi, *charaszo?*” I czy dają dobrze jeść. Ja mówię, że *plocho*, chleba za mało, kawa czasem bywa bez cukru i lichej obiad, rzadka zupa. A on mówi: „Wy jesteście *zakluczone*, to znaczy zaaresztowani, siedzicie w *tiurnie*, to *bolsze nie dajut, eto dla was chwatit. Na swobodu to u nas żyjot charaszo*” A ja się pytam, kiedy ja wyjdę na to swobodę. On mówi, że to ode mnie zależy, jak powiem wszystkim prawdę od początku, kto mnie do organizacji namówił, kto mi przysięgę wydawał, no i kogo ja do organizacji namówiłem. „*Powiesz wszystko jak to było, pajdziesz na swobodu, no nie sowsiem, pajdziesz na rabotu do Grodna, do Polszy*”.

Zmiarkowałem, że chce mnie wziąć na lep i wiedziałem, że to tylko taka obietnica. I mówię: „*Grażdanin śledowaciel*, już ja w Łomży co wiedziałem, to powiedziałem na badaniu”. A on mówi: „Co było w Łomży, to mnie nie obchodzi. Ja się ciebie pytam, co było w Drozdowie”. Ja mówię, że ja nic nie wiem. A on mówi: „*Słysz, Pieńkowski, lepiej powiedz prawdę po dobroci, bo jak nie powiesz, będzie z tobą plocho. Teraz pójdziesz do celi i podumaj charaszo*”. Potem się jeszcze pyta: „A kto z tobą ze znajomych siedzi w kamerze?” Mówię, że z moich nikogo nie ma, tylko dalsze, ja wszystkich nie znam. A kto z dalszych, powiedziałem mu kilku i gdy wymówiłem „Mickiewicz”, to on się pyta, czy on jest zdrow. Ja mówię, że jeszcze nie ze wszystkim, a on mówi: „*Eto dumny staryk, wójt, już on śledztwo ukończył*”. Wstał, zadzwonił na dyżurnego i kazał odprowadzić mnie do celi.

Gdy wróciłem do celi, Sienkiewicz się pyta, jak mi tam poszło. Mówię: „Na razie to tylko takie pouczenie dał, żebym się przynał, to będzie dla mnie lepiej”. A Ciborowski mówi: „Powiedział pan, że już w Łomży zakończył śledztwo na czysto, teraz będzie pan miał drugie”. Ale zaraz i jego wywołali. Poszedł, ale za jakąś godzinę wrócił i to z papierosem

w rękę, co to się bardzo rzadko trafiało. Pytają go, jak to było, że *śledowaciel* dał papierosa, a on mówi: „Poprosiłem go, otworzył papierośnicę i dał”. Powiedziałem dziękuję.

Wszyscy palacze ustawili się w kolejce. Ciborowski zapalił, jednego dymka pociągnął i oddał drugiemu, drugi trzeciemu i tak wszyscy po jednym dymku popalili i umawiają się, że teraz każdy będzie prosił *śledowaciela* o papierosa.

Następnie wywołali nauczyciela, wrócił też z papierosem i bardzo zadowolony z przebiegu śledztwa i mówi: „Tu są inni *śledowaciele*, nie biją i obchodzą się po ludzku”.

O godzinie ósmej wieczorem *bojec* uchylił klapki i woła na *bukwu* P. Ja od razu się odezwałem. „*Wychadzij!*” powiada. Zaprowadził mnie do tego samego *śledowaciela*, co już u niego byłem. Gdy tylko wszedłem, pokazuje palcem taborek, każe siadać i ręce na kolana położyć. Z początku delikatnie pyta się mnie: „*No kak, podumał ty charaszo?*” Mówię, że *da*. „*Ladno* -powiada - jeszcze z ciebie będzie *charoszy czelowiek, charoszy grażdandin Sowieckiego Sojuza*”. „*Da*”- powiedziałem. „*No ta gawaryj, tylko prawdę od początku*”. Pytam się, o czym, a on już mówi groźnie: „Ty nie igraj z ogniem, ty *chociesz* mnie omamić! Nie, tak ci nie pójdzie. Będziem bić, aż powiesz wszystko”. Ja mówię: „Ja nic nie wiem, to co będę mówić”. „*Znajesz, tylko nie chcesz wydać*” i zza biurka wychodzi i idzie do mnie. I pyta: „Kto ciebie zwerbował?” Ja mówię, że nikt nie werbował. A on: „*A skolko ty ludzi zwerbował?*” Ja mówię, że nikogo nie werbowałem. A on: „*Werbował!*” Ja mówię *niet*.

Jak on mnie rąbnie kantem dłoni w szyję, aż mi w uszach zaszumiało. O małym się nie zważył z taborka. A on krzyczy: „*Wot ciebie raz! Jak nie powiesz, będziem bić bolsze, bolsze!*” Zęby ścisnąłem i nic nie mówię. Kopnął mnie szpicem buta w palce u nóg, syknąłem z bólu, ale nic nie mówię. Wyprowadziło go to zrównowagi, kopnął mnie drugi raz i pyta się: „*Będziesz mówił prawdę?!*” Ja mówię: „*Nic nie wiem*”. On mówi: „*Wiesz!*” A ja mówię: „*Nie wiem*”. Zaczął mnie szturać palcami całej dłoni w klatkę piersiową. Gdy chyba go te palce zabolaly, zaczął mnie kopać po łydach i znowu mnie dziubać palcami w klatkę piersiową. Potem zaczął mnie bić pięściami po ramionach, a ręce to miał ciężkie jak kowal albo jak bokser. Podobno, że to był Gruzin. Tak mnie bił i kopał do godziny dwunastej w nocy, potem zadzwonił na *bojca* i ten mnie przyprowadził do celi.

W celi wszyscy spali. Kolacja na mnie czekała, jakaś zupa zasypana kaszą manną czy mąką. Jem, a jeden podniósł głowę i pyta: „Czy masz papierosa?” Mówię: „Dostałem niejednego”. Spojrzył na mnie i zmiarkował, położył się spać. Ja też położyłem się, wszystko mnie bolało. Od razu usnąć nie mogłem, ale potem spałem, aż mnie obudzili do ustępu umyć się i załatwić na cały dzień.

Jeden dzień na śledztwo nie wołali mnie. W celi, jak mnie zobaczyli tak pobitego, żalowali mnie prawie wszyscy, a ja tylko zęby ścisnąłem ze złości, że nic zrobić nie mogłem.

Trzeciego dnia znowu przyszedł po mnie *bojec* i zaprowadził do tego samego *śledowaciela*. Gdy powiedziałem mu *zdrastwujcie grażdananin, śledowaciel* nic nie odpowiedział. Usiadłem na taborek, ręce złożyłem na kolana i czekam, a on nic nie mówi. Wytrzeszczył na mnie oczy i uporczywie patrzy się na mnie, a ja na niego, ani mrugnę powiekami. Nareszcie on mówi: „Czy ty już się namyślił powiedzieć prawdę?” Mówię: „Nic nie wiem”. W tej chwili drzwi się otwierają i wchodzi drugi: czarny łeb, krępy, bystry, patrzy się na mnie i mówi: „To ten?” Mój odpowiada. Od razu skoczył do mnie ze złożonymi pięściami, już tylko mnie okładać. Ale w bocznym gabinecie zrobił się krzyk, tak że obydwaj *śledowaciele* wybiegli, drzwi nie zamknęli dobrze, tylko słyszałem, jak się tam bili. To jeden z aresztowanych, gdy go *śledowaciel* uderzył w twarz, złapał taborek spod siebie i dalej tego *śledowaciela* okładać taborkiem. Gdy ci dwaj wpadli, on się jeszcze walnie długo bronił i niejeden jeszcze od niego taborkiem dostał, ale w końcu go obezwładnili i tylko uderzenia było słychać. Tak go skatowali, że już chyba się nie ruszał, bo jeden krzyk na dyżurnego: „Przynieś wiadro wody!” i tam go wodą zleli, aż przytomność odzyskał i *bojec* odprowadził go do celi.

Dosyć długo tam jeszcze rozmawiali. „A to *swołocz*, taka nie taka mać, sukinsyn, *Polacziok*, więcej on się nie porwie na *śledowaciela!*”. Potem wszyscy trzej poszli, a *bojcowi śledowaciel* powiedział, żeby mnie odprowadził do celi. Dali mi tego dnia spokój, obeszło się bez baniek.

Na drugi dzień ledwiem zdążył zjeść śniadanie, już *bojec* mnie wywołał i zaprowadził do tego samego *śledowaciela*. Gdy mnie zapytał o organizację, a ja odpowiedziałem, że nic nie wiem, przyszedł do mnie, kopnął mnie w nogę i zaczął mnie po ramionach pięścią walić. Wziąłem go prosić; „*Grażdananin śledowaciel*, wy mnie zdrowia nie dali, to po co mnie chcecie go odebrać. Ja mam ośmioro dzieci i chorą żonę. Jak ja wrócę, to muszę na nich pracować. One są małe, jeden ma rok, a najstarszy ma dopiero szesnaście. Oni sobie sami rady nie dadzą”.

A on mówi, że jak ja się nie przyznam, to już nie zobaczę ani żony, ani dzieci. Znów mówię, że nic nie wiem. Przestał mnie bić i kopać, ale darł się na całe gardło. „Ja z ciebie dzisiaj duszę wygonię, jak nie powiesz prawdy!” Na tym całym długim koiytarzu to *śledowaciele* mieli swoje gabinety śledcze do badania. Więc on tak krzyczał głośno, żeby go inni słyszeli, że on mnie wciąż bije, tak sam kapowałem.

Ale gdy usłyszał, że ktoś po korytarzu idzie i zatrzymał się przy naszych drzwiach i otworzył je, to on mnie znowu po ramieniu uderzył raz. Wszedł drugi *śledowaciel* średniego wzrostu i on do niego mówi, że już trzy godziny mnie bije i nie chce się przyznać. Ten, co przyszedł, podchodzi do mnie i mówi: „Dlaczego ty się nie chcesz przyznać? My dobrze wiemy, że ty jesteś komendantem i ty w Drozdowie werbowałeś do *podpólnej* organizacji młodych ludzi”. I powiada: „Ja był dziesięć dni w Drozdowie i byłem w twoim domu. Twoja żona jest *balnaja*, my już mamy twoich ludzi w więzieniu, no nie *wsiech*. Ty powiedz prawdę, kto ciebie zwerbował i wszystkich, co ty zwerbowałeś. Trzeba ich wszystkich posadzić do *ciurmy*”.

Ja znowu mówię, że nikt mnie nie werbował i ja też nie werbowałem nikogo i nic nie wiem o żadnej organizacji. „A my wiemy, że organizowałeś i jak się nie przyznasz, co dzień będziemy bić, aż się przyznasz”. Mówię, że nie mam do czego, bo nic nie wiem. A on: „Ot, *swołocz uparta, nada bić!*” A ten mój powiada: „Ja biję i kopię nogą i nic nie chce mówić”. Ten pokręcił głową i powiada: „Oni wszyscy *takije Polaczki*” i poszedł, a mój jeszcze się darł na mnie, ale nie bił mnie.

Tak zeszło do południa. Wszedł na korytarz, zawołał dyżurnego i powiada: „Odprowadź do kamery”. O godzinie czwartej znowu zaprowadził mnie *bojec* do *śledowaciela*. Poszedłem, każe siadać, usiadłem. Pyta mnie: „Ty miałeś sklep?” Mówię, że tak, miałem przez osiemnaście lat, do wojny. „To ty stary spekulant?” - odpowiedział. Nic nie mówię. Wypytywał się o wszystko, ile ja zarabiał, jaki procent 25% czy 50%. Ja mówię, że od pięciu do dziesięciu procent zarabiałem, bo taki procent u nas był dozwolony. Pisał to wszystko. Nareszcie wyjmuję z szuflady moją książeczkę wojskową i przeczytał „kapral” i mówi: „Ty był na wojnie w 1919 roku?” Mówię, że byłem. „I biłeś radzieckich *soldatów*?” Mówię: „My tam się bili z Ukraińcami”. A on: „A Ukraińcy to czto? Toże bolszewiki *Sowieckiego Sojuza!* A gdzie to było?” Mówię: „W okolicach Złoczowa, Tarnopola, Trembowli”. „A w jakim ty pułku był?” Mówię: „38 pułku piechoty”. Patrzy w książeczkę. „A w 1920 roku byłeś na froncie?” „Byłem” - mówię. „A kogo ty tam *bił*?” Mówię: „Biliśmy się z bolszewikami”. On zerwał się z fotela na nogi i krzyknął: „Ilu *ubieś naszych soldatów*?” Ja mówię: „Nie wiem, strzelałem. Ale zabiłem czy nie zabiłem, tego nie wiem. Bo wy wiecie, co *naczalstwo* każe, to żołnierz musi wykonać”. „A za co ty krzyż otrzymał?” Ja mówię, że ten krzyż ja otrzymałem za to, że zorganizowałem Ochotniczą Straż Pożarną w Drozdowie.

Chodziłem do niego jeszcze dziewięć dni. Co drugi dzień bił mnie, ale już nie tak jak na początku. Skończył ze mną śledztwo i powiedział, że teraz prokurator to wszystko zbada i zadecyduje, co ze mną zrobić.

Dał mi do podpisania, co tam napisał. Chociaż nie wiedziałem, co napisał, ale podpisałem. Lżej na duszy mi się zrobiło, że już nareszcie śledztwo zakończyłem. Ale za tydzień znowu mnie wywołują. Wszedłem. Prowadzi mnie *bojec* do tego samego budynku, na ten sam korytarz, ale ominęliśmy ten gabinet, co cały miesiąc z przerwami do niego chodziłem i prowadzi mnie do ostatnich drzwi. Postawił mnie w kąt twarzą, bo tam był jeszcze jeden na śledztwie, ale zaraz wszedł i drugi *bojec* go poprowadził, a *śledowaciel* głośno krzyknął: „*Dawaj jęwo!*”

Wszedłem, mówię: „*Zdrastwuj grażdanin śledowaciel*”. Powiada *zdrastwuj* i każe siadać na taborku. Wyjął z biurka arkusz papieru, wziął do ręki ołówek i przygląda się mnie, a ja jemu się przyglądam. Wygląda na niedobrego, czarny łeb, włosy kędzierzawe, czarne, twarz nie biała, tylko trochę brązowa, jakby opalona. I nie omyliłem się, że to kawał drania. Chociaż z początku jak zwykle na nowo zapytuje, *kak znać*. Odpowiedziałem, spisał całe personalia, żona, dzieci ile, odpowiedziałem. On mówi: „*Słysz, Pieńkowski, czas, żebyś zakończył śledztwo. W zeszłym tygodniu ty tam nie powiedziałaś prawdy, a musisz powiedzieć od początku, kto ciebie zwerbował do *podpólnej* organizacji i kogo ty zorganizował, bo ty jest komendant, ilu ludzi i dopiero zakończym śledztwo. I lepiej dla ciebie będzie, jak powiesz prawdę. Teraz pójdziesz do swojej kamery i podumaj dobrze*”.

*Bojec* czekał już pod drzwiami i odprowadził mnie do celi. Gdy wróciłem, mówię, że już innego śledowaciela mam, który od początku znowu wszczął śledztwo. Gdym mu powiedział, że już tydzień czasu, jak zakończyłem śledztwo, on powiedział, że ja tam prawdy nie powiedział, to śledztwo nie jest skończone.

Do naszej celi znowu dwóch wprowadzili. Już jest trzydziestu dwóch, a cela ta, co dawniej, tylko na pięć osób. Większość spała na kuczajkach i pod łaszkami, a zaduch nie do wytrzymania. Brak powietrza, dwa razy dziennie wentylatory po pół godziny powietrze wpychały. A najgorzej się czuł Mickiewicz, co przy mnie spał. Co poleżał trochę, to już się przewracał na drugi bok, bo nie mógł przy mnie wytrzymać, tak swoim ciałem paliłem. I zawsze gadał, że czegoś podobnego nigdy nie spotykał, żeby człowiek był taki gorący. A palacze papierosów to przeważnie miotłę, jak obeschła, kawałkiem szkiełka skrobali i to też w kolejce palili, ale nie wszyscy.

Czasem jak był dobry dyżurny, to jak go poprosili, to dał machorkę na jednego papierosa i zapalki przypalić. A jak inny *swolocz*, to nawet upalka nie dał podnieść, gdy szlim do ustępu. To jak kto się schylił i podniósł, to musiał rzucić, a on nogami podeptał. Ale za to w ustępie na ścianie rysowali i pisali, a on potem musiał to wszystko ścierać, bo i nazwiska pisali i różne wiadomości, przeważnie udumane. Ale nikt się nie przyznawał do tej roboty, to

mało go diabły nie brali, taki był zły. A gdy nieraz upominaliśmy się, żeby nam jeść więcej dawali, bo każdy był głodny, chociaż i ten obiad zjadł, to on zawsze odpowiadał: „*Prokurator wam dobawit*”.

Jeden dzień miałem spokojny, na śledztwo mnie nie wywoływali. Z naszej celi już dużo ludzi śledztwo zakończyło, bo nie mieli takich zarzutów jak ja, jednego bili, a innego wcale nie bili.

Z tych dwóch ostatnich, co do nas przyszli, jeden był bogaty rolnik z Radziłowa, z powiatu łomżyńskiego. Miał też ciężkie śledztwo. Bili go, a za trzecim razem, gdy go zaczęli bić, upadł na podłogę i udawał nieżywego. To przestawali go bić, tylko wodą go cucili i odprowadzali do celi i potem to on na każdym śledztwie tak robił.

Jednego razu wraca ze śledztwa taki zapłakany. Pytają się jego: „Czy cię tak dzisiaj strasznie zbili, że tak płaczesz?” A on mówi: „Nie, wcale mnie dziś nie bili”. „To czego płaczesz?” „Bo mówili, że zabili mi brata, jak uciekał, gdy chcieli go aresztować”.

Mickiewicz mówi: „To nieprawda, oni tak umyślnie mówili, żeby się pan załamał”. No i on tam się coś wygadał, a potem się zapierał i jego za to bili. Chodziło o proboszcza z Radziłowa, że miał wydawać przysięgę partyzantom.

I gdy go stawili na oczną stawkę razem z księdzem, znowu mówił, że nie mógł bicia wytrzymać i tak powiedział, co oni chcieli. A on o księdzu nic nie wie ani o partyzantach też nic nie wie. Dwa razy dziennie tłukli i on tylko się ratował tym, że upadał na podłogę, to wodą zleli i tak zakończył śledztwo.

Tylko ja nie mogłem zakończyć. Po *powierce* rano i po spacerze do ustępu, przynieśli chleb, cukier i kawę. Zjadłem i czuję, że zaraz mnie wywołają na śledztwo. Nie upłynęło dziesięć minut, już klapkę uchylił i woła na *bukwu* P. Zaraz się zerwałem i odzywam się: „Pieńkowski” „*Wychadzij!*” Wyszedłem. Powiedział: „*Ruki z zada!*” Wziąłem ręce do tyłu i idziemy przez plac do dużego więzienia. Zaprowadził do tego samego śledowaciela. Gdy powiedział: „*Zdrastwujcie grażdandin śledowaciel*”, nic nie odpowiedział, tylko krzyknął: „*Siadaj!*” Usiadłem, a on patrzy się na mnie i pyta się, czy się już namyśliłem powiedzieć prawdę. Odpowiadam: „Mówię to, co wiem, a tego, co nie wiem, to mówić nie będę”. On zaczyna na honor wjeżdżać. Powiada: „Ja znam Polaków, których badałem. Gdy się zapytał, czy ty należał do organizacji, »tak- odpowiadali - należałem«. Oni się nie *bojeli* tak jak ty. To ja rozumiem, to *gieroj* Polak, a ty, *śmierdzący swołocz*, tchórz jesteś!” Bo naprawdę od każdego *śmierdziało* potem i *stęchlizną*. Ja jemu odpowiedziałem: „Ja *śmierdę*, to wy *winniście*, bo macie takie więzienie i za dużo ludzi *wsadzacie* do cel”. „*Milcz!*”- odkrzyknął, obrugał i naurągał mi, co tylko mu na myśl wlało. Potem uderzył mnie w twarz i

kazał odprowadzić do celi, a na odchodnym powiedział: „Wieczorem to ty powiesz wszystko”.

Gdy wszedłem do celi, pytają się mnie, czy może już zakończył pan śledztwo. Mówię, że nie, tylko *śledowaciel* powiedział, że po południu powiem wszystko.

Było to już piątego sierpnia. Obiad zjadłem i czułem, że czeka mnie jeszcze dzisiaj łaźnia niezwykła. Mickiewicz widział, że ja siedzę na swoim łóżku taki zdenerwowany, aż się wprost trzęsę, bo myślę wciąż, co on chce ze mną zrobić. Podchodzi do mnie i mówi: „Panie Pieńkowski, niech pan się tak nie przejmuj. Pan się przyzwyczai do bicia, tak jak ja. Nie czułem już, jak mnie bili i nie przyznałem się i śledztwo zakończyli. Niech i pan się nie przyzna, bo będzie gorzej dla pana. Musi pan potem wszystkich ludzi wydać, a oni potem zechcą się ratować, to będą mówić, że pan ich namówił do tej organizacji”. Ja jemu mówię, że choćby mnie zabili, to nie przyznam się i nie wydam nikogo.

O godzinie trzeciej po obiedzie przyszedł bojec po mnie. Zaprowadził mnie do *śledowaciela*. Ja usiadłem na taborek, a *śledowaciel* powiedział *bojcowi*, żeby poszedł i powiedział, że ja już jestem. Przychodzi ten sam Gruzin, co bił mnie przy tamtym śledowacielu. Od razu podchodzi do mnie i pyta się mnie, czy się przyznam. Mówię, że nie mam do czego się przyznać. Wtenczas on się najeżył, jak tygrys złapał mnie za gardło i przystawił do ściany. Jak mnie stuknął głową o ścianę! I znowu odciąga mi głowę od ściany i chce stuknąć drugi raz, ale ja głowę przycisnąłem w ramiona i oparłem się mocno nogami i całym sobą o ścianę, tak, że on nie mógł mnie od ściany odciągnąć. Tak kilka razy turbował się ze mną przy ścianie i nie mógł mnie mocniej stuknąć głową o ścianę. Puścił mnie i poleciał do biurka i z szuflady złapał szyld taki mosiężny od drzwi, co się klucz wsadza, i przyskakuje do mnie z tym szyldem w ręku. Podniósł go do góry i chciał mnie uderzyć w głowę, ale mój śledowaciel, który tylko stał i obserwował, złapał go za rękę i szyld mu odebrał. To ten Gruzin potem pięścią mnie okładał.

*Bojec* stał za drzwiami. Mój *śledowaciel* otworzył drzwi i wychodząc do *bojca* mówi: „Dawaj go za nami!” i idą w przód, a my za nimi. Przeszliśmy z tego korytarza do drugiego, który prowadził w prawo. Tam podeszliśmy może jakieś dziesięć metrów, zatrzymujemy się przy drzwiach. Mój *śledowaciel* wyjął klucz z kieszeni, wsadza w zamek i otwiera drzwi, wchodzimy do środka. Był to duży jakiś pokój z jednym okienkiem małym, a duże okno z drugiej strony było zamknięte i przez szyby było widać wołok na całym oknie. Drzwi też od środka były obite wołokiem. Mój *śledowaciel* powiedział *bojcowi*, żeby przyniósł mu teczkę, a mnie każe zdejmować buty z nóg. A sam włączył motor, który zaczął

robić huk, szum i *śledowaciel* mówi do mnie: „Tu,choćby nie wiem jak krzyczał, to cię nikt nie będzie słyszał, co będziemy z tobą robili”.

Ja buty już zdjąłem z nogi, postawiłem obok i stoję boso. Buty miałem z długimi cholewami, które obuwałem tylko do kościoła albo gdy jechałem do Łomży po towar, prawie były nowe.

*Bojec* przyniósł teczkę, a ja się modłę po cichu „Jezus, Maria, Józefie Święty, bądźcie przy duszy mojej! Matko Najświętsza, polecam się Twojej opiece, jak również swoją całą rodzinę, nie opuszczaj ich!”

Mój *śledowaciel* teczkę otworzył, wyjął z niej pałkę taką jak przed wojną nasza policja nosiła, gumową i podał ją Gruzinowi. Ten nią trząchnął i mówi do mnie: „Kładź się na brzuchu. Tą pałką wasza policja biła chłopów i robotników”. Okraczył mnie twarzą do nóg i zaczął bić to w jedną piętę, to w drugą. Zaczęło mnie szumieć w uszach niesamowicie, a ból od bicia w pięty szedł prawie po mnie całym aż od głowy. I głowa również.

Ten bije aż stęka. A ja mam pseudonim Pięta. Myślę sobie: „Czy może oni wiedzą, że ja mam pseudonim Pięta i tak mnie tłuką w pięty?”

Wreszcie tą pałkę gumową rąbnął o podłogę i złapał mój but za cholewę i z obydwóch rąk bił mnie w pięty raz w jedną, a drugi raz w drugą. Ile mnie tych uderzeń wrąbał, to nie wiem, w każdym razie było ich kilkadziesiąt. W końcu już i sam się zmęczył, oddał gumę mojemu *śledowacielowi* i krzyknął: „Wstawaj!” Wziąłem się podnosić, najprzód na kolana, ale gdy chciałem wstać tylko jedną nogą, przewróciłem się. Krzyknął jeszcze głośniejsze: „Wstawaj, bandyt z *podpólnej* organizacji!” I znowu chcę wstać. Przewróciłem się na drugi bok i już się nie podnoszę. Mój *śledowaciel* wyszedł, zawołał *bojca* i kazał jeszcze jednego zawołać. Weszli we dwóch. Jeden wziął za jedną rękę, a drugi za drugą rękę i po jednym bucie wzięli i pociągnęli mnie korytarzem i przez plac do mojej celi. Gdy drzwi otworzył dyżurny, pociągnęli mnie za próg i rzucili jak mokry worek.

W celi złapali mnie moi towarzysze i położyli na łóżko. Nogi od razu mnie popuchły, posiniały. Boli mnie wszystko, a najgorzej nogi, głowa i szumi bez przerwy. Gdy odpocząłem trochę, opowiedziałem, co ja miałem po południu. Doktor Grędzielski mówi: „Ach, Boże, co pan ucierpiał! Żeby tylko to cierpienie nie poszło na marne”. Mickiewicz mówi: „To już ostatecznie sposoby, jakich się chwytają. Niedługo pan śledztwo zakończy”.

Gdy trochę się uspokoiłem, położyłem się spać. Zrazu usnąć nie mogłem, ale potem usnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, miałem sen już drugi raz taki sam, że chodziłem pod ziemią na drozdowskim cmentarzu, przy kaplicy, po grobach i nie mogłem wyjść z tych



podziemi. I tak we śnie myślę, czy ja wyjdę z tych grobów. Wtem się obudziłem, dziękując Bogu, że to był tylko sen.

Wziąłem ten sen za złą wróżbę. Chciałem jeszcze usnąć, ale nie mogłem. Nogi strasznie bolały i wciąż tak jakby coś mi przeszkadzało. Rano do ustępu dwóch wzięło mnie pod pachy. I zaprowadzili, i przyprowadzili. Po śniadaniu we drzwiach klapka się odsunęła i *bojec* zawołał: „Na *bukwu* P”. Odezwałem się. Powiedział: „*Wychadziej!*” Ja poprosiłem pana Fedorowicza, żeby mi pożyczył swoich pantofli, bo butów nie dam rady obuć, bo nogi obrzmiały. „Chętnie -powiedział -niech pan weźmie, tam stoją”. Tu *bojec* krzyczy *skarej*. Obułem te pantofle i idziemy. Przychodzimy do tego samego *śledowaciela*, a on spojrzał na mnie i pyta gdzie mam buty. Ja mówię, że nie mogłem obuć, bo mi nogi popuchły.

A on takim ostrym głosem mówi: „*Idzi do kamery*, obuj buty i przychodź prędzej”. *Bojec* od razu złapał mnie za rękę, wyciąga na korytarz i idziemy do mojej celi. Zdjąłem pantofle, wziąłem za but, ale gdzie tam, obuć nie mogę. Towarzysze pomogli mi wciągnąć siłą. Mój Boże, co miałem za ból! Zęby ścisnąłem i poszedłem z powrotem do *śledowaciela*. On miał walną kupę papierów i przeglądał je. Odsunął papiery i mówi do mnie, czy przyznam się i powiem prawdę. Mówię, że nic nie wiem, bo nic nie zrobiłem. Wydarł kartkę z notesu i wyszedł. Zawołał *bojca* i pisał coś na tej kartce, potem dał dyżurnemu, do *śledowaciela*. Dyżurny z tą kartką poszedł.

Ja prosiłem *śledowaciela*, żeby przyprowadził tu tego, co ja do niego mówiłem, że w Drozdowie jest już zorganizowane. Za parę minut przyprowadził *bojec* tego, który w Łomży u *śledowaciela* zeznał, że ja do niego mówiłem, że Drozdowo jest zorganizowane i że ja jestem komendantem.

Gdym na niego spojrzał, drgnąłem. Już miał brodę, chociaż ja też taki sam byłem zarośnięty. *Śledowaciel* pyta się jego i wskazuje palcem na mnie: „Czy ty jego poznajesz?” On powiada: „Poznają”. A później mnie się pyta: „A ty jego poznajesz?” Odpowiedziałem: „Poznają”. Potem zwraca się do niego: „A co on do ciebie mówił przy browarze w Drozdowie?” A ten drań, dawny kolega mój mówi: „Powiedział do mnie, że Drozdowo jest zorganizowane”. *Śledowaciel* wziął czysty arkusz papieru i zaraz zapisał do protokołu, to co on powiedział, potem pyta się jego: „To on był komendantem?” „Tego mi nie mówił, ale chyba tak”. „No to podpisuj!” On podpisał i *śledowaciel* zawołał *bojca* i kazał go odprowadzić. Wychodząc głowę schylił i nawet nie obejrzał się na mnie.

Teraz *śledowaciel* zwraca się do mnie i mówi: „Już teraz się nie wykręcisz! Powiedz wszystko od początku. Jak to było, kto cię namówił do tego, kto ci przysięgę wydawał, *kakaja twoja kliczka?*” Ja mówię, że ja nie wiem, co to jest *kliczka*. A on: „Pseudonim jaki jest

twój?” Ja mówię, że ja nie miałem żadnego pseudonimu, bo ja nic nie wiem. A on mówi: „Jak się nie przyznasz, kto ciebie zwerbował i kogo ty zwerbowałeś, to cię rozstrzelamy”. Ja mówię: „To rozstrzelajcie, ale ja nie jestem winien i nic nie wiem o żadnej organizacji. A wy chcecie, żebym ja powiedział nieprawdę. No, nie powiem więcej nic”.

Przystąpił do mnie i zaczął mnie palcami dziubać z całej siły w klatkę piersiową. Co się zapyta, to ja już nie odpowiadam. To on znowu dziubie palcami. To znowu kopnął mnie nogą po łydkach i po palcach, aż mu się sprzykrzyło. I tak całe dnie i noce, aż nareszcie zakończył ze mną śledztwo. Podpisałem i westchnąłem, że to może już koniec z tym badaniem.

Przyszedłem do celi i mówię: „Chyba już zakończyłem śledztwo, bo tak mi powiedział *śledowaciel*”. Wszyscy się ucieszyli, że to już nareszcie zakończyłem badania. Pokazałem swoją klatkę piersiową, cała była sina i nogi od kopania posiniaczone i poodmykane, ale choć wszystko mnie bolało, nie zważałem na to, bo już myślę, że to będzie koniec.

Tak siedziałem spokojnie parę dni, ale piątego dnia znowu klapka we drzwiach się unosi i słyszę „*Na bukwo P!*” Odzywam się. „*Wychadzij skarej!*” Wychodzę. „*Ruki z zada!*” Wziąłem ręce do tyłu. Prowadzi mnie nie do dużego bloku, tylko tym korytarzem, co mnie bili w pięty gumową policyjną pałką.

Dochodzimy do tych drzwi, drgnąłem. Znowu pewnie będą bić w pięty, a tu jeszcze po tamtym biciu nogi bolą, ale na szczęście omijamy te drzwi, a *bojec* prowadzi mnie do następnych drzwi. Jak tylko wszedłem, zaraz powiedziałem: „*Zdrastwujcie grażdanan śledowaciel*”, odpowiedział: „*Zdrastwu*”. Wyjmuje papiery z szuflady, wystawia kałamarz z atramentem, bierze obsadkę i pyta się: „*Kak zwać?*” Mówię: „*Pieńkowski*”. Pyta się: „*Żonaty, dzieci macie?*” „*Mam ośmioro*”. Uśmieł się i powiedział: „*Dlaczego tak dużo? U nas tak dużo dzieci nie mają*”. Potem pyta się: „*Za co was aresztowali?*” Mówię, że za nic. On wszystko pisze, wygląda na ucziwego człowieka, młody, lat około 30, blondyn. Powiada: „*Jak to mogli aresztować za nic?*”

Mówię, że jeden mój wróg oskarżył mnie, że ja należał do partyzantki, a ja nic nie wiem o żadnej partyzantce. „*Jak to ty nic o niej nie wiesz?*” I tak patrzymy na siebie, ja ani mrugnę swymi powiekami, on też nie mruga. Gdy tak patrzymy na siebie, drzwi się otwierają, wchodzi *bojec*. Trzyma kartkę w ręku. Podchodzi i daje ją *śledowacielowi*. Ten przeczytał i mówi: „*Bieryj jewo*”.

Wychodzimy z tego mniejszego budynku i idziemy przez plac do dużego trzypiętowego więzienia. Gdy wszedłem, od razu mówię: „*Zdrastwujcie grażdanan*

*śledowaciel*”. Odpowiedział : „*Zdrastwuj*”. Taborek stoi, ale nie każe siadać, tylko mnie się pyta, czy ja będę się upierał przy swoim. „Będę – odpowiedziałem - bo ja nie mogę nieprawdy zeznać i podpisać, jak to wy chcecie”.

Zgrzytnął zębami i powiada: „Dosyć już *igrać*. Jutro dostaniesz łopate, pojedziesz samochodem, wykopiesz sobie jamę i tam otrzymasz to, co się tobie należy. U nas takich *swoloczy* bandytów wszystkich rozstrzelamy. Bo co z nimi robić, z wrogami *naroda*? Ty jeszcze możesz się uratować, zależy to tylko od ciebie, jak chcesz, tylko musisz powiedzieć prawdę od początku do końca”. Ja mówię: „Trudno, ja nie mogę powiedzieć, bo nic nie wiem”. Nic nie pisał, kazał mi się odwrócić do ściany i wyszedł, drzwi dobrze nie zamknął, dyżurny przechodził po korytarzu, a *śledowaciel* poszedł do bocznego gabinetu.

Słyszałem zeznania jednej kobiety w bocznym pokoju, którą złapali na granicy, jeszcze w grudniu 1939 roku. Miała ze sobą jakieś gazety i szyfrowaną tajną pisaninę, której oni nie mogli odczytać, bo to trzeba mieć pewne znaki, czyli klucz do odczytania takiego szyfru. Oni nie potrafili tego szyfru złamać.

Pytają, kto jej to dał. Ona mówi, że jakiś przebrany oficer polski w Warszawie. A oni się jej pytają, w jakiej randze ten oficer. „Był majorem”. „A ty byś go poznała? Bo u nas w więzieniu jest dużo majorów”. Ona mówiła, że by go nie poznała, bo go tylko jeden raz widziała. Oni się jej pytają: „Komu ty miałaś to doręczyć?” Ona mówiła: „Ja szłam do swojej siostry. Ona mieszka we wsi”. Ale nie usłyszałem, jak ta wieś się nazywa. Przez tę wieś krzyżowały się drogi i na to skrzyżowanie miał przyjść jakiś człowiek, który miał zabrać pismo. Płakała i prosiła ich, ażeby siostrę jej zwolnili z więzienia, że ona niewinna. Odpowiedzieli, że zobaczą. Więcej nic nie słyszałem, bo słyhać było jakieś kroki kilku mężczyzn.

„Po mnie” - pomyślałem. Westchnąłem do Boga. Wszystko mi stanęło przed oczyma, moje uczynki i złe, i dobre z całego życia mojego. „Boże, polecam duszę moją, bądź sędzią łaskawym dla niej”.

Drzwi się otwały, weszło dwóch, mój nowy *śledowaciel*, a za nim wszedł drugi, trochę mniejszy, średniego wzrostu, ale krępy. Tylko na niego spojrzałem, podobny był do Żyda. Ja się prawie nigdy nie omyliłem w rozpoznaniu Żydów.

Mój *śledowaciel* powiedział: „Daję ci termin do jutra. Pomyśl nad sobą. Masz dwie drogi - jak się przyznasz, będziesz żył, a jak się nie przyznasz, *ubijem*”. On miał jedno oko mniejsze. Jak go pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że Pan Bóg go naznaczył, on musi być niedobry.

Na drugi dzień po wejściu do ubikacji umyłem się i załatwiłem. Gdy wróciłem, zaraz podali nam chleb, sześćset gramów, i cukru pudełko od zapalek, potem przynieśli kawę. Zdażyłem zjeść, już *bojec* przyszedł, uchylił klapkę we drzwiach i zawołał: „Na *bukwu* P!” Odezwałem się. „*Wychadzij!*” - powiedział. Wyszedłem, ręce z tyłu. Gdy założyłem ręce jedną na drugą, wziął mnie za lewą rękę i idziemy do tego samego *śledowaciela* z jednym mniejszym okiem. Siedział już za biurkiem. Powiedziałem: „*Zdrastwujcie grażdanin śledowaciel!*”. Odpowiedział: „*Zdrastwuj!*” i pyta się, czy się już namyśliłem powiedzieć prawdę. Mówię: „Zawsze mówię prawdę, ale wy nie wierzycie. To co? Ja muszę powiedzieć nieprawdę?” Jak on się zerwie! Wskoczył zza biurka i szybkim krokiem przyskoczył do mnie. Jak rąbnie mnie pięścią w żołądek! Ja się wywróciłem razem z taborkiem na podłogę i złapałem się ręką za prawą pachwinę. A on krzyknął: „Siadaj na taborek!” Lewą ręką postawiłem taborek, a prawą trzymam się za pachwinę. Skrzywiłem usta z bólu i usiadłem na taborku, ale tylko lewą rękę położyłem na kolano, a prawą trzymam na pachwinie.

On krzyknął: „Drugą rękę na kolano!” Jeszcze gorzej się skrzywiłem i położyłem drugą rękę na drugie kolano. „A teraz *gawaryj*, kto ciebie zwerbował i kogo ty zwerbował”. Ja mówię: „Ni kto mnie nie zwerbował i nikogo ja nie zwerbowałem”. „Ty znowu to samo mówisz? *Budziet* z tobą *plocho*, *ubijem* ciebie”. Ja mówię: „To ubijcie, ale ja nic nie jestem winien”. A on mówi: „Jak to? Nie mówiłeś do X, że masz *Drozdowo* zorganizowane?” Ja jego proszę: „*Grażdanin śledowaciel*, dajcie mnie jeszcze tego, co on na mnie to powiedział. A *śledowaciel* mówi: „Toć już raz przyprowadzili, to on powiedział, co ty do niego mówił. To co chcesz więcej, żeby powiedział”. Ja mówię: „Niech on powie, kto mnie zwerbował i kogo ja zwerbował”. A on mówi: „To już wystarczy, coś ty do niego mówił”. Ja złapałem się ręką za pachwinę i syknąłem znowu z bólu i zaraz znowu położyłem rękę na kolano z powrotem. On to zauważył, że mnie to strasznie boli, a ja znowu go proszę, żeby on jeszcze raz to powiedział. „*Charaszo*, ja ci go jeszcze raz postawię”.

Potem pyta się mnie, co ludzie mówią w celi. Ja mu mówię, że ludzie mówią, że jest życie liche, ciasno ogromnie. „A co więcej mówią?” Ja mówię, że więcej nic nie mówią.

Wstał i zadzwonił na *bojca* i kazał mnie odprowadzić do celi. Przeszedłem skrzywiony i trzymam się prawą ręką za pachwinę. Pytają się mnie, czy znowu mnie bili. Powiedziałem, jak było i patrzę sobie w tę pachwinę. A miałem w niej taką narośl, jakby jajko wzdłuż przekroił i tam przyłożył. Przychodzą i patrzą się na tę narośl i mówią, że to jest przepuklina. A ja mówię, że *śledowaciel* w to miejsce mnie uderzył kułakiem i mówię, że jeszcze raz postawi mi na oczną stawkę tego, co na mnie powiedział, że ja mam zorganizowane *Drozdowo*.

Już trzeci miesiąc mnie biją i chcą, żebym ja się do tego przyznał, a ja nie chcę się przyznać, bo to nie jest prawda. A *śledowaciel* mówi, że jak się do tego nie przyznam, to mnie zabiją. A ja mówię: „To zabijcie, ale ja nic nie jestem winien”.

Po południu już na śledztwo mnie nie wołali. Podszedł do mnie Mickiewicz i po cichu mi mówi: „Panie Pieńkowski, niech się pan nie przyzna, broń Boże, bo by pan sobie narobił gorzej. Bo i mnie straszyle, że mnie zabiją i śledztwo zakończyłem. I pana jeszcze pomęczą, ale śledztwo zakończą i będą nas sądzić. A może jeszcze coś się zmieni na świecie, zobaczymy. I może wrócimy jeszcze do swego domu i do kochanej Ojczyzny Polski. Odpowiedziałem, że ani myślę się przyznać.

Na drugi dzień po ubikacji i po śniadaniu przyszedł *bojec* z karabinem. Dyżurny drzwi otworzył i mówi: „Wszyscy wychodzić na *pragulku!*”, to znaczy na spacer. Przechodzimy obok więzienia. Przy dwóch ostatnich okienkach piwnicznych w celach siedziały radzieckie młode dziewczynki. Szyby były pobite i jak my przechodzili, to one krzyczały: „*Smotryjcie, idut polskie pany!*” Tak rząd bolszewicki wychowywał w piwnicach więziennych na ludzi, może przyszłych dygnitarzy. Nie do opisania, cośmy tam usłyszeli za wyrazy. Kilka z tych dziewcząt podnosiły sukienki i wykrzykiwały: „*Polaczki, czadzijcie do nas!*”, a śmiały się, jakby im najlepiej na świecie się powodziło, zadowolone ze swojego losu. Krzyczeli na nich dyżurni, to one ich wyzywały, jakie tylko wyrazy mogły się znaleźć w rosyjskim, tak ich ubierali. Takie to były wychowawcze zakłady. Te dziewczęta miały włosy nieuczesane, to wyglądały jak straszdyła na wróble.

Jedna wyrzuciła kawałek chleba. Jeden z naszych złapał ten chleb, ale zobaczył to *bojec* i przyskoczył z karabinem do niego i „*Bros!*” krzyknął. Jak on się nie spieszył rzucić, zamierzył się karabinem na niego i ten rad nierad rzucił ten chleb, chociaż mu szkoda było, bo tam każdy był zawsze głodny.

Rano, gdy rano przynieśli chleb, pajkę sześćset gramów, to zanim kawę przynieśli, to już niektórzy pozjadali chleb, a kawę to tylko popijali. Ja rano zawsze czekałem, aż przyniosą kawę i zjadałem pół pajki tego chleba, a przy obiedzie znowu dzieliłem tę połowę na połowę i zostawiałem te ćwiartki po sto pięćdziesiąt gramów na kolację. I tak robiłem codziennie.

Na taką *pregulkę* wyprowadzali nas raz na miesiąc, przewietrzyć się. Wracam do tych dziewczyn, nad nimi wyżej siedzieli znowu chłopcy. Łóżka mieli takie same jak i my, żelazne i na nich trzy deski, bez żadnego posłania i po jednym kocu do odziewania. To te dziewczyny tymi deskami z łóżka bez przerwy biły we drzwi, aż drzwi dość grube poszczypały. To im wodę tam do celi leli. A były tam chyba i starsze, bo jedna krzyczała:

„Wołodia, ty zechciałbyś *pojebatsa*, ale nie możesz!” i śmiały się tam na cały głos. Ale za jakiś tydzień ich gdzieś wywieźli, bo było już cicho.

Teraz opiszę miejsce, gdzie nas prowadzili na tę pregułkę. Około sześćdziesiąt metrów od więzienia był plac ogrodzony pięciometrowymi deskami, a w środku takiej samej wysokości deskami poprzegradzane były takie kliny, jak u nas na wsi kobiety robiły sery. To takie same, tylko duże, takie, że mogło się pomieścić około sześćdziesięciu, a może i więcej ludzi. I tam każdy spacerował, jeden w tę stronę, a drugi w przeciwną stronę, ale wszyscy chodzili, bo każdy chciał na świeżym powietrzu się rozruszać i nałykać się tego powietrza.

*Bojec*, jak tylko więźniów przyprowadził, to zamykał i sobie poszedł. Ile tych kojców poprzegradzanych było, to nie wiem, ale plac był bardzo duży i słychać było rozmowy i spacer. A *bojce* obserwowali z trzeciego piętra więzienia, co się robi w kojcach. Wszystkie deski były popisane nazwiskami i różnymi wiadomościami, prawdziwymi i nieprawdziwymi. Bo kto mógł wiedzieć, co się dzieje na świecie, kiedy siedział stale zamknięty w więzieniu?

Był to już październik, a ja jeszcze nie skończyłem tego swojego śledztwa. Znowu rano po śniadaniu klapka w drzwiach uchyliła się i usłyszałem: „Na *bukwu* P!” Dyżurny, wsadził klucz we drzwi, otworzył i krzyknął: „*Wychadziej skarej!*” Obułem się i marynarkę założyłem na siebie i wychodzę. Ręce wziąłem do tyłu, on wziął mnie za rękę i prowadzi do tego samego *śledowaciela*. Powiedziałem: „*Zdrajstwujcie grażdaniin śledowaciel!*”. Nic nie odpowiedział, tylko podał kartkę *bojcowi* i ten z tą kartką poszedł, a *śledowaciel* wyjął arkusz papieru z szuflady biurka i pyta mnie, czy ja się namyśliłem powiedzieć prawdę. Ja odpowiedziałem, że ja zawsze mówię prawdę.

Wtem wchodzi *bojec* i prowadzi za rękę tego, co mnie zaprzepaścił, co za niego cierpię. Spojrzelim na siebie, on spuścił głowę. *Śledowaciel* zapytał się: „*Kak zwać?*” On odpowiedział: „Ch.W.” Ja zacząłem drzeć. *Śledowaciel* wziął obsadkę do ręki, przysunął bliżej papier i pyta się jego: „Co *Pieńkowski* mówił do ciebie przy piwnym zawodzie w *Drozdowie?*” A on mówi: „Powiedział, że ma *Drozdowo* zorganizowane”. *Śledowaciel* woła go: „No to podpisuj!” On podszedł i podpisał. Już go kazał *bojcowi* odprowadzić, a na mnie poty wystąpiły i pytam się *śledowaciela*: „*Grażdanin śledowaciel*, czy ja jego mogę się zapytać choć jedno słowo?” A on mówi: „No to *sprosj* jego”. Ja od razu do niego: „Kiedy mówisz, że ja *Drozdowo* zorganizowałem, to powiedz, kogo ja tam zorganizowałem i kto mnie zorganizował?” On nic nie mówi, więc *śledowaciel* go się pyta: „No *gaworyj*, kogo on zorganizował?” On powiada: „*Ja nie znaju*”. A ja się pytam: „A kto mnie zorganizował?” On znowu milczy. *Śledowaciel* znowu mówi: „No *skazyj*, kto jego zorganizował?” On mówi: „*Ja*

*nie znaju*”. A ja mówię uniesionym głosem: „Ty cholero, draniu! Mnie zdrowie odbierają i życie mi chcą odebrać, a ty na mnie niesłusznie mówisz!” *Śledowaciel* patrzy się to raz na mnie, to drugi raz na niego, a jeszcze mówię: „Kto mnie dał polecenie do organizowania?” *Śledowaciel* znowu się go pyta: „Kto jemu dał polecenie, żeby on organizował *ludziej*?” On mówi: „*Ja nie znaju*”. Jak *śledowaciel* krzyknie: „*To po czto beltał na niewo, kiedy niczewo nie znajesz?!*” On głowę spuścił i nic nie mówi. Bojec stał na korytarzu, za drzwiami. *Śledowaciel* zawołał go i mówi: „*Odprowadzij jego do kamery*” i poszli.

*Śledowaciel* zaczął znowu coś pisać, skończył i patrzy się na mnie i mówi: „*Żebyś ty nie organizował, to byś do niego nie mówił. „Grażdanin śledowaciel, ja powiem prawdę, że do niego się tylko tak pochwaliłem, ale nic nie robiłem i nikogo nie organizowałem*”. A on mówi: „*Nie nada było beltacsa*”.

Po tym śledztwie zrobiło mi się lżej na duszy, może choć mnie nie zabiją. Powiedziałem *śledowacielowi*, że ja będę ich dobrym *grażdaninem*, będę im *charaszo rabotać*. On coś tam pisał, potem dał mnie do podpisu i ja podpisałem. Zadzwoił po *bojca* i kazał odprowadzić do celi. Gdy wszedłem do celi, od razu byłem jakiś inny, weselszy. Mickiewicz mówi: „*Chyba pan śledztwo zakończył?*” Mówię: „*Nie zakończyłem, ale miałem dziś oczną stawkę i śledowaciel powiedział do niego: „Bo po szto ty beltał na niego, kiedy nic nie znajesz?*” i dziś nie bił mnie wcale.

Wszyscy się ucieszyli, gdym powiedział o dzisiejszym śledztwie. Nogi to mnie jeszcze bolały, ale nadzieja we mnie wstąpiła, bo *śledowaciel* po tym uderzeniu w żołądek zrobił się łagodniejszy, a ja, jak tylko wszedłem do niego, to się ręką trzymałem za pachwinę, a dopiero gdym usiadł na taborku, to obie ręce położyłem na kolana. A coraz to usta krzywiłem, że mnie strasznie boli. Chodziłem jeszcze do niego kilka razy na śledztwo, ale to tylko się to samo powtarzało, te same pytania i te same odpowiedzi - nic nie wiem o organizacji i nic sam nie robiłem.

Pod koniec października z rana mnie na śledztwo nie wołali i aż przed wieczorem przyszedł *bojec* po mnie. Dyżurny drzwi otworzył, wyszedłem. On krzyknął: „*Ruki z zadu!*” Wziąłem ręce do tyłu, on wziął mnie za rękę i powiada: „*Idziom*”. Zaprowadził mnie do tego samego *śledowaciela*. Jak tylko wszedłem, jak zwykle powiedziałem: „*Zdrastwujcie grażdhanin śledowaciel*”. Odpowiedział: „*Zdrastwuj, siadaj na taborek*”. Usiadłem i syknąłem, usta wykrzywiłem, że mnie strasznie boli.

A on powiada: „*Znajesz czto, Pieńkowski?*” Odpowiedziałem: „*Niczewo nie znaju*”. „*Tu przyjdzie cię badać sam naczelnik więzienia. Ty się lepiej przyznaj, bo on strasznie bije. Ile cię tu wszyscy bili, to nie tyle, co on cię dziś tutaj nabije. Wszystko jedno będą cię sądzić i*

na wolność już nie wrócisz. Po co się upierasz? Lepiej przyznaj się i wszystko powiedz od początku, kto ciebie do tej organizacji namówił i kto przysięgę wydał, no i kogo ty zwerbował i *kakaja twoja kliczka*”.

Ja jemu odpowiedziałem: „Ja nic nie wiem o żadnej organizacji i nie mam do czego się przyznawać. A »*kakaja moja kliczka*«, to ja nie rozumiem, co to jest”. „To jest jakiś twój pseudonim”. Odpowiadam: „Nie mam żadnego pseudonimu i do niczego się nie przyznam”.

On powiedział: „Ja ci radzę dobrze. Po co cię w dalszym ciągu mają bić? I wyrok byś mniejszy dostał. A może by do domu puścili? Tylko powiedz prawdę, bo nam nie chodzi tylko o ciebie, tylko o tych, co tam zostali bandytów z *podpólnej* organizacji”.

Wtem drzwi się otwierają i wchodzi taki średniego wzrostu, w zielonym mundurze, w kamaszach i nad nimi sztylpy żółte zapinane na sprzączki, a pod pachą żółta teczka. I od razu krzyknął: „To ten?!” *Śledowaciel* odpowiedział: „Da”, to znaczy tak. Od razu przyskoczył do mnie i krzyknął do mnie: „*Kak zwać?*” Odpowiedziałem, że Pieńkowski Aleksander. „*Poczemu ty nie zeznał i nie skazał prawdy? Czterech śledowaciel cię badało, a ty prawdy ani jednego słowa nie powiedział!*” Odpowiedziałem: „Bo ja *niczewo nie znaju*”. On odpowiedział: „*To siejczas uznajesz?*”.

Teczkę, jak wszedł, to położył ją na biurko. Złapał ją, otworzył i wyjął z niej dawną polską pałkę policyjną. Ręka mu się trzęsie z tą pałką. Jak na mnie oczy wytrzeszczy, to te białka w oczach zrobiły mu się dwa razy takie duże i krzyknął: „*Snimaj kindziak!*”, to był taki mundurek. Zdjąłem i trzymam w ręku. „*Broś!*” – powiedział. Puściłem go obok siebie, on kopnął go nogą, aż do ściany poleciał i krzyknął: „*Snimaj sztany!*”, to znaczy portki. To były takie codzienne spodnie do roboty. Na tyłku były naszyte leje brezentowe.

On przestawił taborek na środek tego gabinetu i ręka z tą gumą mu się trzęsie, a mnie łyzy z oczu jedna za drugą płyną. Ręce mi się trzęsą, bo myślę, że poprzecina mi skórę na tyłku, jak zdejmę te portki i już ich miałem na kolanach, a on powiedział: „*Sztany wdziej!*” Ja czym prędzej te portki do góry i zapiąłem, a on jakby maligny dostał, tak mu się ta ręka z tą gumą trzęsie. Krzyknął: „*Łożyś się na taborek!*” Położyłem się. Jak mnie rąbnie z całej siły tą pałką gumową po tyłku, a mnie chyba łyzy jak iskry z oczu trysnęły. Po tym uderzeniu krzyknął: „*Siadaj na taborek!*” Usiadłem. On wziął krzesło, postawił naprzeciw mnie i pyta się mnie: „Kto ciebie zwerbował do *podpólnej* organizacji?” Ja: „Nikt mnie nie werbował”. Jak on mnie weźmie po udach bić, to po jednym, to po drugim. Rąbnął mnie trzy razy po jednym i trzy razy po drugim udzie, potem się pyta: „A kogo ty zwerbował?” Mówię: „Nikogo”. On znowu krzyknął: „*Łożyś na taborek*”. Położyłem się. Jak mnie przywali drugi



raz i znowu krzyczy: „Siadaj na taborek!” Usiadłem. Znowu rąbie mnie po udach, raz po jednym, to drugi raz po drugim udzie.

Tym razem wrębał mi po pięć gum na każde udo. Nie krzyczałem, ale łzy z oczu leciały prawie ciurkiem. On widział, jak mnie te łzy spływały po twarzy, ale to był człowiek bez żadnego sumienia. Mój *śledowaciel* poszedł za biurko, usiadł i przyglądał się. Potem wyjął jakiś papier, zaczął coś pisać, bo nie chciał patrzeć, jak ten naczelnik mnie tą gumą rąbał.

Po raz trzeci krzyknął: „*Łożyś* na taborek!” Ja mówię: „*Grażdanin naczelnik, ubijcie* mnie od razu, a nie bijcie”. A on powiada: „Nie *nada* cię ubić. Ty i sam *padochniesz!*” I znowu krzyknął głośniej: „*Łożyś* na taborek!” Położyłem się. Jak mnie rąbnie z całej siły! Tylko całe moje szczęście, że miałem na sobie te spodnie grube, wełniane i na nich naszyte leje brezentowe, to tylko od nich łoskot się jak od deski odbijał. I krzyknął: „Siadaj na taborek!” I znowu bije mnie po udach, raz po tym, a raz po drugim. Już nie wiem, ile razy mnie uderzył, bo sam się zmęczył. Wstał i rąbnął tą pałkę o podłogę, że aż o sufit się odbiła. Mój *śledowaciel* zerwał się z biurka, złapał tę pałkę gumową i do teczki wsadził i podał ją naczelnikowi. Ten wsadził ją pod pachę i powiedział: „*Niczewo nie wybijosz, zgnijet w tiurmie, bandyt*”.

Była może godzina pierwsza w nocy, naczelnik wyszedł. *Śledowaciel* mówi: „Powiedziałem ci, że lepiej się przyznaj, po co się mają tak bić. I tak i tak na wolność nie pójdziesz”. Zawołał dyżurnego i ten mnie przyprowadził do celi.

Nie mogłem się położyć, bolały mnie wszystkie członki, nie było takiego miejsca, żeby mnie nie bolało. Chciałem się położyć, tyłek mnie piekł jak ogniem, próbowałem się przewrócić na brzuch, uda zbite tak samo mnie ogromnie bolały. To tylko delikatnie na boku chciałem trochę zasnąć, ale gdzie tam, nie mogłem.

Przyszły mi na pamięć te ślepie naczelnika. Jak je wytrzeszczył, to białka robiły się duże jak u byka, to za chwilę znowu robiły się normalne i tak cały czas. Mój *śledowaciel* siedział za biurkiem i tylko nieraz się obejrzał w naszą stronę.

Nad ranem trochę zasnąłem, ale zaraz pobudka do ustępu. Pokazałem swój goły tyłek i uda - był sine jak wątroba. Poczułem po tym biciu, jakby mnie ubyło połowę. Siły mnie opuściły, nogi w stopach też bolały, ledwie się zwlokłem do ustępu i z powrotem.

Wszyscy mi współczuli. Mickiewicz się zbliżył do mnie i powiada: „To już chyba będzie koniec śledztwa, bo oni jak się nie da zmusić do przyznania, to wprost szaleją i tak biją. I ja myślę, że już niedługo zakończą z panem śledztwo”.

Następnego dnia nie wzywali mnie na badania, ale nie mogłem ani siedzieć, ani leżeć, ani chodzić. To posiedzę trochę na boku na samym kancie łóżka, to później odwracam się i na drugim boku na kancie łóżka siedzę.

W celi oprócz tego obrośniętego Rusina, co siedział już dziewiętnaście lat, modlili się wszyscy, a była to niedziela. Nauczyciel odmawiał różaniec i potem śpiewali półgłosem godzinki, które umiał ten nauczyciel. I nawet za mnie się modlili, żebym jak najprędzej śledztwo zakończył. Na drugi dzień też nie wywoływali mnie na badanie, trzeciego dnia też nie wołali.

W końcu października przyszedł *bojecz* po mnie. Idziemy i ja myślę w drodze, co oni znowu obmyślili ze mną zrobić. Przyprowadził mnie do tego samego *śledowaciela*. Jak tylko wszedłem, mówię: „*Zdrastwuj grażdanin*”. *Śledowaciel* powiedział: „*Zdrastwuj*”, uśmiechnął się i podał mi rękę, przywitalim się jak stare znajome. Usiadł za biurkiem, a obok ma dość wysoką kupę papierów i powiada: „*Znajesz szto, Pieńkowski?*” Ja odpowiadam: „*Ja niczego nie znaju*”. „*Ty siewodnia zakończysz śledztwo. Ja ci będę czytał od początku, o co ciebie się pytali śledowaciele i twoje odpowiedzi. Ty słuchaj uważnie, czy wszystko było *prawilno* pisane, a przeważnie swoją odpowiedź. Jak zauważysz, że coś będzie źle napisane, to zaraz protestuj*”.

I bierze pierwszy arkusz z wierzchu i czyta mi, a ja uważnie słucham. „*Tak było - mówię - tak *prawilno**”. To on wykręca ten arkusz papieru i mówi: „*To podpisuj!*” Podpisałem i on podpisał i odłożył na bok. Potem bierze drugi arkusz i znowu czyta, potem się mnie pyta: „*Tak było?*” Mówię: „*Tak*”. „*No to podpisuj!*” Podpisałem i on podpisał i odłożył na tamten arkusz. I tak po kolei wszystkie czytał i ja, i on wszystkie podpisywalim i na drugą kupę przekładał.

Gdy skończył, to na nowym, czystym coś pisał i znowu podpisałem, chociaż nie wiedziałem, co on tam napisał. Potem powiedział: „*Podpisałeś, że podczas śledztwa cię nie bili. Teraz to wszystko pójdzie do prokuratora, on to wszystko rozpatrzy, potem to pójdzie do sądu. Nie *dumaj*, że tam mało otrzymasz. Tam tacy będą sądzić cię jak ja, oni dadzą ci *dowolna chwatit* tobie. A jak tu oni nie będą mogli cię osądzić, to pójdzie do Moskwy. To tam cię osądzą może nawet na piętnaście lat*”. „*Wsio adno, *piatnatcat* ili *dwadcat**”. A on się patrzy na mnie i mówi: „*Ty może myślisz, że siedzieć w więzieniu nie będziesz. O tym zapomnij! Ty już Polski nie zobaczysz*”. A ja mówię, że ja myślę, że zobaczę i do niej wrócę. A on: „*Co ty myślisz, że Anglia wam pomoże? Już ją niedługo Niemcy zbombardują*”.

Skłoniłem mu się, podał mi rękę i powiedział: „*Więcej my się nie zobaczymy*”. On nie był dla mnie takim draniem jak pierwszy i drugi, a trzeci wcale był dobry, ani razu mnie

nie uderzył, ani razu, bo byłem u niego tylko parę dni. A najgorszy był naczelnik. Tylko całe moje szczęście, że to jednego dnia się skończyło.

Gdy *bojec* mnie przyprowadził, a dyżurny drzwi otworzył, wszedłem do celi. Pomimo bólu miałem twarz uśmiechniętą i prawie wszyscy poznali, że śledztwo zakończył i musiałem podpisać, że podczas śledztwa wcale mnie nie bili. Byli z tego wszyscy zadowoleni.

Zakończyli śledztwo również doktor Grędzielski, wcale go nie bili i nauczyciel Kozieł, tylko kilka razy w twarz dostał. Również zakończył śledztwo marynarz Ciborowski z Łomży, ale miał stracha, żeby jego papierów nie znaleźli. Należał do organizacji i miał całą listę. Schował ją do ustępu, pod deski. I tak jednych zabierali po zakończonym śledztwie z celi, a drugich przyprowadzali. Mnie już na śledztwo nie wzywali, byłem spokojny. Pomału bóle mi ustępowały, opuchlizna też z pięt zesza. Tylko tyłek i uda to mnie jeszcze długo bolały. Klatka piersiowa jeszcze była podobna do ciężkiej wątroby od szturgania palcami przez dwóch pierwszych *śledowacieli*.

W listopadzie znowu do naszej celi dwóch wpuścili, jeden był starszym człowiekiem, stolarzem, nazwiska jego zapomniałem. On różnych rzeczy powiedział, choć ile tam w nich prawdy, nie wiadomo. Drugim towarzyszem jego był Żyd, nazywał się Cybulkin, dzierżawca browaru w Dojlidach, gruby, tłusty, tylko dyszał. Pieniądze otrzymywał często po pięćdziesiąt rubli. Przyniósł ze sobą sporo papierosów, kto palił, to każdemu dał po jednym papierosie. Na śledztwo go wcale nie brali, tylko go aresztowali, aby obwodzić z browaru.

Nadszedł grudzień, z naszej celi już zabrali Sienkiewicza aptekarza i razem Mickiewicza. Nie wiadomo, czy na wyrok, czy do drugich cel przeprowadzili.

Przynieśli do naszej celi chorego, pod pachy go trzymali, a nogi z tyłu ciągnęły się po podłodze. Gdy go zostawili, nie wstawał, tylko leżał i stękał. Wzięliśmy go na łóżko, leżał spokojnie, potem obejrzał się na drzwi, czy klapka nie jest uchylona, czy dyżurny nie patrzy w nią i czy nie słucha, co często tak bywało. Jak kogoś wpuszczają, to się przyglądają, co będzie robił i co będzie mówił.

Powiedział, że siedział w ciemnej piwnicy i zaczął głodówkę, żeby go wypuścili. I uśmiechnięty powiedział, że jak go tylko przyprowadzili do *śledowaciela*, to on zaraz padał na podłogę i trząsał się cały i nogami rzucał i nie odpowiadał na pytanie. To tylko parę kopów po bokach dostał i go *bojec* podnosił i odprowadzał do celi. I tym się ratował od ciężkiego bicia.

A jak do ustępu, to my go prowadzaliśmy pod pachy tam i z powrotem, bo był strasznie osłabiony i ciągnął nogi za sobą, a dyżurny go obserwował i tam donosił. Ale gdy już wróciłem z ustępu, to się uśmiechał i powiada: „Będę tak do końca się bronił, co będzie, to będzie”.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, mróz był około trzydziestu stopni. Ja szykowałem się w ustępie do mycia, bo od 20 maja cały się nie myłem. I wieczorem, gdyśmy poszli do ustępu, radzili mi, żebym się nie rozbierał i nie mył, bo duży mróz, w dodatku w okienku szyby pobite i śnieg wiał prosto w to okienko. Ale co już postanowiłem, to mało kiedy nie wykonałem.

Były tam trzy krany. Raz dwa rozebrałem się i pod środkowy kran podsunąłem głowę i dalej zacząłem się myć i to bardzo energicznie. Już głowę umyłem, myję szyję, ale zimno mnie strząchnęło. Drgnąłem, ale myję się cały i nogi też umyłem. Jeszcze się tam wszyscy nie załatwili, ja już się ubrałem i dla rozgrzewki skakać zacząłem, ile mogłem do góry podbryknąć.

Korytarz był dość długi i całą drogę brykałem, bo gdybym tego nie robił, to na pewno miałbym zapalenie płuc. Gdy przyszedłem do celi, wszyscy posiadali, a ja chodzę, jak tylko mogę prędko i nie mogę się rozgrzać. Ale nie ustaję. Już prawie wszyscy się poutulali do spania, a ja jeszcze z godzinę chodziłem, aż nareszcie robi mi się ciepło i poczułem się trochę zmęczony. Ale zasnąć od razu nie mogłem, nogami się ćwiczyłem, zginałem i wyprostowywałem i tarłem nogą o nogę i potem usnąłem.

Na Wigilię Bożego Narodzenia Cybulkin poszedł do *larka* i kupił dwa kg kiełbasy i dwa placki, też po jakies dwa kilogramy. Dał temu stolarzowi, który porznął je na kawałki, dla każdego kawałek, placki też tak samo. Kupił i papierosów czterdzieści sztuk. Cybulkin kiełbasy nie jadł, powiedział, że za tłusta dla niego, a tłuszcz mu szkodzi.

Podziękowaliśmy jemu za ten tłusty opłatek, a sobie życzyliśmy, żeby Bóg dał doczekać, żebyśmy wrócili do swych domów i podzielili się prawdziwym opłatkiem ze swymi rodzinami, tak nam Panie Boże dopomóż. Prawie wszystkim łzy z oczu poleciały i każdy wspomniął swoją rodzinę i swój dom. Zaczęliśmy śpiewać „Bóg się rodzi, moc truchleje”, ale zaraz dyżurny klapkę uchylił we drzwiach i krzyknął, że nie wolno śpiewać. Ale my po cichu śpiewaliśmy.

Przeszły święta, przeszedł Nowy Rok. 15 stycznia dyżurny zaprowadził nas do ustępu. Przynieśli chleb i kawę i po pudełku od zapalek cukru kryształ. Tę porcję prawie codziennie otrzymywaliśmy, czasem cukru nie starczyło, to nie dali. Po śniadaniu klapka się odchyliła i woła na *bukwu* P. Odezwałem się. „*Wychadź z wieszczami!*” A ja tych *wieszcz*

to miałem tylko kawałek ręcznika z rękawa od koszuli. Wziąłem się odwitywać, ale krzyknął: „*Wychadź skarej!*” Powiedziałem wszystkim „Do widzenia, zostańcie z Bogiem” i wyszedłem ze 140 celi. Przeprowadził mnie do celi numer 25. Było tam około pięćdziesięciu ludzi.

Powiedziałem: „Dzień dobry panom”, odpowiedzieli: „Dzień dobry”. Pytają skąd jestem. „Z Drozdowa pod Łomżą”. Dwóch podchodzi do mnie i pyta się: „Jak się pan nazywa?” Ja mówię: „Pieńkowski Aleksander”. „A czy dawno pan był aresztowany?” Mówię: „W maju 1940 roku”. „A ja się nazywam Zalewski Zygmunt z Bronak spod Jedwabnego, a to mój brat Władysław” i wołają jeszcze jednego. „Beczek nazywam się, też z Jedwabnego, krawiec”. Przychodzi czwarty, też z Jedwabnego, Tarnacki Antoni. Ucieszyłem się, że aż czterech ziomków mam ze swoich stron, będzie mi trochę różniej ze swojakami.

Oni jeszcze śledztwa nie zakończyli, tylko Władysław Zalewski. To był żołnierz, to tylko jeden raz go badali, bo był po wojskowemu ubrany.

Zygmunt mi mówi, że wprzód siedzieli w innej celi i razem z nimi siedział doktor Rogowski Jan z Łomży. On był lekarzem w szpitalu i od razu go ze szpitala zabrali w czerwcu 1940 r. Miał lekkie, cienkie ubranie na sobie, drżał z zimna i ten Władysław Zalewski oddał mu swój płaszcz wojskowy, bo nastąpiło chłodno.

No i powiedzieli mi, że doktor Rogowski jeździł do chorych, po wsiach i jednocześnie organizował partyzantkę. I tam jeden komuniściak wydał go. W parę dni potem jeszcze przyprowadzili ze znanych stron Ładę, rolnika, był gdzieś od Kolna.

Doktor Rogowski nie tylko był dobrym doktorem, ale był dobrym człowiekiem i dobrym patriotą. I był moim współnikiem do browaru w Drozdowie. Kupiliśmy go na licytacji w 1939 roku w maju od banku Spółek Spółdzielczych w Warszawie. W tej celi było kilku majstrów, robili igły przeważnie z drutu z siatki albo z gwoźdźca. Sala w tej celi była z podłogą cementową, to na tej podłodze trzeba było drzeć ze dwa dni, aż ten gwóźdź do cienkości igły prawdziwej, potem dziurkę do nitki jakoś robili szkłem z szyby. Za taką igłę płacili trzy papierosy albo porcję cukru, za jeden guzik dwa papierosy. Palacze to oddawali swój cukier za ćwiartkę chleba, potem zamieniali go na trzy papierosy i tak dokoła. Inni znowu na tutkach od papierosów malowali karty do gry.

Upalił z czarnej szmaty popiołu, rozrabiał wodą i nią malował. Z chleba robili różańce, to już taki różaniec kosztował pięć papierosów. Albo warcaby i szachy. Też malowali czarne, to smalili szmaty, a do białych to skrobali wapno ze ścian, ale w niewidocznym miejscu, delikatnie, żeby nie było znać. I taki był tam handel.

Po paru tygodniach znowu mnie przeprowadzili do celi numer 98 na piętrze trzecim. Cella była kwadratowa osiem na osiem, posadzka cementowa i dwa małe okienka, prawie pod sufitem. Było tam sto dwanaście osób. Nie mogłem od drzwi nawet jednego metra się posunąć, tak było ciasno.

Gdy powiedziałem: „Dzień dobry panom”, kilku, co byli blisko drzwi, odpowiedzieli. Pytam się, kto tu jest komendantem tej sali. Mówią mi, że tu nie ma komendanta, tylko jest starosta. Mówię, że ja chciałbym się z nim rozmówić. Jeden wstał i mówi: „Trudno go znaleźć, bo on gdzieś dalej, a pan widzi, jaka tu ciasnota”. Leżą jedni, drudzy siedzą na kucajkach, tam dalej znów leżą, rozmawiają - jedni ściszym głosem, a inni głosują jak Żydzi na jarmarku.

Ale ten co wstał: „Ja pomału pójdę, może go znajdę i zawołam”. Po jakiś dwudziestu minutach przyszli. Ja przywitałem się z nim i mówię: „Gdzie mnie pan starosta umieści?” A on mówi: „Tu, gdzie pan stoi”. Ja mówię: „Tu śmierdzi od tego kibla, to nie będzie można i usnąć!” A on mówi: „Ja panu nic nie poradzę. Tu jest taka reguła - kto ostatni przyjdzie, to przy drzwiach musi spać. Ale może wywołają kogoś na wyrok i on tu nie wróci, to pan po nim to miejsce zajmie. Tu, w tej celi to są wszyscy, którzy już zakończyli śledztwo, to tylko czekają na wyroki i potem już nie wracają”.

W tej celi czekałem na wyrok przeszło miesiąc. Za tydzień przyszedł w nocy z listą i wyczytał pięciu na wyrok, więc czym prędzej przeniosłem się na miejsce jednego z nich, a cały tydzień musiałem wachać ten straszny smród z tego kibla. Ale okazało się, że w tej celi są znajomi.

Był tam Orłowski, Żyd z Łomży, miał fabrykę maszyn rolniczych - młockarnie, wialnie, młynki do mielenia ospy, sieczkarnie i inne narzędzia rolnicze do pracy w polu, jak kieraty. Zналиśmy się dobrze, bo kupowałem u niego wialnie, sieczkarnie, brony sprężynówki i inne narzędzia rolnicze. Pytam się jego, za co go wywieźli, on mówi, że za nic, tylko żeby zabrać fabrykę. Bardzo byliśmy ucieszeni, że obydwoj się spotkaliśmy. Ja jemu powiedziałem prawdę, że należałem do organizacji podziemnej i nie przyznałem się, to nie wiem, jak mnie osądzą. Naczelnik więzienia w Mińsku powiedział, że ja zgniję w więzieniu. Orłowski powiada: „Niech pan nie martwi się. Jeszcze my wrócimy do Polski. Jeszcze wojna się nie skończyła, a jaki koniec będzie, to nie wiadomo. Może ich diabli wezmą?” Tak codziennie rozmawialiśmy, aby dzień prędzej zeszedł. On miał dwóch synów. Jeden był porucznikiem w wojsku polskim. Jak Niemcy wydali wojnę Polsce, to on był na fortach w Piątnicy przy artylerii przeciwlotniczej i zestrzelił jeden samolot niemiecki, gdy bombardowali Łomżę. Ale

nic o nim nie wiedział. Tak samo i o drugim nic nie wiedział i w ogóle o swojej rodzinie, tak jak ja nie wiedziałem, co się stało z moją rodziną po moim aresztowaniu.

Orłowski był nałogowym palaczem papierosów. Jak tam któryś zapalił papierosa, to on go prosił, żeby mu dał choć jednego dymka raz pociągnąć. Ale nie zawsze dostał, czasem tylko dał mu któryś pociągnąć.

Potem poznałem jednego dziedzica bardzo bogatego, nazywał się Jeśmian Mieczysław, syn wojewody poleskiego, porucznik rezerwy wojsk polskich. Pochodził ze Słonimia. Powiedział, że całe miasto Słonim jest pobudowane na ich majątku. Bardzo był uczciwy i dobry człowiek. Potem do naszej trójki przyłączył się profesor gimnazjalny, też ze Słonimia, nazwiska już zapomniałem. W tej celi 9. było przeciętnie od stu ludzi do stu dwudziestu pięciu. Jednych wywoływali na wyroki, a świeżych znowu przyprowadzali na ich miejsce, gdy już zakończyli śledztwo.

Po wyroku nikt już do tej celi nie wracał. Pan Jeśmian miał dużo bielizny - koszul, kalesonów i kilka ręczników i mówi: „Mnie samemu jest wstyd sprzedawać. Może pan zechce, to niech sprzeda je”. Sprzedaż odbywała się tylko za papierosy albo za cukier. Sprzedałem jego dwie koszule i jeden ręcznik.

W tym czasie, był to miesiąc styczeń, mróz był około 30 stopni. Ja już nazbierałem tutków od papierosów i je rozwijałem. Ułożyłem na betonie pod siebie, gdzie spałem i na spód kładłem tylko spodnie. Buty z cholewami kładłem pod głowę, na nich kładłem czapkę, to była moja poduszka. Naodziwiałem się tylko marynarką, starczyło to tylko na okrycie korpusu, nogi były w krótkich kalesonkach. Drżałem cały od zimna, ale trzeci ode mnie leżał ogrodnik, który miał koc. Więc przysunął się, czyli zmienił się na miejsce i ten ogrodnik położył się obok mnie i nakrywał kocem siebie i mnie razem. Było mi cieplej, ale się okazało, że on miał świerzb i trzeba było się drapać po całym ciele delikatnie, żeby nie do krwi. Ale ratowałem się dwa razy dziennie. Gdy chodziliśmy do ubikacji, sikałem sobie na dłoń i nacierałem po całym ciele. Po takim natarciu nie swędziało mnie cały dzień, przed wieczorem też się smarowałem cały. On też się zaczął smarować, tak jak i ja.

W tej celi było ośmiu adwokatów, czterech sędziów, kilku geometrów i dwóch doktorów, czterech inżynierów i dużo różnych urzędników, czternastu Białorusinów, z którymi prawie codziennie były awantury. Urągali na Polaków, a przeważnie na urzędników, tylko do rolników nie czepiali się, a było nas też ze trzydziestu. Niektórego dnia to o mało do bójki nie doszło, bo tak narzekali na Polaków, jak psy na złodziei.

A co usłyszą, że się mówi o Polsce, to zaraz idą do drzwi i bębnią. Dyżurny im otwiera drzwi i oni idą do kancelarii i opowiadają, że Polacy rozmawiają o Polsce i dokładają jeszcze różne rzeczy, których nawet Polacy nie mówili.

Kilku Polaków zabierali do karceru na parę dni, ale potem przeprowadzili ich nazad do celi i powiedzieli, że jak będą mówić o Polsce, to zaraz będą sadzać na parę dni do karceru, *bo Polszy użę niet*, że Polski już nie ma i nie będzie.

W połowie stycznia, po ubikacji i po śniadaniu, przychodzi z kancelarii urzędnik i wyczytuje moje nazwisko. Trochę się zląkłem, czy może mnie weźmie do karceru, ale on mówi: „Przyszły dla ciebie pieniądze, to pójdziesz do *łarka* i tam sobie kupisz, co zechcesz”. Poszliśmy o piętro niżej, tam był ten *łarok*, to znaczy sklepik więzienny. Ale najprzód poszliśmy do kancelarii, tam dali na trzydzieści rubli kwit i dopiero do *łarka*. Co tam było do kupienia! Najważniejsze to były papierosy, zapaliki, pasta do butów, mydło do prania, którego wziąłem całą kilogramową sztabę i bochenek chleba sitkowego i pół kilo cukru w kostkach, no i pięćdziesiąt papierosów i słupek zapalek. I już po pieniądzach, bo to kosztowało całe trzydzieści rubli.

Tylko wróciłem do celi, na razie bogaty. Obstąpili mnie i proszą o papierosa, to ten, to inny. Dałem im pięć sztuk dla wszystkich, żeby po dymku każdy pociągnął. Potem dałem Orłowskiemu dziesięć papierosów i jedną czwartą mydła i pudełko zapalek. On powiada: „Panie Pieńkowski, co ja mogę dać panu?” Ja mówię: „Ja nic od pana nie chcę, tylko tak dałem panu w prezencie”. A on na to mówi: „Panie Pieńkowski, jak wrócim do Polski, to za ten kawałek mydła i za te dziesięć papierosów to jak pan zechce maszynę czy młockarnię, czy wialnię, czy kierat, czy młynek do mielenia, ja panu dam bez pieniędzy. To będzie taki prezent jak pan mnie tutaj zrobił”. Ja jemu mówię: „Panie Orłowski, albo my wrócim?” A on mówi: „Wrócim, zobaczy pan, że wrócim”. A ja jemu mówię, że ja mam słabą nadzieję. Naczelnik mówił, że ja zgniję w więzieniu i już Polski nie zobaczę. A on mówi: „Niech się pan nie przejmuj tym, co mówił naczelnik. On sam nie wie, jak się sprawy potoczą dalej na świecie”.

U pana Jeśmana kupiłem za papierosy i mydło ładną koszulę jedwabną, białą w zielone paski i ręcznik, bo do tej pory ucierałem się rękawem od koszuli lnianej. Resztę papierosów wymieniłem tylko za ćwiartkę chleba dziennie.

Co dwa tygodnie wyprowadzali nas do okólnika na spacer. Przed wyprowadzeniem na korytarz musielim ustawić się w trójki i rozprowadzający policzył nas, zapisał sobie, ilu wyszło, bo niektórzy nie wychodzili, byli chorzy albo mieli buty dziurawe, to zostawali w celi. Spacerowaliśmy po śniegu, w tym kliniastym okólniku, a rozprowadzający zawsze nas



zamykał i chodził na trzecie piętro i przyglądał się z góry, czy który z nas nie pisał nazwiska i skąd pochodził, a nawet wieści ze świata, nie wiadomo, czy prawdziwe, czy nieprawdziwe.

Po półgodzinnym spacerze, gdy nas przyprowadził na korytarz, to znowu liczył, czy czasami jeden nie uciekł. Jak już sprawdził, że wszyscy są, otwierał celę i dopiero wchodziliśmy do celi. Przy potocznej rozmowie dowiedziałem się od tego profesora ze Słonimia, że w tej celi siedział razem z nim mój siostrzanek Henryk Nowacki, który też był profesorem w gimnazjum w Radomsku, a teraz za bolszewików przeniósł się do gimnazjum w Słoniemiu i razem uczyli. I tu go aresztowali i razem siedzieli w tej celi. Ale on odszedł już na wyrok i więcej się nie widzieli.

Mówił mi, że Heniek otrzymywał paczki i nie wiedział od kogo. Raz otrzymał pieniądze oraz słoik miodu i mówił, że on nie wie, kto to wszystko mu przysyła. A był aresztowany przed świętami Wielkiejnocy 1940 r.

Słyszałem również, że siedział z Łomży J. Janicki, zastępca przewodniczącego Rady Powiatowej, ale ja się z nim nie widziałem. Potem był prezydentem miasta Łomży. Był komendantem policji Maniak, był z nami sędzią z Wilna i ten drań nazwisko miał niemieckie. Był polskim sędzią, na pewno miał dobrą pensję, a mówił: „Ja nie jestem obywatelem polskim, tylko litewskim, bo Wilno to jest miasto litewskie” i urągał na Polaków. Było nas dużo, których mało krew ze złości nie zalała, ale nic mu zrobić nie było można.

Był też doktor, Niemiec z Polski, stary, trząsał się, ale mało mówił. Tylko powiedział: „Zobaczycie, co to jeszcze będzie! Z Rosją Niemcy cały świat zawojują”. Nazwiska jego nie pamiętam. Było kilku Litwinów, ale ci mówili: „Toć chyba nas całe życie nie będą trzymać w więzieniu. Zobaczmy, co to będzie dalej”. Siedział z nami poseł, nazywał się Szymanowski. Już był stary i chory, krwią płuł. Zjadał tylko supkę, a swój chleb zamieniał na cukier. Pieniądze też otrzymywał od swojej rodziny. Pytam się jego: „Panie pośle, co będzie z nami i co będzie z Polską?” A on mówi: „Polska! Czy my w niej będziemy, to nie wiadomo, bo Sowietom połowę Polaków wymordują, a dużo naszych braci w tych warunkach nie wytrzyma. Życie dają łyce, ubrania cieplejszego nie mamy. Jak przyjdzie zima, duże mrozy, długo nie wytrzymamy, wprost poumieramy”.

Pomyślałem, że faktycznie tak jest, co on mówi. Ale ja wierzę w przeznaczenie, co komu jest przeznaczone, to tyle będzie żył, wszystko jest w ręku Boga. Ja mam nadzieję, że Bóg mi dopomoże, że wrócę do Polski i do mojej kochanej Rodziny, do Drozdowa.

Ale wrócę się jeszcze do tej naszej celi. Ludzi nigdy nie było mniej niż sto, a czasem nawet stu dwudziestu pięciu, a misek trzydzieści, tak że jedliśmy na zmianę. Musieliśmy czekać, aż do nas wrócą niemyte, a byli ludzie i chorzy. Ale na to nikt nie uważał, bo każdy

był głodny. Tak samo było z łyżkami. A jak się zatkały rury w ustępie, to nie można było się dostać do dziury, a choć i doszedł, to one były pełne, to się sikało i załatwiało po całej ubikacji i nieraz kilka dni tak było, zanim tam przetkali.

Razu jednego przyprowadził dyżurny dwóch też *zakluczonych* i przyszedł jeden urzędnik z kancelarii. Ten urzędnik z zeszytem i ołówkiem w ręku mówi: „Kto ma brudną bieliznę, to niech da do prania, to tam w pralni wypiorą”. Kto oddał i ile, to urzędnik zapisywał do zeszytu. Po trzech dniach przynieśli z powrotem już wypraną bieliznę, ale tylko jedną trzecią tej, co zabrali. Powiedzieli, że po wypraniu dali ją do dezynfekcji i tam się spaliła i poszli. Tak wyszło porównanie, kto miał trzy czy dwie koszule, to został w jednej.

Co noc przychodził z listą *bojec* i wyczytywał nazwiska i wyprowadzał na wyrok. Pamiętam, gdy wyczytali nazwisko tego Mieczysława Jeśmana, taki to był dobry Polak, oficer polski, gdyśmy się rozstawali, płakał. Żal nam go było, ale tu wszyscy na to samo czekali. Potem wprowadzili nowych gości.

Byli to Chrzanowski z Białegostoku komisarz ziemski, Tubielewicz kapitan rezerwy, pan Kowalski porucznik wdowiec, Skibiński młody uczony chłopak spod Wilna, Olszewski z Białegostoku i pan Mickiewicz z celi nr 140, ten, co mi masaż robił cały tydzień, gdy przeciąg mnie podwiął i głowę mi skrzył. On też czekał na wyrok.

Obiady były bardzo liche, rzadkie, w zupie czasami mały kartofelek się trafił w chochli, którą się czerpało albo czwarta część buraka, innemu nic nie popadło tylko sama zupa. Kłócili się przeważnie Białorusini. Jeden taki był gruby, najgrubszy drań, to jeszcze groził, że jak mu nic nie wpadnie, to zaraz miską rąbnie w głowę tego, co nalewał.

A całym starostą tej celi był Olszewski z Białegostoku. To on odpowiedział, że jak on to uczyni, to my obojętnie patrzeć na to nie będziemy. Często zmieniali tych, co rozlewali obiady, bo wszystkim nie dogodzisz i mnie też obrali do tej funkcji rozdawania obiadów. Ale to funkcja, niech Pan Bóg broni i zachowa! Najgorzej się obawiałem, jak temu Białorusinowi czerpałem. Tak tą chochlą po całym kotle pojechałem, żeby coś złapać, żeby mnie nie uderzył tą miską, jak nic mu nie wpadnie grubszego. Po dwóch tygodniach zrzekłem się tej funkcji. W tej celi to co dzień rano śpiewaliśmy „Kiedy ranne wstają zorze”, a wieczorem śpiewaliśmy „Wszystkie nasze dzienne sprawy przyjm litośnie, Boże prawy”. Stawaliśmy wszyscy w czwórkach i głośno śpiewaliśmy. To dyżurny krzyczał, żeby nie śpiewać. Starosta Olszewski mówił, że my tak modlimy się i będziemy śpiewać i nie zważalim w celi na dyżurnego i śpiewalim co dzień rano i wieczorem.

Co dzień jednych zabierali na wyroki, drugich wprowadzali, coraz nowych gości. Po panu Jeśmanie wprowadzili, już w starszym wieku, majora Fiedorowicza i kilku innych,

wszyscy z okolic Wilna. Z panem Fiedorowiczem widziałem się w Iraku, odnalazł mnie i przyszedł do mnie z medalami na piersiach. Po amnestii, jak go zwolnili, oddali mu wszystkie medale, które mu przy aresztowaniu zabrali. Bardzo się obydwaj ucieszyliśmy, że już bylim w wojsku polskim i na wolności.

W połowie lutego wieczorem o godzinie dziesiątej przyszedł z listą w mundurze wojskowym i wyczytuje moje nazwisko i jeszcze sześciu innych nieznajomych. Już wiemy, że to na wyroki. Podchodzi do mnie major, całujemy się, to był bardzo miły i dobry Polak. Później podszedł do mnie ksiądz, pochodził z Grodna, znowu całujemy się „Nie martw wyrokiem, jaki cię spotka”. Mówię temu księdzu, że mam większe zmartwienie niż swój wyrok, to jest los mojej kochanej Ojczyzny i mojej kochanej rodziny. Ksiądz mówi: „Wszystko jest, jak Pan Bóg zrządzi. Niech się pan nie załamuje!” „Ani myślę o tym” - odpowiedziałem. A już za księdzem stał pan Orłowski z Łomży, znowu on mnie całuje i ja jego. To chociaż to był Żyd, ale bardzo dobry człowiek i on mówi: „Niech się pan nie boi wyroku”. A tu *bojec* z listą w ręku stoi i krzyczy: „*Dowolna całowacsa, wychadzij skarej!*”

Wyprowadził nas z tego więziennego budynku i przez plac do drugiego budynku, po schodach na parterze wprowadza nas do dużej poczekalni. Gdy tylko drzwi otworzył, ja wszedłem pierwszy, a tu słyszę znajomy głos: „Olek, jak tam piwo drozdowskie?! Chodź tu do nas, siadaj!” Usiadłem i mówię: „Oni tu nam piwa nagotują, zobaczysz”. Przy drzwiach stał *bojec* z karabinem na ramieniu, a ten, co nas przyprowadził, poszedł oddać listę sędziemu i zameldować, że już nas przyprowadził.

Sala była kwadratowa, dokoła siedziało kilkadziesiąt ludzi oczekujących na wyrok. Na pierwszej ścianie od wejścia w prawo były drzwi do gabinetu sędziego i coraz to jeden człowiek już wychodził osądzony, którego zaraz zabrał ten, co nas przyprowadził i gdzieś poprowadził.

Z Ciborowskim siedział jego szwagier i jeszcze dwóch łomżyniaków, razem czterech z Łomży - Romański i Strynkowski, obaj elektrotechnicy. Rozmawiamy, kto z kim siedział i w jakiej celi. Bardzo dużo siedziało z samej Łomży i z powiatu łomżyńskiego.

Gdy tak rozmawiamy, przyszedł ten, co odprowadził tego już osądzonego i poszedł do gabinetu sędziego. Wychodzi z kartką i czyta głośno: „Pieńkowski Aleksander!” Zerwałem się i odzywam: „Jest!” „A po *batku?*” Mówię: „Mateuszewicz”. „*Chadzij!*” Idę, drzwi otworzył, wszedłem. Jak mnie buchnie zapach kolońskiej wody, chyba cały ten gabinet zlał tą wodą kolońską! Najprzód jak każdego wyższego urzędnika trzeba pozdrowić, powiedziałem: „*Zdrastwujcie grażdanin sędzia*”. Odpowiedział: „*Zdrastwuj*”. Siedział

na fotelu wysokim z oparciem, miękkim, za takim większym biurkiem, przed biurkiem stało krzesło, powiedział: „Siadaj!”

Usiadłem, patrzę, a na biurku leży dość duża paczka szpagatem na krzyż przewiązana i po rogach duże lakowe pieczęcie i jedna była na środku. A pod nią jest złożona kartka wielkości naszego dowodu osobistego koloru ciemnoróżowego. Pyta się mnie: „*Kak zwać?*” Odpowiadam: „Pieńkowski Aleksander, syn Mateusza”. „A pseudonim?” Na biurku leży kartka papieru, on na nią spojrzął i mówi: „*Poczemu ty nie zeznałsa?*” A ja odpowiadam: „Bo ja *niczewo nie znaju i niczewo* nie działał, to co mogłem powiedzieć”. A on mówi: „*Niet, czterech śledowaciel* cię badało, a ty ani jednego słowa nie powiedział prawdy. Ty *dumał*, że ci tak lekko pójdzie?!” i prawą rękę uniósł do góry i zakręcił nią i mówi: „No, nie pójdzie ci tak lekko, jak ty *dumał* !” i czyta mi głośno, że zaocznym wyrokiem w Moskwie *sowieswężejnaja* trójka *osudziła tiebia* na osiem lat łagrów w archangielskich lasach.

Mnie straszili, że ubiją, tylko sobie dół wykopię, a w więzieniu w Mińsku naczelnik więzienia powiedział, że ja zgniję w więzieniu. Gdy usłyszałem, że tylko osiem lat będę pracował w archangielskich lasach, lekko się uśmiechnąłem. A on mnie się pyta: „*Czewo ty się śmiejesz?*” A ja jemu mówię: „*Grażdanin* sędzia, ja *dumaju*, że ja u was osiem lat nie *budu* siedzieć”. A on tak się bystro na mnie patrzy i pyta się mnie: „*A skolko ty dumajesz u nas siedzieć?*” Ja mu mówię: „*Dwa goda, bolsze niet?*”

Jak on się zerwie na nogi, jak grzmotnie pięścią w biurko z całej siły i krzyknie: „Ty *bandyt z podpólnej* organizacji! Ty *udumał* sobie *dwa goda?*!” i macha ręką: „Nie dwa i nie osiem, a jak *budziesz* żyć, to *apiać* osiem, i *apiać* osiem i twoja mogiła to będzie w archangielskich lasach pod jółku! Pomnisz moje słowa!”

I złapał arkusz papieru, rozdarł na połowę i pisze tam coś. Gdy napisał, złożył dwa razy i wsadził pod środkową pieczęć moich zeznań ze śledztwa. I mówi uniesionym głosem: „*Ot te Polaki, kakij to naród! Połuczyl wosiem let i śmiejatsa! Drugij połuczij pietnatcat' l'et i toże śmiejatsa. A jeszcze inny dostanie dwadcat' piat' let i toże śmiejatsa! Szto to za naród, to ja jeszcze nie widział takich!*” Pyta się mnie, czy podpiszę wyrok. Mówię: „Podpiszę”. Na tej drugiej połowie papieru, co udarł, zaczął pisać, nie wiem co. Na tym biurku stała karafka z wodą i szklanka, jak gruchnął pięścią w stół, to ta szklanka brzęknęła. Myślałam, że pospadają, ale nie pospadały, tylko brzęknęły.

On pisze, a mnie ciarki po plecach chodzą. Po co ja to powiedziałem, ale już przepadło, już się nie wróci, przepadło! Napisał, przekręcił do mnie i mówi: „Podpisuj!” Podpisałem. Popatrzył na mnie i jeszcze raz powiedział: „*Ot bandyt, dwa goda siebie udumał!*” Potem zadzwonił, wszedł *bojec*, wyprowadził mnie na poczekalnię i zatrzymał

mnie, a poprowadził Ciborowskiego. Niedługo tam był, wychodzi, śmieje się i mówi: „Osiem lat dostałem”. Ja mówię, że i ja osiem lat dostałem, a Ciborowski mówi: „*Niczewo*, może tyle nie będziemy siedzieć”. I nic sobie z tego nie robi, jakby się nic nie stało.

Na poczekalni było już po wyrokach kilkunastu, ten, co przyprowadził, wyczytał znowu jednego i zaprowadził do sędziego. Ustawił nas w dwójki i poprowadził nas do celi nr 43.

Cela była pusta, ale znać było, że dopiero wczoraj tę celę lokatorzy opuścili. Pewnie ich już na roboty do łagrów wywieźli. Ale już w tej celi dostalim rano chleba sto gramów więcej, to znaczy, że otrzymywać będziemy siedemset gram, a dotychczas dawali tylko sześćset gramów. Obiady też trochę gęściejsze, widać, że chcą nas trochę odżywić i wywieźć do łagrów na robotę.

2 marca przeprowadzili nas do tej samej poczekalni, w której nocowaliśmy, jak nas przywieźli do Mińska. Była tak samo zasrana, aż grubo, jak dziesięć miesięcy temu. Tu już było ze trzydziestu w tej celi. I znowu kilku znajomych. Był zięć Michałowskiego Fr. Kucharski i braciszek od kapucynów Małachowski i szwagier Ciborowskiego Czarnowski.

Widząc, że z tej celi już nas wywiozą, niektórzy zaczęli się upominać o kożuchy, to o palta, które im pozabierali, jak posadzili ich do więzienia. Ale za to, że się upominali i głośno się kłócili, wybrali ich i musieli tę salę wyczyścić z tego łajna i potem wyczyć. Przy tym myciu kilku wymiotowało, a że był mróz, to kto był najliczej ubrany, to dostał jakiś mundurek, chyba jeszcze z carskich urzędników, najgorsze łachy i porwane.

Przed wieczorem ustawili nas w czwórki, wyliczyli, każdy się odezwał i dokładnie po kolei nas zrewidowali. Po rewizji przyjechały dwa samochody, kryte ciężarówki i do nich nas wegnali i przywieźli na stację kolejową. Tu wegnali nas do wagonów towarowych, a już takich wagonów stało trzy, też z ludźmi.

W wagonach było ciemno i zimno, każdy drżał. Potem nas dołączyli do innych wagonów, bo słyhać było zderzenie wagonu o drugi wagon. A potem znowu było zderzenie i słyhać było gwizd lokomotywy i podjechalim parę minut i pociąg się zatrzymał. I znowu było zderzenie wagonów z tyłu. Było słyhać rozmowy, rozkazy i za jakąś godzinę znowu lokomotywa gwizdnęła i pojechalim nie wiadomo gdzie.

W nocy pociąg się zatrzymał w jakimś dużym mieście. Po jednym wagonie rozgruzoli nas i gnali przez miasto. Dopatrzyliśmy na tablicy napis „Moskwa”. Gnali nas może z godzinę. Zatrzymali nas przed bramą koło jakiegoś gmachu otoczonego chyba czterometrowym murem. Przy bramie stał na warcie *bojec* z karabinem. Z naszych stróżów jakiś starszy, pewnie komendant konwoju, zagadał do niego, ten zadzwonił i zaraz przyszło

dwóch z więzienia. Nasz komendant dał mu papiery, ten popatrzył w nie i bramę otworzyli i dwójkami wchodzili, a ten z papierem w ręku liczył.

Po przeliczeniu podeszliśmy do ogromnego więzienia. Drzwi otwarli i wprowadzili na korytarz bardzo widny, światło elektryczne aż w oczy raziło. Korytarz był długi i szeroki, tam kazali siadać. Gdyśmy usiedli, kazali po dwóch wstawać i tych rewidowali. Po zrewidowaniu odprowadzali na przód i znowu musieli siadać, a następnych dwóch znowu rewidowali, aż wszystkich już zrewidowali.

Kto tam miał jeszcze haftki albo guzy blaszane, to wszystko, co było metalowe, to nożem obrzynali, a potem wprowadzili wszystkich do jednej dużej celi. Rano przynieśli chleb po siedemset gramów i kawę, i cukier po pudełku od zapalek, na cały dzień.

Na sali były prycze piętrowe, jedni pokładli się niżej, a drudzy nad nimi wyżej. Była tam różna zbieranina. Dużo było ruskich złodziei, bandytów i politycznych, ale najwięcej było Polaków.

Kucharski przed odjazdem też musiał myć podłogę jeszcze w Mińsku. Od smrodu zemdłał i czuł się niezdrowo, na wymioty go zrywało. Jadł mało, co zjadł, to go mdliło, zupy wcale nie jadł, tylko pił herbatę i chleb.

Na obiad dali nam dość dobrze - makaron z oliwą dobrze okraszony, aż po wierzchu był żółty. Po śniadaniu drugiego dnia wszystkich pognali do łaźni. Tam najprzód fryzjerzy obcięli nam włosy i tymi samymi maszynkami nas ogolili, potem poszliśmy pod prysznic. Po wymyciu, gdy się ubrali, rewizja znowu, gdzie tylko się rusz, to rewizja i rewizja. W Łomży trzy razy mnie rewidowali, w Mińsku też trzy razy, a teraz w Moskwie raz, to już siedem razy.

Gdy wróciłem z łaźni, zaraz dali obiad. Była kasza kukurydziana, w niej małe rybki, dawniej to nazywali je stynki. Dość dobry był ten obiad, bo wcale gęsty. Nad wieczorem znowu wpuścili około dwudziestu aresztowanych, byli to Kazachy, Uzbeki i dwóch Tatarów. Wszyscy zaczęli rozmawiać, zrobił się harmider, istne piekło. Po kolacji *powierka*, ustawiać się w dwójki, potem z listy wyczytywał i każdy się odzywał, a potem strażnik liczył, czy wszyscy są w celi. Już było po wszystkim, kładliśmy się na gołe deski do spania, światło świeciło całą noc, tak jak w Mińsku.

Czwartego dnia gonią wszystkich na *prególkę*, na spacer w okólniku. Po półgodzinnym spacerze po śniegu powrót do celi. Dziesiątego dnia w Moskwie znowu gonią nas do łaźni, zimno, mróz około 30 stopni, ale nie ma gadania, musowo iść. Tylko weszliśmy, zaraz rewizja. Jakiś kapitan rewiduje i porucznik, i jeszcze jakiś *bojec*. Ja miałem jeszcze różaniec z chleba i szczoteczkę do zębów i to ten kapitan mi zabrał. Prosiłem go, żeby

mi oddał różaniec, ale wcale mi nie odpowiedział i poszedł drugiego rewidować. Tak mi żal tego różańca, taki śliczny był, zrobiony przez jednego rzeźbiarza z Wilna. Miałem jeszcze dwadzieścia papierosów, to mu oddałem i swój cukier - jedną porcję, pudełko od zapalek. I ten drań mi go zabrał!

Na drugi dzień rano jak zwykle przynieśli chleb, kawę i cukier, w południe przynieśli obiad, wieczorem kolację, a po kolacji dyżurny drzwi otworzył i powiada: „Stawać wszyscy w trójrzędzie!” Gdy się ustawiłem, powiedział: „*Pajdziom* za mną”. Na korytarzu stał *bojec* z karabinem na ramieniu i szedł za nami.

Poprowadzili nas na inny korytarz, tam w trójkach zatrzymali nas. Przy końcu tego korytarza stał stolik, przy którym siedzieli trzech urzędników, a na ziemi leżała gromada łańców - stare buszłaki, dłuższe od fufajek i watowane portki. Po kolei z listy wyczytywali nazwiska i wyczytany podchodził do stolika i oni oglądali, jak jest ubrany. Jak miał tylko na sobie ubranie letnie, to mu dawali fufajkę albo buszłak trochę dłuższy i tak po kolei, temu fufajkę, drugiemu portki. Gdy mnie wyczytali, podchodzę, skłoniłem się. Ja miałem ubranie tylko letnie. Jeden powiada: „*Nada* mu dać buszłak”. Ja zaraz go ubrałem, wróciłem na swoje miejsce, chcę się pozapinać, ale był tylko jeden guz u góry pod brodą. Zapiąłem się i patrzę, więcej guzów nie ma, ale kieszenie są. Wsadzam do nich ręce, jedna jest pusta, a w drugiej jest sznurek taki trochę grubszy. Zaraz się domyśliłem, że to do opasania zamiast guzów, zaraz się nim opasałem i myślę: „Żeby mi dali i portki, to by dobrze było, ciepło po nogach”.

Zwierzam się z tego zamiaru do obocznika, że ja chcę iść, żeby mi dali waciaki, a jeden powiada: „Idź, to dostaniesz kolbę w plecy, a nie portki!” I drugi też nie radzi iść, bo o parę metrów stoi *bojec* z karabinem. Ale myślę sobie: „Pójdę, może mnie nie uderzy, bo będę szedł prędko”. I wychodzę szybkim krokiem, idę do stolika, a *bojec* krzyczy: „Wróć, wróć!” i karabin złapał w obie ręce i chciał mnie uderzyć.

Ale jeden z tych urzędników krzyknął na niego: „*Nie trogaj jego!*” A już był ode mnie tylko może trzy metry. Zaraz się zatrzymał i karabin opuścił do jednej ręki, a ja dopadam do nich i mówię: „*Grażdaniny*, dajcie mi *briuki*, bo ja zmarzną. A ja *budu wam charaszo rabować*”. Uśmiechnęli się i jeden sięgnął z tyłu za portki i dał mi je.

Przychodzę na swoje miejsce z portkami w ręku i powiedziałem: „*Spasiba* wam!”, a jeden mówi: „Aleś pan odważny! Ja bym tam do nich nie poszedł”. A ja mówię: „Ja tak zaryzykowałem i dobrze mi to wyszło”.

Gdy już wszystkich obejrzel, temu dali, temu nie dali i z powrotem przyprowadzili nas do celi. Ja teraz oglądam swoje ubranie, com dostał. Na plecach był inny materiał, na przodzie był znowu inny materiał i już łątany, łąty znowu były inne, widniejsze,

wyglądałem jak dziecko. A, zapomniałem, że każdy, co otrzymał, to musiał podpisać, a ja aż dwa razy podpisywałem.

Portki były niezłe, tylko u jednej nogawki na kolanie była dziura, ale kawałek jeszcze wisiał, tak że łatwo go przyszyłem i było względnie ciepło. Przypomnił mi się z Krzewa Kalski, on miał podobne ubranie, jak dzieckoł pstre i zawsze w nim chodził. Ale potem okazało się, że to było wartościowe ubranie.

W celi leżałem na górnej pryczy pomiędzy dwoma Ruskimi. Jeden był ślusarzem. Wypytywał się mnie, ile w Polsce taki ślusarz zarabiał i ile inni rzemieślnicy zarabiali, i ile zwykły robotnik. Ja mu powiedziałem. To on znowu się wypytywał, co on mógł za to kupić. Nie chciał w to wierzyć, gdy mu powiedziałem.. Wypytywał się innych, ale mu to samo mówili. I on powiada: „*To u was było charoszo żyć*”.

Z boku słuchał tej rozmowy jeden Białorusin. Podchodzi do mnie i mówi, że nieprawda, wszystkim nie było dobrze, tylko jednostkom to było dobrze. Słyszając, co ten Białorusin mówi, że robotnik ledwie na chleb mógł zarobić w Polsce, podchodzi do niego ślusarz i jemu mówi: „Ty jesteś *swolocz* niezadowolony! Ja pytałem się tu kilku i wszyscy mówią to samo, że było dobrze, każdy mógł kupić i kiełbasy, i *sala*, i chleba, wsio. Ty zobaczysz, jak u nas jest *charaszo*. Będziesz *rabotać*, ale *sala* to nawet nie zobaczysz”. Potem ten Białorusin w łagrach zmarł z tej sowieckiej dobroci, jaką go obdarzyli.

Po umundurowaniu na drugi dzień już późnym wieczorem zbiórka z *wieszczami* na korytarzu w trójkach. Tu nam objaśnili, że gdyby który próbował uciec, to zaraz go zabiją, ale my to sami wiedzieli, że ucieczka jest niemożliwa.

Odczytał z listy wszystkich. Zeszliśmy po schodach na dół i na plac przed więzieniem. Bojców stało może z dziesięciu. Otoczyli nas i idziemy, nie wiemy gdzie. Przegnali nas na stację kolejową, tu znowu wyczytują i po pięćdziesięciu przydzielają do towarowych wagonów okratowanych małymi oknami z jedną małą szybką z jednego boku. Na środku wagonu stał żelazny piecyk, a po obu bokach były podwójne nary. Prowiant nam dali na trzy dni, chleba po siedemset gramów, cukru trzy pudełka i drobne słone rybki. Było jedno wiadro do wody i jeden blaszany kibel do załatwiania się i dwa kubki gliniane do picia wody.

12 marca ruszyliśmy koleją na północ. W wagonie było ciasno i zimno, bo chociaż był piecyk, ale nie dali drzewa, to nie palim. A mróz był przeszło 30 stopni. W nocy, gdzie pociąg zatrzymywał się, to takimi bosakami stukali w wagony i z boków, i od spodu, i z wierzchu. To nie wiem dlaczego, czy żeby nam spać nie dać, czy może obawiali się, że wrogowie narodu nie zrobiły jakiejś dziury do ucieczki. W nocy przychodzili we trzech



od wagonu do wagonu i jeden z psem stał przy drzwiach, a we dwóch przeganiali nas z jednej połowy do drugiej i liczyli. Kilka razy się mylili, tak że cztery razy przeganiali, ale chyba żeby się rozgrzać, żeby który nie zamarznął. Tak dojechalim do miasta Kotłas. Tam też było wielkie więzienie. Doczepili parę wagonów do naszego pociągu i przygnali jeszcze część i do każdego wagonu dosadzali po kilkunastu, do naszego wagonu wsadzili dwudziestu, samych Łotyszy. Zrobiło się jeszcze ciasniej w wagonie.

Łotysze trzymali się razem. Byli ubrani ciepło w paltach, w futrach, w burkach, swetrach, bielizna też ciepła. Na tydzień przed wyjazdem z więzień łotewskich dali im widzenie z rodzinami, to przeważnie poprzyjeżdżały ich żony i przywiozły każda swojemu ciepłe ubranie, no i wałówkę - masło, sery, słoninę wędzoną, chleb, tytoniu, jednym słowem wszystkiego, co potrzeba było.

Była to sama inteligencja - inżynierowie, urzędnicy, trzech doktorów i inni. Odnosili się do nas, a my do nich, przychylnie. Oddawali nam chleb, który otrzymali, bo mieli jeszcze swój. Ale na drugą noc jeden z nich mówi, że mu masło zginęło, ale nie wiadomo, kto mu wziął. Było w tym wagonie piętnastu Polaków, no i dwudziestu Łotyszów, a reszta to wszystko Ruskie ze wszystkich republik, przeważnie złodzieje i chuligani, mało co uczciwych ludzi. Drugiej nocy znowu innemu zginęło masło i tytoń, ale znowu nie wiadomo, kto wziął.

Po drodze do Kotłas były miasta i sowchozy, bo co parę godzin to się pociąg zatrzymywał. Podawali nam wodę do picia, a po tych rybkach słonych to strasznie się pić chciało. Nieraz to trzeba było ładnych parę godzin czekać i bębnić do drzwi. Ale od Kotłas to już rzadko się pociąg zatrzymywał. Ciągnął się tylko las tundry błotnistej, bagna i większe mrozy. Na jednej stacji gdy pociąg się zatrzymał, odsunęli jedną połowę drzwi i *bojec* krzyknął: „Jeden z wiadrem po wodę!” Drugi *bojec* stał przy drzwiach i trzymał psa wilka na smyczy. Była to stacja w lesie. Patrzymy - kobiety w fufajkach i w spódnicach watowych po cięższych klocach grube kloce kulają na wagony. Krzyk, gwar, jedna drugą pogania, żeby mocno razem pchać. Była może dwunasta godzina w nocy. Patrząc na to i myśląc: „Mój Boże, żeby to nasze kobiety zobaczyły! Bo żeby im o tym powiedzieć, nie uwierzyłyby, żeby w nocy w taki mróz i zawieję kobiety mogły pracować”. U nas o dwunastej w nocy to kobiety przewracają się na łóżku na drugi bok do spania.

Od nich w prawo jakieś piętnaście metrów, na dwóch żelaznych słupkach złożony był żelazny dźwęg, a na nim wisiało chyba siedem czy osiem kotłów i coś się tam w nich gotowało. Pod nimi duży ogień się palił, aż pękało co chwilę i dym i popiół unosił się do góry. Popiół poleciał do góry, ten żar opadał z powrotem do dołu i duża jego część wpadała do kotła. Czarna smuga dymu unosiła się i ginęła w powietrzu nad lasem.

Już drugą noc zaczęli *bojce* kontrole dwa razy w nocy, robili je chyba dla rozgrzewki. Przeganiali nas na jeden bok, a później z powrotem na drugą stronę i jeden liczył, a dwóch przeganiało. I bili kijami, kto się opóźniał, i kopali nogam. I myślę, że to dla rozruszenia i dla rozgrzania, nieraz trzy i cztery razy tego przeganiania było.

Zaczeliśmy ich prosić, żeby nam pozwolili przynieść drzewa, którego pełno było na każdej stacji, a żeby my mogli sobie wody zagotować do picia. Jakoś się zgodzili, ale po drzewo tylko jeden mógł wyjść z wagonu. Poszedł jeden z naszych, zwinął się, sporo podał tego drzewa. Łotysze mieli zapalniczki, rozpalili ogień, postawili na piecyku kubki z wodą, nie czekając, aż się zagotuje, tylko aby była gorąca, żeby się rozgrzać. Jedni już się trochę napili, a już drudzy stoją i zabierają kubki i sobie grzeją

I tak na zmianę, ale dla wszystkich nie starczyło. Przeklinali, ale już kubki wzięli i na drugą stację przyjadą, to wody przyniosą sobie i grzeją.

Pociąg ruszył, jedziemy dalej na północ. Po paru godzinach jazdy pociąg się zatrzymał, zaczęliśmy bębnić o wodę. Odsunęli trochę, aby jeden człowiek mógł wyjść z wiadrem i przynieść wody. Gdy przyniósł, zaraz ci, co trzymali kubki, ponabierali, ogień się palił, postawili na piecyk, grzeją i piją. Gdy tylko wypili, zaraz następna kolejka kubki zabierała i znowu sobie grzali i pili. Pociąg stał parę godzin, przynieśli drugie wiadro wody i drzewa przynieśli. Palimy, żeby było cieplej, bo im dalej na północ, tym większe mrozy.

Lokomotywę odpięli i dołączyli jeden wagon, który stał na innym torze. Jak go dołączyli do naszego transportu, jak stuknął w wagony, to ile kubków było na piecyku, to wszystkie spadły i kilka się potłukło. A my jedziemy dalej. Drżelimo z zimna, żeby nas nie ganiłi dwa razy w nocy po parę razy z jednej strony na drugą i co tylko tchu, bo bili i kopali nogami. Ci, którzy się spóźniali, to zawsze dostali.

Przejechaliśmy szerokie pasmo gór Uralu i jakieś pięćset kilometrów za Kotłasem dojechaliśmy do rzeki Peczory, była bardzo szeroka i głęboka, jak nasza Wisła pod Warszawą. Statki parowe po niej pływały, kolej już dalej nie szła, bo nie było mostu. Tu wysiedlim. Stuknął cztery spośród nas odłączyli i szliśmy w górę rzeki Peczory. Śnieg był do pasa, ale dróżka była przeddeptana. Ta stacja, co na niej wysiedlim, nazywała się Koźwa - miasto nowo budowane, powiatowe.

Widać już prowadzili innych tą dróżką. Szliśmy lasem. Doszliśmy do polany. Stały tu dwa domy i jakaś szopa. Przed domem stała gromadka ludzi - mężczyźni, kobiety i dzieci. Przyglądali się nam, a jeden *bojce* szedł z przodu, drugi z tyłu. Jak ten krzyknął na nich: „*Uchadzicie damoj, nie nada smotryć!*”. Oni jeszcze stali, to *bojce* zdjął karabin z ramienia i do nich się z karabinem obrócił. Wtenczas oni wszyscy poszli do domu, ale nie bardzo się

spieszyli. Mężczyźni byli z przodu, a kobiety i dzieci z boku i z tyłu, to nie mogłem się dobrze im przyjrzeć. Tylko pamiętam, że mężczyźni mieli nosy cienkie, różowe, jak u nas piętnastoletnie chłopaki i byli wysocy, ale szczupli, kobietom nie miałem czasu się przyjrzeć. Mówili nasi, że to są Eskimosi.

Szlim do samego wieczora. Nogi bolały, bo w wagonach nikt butów nie zdejmował, a teraz cały dzień pieszo i to sporo, bo bojcy poganiali *skarej* i *skarej*. A niektórzy już wcale pomdleli, ledwie nogi stawiali.

Już zaczęło się ściemniać. Doszliśmy do jakiegoś kołchozu i tu mamy przenocować, a jutro mamy iść dalej. Było tu dużo Polaków. Był z Rakowa Boginie sołtys St. Nowacki. On był tego samego dnia aresztowany co ja. I nasz gminny komendant z Polskiej Organizacji Podziemnej porucznik rezerwy Franciszek Malinowski, też z Rakowa Boginie. Razem jechaliśmy z więzienia z Łomży do więzienia w Mińsku, ale tam nas rozłączyli i on nic nie wiedział, co się stało z Malinowskim.

Nowacki podał się jako cieśla, chodził przy budowie z calówką i mierzył. Gdzie trzeba było, urzywał toporkiem, znaczył i tylko z okrągłaków stawiali stolec, a potem zamiast dachu dużą plandeką okrywali i na boki osypywali go śniegiem. Była to robota na prędkiego. W środku to prycze zamiast z desek były z cienkich okrągłaków, jeszcze z sękami, a pod tymi pryczami było zdeptanego śniegu ze trzydzieści centymetrów, żadnego piecyka do ogrzewania też nie było.

Położyłem się do spania obok z Nowackim na tych okrągłakach. To z tej strony cię sęk prze, to trochę przesunę się, to znowu z drugiego okrągłaka drugi sęk cię prze. A zimno, niech Pan Bóg broni!

Nowacki powiada mi: „Ja pogadam z brygadierem, to pan tu ze mną zostanie w tym kołchozie”. Ucieszyłem się, zawsze to ze znajomym, też partyzantem, będzie nam rażniej. Rano pobudka, wstawać. Tylko wstali, już oba *bojce*, co nas prowadzą, stoją. Jeden trzyma listę i wyczytuje i znowu ustawiają się w dwójki. Wyczytali i mnie i musiałem razem dołączyć. Nowacki stoi i patrzy się, że już razem stoję do marszu. Mówi: „Ja będę się starał, żeby pana tu przydzielili”. Mówię: „Dobrze, staraj się” i z daleka tylko sobie powiedzieliśmy „Do widzenia, zostań z Bogiem”.

Bez żadnego posiłku gonią nas lasem tą samą ścieżką. Po pięciu godzinach marszu znowu zbliżamy się do rzeki Peczory. Rzekę mamy na lewo, a państwowy sowchoz na prawo. Ogrodzony był pięciometrowymi drągami i wyżej jeszcze z piętnaście kolczastych drutów, a po rogach tego ogrodzenia pobudowane budki dla *strelków*. Te budki były bardzo wysokie,

tak że wartownik widział, co się dzieje z jego strony, przeważnie czy jakiś wariat nie ucieka z tego sowchozu, bo ucieczka była niemożliwa.

Przy bramie był pobudowany budynek - wartownia. Tu mieści się z pięćdziesięciu *bojców* i komendant, starszy jakiś oficer. Było aż trzech komendantów. Głównym komendantem całego sowchozu był Łotysz kapitan. Drugim to był naczelnik cywilny – dziedzic; zabrali mu majątek jego własny, a tu był całym gospodarzem. Potem porucznik NKWD. Agronomem była Żydówka, nazywała się Gitka Ropenberg, tak samo miała dziesięć lat zasądzenia, a tu prowadziła ogrodnictwo, inspekta, które były w dołach. Dół był długi na dziesięć metrów, szeroki półtora metra, a głęboki na metr sześćdziesiąt centymetrów. Już w marcu zaczęli siał, chociaż był mróz przeszło 30 stopni. Na dno kładli cały metr końskiego nawozu, który już w długich kopcach się grzał i był aż gorący. Potem też z kopców krytych zabezpieczonych sypali ziemię kompostową i pod koniec marca siali sałatę, ogórki, cebulę i inne warzywa. Po bokach rowów były kładzione grube kloce z felcem do okien. Na okna kładli po kilka grubych mat słomianych tak, że mróz tam nie mógł się dostać.

W tym sowchozie mieli przeszło trzy tysiące krów, około dwustu sztuk koni. Dla bydła siali wykę z owsem na kiszonkę i na polach rosła trawa do pasa. Toteż z niej robili kiszonkę w takich długich dołach jak na inspektach, tylko były szersze, bo po dwa konie mogły się minąć, gdy końmi jeździli po tej trawie czy wyce, żeby ją ugnieść i trochę co warstwa to ją solili. Była tak dobrze zakiszona, że jak ją wozili do obór dla bydła, a upadło troszkę, to taki zapach był jak od dobrze zakiszonych ogórków, że człowiek by jadł, żeby tylko ją miał.

Nas zaraz umieścili w baraku drewnianym zbudowanym z grubych okrągłaków. W środku były po obu stronach podwójne prycze. Ja układałem się na wyższej pryczy, potem położył się obok mnie Iwanowski Józef z Kresów. Mieszkał niedaleko ruskiej granicy, w okolicach miasta Baranowicze. Był bardzo dobrym towarzyszem. Razem chodziliśmy do lasu drzewo ścinać i metry stawiać. Ja ścinałem kilka kłoców, poobcinałem gałęzie, potem poprzecinałem na długość dwóch metrów, poukładałem z dłuższymi sękami. Do frontu układałem wszystkie grubszymi odziemkami, a od tyłu podkładałem w poprzek grubsze gałęzie, żeby się cienkie brzegi nie zapadły, żeby było równo jak z przodu, tak i z tyłu, cztery i pół metra, to była norma.

Postawiłem osiem metrów kwadratowych, co wynosiło trzy i pół metra ponad plan. Naszym brygadierem był Gruzin. Chodził z laską. Zaprowadzi nas do lasu, pokaże nam kierunek, objaśni, jaka jest norma i zabiera się i idzie. A przychodzi już nad wieczorem i zapisuje, ile kto metrów postawi i przyprowadzi nas do baraków. Ale na wieczór każdego

dnia siekiery odnosimy do stolarni. Tam nam wytoczą na taczalniku, że zawsze są ostre, a drzewo było jakieś miększe od sosny. Oni nazywali *kiedra* i od tej nazwy nazywał się ten sowchoz Kedrowy Szor.

W tym sowchozie były różne warsztaty - stolarski, ciesielski, ślusarsko-mechaniczny, cegielnia, piekarnia, mleczarnia i razem wyrabiali różne sery i masła.

Przed mleczarnią stały beczki takie jak do śledzi. Budynek był dość duży, to oprócz drzwi wejściowych dokoła był obstawiony beczkami. Do tych beczek wylewali serwatkę, którą poili konie rano i wieczorem.

Na drugi dzień z brygadierem poszlim po siekiery i potem do lasu. I znowu nas zaprowadził i poszedł. Przed wieczorem przyszedł wcześniej, zaczęlim obaj rozmawiać. On mnie się pyta, skąd ja jestem, ja jemu mówię, że z Polski. To on mówi: „To ty jesteś Polak?” Mówię, że tak, jestem Polakiem. A on mówi, że on czytał i słyszał o naszych sławnych pisarzach i zaczyna mówić nazwiska - Mickiewicz, Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Kochanowski, Słowacki i jeszcze mi kilku nazwał i powiada: „Ja takim samym pisarzem, tylko za dużo prawdy napisałem i za to osądzili mnie na dziesięć lat łagrów”.

Na trzeci dzień przyniósł mi paczkę machorki, dał mi ją. Ja nie paliłem, ale przyjąłem, bo tam o palenie papierosów czy machorki to było trudno. Rozdałem ją palącym Polakom, bo okazało się, że tam po różnych barakach w tym sowchozie było aż trzystu dwudziestu Polaków i dużo znajomych.

W tym sowchozie razem wszystkich zesłanych było aż trzy tysiące trzystu dwudziestu. I wszyscy najprzód siedzieli w więzieniach, a potem sąd i zostali wysyłani do obozów pracy, tylko za liche wyżywienie. Kto wyrabiał jakiś procent ponad normę, to mu płacili po parę rubli na miesiąc.

Ja pytałem się tego Gruzina, czy on mi zapisuje, co ja wyrabiam ponad normę, a on mówi: „Ja zapisuję dobrze, ale to, co ty mówisz - prawie dwie normy, żebym ja ci zapisał, to zarząd by wszystkim podniósł normę i ciebie by wszyscy przeklinali. Ale ci napiszę dobrze”. Robię w dalszym ciągu prawie te same normy, aż do pierwszego i wypłacili mi dwadzieścia rubli. Liczyłem, że dostanę chociaż trzydzieści rubli. Pytam się, ile tu brygadier podał, jaki procent. A kasjer mówi, że 110 procent.

Po wypłacie mówię brygadierowi, że za mało procentów tu mi zapisał i podał do kancelarii. A on mówi: „Ja nie mogłem podać więcej, bo tu nikt więcej nie wyrabia”. Po tej rozmowie zacząłem i ja robić tylko tyle. Każdy sobie obok palił ogień i się grzał, tak samo i ja więcej się kręciłem przy ogniu, niż robiłem. Rękawice dali każdemu brezentowe, zimno w nich było strasznie, to się tylko biło o siebie i grzało przy ogniu ręce.

Naprawdę to mogłem wyrobić całe dwie normy, czułem się w tych mrozach dobrze, byłem silny i odporny na te mrozy. Na mojej wyznaczonej działce był dość gruby kłoc, a na nim duże gniazdo. Gdy go ściałem, poobcinałem gałęzie i to gniazdo zostawiłem tak z wiatrem, a od niego z boku jakieś trzy metry rozpałem ogień. To gniazdo takie było duże, że ja się w niego kładłem. Nogi były pośrodku, a głowa jeszcze na skraju gniazda. Ptaka tego nigdy nie widziałem, widać się przeniósł z daleka od ludzi, od kłoców zrzuconych i huku.

Nadszedł marzec, zaczęła się robota przy inspektach. Dwa dni wyrzucaliśmy śnieg z rowów szerokości półtora metra, a długości dziesięć metrów. Tych rowów było bardzo dużo, głębokie, półtora metra śniegu, razem było metr normalnie na wierzchu, a półtora metra w rowie. To trzeba było cały ten rów wyczyścić, to była norma.

Ja zacząłem wyrzucać ten śnieg do dna wszystek. Wyrzuciłem połowę i już się spościłem i byłbym nie dał rady go wyczyścić. Zemdlałem i odpoczywam stojąc, a że tam było może z sześćdziesiąt osób, mężczyzn i kobiet, już niektórzy kończą czyszczenie, a ja dopiero jestem w połowie. Podeszła jedna kobieta i patrzy się na moją robotę. Rów do połowy jest czysty, a druga połowa pełna śniegu. Ona nazywała się Jadwiga Jurkowska i mówi do mnie po polsku, tylko zaciąga akcentem ruskim: „Niech pan tak czysto do dna nie wyrzuca śniegu, bo pan nie da rady tego rowu wyczyścić. Niech zobaczy, jak to Ruskie czyszczą”. Poszedłem i patrzę, a oni może metr dwadzieścia wyrzucili, a resztę zdeptali nogami i koniec. Wziąłem i ja zacząłem tak robić i sporo mi to poszło.

Pytam się jej, czy ona jest Polka. Powiada: „Tak, a mieszkałam w Mińsku”. „A za co panią tu wysłali?” Ona mówi, że ją inni oskarżyli, że ona źle tam jakąś pracę wykonywała i zasądziła ją na pięć lat w archangielskich lasach pracować. I mówiła, że już trzy lata tu odpracowała, a jeszcze dwa musi odpracować.

Ja jej powiedziałem, że w Polsce kobiety w lasach nie rąbią i pytam się jej, czy ona chciałaby do Polski wyjechać. A ona mówi, że chciałaby, ale rząd ich nie wypuści, nikogo. W tym sowchozie, jak już wspominałem, było trzysta kobiet, przeważnie wywoziły drzewo do stacji kolejowej końmi.

Gdy już wszystkie rowy zostały odśnieżone, około stu mężczyzn potrzebowali do roboty przy inspektach. Mieli tam koński gnój w takich długich kopcach, wysokich na półtora metra. Ten nawóz na drewnianych wózkach i po drewnianych szynach wozili do tych rowów. Kładli ten koński nawóz około jednego metra wysoko, potem wozili ziemię próchniczną i jak już się ziemia zagrzała, to siali sałatę, rzodkiewkę, ogórki, buraki i inne frukta.

Po rozwiezieniu nawozu rozpalilim ogniska, Ruscy oddzielnie, a my Polacy oddzielnie. Ale przy naszym ognisku to grzali się Łotysze, Litwaki, Żydzi i Polacy. Najprzód palilim drzewem cienkim, a potem widzielim, jak Ruskie połamali jedno przęsto szyn drewnianych i palą, to i my to samo zrobilim. Gdy się ostatnie drewno dopalało i leżała jeszcze jedna szyna z daleka, ja zwróciłem się do grubego Żyda z Łotwy, podobno był osądzony za handel walutą. Ja do niego mówię: „Idź przynieś tę szynę na ogień, bo już się dopala”. A on tak ostro odpowiedział: „To idź ty i przynieś! Co ty mnie nakazujesz!” Po rusku umiał czysto mówić. Mnie to trochę zgniewało, bo do ognia to pchał się jak najbliżej. Odepchnąłem go od ognia i mówię: „Won, przeklęty grubasie!”

Jak on do mnie wykręci się z zębami: „Co ty myślisz, że tu tak jak w Polsce, co Żydom przewracali stragany, bili Żydów w tej przeklętej Pojsce, dokuczali Żydom!” I szczeka na całe gardło na Polaków i na Polskę. Ja drzę ze złości, ale o jakieś piętnaście metrów od nas stoi *bojec* z karabinem. Obejrzałem się na niego, bo on słuchał i patrzył się na nas i on mi pokazał ręką pięść złożoną i dwa razy od siebie i do siebie. Ja już tylko na to czekałem. Jak złapię Żyda obiema rękami za gardziel, powaliłem go na ziemię i skoczyłem mu na brzuch, okraczyłem nogami i od razu walę go po mordzie, uwijam się. On też rękami zaczął mnie zwalać z siebie, a ja walę. Nareszcie on krzyczy przeraźliwym głosem: „*Strelok*, ratuj mnie, bo on mnie zabije!” A przy drugim ognisku stali wszyscy Ruscy, co razem robilim. Śmieją się i krzyczą: „*Bij jeszcze, a dawaj mu charaszo!*” Ale słyszę głos *strelka*: „*Dawolna, dawolna*”, więc dowaliłem mu jeszcze dwa razy i wstałem z niego.

On też wstał, chusteczką się ociera i dyszy mocno, nareszcie mówi: „On mnie z boku złapał i przewrócił, bo z przodu to ja bym się nie dał przewrócić”. A był tam jeszcze jeden Żyd, taki bezwyznaniowy, nazywał się Zonenszajn. Więc on do niego mówi: „Ty zamknij gębę, bo on ci jeszcze z przodu poprawi!” A ci wszyscy Ruscy mówią: „*Wot Polaczok*, jak on temu grubasowi dawał !” i śmieli się wszyscy zadowoleni z tego mojego wyczynu. Ja jeszcze drżałem zdenerwowany i zmęczony, bo się uwijałem i z całej siły biłem, a on na szczęście głowę przekręcił na bok i ja go nie pokrwawiłem, bo to byłoby gorzej dla mnie, a nawet dla *strelka*, że on do tego dopuścił.

Potem podszedł do mnie *zakluczony* kapitan NKWD. Za co on był sądzony, nie powiedział, a ja go się nie pytałem. On zaczął się mnie pytać, ile w Polsce zarabiał robotnik. Ja jemu mówię, że zależy od jakiej roboty - od dwóch złotych do pięciu. „Co on mógł za to kupić?” Ja, jak temu ślusarzowi opowiadałem, tak i temu kapitanowi mówię - pół kilo kiełbasy, kilogram chleba, pół kilo cukru, dwadzieścia papierosów, to go razem kosztowało

dwa złote. A jak zarobił pięć złotych, to mógł sobie jeszcze kupić ćwierć litra wódki i drugie tyle wszystkiego, co powiedziałem wprzód.

On podumał i powiedział: „*Wrosz!*”, to znaczy kłamiesz, to nie może być. To jemu mówię, że powiedziałem prawdę. To on się pyta, jaką on robotę robił za pięć złotych. To ja mówię, że za koszenie trawy albo zboża.

To on się znowu pyta: „A ile zarabiał rzemieślnik?” To jemu mówię, że od pięciu do siedmiu złotych. To on: „A ile zarabiał urzędnik miesięcznie?” „Od stu do dwustu złotych”. „A oficer, taki jak ja, kapitan?” Ja mówię: „Czteryście złotych?” „A czy u was można było kupić tyle, ile chciał?” Ja mówię, że kielbasy, chleba i wszystkiego ile chciał, tyle kupił. To on znowu mówi: „To nie może być, ty kłamiesz!” Ja jemu mówię, żeby się zapytał innych. Pytał się kilku i każdy mu to samo mówił.

Od tego dnia, aby my wyszli z baraków na jakąkolwiek robotę, to ten kapitan, nazywał się Iwan Byków, zawsze mnie wołał: „Pieńkowski, *chadzij so mnoj, budziem rabotać razem*”. On do roboty też był dobry, a robotą dopasował się do mnie. Każda robota szła nam dobrze, a roboty były różne. Rzeką Peczorą statki parowe przywoziły mąkę, sól, kaszę i inne materiały do budowy, do warsztatów różne narzędzia. To my chodziliśmy z tych statków *wygruzać*. Obok były magazyny, takie szopy i my do tych magazynów wszystko znosilim. Czasem się rozdarł worek z mąką, to się tej mąki z garstkę zjadło na sucho i to po kryjomu, żeby nie widział brygadier.

Po takiej robocie, gdy już zbiórka, po dwóch w szeregach mielim odchodzić, to zawsze była rewizja, czy czasami któryś z robotników czegoś nie niesie w kieszeni. Za byle co zaraz wsadzali do izolatora. Na przykład za dwa kartofle, kto jak sadził i wziął do kieszeni, to dostał miesiąc izolatora. Izolator był trochę oddalony i ogrodzony jeszcze raz pięciometrowymi drągami i na wierzchu druty kolczaste. I tylko bramka do wejścia szerokości około jednego metra. Budynek - to był postawiony tylko sztolec na słupach, po bokach i w środku były słupy wyższe, żeby był spad. Do niego wchodziło się po pięciu schodach w dół. Pokryty był tylko plandeką, boki były obwalone śniegiem, tak samo i na wierzchu było śniegu ponad metr. Na środku stała beczka od nafty z wyciętą dziurą i dorobionymi drzwiczkami, ale palić tam nie było pozwolenia.

Siedziałem tam, w tym izolatorze dwa miesiące, ale opiszę później za co. Mróz był coraz większy, przeszło 40 stopni. Do 38 stopni to jeszcze wszystkich gnali do pracy, ale gdy już był mróz 39, to już do pracy nie chodziłim.

Jednego dnia zarządzili zbiórkę na placu przed niedużym barakiem. Stalim w długiej kolejce i po kolei oglądali. Jak kto miał tylko letnie ubranie, to mu dawali waciaki, takie



fufajki albo buszłaki trochę dłuższe i *bruksi*, czyli portki watowe. Ja dowiedziałem się o tym, że będą nam dawać takie ubranie. Wyszedłem bez swojego buszłaka, tylko w swojej letniej marynarce i w cienkich spodniach, a kolejka była jeszcze długa. Drżałem cały, mróz był przeszło 40 stopni, ale nie stałem, tylko wciąż brykałem bez przerwy, bo inaczej byłbym zmarzył na dobre, może nawet na śmierć.

Gdy już przyszedłem do stolika, zgarbiłem się, ramionami ruszam, głową kręcę. Oni popatrzyli na mnie i dali mi nowy buszłak i nowe portki watowe. Gdy tylko podpisałem na liście, co otrzymałem, zaraz co tchu biegiem pobiegłem do swego baraku, ubrałem się w nowe ubranie, jedno na drugie i znowu zacząłem brykać może ze dwie godziny, aż się rozgrzałem.

Po namyśle poszedłem jeszcze raz do tych, co wydawali i proszę ich, żeby mi dali czapkę z odginanymi klapami na uszy i kamasze, bo buty, które mam na nogach, są za małe. Czapkę dali od razu, a buty, mówią, masz dobre, to chodź w nich. Ja mówię, że one są za małe i w nich mnie jest zimno i bołą mnie nogi. Podszedł jeden, obszczupał i powiedział: „*Da*, małe są, *nada* mu dać!” i dali. Moje szczęście, że kolejka się już kończyła, a jeszcze im trochę zostało. Zadowolony byłem ogromnie, chociaż się wymarżłem, ale ubrałem się we wszystko nowe.

Gdy kładłem się spać, stary *buszłak* sobie podściwiałem pod siebie, buty z cholewami wsadzałem w nogawki starych waciaków i kładłem je pod głowę. Po dziesięciu miesiącach spałem już nie na gołych deskach jak w więzieniu i tu na gołych drągach jeszcze i z sękami. Nogi okrywałem zagiętymi połami od buszłaka, co na nim spałem i jeszcze kładłem na nich marynarkę swoją z nowym buszłakiem i drugą marynarką okrywałem siebie i spałem jak pan hrabia bardzo dobrze.

Na drugi dzień po umundurowaniu barakami dyżurny prowadzi na komisję lekarską, która składa się z trzech lekarzy. Każdego dokładnie badają. Z Ruskich jeden mówi po cichu, że wybierają na transport, który pójdzie pieszo około czterystu kilometrów na Workutę, do kopalni węgla. Za rzeką Peczorą to już kolej tam nie idzie, tylko tam zaopatrzenie dostarczają po lodzie. Mrozy tam są jeszcze większe niż tu, nic tam nie rośnie, tylko brzoźki skręcone w takie kółka i najwyższa urosnie półtora metra.

A w kopalni są straszne warunki, pokład węgla ma grubości niecały metr, trzeba go na kolanach wykuwać i wybierać. Stamtąd mało kto wraca. Pod kolanami jest woda, straszne są tam warunki, nie do wytrzymania.

Ten sam Ruski po cichu powiedział, tylko żeby go nie wydać, że on to mówił, że jak gnali na Workutę tysiąc ludzi, a wypadł mróz około 50 stopni i jednocześnie straszny

huragan, co tam rzadko się zdarza, to było już w połowie drogi, to z tych tysiąca osób doszła ledwie połowa, a ze stu pięćdziesięciu strzelków też zamarzło osiemdziesięciu, co oni mieli kożuchy.

Gdy to usłyszałem, ciarki mnie przeszły. Trzeba się jakoś ratować, żeby nie iść. A jak już pierwszej wspominałem, mam w prawej pasze narośl, jakby na połowę większe jajko rozkroił i połowę jedną przyłożył, takiej wielkości była ta narośl. U nas doktorzy powiedzieli, że jest to tak zwany tłuszczak, to po uderzeniu taki tłuszczak lubi urosnąć w tym miejscu.

Każdego na tej komisji badali i kto był zdrow całkowicie, to go na listę zapisywali oddzielnie, a kto był chory, to też zapisywali na drugiej liście i kazali iść do baraku.

Gdy przyszła kolej na mnie do badania, to ja się krzywiłem i mówię, że to jest *gryza*, po naszymu przepuklina. Gdy lekarz ręką szczupną za tę narośl, to ja syknąłem głośno i mówię, że to strasznie boli, jak ja ciężko robię. On powiedział: „*Eto gryza*”, więc się nie nadawałem jechać na Workutę. A to mnie wcale nie bolało. Ale gdym odchodził, to prawą ręką trzymałem się na pachwinie i nawet trochę naliwałem, aż przyszedłem do swego baraku. Tak mnie dwa razy ta narośl uratowała od wysyłki.

Kucharski, zięć Franciszka Michałowskiego, który był policjantem, zachorował na płuca. Miał tylko fufajkę, a portki jeszcze swoje, drżał z zimna. Oddałem mu swoje stare waciaki, dużo kasłał, ale na robotę gnali takich. Mnie dali z powrotem na inspekta rozwozić nawóz koński do rowów na późniejsze warzywa i Iwanowskiego Józefa i trzeciego Ruskiego. Nazywali go wszyscy Sasza i ja go też tak nazywałem. On był kolejarzem i stracił swój dowód osobisty, za to osądzili go na trzy lata do obozu pracy w archangielskie lasy.

„To aż trzy lata za zgubienie dowodu osobistego cię ukarali?” On mówi: „Tak i to najmniejszy wyrok, bo nawet za to i na pięć lat ukarzą”. Ja mówię: „To dlaczego u nas, gdy ktoś zgubi dowód, to tylko zamelduje posterunek milicji? Milicja poda do gazet takie zawiadomienie i po kilku miesiącach dają drugi dowód i bez żadnej kary”. A on na to mówi: „U nas sąd nie wie, czy ja zgubił i myśli, że ja może ten dowód sprzedał jakiemuś szpiegowi. To lepiej go ukarać i będzie darmo robił, tylko za liche życie”.

Ja w lesie robiłem ponad normę, to mnie płacili po dwadzieścia parę rubli na miesiąc, więc kupiłem sobie od jednego Ruskiego miedziany kociołek, dwulitrowy i posyłałem tego Saszę po serwatkę, która stała przed mleczarnią w beczkach i tam prowadzili konie rano i wieczorem do pojenia, zamiast wody. Od inspektorów do mleczarni było jakieś sto pięćdziesiąt metrów, to ja tam iść nie mogłem, a ten Sasza to się nikogo nie bał. Na niego nieraz krzyczeli, ale on na to wcale nie zważał. Poszedł, nacierpnął pełen kociołek tej

serwatki i ja ją na ogniu zawsze przegotowałem i codziennie wypijałem jeden i pół litra tej serwatki, a pół litra dawałem Iwanowskiemu Józefowi.

A dostawałem chleba na dzień dziewięćset gramów, a czterysta pięćdziesiąt gramów dokupowałem u chorych kobiet, które na robotę nie chodziły, to i chleba nie zjadały. To co dzień zjadałem kilo i trzysta pięćdziesiąt gramów chleba i wypijałem półtora litra serwatki gorącej. Oprócz tego obiad z dwóch dań, to znaczy jakaś tam zupa i na drugie spory kawałek ryby, nazywali ją *treska*, na wieczór też była jakaś kasza rzadka.

Czułem się niegłodny i zdrowie mi jakoś dopisywało. Za przyniesienie serwatki robiłem za Saszę, jak on poszedł po serwatkę. Codziennie teraz po otrzymaniu nowych kamaszy ze sznurówkami surowcowymi stale na każdą robotę chodziłem w kamaszach, a swoje buty z cholewami nosiłem ze sobą w worku, który kupiłem za dwa ruble od jednego Ruskiego. Przy pracy zawsze kładłem go obok siebie, tak żeby mi kto nie ukradł.

Do naszego baraku zawsze rano wchodził ruski szofer, czyli kierowca. On codziennie rano przywoził z bazy prowiant do kuchni i kupował od Polaków, co który miał na zbyciu - marynarki, spodnie, buty, koszule. Podchodzi do mnie jeden Polak z naszych, który widział, że ja noszę swoje buty w worku i powiada, że ten kierowca chce kupić te moje buty. Więc ja je wyjąłem z worka. Buty były nowe, ładne, ja w nich chodziłem tylko w niedzielę do kościoła albo gdym jechał do Łomży po towar. Gdy on je zobaczył, aż mu się oczy rozjaśniły. Pyta się, ile ja za nie chcę. Ja jeszcze się nie zdecydowałem ich sprzedać, ale ten kierowca powiada: „*Prodaj*, bo ci je ukradną!” Ja je zawsze w worku kładłem na noc pod głowę. Spałem na narach, wyżej na drugim piętrze. Z jednej strony mnie spał Franciszek Fryc z Augustowa, z drugiej strony spał Kowalewski z Warszawy (mówił, że on był korespondentem gazety „*Kurier Czerwony*”), więc nie tak łatwo było je ukraść.

Ale jak ten kierowca uparł się, żeby mu sprzedać, powiada: „Jestem Polak, to co masz sprzedawać jakiemuś Ruskiemu, to lepiej sprzedaj mnie, Polakowi. Bo czy prędzej, czy później to ci je ukradną, zobaczysz”. Ten Polak, co z nim przyszedł, też mnie namawiał, żebym sprzedał.

Naprawdę to już mi się sprzykrzyło je pilnować w dzień, a w nocy czuwać. A to ktoś nowe kamasze zabierze, a na to miejsce postawi lichsze, i przepadnie. No i namówili mnie do sprzedania. Ten kierowca powiedział mi swoje nazwisko: Żurawski. I powiada: „Mój ojciec to w pierwszą wojnę światową był ewakuowany do Rosji. Ja miałem dopiero dziesięć lat i siostra miała pięć lat. Nas wywieźli całą rodziną i dużo innych Polaków z rodzinami i my w Rosji zostali”.

Po polsku mówić nie umiał, tylko mówił po rusku. Ojciec i matka już nie żyli, a siostra wyszła za mąż za Ruskiego i nic o niej nie wie, bo jej mąż też był *zakluczony*, na zsyłce, ale nie wie za co.

„No dobrze, sprzedam, ale dasz mi osiemdziesiąt rubli i trzy bochenki chleba, dziesięć paczek machorki i kilogram cukru”. On dał dwadzieścia rubli zadatku, ale ja mu butów nie dałem, aż przyniesie resztę. On mówi, że jutro rano przyniesie. Mówię: „Dobrze”. Ale rano przyszedł i w moją stronę się nie patrzył, tylko poszedł dalej. Kupił jakąś marynarkę, wraca z powrotem. Ja jego się pytam: „Miałeś mi dopłacić i przynieść chleb, cukier i machorkę. To czemuś nie przyniósł?” A on mówi, że nie mógł nic kupić i może jutro to on się postara i ureguluje wszystko i buty zabierze.

Już chciał wyjść, ale się wrócił i mówi: „Ty daj mi buty, a ja je sprzedam i kupię to wszystko, co my się zgodzili i dopłacę pieniądze”. Ale ja mówię, że buty dopiero oddam, jak mi wszystko ureguluje. Powiedział, że jutro ureguluje i poszedł. Na drugi dzień to samo, nie patrzy się w tę stronę, gdzie siedzę na łóżku, tylko idzie dalej. Złapałem go za rękę i mówię: „Miałeś przynieść resztę i nic nie masz, to masz swój zadatek dwadzieścia rubli i nie zawracaj mi głowy”. To on powiada, że chce zapłacić pieniędzmi, bo kupić tego nie może. To ja mówię: „Dawaj sto dwadzieścia rubli i kilo cukru!” To on się targuje, że to za drogo, że on kupuje po sto rubli jeszcze lepsze jak moje. Ja mówię: „Mnie nic nie obchodzi, po ile ty kupujesz nawet lepsze. Ale ja taniej nie sprzedam!” To on mówi: „Dobrze, dziś wieczorem zapłacę i buty zabiorę”. Mówię: „Dobrze, przychodź”.

Wieczorem przyszedł, zapłacił sto dwadzieścia rubli, a cukier jutro rano przyniesie. Mówię: „Dobrze, tylko przynieś na pewno!” Powiedział: „Dobrze, przyniosę”.

Ale rano przyszedł i wcale nie obejrzał się w moją stronę. Nic nie mówiłem, poszedł w sam koniec baraku, tam coś kupił i wyszedł, nie patrząc w moją stronę.

Na drugi dzień wcale nie przyszedł, aż na trzeci wszedł i prędko poszedł dalej, a ja za nim i mówię: „Gdzie mój cukier?” A on powiedział, że nie może kupić. „Ale ja ci za buty za drogo zapłaciłem, to i tak masz dość”. A ja jemu mówię: „Tak żeś się zgodził, to dawaj!” I mówię mu: „U nas w Polsce, jak kto się zgodzi, to ureguluje wszystko. A ty jesteś Polak, to oddaj, coś się zgodził!”

A on mi mówi, że to tylko ojciec był Polakiem, a on to już nie jest Polakiem, a Rusinem. Pomyślałem: „Niech cię diabli wezmą, kiedy ty już jesteś Rusinem!” i takim się rozstaliśmy.

Za parę dni znowu przyszedł i dał mi dwa kawałki cukru, może było z dziesięć deka w obydwóch kawałkach i poszedł dalej, tam coś kupił u jednego Polaka i poszedł. Za nim

szedł ten Polak. Przychodzi do mnie i mówi, że ten kierowca kupił u niego koszulę i powiedział, że on zostawił u mnie cukier, to żebym mu go oddał. Ja mówię: „On mi winien całe kilo cukru za buty, to powiedz mu pan, niech mi resztę odda, a ja tego nie oddam”. Posłuchał, pokręcił głową i poszedł. Widać, że u niego też coś kupił i miał dodać mu cukru.

Przed samą Wielkanocą przyszedł nowy transport ludzi - Polaków, nad wieczorem. Byli z powiatu łomżyńskiego i innych powiatów, wśród nich paru moich znajomych. Był z Jedwabnego Chodnicki Piotr, był dłuższy czas burmistrzem miasta Jedwabnego. Potem miał swój sklep, a potem restaurację. Zналиśmy się, bo razem kupowaliśmy u tych samych kupców towary do swoich sklepów. Potem był Bosawski Jan podchorąży z Łomży, podporucznik inżynier Podczasiak - nie wiem skąd.

Potem znowu przyszedł transport Polaków ze Stanisławowa i Lwowa. Był tam inżynier Dębski, był inspektor poczty ze Stanisławowa Witkowski, był Radecki z Wilna, był sierżant Konieczny, był Fidelis - prezes Polaków na Łotwie, Antek Koncewicz, który umiał grać na gitarze i mandolinie - policjant, tylko tego nie powiedział, bo Rusini policjantów nie lubili, a nawet zdarzało się, że dokuczali im. Razem wszystkich Polaków już było trzystu dwudziestu w tym sowchozie, rozmieszczonych prawie po wszystkich barakach razem z Rusinami i innymi różnej narodowości.

Byli tam Ukraińcy, przeważnie inteligencja, jeden był redaktorem gazety bolszewickiej w Kijowie do 1937 roku, a potem był aresztowany i osądzony na dziesięć lat w archangielskich lasach, Żyd, nazywał się Papentreger. On mówił, że nie wie, co teraz się w Rosji dzieje, od 1937 r. aresztują i aresztują bez końca. Drugi Żyd był komisarzem, też aresztowany i osądzony na osiem lat. Był jeden stary, lat około siedemdziesiątki, prokurator. Jemu strasznie dokuczali te tak zwane żuliki, złodzieje i chuligani. Zawsze na niego gadali: „Ty swołocz prokurator, ilu ty osądził ludzi i na ile lat?!” Ale on nigdy nie odpowiedział i w ogóle z nikim nie rozmawiał, chodził jak niemy. Byli tam z różnych republik Związku Radzieckiego, a nawet było dwóch Chińczyków i jeden Pers z Iranu.

W święta Wielkiejnocy na roboty nas nie wyprowadzili, a nawet trochę lepsze życie dali, tylko śledzie zamiast dać w sobotę, to dali na obiad w święta. Po obiedzie z dziesięciu Polaków poszło do świetlicy, tam mieli instrumenta muzyczne. Kancewicz poprosił o mandolinę, chętnie mu podali. Ładnie umiał grać, a pełna była świetlica, przeważnie samych *zakluczonych* obywateli radzieckich. Ładnie śpiewali na głosy, różne piosenki ludowe przy orkiestrze, która też dość ładnie grała.

Podporucznik ze Stanisławowa Witkowski mówi: „Zaśpiewajmy i my jakąś piosenkę na głosy”.

Mówimy: „Dobrze, ale jaką?” „Najprzód »Góralu, czy ci nie żal«”. A i Polaków przybyło więcej. Jakaśmy zaśpiewali przy akompaniamencie mandoliny, to echo poszło nie tylko po świetlicy, ale i poza świetlicę. To jak się wzięli garnąć do środka i Ruskie, i Polacy, że drzwi już nie mogli zamknąć i tylko cały czas otwarte. A my później zaczęliśmy śpiewać tango »Nokturno«, tango brazylijskie i inne.

Wszystkim tam się bardzo podobało i chwalili nas: „Wot, Polaki także ładnie śpiewają”. Potem każdy z Polaków wrócił do swego baraku. Franek Fryc był w 1939 roku na froncie w 10 pułku ułanów. Opowiadał, jak się cofali. Bywało nieraz, że pułk był w lesie, a Niemcy już szosą czołgami minęli ich i pojechali naprzód. A oni dopiero w nocy przedzierali się naprzód. I to często tak się zdarzało - tylko noc ich ratowała.

Mówił: „Jednego razu dobrze rano rotmistrz kawalerii wysłał na zwiady do jednego miasta dwunastu kawalerzystów z plutonowym na czele. Mieli krótkie karabinki i po dwa granaty. Powiedział, w jakim to było mieście, ale ja zapomniałem. Franek był w tym zwiadzie, wojska niemieckiego widać nie było. Gdy się pytali, czy są tu Niemcy, powiedział im jeden Polak, że są, ale mało, tylko sztab dywizji i około pięćdziesięciu żołnierzy piechoty. Plutonowy wypytał się dokładnie, gdzie ten sztab się zakwaterował, na której ulicy i w jakim budynku. Ten Polak powiedział nazwę ulicy i że obok banku stoi mniejszy budynek i w tym mniejszym budynku jest sztab i tam są żołnierze. A cała armia to już wczoraj poszła naprzód szosą i czołgi przed nią.

Plutonowy obejrzał się na żołnierzy i krzyknął: »Za mną!« Ostrożnie dojechali do tej ulicy, na której był bank i przy nim ten mniejszy budynek. Podjechali spokojnie. Posterunek drzemał na schodkach. Konie czterech żołnierzy trzymało. Ośmiu wartowników rozbroili i od razu rzucili osiem granatów oknami do środka budynku. Żołnierzom niemieckim nie dali się podnieść z posłania i ani się ruszyli. A do generała, jak tylko weszli, to on zaraz podniósł ręce do góry. I tam u niego były skrzynki z polskimi złotówkami. A w jednej były marki niemieckie i biżuteria - złote zegarki, pierścienie i dużo złotych zębów. Plutonowy złapał przeszło sto tysięcy złotych polskich i dwadzieścia trzy tysiące marek niemieckich i parę zegarków złotych i dużo złotych zębów”.

Inni też, co kto popadł, to złapał i zaraz dopadli koni i w nogi co koń wyskoczy galopem uciekli do swojego pułku. Nikt ich nie gonił. Mówił, że rozdawał po parę tysięcy złotych żołnierzom w pułku.

Potem pułk nie mógł już przedostać się do swoich wojsk, które cofały się do granicy sowieckiej i poszedł w rozsypkę, gdzie kto mógł. I powiedział, że on przebrał się w ubranie cywilne i szczęśliwie wrócił do Augustowa i do domu.

Przyniósł ze sobą jeszcze osiemnaście tysięcy złotych polskich i parę tysięcy marek niemieckich, dwa złote zegarki i z pięćdziesiąt złotych zębów. I powiada do mnie: „Jak wrócim do Polski, to dam ci dwa zęby na pamiątkę”. On miał już około lat trzydziestu, był żonaty i mieli jedną ośmioletnią córkę. Jego w 1940 roku NKWD aresztowało, bo należał do Polskiej Organizacji Podziemnej, a żona i córka zastały w domu.

Po tym opowiadaniu Franciszka Fryca położyłem się spać. Ale było to spanie z przerwami, bo nie dały nam usnąć pluskwy, których było po kilkadziesiąt pod każdym śpiącym człowiekiem.

Rano przyszedł brygadier, magazynier i trzeci jakiś z zeszytem w ręku i mówi: „Trzech ludzi potrzeba do pracy na trzy godziny. Może kto chce na ochotnika do magazynu?” Dwóch Ruskich od razu się zgłosiło i ja trzeci. Poprowadzili nas do magazynu. Co miesiąc to oni tam sprawdzają, ile jest worków mąki, ile jęczmienia na gromadzie leży, ile owsa. To wszystko przeważają i ten z zeszytem zapisuje, ile czego jest i my to wszystko wysypywaliśmy do worków, po sześćdziesiąt kilo do worka i kładliśmy na pryzmie po pięć worków jeden na drugi. Przeważyliśmy owies i jęczmień, było już około drugiej. Po dwunastej już było po obiedzie, a my dopiero, gdy nas brygadier zwolnił, poszliśmy do kuchni po swój obiad. I o dziwo, dali nam porcje z dobawką, prawie podwójna porcja. I jedliśmy i już do wieczora na inną pracę nas nie prowadzili, więc pokładliśmy się na pryczy i leżeliśmy do wieczora.

Już po kolacji przyszedł do mnie brygadier i mówi: „Jutro masz ze swoim towarzyszem iść na inspekta do pracy”. Tam jeszcze jedna pryzma nawozu końskiego została wcale nie zaczęta i dwa rowy jeszcze nie były zasiane. Więc rano powiedziałem Iwanowskiemu Józefowi: „Idziem do pracy na inspekta!” I jak wszyscy wychodzili do pracy rano, my też wyszliśmy. Już tam była agronomka i nas zabrała i zaprowadziła na inspekta. I kazała ten nawóz z pryzmy wozić taczkami do tego rowu i na pół metra grubości kłaść.

Z tego nawozu szedł opar gorący i nosił się jak para z gotującego się garnka. Do wieczora my jedną trzecią tej pryzmy wywieźliśmy. Agronomka przyszła, zobaczyła i była zadowolona z naszej roboty. Powiedziała, że jak tak będziemy robić, to nam tu bieda nie będzie. Na drugi dzień przyszła z zastępcą naczelnika. My się uwijaliśmy, jak oni się patrzyli. Ona do niego mówiła, że my tak bardzo dobrze całe dni robimy. To po pierwszym dali nam wypiskę po czterdzieści rubli i brygadier zaprowadził nas do *łarka*. Tam kupiliśmy chleba, cukru pół kilo, śledzi i papierosów. Ja zaprosiłem nowo przybyłego Chodnickiego Piotra z Jedwabnego i Bosowskiego Jana z Łomży. Zjedliśmy po jednym śledziu, napiliśmy się słodkiej herbaty i chleba mieliśmy pod dostatkiem. Chodnicki dziwował się, że ja tak dobrze

wyglądam. „A ja –powiada - jestem chory. Boli mnie serce i wątroba, robić nie mogę. Chodziłem do lekarza, prosiłem o zwolnienie, ale nie dał. I pędzą codziennie do pracy. A ja ledwie chodzę i długo nie pociągnę, jak tak dalej będzie”. Ja go pocieszałem, że on się tu zaaklimatyzuje i będzie zdrowy, ale on tylko głową kręcił na to.

Był to koniec kwietnia 1941 roku. Mróz zelżał, ale za to śnieg z deszczem zaczął padać takimi dużymi płatami. Mnie rano wywołali i dali konia i sanki i mamy jechać jakieś czterdzieści kilometrów do bazy po olej, naftę i inne produkta. Jechało nas czterdziestu pięciu saniami jednokonnymi. Śnieg leżał jeszcze do pasa, droga tylko jednośladowa i jakby koń skręcił nawet pół metra, to zaraz zawadzi o pień, bo drzewa zrzucają wyżej śniegu, a sanie były drewniane i niekute.

Wszyscy fornale byli Ruscy, a ja jeden Polak, więc gdy dojechaliliśmy do tej bazy, to oni po dwóch, jeden pomógł drugiemu włożyć i zaraz jechali z powrotem. Ja przyjechałem ostatni i miałem wziąć dwustulitrową beczkę nafty i nie było już nikogo do pomocy. A sam nie dam rady tej beczki włożyć. Więc ten, co wydawał, pomógł mi włożyć. Podpisałem i jadę z powrotem, ale śnieg zasypał już ślad, to tylko szczęście, że koń czuł tę drogę. Widać, że już nieraz tą drogą jechał.

Jechało się biegiem, jak w tę stronę, tak i z powrotem. Zaczęło się ściemniać, a śnieg bez przerwy z deszczem i to dużymi płatami pada. Czuję go już na plecach. Jestem cały mokry. Przejechałem, tak mi się zdaje, że już może dwadzieścia pięć kilometrów, a jeszcze mam jechać piętnaście. Drzę z zimna, już lejce wcale trzymam luźno. Koń też się zmęczył, idzie wolno i skręcił trochę w bok, zawadził o pień i ustał. Ja zlałem z sanek i go lejcem uderzyłem. Jak on targnie naprzód, sanie się rozdarły, beczka wpadła w śnieg. Tu noc, myślę co tu zrobić? Ale to tylko chwila była myślenia. Siadam na konia i jadę naprzód, a sanie i beczka zostały w śniegu, w lesie.

Po drodze miałem jeszcze inny sowchoz. Zajeżdżam pod bramę. Stoi przy niej wartownik. Ja jemu mówię, żeby tu zawołał *predsiedaciela* sowchozu i mówię mu, co się stało. On poszedł i przyszedł jakiś z nim. Ja powiedział, że sanie się rozdarły, beczka leży w śniegu i pytam się go, co ja mam robić. On powiada, żebym zaczekał. I poszedł. Za parę minut przyciągnęli sanie i mego konia założyli i ten, co ciągnął sanie, siada ze mną i jedziem znowu z powrotem po naftę. Włożyli i wracamy, a rozerwane sanie zostały tam, gdzie się rozdarły.

Gdy przyjechałem do tego sowchozu, co dali mi sanie, on zeszedł i powiedział, że jeszcze mam dziesięć kilometrów do swego kołchozu. Przyjechałem, cały drzę od zimna. Zajechałem pod magazyn, konia zaprowadziłem do stajni i przyszedłem do baraku. Wszystko



na mnie jest mokre, ni mnie się rozebrać, ni położyć w mokrym ubraniu, z którego woda skapuje ze wszystkich stron.

Na środku baraku stał piec z beczki od nafty, tylko był wycięty otwór do kładzenia drzewa, a zamiast drzwiczek zastawiało się blachą. Ale był już zimny. Położyłem się we wszystkim i usnąłem. Rano pobudka na śniadanie i do pracy w mokrym ubraniu. Ale wszystko mnie boli i głowa, i boki, i nogi, jednym słowem - wszystko mnie boli. Całe szczęście, że idę na inspekta z Iwanowskim.

Bierzemy się znowu do rozwożenia końskiego nawozu. Ale gdy zacząłem brać widłami, to ten ciepły opar poszedł na mnie. Więc ja mówię: „Józef, ja się zakopię w ten nawóz. Może się obsuszę i rozgrzeję. Ten nawóz jest taki gorący. Ale ty uważaj! Jak agronomka będzie szła do nas, to ty zaraz mi powiedz, to ja szybko wstanę”. On powiada: „Dobrze, kładź się”.

Ja zaraz położyłem się na boku, ale za dziesięć minut już muszę się przewrócić na drugi bok, bo nie mogę wytrzymać, tak mnie pali. To znowu przekręcam się z powrotem na drugi bok, znowu pali. To ja kładę się na plecy, to potem na brzuchu się grzeję. I chyba Pan Bóg tak zrządził, że agronomka przyszła aż nad wieczorem, ale ja już byłem suchy i nic mnie nie bolało. Do samego południa, bez żadnej przerwy tylko się przewracałem, wysuszyłem się i ozdrowiałem.

Nigdy a nigdy tego cudu nie zapomnę, żeby w jednej dobie tyle przeżyć! Ale ja zawsze miałem w Bogu nadzieję, że jeszcze ja wrócę do swojej Kochanej Ojczyzny Polski i do swojej kochanej Rodziny, i do Drozdowa, i do wszystkich znajomych.

W naszym baraku było radio wielkości jak pięść i tak cicho było słyhać, że prawie nikt nie usłyszał. Ale Fidelis, ten prezes Polaków na Łotwie, całe swoje ucho wciskał w ten mały głośnik i słyshał wszystko, co radio radzieckie w Moskwie nadawało i potem nam opowiedział. Przeważnie wiadomości radzieckie, ale i kilka wieści było ze świata.

W 1941 roku Niemcy całą swoją siłą uderzyli na Związek Radziecki. Po rozbiciu i zdobyciu pierwszych umocnień radzieckich w Polsce parli na całym froncie na wschód. Wojska cofały się w rozsypce do swego kraju. W pierwszym dniu tej wojny w naszych barakach odłączyli wszystkie głośniki, tylko zostały same druty, ale już trzeciego dnia z powrotem głośniki przyłączyli i już głośnieją zaczęli nadawać, że Niemcy napadły na Związek Radziecki i nacierają na całym froncie, tysiące czołgów nowoczesnych na gąsienicach i parę tysięcy samolotów. Zajęli Litwę, Łotwę, Rumunię i już zdobywają miasta radzieckie. Przez radio nic nie można było usłyszeć, tak po cichu to coś mówili. Ale po tygodniu czasu zakopali słup ze cztery metry wysokości, przymocowali na nim głośnik

wielkości jak wiadro dziesięciolitrowe. No i wszystko poszło do swojej roboty, to wtenczas go nastawiali i dosyć głośno nadawali wiadomości z frontu, że radzieckie wojska cofają się przed naporem wojsk hitlerowskich już pod Moskwą.

Z naszego sowchozu sporo młodych ludzi zabrali do wojska, na wojnę. Mnie zabrali z inspektów i przeznaczili wozić glinę do cegielni i dowozić wodę z rzeki Peczory, ile będzie trzeba do rozrabiania gliny, z której robili cegłę. W piecach ją wypalali drzewem i potem barką przewozili do nowo budowanego powiatowego miasta Koźwy przy rzece Peczora, do której dochodził tor kolejowy i przychodził pociąg.

Przez rzekę mostu nie było. Dalej na północ tylko przez lasy i często bagna była droga do samej Workuty, gdzie gnali przeważnie politycznych i różnych przestępców, jak bandytów, złodziei i takich, co im się nie podobał ustrój sowiecki.

Mówili ruscy ludzie, że stamtąd już się nie wraca, bo wyroki mieli dożywotnie - pracę w kopalniach węgla, którego pokład był czterdzieści centymetrów, a pod kolanami była już woda, takie tam były warunki pracy. Toteż tam długo ludzie nie żyli, już po paru latach umierali. Ale zaraz innych tam przyganiiali, bo mieli przeciwników bardzo dużo. Nic im tam nie płacili, tylko musieli robić za liche życie. Chleba dawali dziewięćset gramów, jak wyrobił normę, a jak wyrobił tylko pół normy, to chleba dostał tyłkocząterysya pięćdziesiąt, bo u nich tam wszystko na normę w całym Związku Radzieckim.

Był z Polski stary już sędzia. Ja z nim nie pracowałem. Nie wiem, ile on tam wyrabiał tych procentów, ale chodził po śmietnikach i zbierał główki od śledzi i ułaki od papierosów. Widząc to, inżynier Podczasiak wziął go wstydzić. Powiada: „Panie sędzio, gdzie pańska powaga sędziowska?! Wstydz się pan! Jeszcze pan z głodu nie umiera. Kacapy śmieją się z pana”. Ale on nic nie odpowiedział, tak jakby nie słyszał i zbierał dalej. Na pewno był głodny i to bardzo, bo co można się najeść, jak parę tych łebków znalazł. Ale głód go zmusił do tego.

Ale wróć się do swojej nowej pracy. Brygadier się mnie zapytał, czy umiem w konia jeździć. Mówię, że umiem. „No to chodź, pójdziem do stajni, dostaniesz tam konia i wóz i będziesz woził glinę i wodę do cegielni”. Gdy przyszlیم do tej stajni, koni już tam było tylko kilka starych i jakieś dwadzieścia młodych dwulatków i jednorocznych koło dwudziestu. A reszta koni, których było może około dwustu, już była na robocie. Kobiety drzewo szczapowe wozily z lasu do Koźwy jako budulec i na opał. I tam na stacji kolejowej ładowali je na wagony i wieźli gdzieś w głąb Rosji.

Stajnia była bardzo duża. Gospodarzem tej stajni był Polak, nazywał się Sokołowski. On się znowu pyta mnie, czy ja umiem w konie jeździć. Mówię, że umiem, bo już

ze trzydzieści lat jeździłem w jednego konia i we dwa. „No to dobrze, to jakiego chcesz, starego czy młodą dwulatkę?”

Obejrzałem najprzód stare, a potem młode konie i podobała mi się jedna dereszka dwulatka. Ale ona nie była jeszcze brana do pracy. Pytam się, czy ona jest spokojna. Sokołowski mówi: „Tak, ona jest spokojna, ale jak ją się założy do woza, to nie wiem, jaka ona się pokaże”. Poglaskałem ją. Kantar miała założony na łbie i na postronku była uwiązana. Odwiązałem ją i wyprowadziłem ze stajni na podwórze. Tu ją po prowadzałem. Okazała się spokojna. Mówię do Sokołowskiego: „Niech pan da uprząż i założymy ją od razu”. Zaraz przy zakładaniu pólsterka zaczęła się cofać i tańcować ze mną, ale pomału we dwóch udobruchaliśmy ją i prowadzimy do woza. Ale gdzie tam! Nie chce wejść do hołobli. A jak już wejdzie przodem, to zadem się nie chce przestąpić. Ale może po jakich piętnastu razach wprowadziliśmy ją. I pomału - ja ją trzymałem, a Sokołowski paski zapiął do hołobli, potem zapiął postronki do orczyka. Lejc był surowcowy, nowy, mocny. Zakiełznali ją i we dwóch trzymają, a ja wsiadłem na wóz i zaczynamy jechać tak pod górkę. Ja trzymam za lejc, a oni z boku przy łbie trzymają i jedziem.

Zrazu targnęła, ale potem tak we trzech jedziem ze sto metrów stępa i potem ja mówię: „Puśćcie ją, ja już sam pojedę”. Gdy ją puścił, ona od razu ruszyła galopa. Sokołowski krzyczy: „Trzymaj ją mocno!” Ja ją targnąłem, droga była prosta, wyjeżdżona, bo tą drogą wozili drzewo do Koźwy. Lejce trzymam mocno, a że ona prosto drogą leci, myślę sobie: „Leć, jak się umęczysz, to sfolgujesz sama”. I tak było. Ile ja tam kilometrów jechał, to nie wiem, ale piana na niej się pokazała, więc pomału zawróciłem i przyjechałem.

Gospodarz stajni Sokołowski czekał i wyglądał i jeszcze kilku innych z nim. Uśmiechnięty i bardzo zadowolony, że ja przyjechałem i bez żadnych przykrych przygód.. Podeszedł do kobyły, głaskał ją i gadał do niej: „No pójdiesz do pracy, ale będziesz miała dobrego furmana i krzywdy ci nie zrobi”.

Potem mówi do mnie: „Trzeba ją wyłożyć, niech odpocznie”. A ja mówię: „Panie Sokołowski, ja bym wolał jechać po glinę, bo ona jest trochę przemęczona, to będzie spokojniejsza. Ja tam dużo nie nakładę, tylko zobaczę, gdzie glina jest. I niech ona dłużej tak będzie zaprzężona, niech się przyzwyczai”. Sokołowski mówi: „Dobrze, to ja z tobą pojedę i pokażę i, gdzie ta glina jest i którądy się po nią jedzie”.

Jechalim lasem może jakieś trzy kilometry, trochę pod górę, ale niedużą. Na tej górce już była duża polana po wybranej glinie. Jechało się po prawej stronie, potem się zawróciło i po lewej stronie wybierało się tę glinę. Zima tam była długa i mroźna, a lato krótkie, ale dosyć ciepłe. Rosły tam czarne jagody jak i u nas, tylko trochę mniejsze i dopiero

w lipcu. Po tym całym placu wybranej gliny leżały młode dąbki zjeżdżone wozami. Ziemia tam zamarzała do dwóch i pół metra, a odmarzała półtora metra, a metr, a nawet więcej nigdy nie odmrażała.

Najprzód trzeba było z wierzchu odmarzniętą ziemię zrzucić, a potem kopać glinę około metra, bo dalej była zamrznięta. A jak z wierzchu była jeszcze nieodmarznięta, to kopało się taką jamę i z tej jamy się wybierało, przeważnie z jesieni.

Zajechałem, gdzie można było brać. Nałożyłem pół fury. Sokołowski mówi: „Dość, bo nie zechce ciągnąć”, więc przestałem kłaść. Sokołowski mówi: „Czy ty wiesz, że jest wojna z Niemcami i Niemcy pobiją Rosję? Bo kto tu będzie wojował? Czterdzieści pięć milionów jest na przymusowych robotach w łagrach i więzieniach. Gdy i tych, co siedzą w więzieniach, osądzą, to też do łagrów przywiozą na roboty, a politycznych to zaraz rozstrzelają.

Ja miałem czterdzieści dziesięcin pola. Osadzili mnie za sabotaż na dwanaście lat łagrów. Dwóch synów służy w wojsku - jeden jest pilotem, kapitan, drugi też oficer, lejtant. To oni będą się bić za Rosję, za komunę. Już dziewięć lat, jak mnie zabrali z domu. Najprzód rok siedziałem w więzieniu, a osiem lat już tu w tych lasach. Żona i córka zostały w domu i nic o nich nie wiem, jak one tam żyją. Ja już mam siedemdziesiąt lat, a żona moja już też po sześćdziesiątce. I ja myślę, że długo ta wojna trwać nie będzie, to może się wróci po wojnie do domu”.

„Żeby Pan Bóg dał, to może i ja wrócę do domu. Chociaż po wyroku to mi sędzia powiedział, że moja mogiła to będzie w archangielskich lasach, pod *jołku*. To nie wiadomo, bo dom mój to jest bardzo daleko około Łomży, województwo warszawskie. A pan Sokołowski pochodzi skąd?” A on mówi: „Ja jestem z Wołynia, niedaleko od polskiej granicy. Ale jak tylko Niemcy Moskwę zdobędą, to długo nie będzie trwać. Oni pójdą i zawojują całą Rosję i wtenczas każdy, kto będzie żył, to wróci do domu swojego. I pan też wróci”.

Po tych słowach aż westchnąłem z ulgą na sercu. No i zabieramy się do jazdy. Ja wzięłem za lejce, a on stoi i się patrzy, co to będzie, czy ta kobyłka młoda zechce ciągnąć. Ja postraszyłem batem i pociągnęła od razu, odjechałem kawałek i zatrzymałem ją. On przyszedł, najprzód podszedł i ją pogłaskał i mówi: „Nawet nie spodziewałem się, że tak od razu pociągnęła bez żadnych turbacji”. Wsiadlim na wóz obydwaj, a że to było trochę z górki, tylko na nią cmoknąłem, od razu poszła i glinę przywiozłem do cegielni.

Przywiozłem jeszcze dwa razy, ale niedużo kładłem, bo się obawiałem, że jak będzie za ciężko, to może nie zechce ciągnąć, ale dobrze ciągnęła trzy razy. Nareszcie wyszedł

kierownik tej cegielni i mówi: „Teraz przywieziesz beczkę wody z rzeki Peczory. Tylko uważaj, żeby się ta kobyłka nie utopiła”. Beczka była na dwóch kołach, hołoble były grube. Wyłożyłem kobyłę od woza i prowadzę ją do tej beczki. Zaczęła chrochać i nie chce się dać wprowadzić w hołoble. Może piętnaście razy ją wprowadzałem. Już przednimi nogami wejdzie, to ja chcę i zadnimi wprowadzić, to ona wyjdzie z hołobli. Może więcej jak godzinę z nią tańczyłem i nic nie mogę zrobić.

Przyszedł Sokołowski z pomocnikiem i jakoś ją wprowadzili w te hołoble i założyli. Ale na hołoble nie ustałem, tylko obok szedłem. Jakiem tylko ruszył z miejsca, beczka gruchnęła, to ona dała naprzód i chciała uciekać. Ledwie ją dałem radę utrzymać, ale przy mordzie trzymali Sokołowski z jednej strony, a pomocnik z drugiej strony. I tak parę razy we trzech ją prowadziliśmy i jakoś się obstrachaliśmy.

20 czerwca przywdzielili jeszcze jedną podwodę do wożenia gliny, bo ja woziłem po pół woza, a zapas się już kończył. Za woźnika był Kowalewski Leon z Warszawy, redaktor. Uciekł przed Niemcami do Lwowa z żoną i tam ich aresztowało NKWD. Zarzucali im szpiegostwo, potem żonę jego zabrali oddzielnie. Przy rewizji zabrali im złote zegarki i ślubne obrączki i pierścionki. Jego osądzili na dziesięć lat w archangielskie lasy do tego sowchozu. Żona go odnalazła i napisała do niego list, że pracuje w szpitalu jako sanitariuszka. Jemu dali kobyłę starą, ale mądrzejszą od niego. Jak za dużo nakładł gliny, to nie chciała ciągnąć. Tylko spróbowała i, jak było za ciężko, to zakręciła ogonem i kopytami wierzgała, aż on musiał usypać, to dopiero pociągnęła.

Do tej jamy, co się wybierało glinę, to tylko się podjeżdżało jedną furmanką, tak że jak on zajechał, to ja jemu pomagałem nałożyć. On odjechał, a ja zajechałem, to on mnie pomagał nałożyć i dopiero obydwaj pojechalim z gliną do cegielni.

Glinę zwaliliśmy i jedziemy znowu po drugą. Przyjechaliśmy i on pierwszy zajechał do tej jamy i zaczynamy rozmawiać. Ja jego się pytam: „Dlaczego pan uciekał z Warszawy do Lwowa? Przecież Warszawę zajęli Niemcy. To chyba lepiej by było zostać na miejscu?” A on na to mi odpowiada: „Moja żona miała we Lwowie kuzynów, to tu mieliśmy się osiedlić. Ale gdy tylko przyjechali, zaraz na stacji nas aresztowali.

Na pierwszym śledztwie zapytali się, po co my z Warszawy przyjechali do Lwowa. Ja im mówię: »Żona ma tu kuzynów, a ja chciałbym u was pracować, bo ja jestem komunista. Ja dla was pracowałem do samej wojny«. A oni się zapytali: »To co ty dla nas zrobił? Pokaż jakieś dowody pracy dla nas«. On żadnych dowodów nie miał, więc mówi, że dowodów nie ma, bo obawiał się wziąć. A oni mówią: »Ty tylko nasze *dziengi* skradał i nic dla nas nie robił. Ty na pewno jesteś szpiegiem«. Tłumaczem, że ja jestem wasz człowiek,

ale to nic nie pomogło. Wsadzili we Lwowie do więzienia, żonę oddzielnie i mnie oddzielnie. Siedziałem dwa miesiące i zostałem osądzony na dziesięć lat w archangielskie lasy i tu przeznaczony wozic glinę do cegielni”.

Ja jego się pytam: „Czy wprawdzie, że on przed wojną był komunistą?” A on mówi, że prawda i powiada: „Ja byłem taki czerwony komunista, bo ja czytałem ich konstytucję kilkanaście razy. A tam tak pisało, że wszystka ziemia będzie oddana chłopom za darmo, a wszyscy robotnicy wezmą w posiadanie fabryki i kopalnie. Koleje i różne zakłady pracy będą własnością robotników też za darmo, będą mogli w nich pracować, będą mieli swoje domy. Rząd Radziecki wszystko im pobuduje i odda bez żadnej zapłaty. To ja myślałem, że chyba w żadnym kraju, na całym świecie takiej dobroci chłopom i robotnikom jak w Związku Sowieckim nie ma. Ja byłem tak otumaniony, że z tej drogi nikt by mnie nie zawrócił, ani ojcie, ani matka, ani ksiądz, ani żaden lekarz by mnie nie uleczył. Aż tu mnie uleczyli.

Najprzód pierwsze lekarstwa otrzymałem od NKWD. W czasie śledztwa dwa razy na dobę, raz w dzień, a drugi raz w nocy. Mieli mnie za szpiega i bili, i kopali mnie nogami, żeby się przyznać do wszystkiego. I kto mnie tu do Lwowa przysłał. A ja nie byłem żadnym szpiegiem i im mówiłem, że nie jestem szpiegiem, a oni codziennie mnie badali, dwa miesiące całe, a ja codziennie im to samo odpowiadałem, bo nic innego nie miałem do powiedzenia.

Po skończeniu tego śledztwa osadzili na dziesięć lat w archangielskie lasy pracować za to, że Rząd Sowiecki chwaliłem, że tu w sowieckim raju jest bardzo dobrze, no i tej dobroci do końca życia nie zapomnę”.

Potem ja jemu powiedziałem swoje przejścia, ale mu nie mówiłem, za co mnie osadzili na osiem lat w archangielskie lasy. Po tej rozmowie zaczęli nakładać glinę na wozy. Najprzód jemu kładziemy, ale mnie taka zła myśl naszła, żeby temu komuniście dokuczyć trochę. I uwijam się jemu nakłść tej gliny więcej, żeby mu ta kobyła ciągnąć nie chciała. Ale Kowalewski się obejrzał, gdy już było za późno. Gliny nakładlim za dużo. Mówię do niego: „Niech pan odjedzie, to ja zajadę”. Kowalewski wziął za lejce i mówi: wio! Kobyła spróbowała pociągnąć, było dla niej za ciężko, Jak drugi raz powtórzył głośniejsze wio!, to jak ona wierzgnęła kopytami i wcale nie próbowała pociągnąć, tylko kręciła się i wierzgała kopytami. A na tym wyjeżdżonym całym placu po wybranej glinie leżały młode dąbki, korzenie miały spłaszczony kolami.

Mówię do niego: „Panie Kowalewski, weź pan tego dębczaka i przywal kilka razy, to ona pociągnie, zobaczysz pan”. On patrzy na mnie i mówi: „Co pan chce, żeby ja drugie dziesięć lat jeszcze dostał ?!” I mówi: „Trzeba urzucić gliny, bo inaczej nie pojedę”.

Zgniewało mnie to. Mówię mu: „Trzymaj pan lejce!” A ja poszedłem, zgrabnego dąbka ułamałem połowę. On patrzy, że z tym dąbkiem idę, wprost krzyczy: „Jak pan uderzy, to ja powiem, że to pan uderzył, a nie ja! Bo tu za uderzenie konia to najmniej ukarzą dwa lata siedzieć”.

Tan dąbek miał korzenie jeżdżone kołami, wyglądał jak grzebień. Podeszedłem z boku, od przodu, żeby mnie nie uderzyła kopytami. Jak jej przywalę pod hołobel, po brzuchu raz z całej siły. Ona wierzgnęła kopytami, a ja drugi raz i trzeci raz. Kowalewski krzyczy: „Panie Pieńkowski, co pan robi?!” A ja nie uważam na niego. Chciałem uderzyć czwarty raz, ale już nie zdążyłem, bo kobyła poszła z wozem. Już na samej górcie ją zatrzymał i uwiązał i pomagał mnie nałożyć glin. I mówi do mnie: „Panie, co to teraz będzie, jak zobaczą te uderzenia?” A ja mówię: „Nie bój się pan, tam pod brzuch nikt nie będzie zaglądał. A z wierzchu nie ma żadnego znaku, niech pan będzie spokojny”.

Podjechałem do jego wozu i idę ją obejrzeć. Jak ona zobaczyła, że ja do niej idę, to z miejsca ruszyła galopem, ledwie ją utrzymał i całą drogę szła, aż się chciało popatrzeć. Gdy on zwał glinę, a ja chciałem podejść do niej, to drżała i chciała uciekać, ale nie zdążył za lejce złapać i zatrzymać. Od tej pory ile gliny się włożyło, tyle pociągnęła i kopytami nie wierzgała.

Pojechalim drugi raz po glinę. Nałożyłim wprzód jemu, a potem nałożyłim mnie. Ale gdy on miał odjeżdżać, to ja stałem z dąbkiem w ręku trochę z dala. To ta kobyła tylko się na mnie popatrzyła. Jak tylko Kowalewski wziął za lejce, to nawet nie powiedział wio!, już kobyła pociągnęła. Zatrzymał ją na górcie i przyszedł mnie pomagać nałożyć. Zaczelim rozmawiać i do niego mówię: „Czy pan wierzy, że będzie siedział te dziesięć lat u nich, w tych lasach?” A on mówi: „A co, pan nie wierzy, że te osiem lat, co ma pan zasądzone, nie będzie pan siedział?” Ja odpowiedziałem, że nie wierzę, że będę u nich tak długo siedział. A on mówi: „Jeżeli pan tak myśli, to pan jest w błędzie. Pan będzie siedział te osiem lat, a ja będę siedział swoje dziesięć lat, bo Związek Radziecki to jest potęga straszna, jego nikt nie zawojuje. On ma wielkie lotnictwo, kilkanaście tysięcy samolotów, kilkanaście tysięcy czołgów, a armat i karabinów maszynowych to bez liku. Nikt ich nie zawojuje i my będziemy tu w tych lasach pracować. Chyba by jakaś była amnestia. Ale w to też wątpię, bo oni mają bezpłatnych robotników. Pracujemy i całe miliony ludzi pracuje za marne, liche życie i dlatego nas nie wypuszczą”.

Ja jemu odpowiedziałem, że słaby z pana Polak i w dodatku beznadziejny. Ja myślę inaczej i mam nadzieję, że jeszcze będę wolny, że może jeszcze i do Polski wrócę. A da Bóg,

że i swoją Rodzinę zobaczę, i z nią się połączę. Bo ja w tę potęgę radziecką nie wierzę. A on znowu odpowiedział, że jestem w błędzie, przekonam się.

Ja woziłem beczkowitzem wodę z rzeki Peczory. Dwustulitrowa beczka przymocowana była do wozu na dwóch kołach obręczami żelaznymi. Najgorzej było, gdy parowy statek nadjeżdżał rzeką. Trzeba było zaraz wyjeżdżać z rzeki i trzymać kobyłę za mordę gieźlem. A ona cała drżała. Dużo musiałem się namęczyć, zanim znowu wjechałem do rzeki. I cały czas tylko patrzyłem na nią. A wodę lałem do beczki na wycucie, aż przez wierzch zaczęła lecieć. To dopiero deska w środku beczki wyszła pod samą dziurę, nakryłem jeszcze tę dziurę mokrym workiem, żeby się dużo nie wychelbało, gdy będę jechał.

Ja pojechałem jak zwykle po wodę, nabrałem i wracam do cegielni. Już jestem w połowie drogi, a do mnie leci jakiś człowiek biegiem. Już jest blisko, patrzę to Kowalewski mocno zziąjany. Zatrzymał się i krzyczy do mnie: „Panie Pieńkowski, Niemcy już pod Moskwą! Teraz już i ja mam nadzieję, że te dziesięć lat nie będę w tych archangielskich lasach gliny woził! My wrócimy do naszej kochanej Polski! Zobacz pan! Jak Niemcy zdobędą Moskwę, to potem łatwo przejdą przez całą Rosję i ta ich potęga, co oni głosili, że jest niezwyciężona, to się może oprze aż tu w archangielskich lasach, na naszych miejscach”.

Tak rozmawiając dojechałem do cegielni. Było już pod wieczór. Kobyłę wyłożyłem pokrzepiony na duchu, zaprowadziłem ją do stajni. Przyszedłem do swojego baraku, a tu nasi Polacy zaczynają się naradzać, co my mamy w tym wypadku robić. Porucznik Witkowski i inni mówią, że za parę miesięcy będziemy wracać do Polski. Tylko jak my się wydostaniemy z tych lasów? Posterunek przy bramie dość duży, około pięćdziesięciu *bojcow*. Wszędzie tu szła praca normalnie, jakby wojny wcale nie było.

Ja w dalszym ciągu wożę glinę i wodę do cegielni. Kowalewski też wozi glinę, a Franek Fryc pracuje w lesie. I on miał jakieś szczęście, że otrzymywał listy od żony przed wojną i przed wojną w maju 1941 r. przyszła dla niego paczka żywnościowa. Gdy poszedł na pocztę po tę paczkę, to ta kierowniczką poczty mówi: „Ty tej *podaczy* nie nieść do baraku, bo ci te nasze żuliki zabiorą i zjedzą od razu. A jak będziesz bronić, to jeszcze cię i nabiją. Ty *zanieś* to *podaczu* do *kapciora*, który rano wydaje chleb. On sam nic ci nie weźmie, ty dasz jemu kawałek, co tu będziesz miał z tej *podaczy*. I co dzień pójdiesz i sobie weźmiesz kawałek i dłużej pociągniesz sobie.. A ja ci gwarantuję, że on nic ci nie weźmie”.

Więc on pokwitował, że paczkę otrzymał i poszedł z nią do tego *kapciora*. Tam tę paczkę rozsiorował i patrzy, co w niej jest. Było w niej około kilograma kiełbasy takiej obsuszonej, potem z kilo słoniny, też obsuszonej, sporo sucharów kwadratowych, cukru w kostkach z pół kilo i machorki samosiejki torebka.



Zaraz ukroił tej kielbasy spory kawałek i dał temu *kapsiorowi*. Franek spał obok mnie na górnej pryczy, a Kowalewski z drugiej strony. To my się tak we trzech trzymaliśmy. Więc Fryc chciał nas poczęstować, ukroił dla nas po grubszym krążku kielbasy, po kawałku słoniny i po dwie kostki cukru. Zaraz zaczęliśmy jeść tę kielbasę, która była mocno naczostkowana, tak że zapach czosnku rozszedł się po baraku. A w każdym baraku był w środku korytarz, za tym korytarzem naprzeciw, na dalszej przyzbie siedział ten kapitan Iwan Byków z drugim swoim sąsiadem. Jak kapitan poczuł zapach czosnku, zaraz łokciem trącił w bok tego swojego sąsiada i mówi do niego: „*Smotryj, Polaki kielbasu kuszajut*”.

Było to rano, przed wyjściem na pracę. Kowalewski po zjedzeniu tego krążka kielbasy dostał boleści, przewraca się z boku na bok, trzyma się rękami za brzuch i jęczy. Dali znać dyżurnemu i przyszedł dyżurny z lekarzem i zabierają go na izbę chorych. On się zwraca do mnie i mówi: „Ja tu mam mąkę pod głową. Niech się pan nią zaopiekuje”. Ja się pytam ściszone głosem: „Skąd pan tę mąkę ma?” A on mówi: „Kupiłem od złodzieja”. Ja jemu mówię: „Pan wie, że co dzień idzie na pracę, a tu są tacy, co na pracę nie idą. I co? Znajdą, to zabiorą. I pan potem będzie miał do mnie pretensję, jak mąka zginie”. On mówi, że nie będzie miał do mnie żadnej pretensji i jeszcze mówi: „Jak pan będzie głodny, to niech sobie weźmie i klusek ugotuje”. Sanitariusz na boku rozmawiał z innym zakluczonym, nareszcie zawołał: „No, *chadzij na bolnicu*” i poszli.

A kapitan Byków z tym swoim sąsiadem poszli do kancelarii i zapisali się do lekarza, że są mocno chorzy. Ja mąkę Kowalewskiego podsunąłem pod swoją głowę i poza nimi poszli wszyscy, każdy do swojej pracy.

Ja poszedłem po kobyłę i zaprząłem ją i jadę po glinę. Przywiozłem trzy fury i raz wody. Odprowadziłem kobyłę do stajni i przychodzę do baraku, a przy moim legowisku stoi *bojec* z karabinem i obok niego stoi naczelnik cywilny i pyta się, kto tu śpi. Mówię, że ja. A on mnie się pyta: „*A otkuda tej mąki wziął?*” Ja: „To mąka nie moja”. „A czyja?” Mówię tak, jak prawda - Kowalewskiego, który poszedł na izbę chorych. Oni, *bojec* i naczelnik poszli obydwa. Jeden poszedł do izby chorych z karabinem, zapytał się, gdzie leży Kowalewski. Zaprowadzili go. On się pyta: „Czy to twoja mąka była na pryczy?” Kowalewski się zląkł, mówi, że to nie jego. A naczelnik poszedł do kancelarii obejrzeć moje papiery, dokumenta. Wyjęli z szafy grubą pakę moich zeznań na śledztwie, a było ich przeszło dwieście arkuszy oszpagowanych na krzyż i opieczętowanych brązowym lakiem, po czterech rogach i na środku też, a pod środkową pieczęcią była podsadzona różowa kartka wielkości naszego dowodu osobistego, która oznacza „szpieg” albo „partyzant”.

Inni z różnymi zarzutami po skończonym śledztwie mieli ze zwykłego papieru grubszego takie złożone podwójne karty, tak samo różowe były podwójne, jak i białe. Gdy przyniósł jeden kancelista to niby moją pakę i położył na biurku, już do środka nie zagłądali, ta różowa kartka sama im oznajmiła. Naczelnik powiedział tylko: „*Eto charoszyj element*”. Nadszedł *bojec* i powiedział, że Kowalewski nie przyznał się do mąki. Weszli do baraku, podeszli do mnie i naczelnik powiedział: „Zabieraj swoje *wieszczy!*”, to znaczy rzeczy.

Kapitan Byków siedział w swoim legowisku. Podeszedł do niego naczelnik i mówi: „No, kapitan, zabieraj swoje *wieszczy i chadzi*”. Obydwóch nas razem poprowadzili przed bramkę ogrodzonego izolatora. Był to izolator w ziemi, miał jedną piwnicę głęboką i pół metra jeszcze nad ziemią. Postawiony był tylko na słupkach z opaską, pokryty ogromną plandeką, tak że tej plandeki starczyło i na dach, i na obydwie ściany. Okienko było tylko jedno w szczycie. Wchodziło się tam po pięciu schodkach. Kapitan szedł pierwszy, a ja za nim. Jeszcze nie zszedłem ze schodów, to już miałem we wszystkich kieszeniach ręce tamtejszych mieszkańców. Obskoczyli mnie jak wilki, jeden drugiego odpychał. Nie wiem, co by to było dalej ze mną. Tylko jak kapitan zobaczył, że mnie tak obskoczyli, jak na nich wrzaśnie: „*Job waszu mać! Nie trogajcie jego! Eto jest muzyk*”, to znaczy chłop i jeszcze raz powiedział: „*Nie nada go targać!*”.

Momentalnie jak skoczyli do mnie, tak potem odskoczyli ode mnie, bo ten kapitan Byków to był tam częstym bywalcem i wszyscy go się tam bali. Chłop był wysoki i tęgi w barach. Żeby tak kogo uderzył, to nieprędko by się podniósł. I nikogo się nie bojał. Poszedł do mleczarni, masła wziął, to go zaraz do izolatora sadzali. To obrugał nieraz nawet samego naczelnika albo jakiegoś urzędnika, co mu uwagę zwrócił. To co innego mogli mu zrobić? Tylko do izolatora sadzali, tak że on nawet więcej siedział w izolatorze niż na wolności w baraku.

Wszystko jedno na pracę musieli wszyscy iść i z izolatora, tylko z tą różnicą, że z baraku do lasu czy innych robót to prowadził brygadier, a z izolatora to już prowadzili *strelki*. Jeden szedł z przodu, miał karabin na ramieniu i rewolwer u pasa i dużego psa wilka, a drugi *strelk* szedł z tyłu, tak samo uzbrojony i też miał dużego psa wilka. Wszyscy zakluczeni z izolatora musieli iść w dwójkach.

Gdyby ktoś próbował uciec, to najprzód by go pies poturbował. A gdyby pies nie dał rady zatrzymać, to dopiero *strelk* użyłby broni. Gdy tam byłem dwa miesiące, to z Ruskich żaden nie próbował uciec. Ale jeden Czech z Morawskiej Ostrawy uciekł z siekierą w rękę. Gdy pies skoczył na niego, to on do niego z siekierą. Chciał go uderzyć, ale pies odskoczył. Gdy pies chce do niego skoczyć, to on tą siekierą już nie zamierzał się, tylko zawsze ją

trzymał naprzeciw psa. I tak uciekał z tym goniącym psem ze dwie godziny. *Strelk* parę razy strzelił, ale bojał się gnać go, żeby więcej się nie rozleciało. Pies wrócił dopiero po przeszło godzinie, ale sam, a Czech uciekł.

Na drugi dzień specjalnie dwóch *strelków* z psami go poszukiwało, ale go znaleźć nie mogli. Po dwóch miesiącach przygnali go wraz z innym transportem zakluczonych. Byli to przeważnie Łotysze, Litwini i Ruscy. Pytaliśmy się jego, jak on mógł przebyć te prawie dwa tysiące kilometrów. I to dwa tysiące kilometrów to były lasy, błota! I co on jadł, jak uciekał, przecież ze sobą nie miał nic do jedzenia?

On opowiadał nam, że pies go chciał zatrzymać. Zawsze atakował go z przodu, ale nie dopuścił go do siebie, on bał się siekiery. Po jakiejś godzinie zawrócił. „Ale wiedziałem, że mnie będą gnać z psami – opowiadał - szedłem na południe do Moskwy. Po paru godzinach napotkałem rzekę, nie była bardzo głęboka. Wlazłem do niej i szedłem jakieś sto metrów wodą, a żeby jak mnie będą gonić z psami, to psy węchem będą prowadzić moimi śladami, a ja szedłem wodą, to psy już dojdą tylko do rzeki i ślad tracą. I tak na pewno było.”

„No dobrze, ale co ty jadł ?” On mówi: „Usłyszałem, że daleko na prawo szedł pociąg na północ, więc skierowałem się, aby iść do toru kolejowego. Potem szedłem na południe wzdłuż toru w odległości mniej więcej dwunastu metrów od niego i doszedłem do miejsca, gdzie przy torze stała budka dla kolejarza. Położyłem się naprzeciw tej budki i patrzę się w nią, czy kto z niej wyjdzie lub przyjdzie do niej. Było to pierwszego dnia mojej ucieczki przed wieczorem.

Pociąg się zatrzymał, z budki wyszedł kolejarz i stoi. Przyszedł drugi kolejarz do niego i dał temu z budki torbę. Zmiarkowałem, że to prowiant. On z tą torbą poszedł do swojej budki, a pociąg gwizdnął i pojechał. A ja leżę i czekam, może on pójdzie. Zaczęło się już ściemniać, kolejarz wyszedł i na szczęście poszedł nie w tę stronę, co ja mam iść. Poczekalem, aż on poszedł torem, już ze sto metrów. To ja wtenczas wchodzę do budki. Torba wisi na ścianie. Zdjąłem ją, patrzę, co w niej jest - bochenek chleba i z kilogram obsuszonej słoniny. To torbę zabieram z tym prowiantem. Odszedłem z dziesięć metrów, podjadłem dobrze i potem idę dalej.

Po paru godzinach znów była budka kolejarza, to ja miejsce upatrzyłem, żeby było dobrze obserwować, czy ten wyjdzie, czy przyjdzie. Jak wyjdzie, to ja pójdę i zawsze tam coś będzie do jedzenia. To podjem i pójdę dalej. Gorzej gdyby dopiero przyszedł, to musiałbym czekać, aż on pójdzie z powrotem. Dopiero wtedy będę mógł wejść do tej budki. Na moje szczęście wyszedł i poszedł znowu na północ. Po jakiejś pół godzinie wszedłem. Torba wisiała na gwoździu, zdjąłem ją i wyjmuję chleb, słoninę i cebulę. Na stoliku leżała

machorka, jeszcze w liściach. Zostawiłem mu tylko trzy cebule i trochę tej samosiejki. I zaraz ruszyłem w drogę i doszedłem aż do Moskwy. Miałem tylko około dwustu kilometrów. Po drodze były częste kołchozy. We trzech byłem, ale tu ludzie jeden drugiego się boi i niechętnie wpuszcza do domu. Da chleba i jajko, czasem dwa i każe iść z domu dalej, bo jak kto zobaczy i oskarży, to już bieda.”

Gdy te opowiadania usłyszeli Ruskie, to tak sobie mówią: „Języka nie umiał i tak daleko zaszedł, a my tu wszyscy boimy się, że nas zaraz złapią”. I na drugi dzień zaraz dwóch uciekło, ale już po miesiącu złapali ich i przywieźli i do izolatora wsadzili na trzy miesiące.

Ale wróć się teraz do izolatora. Już tam siedziało pięciu Polaków. Siedzieli - inżynier Demski ze Stanisławowa, kapitan z armii polskiej adiutant Śmigłego-Rydza Eustachewicz kapitan legionista, bezwyznaniowy Zonenszajm, potem siedział Żyd inżynier Szaski, bardzo bogaty, mówił, że uniwersytet kończył w Paryżu. Miał duży majątek rolny i trzy tysiące hektarów lasu i cukrownie, tylko niedomagał w mowie, trochę seplenił. No i piąty - młody chłopak, dziewiętnaście lat, ze Lwowa, nazwiska zapomniałem.

Jak już ode mnie odskoczyli te złodziejaszki, zobaczył mnie inżynier Demski i woła: „Panie Pieńkowski, chodź pan tu do nas!” Przyszedłem, powitaliśmy się i pytam go, za co on tu siedzi. „A - mówi - sadzili kartofle i ja dwie kartofle wziąłem do kieszeni, żeby jutro w lesie sobie upiec. Ale po robocie wszystkich rewidowali i te dwie kartofle znaleźli w kieszeni. Tak samo i u Zonejszajma też dwie znaleźli i po miesiącu dostalim izolatora”.

W tym izolatorze było osiemdziesięciu sześciu mężczyzn, chyba ze wszystkich republik radzieckich, najgorszy element ludzki. Pytam się jednego Tatar: „Za co siedzisz?” On mówi: „Ubiłem popa, to znaczy księdza i – mówi - jakim pałką łopnął go w głowę, to mózg aż na ścianę bryznął”. Pytam się: „To ileś lat dostał za to?” On mówi, że już go postawili pod ścianę do rozstrzału. „Już myślałem, że mnie zabiją, ale potem zabrali mnie do więzienia i osadzili na 25 lat łagrów w tych archangielskich lasach”.

Pobocznik, chudy, z zawodu krawiec z lewej strony spał, była mała przerwa pomiędzy naszymi łózkami. Pytam się jego, za co siedzi. On mówi: „Wiesz, mało zarabiałem, że ledwie mnie na liche życie starczyło. Miałem ukryty karabin. Urznąłem lufę, żeby spod marynarki nie było widać. Niedaleko ode mnie był las i droga traktowa. Poszedłem do tego lasu, że może będzie ktoś jechał, to mu zabiorę pieniądze i co będzie więcej.

Stoję z godzinę, nikt nie jedzie, zmarzłem, ale jeszcze wyglądam. Patrzę, jedzie taksa. Wyskoczyłem na środek drogi, ręką macham, ustali. Jechało trzech w futrach i czwarty kierowca. Ja rozkazałem, żeby zdejmowali futra, a sam stoję przy otwartych drzwiczkach z głową w środku. Oni sięgnęli rękami niby zdejmować futra i każdy z nich

wyjął rewolwer, a ten pierwszy od razu złapał mnie za łeb i wciągnął go do samochodu. I zawieźli mnie do NKWD. Zaraz mnie wsadzili do więzienia i osądziła na 25 lat do obozów pracy w archangielskich lasach”.

Było w tym izolatorze istne piekło. Był starosta i dwóch ławników, co sądzili jedni drugich. Kara była za co nie bądź, bicie kijem i to dość grubym. A bił nim chłopak, około dwudziestu lat mógł mieć. Jak kogo sądzili, to on już za tę pałkę trzymał i aż drżał do bicia. Jedną nogę miał krótszą. Na robotę nie chodził, kamasze miał podarte. Spał na pryczy na podartym buszłaku i okrywał się tylko kocem.

Było tam kilku, co do roboty ich nie brali. Siedzieli tam i uważali, czy by komuś coś mogli ukraść. Niektórzy wypracowywali normę ponad plan, za to im płacili po dwadzieścia kilka rubli, zależy ile kto wypracował. A ci, co na robotę nie chodzili, dostawali dziennie trzysta gramów chleba i obiady, tylko rzadkiej zupy chochlę. Cukru do kawy nie dawali nikomu, tylko ci, co zarabiali, to mogli sobie kupić pół kilograma cukru w kostkach, no i chleba nawet i dwa kilogramy, czasem i śledzi, jak były. Zawsze raz na miesiąc przychodził *bojec* i prowadził do sklepu tych, co wyrabiali normy i ponad normę. Mieli pieniądze w kasie kancelaryjnej. A najwięcej to było pasty do butów, ale jej nikt z robotników nie kupił, chyba tylko urzędnicy.

Razu jednego ci, co do pracy nie chodzili, ukradli i zjedli cały dwukilowy bochenek chleba. Ale zauważył ich ten kuternoga i jak wszyscy już przyszli z pracy, ten, co jego był zjedzony chleb, zrobił alarm i poszedł do starosty na skargę. I ten z krótką nogą wydał tych, co ten chleb zjedli. Starosta zasądził im po dziesięć pałek każdemu. Jak się który nie chciał położyć, to wtenczas go inni kładli siłą i trzymali i dwie pałki dostał więcej ponad plan. Pałką zawsze bił ten sam kuternoga i to z całej siły, bił bez miłosierdzia. Inny to za każdym uderzeniem tylko jęknął, a inny krzyczał w niebogłosy, to ten coraz mocniej bił. Nikt bitego nie bronił, to była zwykła rzecz.

Gdy pierwszy dzień z izolatora poszlim do lasu i działki nam wyznaczył *bojec*, inżynier Demski pilnował się mnie i zaczęli zrąbywać grube drzewo, a potem co dwa metry przecinać całego kłoca i stawiać metry. „Cztery i pół metra to jest norma” - powiedział *strelk* i poszedł do tego drugiego *strelka* i tam sobie rozmawiali. Ja już zrąbałem jeden i poprzecinałem, gałęzie odciąłem i na kupę złożyłem, a Demski co dwa razy siekierą rąbał, to coś ręką koło ucha okulary poprawia. Ja już drugiego kłoca rąbał, gałęzie obciął, na gromadę złożył, potem kłoca poprzecinał, a on jeszcze pierwszego nie zrąbał. Ja jemu mówię, żeby się uwijał, bo normy nie wyrobi. A on mówi: „Żeby ja choć pół normy zrobił, to i tak byłoby dobrze”. A ja jemu mówię, że trzeba się uwijać, to robi. On jakoś mocniej siekierą uderzył.

Ja już ostawiłem, a on przy tym pierwszym kłocu stoi i krzyczy: „Panie Pieńkowski, ratuj pan mnie!” Myślałem, że on się skaleczył siekierą. Lecę do niego i pytam: „Co, pan się skaleczył?” On powiada: „Nie, tylko okulary mi spadły”. A tam w tym lesie to tego drzewa leżało od wieków, niektóre to całe spróchniałe, że tylko cienki rdzeń został. I takie próchniate leżą, jedne w tę stronę, a drugie na nich w poprzek leżą i to gęsto. A jak na które nadepniesz, to noga przez nie przeleci do dna, bo to już tak spróchniałe. I różnych gałęzi pełno pod nogami. On stoi z siekierą w ręku i wcale się nie rusza z miejsca. Mówię: „To czemu pan nie szuka, tylko stoi?” A on mówi: „Ja się boję stąpnąć, żeby nie nadepnąć, bo to byłoby już po mnie. Ja bez okularów prawie nic nie widzę”.

Wziąłem sam ostrożnie szukać, żeby ich nie nadepnąć. No i znalazłem. I patrzę się na nich, na jedno ucho jest to zagięcie, a na drugie ucho jest tylko ten kawałek prosty, a ten, co się zakłada za ucho, to samo zagięcie odłamane. A on miał krótki wzrok i bez nich mało co widział.

Dałem te okulary, on ich zakłada za jedno ucho. Założył dobrze tym zagiętym brzegiem, a u drugiego boku było kawałek przywiązanej nitki, to on tą nitkę sobie zakręcał za ucho. Ale ta nitka nie była długa. Gdyby on nic nie robił, to te okulary by siedziały, ale przy ścinaniu drzewa to zaraz po kilku machnięciach siekierą od razu spadały. Trzy razy mu szukałem tych okularów i on je zakładał. I patrzę się, że jeszcze ja swojej normy nie mam, a on już czwarty raz woła: „Panie Pieńkowski, ratuj pan mnie!”

Znalazłem mu cztery razy i mówię, że więcej nie mogę mu tych okularów szukać, bo swojej normy nie wyrobię, a jego pierwsza sosna stoi.

Szkoda mi jego się zrobiło. Mówię: „Panie Dembski, niech pan okulary schowa do kieszeni. Ja będę kłoce ścinał, a pan będzie obcinał gałęzie i kładł na kupę i przecinał na dwa metry długie, bo inaczej to nic z tego nie będzie”. Dałem mu kij dwumetrowy i mówię: „Według tej miary niech pan przerąbuje, ja je później poukładam po swojemu”.

Dembski to był kawał chłopca, dobrze zbudowany, to ta robota mu jakoś szła. Zresztą go poganiałem, a sam tylko zrąbywałem. Siekierę miałem ostrą i dobre sosny kładły się co jakieś piętnaście do dwudziestu minut, to łomot na ziemię.

Gdy zmiarkowałem, że może będzie dziewięć metrów, wziąłem się za układanie. Sęki nie były obcinane przy samym kłocu, tylko jak popadło i pięć centymetrów od kłoca, a nawet i dziesięć, na co przy odbiorze nie zważali. To ja przy układaniu wieszałem ich na sękach z przodu, a z tyłu podkładałem w poprzek, żeby się czuby nie zapadały głęboko, tak że z tych dwóch metrów, gdyby ich dobrze ułożyć, to by był tylko jeden metr. Musiałem

kombinować, ażeby nadrobić i na Dembskiego na odbiórkę; było razem dziewięć metrów - dwie normy.

Na drugi dzień rano dostaje Dembski dziewięćset gramów chleba i na obiad dostaje zupę i porcję ryby na drugie, czego nigdy nie dostawał. I odtąd ze mną obok robił i zawsze to otrzymywał. Zadowolony codziennie mówił: „Panie Pieńkowski, nieszczęście jest moim wielkim szczęściem. Ja teraz czuję się dobrze najedzon, a wprzód byłem zawsze głodny, bo co to czterysta pięćdziesiąt gramów chleba i tylko rzadka zupa, bez żadnego kawałka ryby, nic więcej nie dostawałem”.

Za Dembskim obok pracował Zonenszeim, bezwyznaniowiec. Opowiedział, że na Kresach miał nie tak duży majątek. Był bardzo uczony, umiał mówić po niemiecku, po francusku i po angielsku. W 1918 roku wstąpił do legionów Piłsudskiego. Potem, gdy na Śląsku była komisja z przedstawicieli rządów Ameryki, Anglii, Francji i ze strony Niemiec i Polski, po trzy osoby każda i miało się odbyć głosowanie obywateli polskich i niemieckich, której narodowości na danym terenie było więcej, ten miał być przyłączony do tego kraju, to on tam jeździł po miastach i agitował, przemawiał do tych Ślązaków, ażeby głosowali za Polską. Cała ta komisja mieszana chodziła na obiady razem, specjalny kelner ich obsługiwał, Polak, ze strony niemieckiej był przewodniczący. Jakiś mówca tak przekonywał tę komisję, że Anglicy i Amerykanie w niektórych punktach skłaniali się na jego stronę. Polacy postanowili w jakikolwiek sposób pozbyć się go. Mieli główną pieczęć niemiecką i podrobili taką niby instrukcję od rządu z Bonn, jak komisja z ich strony ma postępować w różnych punktach. Umówili się z kelnerem, żeby on z futra przewodniczącego polskiej delegacji wyjął przygotowane opieczętowane pismo i wsadził je do podspólnej kieszeni futra przewodniczącego delegacji niemieckiej. Kelner tak zrobił.

Gdy po spożytym obiedzie każdy przewodniczący swoją teczkę otworzył, powymowali plany i inne papiery i zaczęli omawiać sprawy, do których mieli pełnomocnictwa. Pierwszy zaczął przewodniczący delegacji niemieckiej. Zaczął przedstawiać protokoły głosowania i na planie pokazywać i wyjaśniać, aż przewodniczący delegacji amerykańskiej przerwał mu, że teraz niech przemawia przewodniczący delegacji polskiej.

Przewodniczący delegacji polskiej mówi, że Niemiec kręci i nie wszystką prawdę tu wyjaśnia. „Proszę zobaczyć, jaką on ma instrukcję od swojego rządu!” Wstali wszyscy i idą do swoich futer i Amerykanin rewiduje kieszenie przewodniczącego delegacji niemieckiej. Z podspólnej kieszeni futra wyjmuje paczkę papierów w opieczętowanej kopercie, otwiera i czyta takie pouczenie, jak w pewnych sprawach ma delegacja postępować i być nieugiętą i nie ustępować.

Przewodniczący delegacji polskiej żąda zmiany delegacji niemieckiej, a szczególnie przewodniczącego, bo w tym składzie niemożliwe jest przeprowadzenie rzetelnego głosowania.

Przewodniczący delegacji amerykańskiej wystosował pismo do rządu w Bonn o delegację w innym składzie, a tę delegację zwolnił z udziału i powiedział, że komisje muszą same sprawy głosowania załatwiać, bez żadnych instrukcji.

Na trzeci dzień stawiała się inna delegacja niemiecka, już nie taka przekonująca, tylko więcej umiarkowana. Przewodniczący delegacji niemieckiej chciał, ażeby mu to pismo oddać, które było w jego futrze, ale go mu nie oddali i powiedzieli, że to jest dowód na zmianę delegacji.

Zonenszejn w dalszym ciągu jeździł po miastach i wsiach, gdzie było większe skupisko Polaków i nakłaniał wszystkich, ażeby głosowali za przyłączeniem Śląska do Polski. Śledził go ten zwolniony przewodniczący delegacji niemieckiej. Chciał się pomścić, bo miarkował, że to on się tak przyczynił do jego zwolnienia. W jednym mieście Zonenszejna aresztowali i osadzili na śmierć, potem wyrok zmienili na dożywotnie więzienie. Dawali mu książki niemieckie do czytania i gazety, też niemieckie. Odwiedzał go raz w roku polski ambasador Lipski. Siedział całe dziesięć lat. W roku 1932 Piłsudski zawarł pakt o nieagresji z Hitlerem i w tym roku zrobili wymianę. W Polsce siedział w więzieniu jakiś pułkownik niemiecki, wypuścili tego pułkownika za Zonenszejna. Powiada: „Gdy wróciłem do Polski, Marszałek Piłsudski zwolnił mnie od płacenia wszelkich podatków. W czasie wojny w 1939 r. ukrywałem się, ale ludzie mnie wydali i zaresztowało mnie NKWD. Już wiedzieli, że ja byłem szpiegiem i proponowali mi tę robotę nadal, ale odmówiłem. To osadzili mnie na dwanaście lat w archangielskich lasach”. Nie mógł wyrobić normy, to i jemu pomagałem, no, był dobrym Polakiem, wycierpiał dużo za wolność Polski, za to mu pomagałem.

Następnym był inżynier Szacki, bardzo był bogaty i uczony. Uniwersytet ukończył w Paryżu, miał duży majątek rolny i las, parę tysięcy hektarów i cukrownie. Aresztowali go tylko po to, żeby zabrać majątek „burżujowi”. Miał trochę usta krzywe i jak mówił, to seplenił, nie bardzo wyraźnie.

Miał na nogach żółte kamasze, nigdy ich z nóg nie zdejmował, cholewki były trochę wyższe, sznurowane. Mówił, że one kosztowały osiemdziesiąt złotych przed wojną. Były bardzo ładne. Te ruskie żuliki patrzyły na nie i mało im oczy nie wyskoczyły. Namawiali go, żeby się zamienił nawet na nowe kamasze. Obiecali mu dużo przydać, ale on i słuchać nie chciał. A był straszny palacz papierosów czy machorki, ale nie miał ani pieniędzy, nic.



Ubranie to miał liche i tylko kto upałka rzucił, to szedł i brał go do ust, żeby choć raz pociągnąć jednego dymka.

Ale dwóch Ruskich się namówiło i zaczęli mu dawać z machorki papierosy, tak po połowie i to codziennie. Jak się do nich znarowił, to tylko jak oni zapalili sobie, to już tylko się na nich patrzył i oni podchodzili i zaraz mu dawali popalić. Jeden z nich miał dosyć dobre kamasze, więc namawiają go na handel i dają mu, ale dopiero godzą się na dziesięć paczek machorki, dwa kilo cukru, cztery kilo chleba i dwadzieścia rubli. Było to dosyć dużo, więc godzą się, że już jutro się zamienia, a oni w ciągu dwóch dni wszystko uregulują. Rano dają mu trzy paczki machorki, kilo chleba i około pół kilo cukru, resztę dadzą na wieczór albo jutro rano. Dobrze. Cygan, tak jednego nazywali, już daje mu swoje kamasze, a Szacki oddał mu swoje. Ten Cygan obuł ich na swoje nogi i chodzi tam i z powrotem po izolatorze i tylko się na kamasze patrzy i wszyscy się też z zazdrością patrzą. Szacki z paczką machorki poszedł do inżyniera Dembskiego i Zonenszejna i powiada: „Proszę, niech panowie sobie skręca i zapalą papierosa”. Ale nie mieli w co zakręcić. Szacki poszedł do tego, co zrobił z nim handel. Ten z kieszeni swojej wyjął kawałek gazety i dał Szackiemu i on przyniósł i dał Dembskiemu. Zaraz Dembski udarł sobie i podał Zonenszejnowi, on też udarł kawałek i skręcili sobie po papierosku. Bardzo byli zadowoleni, bo już dawno nie popalali, a nikt im nie dał i nie poczęstował.

Podziękowali Szackiemu i już po śniadaniu wyszlim na zbiórkę do pracy w lesie. *Bojce* działki pokazali i potem obydwu rozmawiali sobie. Ja kloce zrąbywałem, a oni obydwu gałęzie obcinali i kładli na kupy, a potem przecinali na dwumetrowe szczapy i trzy normy zrobili.

Od Szackiego te Ruskie niby pożyczali machorki na skręty. Z niechęcią niektórym dawał, bo czuł, że mu nie oddadzą, tak że jedna paczka machorki prawie cała poszła. No ale miał jeszcze dwie, a już jutro mu oddadzą jeszcze siedem, to będzie miał na kawał czasu do palenia. Na drugi dzień rano machorki nie dali, bo miał im jeden jakiś gość podać, ale nie podał. Szacki poszedł do nich, żeby mu dali wszystkiego na razie choć połowę, ale oni mu przetłumaczyli. „Toć - mówią - do jutra to nie jest tak daleko. Jak nam poda, ci wszystko od razu oddamy”.

Na drugi dzień też nie dają, bo im tamten nie podał. A to on żąda, żeby mu dali te dwadzieścia rubli, co się zgodzili. To oni mówią, że oni pieniędzy nie mają przy sobie, ale jak tamten poda, to mu oddadzą. Czwartego dnia nic nie dają, bo tamten nie podał, to Szacki krzyczy: „Dawajcie, coście się zgodzili, a nie, to oddajcie buty!” To oni mówią: „Dobrze, oddaj nam trzy paczki machorki, oddaj chleb i cukier, to oddamy ci te twoje buty”. A on już

z trzeciej paczki ma tylko trochę. Zaczął ich prosić, żeby mu oddali choć połowę tego, na co się zgodzili, ale oni mówią, że pieniędzy nie mają, ani machorki, ani cukru, ani chleba. To najlepiej, żeby on im zwrócił to, co jemu dali i oni mu oddadzą kamasze. On tego nie ma i dopiero się zorientował, że popadł w pułapkę.

Ale co dziesięć dni prowadzali wszystkich do bani, czyli łaźni. On sobie umyślił plan. Wszyscy się porozbierali, Szacki też się rozebrał, ale tylko ręce zamoczył i zaraz poszedł. Odszukał te swoje żółte kamasze, obuł je na nogi i te czarne postawił tam, gdzie stały dawne jego żółte. Gdy już wszyscy się umyli, *bojec* krzyknął „ubierać się!”. Każdy poszedł do swego ubrania, ubrał się i obuł. A ten Cygan, co się zamienił z Szackim, przychodzi się ubrać i patrzy- żółtych kamaszy nie ma, tylko stoją w tym miejscu czarne. Od razu skapował, że to Szacki zamienił. Odszukał go na poczekaniu i mówi: „Pan Szacki, oddaj *bucinki*!”. A on mówi: „Dajcie to, coście zgodzili, to oddam, a inaczej nie oddam!” A Cygan mówi: „Oddasz, tylko przyjdziem do izolatora”.

Gdy już wszyscy weszli, Cygan z tym swoim kolegą idą prosto do Szackiego. On leżał na swoim miejscu, na narach obok inżyniera Dembskiego, a ja z drugiej strony Dembskiego spałem. Ale teraz siedzeliśmy na swoim legowisku. Za naszymi plecami zagotowało się. Cygan skoczył na nary i od razu wlaźł na leżącego Szackiego. Opasał go swoimi nogami i zaczął go boksować prawą ręką po boku. Szacki zaczął krzyczeć wniebogłosy, ile tylko miał siły. Cygan lewą ręką zatykał mu usta, a prawą bił bez przerwy. A kolega Cygana rozsznurował kamasze na nogach Szackiego. Pomimo że Cygan zatykał usta Szackiemu, krzyki dały się słyszeć poza izolatorem, na zewnątrz. A ponieważ izolator stał w rogu sowchozu, a w każdym rogu na zewnątrz była postawiona wysoko ponad ogrodzeniem budka, na której dzień i noc stał wartownik, usłyszał te krzyki Szackiego.

Nie wiem, w jaki sposób on powiadomił posterunek i zaraz przyszedł *bojec* z naczelnikiem do izolatora. Ale kamaszy z nóg Szackiego nie zdjęli. Wierzgał nogami i poomykał palce temu, co chciał rozsznurować i nie mógł. Gdy tylko wszedł *bojec* z naczelnikiem, Cygan czym prędzej nakrył Szackiego kocem i powiedział: „Jak będziesz mnie skarżył, to cię zabiję! Pamiętaj o tym!”

Naczelnik od razu doniosłym głosem pyta się: „*Szto tu dziełajetsa?*” Przeszli tam i z powrotem, nikt nic nie mówi, zapanowała cisza, tylko Szacki jęczał i to ściszym głosem. Naczelnik z *bojcem* zabrali się i poszli. Co to byli za ludzie w tym izolatorze?! Osiemdziesięciu sześciu chłopów, żaden uwagi nie zwracał, jak ten Cygan bił Szackiego bez miłosierdzia. I do naczelnika nikt ani słowa nie powiedział, tak jakby nic się tu nie stało.

Był tam jeszcze jeden, nazywał się Osiełkow, dość wysoki, a nawet i walnie gruby, na twarzy był piegowaty i to dużo. Przeszedł się po korytarzu i popatrzył na Szachta i znowu skoczył na nary i mówi: „Pan Szacki, oddaj kamasze!” Szacki nic nie odpowiedział, nakrył się lepiej jeszcze kocem na twarz. Osiełkow wykręcił się do nogi Szachta i chciał rozsznurować kamasze. Jak Szacht zacznie wierzgać nogami po palcach Osiełkowa! Musiał go boleśnie uderzyć kilka razy, bo on się wykręcił do Szachta, usiadł okrakiem na nogi Szachta i znowu zaczął go z obydwu rąk boksować po bokach. I dotąd go bił, aż już się Szacht nie ruszał. Wtenczas on mu buty rozsznurował, swoje kamasze postawił Szachtowi, tam gdzie on leży i obuł te żółte kamasze Szachta i znowu spaceruje po korytarzu i nigdzie się nie ogląda, tylko patrzy na te kamasze na swoich nogach.

Ja zrazu myślałem, że on odda te kamasze Cyganowi, bo tamten dał Szachtowi trzy paczki machorki, parę kawałków cukru i kilo chleba, ale gdzie tam! Oni nic nie mówili i wszystko przepadło. Osiełkow ani myślał o oddaniu. Przyszedł jeszcze do Szachta i powiedział: „Pamiętaj, jak byś się poskarżył na mnie, to cię zabiję i już ci twoje kamasze nie będą potrzebne!” Szacht tylko jęknął i nic nie powiedział.

Ja w dalszym ciągu robiłem ponad plan, po sto dziesięć procent wyrabiałem i pomagałem jeszcze Dembskiemu i Zonenszejnowi. W poniedziałek gdy przyszedłem z lasu z pracy, przyszedł *bojec* z kartką w rękę i czyta „Pieńkowski!”. Odezwałem się, że jestem, a on dalej się pyta: „Aleksander?” Mówię, że tak. A on powiada: „Pójdiesz do kancelarii, tam *poluczysz dziengi i pajdziom do łarka i sobie pokupajesz, szto tam budżet*”.

No i poszlim, pieniądze dwadzieścia rubli mi wypłacili i poszlim do łarka, czyli sklepu. Kupiłem najprzód dwa bochenki chleba, potem pół kilo śledzi, jedną paczkę machorki dla gości, bo sam nie paliłem, a za resztę cukru w kostkach. *Bojec* mnie odprowadził i sam poszedł.

Gdy ja z tym chlebem na rękę wszedłem do izolatora, wszyscy się na ten chleb patrzyli. Dwa bochenki! Tam tyle chleba nikt nie dostawał. Położyłem go obok głowy. Przynieśli kawę na wieczór. Jadłem, ile tylko weszło do żołądka. Dałem kawałek Dembskiemu i Zonenszejnowi. Podchodzą i Ruskie, żeby im pożyczyć. Dałem po kawałku dwóm, ale już myślę, że więcej nie pożyczę, bo prawie jeden bochenek poszedł. Ale przychodzi jeszcze do mnie Wasia, miał jedną nogę krótszą. A on, jak kogoś osądzili, to pałką uderzał i to z całej siły. Już kogo sądzili, to on już pałkę trzymał zadowolony, że zaraz będzie kogoś okładał, aż drżał do bicia. No i on mówi: „Pożycz mi kawałek chleba, a ja ci jutro oddam”. Miałem już nikomu nie pożyczać, ale jemu muszę, bo aby i mnie za co nie sądzili, to mnie będzie mocno walić i pożyczylem kawałek ze dwadzieścia deka.

Chleb i czterdzieści kostek cukru położyłem, cukier pod pachą, a chleb obok głowy i nie śpię, czuwam, bo wiem, że jak usnę, to mi zabiorą. W tym czasie to tam słońce zachodzi tylko na godzinę, a dwadzieścia trzy godziny świeci. Czuwałem, nie wiem ile czasu, zasnąłem. Jak długo spałem, też nie wiedziałem, ale patrzę - całego chleba nie ma. Podniosłem głowę i patrzę, czy kto tego chleba nie je. Nikt nie jadł, ale jeden młody chłopak patrzy się w stronę moją i nakrył całą głowę kocem. Wstałem i idę do niego i biorę za koc. Odkrywam go prawie całego: „Tyś mój chleb ukradł!”. On powiada, że nie brał mojego chleba, a ja widzę kruszyny z chleba przy nim leżą.

Miał pod głową buszłak. Ja podnoszę ten buszłak, leży jeszcze połowa tego chleba. Ja biorę za ten chleb, a on złapał moją rękę z chlebem i miłosiernie prosi: „Daj jeszcze choć kawałek! Ja na robotę nie chodzę, bo nie mam kamaszy, to dostaję tylko dwieście gramów na cały dzień i ja jestem zawsze głodny!” Ułamałem kawałek i dałem mu jeszcze.

Gdy przyszedłem z resztą niezjedzonego chleba, szczupam, gdzie leżał mój cukier. Jest, ale go tak mało. Wieczorem było trzydzieści sześć kostek. Przeliczam - jest tylko osiemnaście, resztę, to znaczy połowę, ktoś ukradł. Ale kto? Budzę tego obocznika i mówię: „Cukier mi ktoś ukradł!” Usiadł na swoich narach i drze się na całe gardło: „*Job waszu mać, kto zwarował Pieńkowskiemu sachar?! On zarabiał dziennie i pokupał sobie, a jakaś swołocz zwarował, wot bradziagi, takie nietakie syny!*”

Ale był to ten sam, co z urzęniętym karabinem zatrzymał taknę i rozkazał futra zdejmować. A oni już sięgnęli niby futra odpinać i od razu trzy rewolwery skierowali na niego. Potem złapali go za łeb i wciągnęli do samochodu, zawieźli go do NKWD. Siedział w więzieniu i potem osądzili na dwadzieścia pięć lat.

Była już amnestia dla Polaków, ale jeszcze tu nikogo nie zwalniali, tylko tyle, że do lasu na roboty Polaków nie prowadzali. Jak kto chciał iść na ochotnika, to szedł i robił. Dużo szło. Przeważnie jak statek parowy przywiózł jakiś towar - mąkę, sól, cukier, kaszę, to Polacy go rozgruzowali, za to lepszy obiad dostawali.

Dembski pożyczzył ode mnie trzy ruble, miał mi oddać, jak wyjdziem z izolatora. Ale mnie zaraz rano w dwójkach z bandziorami do lasu pognali. A Dembskiego, Zonenszejna, Szachta i tego młodego ze Lwowa, jak również i tego chorego, co krwią sikał i krwią kał oddawał, to oni zostawili w baraku.

Gdy wróciłem na wieczór z pracy, już z Polaków nikogo nie było. Mówili mi ci, co na roboty ich nie gnali, że po tego chorego Eustachewicza przyszedł lekarz i dwóch sanitariuszy z noszami. Położyli go ostrożnie i ponieśli na izbę chorych. Ale gdy go

wprowadzili do izolatora, nawet nie wiem za co, to on leżał w kącie obrócony twarzą w kąt i z nikim nie chciał rozmawiać, tylko nieraz jęknął.

Dowiedziałem się od Demskiego, że jak wszedł, to się nie spodziewał takich ludzi spotkać. Najprzód go zrewidowali, do wzięcia nie miał nic. Potem go wzięli na badania, kim on jest. On powiedział, że kapitanem i był adiutantem Śmigłego-Rydza. Jak on to powiedział, tam jeden krzyknął: „To jest Śmigły-Rydz, bić go, on naszych bił!” Tylko te dranie na to czekali, im kogoś bić to przyjemność. Najprzód go powalili na glinianą posadzkę, potem kopali nogami i to tak niemiłosiernie, że na nim nie było zdrowego ciała, tylko cały był siny, jakby go atramentem pomalował.

W kącie było wolne żelazne łóżko, tam go na nim położyli. Od tej pory czy kał, czy sik to krew czarna przez niego szła. Nikt tam o tym nie meldował. Nie jadł wcale, tylko kawę czarną pił i to w małych ilościach. W takim stanie zabrali go na izbę chorych. Czy on wyżył i czy się wyleczył, tego nikt nie wiedział.

Jeden transport Polaków już statkiem parowym odjechał do Kozwy, miasta powiatowego. Tam otrzymają dokumenty, gdzie kto zechce jechać. Pojechał w tym transporcie i inżynier Demski, który dwa dni temu pożyczył ode mnie trzy ruble. Pomyślałem sobie, że już nie wiadomo, czy ja się z nim zabiorę, bo nie wiem, czy oni mnie w ogóle wypuszczą. Przecież już jest tydzień po amnestii i wszystkich Polaków już wypuścili. Z tego widać, że dla takich jak ja jestem amnestia nie przysługuje.

Przyszedł mi na pamięć wyrok, gdy mi w Mińsku sędzia odczytał, że *Sowiestwienaja* Trójka w Moskwie osądziła mnie zaocznie wyrokiem na osiem lat w archangielskie lasy. Gdy ja to usłyszałem, ucieszyłem się, bo mnie naczelnik więzienia w Mińsku powiedział, że ja jak się nie przyznam, to zginię w więzieniu, a tu osadzili mnie na osiem lat. Gdy sędzia zauważył uśmiech na mojej twarzy, zapytał mnie, dlaczego ja się śmieję. Ja jemu odpowiedziałem: „*Grażdānin sudia, ja dumaju czto ja u was wosiem lat nie budu siedzieć*”. A on się pyta: „*Skolko ty dumajesz u nas siedzieć?*” Ja jemu odpowiedziałem: „*Dwa goda, bolsze niet*”.

Jak on się zerwie z fotela, jak wyrżnie pięścią w biurko. Stała na tym biurku karafka z wodą i szklanka, brzęknęły, myślałem, że się pobiły, ale nie, tylko tak brzęknęły. A on wstał i krzyknął: „*Ach, ty bandyt z podpólnej organizacji, ty udumał sobie dwa goda!*” Macha ręką i krzyczy: „*Nie dwa i nie wosiem, a kak budziesz żyć, to apiać wosiem, i apiać wosiem!* I twoja mogiła to będzie w archangielskich lasach *pod jołku*, pomnisz moje słowa!” I patrzy się na mnie i mówi: „*Wot Polaki, kakoj to naród! Połuczyl wosiem lat i śmiejotsa, drugoj połuczyl piatnatcat' let, toże śmiejotsa, a trietij połuczyl dwadcat' i toże śmiejotsa! Czto wy za naród, to ja jeszcze nie widział takiego naroda!*”

Później pyta się mnie, czy podpiszę *srok*, to znaczy wyrok. Mówię, że podpiszę i podpisałem. A moje wszystkie protokoły obok leżały na biurku. On wyjął arkusz papieru, coś tam pisał i go złożył i wsadził do paczki opieczutowanej po rogach i na środku, przewiązanej szpagatem.

Ale najgorszy świadek był na mnie - złożona kartka koloru różowego, wielkości naszego dowodu osobistego. Ta kartka oznaczała „szpieg” albo „partyzant”. Była podsadzona pod środkową pieczęć. Taki błąd popełniłem przy odczytaniu wyroku. I już trzeci tydzień po ogłoszonej amnestii dla Polaków, a ja siedzę w izolatorze z bandytami ruskimi. Prowadzą nas codziennie *bojce*, jeden z przodu idzie uzbrojony i z psem wilkiem na smyczy a drugi taki sam idzie z tyłu, też z wilkiem. A my w środku idziemy dwójkami do lasu zrąbywać kłocę i potem je przerąbywać na dwumetrowe kawały, a potem układać w sterty cztery i pół metra, to była norma stuprocentowa. Ja, choć mogłem łatwo zrobić dwie normy, już tylko jedną stawiam. Nie daje mi więcej wyrobić ten głośny wykrzyknik tego sędziego: „Twoja mogiła będzie w archangielskich lasach *pod jolku, pomnisz* moje słowa!” Teraz nie schodzi mi z pamięci ta groźba ani na chwilę. Gdy się położę spać, to usnąć nie mogę. Straciłem apetyt do jedzenia, zjem na przymus. Siły mnie opuszczają. Ale na szczęście stawiam jeszcze te cztery i pół metra normy. Chleba dokupywałem, a teraz już starcza swojego.

W czwartym tygodniu po amnestii myślę, że chyba mnie już nie wypuszczą, że pewnie ta moja mogiła tu będzie *pod jolku*. Zacząłem się gorąco modlić do Boga, do Matki Boskiej i prosiłem o opiekę nad sobą. Pomyślałem, że już teraz to mi nikt nie pomoże. A ja tu długo nie pociągnę. Ale wojna się nie skończyła jeszcze. A może i dla mnie jeszcze coś lepszego się okroi?

Ale wróć jeszcze do chleba i cukru. Chleba to jeszcze odebrałem kawałek, ale szczupam torebkę z cukrem. Jest coś za mało, było jeszcze wieczorem szesnaście kostek, przeliczyłem jest tylko osiem kostek, to znaczy, że złodziej znowu podzielił się ze mną po połowie. Pomyślałem i poszedłem do kapitana Iwana Bykowa poskarżyć się. Wiem, że on tu ma głos, bo najlepiej się przekonałem, jak nas obydwoch wprowadzili do izolatora, jak skoczyli do mnie i zaczęli rewidować, to gdy krzyknął: „*Nie trogajcie jewo! On jest muzyk!*”, to znaczy chłop ze wsi, wszyscy odskoczyli ode mnie.

Poszedłem do niego i mówię: „*Zdrastwujcie, grażdandin* kapitan”. Odpowiedział: „*Zdrastwuj*, Pieńkowski - i pyta się - *czto u tiebia słyszno?*” To ja jemu mówię, że wczorajszej nocy ukradł mi chleb, a dzisiejszej nocy już drugi raz ktoś ukradł mi sachar. On się pyta kto. Mówię, że chleb mi ukradł ten, co nie ma butów i na roboty nie chodzi. A on mówi: „On dostaje tylko dwieście gramów chleba, on jest zawsze głodny, to nic dziwnego,

że on ci chleba ukradł”. Pyta się: „A kto ci ukradł *sachar*?” Mówię, że nie wiem. „A gdzie go miałeś schowany?” Mówię: „Przy sobie, pod pachą”. A on mówi: „Ty tak chowaj, jak tu wszyscy chowają, to ci *nikto niczewo* nie ukradnie”. To ja się pytam: „To jak ja mam chować, żeby mi nie ukradli?” To on mówi: „Od razu co masz, to *skuszaj*, a *nikto* ci nie ukradnie”.

Uśmiechnąłem się z tej rady, to jest prawda, co on mi powiedział, tu nic nie można odkładać na jutro. Dałem mu za tę radę dwie kostki cukru i wróciłem na swoje miejsce i wszystkie sześć kostek cukru od razu zjadłem. Potem poszedłem upomnieć się o chleb, com pożyczył temu z krótszą nogą, co jak kogo osądzili, to on pałką bił. Pytam się go, czy ma chleb dla mnie, co pożyczył temu dwa dni. A on mówi, że nie ma i mówi: „Więcej nie przychodź do mnie po ten chleb, bo ja, co dostanę, to zaraz zjem, a zjadłbym i więcej, gdybym miał”.

Piątego tygodnia po amnestii dla Polaków przychodzi dwóch urzędników z kancelarii z jakimiś papierami i wyczytują wszystkich do czterdziestu pięciu lat na wyjazd do miasta Koźwy, na komisję. I na ostatku wyczytali i moje nazwisko. Wyprowadzili nas z izolatora i mnie każą iść do swoich towarzyszy Polaków.

Przychodzę do dawnego swojego baraku. Nie ma już Franciszka Fryca, co obok mnie spał, nie ma Kowalewskiego, ale do izby chorych nie wpuszczają nikogo. Nic o nim się nie dowiedziałem, tak samo i o Eustachewiczu - adiutancie Śmigłego-Rydza, nikt nic nie wiedział. Zostałem tylko ze znajomych Józefa Iwanowskiego, co razem pracowaliśmy na inspektach, Bosowskiego - podporucznika z Łomży, Witkowskiego - porucznika ze Stanisławowa, Kuncewicza, który nam grywał na mandolinie od czasu do czasu w świetlicy i sierżanta Koniecznego. Dużo jeszcze Polaków było, ale nieznanym mnie. Razem jeszcze było około stu pięćdziesięciu samych Polaków.

Witkowski opowiedział mi, jak zmarł Chodnicki Piotr z Jedwabnego, mój dobry znajomy sprzed wojny. Razem kupowaliśmy towary do swoich sklepów. On miał duży sklep spożywczo-kolonialny w Jedwabnem, a ja tak samo duży sklep spożywczo-kolonialny i galanteryjny oraz wszystkie przybory krawieckie i szewskie i drobniejsze różne żelastwo, jak gwoździe, łańcuchy, hacele i inne różne nadające się dla rolnictwa w Drozdowie. Chodnickiemu zrobił stolarz, jeden z Polaków, trumnę z desek, co tam się tego nie praktykowało. Głębokiego dołu wykopać nie było można, bo już po jednym metrze głębokości jest ziemia zmarznięta wiecznie i nigdy nie odmarza.

Obok Chodnickiego spał Bosowski. Powiedział, że na dwa dni przed śmiercią Chodnicki jeszcze pomału poszedł do lekarza i prosił, żeby mu dali chociaż dwa dni

zwolnienia od pracy, bo już iść nie może. Ale zwolnienia nie dostał, poszedł, położył się i na trzeci dzień zmarł.

Do roboty już z Polaków mało kto chodził. Zebraliśmy się u porucznika Witkowskiego - podporucznik Bosowski, sierżant Konieczny, Józef Iwanowski i paru innych i ja. Naradzamy się, co dalej nam wypada robić. Nie odsyłają nas do Koźwy, tam podobno dadzą nam dokumenty, ale my tu nic nie wiemy. Ja mówię: „Najprzód pójdziem na cmentarz, obszykujem mogiłę Chodnickiego i zrobimy z brzożowych drążków ogrodzenie i postawimy z grubej brzoży krzyż”. Do cmentarza było nie tak daleko, około jednego kilometra. Ale co to był za cmentarz! Ani jednej mogiły nie było widać, a zamiast mogiły to tylko był dołek pomiędzy krzakami i ziemia nawet niepełna w tym dołku. A z niektórego to wychodził śwąd, bo był mało zasypany. Zgoda, na razie idziemy na cmentarz. Wzięliśmy dwie siekiery i idziemy. Witkowski idzie pierwszy, a my za nim. Po półgodzinnym marszu jesteśmy już na miejscu, przy mogile Chodnickiego.

Najprzód tośmy się pomodlili za świętej pamięci duszę Piotra Chodnickiego. Mogiła była obłożona darniną po bokach i nawet dość szeroko, tylko jeszcze trzeba było poprawić ułożenie tej darniny i w wyższej połowie też z darniny ułożyć krzyż. Ja mówię: „Ja z Iwanowskim się tym zajmę, a wy idźcie w dwóch grupach szukać jednej brzoży na sześć słupków i cieńszych brzożek na ogrodzenie mogiły”. Zeszło nam ze dwie godziny, już było sześć słupków i na ogrodzenie brzożki cieńsze. My z Iwanowskim też kończyliśmy, znaleźliśmy dość ładną murawę, z której zrobiliśmy ładny krzyż na mogile. Teraz umawiamy się na jutro, jeden pójdzie do stolarza, co zrobił trumnę. Niech on ohebluje kawałek deski, a ołówek to na pewno on tam ma. Niech na desce napisze „św. p. Piotr Chodnicki z Jedwabnego, zmarł 20 V 1941 r. Cześć jego pamięci”.

Drugi zmarł Polak z Ostrołęki, młody podchorąży lat około dwudziestu pięciu, nazwiska jego nie wiedziałem i mogiły jego nie znaleźlim. Na drugi dzień zebraliśmy się rano. Jeden poszedł do stolarza za deską i gwoździami. Stolarz jeszcze pracował, chociaż już dawno było po amnestii. Zaraz znalazł kawałek deski, oheblował i wypisał, tak jak miał napisane na kartce, gwoździ też dał. Gdy już mieliśmy wszystko, poszliśmy na cmentarz, ale zeszło nam długo, zanim znaleźliśmy grubą brzożę na krzyż, bo trzeba było znaleźć taką, żeby była gruba i prosta. No i znaleźliśmy taką. Pożyczyliśmy piłę od stolarza, to już zrobiliśmy ładnie wszystko. Najprzód postawiliśmy krzyż dwa metry wysoki z przybitą deską i na niej było napisane imię, nazwisko, skąd i data śmierci i cześć jego pamięci.

Ogrodzenie zrobiliśmy tak: cztery słupki grubsze po rogach i dwa słupki cieńsze pośrodku. Potem przybiliśmy po cztery zgrabne brzożowe drążki po bokach i już nic tu nie



mieliśmy do zrobienia. Jeszcze raz pomodliliśmy się za dusze św.p. Piotra Chodnickiego i św. p. podchorążego, nazwiska jego nie znamy, tylko wiedzieliśmy, że on był z Ostrołęki.

Gdy wróciłem, porucznik Witkowski mówi: „W moim baraku jeszcze nie ma nikogo, chodźcie do mnie, to porozmawiamy. Już zeszedł cały tydzień, a oni nas nie odsyłają do Koźwy. A tam mamy otrzymać dokumenta wolności i podobnie, gdzie kto zechce jechać, to oni nam dadzą tam skierowanie. Teraz nic nie wiemy, co się dzieje na froncie. Czy Niemcy już zdobyli Moskwę, czy idą dalej? To jest dla nas bardzo ważne. Gdyby się tak stało, to my tu siedzieć nie będziemy. Ja myślę - mówi dalej Witkowski - że jak Moskwa jest już zdobyta, to, moim zdaniem, my rozbroimy posterunek bojców. Z magazynu nabierzem żywności, karabiny i naboje i pójdziem do Koźwy. Tam naszych Polaków będzie dużo, a *bojców* będzie mało, bo tam ich dużo nie potrzeba. Na razie cicho sza, nikt więcej nie może wiedzieć, o czym my tu dziś rozmawiali. Zobaczmy, co będzie dalej” i rozeszliśmy się, każdy do swego baraku.

Na drugi dzień przyszedł statek parowy, przywiózł różne towary i dali nam znać, że dziś tym statkiem odjedziemy do Koźwy. No i prosili nas, żebyśmy pomogli go wyładować, to wcześniej pojedziemy, na co my się chętnie zgodziliśmy. I w dwie godziny później już jechaliśmy wszyscy Polacy do Koźwy po dokumenta wolności.

Przyjechaliśmy nad wieczorem. Zakwaterowali nas w barakach i powiedzieli, że będą nas zawiadamiać, kiedy przychodzić do kancelarii po dokumenta. W Koźwie już było parę tysięcy ludzi. Dużo było całych rodzin z dziećmi, a mężczyzn i starych, i młodych, w różnym wieku było bardzo dużo.

Ale z tymi dokumentami też nie było łatwo. Wywoływali na dzień dziesięciu, czasem piętnastu, a nieraz tylko pięciu czy ośmiu, różnie to było. Trzeba czekać nieraz kilkanaście dni. Ja chodziłem bardzo zamyślony. Nie wiedziałem, czy oni tu będą badać, czy tylko jakieś zapytania będą. I tak całe dni myślałem, żeby tu znowu jakiegoś słowa głupiego nie powiedzieć, jak w Mińsku przy ogłoszeniu mi wyroku przez sędziego. Powiedziałem mu, że ja myślę u nich siedzieć tylko dwa lata. Musiałem za te słowa dużo odcierpieć, szczególnie w izolatorze już po ogłoszeniu amnestii dla Polaków.

Po paru dniach oczekiwania przyszła kolej na mnie. Przyszedł urzędnik z kancelarii i odczytał moje nazwisko i powiedział: „*Pajdziom po dokument, wot tam*” i pokazał nieduży budynek palcem. Ja już byłem zdecydowany dostać się do wojska polskiego, tylko nie jestem pewny, czy mnie skierują.

Wchodzę do tego budynku. Drzwi były otwarte, stało tam biurko, przed biurkiem stało krzesło i za biurkiem na krześle siedział starszy, już łysy, tylko po bokach głowy miał

włosy. Był porządnie ubrany, w krawacie, mało tam się takiego spotykało. Gdy szło się na śledztwo, zawsze musowo było powiedzieć „*zdrastujcie grażdananin śledowaciel*”. Mało kiedy odmówił „*zdrastuwj*”, przeważnie obrugał i nawyzywał i dopiero kazał siadać na taborku i ręce kłaść na kolana. A jak się szło do naczelnika, to samo się mówiło, a jak do sędziego, to tak samo się mówiło.

Spojrzałem, że on był tak ładnie ubrany, to trzeba go nazwać sędzią i mówię: „*Zdrastujcie grażdananin sędzia*”. On się uśmiechnął i mówi: „Proszu, siadajcie”. Usiadłem, patrzę, na biurku leżą moje protokoły ze śledztwa, tak jak były dawniej szpagatem obwiązane i opieczętowane po rogach i na środku, a pod tą pieczęcią jest podsadzona różowa kartka, która oznacza „szpieg”, albo „partyzant”.

Urzędnik pyta się mnie: „*Kak zwać?*” Mówię, że Pieńkowski Aleksander Mateuszewicz. „*A kuda ty chcesz jechać?* Może masz tu familię, to daj adres, to ja wydam dokument i pojedziesz do familii. A jak nie masz familii, to może masz gdzie znajomych. A może chcesz po zawodzie pracować, to ja cię tam skieruję i będziesz pracować po zawodzie”. A ja jemu mówię: „*Grażdananin sudzia, ja choczju jechać do polskiej armii*”. A on się pyta: „*A kogo ty chcesz bić?*” A ja jemu mówię: „*To czto, wy nie znajecie kogo? Germanca, to jest nasz wróg*”. A on się pyta: „*A czto my dla ciebie?*” No, zadał mi takie pytanie, że ja nic nie odpowiedziałem, bo mnie nic nie pasuje. Powiedzieć „przyjaciel” to będzie, że ja go chce oszukać, bo on obejrzał się w stronę moich papierów i ta różowa legitymacja oznacza, kim oni dla mnie są. Powiedzieć oni są wrogi, to on może się rozgniewać i nie da mi papierów do wojska.

Gdy on się pyta drugi raz: „*No to czto my dla ciebie, gawaryj!*” Jak błyskawica w głowie mi się przewraca i mówię: „*Wy toże wróg, ale nie taki kak Germaniec*”. A on się pyta: „*A dlaczego nie taki kak Germaniec?*” A ja jemu mówię: „*Znajecie, czto by nie Germaniec, to ja bym tu u was nie był*”. On chwilę pomyślał i mówi: „*Ty prawilno gawarysz. Charaszo. Poluczysz dokument w armiu i bij, job ich mać, Germanców!*”

I zaraz wziął papier drukowany, wypełnił go i powiedział: „*Jedzij do polskiej armii bić Germanca*”. Ja odpowiedziałem: „*Charaszo, dziękuję wam!*” Za parę dni do wojska zapisało się czterdziestu dwóch ochotników. Obraliśmy sobie komendanta wagonu, bo dali nam wagon oddzielny i piecyk żelazny i toporek do cięcia drzewa, którego dużo nacielim do wagonu. Komendantem obraliśmy Paśkiewicza z okolic Wilna, a całego transportu był porucznik Podczasiak. Przyszedł urzędnik z kancelarii, wyczytał tych czterdziestu dwóch, co się zapisałem do wojska i poprowadził nas do banku. Tam wypłacili nam po sto pięćdziesiąt rubli na każdego, miało tego starczyć na dziesięć dni do Buzułuku i mieliśmy tam już

zajechać. Bilety kosztowały sześćdziesiąt pięć rubli od osoby. Ja przed wyjazdem z Kedrowego Szoru też odebrałem dwadzieścia osiem rubli, które miałem zarobione ponad plan. W ostatniej chwili upomniałem się i mnie wypłacili. Poza tem zaprowiantowali nas też na dziesięć dni. Ten sam, co nas zaprowadził po pieniądze, potem zaprowadził nas do *larka*, w którym kupiliśmy po dwa i pół kg chleba, po dwa i pół kilo sucharów, po dwa kilo śledzi, po dwadzieścia pięć deka masła i margaryny i pięć pudełek papierosów, po dwadzieścia sztuk w każdym. Był to specjalny *larok* dla odjeżdżających do wojska. Po zakupieniu wszystkiego na pięć dni, od razu poszliśmy na stację kolejow, do której było trzy kilometry.

Wchodzimy tam, a tu ludzi pełno, jedni siedzą, inni leżą i śpią na glinianej podłodze i na ławkach i jest nawet trudno się ruszyć. Tak pomału przeszliśmy całą stację, że może gdzieś będzie luźniej się zatrzymać, czy chociaż gdzieś się oprzeć o ścianę. Ale gdzie tam, wszędzie jest pełno. Drapią się, a inni tylko ramionami ruszają, w podartych łachmanach przeważnie, może jedna trzecia była możliwie ubrana. W Koźwie mówili nam, że tam dadzą nam wszystko nowe, ale nikomu nic nie dali. Prawda, że ja dostałem nowy buszłak, ale zamieniłem go na chleb i dostałem stary za dwa bochenki chleba. Ale i ten nie był łątany, tylko zabrudzony, a mnie było wszystko jedno, aby się najeść, bo najgorszy był głód. Ja na stacji zamieniłem dwie paczki papierosów na dwa bochenki chleba.

Dopiero trzeciego dnia przyszedł pociąg do Koźwy i na wieczór nim odjechali na południe w stronę Kirowa. Pociąg był bardzo długi, chyba było ze czterdzieści wagonów. Jechali Polacy, jechali Ukraińcy, a najwięcej Żydów z rodzinami, chociaż i Polaków z rodzinami było bardzo dużo.

W Kirowie doczepili parę wagonów, też przeważnie z Polakami i Żydami. Na drugim torze stał pociąg, który szedł w przeciwną stronę do Koźwy z rodzinami ruskimi, oficerowie z żonami i niektórymi z dziećmi. Pewnie dopełniali miejsca, które my opuścili.

Było to 21 października 1941 r. Z Kirowa jedziemy do Świerdłowska. W tym mieście w czasie rewolucji bolszewicy zamordowali cara i całą jego rodzinę. Ładne to było miasto, dosyć czyste i duże. Komendantem wagonu był Paszkiewicz z Wilna, za cara mieszkał w Rosji i był na pociągu towarowym maszynistą. Mówił po rosyjsku bardzo dobrze, tak jak i po polsku. W czasie rewolucji przeprowadził się do Wilna, potem został aresztowany i osądzony na dziesięć lat łagrów w archangielskich lasach.

Mniej więcej przed miastem Świerdłowskiem w połowie drogi zatrzymuje się nasz pociąg w małym mieście. Nasz komendant wyszedł i niedługo wrócił do wagonu i mówi: „Dawajcie dokumenty, bo tu mamy dostać chleb”. I mówi, że tu to pewnie będziemy stać

dłużej. Wziął dwóch ludzi i worek i poszli po chleb. Ja też wyszedłem z wagonu i za mną wyszedł młody chłopak z za Jedwabnego. Dopytałem się, że tu można kupić na bazarze dwa kilo podgardla. Była tam duża kolejka, ale poszedłem wprost do wagi. Krzyczały na mnie kobiety: „*Oczередź, очередź!*”, ale rzeźnik złapał od razu podgardle, zważył. Zapłaciłem, ile chciał. Wróciłem i szukam swego pociągu, ale już odszedł. Tego chłopaka zostawiłem, gdy poszedłem na bazar, żeby tu czekał, aż ja wrócę. Ale chłopaka też nie było tam, gdzie go zostawiłem. Myślę sobie: „Może poszedł do naszego pociągu i wsiadł do swojego wagonu i pojechał”. Ale dla pewności poszedłem ulicą w jedną stronę jakieś sto metrów. Ludzi idzie pełno, jedni w tę stronę, drudzy w przeciwną, ale najwięcej to tych ludzi z łągrów.

Przyglądam się, czy jakiegoś znajomego nie zobaczę, ale nie widziałem. Wracam z powrotem i znowu idę i szukam tego chłopaka. Doszedłem do tunelu. Przeszedłem tym tunelem na drugą ulicę, ale się przyglądam, bo w tym tunelu to ludzie jedni w tę stronę, drudzy w przeciwną, jak pszczoł w ulu, ale znajomych nie spotkałem. Idę tą ulicą, a przy słupie stoi ten chłopak i płacze, łzy ociera i mówi: „Już myślałem, że i pana więcej nie zobaczę”.

Za miastem idziemy obydwaj w stronę Świerdłowska. Stoi jakiś pociąg, jakieś dwa kilometry od tego miasta. Mówię: „Pójdziem do tego pociągu. Może to nasz pociąg”. I idziemy torem kolejowym, nie wiedząc, że torem nie wolno chodzić. A od tego pociągu idzie dwóch *strelków* z karabinami na ramionach. Jeden był jakiś starszy i krzyknął: „*Stojat!*” Ustalim. On mówi, żeby pokazać dokumenty. Ja mówię: „My swoje dokumenty oddalim komendantowi wagonu. On poszedł po chleb dla całego wagonu pobrać”. „A gdzie wasz pociąg stoi?” Ja mówię, że już odszedł. Może to ten, co tam stoi, my do niego szlim zobaczyć. On mówi, że w tym pociągu nie ma ludzi, bo to pociąg towarowy.

„A co wy za jedni? Skąd przyjechaliście?” Ja mówię, że my jesteśmy Polacy i jedziemy do polskiej armii. „No to pójdziem do miasta i tam sprawdzim”. I potem mówi: „A wiecie, że po torze kolejowym nie wolno chodzić?” Ja mówię, że my nie wiedzielim. „No to się zaraz dowiecie”.

Już jesteśmy z powrotem w mieście. Idziemy ulicą. Naprzeciw nam idzie znowu dwóch enkawudzistów z psem i zatrzymują nas. Ci, co nas zawrócili, mówią im, że szlim torem kolejowym i oni nas prowadzą do swego zarządu, bo oni nie mają *udostowierenyj /dokumentów/*. Ci znowu nas się pytają, cośmy za jedni. Ja powiadam: „Jesteśmy Polacy zwolnieni z łągrów. Nasz pociąg odszedł, gdyśmy poszli do miasta coś kupić. Ja kupiłem mięsa. A my jedziemy do polskiej armii bić *Germańca*”.

Jeden z tych enkawudzistów powiedział im, żeby nas zaprowadzili na jakąś ulicę i że tam jest dom dla przejeżdżających Polaków z łagrów, to tam się nami zaopiekują. Gdyśmy już weszli do tego domu, ci, co nas przyprowadzili, zaraz odeszli. Ja zaraz się zameldowałem. Dostaliśmy kartki na bezpłatny obiad. Zjedliśmy i myślę: „No dobrze, ale co z dokumentami? Bez nich nie dadzą chleba ani jakiegoś obiadu, a nawet mogą nas zatrzymać gdzieś na stacji”. Więc radzę się tam, co ja mam robić.

Przez ulicę był jakiś urząd, więc mówią mi, żeby tam poszedł, to może nam dadzą jakieś dokumenty do miasta Świerdłowska, bo tam nasz pociąg odszedł. Weszliśmy do tego urzędu, powiedziałem *zdrastwujcie*, odpowiedzieli i ja znowu powiedziałem, jak było i proszę o jakiś dokument.

Wysłuchał mnie sam naczelnik i powiada tak: „Wam nic nie trzeba żadnych dokumentów, tylko idźcie na stację i jak będzie pierwszy pociąg szedł na Świerdłowsk, to siadać do niego i jechać szukać swojego pociągu. Poszlim na stację i czekamy. Do wieczora żaden pociąg nie szedł. Wieczorem przyszedł pociąg na drugi tor, wagony kryte, pozamykane na plomby i był tam doczepiony jeden pociąg sanitarny, ale nim nie wolno jechać cywilom. Chodzimy i czekamy, kiedy on będzie odchodził, to my na schodki wskoczym i pojedziemy. I tak zrobiłem. Jechalim całą noc, on na jednym schodku, a ja na drugim. Tak dojechalim do Świerdłowska. Gdy tylko pociąg się zatrzymał, zaraz wyszedł z niego sanitariusz, a my też tylko ze schodków zeszlیم. On zobaczył i dalej nas rugać, że nie wolno tym było jechać. I mówi: „Uciekajcie, żeby komendant nie zobaczył, bo by was mógł zaaresztować!”

My nie zwlekając poszlim szukać swego pociągu. A jeść się chce, aż coś w środku ściska. Na stacji nic kupić nie można, pociągów jest kilkanaście, ale naszego nie ma. Idziemy do dyżurnego ruchu, pytamy się, czy taki pociąg był już z Koźwy. I mówię numer tego pociągu. On mówi, że nie wie, czy taki był. To ja się pytam, kto wie. On mówi: „Ten będzie wiedział, co chorągiewką macha na odjazd pociągu”. Z godzinę go szukamy i nie widać takiego z chorągiewką. Stoimy i patrzymy, czy gdzie się nie pokaże. Jak raz pokazał się, idziemy do niego i pytamy się, czy był taki pociąg z Koźwy. On mówi: „Były z Koźwy pociągi, ale ja na numery nie patrzę i nie wiem, czy już taki poszedł”.

Pytam się jego, gdzie tu by można coś kupić do jedzenia. Powiada: „Tu blisko stacji to już wszystko wykupili, ale idźcie tą ulicą jakieś dwieście metrów. Tam jest hotel Kołchoźnika, tam sobie kupicie”. Poszlim i znaleźlim ten dom Kołchoźnika. Zachodzimy. Sala dość duża, stolików ze dwadzieścia, przy nich taborki do siedzenia. Zaraz przy wejściu na prawo stoi bufet, a za nim stoi bufetowy w białym fartuchu. Ale na tym bufecie nic nie

widać do jedzenia. Przy niektórych stolikach siedzą ludzie, ale nic nie jedzą, tylko próżne kubki przy nich na stole stoją.

Podchodzę do bufetu i pytam się, czy można kupić coś do jedzenia. On powiada, że do jedzenia to już nie ma nic, tylko jest *kipiatok*. *Bolsze nicziewo niet, bo uże prodali*. Mówię: „Cztery kubki tego *kipiatku*, choć się rozgrzejem tym *kipiatkom*”. Miał bloczek, napisał: cztery kubki *kipiatku*. Dwa ruble zapłaciłem. Obok bufetu były drzwi. Dał ten kawałek kartki i pokazuje te drzwi i mówi, żeby tam iść. Idziemy. Była dość duża kuchnia i w niej trzy kobiety w białych fartuchach, ale już dość brudnych. Na kuchni gotował się w trzech kociołkach ten *kipiatok*. Jedna kobieta złapała za czerpak i nalała cztery kubki, dwa sama wzięła, a nam każe te drugie dwa brać i otwiera drzwi. Wychodzimy na salę, do stolika. Postawiła i odchodzi. A ja jej mówię: „A gdzie cukier?” Ona nie zrozumiała, bo po rusku to *sachar*. Mówię: „*Dawajcie sachar!*” Ona ramionami ruszyła i mówi, że nie ma *sacharu* i poszła.

Rozgrzać to my się dobrze rozgrzali, ale jeść się chce. Idziemy z powrotem do stacji. Przyszliśmy do tego tunelu i po schodach wyszliśmy na ulicę przy stacji. Idziemy tą ulicą w stronę, gdzie naprzeciw stoi duży pociąg. Może podeszliśmy jakieś czterdzieści metrów, a naprzeciw nas idzie trzech z naszego wagonu. Ja ich pytam, czy i oni się zostali, tak jak my, a pociąg poszedł. A oni mówią: „My dopiero przyjechali. Nasz pociąg stoi czwarty od stacji”.

My się bardzo ucieszyliśmy. Może tam jest chleb dla nas? A naprzeciw idzie znowu nasz komendant porucznik Podczasiak. Ja pytam się, czy jest chleb dla nas i czy są nasze dokumenty. On powiada, że oddali do naszego wagonu chleb i razem dokumenty. Przychodzimy do swego wagonu. Ja zaraz wody do kociołka nalałem, kawałek podgardla urznałem, a on już swój chleb wtrącał, aż mu się uszy trzęsły. Ja też wzięłem się za wtrącanie chleba. Trochę podjadłem, ogień rozpałem i podgardle gotuję. Wszyscy się patrzą, ja jeszcze połowę chleba miałem. Jak już podgardle było trochę miękkie, wyjąłem i mały kawałek podgardla dałem temu, co ze mną chodził. Ale on już chleb zjadł, to tylko zakąsił i palce oblizywał. Ukroiłem kawałek i dałem Paszkiewiczowi, naszemu komendantowi wagonu. Podziękował mi i powiedział; „Ja panu oddam, jak będę miał”. Tego dnia nie odjechalim, na obiad dostalim po czerpaku makaronu okraszonego olejem.

Na wieczór mamy dostać chleb po dziewięćset gramów. We trzech poszli z workami w kolejkę, która już była bardzo długa. Chleb przynieśli i w nocy odjechalim. Do chleba prawie wszyscy gotowali sobie wodę. Ja miałem dwulitrowy kociołek miedziany, to kto nie miał żadnego naczynia, to gotował w moim kociołku. Inni mieli kubki, to w nich gotowali

sobie, inni zagrzali, aby ciepła woda była, to taką pili. Ja jeszcze miałem do chleba podgardle, gotowaną wodą popiłem i położyłem się spać.

Przyjechalim do jakiegoś większego miasta. Komendant Paszkiewicz poszedł się dowiedzieć, czy dostaniemy chleb, ale wrócił i powiedział, że tu nie dostaniemy, tylko w następnym mieście. Dostaniemy tam i obiad, jak będzie, bo dużo długich pociągów przejeżdża, więc może i zabraknąć. No, jest nadzieja, może i natrafimy i my na obiad i chleb, to się najemy.

Czekamy z niecierpliwością żeby jak najprędzej jechać, a tu jak na złość nie jedziemy. O godzinie dopiero dwunastej w południe jedziemy dalej. Po trzech godzinach przyjechalim do jakiegoś miasta. Komendant całego transportu porucznik Podczasiak zaraz poinformował się, gdzie dostaniemy obiad i chleb. No i dostalim chleb i poszlim na obiad do jadłodajni. Podali nam do stolików kaszę z kukurydzy, dość dobra była, bo się jeść bardzo chciało. Na wieczór poszlim do tej samej sali na *kipiatok*, dostalim po czerpaku czystej gotowanej wody i wrócilim do swego wagonu. Zapasy żywnościowe wszystkim się wyczerpały, w wagonie prócz mnie byli wszyscy głodni. Mnie podtrzymywało to podgardle, ale też już się kończyło.

Rano pociąg nasz ruszył i dojechaliśmy do Uzbekistanu. Zatrzymaliśmy się przed Taszkientem w małym mieście i tu nam nic nie dają, ni chleba, ni obiadu. Powiedzieli, że dostaniemy w Taszkencie. Cały dzień pociąg stał na stacji. Prawie z wszystkich wagonów powychodzili ludzie. I kobiety, i dzieci, i mężczyźni oglądają się, czyby gdzie można było coś ukraść, bo kupić nie było za co. Zresztą i do kupienia też nic nie było. Pociągów na każdej stacji stoi po kilka, to z rana kto miał pieniądze, to coś kupił.

Nad ranem lokomotywa gwizdnęła i jedziem, już mówią, że do Taszkientu, a tam w nim mamy dostać wszystko - obiad, chleb i dla tych, co jadą do wojska, zasilek pieniężny. Przyjechalim przed południem. Komendant całego pociągu Podczasiak zaraz poszedł po urzędach dowiedzieć się, gdzie mamy co dostać, wrócił dopiero po pół godziny. Najprzód otrzymaliśmy chleb po dziewięćset gramów, potem zaprowadził nas do stołowej na obiad. Był bardzo dobry makaron, dość gęsty i od oliwy aż żółty po wierzchu. Każdy zjadł ze smakiem. Tylko że wczoraj obiadu nie jedlim, to dziś tylko zjedlim i zaraz znowu byśmy drugi taki zjedli, bo jeść się chce.

Za godzinę przyniósł do naszego wagonu zasilek po dziesięć rubli dla całego transportu, a całe rodziny po dwadzieścia rubli, ale za te dziesięć rubli to można było kupić kilo chleba i to od złodziei handlarzy.

Każdy Polak po amnestii dostał dokument nazywany *udostowierenja*. Za tym *udostrowiernjem*, gdzie zastał chleb w tak zwanych *larkach* i pokazaniu go, mógł kupić kilo chleba. Toteż trzeba było być bardzo ostrożnym, żeby go nie stracić albo żeby jakiś złodziej nie ukradł. A i trafiali się kupcy, co chcieli kupić od Polaków takie papiery. A byli znowu tacy, co chcieli sprzedać swoje *udostowierenja*, bo w każdym dużym mieście były takie polskie placówki. To jak się tam do nich kto zgłosił i powiedział, że mu ukradli, to wydawali. Albo kto zgubił, to też wydawali i nieraz po parę rubli zapomogi dawali. W Taszkencie były takie pogłoski, że już do polskiego wojska nie przyjmują na razie i okazało się, że jest to prawda, bo zamiast jechać do Buzułuku, tam gdzie nasze wojsko polskie się organizowało, cały transport skierowali do Kakantu.

Po paru dniach podróży wszyscy byliśmy bez pieniędzy i bez żywności. Przed Kakantem zatrzymał się pociąg na stacji. Zaczynało się już ściemniać, zaczął popadywać śnieg. Siedzą wszyscy głodni i smutni. A był między nami Edward Ryk z Łodzi, chudy, miał lat dziewiętnaście. Bierze i wysiada na tej stacji i poszedł wzdłuż wagonów. Za jakieś pół godziny wrócił, wlaź do wagonu, wziął toporek od rąbania drzewa i powiada: „Panowie, ja jestem za młody, żebym miał umrzeć z głodu. Idziem kraść. Kto pójdzie ze mną?” Pierwszy wstał ten młody chłopak Antek zza Jedwabnego, ten cośmy zostali się, a pociąg nasz odszedł, nazwiska jego nie pamiętam.

Wyskoczyli z wagonu i od razu poszli przez to, na którym stał pociąg towarowy. Jak oni wyszli, to my drzwi zasunęliśmy, bo zimny wiatr ze śniegiem padał. Ale ja co jakiś czas to odsuwam tę połowę drzwi i wyglądam, czy nie idą i czy czego nie niosą na plecach. Ale już kilka razy wyjrzałem i nic nie widać, tylko śnieg pada. Za parę minut znowu wyglądam, ale patrzę, idą i na plecach niosą jakieś worki. Mówię: „Idą i niosą na plecach worki”.

Wszyscy posiadali, a ja mówię: „Jeden do mnie!” Odsunęliśmy więcej tę połowę drzwi. Ja stoję z jednej strony, a ten stoi z drugiej strony. Jak tylko oni podeszli do wagonu, ja złapałem za worek i wciągnąłem do środka, drugi to samo zrobił i zaraz zasunęliśmy drzwi. I się patrzę - obydwa worki papierowe. U nas w Polsce to w papierowych workach to tylko był cement. Myślę sobie: „Pewnie cementu przynieśli”. Ale zaraz jeden worek poszczupałem – twardy. Mówię: „To będzie cement”. Ale odpruwają z wierzchu jeden worek, patrzę rodzynki, tak były skawalone jak cement. Ryk mówi: „Kto ma taki większy kubek, to niech da”. Jeden podał blaszany kubek trzy czwarte litra. Antek te rodzynki rozdłubywał, a Ryk kubkiem dzielił, każdemu po jednym kubku. Obdzielił wszystkich tylko jednym workiem, a drugi cały nienaruszony został.



W trzecim wagonie z tyłu od nas jechali sami Żydzi, przeważnie bogaci, mieli pieniądze. Ale Ryk, chociaż młody chłopak, był cwaniakiem. Wziął w kubek tych rodzynek i poszedł do tych Żydów sprzedawać. A te Żydki to były całe rodziny i z dziećmi. Jak zobaczyli, to zaraz jeden kupił od niego te rodzynki. Ale wszyscy chcieli kupić tych rodzyneków, to on im powiedział, że jeszcze przyniesie. Przyszedł, otworzyli drugi worek i z tym Antkiem, co z nim razem ukradli, zaczęli rozdrabiać i sypać do tego już próżnego worka. Gdy nasypali pół worka, Ryk kubek też do worka włożył, worek z rodzynekami pod pachę i poszedł do wagonu Żydów. Za pół godziny wrócił. Miał na sobie taką lichą bluzę z czterema kieszeniami, to w jednej górnej kieszeni miał rubli papierowych, aż mu ta kieszeń odstawała.

W nocy, mogła być godzina jedenasta, nasz pociąg gwizdnął i zaraz jechalim gdzieś w stronę miasta Kakantu. Zajechalim aż na godzinę dziesiątą w dzień. Każdy jest głodny, a tu nic nie dają, bo już trzy pociągi stoją drugą dobę. To już oni chleb dostali i więcej nie ma, a obiad to może dostaniem, ale oni dostaną wpród, a my jak starczy.

Ryk znowu po kubku rodzynek dał każdemu z nas. Ale to głodu nie zaspokoilo, tylko smak pozostał w ustach i wspomnienie, że już minęło dwa lata, jak przed wojną na każde święta miał w domu placki z rodzynekami.

Rano dojechalim do jakiegoś mniejszego miasta, chleb otrzymalim, wody wiadro przynieśli, chleb każdy zjadł i popijał czystą zimną wodą, bo nie było drzewa i już jedziem dalej. Przed wieczorem dojechalim do dużego miasta. Na stacji był ruch, tłumy ludzi, jedni idą w tę stronę, inni w przeciwną.

Na stacji stało kilkanaście pociągów osobowych i towarowych. Ryk poszedł się przejść po stacji, powęszyć i obejrzeć, co by się dało wieczorem albo w nocy ukraść. Gdy wrócił, to podszedł do Antka i coś mu powiedział, Antek kiwnął mu głową i Ryk odszedł od niego. Pociąg stał i stał do wieczora. Gdy się już dobrze ściemniło, Ryk toporek wziął do ręki, Antek podszedł do niego, ale już i trzeci młody chłopak podszedł do Ryka i mówi: „I ja pójdę z wami”. Ryk powiada: „No to chodź!”

Wyskoczyli z wagonu, Ryk toporek schował pod bluzę i poszli. Wszyscy czekamy, co oni przyniosą, czy im się coś uda ukraść. Przecież wagony, jak się w nich coś wiezie, to są zamknięte i plomby wiszą. To nie jest taka łatwa sprawa.

Czekamy już chyba z godzinę, nic nie widać. Ani ich, ani nikogo. Ciemno, a u nas drzwi uchylone, tylko coraz to wyglądasz, czy nie idą. Jeszcze zeszło około godziny, ja wyjrzałem i widzę - idą i przez uchylone głowy widać worki na plecach. Ja zawołałem: „Jeden do mnie, bo idą i niosą jakieś worki na plecach!” Jeden się zerwał, drzwi odsunęlim

szerzej i gdy oni tylko podeszli do wagonu, ja złapałem jeden worek, wciągnąłem go do wagonu, tamten wciągnął drugi worek, potem trzeci i drzwi zsunęliśmy.

Każdemu się lżej na duszy zrobiło, zawsze się coś dostanie. Ale na razie wszyscy się uciszeli, bo może będą szukać, to jak usłyszą mowę, to zaraz każą otwierać drzwi. Ale jakoś do rana jest normalnie. Ludzie chodzą, rozmawiają, a my drzwi uchylili, aby trochę światła było. Ryk pyta się: „Kto ma miskę, niech da”. Jeden podał miskę, mogło w nią więcej wejść jak kilogram. Worek już rozwiązali i Ryk każdemu zaczerpnął pełną miskę mąki i z tego jednego worka obdzielił wszystkich, czterdziestu dwóch nas jechało w tym wagonie.

Każdy miał jakąś torbę. Ja miałem torbę z domu, co mi przyniósł do samochodu, gdy byłem już aresztowany mój syn Zbyszek, w niej wędzone podgardle i chleb. Mogło w nią wejść i z dziesięć kilo. Ale co z mąką robić? Jest woda, ale nie ma drzewa, bo się nie postaralim. Ale pomału, to po kawałku to ten przyniósł, to drugi w kieszeni kawałek węgla. Na dużej stacji to można było coś znaleźć.

Ryk poszedł do wagonu Żydów i jeden worek mąki im sprzedał, a trzeci worek jeszcze rozdzielił nam. Drzewa się nasi postarali, już się w piecyku pali. Ja w kociołku już gotuję kluchy, inni dokoła kociołka pieką sobie kołaczki. I tak cały dzień gotowaliśmy i piekliśmy. I jeszcze na drugi dzień zostało po trochu mąki. Każdemu się trochę na duszy lżej zrobiło.

Przed wieczorem lokomotywa gwizdnęła raz i drugi, znowu jedziemy dalej. Pociąg skierowali do Farabu, tam mamy dostać chleb i obiad. Przyjechalim do tego Farabu na godzinę dziewiątą rano. Komendant pociągu Podczasiak poszedł się dowiedzieć o chleb i obiad. Gdy wrócił, zaraz poszedł po wagonach i powiedział, żeby z każdego wagonu dwóch ludzi zebrało dokumenty i poszło po chleb z workami zająć kolejkę. „I ja tam też będę, obiad mamy tu dostać w stołowej”. Zaraz od nas z dokumentami poszło dwóch po chleb do piekarni i po dziewięćset gramów chleba. Dostali i przynieśli, rozdali i poszli prawie wszyscy z naczyniami, jakie kto miał, po obiad. Ale wszędzie za kolejką i to nieraz bardzo długą.

Ryk poszedł wzdłuż wagonów z myślą, że jak będziemy stać do wieczora, to może w nocy da coś się zwęździć. Dokument i menażkę na obiad dał Antkowi, żeby mu przyniósł. Pociągów na stacji stało trzy z ludźmi i jeden towarowy, który był pozamykany na kłódki i na kilku wisiały plomby.

Obiad dostalim aż nad wieczorem. Po kolacji Ryk podszedł do Antka i coś walnie długo rozmawiali, pewnie na rajzę w nocy się umawiali. Wieczorem dwa pociągi z ludźmi odeszły, towarowy jeden został. W nocy Ryk obudził Antka i bierze toporek do ręki i odsuwają połowę drzwi i wyskakują. A za nimi wyskoczył ten młody trzeci, co już worek mąki przyniósł, poszli we trzech. Za jakąś godzinę ja wyglądam - idą i coś niosą. Trąciłem

jednego nogą, co spał blisko drzwi. Mówię: „Wstawaj, bo coś niosą”. On się zerwał, drzwi więcej odsunęlim. Oni jak raz przyszli z workami na plecach, my w mig każdy worek z pleców do wagonu i oni wleźli. My zaraz drzwi zasunęlim, przy świetle z piecyka otwieramy jeden worek, jest w nim kasza jaglana. Ryk zaraz tą samą miską zagarnia pełną i daje każdemu. Rozdał nam dwa worki, a trzeci oddał rodzinom, co z dziećmi jechali tym samym pociągiem, w tylnych wagonach.

W nocy, może już była druga godzina, z tej stacji pociąg gwizdnął i odjechaliśmy. Mówili, że prawdopodobnie jedziemy do Taszkientu. Nie wiem, przed jakim miastem się pociąg zatrzymał, parowóz odczepili. Pojechał na stację, chyba po wodę, ale nikt nie wie, jak my długo tu będziemy stać.

Jeden z naszego wagonu wziął wiadro i poszedł też po wodę, inni poszli za drzewem. Zeszło już ze dwie godziny, parowóz nie przychodzi. Przynieśli trochę drzewa, przyniósł wodę i zaczęlim sobie gotować na piecyku kaszę jaglaną. W moim kociołku gotujemy we dwóch z komendantem Paśkiewiczem. Ale to się kasza aby tylko rozparzyła, już się jadło, bo kociołek był potrzebny dla innych, którzy czekali. Inni w kubkach sobie parzyli, aby tylko rozgrzać tę kaszę.

Parowóz przyszedł, doczepili i jedziem. Na stacji wcale się nie zatrzymał, nawet nie wiadomo, przez jakie miasto przejechaliśmy.

Na drugi dzień około godziny jedenastej zajechaliśmy do miasta Czkałowa. Duże to było miasto i dość ładne, kamienice trzy- i czteropiętrowe. Stacja bardzo duża była i pociągów osobowych i towarowych, i dwa towarowe pełne ludzi, przeważnie Polaków i Żydów z Polski z całymi rodzinami. To wszystko jechało z Syberii i archangielskich lasów na południe. Tam będzie cieplej, tam, gdzie się polskie wojsko organizuje, może tam prędzej jeść nam dadzą. Z taką nadzieją wszyscy jechali na południe i prawie wszyscy głodni.

Przy torze z prawej strony był wolny plac. Tam paliło się kilka małych ognisk. Kobiety gotowały dla swoich dzieci kartofle czy kaszę, co kto miał, to gotował, aby dzieci nakarmić i samej też choć trochę zjeść. A z niektórych wagonów i ojciec poszedł na miasto, może co kupić dla dzieci i siebie, więc dzieci zostały same w wagonie, a tu parowóz gwizdnął i odchodzi. Dzieci krzyczą: „Mamo, wracaj do nas, bo pociąg już jedzie!” Kartofle jeszcze się nie ugotowały. Matka łapie za garnek i leci, ale garnek gorący. Nie wie, co robić, rzucić szkoda, bo tam czekają dzieci głodne, a tu ręce pali. A dzieci bez przerwy wołają: „Mamo, wracaj prędko, bo my same zostaniem! Taty też nie ma!”

Niektóre z tych matek zdążyły wsiąść, ale nie wszystkie. Bo chociaż pociąg z miejsca pomału ruszył, ale później pojechał normalnie i strasznie bolesny krzyk tylko było

słyszeć. Aż za serce łapało, dzieci w obcym kraju bez matki i bez ojca. Straszne rzeczy się działy i to nie tylko w tym jednym pociągu, ale bardzo dużo. Takie dzieci bez matki i ojca oddawali do ochronki i później widziałem te, które były bliżej wojska polskiego.

Generał Anders opiekował się nimi, jak również i wszystkimi rodzinami cywilnymi, które były bliżej wojska polskiego. Gdy wyjechalim do Iranu, to wojska było sto dziesięć tysięcy, cywilów trzydzieści tysięcy, a dzieci z tych ochronek paręset, dokładnie nie wiem, ile było. Ale powtarzam, że widziałem, jak ich gołych do pasa fotografowali Anglicy, Amerykanie i Polacy. Przez skórę widać było każde żeberko, nogi i ręce były jak patyki. Nie udało się ich wszystkich uratować, umierały, bo były strasznie zamorzone. Spośród nich widziałem ośmiu chłopców w Anglii i razem byliśmy w jednym namiocie dwa miesiące. Ja wyjechałem do Polski, oni pozostali w Anglii.

Wrócę do podróży swojej do wojska polskiego. Teraz mówią, że jedziem do Turkiestanu. Przyjechalim. Stacja bardzo duża, była też duża poczekalnia, a ludzi było, że przejść było trudno. A brudu i śmieci! Oni chyba wcale jej nie zamiatali, chyba tylko dlatego, że nie było tam miejsca wolnego.

Ryk wyszedł z wagonu i poszedł na zwiady pomiędzy tory. Przyglądał się wagonom towarowym pozamykanym na kłódki, niektóre były plombowane. W Taszkencie dostaliśmy obiad i chleb. Po obiedzie prawie wszyscy ludzie powyłazili z wagonów, żeby się trochę rozruszać. No i na ciekawość, a może się spotka jakiegoś znajomego czy z więzienia, a może z Polski. A ludzie wciąż idą, jedni w tę stronę, drudzy w przeciwną, bez przerwy.

I jakbym czuł, patrzę, idzie Bronowicz z Łomży. Modest miał na imię. Potem miał piekarnię w Jedwabnem, a ojciec jego miał piekarnię w Łomży na ulicy Rządowej i ja u niego kupowałem chleb i bułki dwa razy w tygodniu.

Przywitalim się, pytam się jego, czy on gdzieś jedzie, czy w tym mieście gdzieś pracuje. On mówi, że w tym mieście pracuje jako ślusarz z drugim Polakiem. „Już - powiada - miałem zarobionych paręset rubli i on, ten kolega, poszedł na bazar coś kupić do życia. I na tym bazarze wszystkie pieniądze mu wyciągnęli z kieszeni. I teraz na nowo musim tu znowu pracować, żeby zarobić, aby żyć i na podróż zarobić, bo chcemy wstąpić do wojska polskiego”.

Spieszył się, rękę mi podaje i mówi „Do widzenia”. Ja mówię, że też, jak do wojska, to może się tam zobaczymy. I tak się rozstaliśmy. Ja wróciłem do swego wagonu, bo się zbliżał wieczór. Wlazłem do wagonu. Patrzę - Ryk z Antkiem rozmawiają i ten trzeci młody chłopak przy nich stoi i słucha, o czym oni tam rozmawiają. Myślę, że pewnie coś upatrzyli i w nocy pójda, aby co podciągnąć.

A nie było to tak trudne, bo ci wartownicy byli starymi ludźmi, nawet i po sześćdziesiąt lat niektórzy mieli, bo młodych do czterdziestu pięciu lat wszystkich zabrali do wojska, na wojnę. A stary to się skulił z dubeltówką i stał albo gdzieś poszedł się gapić. A ten Ryk to był specjalista, że tym toporkiem to każdą kłódkę otworzył, a nawet i zamek. Jednego razu otworzył wagon - lodówkę zamkniętą na zamek i przynieśli z niego ryb mrożonych w rogozie.

Gdy już się dobrze ściemniło, to we trzech już razem siedzieli i toporek blisko Ryka leżał. Mogła być godzina dziesiąta. Ryk wstał, toporek do ręki wziął, drzwi odsunęli i poszli we trzech. Ludzie już prawie wszyscy w wagonach spali, drobny deszcz zaczął padać, a ja stoję przy drzwiach i coraz wyglądam, czy nie idą, czy przyniosą coś do jedzenia. W tej chwili tylko o tym myślę, bo chociaż dziś dostalim chleb i obiad, ale jeść się chce, bo wczoraj nic nie dostalim, tylko kawę gotowałem. Już chyba piąty raz drzwi odsuwam i wyglądam, ale nic nie widać, tylko drobny deszcz pada.

Zasunąłem drzwi z powrotem. Tak mi się zdaje, że to tak bardzo długo ich nie ma. A może ich tam przyłapali? Ale trzech od razu nie mogli złapać, chociaż jeden to by uciekł i przyleciał. Usuwam znowu drzwi, wyglądam. Idą, już są blisko, widać worki na plecach niosą. Ja drzwi odsunąłem, tak żeby było łatwiej złapać worek i wciągnąć go do środka. Wszystkie trzy worki już w mig są w wagonie, drzwi zasunięte. Wszyscy się obudzili, a tu trzy worki mąki stoi.

Zaraz po cichu ogień w piecyku rozpalili i jeden worek rozpruli i ten, co miał tę miskę, już stoi przy worku. Ryk wziął od niego miskę i po pełnej dał każdemu. W worku mogło być sześćdziesiąt kilo, a nas było pięćdziesięciu trzech, bo w drodze się dołączyło do naszego wagonu jedenastu, bo ich pociąg odszedł, a oni zostali, no trzeba było ich zabrać. Oni mówili, że jak dogonimy ich pociąg, to oni się przesiądą. Ryk rozdzielił jeden worek. Każę rozpruwać drugi i znowu daje po pełnej misce drugi raz.

Mieliśmy dojechać za dziesięć dni do armii polskiej, gdzie się organizowała - miasto Buzułuk i miasto Guzar, i inne. Już jechaliśmy cały miesiąc i jeszcze mamy setki kilometrów jechać. Gdyby nie Ryk, to byśmy chyba z głodu poumierali. Jeszcze trzy razy w dalszej podróży przynieśli mąkę i on zawsze na wszystkich dzielił, tak że ja już miałem w zapasie w torbie jakieś osiem kilo mąki i wszyscy mieli, jedni mniej, a drudzy nawet więcej.

Dojeżdżamy do miasta Samarkanda. Miasto bardzo ładne i duże, i czyste. Stacja kolejowa bardzo duża i szeroka, chyba jakieś trzydziście torów, a może i więcej. Pociągów stało dużo i osobowych, i towarowych. Nasz pociąg wjechał prawie w środek tych

pociągów i zatrzymał się. A tu ludzi z tych osobowych i z towarowych nawychodziło, wprost biegało, chcieliby coś kupić dla dzieci i dla siebie.

Kobiety - matki dopytują się, czy tu w naszym pociągu może przyjechały nasze dzieci. Chodzą zapłakane i dopytują się w każdym wagonie, ale nie było. Ręce załamują i wołają: „Moje kochane dzieci! Gdzie są moje kochane dzieci?!” Te głosy gdy się słyszało, to aż za serce ścisnęło. I zaraz przychodziła mi myśl, jak tam moja kochana żona daje sobie radę z moimi dziećmi. Nie wiedziałem, że żona moja z czworgiem dzieci też jest w Rosji, a czworo pozostało w Polsce pod Niemcem.

Na czwartym torze w Samarkandzie stał wagon z mąką, a dalej na tym samym torze stał odkryty wagon pełen worków dużo większych od worków z mąką. Ryk przechodził się w tę stronę i z powrotem i tylko spoglądał na te dwa wagony. Gdy się ściemniło, zaraz wziął toporek do ręki. Już przy nim był Antek i trzeci współnik, powyłazili z wagonu i jeszcze za nimi poszedł i czwarty.

Ryk kłódkę otworzył i cztery worki mąki przynieśli do wagonu naszego. Powstawiali po kątach i znowu poszli do tego wagonu odkrytego, ale tylko we trzech i przynieśli trzy worki nie wiadomo czego. Zaraz jeden otworzyli, a tu są suszone jabłka pokrojone w plasterki. Z innych wagonów też schodzili się, żeby coś zdobyć do życia, tak że prawie połowa z wagonu mąki ubyło, jabłek też ubyło, ale mniej.

Mieliśmy odjechać o godzinie dziesiątej wieczorem, ale już jedenasta, a pociąg stoi, dwunasta stoi. My chcielibyśmy, żeby już jak najprędzej z tego miasta odjechać, ale wcale parowozu przyczepionego nie ma. Od przednich wagonów dał się słyszeć krzyk i płacz kobiet. Godzina mogła być trzecia w nocy. Idzie jakiś mężczyzna, prawie biegiem i puka do wagonów i woła: „Ponowie, od przodu rewizja! Kto ma mąkę czy kaszę, to zabierają i wszystkich mężczyzn zaraz aresztują”. Jak to usłyszał nasz komendant pociągu, zaraz uciekł na stację. Już więcej go nie widzieliśmy. Pewnie wsiadł do jakiegoś innego transportu i pojechał, bo w jego wagonie też były dwa worki mąki i jeden worek jabłek.

Jak my usłyszeli te krzyki, płacz kobiet, odsunęliśmy drzwi z drugiej strony, a naprzeciw, na innym torze stał duży wagon osobowy. Tak my te worki z mąką i jabłkami wynieśli do tego wagonu, ale w torbach po parę kilo prawie każdy ma. Po kolej wszystkie wagony rewidowali i kto miał mąkę czy kaszę, to zabierali i mężczyzn od razu do gromady łączyli i pilnowały ich posterunki.

Przychodzą do naszego wagonu. My mieliśmy drzwi zasunięte. Jeden krzyknął: „Otwieraj *skarej!*”. Rozsunęliśmy obydwie połowy, weszło do wagonu trzech. Przegnali nas wszystkich na połowę wagonu i zaczynają rewidować. Co znajdą w worku czy w torbie, nie

pytają się, czyja to torba jest, tylko wyrzucają drzwiami na ziemię i od razu podpychają taki kolejowy wózek i na niego układają. Była straż kolejowa i NKWD polityczni z dwoma psami wilkami.

Pytają się, gdzie jest komendant tego pociągu. My mówimy, że nie wiemy, bo w naszym wagonie nie jechał. I pyta się jeden, jak on się nazywa. Też nie wiemy. A jak wyglądał? No taki w średnim wieku, niewysoki. Kobiet w naszym wagonie nie było. Krzyknął jeden starszy: „*Wychadzijcie wsie!*”, znaczy wszyscy. Wyszlim, podegnali nas do przodu, gdzie już wagony nie stały. Tam nas zatrzymali. Dwóch pilnowało nas, reszta dalej wagony rewidowała. Słysząc było tylko płacz kobiet i dzieci i jak kobiety z płaczem mówiły, że tę mąkę jeszcze w kołchozach zarobiły, że to za robotę im dali, ale to nic nie pomogło.

Gdy skończyli rewizję pociągu, nasz zaraz odszedł, a nas prowadzą. Obok stacji z tyłu stoi budynek. Okratowane okna, ale omijamy go, idziemy dalej. Stoi też duży budynek, ale bielszy od tego z kratami. Był to budynek kolejowy i tu zaczynają nas badać. Kto z waszego wagonu kradł mąkę i jabłka, bo przecież wszyscy nie kradli, to wydajcie, to oni będą zatrzymani, a wy pojedziecie gdzie jedziecie.

Ja mówię: „My jedziemy do polskiej armii na Germańca. Wy nas nie trzymajcie”. A on mówi, że nasz wagon stał niedaleko tego osobowego wagonu, a w tym wagonie było osiem worków jabłek suszonych i sześć worków mąki. „To na pewno wy tam odnieśli to, coście ukradli”. My mówimy, że nikt z naszego wagonu w nocy wcale nie wychodził.

Potem badali pojedynczo i tak całe dzień zeszedł na głodnego. My zaczynamy się upominać: „Dajcie nam jeść, kiedyście nas zatrzymali”. Ale oni mówią, że dopiero jutro, to wszystko dadzą - chleb, kawę i obiad. My zaczynamy głośno wołać: „Dajcie nam jeść, bo głodni!” i nie ustajem krzyczeć. Na ten krzyk przychodzi jakiś gruby politruk: „*Czto* wy tak szumiecie? My dziś nie mamy zaprowiantowania, jutro to już będzie wszystko”. A my mówimy: „Nam się dziś chce jeść, my już dwa dni nic nie jedli!” A on się pyta: „A macie pieniądze?” A ja wiem, że Ryk ma. Mówię, że mamy. „No to ja tu przyślę jednego z wiadrami, to on was zaprowadzi do stołowej i tam sobie kupicie”.

Za parę minut przyszedł bojec z karabinem i z dwoma wiadrami i szuka dwóch ludzi: „*Pajdziom* do stołowej po *użyn*”. Ja podszedłem do Ryka i mówię: „Daj, Edward, forsy, a my jak będziemy mieli, to ci oddamy”. Nic nie mówił, tylko ręką sięgnął do kieszeni. Wyjął pieniądze i pyta się, ile dać. Ja mówię: „Daj pięćdziesiąt rubli”. Antek już stoi przy nas, chociaż go nie wołałem. Wziął jedno wiadro, ja drugie i idziemy.

Ja zaczynam z *bojcem* rozmawiać, że my jedziem do armii polskiej, będziemy razem bić Germańców i mówię mu, że nas niesłusznie zatrzymali. Tam z wagonu kradli mąkę, a my

nie kradlim. *Bojec* był rozmowny i fajny chłop. Stołowa była dość daleko. Gdy przyszedł do niej godzina, mogła być dziesiąta wieczorem. *Bojec* podał pracownikowi kartkę od tego naczelnika, ten kartkę obejrzał i wiadra od nas wziął i podał do kuchni, która była zaraz za ścianą i powiedział: „*Skolko wejdzie!*”. Ja podszedłem do bufetu i pytam go, czy tu można kupować *lapszy* i chleba. „*Da, można!*”. Puknął w okienko i powiedział: „Dwie porcje *lapszy!*” Zaraz kucharka czy kelnerka wyniosła dwa talerze makaronu pełne i tak oliwą okraszone, że na wierzchu aż było żółto.

Zjedlim, a do tego było i czterysta pięćdziesiąt gramów chleba. Poprosiłem go, żeby dał jeszcze raz taką samą porcję. Powiedział: „*Charaszo!*” i znowu puknął w okienko i powiedział, żeby podała jeszcze raz dwie porcje, a sam dał chleba dwie porcje po czterysta pięćdziesiąt gramów. Najedlim się doskonale, jak nigdy, *bojec* tylko się przyglądał, jak my wcinali. Za te cztery porcje zapłaciłem cztery ruble. Podszedłem do *bojca* i mówię do niego, żeby się zapytał tego kierownika, może by nam sprzedał chleba dla tych, co zostali. Dwa dni nic nie jedliśmy, nic absolutnie. Przypomniałem mu, że my jedziemy do wojska i będziemy bić *Germańca*. Podszedł, a już dwa wiadra pełne i też aż żółto od oliwy. Za dwa wiadra tego makaronu zapłaciłem dwadzieścia rubli.

Był ten stołowy bar bardzo duży. Cztery rzędy stolików i przy nich po osiem taborków przy każdym stoliku. Jak my przyszli, to przy dwóch stolikach jeszcze byli goście, jedni grali w karty, a przy drugim stole grali w *warcaby*. Gdy *bojec* podszedł do kontuaru i mówi: „Słuchaj, jak byś mógł, sprzedaj chleba. Ich jest dużo, dwa dni już nic nie jedli. A oni jadą do polskiej armii i będą bić *Germańców* razem z naszymi *soldatami*. To *prodaj* im jak możesz”. A on pokazuje palcem, żeby poczekać, aż tamci wyjdą, to on sprzedaje. Nam się nie spieszyło. Podszedłem, on się pyta: „*Skolko* chcesz *pokupić* chleba?” Ja jemu mówię: „Ile możesz nam sprzedać, to za tyle zapłacę”. On tylko się obejrzał na tych, co grali, machnął ręką i spod kontuaru wyjął trzy duże bochenki, okrągłe jak kiedyś dawniej w każdej wsi piekli, takie same wszyscy, może po jakies pięć kilo jeden. Zapłaciłem za trzy bochenki chleba piętnaście rubli.

Ale tu dopiero wyszła heca. Ja biorę jedno wiadro w rękę i jeden bochenek chleba, Antek to samo, *bojec* patrzy się i uśmiecha, bo jeden bochenek zostaje. Podszedł i mówi: „Ja wam ten bochenek zaniosę” i wziął go pod pachę i wracamy.

Gdy tylko weszliśmy na korytarz, jak zobaczyli dwa pełne wiadra i trzy bochenki chleba, to była wielka radość. I zaraz komendant Paškiewicz obdzielił wszystkich tym makaronem i chlebem, a *bojcowi* podziękowałem i pochwaliłem, że on jest dobrym



człowiekiem. Gdy już wiadra opróżnili, *bojec* zabrał i poszedł. Tak do rana na siedząckie spalim.

Rano przyszedł jakiś oficer i pyta się, czy wydamy tych, co kradli mąkę i jabłka. Odpowiedzielim, że z naszego wagonu nikt nie kradł. Wtenczas przyszło czterech *bojcow* z karabinami, kazali wychodzić wszystkim. Gdy wyszlim, jeden powiedział „Za mną!”. Wszyscy idziemy, trzech idzie za nami.

Przyprowadzili nas przed bramę więzienną, tam przy bramie stał posterunek. Otworzył bramę, znowu wchodzimy na korytarz i rozprowadzają nas po celach, po ośmiu do celi, a do niektórych po więcej. Gdy nas wegnali, przynoszą chleb po sześćset gramów i czarną kawę bez cukru, na obiad kukurydzianą kaszę, trochę oliwę zakraszoną. Zdążyłim zjeść, zaraz po dwóch wyprowadzają na śledztwo. *Śledowaciele* koniecznie napierają, żeby wydać tych, co kradli mąkę i jabłka, to ich zatrzymają, a reszta pojedzie do wojska.

Ale my się umówilim, że nie wydamy, bo przecież Ryk od głodu nas ratował, to teraz za to ich wydać, żeby ich na nowo sądzili i po dziesięć lat osądzili?! Nie, tego zrobić nie możemy, niech trzymają nas wszystkich. Ale Paškiewicz i ja mówimy, że nas muszą wypuścić, bo dowodu żadnego nie mają.

Wszyscy na śledztwo chodzili, ale nikt inaczej nie zeznał, tylko to, że my nie kradli. Na wieczór czarna kawa i potem spać, ale sen nie bierze, każdy myśli, co będzie dalej. Ja myślę: „Mój Boże, dopiero jeden miesiąc byłem na wolności i znowu jestem więźniem. Wprzód to było za Ojczyznę. Do izolatora wsadzili za mąkę Kowalewskiego. Teraz znowu za Ryka. Ale trudno, on kradł, ale ja jadłem. Ja go nie wydam, niech co chce będzie”.

W obocznej celi słyhać śpiewy kobiet ruskich, po śpiewie bluźnią, potem znowu śpiewają. Dyżurny przyszedł ich uciszyć, ale one go obrugały i z tym odszedł od ich drzwi. Nad nami siedzieli mężczyźni, kłócili się, śpiewali. Jak kobiety, tak i mężczyźni tam się nie martwili, że siedzieli w więzieniu, u nich to nie nowina.

Rano wyprowadzili nas do ubikacji. Tam się wszyscy umyli. Gdy wróciłim, przynieśli nam chleb, potem kawę i po śniadaniu znowu prowadzą na śledztwo. Kilku zaraz po zbadaniu wypuścili, resztę z powrotem do celi przyprowadzili. Siedzimy i rozmawiamy, dlaczego tamtych zwolnili, a nas trzymają. Nadszedł obiad, przynieśli kaszę, była trochę gęściejsza, oliwą okraszona. Zjedliśmy, otwierają drzwi i każą wychodzić wszystkim, z innych cel też wypuścili wszystkich. Ustawili nas dwójkami. Wtenczas wyszedł do nas sam naczelnik i pyta się nas, czy my wydamy tych, co kradli mąkę. Pdpowiedzielim, że z naszego wagonu nikt nie kradł. Wtenczas on mówi: „Ja wiem, że pomiędzy wami są tacy, ale kiedy

nie chcecie wydać, to ja was trzymać dłużej nie mogę. Jesteście wszyscy wolni i jedźcie do swojej polskiej armii”.

Wtenczas występuje Paśkiewicz, nasz komendant wagonu i mówi: „Gdzie my teraz pojedziem, kiedy nie mamy biletów i nie wiemy, gdzie nasz pociąg poszedł? Trzeba nam dać wszystkim dokumenty, żeby nas znowu gdzie nie zatrzymali i powiedzieć, gdzie nasz pociąg poszedł”.

On posłuchał i powiedział: „Ładno” i poszedł do kancelarii. Tam napisali i telefonicznie ze stacji powiedzieli, że ten pociąg poszedł do Guzar. Dał taką przepustkę Paśkiewiczowi dla wszystkich i bramę otworzyli. Paśkiewicz mówi: „Pójdziemy na stację. Może tam będziemy mogli kupić chleba, a może i lepsze”. Poszlim, stacja była niedaleko. Przychodzimy, jak na każdej stacji ludzi pełno, do kupienia nie ma nic. Dowiedzieliśmy się, że tu w Samarkandzie jest jakiś punkt zborny dla przejeżdżających Polaków, że tam można kupić chleba i obiad za okazaniem dokumentu.

Dopytalim się, gdzie ten punkt się znajduje i go znaleźliśmy, ale tak samo ludzi pełno i na razie też nic nie ma do kupienia. Jedni zaczynają rozchodzić się po mieście, że może gdzieś coś kupią do jedzenia. A ja przypomniałem sobie swoją mąkę, co mi zabrali i myślę, że trzeba iść i spróbować upomnieć się o nią. Mówię o tym Paśkiewiczowi, a on oczy wytrzeszczył i mówi: „Co pan oszalał?! Niech pan dziękuję Bogu, że nas wypuścili. A mąka to już przepadła. Jak psu z gardła nic nie wyciągniesz, tak i od nich”.

Ja mówię: „Ani grosza nie mam, to co będę jadł, choćbym co i znalazł do kupienia? Pójdę, a może oddadzą?” I wołam: „Antek, chodź ze mną!” Antek od razu przyszedł, a Paśkiewicz woła: „Panie Ryk, niech pan da parę rubli Pieńkowskiemu, bo chce iść po mąkę do więzienia. To jeszcze nas wszystkich tam wsadzi”.

Ryk wyjął pięć rubli i dał mi. Ja schowałem do kieszeni, mówię: „Dziękuję, no, teraz to może i ja coś kupię do jedzenia” i wołam: „Chodź, Antek, może co trafiem”. Paśkiewicz wrócił do tego punktu, inni też, a ja z Antkiem idę do tego budynku, co przy więzieniu stoi i mówię, że przyszedłem prosić, żeby mnie oddali moją mąkę, co mi zabrali z wagonu. „Ja nie mam co jeść i nie mam pieniędzy, żeby sobie kupić. A jadę do polskiej armii bić Germańca. A mąkę to sobie kupiłem, a nie ukradłem”.

A siedziało w tej kancelarii czterech urzędników. Jeden w ubraniu wojskowym wstał i pyta się: „Czy ty poznasz swoją *sumkę*?”, to znaczy torbę. Mówię, że znam. „No to chodźcie”. W tym samym budynku podeszlim korytarzem, on klucz z kieszeni wyjął, drzwi otworzył, weszlim do środka. Stały tam przy ścianie trzy duże szafy. Otworzył jedne drzwi, a tam pełna szafa była tej mąki na półkach w torbach i mówi: „Poznawaj, która twoja *sumka*”.

Na mojej torbie była naszyta siwa łąta i jak raz była na wierzchu. Pokazuję mu, że to moja. Teraz mówi do Antka: „A ty poznasz swoją *sumkę*?” On mówi: „Poznam”. A leżała tam torba dużo większa od mojej, on podszedł i mówi, ta jest moja. „*No to bieryj!*” On wziął i już sporo idziemy do wyjścia, a on zamykał drzwi. Patrzy, że my już mijamy kancelarię i krzyczy: „Postójcie, *chadzijcie* do kancelarii, *nada* podpisać, *czto* odebrali”. Weszlim, on coś tam pisał na kartce i ją podpisali. Ja powiedziałem: „*Spasiba wam*”, to znaczy dziękuję i wyszlim.

Idziemy do punktu zbornego dla Polaków, uradowani wchodzimy z mąką. Ja trzymam pod pachą, a Antek na ramieniu, bo on miał w torbie z dziesięć kilo, a ja mogłem mieć sześć kilo. Ja nawet nie wiem, czy to była jego mąka, alem się nie pytał.

Gdy weszlim, prawie wszyscy byli, bo już się zbliżał wieczór. Patrzą, a my swoją mąkę mamy, zadowoleni jesteśmy. Ja mówię: „Udało się nam”. Paśkiewicz podszedł do mnie i mówi: „Pan ma szczęście, ale i odwagę. Ja bym tam nie poszedł za nic w świecie”. Ja mówię: „Trzeba ryzykować, czasami to wychodzi na dobre, a czasami na złe”.

Chociaż nam zazdrościli niektórzy, ale byli zadowoleni, że się nam udało. Potem dowiedzili się, że tu jest jakaś prywatna *czaj chana*. Tam poszlim do niej, weszlim, jak wszędzie ludzi jest pełno. Tu można kupić kubek mleka albo kubek *kipiatku*. Do jedzenia nic nie było, ale siedzieć można było choćby i cały dzień. Kto miał pieniądze, to kupił kubek mleka, a kto nie miał, to i *kipiatku* nie kupił.

Ja jeszcze miałem parę rubli, co mi zostało z Rykowych od kupienia chleba i *lapszy* w stołowej, ale nie kupiłem nic i mówię: „Pójdziem do tej stołowej, co kupiłem wtenczas z *bojcem* chleba i dwa wiadra *lapszy*”.

Kilku zostaje w *czajhanie* pilnować tłumoków, a kilku idzie. Kolejka była, ale taka bardzo duża. Patrzymy, przy drzwiach stoi kobieta i jej ci, co wchodzą, pokazują. Ja powiedziałem: „Niech każdy staje co czwarty czy piąty i prawą rękę trzyma w kieszeni. Bo ta kobieta stała z prawej strony przy drzwiach. „I nic się nie zatrzymywać, choćby nawet ona krzyczała, bo ona za nikim do środka nie pójdzie, bo za ten czas mogłoby wejść z dziesięciu”.

I tak ja poszedłem pierwszy, trzymałem rękę w kieszeni. Gdy podchodziłem do niej, rękę przykuloną podniosłem do góry i momentalnie wszedłem do środka, nawet ona nie zdążyła nic powiedzieć. Tam zaraz przy bufecie dawali, kto tylko wszedł do środka łyżkę do jedzenia, a potem zostawiało się na stole, gdzie było wolne miejsce i szło się do bufetu zapłacić za talerz zupy i pięćset gramów chleba. Zaraz otrzymywało się i szło się do swego stolika. Zjadło się, to czapkę zostawiało na stole i z łyżką znowu stoi się w kolejce przy bufecie, znowu się płaci, dostaje chleb i talerz zupy. Idzie to szybko jak maszyna.

Wszyscy nasi weszli i każdy dostał łyżkę, kupił chleb i talerz zupy i znowu podchodził drugi raz, płacił i przynosił, i jadł.

Posiedzielim z godzinę i trzeci raz jeszcze obrócilibyśmy, bo tam ci, co obsługiwali, to nie mieli czasu się przyglądać. Talerz się odsuwało, a z łyżką szło się do bufetu kupować chleb, tylko jedną porcję się zjadło z pierwszym talerzem zupy, a dwie porcje kładło się do torby, bo trzeba mieć na rano do *kipiatku*.

Przyszlیم do *czajhany*, dalim tym, co tu zostali, po porcji chleba i szykuję się do spania i umawiamy się jutro rano, że idziemy na stację i który pociąg będzie szedł pierwszy, to do niego wsiadamy, bo musimy dognać swój pociąg.

Rano wstaliśmy. Była tam studnia na podwórzu, każdy się umył i wypiliśmy *kipiatku*. Chleba każdy miał kawałek wczorajszego, to go tym *kipiatkiem* wykończył i idziemy na stację. Na tej stacji kilka pociągów stało, ale nie możemy się dopytać, który najprzód pójdzie. Gdy tak chodzimy, podeszły do nas trzy panie, dwie starsze, a jedna młoda panienka. Jedna pani pyta się, gdzie my chcemy jechać. Mówim, że w stronę Guzar, do wojska. A one się pytają, którym pociągiem. Ja mówię, że nasz pociąg już poszedł pięć dni temu, a my teraz chcemy go dognać. A one mówią: „My też tam jedziem, to chodźcie do naszego wagonu, to razem pojedziemy, bo my boimy się złodziei, żeby nas nie okradli. Mamy swoje walizki z bielizną i inne drobne rzeczy”.

Pytamy się, czy w tym wagonie nie będzie za ciasno, jak my tam wejdziemy. Mówią, że się pomieścimy. No to idziemy, na trzecim torze stał ten pociąg. Wagony były duże, już specjalne do przewozu ludzi. Były w nich podwójne prycze, jedni mieścili się wyżej, drudzy niżej. Ciasno tam nie było, w połowie tego wagonu siedziały dwie rodziny z dziećmi, razem osiem osób. Poza tym jechały razem dwie siostry sześć lat i cztery lata. Ich ojciec w jednym mieście poszedł kupić chleba, a pociąg zaraz odszedł i ojciec został. Jechały z matką. Znowu matka wyszła na jednej stacji w innym mieście. Mówiła: „Posiedźcie, może ja tu tatusia zobaczę, może on nas szuka. Ja zaraz wrócę”. Pociąg też odszedł, a matka została na stacji. Opiekowały się nimi te dwie starsze panie. Były z Wilna, matka z córką. A pani artystka z teatru, też z Wilna, była wesoła, nieraz śpiewała piosenki.

Zaśpiewała „Szumią jodły na gór szczycie”, miała ładny głos, sopran. Tak ta pieśń mi się podobała, że poprosiłem ją, żeby mi ją napisała. Panie były z Wilna - pani Olszewska, pani Markwatowa i pani Trzeciakowa Żukowska. Powiedziała, że dobrze, ale nikt w całym wagonie kawałka papieru nie miał. Ołówek to miała ta panienka, co jechała z matką. Ale ta artystka paliła papierosy i na pudełku od papierosów mnie tę piosenkę przepisała. No i kilka razy ją śpiewała, aż ja tej melodii się nauczyłem i do dziś ją umiem.

Potem przyszedł jeszcze jeden mężczyzna do tego wagonu i mówi, że już cały tydzień goni swój pociąg, bo został w Kaganie. O Boże, co w tej podróży się działo. Rodziny porozłączały się na pojedynki. To wprost nie do uwierzenia! Ten poleciał za wodą, drugi za chlebem i nie zawsze wracali na czas, a nikt nie wiedział, kiedy pociąg odjedzie. Tam nie było i wstydu. Kto chciał się załatwić, to siadał przy pociągu, bo bał się odejść gdzieś dalej. Nieraz się widziało - tu się załatwia kobieta, a obok niej mężczyzna i tak dalej, prawie każdy przy swoim wagonie, gdy pociąg się zatrzyma.

A wszystkim towarzyszył głód. Dzieci proszą swoje matki: „Mamo, nam się jeść!” To matka łapie za garnek i chce ugotować czy parę kartofli, czy trochę kaszy, kto co ma. Ale nie zawsze się udaje, bo nieraz pociąg zatrzyma się tu, a za pół czy za godzinę odjeżdża dalej, bo tam idzie drugi pociąg, po tym samym torze. Całe szczęście, że przez całą podróż przeszło dziesięć tysięcy kilometrów zderzenia pociągów nie było.

Po tym wypadku z tą mąką i jabłkami, to już kilka razy pociąg się zatrzymał na stacji, a za pół godziny odchodzi i zatrzymuje się jakieś dwa kilometry od stacji. A to dlatego, że ludzie kradli, co się dało, aby żyć. Tylko czasami się to udawało, a czasami kończyło się tragicznie, bo kogo przyłapali, to już do rodziny nie wrócił, tylko do więzienia wsadzali i na nowo sądzili za kradzież.

Piątego dnia dognalim swój pociąg i odnaleźlim swój wagon, więc przeprowadziliśmy się do swojego wagonu, ale nie wszyscy byli, z którymi z Koźwy wyjechalim. Podczasiaka komendanta całego pociągu nie było i trzech z naszego wagonu też nie było. Oni uciekli, gdy była rewizja po kradzieży mąki i jabłek. Pewnie weszli do innego pociągu i pojechali dalej na południe, aby nie wpaść za to, co się stało.

W tych wagonach żadnych konduktorów nie było i nikt żadnych dokumentów nie oglądał, bo to było wcale niemożliwe. Wszyscy do czterdziestu pięciu lat zabrani byli do wojska na wojnę. Starsi byli analfabetami, może co dwudziesty umiał czytać i pisać, a kobiety tak samo.

Nareszcie dojechaliliśmy do Uzbekistanu. Przy pierwszych mniejszych stacjach przejechaliliśmy, wcale się nie zatrzymując i dojechalim do miasta Buchary.

Miasto było bardzo ładne i duże, a stacja też była duża i dworzec był ładny, tylko wszędzie było pełno brudu. Bo naprawdę niemożliwe było żadnej czystości tu utrzymać, pociągi jedne odchodziły, to drugie przychodziły.

Gdy my przyjechali, to stało pociągów na torach może z piętnaście albo i więcej. Na stacji ludzi pełno, jedni wychodzą, a drudzy wchodzą i to bez przerwy. Jedni obdarci, to przeważnie z lasów, inni możliwie ubrani. Tylko Żydzi mieli pieniądze, to byli ubrani dobrze.

Widać po nich, że na roboty nie chodzili, ale ich tak dużo nie było. Przeważnie było dużo Polaków, ale znowu pogubieni. Ojciec szuka, chodzi od wagonu do wagonu i pyta się, czy tu nie ma mojej żony z dziećmi.

Przeszedł jeden pociąg - nie ma, idzie do drugiego, ale i w drugim nie ma, idzie do trzeciego, znowu nie ma. Spotykał dzieci same bez ojca i bez matki, ale to nie były jego dzieci. Takich wypadków było tysiące, zapłakanych i głodnych męczenników polskich.

A ile zmarło z głodu! Nikt nie mógł dać drugiemu, bo sam nie miał dla siebie i dla swojej rodziny. I dlatego tak się gubił, bo chciał coś kupić, a jak znalazł, to kupił, jeżeli miał pieniądze. A jeżeli nie, to choćby i natrafił, to tylko popatrzył i bez niczego wrócił.

Ja z komendantem naszego wagonu Paśkiewiczem poszliśmy do naczelnika stacji zameldować, że my dziś rano przyjechaliśmy i chcemy dostać chleb i obiad, bo my już dwa dni nic nie jedli. A każdy z nas miał *udostowierenje*, czyli dokument i za okazaniem jego można było dostać chleb i *użyn*, czyli obiad.

Ja te dokumenty zebrałem i mam z sobą. Na lewo od stacji stał ładny budynek. Trzeba było przejść przez ulicę do ogrodu i tam był urząd i w nim naczelnik. Gdy weszliśmy do kancelarii, siedziało tam trzech urzędników. Pytają się nas, w jakiej sprawie my przyszli. Paśkiewicz mówi, że my przyszli do *graždanina* naczelnika. Jeden wstał i poszedł do drugiego pokoju i wyszli we dwóch. Jeden z nich znowu się pyta, w jakiej sprawie, Paśkiewicz mówi, że rano przyjechaliśmy pociągiem i meldujemy, że już dwa dni nic nie jedliśmy i chcemy dostać chleb i *użyn* na cały wagon. Ja mówię, że mam dokumenty tych ludzi, co są w wagonie. A on się pyta, ilu nas jest w wagonie. Ja mówię, że pięćdziesięciu trzech. „A jaki numer waszego wagonu?” „45”. Daję mu dokumenty, żeby on sprawdził, a on mówi: „Nie trzeba, przyjdę do waszego wagonu i tam sprawdzę. I ilu ludzi będzie w wagonie, na tyłu wydam listę na chleb i na *użyn*”.

Zapisał nasze nazwiska i numer wagonu. Jak wszędzie, była kolejka duża, dopiero o godzinie dziesiątej weszliśmy po zameldowaniu. Naczelnik powiedział, że przyjdzie do naszego wagonu o godzinie trzeciej po południu.

Gdy wróciłem, oznajmiłem wszystkim, ażeby na godzinę trzecią po południu wszyscy byli w wagonie, bo naczelnik będzie sprawdzał, ilu jest ludzi. Potem myślę sobie: „Mam prawie pięć godzin, to pójdę do tego ogrodu obejrzyć zamek - dawną własność księcia Emira Bucharckiego”. A znajdował się on na tej samej ulicy, co ten budynek, w którym urzędował naczelnik.

Pytam się, kto chce iść ze mną. Od razu zgłosiło się aż pięciu, idziemy. Od budynku tego, cośmy byli z Paśkiewiczem u naczelnika, mamy jakieś trzysta metrów odległości. Ten

zamek stał od ulicy około trzysta metrów w głąb ogrodu - istne чудо, śliczny! Naprzód szło się trochę pod górkę do ładnej bramy, która była całkowicie otwarta, za bramą jakieś dziesięć metrów było równo, a potem po kilku schodach mozaikowych na werandę i do pałacu. Było tam dużo sal, ale jedna to taka duża jak u nas w całym kościele. A w każdej sali było pełno ludzi, a najwięcej było Żydów z Polski. Byli całymi rodzinami i Polacy, i inni.

W tym ogrodzie były bardzo ładne różne drzewa. Jak w ogrodzie, tak i w tym pałacu na ścianach były malowane różne zwierzęta, a na suficie głowy jakichś wielkich dawnych władców. Kilka sal było zamkniętych na zamki, nikt tam do nich nie wchodził ani wychodził. Czy tam były jakieś meble czy portrety, nie wiem. A może zamknięte były, aby złodzieje co nie ukradli, bo było ich wszędzie pełno.

Co noc giną tam to walizki, to inne rzeczy, które można później było sprzedać w innym mieście. I to tak się urządzali - przychodzi i siada w obranym miejscu, później tam kładzie się spać i obserwuje, co właściciel wyjmie ze swoich walizek i co do nich kładzie. Niektórzy mieli po kilka walizek, przeważnie Żydzi. Tych złodziei to już były takie bandy i to prawie na każdej dużej stacji, którzy za kradzieżą tylko chodzili. Potem, co im się da ukraść, to sprzedają i pieniędzmi się dzielą. Im tam niczego nie brakło, a że inni parę dni nic nie jedli albo nieraz i z głodu umierali, to oni się tym nie przejmowali, byle oni mieli co jeść, a nieraz i wypić.

Ja już w Bucharze byłem bez pieniędzy, pożyczyłem od Janka Jaszczuka trzy ruble na chleb. O godzinie drugiej wróciłem do wagonu, bo może naczelnik przyjdzie trochę wcześniej, to jak nas nie będzie w wagonie, to nie dostaniemy chleba i obiadu. Ale na ulicy spotkałem Bronowicza Modka z Łomży. Jego ojciec miał piekarnię w Łomży na ulicy Krótkiej i ja u nich kupowałem pieczywo do swego sklepu, znaliśmy się dobrze.

Pytam się go, gdzie pan Modek jedzie. On mówi: „Na razie nigdzie. W tym mieście we dwóch pracowałem jako ślusarze, miałem już paręset rubli i ten mój wspólnik nosił te pieniądze zawsze w kieszeni i robił zakupy do życia. I temu tydzień poszedł na bazar coś kupić do jedzenia i na tym bazarze złodzieje ukradli mu wszystkie pieniądze. To musimy jeszcze tu zostać i zarobić pieniądze na podróż i potem pojedziemy do wojska polskiego”. Podaliśmy sobie ręce na do widzenia. „Ja też tam jadę – powiedziałem - to może się tam zobaczymy”.

Gdy przyszedliśmy do wagonu, naczelnika jeszcze nie było, czekamy. Już godzina jest czwarta, a miał być o godzinie trzeciej. Jeden z naszych mówi: „Ja widziałem, że jakiś chodził do kilku wagonów, ale w naszym nie był i poszedł”.

Idę drugi raz do niego sam, a tu duża kolejka, może pięćdziesięciu chłopów stoi. Idę i ja do kolejki, trudno, porządek musi być. Za parę minut przyszła jakaś pani w zrebakowym futrze i chce iść do naczelnika, nie puszczają, bo naczelnik załatwia za kolejką. Załatwianie idzie dość sporo, jedni wychodzą, a drudzy wchodzą, za mną też już jest kolejka.

Mówię do tej pani, niech przy mnie stoi, to ja ją przepuszczę przed sobą. Przystała. Pytam się jej, gdzie jedzie. Ona mówi, że tu musi czekać, bo w Kaganie zdała trzy walizki na bagaż i rzekomo ten bagaż przesłali do Farabu przez omyłkę. I już tam telefonowali, ale nic się dowiedzieć nie mogą. Ona jest z matką staruszką i z dwiema małymi córkami. Ojciec jej zmarł na Syberii, a ona jest doktorem. Mąż jej też doktor, w 1939 roku poszedł na wojnę i żadnej wiadomości od tamtego dnia nie ma, nie wie, czy żyje, czy nie.

Powiada: „Trzymam się w podróży ze znajomym Żydem, kupcem. Jego bagaż też zginął, a razem bagaże zdawaliśmy. On jutro jedzie do Farabu szukać tych bagaży. Broń Boże, jak ten bagaż przepadnie, to nie dam sobie rady, przyjdzie z głodu umierać”.

Jak byli na Syberii, w kołchozie musiała pracować, do pracy nie była przyzwyczajona, to zarabiała tylko dziewięćdziesiąt kopiejek. Kilo chleba kosztowało tam rubel, to jeszcze musiała dopłacać dziesięć kopiejek do chleba za cały dzień pracy. Tylko że tam to oni mieli co sprzedawać, ale tu to już nie ma nic do sprzedania i pieniędzy też nie ma.

„Tu w Bucharze – opowiada - jakiś Polak mówi do mnie: »Idę kupić chleba. Jak pani chce, to niech pani da pieniądze, to i pani kupię. Ja wiem, gdzie tu można chleb kupić«.

Ubrany był nieźle, wyglądał na uczciwego, ubolewał nad losem Polaków i jeszcze mówił, że może się co trafi więcej kupić, to kupię i pani przyniosę. Ja jeszcze miałam dwadzieścia rubli i jemu dałam. Ale już trzy dni minęło, a jego nie ma i chleba nie ma. Idę prosić naczelnika o pomoc i radę, bo dziś jeszcze matka, dzieci i ja nic nie jedliśmy”.

Gdy już przyszła moja kolejka, ona obok mnie stała, mówię: „Niech pani idzie przede mną”. Ona tylko ustała, a zaraz wyszedł jeden i ona poszła. Dłużej tam była niż inni interesanci, ale co on jej poradził, to nie wiem, bo jak tylko ona wychodziła, to ja zaraz wszedłem. Miała jakieś papiery w ręku. Powiedziałem: „Zdrastwujcie grażdanin naczelnik”, odpowiedział i pyta: „Kak zwać?” Powiedziałem i mówię, że ja tu już dziś byłem i on miał to zanotowane. Odszukał i pyta, ilu ludzi w wagonie. 53. Dał kwit na 53 porcje chleba i tyleż porcji łąpszy.

Gdy przyszedłem do wagonu, zaraz z piętnastu poszło z kwitem po łąpszę, a ja z Antkiem z dwoma workami po chleb. Chleb był w magazynie, blisko stołowej. Trzeba było jak zwykle poczekać, bo jest wszędzie kolejka, ale dostalim i to bezpłatnie. Makaron był



gęsty i tłusty, tak żeśmy się niezłe odżywili, a godzina już była ósma wieczorem i chleba zostawiłem na rano do kawy.

Na drugi dzień ta sama polka, trzeba iść do naczelnika po kartki na chleb i obiad. Poszlim z komendantem wagonu Paškiewiczem. Kolejka jak zwykle duża, ale trudno, tu już tak jest i będzie. Stajemy i czekamy może dwie godziny, może więcej, zegarka nikt nie ma. Ale jednak doczekaliśmy się i weszlim. Paškiewicz powiedział: „*Zdrastwujcie grażdanan naczelnik*”. Odpowiedział: „*Zdrastwujcie*”. Prosimy o kartki na chleb i na obiad. Pyta się, ilu ludzi jest w wagonie, zapisał i znowu mówi, że przyjdzie sprawdzić. Potem Paškiewicz mówi, że my jedziemy do polskiej armii, a tu już stoimy dwa dni i prosimy go, żeby jak najprędzej dowieźli nas tam. Powiedział, że to nie jest taka łatwa sprawa. „Widzicie, co tu pociągów stoi i każdy chciałaby już jechać. Musicie czekać”.

Nadeszła godzina trzecia, nie przyszedł sprawdzić, zebrałem dokumenty i idę do niego. Znowu czekam, ale czas przyszedł, wszedłem, on zaraz się pyta: „*Kak zwać?*” Powiedziałem. Pyta się, czy ja już tu był. Mówię, że z komendantem wagonu. Pyta się, ilu ludzi. Mówię, że 53. Odszukał w notesie i wypisał kwity na chleb i użyn na 53 ludzi. Przyszedłem do wagonu. Jedni poszli z kwitem po chleb, a drudzy po użyn, też z kwitem.

Na drugi dzień rano lokomotywę doczepili z tyłu i jedziem, ale do przodu jakieś dwa kilometry. Ustalim i lokomotywę odczepili, a nas w polu zostawili i stoimy trzeci dzień. Ale teraz jest nam gorzej. Musimy iść do naczelnika po kwity, potem po chleb i po obiad, ale dumam, czy oni nam dadzą. Ale dali, tak samo trzeba było wszędzie czekać, ale się dostało. Obiad dostalim o godzinie dziewiątej wieczorem, zjedlim i dopiero wzięłem dwóch ludzi Antka i Łuczyńskiego z Białegostoku i idziemy znowu do stacji po chleb. Przychodzimy do magazynu, a tu już stoi kilkadziesiąt chłopów w kolejce, trudno, stajemy i my.

Zrazu wydawali po osiemset gramów chleba – połowę czterysta gramów chleba, a drugie czterysta gramów dawali takie lepieszki. My byliśmy ostatni, dałem kwit na 53 ludzi po osiemset gramów. Chleba już zabrakło i przed nami też kilku już dostało po czterysta gramów. W tym magazynie, co wydawali chleb, było ciepło, a na dworze było zimno. My, jak dostalim chleb, to zaczęlim jeść. Dwóch, co brali na dwudziestu dziewięciu ludzi, też jedzą, a tu wpada chłop i krzyczy na nich: „Chodźcie prędko, bo nasz pociąg odchodzi!” Oni chleb pod pachę i biegiem polecieli, a my stoimy, a tu podjeżdża wóz i znoszą chleb do magazynu.

Gdy już znieśli, magazynier pokwitował i oni zaraz pojechali. A ja podchodzę do tego magazyniera, żeby nam oddał po czterysta gramów chleba. A on mówi, że nie dołoży, bo on już na tym kwicie napisał po czterysta gramów, to on kwitu nie będzie przerabiał. Mogła być godzina jedenasta w nocy.

Gdy on mówił stanowczo, że nie doda, to ja mówię: „Wy z magazynu nie wychodźcie, choćby was wyganiali. A ja pójdę do naczelnika”. I oni zostali, a ja wprost biegiem idę do naczelnika. Od magazynu do piekarni nie było daleko. Gdy wszedłem i zapukałem we drzwi, on się odezwał „kto tam?” Ja jemu mówię i proszę, żeby dał polecenie na kartce, żeby magazynier wydał mi resztę chleba. Przywieźli cały wóz. On powiada, że idzie spać, a żadnej kartki nie trzeba. „Idź i powiedz mu, że kazałem wydać resztę chleba”.

Przed tym magazynem kręcą się jacyś ludzie, nie wchodzą do środka, tylko się tak przechadzają. Przyszedłem i idę do magazyniera i mówię, że ja byłem u naczelnika i on powiedział, żeby on nam wydał resztę po czterysta gramów. A on się pyta: „A kartkę dał?” Mówię, że nie dał, ale powiedział, że nie trzeba żadnej kartki. On podumał trochę i zaczął szukać w gromadzie tej kartki od naczelnika, a przy wydaniu chleba załączał swoją. Miał takie druki specjalne i do nich wpisywał, ile wydał i datę też pisał. Jak on szukał, to ja do Antka mówię: „To będzie na nasz wagon, a ty mów, że ty chcesz na drugi wagon na dwudziestu dziewięciu ludzi. A że te kwity były oba na wierzchu, to łatwo było znaleźć. Dodał mnie po czterysta gramów. Antek mówi: „Mnie na dwudziestu dziewięciu ludzi”. On wziął tę drugą kartkę i wydał.

Jeden worek miałem duży, metr zboża by się w nim pomieścił, był pełen. I miałem jeszcze taką torbę, też była pełna. Teraz od stacji do naszego pociągu było ze dwa kilometry. Idziemy, a za nami idzie jakichś trzech ludzi. Już odeszliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów od stacji i jeden mówi: „Zaczekajcie, wy ten chleb pobrali na fuchę, musicie się z nami podzielić”. Ja mówię: „Nie na żadną fuchę. Możecie iść za nami aż do naszego wagonu. Tam ludzie głodni oczekują na ten chleb”. A on mówi: „Wy się nie tłumaczcie! Macie nam dać połowę tego chleba, co niesiecie”. Ja mówię: „Nie damy nawet jednego bochenka! Możecie dostać, ale nie chleba!” On mówi: „Nie bądź takim kozakiem, bo my już nie takich widzieli”. Ja mówię: „Widać, że nie takich, kiedy was jeszcze nie odzwyczaili”. I mówię dalej: „Kiedyście się nam tak przedstawili, to nie przysuwajcie się bliżej, bo będziemy już inaczej rozmawiać!”

Idziemy dalej, a oni za nami. Była noc nie ciemna, ja szedłem ostatni, a ten, co upominał się o chleb, szedł pierwszy. Coś tam rozmawiali między sobą. Znowu on mówi: „Dajcie choć po bochenku, my też jesteśmy głodni”. Ja mówię: „Nie damy nic, tam są głodniejsi od was”. Ale jeszcze idą, a ja stale się oglądam. I patrzę, a oni się zatrzymali, postali trochę, wrócili i poszli do stacji.

Przyszliśmy, jeden poszedł szukać naszego wagonu, a my staliśmy przy chlebie. Gdy odnalazł, puknął we drzwi, jeden nam otworzył, wstawiliśmy worki do wagonu, drzwi

zasunęliśmy, ale już do spania się wcale nie kładlim. Po tym zdenerwowaniu spać się wcale nie chciało i tak przesiedzielim do rana.

Gdy rano już wszyscy wstali, każdy patrzy na ten worek chleba. Ja podzieliłem każdemu porcję jego po osiemset gramów chleba i pełna torba nam została. Zawołałem Antka i tego drugiego, co z nami chodził i mówię: „Ja jestem winien Jaszczukowi siedem rubli, to na ten dług sprzedam tego chleba. Tu jest takich kilku, co nie mają i grosza, to im jeszcze po czterysta gramów damy. A resztę podzielimy między siebie”. Mówią: „Pan dobrze rządzi, tak to byśmy tylko po pół porcji chleba dostali. I tu jak nieślim, to też tylko pan obronił.” Po tej rozmowie dałem, komu uważałem, że trzeba dać i tym paniom też dodałem dodatkowo po czterysta gramów.

Stoimy już trzeci dzień, niby w Bucharze, ale w polu. Paśkiewicz zebrał dokumenty i poszedł do naczelnika po kwity na obiad i chleb. Ja położyłem się spać i spałem do południa. Gdy wstałem, już Paśkiewicz wrócił z kwitami i od nas poszli z wiadrami i naczyniami do stołowej po obiad. Przynieśli o godzinie trzeciej, zjadłem obiad i myślę, że trzeba jeszcze raz zobaczyć ten zamek Emira Bucharskiego. I poszedłem. Nie mogłem mu się napatrzeć, taki był ładny.

Wszedłem jeszcze raz do środka i z tej dużej sali jak raz wyszła ta doktorowa, co się z nią spotkałem przed budynkiem naczelnika. Mówię jej: „Dzień dobry pani”. Odpowiedziała. Pytam się jej, czy tu mieszka. Mówi że tak, na tej dużej sali. „A chleb pani ma?” Ona mówi, że nie i mówi, że tylko raz na trzy dni dostała, a dzieci i matka jeszcze dziś nic nie jadły. Mówię jej, że za godzinę przyniosę jej chleba choć dla dzieci, bo już porozdawałem w wagonie, prawie każdy przychodził i prosił. A i dług siedem rubli oddałem chlebem Jaszczukowi.

Przyszedłem prędko do wagonu, wziąłem bułkę chleba osiemset gramów i śpieszę z powrotem, żeby jej ten chleb dać. Znalazłem je - matka staruszka leżała, a przy niej siedziały dwie dziewczynki, jedna mogła mieć siedem lat, a druga może pięć. A ona wyjmuje pieniądze i chce mi płacić, ale ja zapłaty nie chcę. To ona mówi: „To ja nie przyjmę chleba” i trzy ruble mi wetknęła do ręki i powiada: „Dziękuję bardzo, że pan przyniósł”. No i w tej chwili podeszła z pustym garnkiem Żydówka, co oni razem byli w kołchozie i powiada, że nie dostała nic, bo zabrakło i oddaje jej kwit. A tam tych stojących było kilku. Ja mówię, niech ona idzie ze mną, to ją zaprowadzę i ona tam dostanie.

Nie bardzo jej się chciało iść, bo już stała w kolejce ze trzy godziny i przyszła z pustymi garnkami. Ale ja jej mówię, że jak była w tej i nie dostała, to trzeba było iść do drugiej albo do trzeciej, jak nie w tej, to drugiej można dostać. To ona mówi, że ona nie

wie, gdzie one są. Ale ja wiem, niech bierze kwit i pójdziemy i kupimy. Wtenczas doktorowa podała jej kwit i poszliśmy prosto do tej dalszej, ludzi tam było tylko kilkoro. Był makaron. Podaliśmy kwity i wiaderko doktorowej. Dostałem cztery porcje, a Żydówka dwie porcje dostała w dzbanek. Pomogłem wynieść aż na tę ulicę, co idzie do pałacu. Oddałem jej wiaderko, a sam pospieszyłem z powrotem do pociągu.

Paškiewicz powiedział, że dobrze, że pan przyszedł, bo podobno już wieczorem pojedziemy. Każdy tego pragnął, żeby jak najprędzej dojechać i dostać się do wojska. Lokomotywa przyjechała, ale nie z tej strony, cośmy mieli jechać, tylko z tej strony od stacji i jedziemy. Ale na stacji się nie zatrzymujemy, tylko jedziemy gdzieś z powrotem. Jeden mówi, że z powrotem jedziemy do Samarkandy, a drugi mówi: „Ja słyszałem, że mają nas wieźć do Taszkientu”. Ale na pewno nikt nie wie, gdzie jedziemy.

Ile my miast przejechali w nocy, to ja nie wiem. Pociąg zatrzymał się w Kaganie. Tu dostaliśmy chleb i obiad bezpłatnie. Staliśmy cały dzień. Ryk przechodził się po stacji, węszył, może by coś dało się pociągnąć, ale chyba nic, bo wieczorem położył się i spał. Noc drugą spaliliśmy w Kaganie, w dzień znowu dostaliśmy chleb i obiad. Na wieczór poszliśmy do *czajchandy na kipiatak*, a inni sobie w wagonie gotowali. Dwa dni stał pociąg w mieście. Tej nocy Ryk z Antkiem zrobili wypad, przynieśli mrożonych ryb w rogozie zawiniętych. Gotowaliśmy całą noc, aż zjedliśmy wszystkie.

Pytam go: „Gdzieś ty znalazł ryby?” On mówi: „W drugim pociągu był wagon lodówka. Ja go otworzyłem i nabrałem z Antkiem”. Ja pytam się: „To czym ty ten wagon otworzył?” On mówi, że toporkiem. „Ja prawie każdą kłódkę - powiada - otworzę i lodówkę też”. „No - mówię - to z ciebie dobry spec!” Roześmiał się.

Nad wieczorem jedziemy. Jedni mówią, że do Taszkientu, drudzy mówią, że do Turkiestanu, ale tu naprawdę dowiedzieć się jest trudno, bo jak pytam kolejarza, to on mówi *nie znaju*. Widać mieli przykazane, żeby nic nie mówić.

Kradzieże się widać często trafiały, bo teraz pociągi zatrzymywali albo przed miastem, albo za miastem i nieraz stało się i całe dwa dni w polu.

Dojechalim do Taszkientu, tu dali nam chleb na cały pociąg, tylko na dokumenty. Podchodzili komendanci z każdego wagonu po kolei i zabierali, też bezpłatnie, obiad i nad wieczorem już jechaliśmy dalej. Gorzej było, gdy się pociąg zatrzymał na małej stacji, to tu jak dostaliśmy chleb, to musieliśmy płacić po rublu za porcję osiemset gramów. A jedzenie mało kiedy można było kupić, kiszki walca grały, ale na to nie było rady.

Razu jednego przejeżdżamy góry uralskie, które się ciągną prawie przez całą Rosję. Za tymi górami jechaliśmy pod górę. Z jednej strony wysoka góra, kilkanaście metrów,

z drugiej strony kilka, a nieraz kilkanaście metrów w dole płynie z gór rzeka, nie bardzo duża, ale szum od tej wody spadającej słychać nieraz z dziesięciu metrów.

Tymi górami jechaliśmy pół dnia, pociąg się wyginał, raz w prawo, a potem w lewo, w takie esy i rzeka tak samo się kręciła. Nieraz jechalim, że ściana gór zwisała nad pociągiem, aż strach było patrzeć, a pociąg szedł powoli. Ja nieraz myślałem, że chyba na tę górę nie wciągnie, ale pomału wszędzie poszedł.

W końcu listopada 1941 roku przejechalim te góry i dojechalim do miasta Turkiestan. Tu przejechalim stację. Za miastem pociąg się zatrzymał i odczepili lokomotywę. Naprzeciw była jakaś fabryka dość duża. Pracowali tam ludzie, chyba też *zakluczeni*, bo *strelki* z karabinami chodzili po rogach ze wszystkich stron, widać tych ludzi pilnowali.

Gdy to nasi zobaczyli, stał się popłoch. Mówią, że nas tu przywieźli do południowych łągrów. Pojedyncze osoby, których rodziny nie zobowiązywały, zaczęły się wymykać. Ilu ich poszło i gdzie, tego nie wiem, ale chyba kilkunastu. Kobiety zaczęły płakać, mężczyźni je pocieszali, ale też każdy chodził jak struty i myślał, co to z nami będzie dalej. Zaraz za fabryką tor się rozjeżdżał - jeden szedł prosto na południe, a drugi na południowy wschód.

Paškiewicz i ja z nimi, i Antek z workiem idziemy z dokumentami na stację za chlebem. Znaleźliśmy naczelnika i chleb nam wydali, a obiadu dla nas nie mieli. Powiedzieli, że na innej stacji dostaniemy na pewno. Wróciliśmy do wagonu, chleb rozdaliśmy i mówimy, że na następnej stacji mamy dostać obiad.

My, co mamy dokumenty do wojska, pojedziemy prosto, a inni pojedą na południowy wschód. Ale że tych do wojska była mała ilość, to podzielili cały transport na dwie połowy. U wszystkich były miny kwaśne. Tak się to wszystko pokręciło, jedni od nas poszli do innego wagonu, a do nas przyszli znowu inni ludzie i znajomy z Kupisk Łazarski. Tak że ze znajomych to tylko był Paškiewicz, Łazarski, Machuła, Ryk, Jaszczuk i te panie z Wilna, i ja. Reszta w naszym wagonie to byli nieznajomi. Razem jechało nas pięćdziesiąt osób.

1 listopada dojechaliliśmy do jakiegoś niedużego miasta. Patrzą, chodzi tu porucznik w zielonym mundurze i starszy sierżant obok. Drugi pociąg stoi na innym torze, ludzie się kręcą po stacji. Ja podszedłem do tego porucznika i mówię, że nas tu pięćdziesięciu jedzie do wojska, do polskiej armii. Czy to jeszcze daleko mamy jechać? A on mówi: „Panowie, musicie na razie jechać do kołchozów, bo teraz nie mamy ani umundurowania, ani zaprowiantowania. Gdy to otrzymamy, to przyślemy zawiadomienie i do czterdziestego piątego roku życia wszystkich do wojska przyjmujemy”.

Ludzi się naschodziło całą gromadą do tego porucznika. Dopytują się, a on wszystkim to samo mówi, co i mnie powiedział. Teraz każdy idzie na stację coś kupić. Mamy tu dostać obiad, ale gdzie tam! Ani obiadu, ani kupić. Poprzychodzili wszyscy do wagonów. Ja to miałem jeszcze pół chleba, tom kawałek zjadł i to tak, żeby nikt nie widział, bo zaraz by prosili, ale wszystkich nie obdzielisz. Wszyscy są głodni, a jutro też nie wiadomo, czy co dostaniem.

Tu stojaliśmy do wieczora. Już wieczorem przyjechał cały długi transport furmanek zaprzężonych bykami, krowami i osłami, i dużo osłów było poprzywiązanych. Był jeden urzędnik z listą i czytał - do tego kołchozu tyłu, do tego tyłu i z obydwóch transportów tak odczytywał. My byli przeznaczeni do kołchozu - siedemdziesiąt sześć osób. No i zaraz wsiadali na te furmanki, które przysły po nas już z tego kołchozu. Ja wsiadłem na osła. Kto umiał jechać na koniu, to też siadał na osła. Było parę furmanek na wielbłądach, a jeden Kazach miał jednego osiodłanego i na nim jechał.

Było to 1 grudnia 1941 r. Zimno było, wiatr ciął po twarzy a my wlekli się pomału, pomarzliliśmy strasznie. A te panie z Wilna zostały na tej stacji. Widać miały pieniądze, bo mówiły, że tu wynajmą jakąś chałupę i tu będą zimować. „Bo w kołchozie trzeba pracować, a my do pracy się nie nadajemy” i zostały.

My na tych osłach jechaliśmy dużo prędzej, jak ci co furmankami, ale strasznie pomarzliliśmy. Zaczął padać drobny deszcz, zrobiło się błoto. Posiadaliśmy z osłów i idziemy pieszo, ażeby się rozgrzać. Oglądaliśmy się, czy wozy za nami jadą, ale nie widać. Idziemy. Mówimy, że jak dojdziemy do jakiegoś kołchozu, to tam zaczekamy na furmanki.

Teraz idziemy pod górę, to zrobiło się jeszcze ciężiej, ale idziemy dalej, zawsze coś spotkamy. Ale znowu z tymi Kazachami, czy my się rozmówimy? Tylko umieją powiedzieć: „Dobra kołchoz” i ręce przykładają do głowy i ryczą mu! mu!, to znaczy, że mają krowy.

Ujechaliśmy jakieś może dziesięć albo więcej kilometrów i nic nie spotkaliśmy. Popuszczaliśmy te sznurki, co się nimi osły kieruje i idziemy wprzód, a te osły za nami. My rozmawiamy nie oglądając się. Potem się obejrzeliśmy, a osłów ani jednego nie ma. A niech cię szlag trafi! Co my teraz zrobimy? Czy się wrócić, czy iść dalej? Postaliśmy trochę, a tu zimno! O mój Boże, co tu zrobić?! Postanowiliśmy nie wracać. Osły pewnie się wróciły do tamtych, co idą przy furmankach.

Ledwie nogi stawiamy, ale jeszcze pomału idziemy. Doszliśmy już na szczyt góry. Patrzymy, stoi jakaś chałupa, taka większa, podobna do czajchany. Zachodzimy do niej, a tam jest z dziesięciu Kazachów. Myśleliśmy, że może tu coś kupimy, ale gdzie tam! Rozmówić się z nimi nie można ani dogadać, pokazują, że tam, głowami kiwają, że niby tam jest kołchoz i

tam można coś kupić. Idziemy, może ten kołchoz jest niedaleko, może co kupimy, może się gorącej wody napijemy, aby się rozgrzać.

Potem już szlim z góry, było lżej iść. Z góry płynął strumyk i brała tam dziewczyna wodę, ubrana po polsku i była Polką. Od niej dowiedzieliśmy się, że tu w kołchozach już są Polacy i nic nie dostają, tylko zamieniają ubranie na życie. Poszlim z nią do chałupy. Tam mieszkała jej matka i jeszcze troje młodszych dzieci. Ugotowali nam trochę klusek i pokazali, gdzie można kupić lepioszków. Podziękowaliśmy i poszlim do wskazanego budynku.

Tu zastaliśmy młodego Kazacha, który umiał po rusku mówić. Mówimy, że jesteśmy głodni i żeby nam coś sprzedał do jedzenia. Zrazu mówił, że nic nie ma, a potem wyjął spod worka pięć cienkich lepioszków i mówi, że jeden lepioszek jeden rubel. Zapłaciłem pięć rubli i zjedliśmy na sucho, bo nawet wody gotowanej nie dał. Kazał nam iść dalej. „My też mamy przydział, może przyjdą dziś lub jutro do nas” - powiedział. Ale tu niedaleko jest kołchoz, to tam będzie można kupić lepioszków albo chleba. Widząc, że tu nic nie mamy do roboty, mówimy, że idziemy do tego kołchozu. On ma być niedaleko, a nazywa się *Pierwyj Maj*.

Idziemy, deszcz drobny pada, teren gliniasty, buty oblinają łatanę i dziurawą, nogi cały dzień mokre. Już znowu przeszlim jakieś przeszło dziesięć kilometrów, a kołchozu nie widać. Ale pomału idziemy do tego Pierwszego Maja, może już do niego niedaleko. Nogi boją, czujemy się ogromnie zmęczeni, ale idziemy noga za nogą. Ja jeszcze miałem tłumoczek, to już niósł go Ryk, bo ja sił nie miałem.

O godzinie może jedenastej w nocy doszliśmy do tego Pierwszego Maja. Dwa psy rzuciły się do nas, czekając zawzięcie, ledwie się od nich odegnaliśmy. Wyszło z chałupy trzech młodych Kazachów i pytają się, czego my chcemy. Jeden umiał po rusku mówić. Mówimy, że chcemy jeść i przenocować. Zaprowadzili nas do większego budynku, nawet obielonego. Tam było dwóch Kazachów starszych, jeden też umiał po rusku mówić. Dali nam po lepioszce jednej i mówi: „Tu już są wasi ludzie. Chcecie, to idźcie do nich i tam nocujcie, bo innych drużnych izb nie mamy”. Mówimy: „To zaprowadźcie nas do nich”. Ci młodzi nas prowadzą i pokazują, że i w tym drugim też mieszkają.

Podchodzimy do drzwi i pukamy. Odezwała się kobieta. „Kto tam?” Mówimy: „Polacy. Jesteśmy zmęczeni i chcielibyśmy przenocować. Tylko do rana, bo musimy iść do swego kołchozu, jeszcze dalej”. Słyszymy cichą rozmowę w domu, a potem odpowiedź: „U nas jest tak ciasno, że nie możemy panów przyjąć. Poszukajcie sobie innej kwatery”.

Ja mówię, że nam tu kazali, a my nie wiemy, gdzie szukać innej. Wcale się nie odezwali i nie otworzyli.

Poszlim do drugiej, to samo, wcale się nie odzywają. Do trzeciej, to samo się nie odzywają. Idziemy z powrotem do tego białego domu. Wyszedł jeden i mówi, że tu niedaleko jest kołchoz, w którym nie ma Polaków, to tam przenocujemy. Ten kołchoz nazywa się Sztube. Idziemy. Już czujemy, że jakieś trzy kilometry przeszlim, a kołchozu nie widać. Mówimy, że trzeba się wrócić, bo to może jeszcze z dziesięć kilometrów albo i więcej do tego Sztube i wróciłem. Przychodzimy do tego białego domu.

Pukamy. Wyszedł jeden z tych starych. Dalej ja go wziąłem rugać, że on nas oszukał i mówię: „Dawaj nam kwaterę!” On mówi: „Chodźcie!” i zaprowadził nas do jednej chałupy. I powiada: „Tu możecie przenocować” i zabrał się i poszedł.

Otwieramy drzwi, a tu jest most, jeden przy drugim leżą i śpią. Było tam miejsca może jeden metr kwadratowy i my tam tak posiadaliśmy i tak na siedząckę drzemaliśmy. Ale ci, się obudzili, dalej się z nami zaczęli kłócić, że im tu i bez nas jest za ciasno. Ja mówię, że chyba do rana wytrzymają, bo rano pójdziemy do swego kołchozu. No i ucichli. Ale po akcencie mowy poznaję, że to sami Żydzi. Było ich dwunastu i jeden Polak.

Na siedząco nogi bołą, a położyć się nie mogę. Rozglądam się i patrzę - przy oknie jest mała przerwa, że można by się położyć. I tam pomału kładę się. Oni znowu rejdach podnoszą. Ja mówię: „Ściśnijcie się, bo mnie nogi bołą! Muszę się położyć!” Kłócili się, ale nie ustąpiłem.

Była tam jakaś słoma czy zielsko. Najprzód usiadłem, buty z nóg zdjąłem, buszlakiem się nakryłem, kapotę podłożyłem pod głowę i zaraz usnąłem. Rano przyszedł młody Kazach i woła nas do *predsiedaciela*. Idziemy, dał nam po lepioszce i każe nam iść do swego kołchozu.

On się nazywa Imbek i w nim jest *selsowiet*. Pokazał nam drogę i mówi, że do niego jest niedaleko. „A ile jest kilometrów do niego?” Mówi, że pięć albo sześć. No to mówimy: „Idziemy do tego Imbeka”. Gdy przeszlim już z dziesięć kilometrów, ujrzelim chałupy tego kołchozu. Widzimy, mężczyźni się tam kręcą. Pytamy, czy to jest *selsowiet* Imbek. Głowami kiwają, że tak. „A gdzie jest *selsowiet*?” Pokazują taki większy budynek i głowami kiwają, że tam.

Zachodzimy prosto do *selsowietu* i mówimy, że my tu jesteśmy przydzieleni do tego kołchozu. Nic nie odpowiedzieli. Mówimy, żeby dali nam jeść. Poszedł jeden i przyniósł nam po jednej lepioszce. I prowadzi nas dwóch do małej chałupki, a do drugiej trzech, już niby na kwatery stałe.

Gdy wszedłem do tej lepianki, tam już było trzech Polaków. Mówię: „Dzień dobry panom”. Odpowiedzieli dzień dobry, ale jeden tak się na mnie patrzy i mówi: „Zdaje mi się,



że to pan Pieńkowski z Drozdowa”. „Tak, poznał pan mnie, ale też i ja pana poznałem. Pan Franciszek Antkiewicz z Pniewa.” Przywitaliśmy się i pocałowali i przypomnieli, jak nas razem z łomżyńskiego do mińskiego więzienia wieźli.

On zaraz wyjął z jamory garczek z makaronem zabielonym mlekiem, zwany w całej Rosji łapszo, dał mi i mówi: „Niech pan je, ja wiem, że pan jest głodny”. Nie dałem się prosić, zjadłem połowę, a drugą połowę dałem Łazarskiemu z Kupisk. To było już nas trzech znajomych z powiatu łomżyńskiego.

Pytam się Franka, czy ty to łapsze kupił, czy wam dali? On mówi: „Już trzy dni tu jesteśmy i kobieta nam jeść przynosi”. Franek opowiada, jak jego aresztowali. Oskarżył go jeden, że on kupił karabin na Wygodzie. Przyjechało pięciu z NKWD samochodem, zastali go w domu, zabrali i przywieźli do więzienia w Łomży. Na drugi dzień biorą go na śledztwo. Pytają się go, czy masz karabin. On mówi: „Mam”. *Śledowaciel* się pyta: „Gdzie go masz?” Powiada: „Zakopałem go w ziemi”. „To czemuś go nam nie oddał? Ty jesteś partyzant!” „Ja nie partyzant, ale ja się was bojał. Jak chcecie, to jedźcie ze mną, to ja wam pokażę, gdzie on jest i go zabierzecie”.

Po tym zeznaniu odprowadzili go do celi. Za jakieś dwie godziny wyprowadzili go na podwórze, potem przyszli do bramy we czterech, za bramą stał już samochód i ten jakiś starszy powiada: „Siadaj!” „Sam usiadł przy kierowcy, potem ja usiadłem w środku samochodu, jeden usiadł obok mnie, a dwóch z tyłu za mną. Jedziemy. Nie powiedzieli, ale widzę, że jedziemy w kierunku Pniewa. Przyjeżdżamy do Pniewa, kierowca się pyta, gdzie teraz ma jechać. Ten z przodu obraca się do mnie i pyta się, gdzie mamy teraz jechać. Pokazałem i przyjechalim na moje podwórze. Mogła być godzina czwarta po południu. Ten starszy powiada: »Prowadź, gdzie zakopałeś *wintówkę*«. Więc ja idę pierwszy, a trzech idzie za mną. Z domu wziąłem szpadel. Przy miedzy miałem go zakopanego, odkopałem i wracamy na moje podwórko. Karabin zaraz jeden wziął ode mnie i idziemy do mieszkania.

Pierwszy szedł ten starszy, dwóch za nim z tyłu. Gdy pierwszy był już za progiem w domu, ja momentalnie obróciłem się i jak dałem byka temu pierwszemu, co szedł za mną! On się potoczył na tego, co za nim szedł, a ja bęc! tego drugiego i sam dęba na podwórze. I za stodołę i uciekam w pole, a oni za mną wszyscy. I od razu z czterech karabinów zaczęli strzelać. Jeszcze - powiada - miałem cztery metry do rowu. Później już był las. Ale jedna kula trafiła mnie w nogę, krew zaczęła płynąć. Czuję, że nie ucieknę. Przewróciłem się, a oni jeszcze strzelali. Dopadli do mnie, zaczęli mnie bić i jeden krzyczy: „Wstawaj *i chadzij!*”, ale ja nie ustoję, mówię, że mnie noga boli. Ten, co dostał byka głową ode mnie, złapał mnie za rękę, ale ja rękę wyszarpnąłem i ja go złapałem swoją ręką za jego rękę. Jak zakręcę! A tu

pęk!, jak grubszy patyk kość pękła. Jak on krzyknie z bólu! A ci trzej jak dopadną do mnie, jak kolbami wezmą mnie bić! Potem przyciągnęli mnie do samochodu, wsadzili na samochód i przywieźli do Łomży. Ja chusteczką zawiązałem sobie tę ranę. Do doktora mnie nie prowadzili ani doktor ani razu u mnie nie był. Z samochodu dyżurny mnie zszadził i pod pachę zaprowadził do celi. Rana się zagoiła, ale co ja dostał za tę rękę, co złamałem i za tę ucieczkę! Bili i mówili: »Ubić bandytę!« Osadzili na piętnaście lat w lasy archangielskie na robotę.”

Potem powiada do mnie: „Panie Pieńkowski, kiedyśmy się tu zobaczyli, to się już pilnujmy razem. Niech pan tu razem ze mną mieszka i jakoś będziemy żyć”. Ja mówię: „Zgoda, zostanę”. Ale tylko to wymówiłem, drzwi się otwierają i ten Kazach, co mnie tu przyprowadził i Łazarskiego razem, kiwa ręką, żebyśmy wyszli. Wychodzimy, patrzę, a tu nadciągnęła cała nasza karawana, cośmy razem od kolei jechali na furmankach z krowami, osłami i na wielbłądach i nam każą dołączyć do nich. Ja mówię, że tu chcę zostać, ale ten, co prowadził, nie chciał się zgodzić i musielim dołączyć do swoich.

Pożegnaliśmy się z Antkiewiczem i jego dwoma kolegami i ja mówię: „Niedaleko od siebie będziemy, to do siebie będziemy przychodzić”. Antkiewicz mówi, że zobaczy. Jak tu mu się nie spodoba, to przyjdzie do mnie. Mówię: „Dobrze, przychodź, będziemy razem”.

Ośle i krowy trochę wypoczęły, starej suchej trawy pojadły, bo była już późna jesień. Powsiadali na nie, a ja wlażem do Kazacha na wielbłąda z tyłu. Kazacha się trzymałem i jedziemy do kołchozu Imbek, jeszcze mamy do niego piętnaście kilometrów.

Jechałem połowę drogi na tym wielbłądzie, ale sprzykrzyło mi się. Zlażem z niego i idę piechotą, ale znowu nogi bołą. Jeden osioł był przywiązany do woza, nikt na nim nie jechał. Ja go odczepiłem, wsiadłem i jadę, ale on idzie bardzo wolno, tak że ja zostaję z tyłu, coraz dalej. Wreszcie położył się pode mną, a ja stoję nad nim. Niech cię krew zaleje! - krzyczę. Szarpie go i szturcham, gdzie tam, nie wstaje! Krzyczę, wołam do tej całej karawany, ale widać nie słyszą, oddalają się. Poszedłbym piechotą, ale miałem taki mały tłumoczek i on na nim leżał i wydostać go spod niego nie mogłem.

Całe szczęście, że jeden Kazach obejrzał się. Była tam równina. Zobaczył, że stoję, przyjechał też na osle, a miał kij. Jak go weźmie tym kijem okładać! Osioł wstał. Każe mnie na niego siadać, wsiadłem. Jedziem, on trochę z tyłu i coraz to mu kijem dowali, tak że dojechalim tą karawaną do kołchozu i wjechalim razem.

Z całego kołchozu zeszedli się mężczyźni i kobiety z dziećmi. Zatrzymaliśmy się na takim równym placu. Patrzymy- na ogniu stoją samowary już z gotowaną wodą. Naznosili kubków i chleb na kocu leży całą gromadą. My posiadaliśmy, było to czwartego grudnia 1941 roku. Kołchoz ten nazywał się Kazałtu. Cztery kobiety zaczęły nam nalewać wodę

z samowarów do kubków, nie bardzo pełne, a zamiast esencji to w jednym kubku miały odtłuszczone mleko i po kilka kropel dolewały do każdego kubka z nalaną wodą i podawały każdemu z nas. Kto już dostał kubek z wodą, to zaraz dostał i lepioskę. Tak wszyscy oni patrzyli na nas, jak my się uwijali, bo wszyscy byliśmy bardzo głodni. Zdążyliśmy wypić i zjeść lepioskę, to nalewały do kubków na nowo wodę i kilka kropel tego odtłuszczonego mleka i dawali drugą lepioskę.

Z czego oni piekli te lepioszki? Tam płynęła taka wąska struga wody. Oni ją tam wstrzymali dosyć wysoko i tam, gdzie ona spadała w dół, sklecili jakiś młynek, jak dawniej u nas były żarna i tam męli pszenicę. Ale ta mąka była jak u nas zwana razówka. Pszenica była bardzo sucha, bo młócili ją na wyrównanym placu. Ziemia jest gliniasta, a deszcz w lecie nie pada, tylko późną jesienią i wczesną wiosną. To ta ziemia w lecie jest twarda jak skała. Na wyrównanym placu leży na środku wkopany słup dość gruby z żelaznym bolcem na wierzchu i jest założony jak u nas na kieracie długi, walnie gruby drąg. Do niego po brzegach są poprzywiązywane tak zwane orczyki i do nich zakładają krowy w jednym brzegu i w drugim po dwie krowy i po jednym chłopie w jednym brzegu i w drugim do poganiania tych krów. Krowy są poprzywiązywane na jedną odległość, żeby nie szły ani w jedną stronę za daleko, ani za blisko. I tam, gdzie one będą chodzić, będzie położona pszenica i krowy będą ją tak młócić.

Po omłóceniu mają place wyrównane, długie około dwudziestu metrów i tam tę pszenicę sypią w takie kopce jak u nas kartofle. Tam nie było żadnych stodół ani żadnych spichrzów.

Ale teraz wrócę się jeszcze do naszego przyjęcia. Wszyscy najedliśmy się do syta. Jeden Kazach siedział naprzeciw mnie i stale mi się przyglądał. Nie wiedziałem dlaczego. Po skończonej gościnie on przychodzi do mnie i pokazuje, że on nie ma na przodzie jednego zęba, a ja na przodzie miałem na zębie złotą koronkę. Więc palcami pokazuje na migi, żebym ja ten swój ząb wyjął i dał jemu, to on sobie wsadzi a mnie za niego da lepioszków. Po rusku ani słowa nie rozumiał, to nawet nie wiedziałem, ile on by mi tych lepioszków chciał dać za ten mój ząb. Ja się roześmiałem, no i dałem mu znać głową, że zęba mu nie dam. Ale za to on się pomścił na mnie, gdy odchodził z kołchozu. Będę pisał później o tym fakcie.

Po rosyjsku w tym kołchozie to tylko trzech umiało mówić - *predsiedaciel*, brygadier i jeden traktorzysta, nazywał się Kanałab Sadwaj. Prawie wszyscy na twarzach brązowi, a ludzi białych takich jak my oni nigdy nie widzieli. Do żadnego miasta nie wolno im było jechać, a nawet iść do drugiego kołchozu. Tylko jeden listonosz codziennie jeździł na ośle

do *selsowietu* z pocztą. Domy mieli z gliny, budowali całym kołchozem i tylko na wiosnę, jak ziemia odmarznie, bo już w lecie jest sucha jak skała.

Na budowę wychodzą wszyscy mężczyźni z łopatami i szpadlami, a kobiety z wiadrami i kubkami. Młodsze kobiety noszą wodę, a starsze będą polewać glinę. Jak mężczyzna położy na ścianę to ona kubkiem wody poleje. Glinę biorą obok tego domu, co go budują. Od razu chłopcy stają na czterech ścianach i przy każdej ścianie w odległości pół metra jest rów po wybranej glinie. Domy przeważnie pięć metrów długie, a cztery szerokie. W żadnym domu drzwi ani okien, tylko goła szyba siedzi w glinie, przeważnie pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów. Taki dom - glinianka jak wyjdą rano, to już na wieczór skończą, przeważnie jedno pomieszczenie. Sufit to jednocześnie dach razem, pojedynczy. Przy tej strudze rosną krzaki, nawet dość duże, to ich naklejącą i gliny na nich nakładają, spód jest na wszystkie cztery strony. A zamiast drzwi to w lecie wisi jakiś materiał cienki, a w zimie to jeszcze i gruby koc wełniany.

W domu żadnym nie ma żadnego stołu ani krzeselka. Wszyscy siadają na ziemi i nogi podwijają pod siebie. Podłóg też nie ma, tylko gliniane i na nie kładą grube wełniane koce, bo owce tam hodują i według planu oddają do państwa - wełnę i mięso, resztę, co zostanie, to mają dla siebie.

Drzewo tam żadne nie rośnie, tylko krzaki przy strudze i miejscami rośnie trzcina. U niektórych to sufit jest z krzaków i razem z trzciny. Choć nierówny, jest wylepiony gliną, zakopcony dymem z piecyka i kurzu pełno. Piecyk blaszany całe lato stoi na dworze, a w zimie w domu z rurą. Na nim stoi kociołek ciugonny, czarny, do gotowania i pieczenia lepiosków i do wszystkiego, żadnych garnków nie mają.

Po godzinie zaczęli nas rozprawadzać po kwaterach. Mieli dużo pustych chałup. Razem do tego kołchozu przybyło siedemdziesiąt sześć osób, w tym cztery rodziny. U Kazachów, gdy byli bez dzieci albo mieli tylko dwoje, to razem łączyli i wszystkich umieścili. A nas sześciu wziął brat *predsiedaciela* do siebie. Byliśmy przemarznięci, nogi mokre, ubranie też.

Posiadaliśmy przy piecu na ziemi na rozestłanym wojłoku. Przed nami położył jakąś białą szmatę, ale już była trochę brudna i na niej położył osiem lepiosków walnie grubych. Później jedo żona przyniosła sześć kubków białych, bez uch i poszła po samowar i po wodę, którą miała już ugotowaną, jeszcze była trochę gorąca.

Ponalewała nam wody do kubków, a jeszcze w jednym kubku miała mleko i zamiast esencji dolewała nam po trochu tego mleka. Gdyśmy zjedli te osiem lepiosków i wypili po dwa kubki tej zabelonej herbaty, najedliśmy się doskonale, a oni tylko się przyglądali, jak

my z apetytem wcinali. Gdy już skończyli jedzenie, ona samowar zabrała, a garnek ciugonny, którym nam wodę przyniosła, postawiła na piecyku i oboje poszli. A my szykujemy się do spania. Ale jak my tu będziemy spać? Wszystko jest na nas mokre, a tu na gołej glinianej podłodze będzie nam zimno. Żeby choć trochę słomy albo siana, a tu nic nie ma.

Gdy tak desperujemy, żona tego Kazacha przyniosła nam duży kawał starego wołłoku. Rozpościelił go i położyliśmy się spać. Jeden do drugiego się przytulił, żeby było trochę cieplej. Ale sen pod mokrym przykryciem nie bierze. Jeszcze żaden z nas nie usnął, a tu wchodzi do nas gospodarz z dużą miską drewnianą i stawia ją przy nas. Żona jego świeciła mu małą lampką i on pokazuje nam na migi, żeby jeść. Był to makaron z pokruszonym serem, to się nazywa *łapsza*.

My już byliśmy niegłodni, ale zjedliśmy wszystko, a Kazach był zadowolony, bo się tylko uśmiechał. Widać po nim było, że chciałby z nami rozmawiać, ale on po rusku nic nie umiał, a my po kazachsku też nie umielim. Mówimy mu dziękujemy. On też powiedział z uśmiechem dziękuję, zabrał miskę i poszedł.

Ja mówię: „Aleśmy się dziś najedli! Chyba na dwa dni. Nie pamiętam, kiedym się tak najadł w Rosji”. I na nowo kładziemy się spać, znowu się tulimy na ścisło, żeby było choć trochę cieplej i spalim do rana.

Rano przychodzi do nas żona tego Kazacha z mąką i wodą i pokazuje nam na migi, że będzie nam jeść gotować. Fajno jest, mówimy sobie. Zerwalim się wszyscy na nogi, zaczęliśmy się myć i sprzątać po sobie. Ona przyniosła takiego zielska suchego zwanego disanem do palenia w piecyku, bo drzewa tam żadnego nie było. Nalała wody do garnka i rozpałała ogień i pokazuje nam, żeby kłaść na ogień to zielsko do piecyka. Sama położyła skórę baranią na tej glinianej podłodze, nasypała na nią mąki i wlała wody, uklękła i gniecie ciasto. Po ugnieceniu miała wałek i na tej skórze rozwałkowała, potem nożem porznęła i na gotującą wodę kładzie te paski do garnka. I po paru minutach już ich wydostaje do drewnianej dużej miski. Przyniosła w kubku mleka odciągniętego, połała po tej tak zwanej *łapszy* i pokazuje, żeby jeść. Przysunęliśmy się do tej miski, ale dwóch naszych kolegów nie miało łyżek. Pokazujemy jej, żeby przyniosła nam dwie łyżki. Ona ramionami wzruszyła i głową pokręciła, że nie ma. Oni łyżkami nie jedzą, tylko trzema palcami, nawet i zupę.

Gdy siadają do jedzenia, to rękawy zaginają aż za łokieć i przy jedzeniu wcale się nie pochłapią, bo gdy mu płynie zupa po ręku, to on językiem złapie, nie da jej upaść. A jak bardzo rzadka zupa, to nalewają do kubków.

Ten kołchoz to był duży, przeszło osiemdziesiąt rodzin w nim pracowało. Każda robota w polu odbywała się gromadnie, całą gromadą i to w każdym kołchozie. Najwięcej w polu sieli pszenicy, potem jęczmień, słonecznik i proso. Z owoców sieli arbuzy, kawony i inne tamtejsze frukta. Kapusty, buraków, kartofli tam nie znają. Czosnek rósł tam taki mały, polny, przeważnie na cmentarzu, cebuli też tam nie widziałem.

Zwierzęta tam hodowali - krowy, dużo owiec, osły, muły i wielbłądy, ale mało, zależy jaki kołchoz. Również chowali dużo kur, ale od wszystkich zwierząt opłacali podatek. Kołchoz oddzielnie i każdy, kto chował w domu, miał wyznaczony podatek i kontyngent mięsa, mleka, masła, jaj, prosa. Tę kaszę z prosa tłukli w takich stępach.

Wszystko odwozili do rejonu. Konie też chowali, ale mało, najczęściej osłów i owiec - duże stada kołchozowe i oddzielnie - każdy sobie. Wszystkie zboże idzie do kupy. Po omłóceniu odwożą wyznaczoną ilość do rejonu, resztę sypią w kopce. Podziela na wszystkich według wyrobionych procentów, a na wiosnę po obsianiu wyznaczonych hektarów to, co zostanie, znowu dziela na wszystkich procentowo.

A gdyby zabrakło na nasienie, to pożyczają w rejonie, ale zaraz, jak tylko zaczną młócić, to pierwsze zboże muszą odwieźć do rejonu i załatwić dług, a potem wyznaczony kontyngent, i resztę, jak zwykle, według procentów, ile kto wyrobił.

Najgorzej jest tam dorastającym kawalerom. Jak się chce żenić, to musi sobie kupić pannę na żonę u jej rodziców. A im ładniejsza, tym jest droższa. Ci rodzice, którzy mają kilka córek, to są bogaci. A którzy mają kilku chłopców, to liczą się do biednych, bo muszą kupować dla synów panny na żony. Tylko ładnych dziewczyn to tam jest mało. Po urodzeniu nie szczepią ospy, z tego powodu jest dużo ospowatych, u nas nazywali takich gradowatych. Poza tym chorych dużo jest tam na syfilis. Jest to groźna choroba, dziecko się urodzi u takich rodziców, to już ma wrzody na ciele i nieraz ma ich dużo. To przeważnie bywa z brudu.

Gdy rozmawiałem z jednym doktorem, który jeździł dużo do chorych po kołchozach, to on mówił, że tam jest osiemdziesiąt pięć procent takich chorych i powiedział, że to jest groźna choroba, bardzo zaraźliwa i trzeba się jej wystrzegać.

Była jedna polska rodzina: mąż, żona, syn i córka, ładna dziewczyna, podobała się bogatemu Kazachowi. Chodził do tej rodziny prawie co dzień i chciał ją kupić. Dawał za nią wielbłąda, osiemset rubli, trzy owce i cztery metry pszenicy. Ale ani ona, ani jej rodzice wcale o tym słyszeć nie chcieli. A on wprost napierał. To oni mu mówili, że teraz jest wojna, on pójdzie na wojnę i może być zabity. To po wojnie, jak on wróci, to wtenczas będzie o tym mowa.

Kazachy to się wcześniej żenią, kobiety się prędko starzeją, zapracowane. Mężczyźni w domu nic im nie pomagają, nawet ręką nie tkną żadnej roboty. Idzie sobie kamieniem rzucać, kto dalej rzuci, temu w ręce klaskają. Wszyscy się zejdą z całego kołchozu, dwóch gra, a reszta się przygląda. Co miał pomóc żonie w domu, chociaż wody przynieść, gdzie tam! Żona jest od tego, jego nic nie obchodzi.

Już z samej wiosny wszystkie kobiety biorą motyki do wycinania takiej dzikiej bylicy na opał. Wycinają i składają w kopy, które stoją do samej jesieni. A już w jesieni muszą to wszystko ponosić i znowu ułożyć w kopy, bo tylko to jest opał na zimę i musi wystarczyć, żona za to odpowiada.

A to zielsko to rośnie od kołchozu pięć i sześć kilometrów. To ten postronek aż się w ramię werźnie, ale żaden chłop jej nie pomoże. Tam mężczyźni to się liczą jako coś wyższego od kobiety. On mówi - kupiłem ją to na to, żeby robiła, to niech teraz odrobi.

Ich kraj słynie od wieków z gościnności. Oni schodzą się do jednego z braci, których dwudziestu pięciu mają i jak nie ma roboty w polu, to sobie ugotują całego barana. Wyjmą go, a potem w tym kotle ugotują łapszę, ten makaron pokrojony w paski z pokruszonym serem. Tam jeden z nich ma dużą miednicę, to najprzód wyłożą barana i wszyscy bracia jedzą bardzo zadowoleni, opowiadają sobie i umawiają się na jutro do innego brata w gościnę. I tak po kolei chodzą od brata do brata aż u ostatniego kończą.

Tak samo kobiety chodzą do siostr od domu do domu i też się goszczą. Tylko jest różnica w tych gościnach pomiędzy kobietami i mężczyznami. U kobiet nigdy nie byłem, to nie wiem, jak one to odbywały. Ale do mężczyzn byłem zaproszony, to się im dobrze przyjrzałem.

Siadają, nogi podwiną pod siebie i wyjmują z kieszeni małą flaszczykę. Przechyli sobie do ust takiej żujki i ją cmoka, wysysa ją, potem wypluwa. Baran się już ugotował, oni go wyjęli i łapszę włożyli. To mięso pokrajali i zaczynają jeść, a mnie aż ślinka w ustach się zrobiła. Ale nie cisnę się do nich, do tego mięsa. Ale jeden się obejrzał, zrobił trochę miejsca i na migi pokazuje mi, żebym się przybliżył i jadł. Przysunąłem się i sięgnąłem po kawałek mięsa i zjadłem. On znowu pokazuje, żebym brał nóż. Wziąłem jeszcze jeden kawałek, ale widzę, że oni tak się uwijają. Już tam pojadłem i tylko na boku siedzę i się przyglądam. Oni zjedli, kostki na bok wysypali i wylali łapszę. Ja przysiadłem bez żadnego naczynia. Oni się poprzysuwali bliżej, rękawy pozaginali aż po łokieć i jedzą, biorąc trzema palcami. I im nic nie upada do tej zupy. Wołają i mnie do tej miednicy i pokazują, żeby jeść. Przysunąłem się i wziąłem też trzema palcami, ale wszystko z palców wyleciało. Odsunąłem się, a oni to widzieli, jak mnie z palców wszystko wyleciało. Śmieją się wszyscy, aż się za boki trzymają.

A ja się patrzę na nich po kolei. Jeden wstał i poszedł gdzieś, za parę minut przychodzi i daje jakąś starą łyżkę. Do miski nalał mi tej łąpszy, podał i ja dopiero zacząłem jeść. Oni tylko się patrzyli, jak mnie to zgrabnie szło, bo byłem już głodny.

Razu jednego trafiłem, jak dwóch jadło jakąś zupę jedną na oba boki dużą łyżką. Raz tą łyżką jeden chlupnął do ust, to ją kładł i brał ją drugi i znów zaczerpnął i chlupnął i każą mi siadać na trzeciego. Odmówić nie można, bo się gniewają. U nich tego nie ma, a my za dużo jeść nie mielim. Siadam na wojłoku i we trzech tą jedną warząchewką chlupam razem z nimi i w duchu myślę, że się śmieją. Jeden mi mówi po rusku, że tak to bliscy przyjaciele jedzą.

Przypomniało mi się, jak kiedyś tam gdzieś we dwóch palili fajkę pokoju, tak ja tu stanę się ich przyjacielem, bo jedną łyżką z nimi jadłem.

Brudny to naród. Jak wstaną, to się nie myją, tylko do jedzenia. Zawsze stoi dzbanuszek ciugonny z wodą i on weźmie w jedną rękę za ucho dzbanek i na drugą rękę polewa wodę na dłoń i tak jak kot łapą pogłaska się po twarzy i połą od kapoty obetrze się i już się umył. A do jedzenia połał na jedną rękę wody, drugi raz na drugą, zakręcił jedną o drugą i już czyste obie, obetrze jakąś szmatą albo połą i siada, i je.

Młodzież u nich wychowuje się po komunistycznym, w nic nie wierzą, a starzy jeszcze utrzymują starą wiarę. Wierzyli w księżyc, klękali na ziemi i kiwali głowami, aż o ziemię się opierali i śpiewali przy tym, jakby u nas psy wyły albo w puszczech irańskich szakale ału! ału! Jeden zawsze zaczynał trochę wprzód, a potem znowu wszyscy. Chodziłem im wodę nosić i różne rzeczy nieraz widziałem.

Razu jednego natrafiłem, jak się poród odbywał. W jaki dziki sposób na kuczajkach przy pchaniu kolanem z tyłu w krzyż przez drugą wiedźmę i zaklęcia czy modły się tam odprawia, czort ich wie! A tych urodzin to już oczekuje dwadzieścia pięć siostr, jakby się urodziła córka, a jak syn się urodzi, to będzie dwudziestu pięciu braci. Wtenczas jak córka, to baby będą się gniewać, a jak syn, to mężczyźni zrobią bimbę. Zarzną cielaka albo barana i nieraz dają podarunki na tę ucztę.

Nie wiem, jak się odbywa uczta na pogrzebie. Wiem tylko, że przez czternaście dni schodzą się, dużym kołem siadają, baran albo cielak się w kotle gotuje i wszyscy płaczą, lamentują i śpiewają, dopóki się mięso nie ugotuje w kociołku. Gdy już mięso podadzą, płacz i śpiew ustaje, zjedzą i rozchodzą się do domów.

Nieboszczykowi kopią grób najwyżej półtora metra, a ta głębokość zależy od tego, kiedy umrze. Jak na wiosnę albo w jesieni, kopią do półtora metra, a jak w lecie to trochę ponad metr, bo głębiej nie da się wykopać, glina jest twarda jak skała. Nieboszczyka owijają w białą szmatę i go chowają na siedząco. Potem sypią ziemię i zasklepią patykami, a potem



zaścielają trawą i obsypują ziemią. Tam później węże się kryją, których jest tam dużo i pewnie mają tam gniazda. A może się tym nieboszczykiem żywią, ale tego nie wiem.

Tylko raz tam przechodziłem, to widziałem, jak wąż długości może nawet więcej jak półtora metra długości schował się do dziury w takiej mogile, jak mnie zobaczył. Ale tam te węże nie są jadowne, on człowieka nie ukąsi.

Razu jednego wlaźł do naszej chałupy, do której my nanosiliłem suchego zielska na posłanie pod siebie, żeby było lepiej spać. Położyłem się do spania, ale coś się tam rusza pode mną. Usiadłem i słucham, ale się uspokoiło i spałem do rana. Ale rano przegarniam to zielsko, a tu leży wąż skręcony w taki kłębek, mógł mieć długości ponad metr. Gdy go zobaczyłem, drgnąłem i odskoczyłem, a on sobie leży spokojnie. Ja się bałem, ale nadszedł Kazach i my go zawołaliśmy, on go wziął na ręce i wyniósł, położył na ziemię i on poczołgał się dalej.

Wracam do cmentarza. Mogiły pozapadały się niczym nieogrodzone. Nikt tam zmarłych nie odwiedza i nikt się o cmentarz nie troszczy. Dopiero przyjdą, jak ktoś drugi umrze.

Ta kobieta, co nam przychodziła gotować, to była wyznaczona przez *predsiedaciela*. Dawali jej mąkę i ona nam gotowała. Tak było trzy dni. Ale czwartego dnia wołają nas do roboty, my nie chcemy iść, ale czterech poszło. Gdy przyszli na wieczór do chałupy, mówią, że tam dali im dobry obiad. Na drugi dzień przyszedł brygadier, który umiał po rusku mówić i powiada nam, że ci, co nie chcą robić, to tylko dostaną mąki po pół kila. A jak nie pójdziemy do roboty, to wcale nie dostaniemy, a tylko starcy i dzieci dostaną po dwieście gramów na dzień.

Mówimy sobie, że musimy iść do roboty. Wyszlim, on nas zaprowadził do fermy. Była tam hodowla owiec, których było przeszło dwa tysiące sztuk. Obok była druga ferma krów, było ich paręset. Tam też był ulepiony dom, dużo większy od tych pojedynczych, które Kazachy mieli. W tym domu mieszkało kilka rodzin, które dozorowały zwierząt i pasły je, jedni krowy, a drudzy owce.

Każda ferma była ogrodzona glinianym murem. Mieli dwa podwórza, gdzie zaganiali do jednego z nich owce, a do drugiego krowy. Tam na noc przyganiali pastuchy dobytek, a rano wyganiali na pastwisko. Żadnych obór dla dobytku nie było, tylko na podwórzach zimą i latem bydło nocowało. Z tych podwórek trzeba było wynosić odpady nosiłkami, ze sto metrów do takich dużych dołów, z całego podwórza, z jednego i drugiego.

Te rodziny, które tam mieszkały, gotowały dla nas obiady kolejno, którym dał mąkę i nakazał *predsiedaciela*. On się tam często dowiadywał. Dobry był człowiek, można z nim

było pogadać, dawał machorkę, kto palił, a na obiad to kazał tyle gotować, ile damy rady zjeść. Zawsze łąpsza z odtłuszczonym mlekiem i po lepioszce dość grubej.

On tam mieszkał, miał dość ładną żonę i troje dzieci. Nieraz zaprosił nas na *kipiatok* z mlekiem. Ich dzieci chciały na gwałt z nami rozmawiać, ale nie rozumielim się.

Rano jednego dnia wszedł do naszej chałupy Kazach i pyta się po rusku, kto by mu przytaskał wody. Ja się zerwałem i mówię, że ja. „No to *chadzij so mnoj*”. Idziemy ze dwieście metrów. Miał taką lepiankę, dość duża izba i mały zachowanek. Daje mi dwa wiadra blaszane i mówi: „Przytaskaj wody!” Idę w tę samą stronę, gdzie my mieszkamy i jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów dalej poszedłem, wody zaczerpnąłem i dość sporo. Idę, żeby go zastać, bo może gdzieś iść. Przyniosłem. Jest on i przyszła jego żona, młoda, mogła mieć siedemnaście lat, może trochę więcej. Ale niepodobna do tutejszych kobiet. Tu są wszyscy opaleni, tacy brązowi, a ona biała, trochę i śniada, wygląda na inną rasę, ładna, delikatna. Przygląda się mnie, a on wynosi lepioszkę. Daje mi kubek, wody nalał, potem trochę mleka dolał i mówi: „*Kuszaj!*” Ja zjadłem. On mi mówi, że on jest traktorzystą i dlatego na wojnę go nie zabrali, bo trzeba orać, siać i chleb dla tych, co są na wojnie, posyłać. Potem mówi: „Jutro i zawsze rano przychodź, wiadra bierz i wodę przynos”. Mówię, że dobrze. I tam mu codziennie noszę i on codziennie daje mi lepioszkę i kipiatok z mlekiem.

Już jesteśmy dwa tygodnie, wszystko się unormowało. Każdy chodził do jakiejś pracy i dzień po dniu leci. Któregoś dnia w nocy przychodzi do nas dwóch Polaków. Jeden się pyta, czy tu jest pan Pieńkowski. Ja się odzywam: „Ja jestem”. Był to Antkiewicz i powiada: „Rzuciłem tamten kołchoz i przyszedłem do pana, będziemy razem. Zawsze to będzie nas dwóch znajomych, to będzie nam lżej na sercu”. Mówię: „Dobrze, pomieścimy się tu razem”.

Tu płynęła taka mała struga, rosły przy niej krzaki, taka wiklina. On zaraz się wziął do roboty. Chodził po te różgi, czyścił je na biało i plótt koszyki małe i większe. A umiał tak ładnie upleść, że jak zobaczyły te koszyki tutejsze kobiety, to jedna przed drugą zamawiały, żeby on plótt. Płaciły mu dwa kilo mąki za koszyk albo kurę gotowali na obiad.

Ja też rzuciłem robotę kołchozową i zacząłem myśleć o robocie prywatnej. Z tym Kazachem się zżyłem i mówię mu: „Sadwaj, on miał takie imię, ty mi przynieś szpadel albo łopatę, a ja ci zrobię porządek dokoła domu”. Przyniósł mi szpadel. Ja zacząłem zawałać ten rów, co była wybrana glina na dom. Tego dnia zarównołem połowę od frontu, ale tak równo z małym skłonem od domu, żeby się nigdzie woda nie mogła zatrzymać. Na drugi dzień przyniosłem wodę, zjadłem śniadanie i równam drugą połowę. Na obiad żona tego Sadwaja gotuje kurę, gniecie ciasto na skórze baraniej. Później to rozwałkowała i pokroiła na wąskie paski i do tego rosółu powrzuciła, bo kura już była miękka. Wyłożyła mięso na talerz

drewniany, a lepszą na jakąś starą miskę. Zjadłem tę całą kurę i tej lepszy tylko połowę, bo więcej nie mogłem. Ale to był obiad, jak kiedyś w domu, kura i rosół, bardzo to lubiłem.

Tylną ścianę też obszykowałem, zostały jeszcze oba szczyty. Codziennie nad wieczorem przychodzili Kazachy, żeby im to zrobić. Sadwaj widzi to i boi się, żebym do drugiego nie poszedł, a nie skończyłem jeszcze szczytów. Powiada do mnie: „Aleks, ty nie idź spać tam do kolegów. Śpij u mnie. Będziemy razem jeść”. Mówię: „Jeść będziemy razem, ale spać pójdę tam”.

Spałbym u niego, ale u nich wszystkich są straszne wszy, bo oni na wojłokach śpią. Gdy tylko się usiadło, to już cię oblaży. I to prawie w całym kołchozie, u wszystkich Kazachów.

Widziałem, jak jedna Kazaszka zdjęła koszulę i ten szew od koszuli wzięła w zęby i tak tymi zębami ścisnęła. Po kolei przejechała od brzegu do brzegu, przegryzając w ten sposób wszystkie wszy, na które natrafiła pod szwem. A nieraz wyjmie dużą wesz, to ją wsadzi do ust i przegryzie i połknie. A drapią się niemiłosiernie i wcale się nie krępują nikogo.

Po wodę niektórzy mają daleko, ale żaden Kazach wody nie przyniesie, ma od tego żonę. To one, jak która idzie, a za nią ktoś idzie może o parę metrów z tyłu, a jej się zachce nieraz za swoją potrzebą, to ona stawia wiadra i odchodzi na bok jakieś trzy metry, siada i się załatwia. I mogą ją mijać mężczyźni czy kobiety, to jej wcale nie obchodzi. To jest naród bezwstydnym i ogromnie brudnym.

Gdy skończyłem u tego Sadwaja równanie tego placu wokół domu, to ten dom stał jak na klombie. W jednym miejscu zrobiłem taki płytki rowek na odprowadzenie wody, gdyby grubszy deszcz padał. Nie było w tym kołchozie ani jednego Kazach, żeby nie przyszedł i nie zobaczył tej roboty, wszyscy byli. Ale zapłacił mi dobrze, dał ze sześć kilo mąki i kurę.

Jednego razu gdy przyniosłem wodę, on mówi, żeby im pomóc przebrać pszenicę. Ja wiem, że to będzie nie za darmo, więc mówię, że pomogę. On był traktorzystą i tych norm narobił traktorem ponad plan, to i z mąką tak bardzo się nie liczył. Cztery dni u niego robiłem, to ona gotowała tej lepszy z odtłuszczonym mlekiem, ile tylko mogłem zjeść, a raz ugotowała kaszy jaglanej z arbuzem, bardzo była smaczna.

Po śniadaniu rozłożył grubszy koc na podłodze i wysypał na środek pszenicy. A umiał dobrze mówić po rusku. Pokładlim się na brzuchu, na tym kocu i przegarniamy palcami tę pszenicę. A w niej były takie czarne, małe nasionka. One były bardzo gorzkie. Tak gdyby

się ich nie wybrało i razem zmełło na mąkę, to jej nie można byłoby jeść, taka by była gorzka. Pszenicę przebieramy, a te czarne nasionka kładziemy do kubków.

Zaczynamy rozmawiać, a on jej tłumaczy. On leży obok mnie, a ona naprzeciw. On wypytuje się o to i o to. Ja jemu tłumaczę, jak to się nazywa po polsku. Wreszcie on się mnie zapytuje, jak się nazywa członek po polsku. Ja mówię, że tak samo jak po rusku. To on mówi „chuj”. Mówię, że tak. On tłumaczy to swojej żonie, to ona się uśmiecha. On się pyta, jak się nazywa ten interes u kobiety. To mówię, że po polsku tak samo jak po rusku. To on mówi „pizda”. Mówię, że tak. To on znowu mówi to swojej żonie, to ona znowu się uśmiecha.

Więcej nie pyta się mnie, tylko rozmawiają oboje i to dłuższy czas. Wreszcie on zwraca się do mnie i mówi: „Aleks, moja żona *jebatsa choczet*”. Ja mówię: „No to weź i *pojebaj, kak choczet*”. A on z uśmiechem mówi: „*Ona choczet s taboju*”. Obejrzałem się na nią. Była blada, a teraz ma rumieńce na twarzy, zęby wyszczerzyła i śmieje się. Wpadłem w złość i mówię: „Idź ty do pioruna z tą swoją żoną!” I więcej nic nie mówię, tylko tę pszenicę przebieram i przegarniam. Potem on znowu się pyta: „Aleks, coś powiedział »Idź do pioruna z tą swoją żoną?«” Ja mówię, że nic nie powiedziałem, tylko twoja żona jest chora. Była dwa tygodnie po urodzeniu dziecka. Nic nie mówi, a potem powiada: „Tak, moja żona *jeścio balnaja*”.

Pszenicę przebierać już skończyłem, oni pozbierali do worka. Potem on wyszedł i za chwilę wrócił i za nogi przyniósł kurę z urwanym łbem i zaczął ją skubać, a ona w garnek wody naląła i zaczęła się brać do rozpalania ognia. On skubie i tak sam do siebie mówi: „Idź do pioruna z tą swoją żoną. *Czto eto jest? Gawaryj, Aleks!*” Ja mówię, że *niczewo* nie jest, więc już mnie nie pytał. A ja myślę, czy ten drań chciał mnie tylko wypróbować, czy naprawdę chciał mi tej swojej żony pożyczyć po przyjacielsku. Tego do dziś nie wiem, bo już jedną łyżką kilka razy jedlim jako dobrzy przyjaciele.

Kura się już ugotowała, Kazaszka wyjęła ją na drewniany talerz, a na rosół miała już pokrojony makaron w grubsze paski, pokładła go do ciugonka. A my z Sadwajem zabralim się do jedzenia kury z lepioską. Kurę opchnęli całą obydwaj, potem na deser był rosółek bardzo smaczny.

Po skończonej robocie u Sadwaja namówiłem Antkiewicza i obszykowalim chałupę u *predsiedaciela*, tak samo zrobiłem ładnie. Dawał nam życie dobre, a po skończeniu dał nam po trzy kilo mąki. Od tej pory nie mogłem dać sobie rady. Wszyscy chcieli, żeby u nich robić tę robotę. No i robiłem. Za tę robotę już miałem przeszło dwadzieścia kilo mąki, to był mój kapitał. Antkiewicz za koszyki miał jeszcze więcej niż ja, byliśmy bogaczami.

Dzieci w szkolnym wieku chodziły do szkół i uczyły się po swojemu i po rusku. Starsze nawet umiały niezle mówić. Ich litery małe i duże to takie same jak nasze. Jednego razu wszedłem do takiej szkoły, zacząłem z nimi po rusku rozmawiać. Były tam same dziewczynki. Pytają się, jak ja się nazywam. Powiedziałem, że Aleks Pieńkowski. Prosiły, żeby im napisać, no bo nie mogły powtórzyć mego nazwiska. Ściany tam były bielone, dały mi gwoździa i na tej ścianie wyraźnie napisałem. One to wyraźnie przeczytały, bez błędu po kilka razy, chciały zapamiętać i zostawiłem na ścianie to swoje nazwisko i imię pisane gwoździem.

Do lutego tam było łagodnie, ale już w początku lutego zaczęły się mrozy, zaczął padać śnieg i zrobiła się zima na dobre. Łopatą już robić nie było można, ziemia zmarzła. Chodziłem przebierać pszenicę. Ale w dalszym ciągu byłem wozowodą u Sadwaja. Jak nieraz zaszedłem, a oni jedli, to zaraz i mnie do jedzenia zaprosili. Najadłem się i jeszcze dali lepioszkę. Najadłem się łąpszy, więc lepioszkę przyniosłem do swojej chałupy. Na drugi dzień gdy ja poszedłem po wiadra, jeden z naszej chałupy podpatrzył mnie, skąd ja wiadra brałem i na drugi dzień wstał raniej ode mnie. Poszedł do Sadwaja, powiedział, żeby mu dał wiadra, to on wody przyniesie. Sadwaj dał mu wiadra i on wody przyniósł. Sadwaj dał mu pół lepioszki. On po drodze zjadł i położył się spać.

Ja się ubrałem i idę po wiadra. Przychodzę, wiadra stoją pełne wody, a Sadwaj śmieje się i mówi: „Aleks, *woda uże jest!*” Nie bardzo mi się jakoś zrobiło, już się szykuję do odejścia, ale on mnie zatrzymał i dał pół lepioszki. Był to człowiek bardzo dobry i wyrozumiały. Na drugi dzień i ja raniej wstaję i wodę przynoszę jak dawniej.

A jak oni dzieci chowają? Tam nikt dziecka nie kołysze, mają niby kołyskę, ale bez złapaków, kosz zwykły, tylko podługowaty. Dziecko, czy małe, czy większe, dają do tego kosza i przywiązują go i musi leżeć. Czy to będzie zimno, czy gorąco, wszystko jedno. W lecie dużo jest zupełnie nagich, mało co w zimie lepiej ubranych. Śnieg pada, mróz parę stopni, a matka niesie na plecach na pół nagiego. Trzyma go czasem za rękę, a czasem za nogę, z gołą głową. A tu zimno! A matka czy ojciec na to nie zważa. Do Sadwaja nieraz przyjdzie mały chłopiec jego brata. To on go złapie i bierze za każdą część ciała i pyta się, jak to się nazywa po polsku. Ja mu mówię, to on zaraz swojej żonie tłumaczy. I tak jak zacznie, to tak o całym trzeba mu gadać, a on to żonie przetłumaczy, a ona tylko się uśmiecha z tego.

Roboty nie mam. Idę po wiadra, wody zaniosę, dają chleb i *kipiatoku* zabelonego mlekiem. Znowu Sadwaj coś umyśli i pyta, jak to nazywa się po polsku i tak dalej. Wchodzi jego matka wdowa, on jej tam coś opowiada, a potem zwraca się do mnie i mówi, że to jest jego matka. Ona chce ciebie wziąć za swego syna i pyta się, czy ja się na to zgodzę. Chciałem

powiedzieć to samo, jak proponował mi żonę, ale się zatrzymałem. Co to mnie szkodzi, roboty nie ma, a tu zima. Mówię: „Dobrze, zgadzam się”. Śmieją się wszyscy, ja, choć z przymusu, ale też się śmieję.

Byłem u nich teraz jako naprawdę brat Sadwaja. On mówi: „Ty nie chodź tam spać. Będziesz u nas jadł i spał, będzie ci ciepło, a tam zimno. Ty już jesteś moim bratem, to będzie nam dobrze”. Ja mówię: „Wszystko jest dobrze, jestem twoim bratem, ale u was nie będę spał”.

Nad wieczorem poszedłem do swoich na nocleg. Rano wstałem, idę do brata, przyniosłem wody, zjedlim śniadanie i on mi mówi: „Do 1930 roku to tu kołchozów nie było. Żyli tylko z hodowli owiec i krów. Były i wielbłądy, i osły, i kozy, a kur było bez liku, całe stada. Najwięcej to hodowali owiec, po paręset sztuk to miał każdy Kazach. W 1931 roku rząd naznaczył duże podatki i kontyngenty. Gdy nie chcieli się wywiązywać z tego, co rząd naznaczył, to zjechali urzędnicy i połowę wszystkiego zabrali, a z drugiej połowy zrobili kołchoz i wszystko wspólne. Kazachy zaczęli rznąć jedną sztukę po drugiej i jeść, i nie odsyłać do rządu. W 1932 roku rząd wysłał armię Budionnego, Kozaków tysiące kawalerii. Oni wszystkie budynki poprzewalali i poniszczyli. W prawie całym Kazachstanie mieli meczety, wszystko porozwalano, kułaków bili na śmierć. Wszyscy, którzy zdążyli, uciekli w góry. Wszystek ich dobytek zabrano. Trzy lata to oni nic nie mieli. Tylko tam po górach bardzo dużo dzikich kur było, tam się niosły, gdakały, koguty piałły. Żółwie duże były chyba po jakieś cztery kilo, albo i po pięć były, jaja żółwie to były jak u nas gęsie, to oni się tym żywili.

Po trzech latach poschodzili się i założyli kołchoz. Dali im na początek po dwie owce albo po jednej kozie. Młodzi się porozchodzili, a starzy to woleli wyjść z gór, bo tam poumieraliby. Tak mi opowiadał Sadwaj w 1941 roku. Ile jest w tym opowiadaniu prawdy, to nie wiem.

10 lutego rano przyszedł do nas Kobylański, polski brygadier, który był tam ze swoją rodziną i była tam jeszcze jedna rodzina Kazimierza Kozaka. Obie rodziny były z okolic Stanisławowa. Przybyli oni dziesięć dni przed nami do kołchozu Kazałtu.

My jeszcze w najlepsze spalim potuleni z zimna, gdy wszedł Kobylański i krzyczy: „Wstawajcie, leniuchy! Jedziemy do rejonu na komisję wojskową, wszyscy Polacy od lat osiemnastu do czterdziestu pięciu. Po zbadaniu przez komisję za nadających się może nawet od razu pójdziem do wojska polskiego. Ubierajcie się prędzej i idźcie do *predsiedaciela*. Tam każdy dostanie trzy kilo mąki na drogę. W dwa wozy pojedziemy do rejonu. Zabierajcie się z rzeczami, co kto ma, bo może już tu nie wrócimy”.

Do rejonu było pięćdziesiąt pięć kilometrów, a krowami jechać będziemy całe dwa dni i trzeba było jeszcze krowy poganiać. Zerwaliśmy się i ubrali. Jedni poszli do *predsiedaciela* po mąkę, a ja wziąłem się za gotowanie śniadania. Zagmiotłem kluski na wodzie i miałem trochę łożu, przetopilem go i mąkę podpaliłem na nim, wymieszałem i śniadanie było gotowe.

Gdy już się wszyscy zeszli, rozdzieliłem kubkiem po równemu wszystkim. Antkiewicz mało jadł, był już chory, ale się zebrał pomału do podróży i za pół godziny byliśmy już wszyscy gotowi. Zabraliśmy z sobą, co kto miał i poszlim przed urząd *predsiedaciela*. Ja otrzymałem swoją mąkę, trzy kilo, a na stole leżały poukładane lepioszki dla nas na drogę. Piekły nam te lepioszki co bogatsze gospodynie na pożegnanie. *Predsiedaciel* i Kobylański rozdali tym, co odchodzili, po trzy lepioszki każdemu. Prócz tego zebrały się prawie wszystkie kobiety i dawały bliższym znajomym po jednej i po dwie lepioszki, inne dawały po trochu mąki. Ja też dostałem mąki z podpalanej kaszy jaglanej, potem tłuczonej w stępie na mąkę i to sporą torebkę z rękawa od koszuli. Była bardzo dobra, aż słodkawa, gdym ją trzema palcami brał i do gęby sypał. Ale po niej później ogromnie chciało się pić, to znowu trzema palcami brałem śniegu zamiast wody.

Wszystko było gotowe, a furmanek jeszcze nie widać. Już godzina dziesiąta. Kobylański i my napieramy *predsiedaciela*, żeby dawał wozy, bo już jest późno. A mróz był około 30 stopni, każdy zmarzł i chciałby już jak najprędzej jechać. O godzinie dwunastej podjechały dwa wozy, do jednego wozu były zaprzężone dwa byki, a do drugiego dwie krowy. Te wozy to były uszykowane, zamiast desek to krzywe drążki wyłożone suchym zielskiem. Pokładlim swoje tłumoki ostrożnie, żeby nie powylatywały. Ja miałem jakieś dwadzieścia pięć kilo mąki, którą zarobiłem za równanie placów, a Franek Antkiewicz miał ze trzydzieści kilo mąki za koszyki, które plół z wikliny.

Gdy już mamy odjechać, Antkiewicz wlaź na wóz. Pomogłem mu, bo był zupełnie słaby. Kilka dni stękał, że go wszystko boli, ale mówił, że aby dostać się do wojska, to już będzie dobrze. Rodziny Kobylańskiego i Kozaka, żony i dzieci, zaczęły płakać, a myśmy się za ręce odwitali z Kazachami i ich żonami. Oni już wiedzieli, że idziemy na komisję, a później pójdziemy do wojska, na wojnę.

Tak pomału zaczęliśmy jechać noga za nogą. Było równo. Ale podjeżdżamy pod górkę, sznurki się porwały u kleszczy na szyjach u byków, wóz stanął. Kazach zaczął je związywać, powiązał, a my wszyscy zaczęlim popychać te obydwie wozy, aby znowu się nie porwały te sznurki. No i wepchalim.

Zaczyna się już ściemniać, a my ujechalim dopiero piętnaście kilometrów i dojechalim do *selsowietu* Imbek.

Tu też był duży kołchoz, urząd był w starym meczecie. W nim była kooperatywa, a w bocznym budynku był spichlerz na zboże i mieszkanie dla stróża. Były jeszcze inne budynki, mieszkali w nich Polacy. Poszlim do urzędu do *predsiedaciela* z prośbą o przenocowanie. On nas porozdzielał po kilku Polaków.

Ja, Antkiewicz, Jaszczuk i Antek Machuba przydzieleni byliśmy do naszego felczera Wójcika na nocleg. Jego nie było, pojechał gdzieś na kołchoz, do chorych. Spać na glinianej podłodze było za zimno. Poszlim we trzech po trzcinę, żeby sobie podścielić. A potem pożyczylimy motyki do cięcia opału do piecyka, żeby sobie ugotować kolację. Tam rosła taka krzaczasta bylica i tam się wszyscy nią opalali. My jej nacielim i przynieślim, ogień rozpalilim i klusek nagotowalim, najedlim się i położylim spać.

Pani felczerowa skarży się, że jej jest ciężko o opał się starać na zimę, a mąż codziennie jeździ do chorych po różnych kołchozach. W niektórych okazał się tyfus plamisty. Dzieci oni nie mieli.

*Predsiedaciel* dał mu konia do jeżdżenia konno do chorych. Jak odjeżdżał rano, powiedział, że dziś nie wróci, bo jedzie bardzo daleko. Wieczorem przyszła do felczerowej jakaś wysoka kobieta, Polka. Powiedziała „dobry wieczór”. My jeszcze nie spalim, odpowiedzielim „dobry wieczór”. Usiadła na skrzynce i zaczęła opowiadać, że jej mąż był wójtem na Wołyniu. Ukraińcy go zamordowali. Ona z córką ledwie ich uprosili, prawie już od śmierci. Wszystko im zabrali: konie, krowy, zboże, pościel, że nawet jeść nie mieli co. Potem ich NKWD zabrało i wywieźli do Rosji w lutym 1940 r.

Antkiewicz stękał, kręcił się, pod sobą poprawiał trzcinę i tak przenocowalim tę noc u felczera Wójcika. Rano jeszcze leżymy, już wchodzi Kobylański i mówi, że musimy rano wyjechać, bo już Kazach krowy zaprzęga i zaraz będziemy jechać. Ja mówię, że za pół godziny będziemy gotowi.

Poprosilem panią Wójcikową, żeby nam zagniotła klusek i już ogień rozpalam, bo musimy się rozgrzać na drogę. A jeszcze do rejonu mamy czterdzieści kilometrów. Dziś musimy tam być, bo o ósmej już będzie komisja. Pani Wójcikowa prędko nam kluski ugniotła, podrobiła. My nawet się nie mylim. Już na dwóch miskach nalane są kluski, jemy szybko, żeby jak najwcześniej wyruszyć w drogę. Podziękowalim pani Wójcikowej, do widzenia, wychodzimy, a tu już dawno na nas czekają z niecierpliwością.

Wzięlimy tłumoczki Antkiewicza, żeby mu było lżej, żeby z nami zdążył iść. Do wozów było około ośmiuset metrów. Pokładylimy na wozy swoje tłumoczki, Antkiewicz



usiadł na wozie i jedziemy. Ja też trochę podjechałem na wozie, aby odpocząć, potem zszedłem i szedłem za wozem, trzymając się po trochu z tyłu. Co parę minut brałem z torby trzema palcami tej dobrej mąki i nieraz znowu śniegu, bo pić się chciało ogromnie.

Na sam wieczór dojechaliśmy do rejonu zwanego Czulał Kurgan. Całą drogę teren był równy, step bezużyteczny, pokryty śniegiem trzydziestocentymetrowym. Tam zajechaliśmy na podwórze dużej szkoły z korytarzem w środku. Na podwórzu szkolnym była studnia na kolbę z dużym kołem. Ja, mając ogromne pragnienie po tej jezdzonej mące, dopadłem do tej studni i wypilem może ze dwa litry zimnej wody.

W tej szkole nie było okien i drzwi. Wicher jednymi oknami wpadał, a drugimi uciekał, straszny był przeciąg. Położyłem się obok Antkiewicza i obydwaj drżeliśmy od zimna. Mnie ta zimna woda zaszkodziła, dostałem temperatury, zaczęły mnie boleć boki i dreszcze mną trzęsły, a w ustach sucho było i pić się chciało ogromnie, ale więcej wody nie piłem.

Wstalim i Antkiewicz mówi: „Panie Pieńkowski, ja jestem bardzo chory”. Ja mówię, że też jestem chory, oba boki mnie boją i mam temperaturę, ale stanę na komisji i będę udawał zdrowego, aby mnie przyjęli do wojska. On powiada: „To ja też stanę i będę udawał zdrowego. Może i mnie przyjmą”.

Komisja przyjechała o godzinie ósmej rano, a już trzy dni przed nami badała i wyniki dawali na rękę. Jednych odsyłali do Turkiestanu, a drugich z powrotem do swoich kołchozów. Komisja składała się z czterech osób, z dwóch doktorów i dwóch pisarzy. Wszyscy byli cywilami, Rosjanie.

Ponieważ z kilkunastu kołchozów zjeżdżali się z całego rejonu przeważnie Polacy i Żydzi z Polski, więc była duża ilość ludzi. Ci, którzy z kołchozów wprzód przyjechali, to i wprzód ich komisja badała, tak że my mieliśmy według kolejności stawić się aż na drugi dzień. Musieliśmy jeszcze jedną noc marznąć w tej szkole. Komisja miała jedną salę w tej szkole, ogrzaną, bo musieli się ludzie rozbierać do naga na badanie.

Drugiej nocy jeden Żyd stary leżał pomiędzy ławkami nieżywy, zaraz go zabrali. W nocy spaliśmy w ławkach na siedząckie. Z naszego kołchozu było nas dziewiętnastu Polaków i trzynastu Żydów, jeden ubył. Na komisji byliśmy wszyscy przyjęci i kazali nam wszystkim wracać do swego kołchozu. Dostaliśmy wszyscy zaświadczenia jako zdrowi i nadający się do wojska. Poza tym powiedzieli nam, że przyjdzie wezwanie już od władz polskich, dostanie każdy na rękę, tam będzie nas badać komisja wojskowa. „Ale kiedy was zawiadomią, to my tego nie wiemy, może już za parę dni, a może i dłużej, a teraz wracajcie do swoich kołchozów”.

Dowiedzieliśmy się, że w tym mieście Czulak Kurgan jest polska placówka, która zaopatruje ludność polską w tym rejonie. Poszlim do niej. Kierownikiem tej placówki był Żyd z Wilna, adwokat, a sekretarzem był Włodarczyk z Grodna. Zapisali, z jakiego kołchozu jesteśmy i dali na cały kołchoz na siedemdziesiąt sześć osób sto pięćdziesiąt rubli w gotówce, dwa szaliki wełniane, jedną koszulę zieloną, dwoje kałesonów męskich, dwie pary pończoch dziecięcych, trzy swetry, cztery bluzki damskie, trochę cukru, mierzyli go nam małą szklaneczką, kawy prawdziwej niepalonej po jednej łyżce na osobę, dwa pudełka mleka skondensowanego i trochę czekolady w proszku.

Dali nam też spis dokładny tego, cośmy otrzymali, ja i Kobylański podpisaliśmy pokwitowanie. To wszystko miało być rozdzielone na siedemdziesiąt sześć osób według uznania przez wybrany komitet na miejscu, komu najpilniej potrzeba.

Furmanki czekały na decyzję, więc wracamy do kołchozu. Opowiadamy sobie, jak to komisja się odbywała. Podchodzimy do lekarza, on się pyta; „Ty zdrow?” Mówi się, że tak. „*No to ładno*”. Wcale nie bada, każe pisarzowi zapisać, ile lat i całe personalia i to się musiało podpisać w ich książce. Otrzymywało się na rękę zaświadczenie, że stawało się na komisję i jest się zdrowym, nadającym się do wojska i był podpis doktora i pieczętka. Tylko kto się chciał wykręcić od wojska i mówił, że go to boli lub co innego, to badał go dokładnie, ale mało takich było.

Gdy wróciłem do kołchozu, to na drugi dzień odbyło się zebranie. Poszli się wszyscy. Wybrali komitet do podziału. Zostało wybranych trzech, a Kobylański był jako przewodniczący. Spisano protokół, który miał być odesłany do rejonu. Kawę podzielili w ten sposób, że wszyscy dostali po łyżce stołowej, cukier dano dla dzieci i chorych, mleko i czekoladę też dla dzieci, pieniądze otrzymały nie wszystkie rodziny. Ci, co mieli jeszcze co zamieniać na mąkę, nic nie otrzymali, osoby pojedyncze dostały po pięć rubli, a tylko jeden stary człowiek, oberwany i biedny dostał dwadzieścia rubli i koszulę. Resztę podzielili według uznania, uczciwie.

W drodze powrotnej nocowaliśmy znowu w Imboku. Nas czterech prosto poszliśmy do państwa Wójcików i zastaliśmy też pana Wójcika. On zbadał zaraz Antkiewicza, dał mu proszki i jakieś pastylki i powiedział, że za pięć dni przyjedzie do naszego kołchozu, to zobaczy, jak po tych lekarstwach się czuje. On był na pensji i jeździł po kołchozach całego rejonu.

Gdy wróciłem do swego kołchozu, znowu dwóch zachorowało - Machula i Edward Ryk, ale tak poważnie, że już nie podnosili się. Miałem trzech chorych przy sobie w jednej chałupie. Gotowałem im jedzenie, musiałem na opał nosić bylicę, która już do połowy była

w śniegu i z tego powodu też cały dzień to tylko przy nich robota, ale musiałem to robić. Gdy wróciłem, to dali nam drugą kwaterę, takie dwójki. W drugiej połowie mieszkało czterech Żydów i trzech Polaków, u nich też chorowali. Jeden Żyd ze Złoczowa umarł i umarł jeden Polak, nazywał się Maciąż, był policjantem. Potem umarł Gurzędnik w innej lepiance.

Zacząłem przypuszczać, że to może być tyfus, bo słyhać było, że w innych kołchozach Polacy umierają. Mróz dochodził do 30 stopni, a chałupy przeważnie nie były opalane. Ubranie dobre każdy zamieniał na mąkę, zostały tylko liche, jednym słowem była bieda wszystkim Polakom.

18 lutego przyszło zawiadomienie żeby stawili się Polacy i Kazachy do czterdziestu pięciu lat do rejonu. Pismo było w języku kazachskim. Teraz już wszyscy myśleli, że to już będzie od razu pobór do wojska i my pojedziemy do armii polskiej.

Znowu dali nam po trzy kilogramy mąki i na drugi dzień rano wyruszamy, furmanki już są zamówione na tłumoczki. Antkiewicz, chociaż był bardzo chory, ale zebrał się i powiedział: „Ja tu nie zostanę. Pojadę razem do rejonu. Chociaż by mnie do wojska nie przyjęli, to ja tu już do kołchozu nie wrócę, tylko będę szedł w stronę Polski”. Mnie kilka razy namawiał, żebyśmy szli do swojej ojczyzny, ale ja mu powiedziałem, że zobaczę, może w lecie pójdziem, będzie ciepło. Zależy też, jak się wojna potoczy.

On powiada: „Ja tak czuję, że w tym roku wrócę do Polski”. Ja jemu mówię, że nas przyjmą do wojska na pewno, a tam już będzie opieka lekarska i pewniejsze zdrowie i życie. Aby tylko dostać się do niego.

Rano zrobił się rejwach w całym kołchozie. Wszyscy latali biegiem, i kobiety, i mężczyźni, i *pretsiedaciel* krzyczał, żeby prędzej wychodzić i jechać, bo już późno, a droga daleka. Machula i Ryk byli bardziej chorzy od Antkiewicza, wcale się nie podnieśli. Jak wychodzili, a mróz był tego dnia do 30 stopni, Machula cały drżał z zimna. Dałem mu duży worek do odziania się nim. Kto tylko był żywy i zdrowy, powychodził z chałupy, i Kazachy, i Polacy. Polskie żony z dziećmi, które zostawały, płakały, Kazaszki też płakały, bo odchodzili mężowie albo syny, wszystko się żegnało ze swoimi.

Ja pomogłem Antkiewiczowi wsiąść na wóz i już jedziemy. A za nami idzie jak procesja, odprowadzają nas aż na górę. I znowu się żegnali, nasi swoich, a Kazachy swoich. W Imboku nie zatrzymywaliśmy się, tylko dołączyło do nas prawie drugie tyle Polaków i Kazachów.

Jechaliśmy bez przerwy dwa dni i jedną noc tylko z jednym krótkim odpoczynkiem, byliśmy już w rejonie Czulał Kurgan. Komisja badała tylko tych Polaków, którzy z różnych

powodów wprzód się nie stawili i Kazachów, a ci, co wprzód byli, to niepotrzebnie przyjechali.

Poszlim do naszej polskiej placówki dowiedzieć się, dlaczego my, przyjęci przez komisję, a nas nie wzywają. Powiedzieli nam, że na więcej na razie nie mają zaprowiantowania i umundurowania i dlatego jest pobór wstrzymany, ale jak otrzymają, to na pewno zawiadomienie przyjdzie dla każdego na rękę. I mówią, żeby wracać do swoich kołchozów. „No trudno, przykro nam, ale my nic nie możemy poradzić.”

Przeklinaliśmy te sowieckie urzędy, że my na darmo w taki mróz tu przyszlیم. Ja miałem napieczonych na blacie z mąki placków i całą drogę jadłem te zamrznęte placki i suchą mąkę. Po tym jedzeniu chciało się pić, to zamiast wody brałem śnieg zmarznięty i czułem się nie bardzo, oba boki mnie bolały. Antkiewicz mówi: „Panie Pieńkowski, pójdziem do szpitala, to nas tam zbadają i może dadzą jakieś lekarstwo. A może nas przyjmą do szpitala, bo ja już chyba nie dojadę do kołchozu. Taki jestem słaby i wszystko mnie boli”. Mówię: „Dobrze, pójdziemy”. Odłączyliśmy się od całej gromady, dopytaliśmy się, gdzie jest ten szpital i idziemy.

Przyszlیم, pokazujemy te świadectwa, które dostalim na komisji. Jak raz był w szpitalu naczelny lekarz, nazywał się Czernow. Obok niego stał stary już siwy felczer z Krakowa, Olszewski, zastępca Czernowa. Zaraz nas zbadali. Antkiewicz miał 39 i 8 kresek, ja miałem 37 i 5 kresek. Jego od razu przyjęli do szpitala, a mnie nie przyjęli, bo taka temperatura, to tylko stan podgorączkowy. Mieliśmy ze sobą swoją mąkę zarobioną, on za plecione koszyki, a ja za równanie placów. Od niego zaraz zabrali mąkę i kazali się rozbierać, a mnie powiedział felczer Olszewski: „Niech pan tu się gdzieś ulokuje u Polaków, których jest tu dużo w tym mieście. Będzie pan przychodził do ambulatorium, przeznaczą panu lekarstwo i w ten sposób będzie się pan leczył”.

Powiedziałem, że dobrze. Żegnam się z Antkiewiczem i on mnie prosił, żebym ja jego odwiedzał, jak tu zostanę. Powiedziałem: „Dobrze, będę cię odwiedzał”.

Wyszedłem i idę do szkoły i myślę, co ja teraz mam robić. Czy wracać do kołchozu, czy tu gdzieś przyłączyć się do Polaków, tak jak mi radził felczer Olszewski? On pochodził z Krakowa, miał tu żonę i mieli wychowanicę, mogła mieć jakieś szesnaście lat. Swoich dzieci nie mieli. To tu będę się mógł podleczyć, a tam w kołchozie kto mi będzie nosił opał, wodę i jeść gotował? I leczyć się nie będę.

Pomyślałem: „Nie, za wszelką cenę zostanę tu, mam dwadzieścia sześć kilo mąki i pięć kilo suszonej pszenicy. Ja tu znajdę kogoś, co mnie przyjmie. Będę płacił mąką, ile zechce. Może ja tu długo nie będę. Tu prędzej się dowiem o wezwaniu do wojska”. Ale trzeba

iść do szkoły pożegnać się ze znajomymi. Pytają się, gdzie jest Antkiewicz. Mówię, że został w szpitalu i ja też tu zostanę, bo czuję się niezdrów. Pewnie się zaziębiłem. „Do widzenia, kochani, bądźcie zdrowi, może się kiedyś jeszcze zobaczymy, daj Boże w Polsce.”

Zabrałem mąkę na plecy, kaszę w rękę i idę tą samą ulicą, bo tu widziałem napis *Stołowaja*. Myślę, że trzeba zajść do tej stołowej, to może coś gorącego kupię do jedzenia. Ale jeszcze nie doszedłem do tej stołowej, idzie jakiś Polak i pyta się mnie: „Gdzie pan idzie z tymi tłumokami?” Ja mówię mu, że byłem tu na komisji i jestem przyjęty do wojska, ale na razie nie mają umundurowania i zaprowiantowania i każą nam wracać do kołchozu. A gdy już będą mogli, to nas powołają, może już za parę dni. I ja chciałbym tu znaleźć jakieś mieszkanie na tych parę dni, dopóki nas nie powołają do wojska. Czuję się trochę niezdrów, to chciałbym się trochę podleczyć, dałbym za to mąki.

W tym czasie jak my rozmawialim, że dałbym za to mąki, przechodzi jakiś Żyd. Przysłał przy nas i mówi, że on zna tu takich ludzi, co oni chcą przyjąć takiego, co by dał mąkę. Ale ten Polak, co mnie zaczepił, powiada: „Po co pan ma iść do Żydów? Przyjdzie pan do mnie, tylko ja mieszkam z żoną i synem, ale jeszcze razem mieszka druga rodzina. Mają ośmioro dzieci i ich dwoje to razem z moją rodziną jest nas trzynaścioro. Będą oni może niezadowoleni, że ja pana przyjął, ale powiem, że pan jest moim kuzynem. Będziemy się nazywać po imieniu, ja nazywam się Władysław”. „A ja nazywam się Aleksander”. „No to dobrze, idziemy do naszej chałupy. Jest to dość daleko, niech pan da mi mąkę, to ja będę niósł” i wziął worek na plecy i idziemy.

Gdy tylko weszlim do mieszkania, ja mówię: „Dzień dobry państwu”. Odpowiedzieli: „Dzień dobry”. On zaraz przedstawia mnie jako swego kuzyna. Ja się przywitałem, jego żonę pocałowałem w rękę, potem rozwiązuję worek z mąką i mówię: „Bierzcie i ugotujcie dużo dla wszystkich, bo ja jeszcze dziś nic nie jadłem”.

Zauważyłem zrazu, że ta druga rodzina była niezadowolona, że ja do nich przyszedłem na parę dni, ale gdy klusków nagotowali i wszyscy się najedli, zaraz mi w kącie postanie z zielska suchego zrobili i dobrze już na mnie patrzyli i rozmawiali ze mną. Zauważyłem, że u nich jest duży mortus. Narzekali, że chodzą do pracy i mało im płacą, a dzieci gromada, chcą jeść. Najmłodszy chłopiec miał dopiero dwa i pół miesiąca, najstarsza córka miała osiemnaście lat. Już co mieli z ubrań, to pozamieniali na mąkę. Ostatnie palto już mieli sprzedać, ale chcieli za nie trzy pudy mąki, a Kazaszka daje tylko dwa i pół puda mąki, to oddali za trzy pudy pszenicy, którą sobie gotowali.

Ja po zjedzeniu zacząłem kasłać i poczułem, że mam silną temperaturę. Ta kobieta, co miała małego, mówi: „Ja mam bańki, może panu postawię?” Mówię: „Dobrze, niech pani

postawi, może mi co pomogą”. Przyszykowała letnią wodę, bańki do niej włożyła i zapaliła lampę. Ja się położyłem na zielsku w swoim kącie obok skrzyni, co im służyła za kufer i ona mi postawiła na jednym boku dziesięć baniek. Potem je odjęła i postawiła na drugim boku znowu dziesięć baniek. Było to już nad wieczorem. Nakryłem się buszłakiem i marynarką, utuliłem się, że może usnę. Ale nie mogłem usnąć, kaszel nie dał i temperatura była duża.

Rano ugotowali takiej mamaługi - woda i mąka i placek mi upiekli. Zjadłem i poszedłem do ambulatorium. Zastałem felczera Olszewskiego. On mnie dokładnie zbadał, zmierzył temperaturę. Miałem 38 i 4 kreski. Prosiłem, żeby mnie przyjął do szpitala, ale, powiada, nie ma miejsca. Przepisał mi trzy proszki dziennie i po łyżce stołowej dwa razy dziennie lekarstwa w płynie na podtrzymanie serca i od zapalenia płuc. „Pójdzie pan do apteki i te lekarsta, jakie tu na recepcie napisałem, pan wykupi”. Wziąłem receptę i poszedłem do apteki, która była niedaleko. Za ladą stała kobieta w średnim wieku i młody chłopak, może miał jakieś osiemnaście lat. Receptę podałem tej pani, ona obejrzała ją i podała temu chłopcu, oboje zaczęli szykować mi to lekarstwo. Uszykowali najpierw proszki, coś ze trzech słoików sypali, potem ona się pyta, czy ja mam butelkę. Mówię, że nie mam. Ona tam znalazła jakąś butelkę i mówi: „*Poślednia, bolsze niet*” i uszykowali w nią to lekarstwo. Razem zapłaciłem jeden rubel i dziewięćdziesiąt sześć kopiejek za piętnaście proszków i większą butelkę lekarstwa w płynie.

Potem poszedłem do polskiej placówki, ale tego męża zaufania nie było, tylko sekretarz Włodarczyk. Opowiedziałem mu o swoich dolegliwościach i proszę, żeby się mną zaopiekowali, dopóki jestem chory.

On powiada: „Ja sam panu nic nie mogę pomóc, a przedstawiciel wyjechał na dziesięć dni do Kujbyszewa po nowy przydział różnych produktów i ubrań, to jak on wróci, to panu coś przydzielą. Cośmy mieli, to już podzieliłim wszystko na kolchozy”.

Mówię: „Może pan cukier ma? To poproszę choć trochę”. Wstał i dał mi pół szklanki cukru i kilo chleba i powiada: „Co mam, to panu daję. Niech pan się dowie u nas za tydzień. Już kierownik wróci, to i coś tam przywiezie, to panu da”. Podziękowałem mu i wyszedłem, bo czułem się gorzej. Przyszedłem do swych gospodarzy i zaraz przyjąłem jeden proszek, popiłem wodą i położyłem się na swoim miejscu i czuję, że mam wysoką temperaturę.

Przed wieczorem ugotowali kolację, dali mi, ale ja zjadłem tylko trochę. Poprosiłem, żeby mi zagotowali wody. Mam trochę cukru, to może tego chleba zjem kawałek. Ale i ten chleb nie bardzo mi smakował. Popiłem słodzoną wodą i położyłem się na dobre do spania. Ale spać, tak jak zeszłej nocy, nie mogłem, aż usnąłem nad ranem. Spałem twardo, obudzili mnie już kawał na dzień, na śniadanie. Gdy wstałem, aby się umyć, to nogi pode mną drżały,

byłem bardzo słaby. Zjadłem trochę. Oni widzą, że ze mną jest źle. Radzą mi, żebym się starał iść do szpitala, że ja może na tyfus jestem chory. Bardzo dużo ludzi w tym czasie chorowało na tyfus i dużo zmarło.

Mówię: „Pójdę dziś do ambulatorium i będę próbował. Może mnie przyjmą do szpitala?” Zauważyłem, że oni się boją, aby nie zarazić się ode mnie jakąś zaraźliwą chorobą, a szczególnie tyfusem. Pomału poszedłem do ambulatorium, tu zastałem tego miłego staruszka pana Olszewskiego. Musiałem długo czekać, aż przyjdzie moja kolejka, a ludzi było do badania bardzo dużo.

Gdy już przyszła moja kolejka, pan Olszewski pyta się: „Czy przyjął pan te lekarstwa, co ja panu przepisałem?” „Tak, już je zażyłem, nie wszystkie”. „A jak się pan czuje?” Mówię: „Źle, coraz gorzej”. Proszę go, żeby mnie zbadał dokładnie, czy ja czasem nie jestem na tyfus chory. „Może by mnie pan doktor do szpitala przyjął, bo moi gospodarze się boją, żeby się ode mnie nie zarazili i ja im się wcale nie dziwię, bo mają małe dzieci, a dotychczas są wszyscy zdrowi”.

Pan Olszewski mówi: „Niech się pan rozbiera!” Rozebrałem się, ostukał, opukał całego, temperaturę zmierzył i powiedział: „Pan na tyfus ani na żadną zaraźliwą chorobę nie jest chory, tylko ma zapalenie płuc na oba boki”. Temperaturę miałem 38 i 5 kresiek. „Do szpitala przyjąć nie mogę, bo nie ma wolnego miejsca. Dam panu takie zaświadczenie i pokaże pan je swoim gospodarzom i musi pan tam u nich leżeć. Jak pan zażyje wszystkie lekarstwo, to niech pan przyjdzie do mnie. Ja uważam, że gorączka się przesili i przyjdzie pan do zdrowia”.

Napisał to zaświadczenie, dał mi, podziękowałem i pomału poszedłem do domu. Byli wszyscy w domu, pokazałem im to zaświadczenie, przeczytali go obydwaj mężczyźni i jeden, ten, co ma dużo dzieci, mówi: „Panie, niech pan mi sprzeda pięć kilo mąki. Pieniądzy za robotę nie dają, a my nie mamy już co jeść i nie mamy już co sprzedać”. Myślę, trzeba ratować ich. Mówię, że dobrze i sprzedałem im pięć kilo po pięć rubli. Ona wzięła szukać w tej skrzyni i zapłaciła mi. To ten drugi gospodarz mówi: „To niech pan i mnie sprzeda pięć kilo”. Bo za mąkę już płacili po dwanaście rubli za kilogram i dostać więcej nie ma gdzie. Sprzedałem i jemu pięć kilogramów, zostało mi jeszcze dziesięć kilo.

Mówię do nich: „Jeszcze u państwa parę dni pomieszkam. Doktor mówił, że będę zdrow”. Ta kobieta, co mi bańki stawiała, mówi: „Kiedy pan ma na płuca chory, to trzeba jeszcze panu bańki postawić, to pomoże” i postawiła mi na jednym boku dziesięć sztuk, a potem na drugim boku dziesięć sztuk.

Po tych bańkach zdawało mi się, że jest mi trochę lżej, bo mniejszy kaszel miałem. Czwartego dnia na nowej kwaterze myślę, że trzeba odwiedzić Antkiewicza w szpitalu. I pomału poszedłem do szpitala i pytam się jednej siostry, jak się czuje Antkiewicz. A ona mówi: „Antkiewicz umarł wczoraj, już go w szpitalu nie ma”. Ta wiadomość podziałała na mnie strasznie. Ja z nim razem do końca jedlim, żyłim jak bracia. Żałowałem go. Gdybym poszedł przedwczoraj, może by mi co powiedział dla swojej rodziny. Ale się wcale nie spodziewałem, że on tak nagle umrze.

Pytam się, a co z mąką, co on miał przeszło dwadzieścia kilo. Powiedziała, że mąka poszła na kuchnię dla ogółu chorych. „A machorka? Co się z nią stało?” Zabrali ludzie, ci, co go chowali. Gdy wróciłem do domu i powiedziałem o śmierci swojego przyjaciela, to moi gospodarze zaczęli na mnie nalegać, żebym szedł do szpitala, koniecznie. Bo im prędeej, tym będzie lepiej dla mnie.

Mówię: „Co ja mogę zrobić, jak nie chcą przyjąć, bo nie ma miejsca?” To oni mówią, żebym poszedł na korytarz szpitalny i nie ustępował, to muszą przyjąć, bo jestem bardzo chory. Porozumieli się ze sobą i chcieli się mnie pozbyć.

Ta niby moja kuzynka zaczęła narzekać, że ją głowa boli, a ta druga mówi: „Wie pan, że doktor Olszewski mógł się nie poznać? Pan może być chory na tyfu, a my mamy dużo dzieci, my się boimy”.

Ja sam czuję, że mnie po tych lekarstwach nic nie jest lepiej i co dzień jestem słabszy. Pomyślałem sobie, że jeszcze dwa dni tu posiedzę. Nie będzie mi lepiej, tylko gorzej, to nachalnie pójdę do szpitala. Co będzie, to będzie.

Ale zaraz drugiego dnia było mi gorzej, a na trzeci dzień chcę wstać i nie mogę. Próbowałem przy ścianie, obsunąłem się. Wszyscy się patrzą, nareszcie podchodzą do mnie i mówią: „Panie, my pana zaprowadzimy do szpitala”. Ja mówię: „To prowadźcie, bo już sam nie zajdę!”

Do spania się nie rozbierałem, tylko buszłakiem się okryłem. Oni mi buszłak włożyli i pod pachy za ręce niby mnie prowadzą, ale ja nie czuję, żebym nogami ziemi dotykał. Oni mnie nieśli do samego szpitala. Doktorów jeszcze nie było, tylko siostra dyżurna. Ja jej mówię, że jestem ciężko chory i chcę zostać w szpitalu. Ona mówi, że w szpitalu nie ma miejsca. Ja jej mówię, że na podłodze się położę, a ona mówi, że na to trzeba mieć skierowanie od lekarza. Ja mówię, że przyjdzie lekarz, to da to skierowanie, a jak nie da, to wszystko jedno, że szpitala nie wyjdę, bo ja już jestem do wojska przyjęty. Ona mówi, że jej to nie obchodzi.



W tej chwili nadszedł lekarz Olszewski i od razu się pyta: „Co? Panu jest gorzej?” Mówię, że tak, jest mi gorzej. „Niech się pan rozbierze”. Wziąłem się rozbierać na krzesło, na siedzącą, pomogła mi ta siostra trochę. Zbadał mnie dokładnie, a temperaturę termometr wykazał 39 stopni. Powiedział; „Niech pan posiedzi” i poszedł po salach. Gdy już wrócił, mówi: „Dziś w nocy jeden zmarł, to będzie miejsce i pana przyjmę do szpitala”.

Ciężarówka podjechała, nieboszczyka zabrali i pojechali chyba na cmentarz. A do mnie powiada: „Będzie pan siedział tu na krzesło, aż siennik, poduszka i koc wyniosą na dwór, to się dobrze wywietrzy, bo innej dezynfekcji tu nie ma. Ale mróz prawie 30 stopni jest, to zrobi dobrze”.

Powiedziałem: „Dziękuję panu” i siedzę. Siostra przyniosła mi szklankę herbaty i kawałek chleba, pomału to spożyłem. Potem przyniosła jakiś proszek i w kieliszku wodę, ten proszek kazała wsypać do ust i wodą popić. Na obiad przyniosła w misce kaszę z kukurydzy, dobrze rozgotowaną. Zjadłem i pytam się, kiedy ja się położę na łóżku. Ona mówi: „Przed wieczorem, aż się dobrze wszystko wymrozi” i zabrała łyżkę i miskę i poszła. A ja tego wieczoru nie mogę się doczekać, tak mi strasznie długo.

Przed wieczorem wnieśli siennik, poduszkę z zielska i koc, potem przyniosła dwa białe czyste prześcieradła. Jednym zasłała siennik, a drugie - powiada - to będzie pod koc do nałożenia. Na tej sali leżało i siedziało ze dwudziestu Polaków. Olszewski tego dnia wcale się nie pokazał, chodził w mieście do chorych, bo bardzo dużo ludzi chorowało, podobno na tyfus plamisty.

Położyłem się na łóżku, siennik też był napchany suchym zielskiem. Buszłak, marynarkę i portki mi zabrali. Pod tym jednym kocem było mi zimno. Byli tam tacy, co chodzili. Mówię do jednego, żeby zawołał siostrę. Przyszła i pyta się, czego chcę. Mówię, że mnie jest zimno i proszę ją, żeby przyniosła jeszcze jeden koc albo mój buszłak. Ona mówi, że buszłak jest zamknięty, a koca nie ma, ale może coś znajdzie, to przyniesie. I za jakieś pół godziny przyniosła drugi koc, było mi dużo cieplej.

Przespałem pierwszą noc w szpitalu, chociaż z przerwami, bo mnie oba boki bolały i temperatura była duża. W głowie szumiało, ale było trochę lepiej niż gdzie indziej. Sala była nieopalanana, cały szpital był z gliny, w kątach błyszczał się zamróz na ścianach.

Rano przyszła siostra z zeszytem i pyta się, jak się nazywam, skąd jestem i czy żonaty, ile dzieci, no i kogo zawiadomić na wypadek śmierci. Powiedziałem, że córkę Zofię. Zapisała wszystkie personalia i poszła.

W sali stał piec, był na drzewo albo na węgiel, ale nie było ani drzewa, ani węgla, okna były pojedyncze, a drzwi liche. Była przybudówka, w której mieściła się kuchnia i

magazyn. Gotowali suszonym zielskiem, taką bylica, którą trzeba karczować i jak uschnie nosić z pięć kilometrów.

Na drugim korytarzu był gabinet dla lekarza i siostr dyżurnych. Jak przyjęli mnie do szpitala, zaraz przyszedł fryzjer i ostrzygł mi włosy.

Przed ósmą rano przynieśli chleb po sześćset gramów i w kubkach herbatę, ale to nie była prawdziwa herbata, bo inny miała zapach i trochę była posłodzona. O godzinie ósmej przyszli doktor Czernow i Olszewski na wizytę, badali chorych. Podeszli do mnie. Czernow każe mi się przewrócić do góry plecami, przewróciłem się, zaczął mnie palcami pukać po plecach, później wziął słuchawkę i osłuchiwał mnie. Gdy przestał mnie osłuchiwać, odwróciłem do nich głowę. On zwijał słuchawkę, spojrzął na Olszewskiego i machnął ręką i poszli do następnego. Ja zrozumiałem, co to znaczy to machnięcie ręką, że to już po mnie. Stańło mi wszystko przed oczami - żona, dzieci, bracia, siostry, koledzy i znajomi dobrzy, i niedobrzy, i całe moje życie.

Byłem na wojnie 1919 roku, biliśmy się z Ukraińcami, odniosłem kontuzję pod Złoczowem, leżałem w szpitalu we Lwowie. Potem dostałem urlop. Gdy wróciłem z urlopu, wstąpiłem do szkoły podoficerskiej. Po jej ukończeniu w Przemyślu w stopniu kaprała z batalionem marszowym 38 pp Strzelców Lwowskich poszedłem na front bić się z bolszewikami za wolność Ojczyzny. Wróciłem zdrowy, a tu w 1940 roku zostałem aresztowany za partyzantkę, do której wstąpiłem w 1939 roku w październiku, żeby znowu ratować kochaną Ojczyznę Polskę.

Siedziałem dziesięć miesięcy w więzieniu w Mińsku na Białorusi. Uszedłem przed śmiercią w murach więziennych, wytrzymałem tyle bicia podczas śledztwa, dwa razy na dobę, raz w dzień, a drugi raz w nocy, całą klatkę piersiową miałem siną jak wątroba, łydy miałem skopane nogami *śledowaciela*, pięty zbite pałką gumową, popuchnięte. Zaocznym wyrokiem w Moskwie osądzony byłem na osiem lat zsyłki w archangielskie lasy, miejscowość Kierdowyj Szor.

Wszystko wytrzymałem, a tu mam umrzeć. I pytam się, za co? Przecież przeciw nim nie wystąpiłem, tylko przeciw Niemcom. Zacząłem się gorąco modlić do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i do wszystkich świętych i do Pana Boga we trzech osobach i tylko mnie ta modlitwa uratowała i opieka.

O Boże, jak ciężko jest nawet pomyśleć o tym, co za straszny los spotkał wszystkich Polaków! Tysiące ich leży w Rosji od północy do Morza Kaspijskiego. A Katyń, a inne obozy wojskowe! Jak pod zaborem niemieckim, tak i bolszewickim.

Chciałem się od tych strasznych myśli oderwać, ale nie mogłem. Serce mi biło z podwójną szybkością jak młotem z dala od kochanej Ojczyzny i od kochanej Rodziny. W Uzbekistanie w rogożę moje ciało zawiną i zakopią, nawet nikt nie będzie wiedział gdzie. Trumny tam dla nikogo nie robią, nie trzeba księdza ani śpiewów żałobnych, nic nie trzeba.

Ale jak już nieraz groziło mi jakieś nieszczęście, zdawałem się na wolę Bożą i tego dnia zmęczony, wola Twoja Panie Boże, nic ja sam sobie nie poradzę i zasnąłem. Obudziłem się, gdy siostra przyszła badać temperaturę. Cały byłem mokry, prosiłem ją, żeby przyniosła mi drugą bieliznę, przyniosła i przebrałem się w nią.

Powiedzieli mi inni chorzy, że gdy spałem, to przez sen wołałem kogoś, że krzyczałem i rzucałem się na łóżku i że jedni chcieli mnie obudzić, ale drudzy odradzali i dali spokój. Ja tylko pamiętałem trochę, że byłem w stodole ze swoim bratem Emilem, układaliśmy zboże, tak mi się śniło.

Po kolacji, której zjadłem tylko trochę, utuliłem się znowu do spania. Serce mi biło, aż dudniło, temperatura była duża, nie mogłem usnąć. Miałem łóżko w kącie. Patrząc na ten zamróz, co na ścianach się świeci, przyłożyłem dłoń do tej ściany i ją dobrze naziębiłem i potem przyłożyłem do gorącego czoła i trzymałem, a drugą rękę znowu przyłożyłem do ściany, a tą zimną do czoła. I tak kilka razy na zmianę robiłem. Poczułem, że nie mam takiej wysokiej temperatury i głowa mniej mnie boli. Jeszcze kilka razy to zrobiłem, ochłodziłem sobie czoło i skroń i usnąłem na dobre.

Obudziłem się rano, gdy już posługaczka zamiatała salę, stukając szczotką o łóżko. Za chwilę przyszła siostra, zmierzyła temperaturę i potem dała mi jakiś proszek do wypicia z wodą. Przed godziną ósmą przynieśli śniadanie, jak zwykle zamiast herbaty sypali jakieś zioła, nigdy takiego napoju nie piłem. A do tego co dzień łyżka cukru i sześćset gramów chleba na dzień.

Przed godziną dziewiątą przyszedł felczer Olszewski na wizytę. Sam badał po kolei wszystkich chorych dokładnie, pomału. Gdy przyszedł do mnie, przy moim łóżku stało krzesło, usiadł na nim i pyta: „Jak pan się czuje?” Mówię, że źle panie doktorze, temperatura duża, jak pan widzi, głowa mnie boli, mam szum w uszach i oba boki mnie bolą, gdy kaszlę. Flegmę sopluję do kubka blaszanego, który przyniosłem ze sobą. On wziął ten kubek do ręki, przygląda się i pyta, czy flegma łatwo się odrywa przy kaszlu, czy nie. Mówię, że niełatwo, nieraz dziesięć razy kaszlę, zanim się oderwie. Wziął słuchawkę, obsłuchiwał mnie, potem przykładając ucho do piersi, potem do pleców i powiedział: „Przeznaczę dla pana lekarstwo - proszki i w płynie. Będzie pan przyjmował je trzy razy dziennie. To lekarstwo, spodziewam się, że panu pomoże, tylko niech się pan nie szarpie. To lekarstwo mam jeszcze

z Polski w walizce, będę pana nim leczył. Można przewracać się często z boku na bok, ale pomału, żeby się broń Boże nie nadwyręża, bo pan jest poważnie chory i bardzo osłabiony. Trzeba jak najspokojniej leżeć i nie siadać, bo będzie zawrót głowy. A na boki będzie panu siostra stawiać bańki co drugi dzień”.

On miał w starych okładkach listę każdego chorego, jak w kartotece, wszystko zapisał - jakie lekarstwo, co komu przeznaczy, a starsza siostra wszystko przygotowała według przeznaczenia dla każdego chorego. O godzinie jedenastej już mi przyszła stawiać bańki, a że ich mieli tylko trzynaście, stawiała dwa razy na jednym boku, a potem na drugim. Po zdjęciu baniek okryła mnie dobrze i kazała spokojnie leżeć aż do obiadu. Obiad był około godziny pierwszej - kluski krojone i trochę zaskwarzone, a na drugie kleik z kaszy jęczmiennej. Na kolację przynieśli nam znowu taką patataję jak klajster, co u nas szewcy do butów robił, bez żadnej kropli tłuszczu. Ale kto był zdrowszy, to zjadł i pytał się: „Może tam zostało, to proszę mi przynieść, bo jestem głodny”. To czasem było, że przynieśli, ale tam mało kiedy było więcej.

Najgorzej, że nie starczyło misek na zmianę. Dawali chorym na różne choroby, jak tyfus, zapalenie płuc, krwawa dyzenteria, a może i gruźlica, toteż ludzie umierali prawie każdego dnia.

Na tej sali poznałem nowych ludzi. Leżał tam doktor Kamiński, Żyd z Warszawy, potem sekretarz adwokacki Frydman, też z Warszawy, leżał rolnik Dobosz, osadnik z Wołynia, leżał młody chłopak z okolic Lwowa, jakiegoś dziedzica syn, miał dziewiętnaście lat, jednak u rodziców, nazwiska jego zapomniałem, był blady, ale bardzo ładny chłopak. Potem był Nowacki z Grodna, urzędnik chory na tyfus. Czwartego dnia przywieźli jakiegoś *wracza*, z pochodzenia Niemca.

Za cesarzowej Katarzyny dużo Niemców ona sprowadziła na osiedlenie. Dostali duże kolonie dobrej ziemi w Rosji koło rzeki Wołgi, a w czasie wojny byli internowani do Kazachstanu i w inne strony, ale tylko z walizkami, więcej im ze sobą wziąć nie dali.

Żona tego *wracza* była w ciąży, też była doktorem. On miał w tym szpitalu pracować, ale zaraz zachorował, ona zamieszkała u starszej siostry szpitalnej w jej prywatnym mieszkaniu. On zachorował na tyfus, ona codziennie przychodziła kilka razy go odwiedzać i przynosiła mu z domu jedzenie - mleko przegotowane, jaja i rosół albo jakiś kleik.

On trzy dni leżał prawie bez przytomności, ale potem pomału przychodził do zdrowia, bo miał dobrą opiekę. Ona też przynosiła z apteki jakieś lekarstwa, bardzo go pilnowała. Olszewski również dbał o jego zdrowie.

Po wizycie w salach przyszedł do mnie i pyta się, jak ja się czuję. Mówię, że trochę jest mi lżej. Usiadł na krześle i zaczął ze mną rozmawiać. Skąd ja jestem, mówię, że spod Łomży, od Warszawy na północ 145 kilometrów. A on mówi: „A ja jestem z Krakowa, z żoną i wychowanką mojej żony, siostry córką. Teraz dali nam mieszkanie naprzeciw szpitala, jedna izba i korytarz. Wprzód byliśmy w kołchozie cały rok. Ja jeździłem do chorych, a żona pracowała w kołchozie. Ja tu przyjechałem sam, a żona z kuzynką jeszcze zostały w kołchozie, ale za dużym staraniem przyjechała żona z kuzynką i mieszkamy razem”.

Narzekał, że ma dużo pracy z rana w ambulatorium do godziny dziesiątej, potem wizyta w szpitalu i jeszcze do chorych w mieście musi chodzić. A jest ich zawsze dużo, Polaków i Żydów, razem przeszło tysiąc osób.

„Jestem na tej posadzie dwa miesiące, ale czuję, że już połowę zdrowia straciłem. Jak tylko przyjechałem, to na mieszkanie przyjął mnie naczelnny doktor tego szpitala Czernow i u nich się stołowałem. Ale jak doktor gdzieś wyjechał, to jego żona już nie gotowała obiadu i musiałem chodzić do stołówki robotniczej. Tam nie zawsze tego obiadu starczyło, bo z kolejki mnie wypchnęli, a na końcu nieraz zabrakło i po dwóch godzinach stania w kolejce wracałem głodny. Dali mi nieraz w szpitalu, jak zostało, tej rozgotowanej kaszy jęczmiennej czy innej, bez żadnej okraszy – patataję”.

Powiada: „Chociaż już żona przyjechała, to jest mi dużo lepiej, ale czuję się tak, jakbym był co dzień słabszy”. Dużo się denerwował z powodu braku lekarstw dla chorych, ręce załamywał i powiadał w uniesieniu: „Co ja wam, panowie, poradzę, kiedy ja nie mam was czym leczyć? Gdy posyłam do apteki zamówienie na lekarstwa, jakie komu są potrzebne, to zaledwie dają część tych lekarstw, mówią, że brak”.

I nieraz chorzy leżeli po kilka dni bez lekarstw, bo nie było. Toteż z tego powodu dużo chorych umierało bez ratunku. Najprzód zmarł ten młody chłopak z okolic Lwowa, nie chciał nic jeść, prosił go, prawie błagał doktor Olszewski: „Panie, niech pan je – mówił - bo jedzenie zwalcza chorobę. A jak pan nie będzie jadł, to choroba zawładnie panem i pan umrze”.

Na te słowa doktora Olszewskiego gwizdnął, Olszewski na to nie zważał i jeszcze raz mówi: „Zobaczy pan, że jak nie będzie pan jadł, to pan umrze”. To on znowu palcem pstryknął i gwizdnął, doktor odszedł od niego, tylko powiedział, że to się źle skończy. Za kilka dni umarł ten młody, ładny chłopak.

Drugi zmarł doktor Kamiński z Warszawy. Nie przyjmował żadnych lekarstw, które mu siostra przynosiła i zostawiała na szafce, czekał tylko, jak ona wyjdzie z sali, to zaraz

wylewał na podłogę z kieliszka i wyciągał spod swego łóżka dużą walizkę, w której miał różne rzeczy i lekarstwa jeszcze z Polski i sam sobie je szykował i zażywał. Też zmarł.

Po nim zmarł Dobosz, rolnik z Wołynia. Ładny miał głos, śpiewał piosenki polskie i ruskie, żona z dziećmi została w Polsce, nic o nich nie wiedział do samej śmierci.

Na ich miejsce przyszli ślusarz z Wilna, a drugi z Łodzi. Jeden był chory na tyfus, a drugi na wariata, obydwaj byli Żydami. Po dwóch tygodniach zmarł ten doktor Niemiec, miał dobrą opiekę, codziennie przychodziła do niego żona, też doktorka. Przynosiła mu swoje dobre jedzenie, nic nie pomogło, tyfus zrobił swoje.

Doktor naczelny do szpitala wcale nie przychodził, podobno jego żona chorowała. Chodził do nich lekarz Olszewski i ta lekarka, żona po zmarłym Niemcu, ale ona już do szpitala nie przychodziła, bo miała mieć dziecko.

Raniej niż zwykle przyszedł do szpitala pan Olszewski. Ja już prawie wyleczyłem się na płuca, ale dostałem krwawej dyzenterii. Usiadł przy mnie i ja jemu mówię, że mam drugą chorobę. On mówi: „Tu nie ma tego lekarstwa dla pana, ale ja jeszcze mam proszki z Polski, powinny panu pomóc na pański żołądek, po południu panu przyniosę”.

O godzinie piątej nad wieczorem przyszedł i przyniósł kilka proszków. Zaraz kazał mi jeden z wodą wypić, drugi rano, a trzeci znowu wieczorem. Siedział u nas do późnej godziny, opowiadał nam, gdzie on jeździł na wycieczki do Bułgarii i do innych krajów i na końcu mówi: „Wiecie co, panowie, ja, choć już jestem stary, osiemdziesiąt sześć lat już i słaby, a jednak czuję, że jeszcze do Polski wrócę. I wy, kto wyzdrowieje, to też wróci do swojej kochanej Ojczyzny Polski”.

Często z nami wieczorem lubił posiedzieć i rozmawiać, ale tego wieczoru siedział najdłużej. Wstał, powiedział dobranoc i poszedł. Na drugi dzień na wizytę nie przyszedł, przynieśli śniadanie i powiadają, że doktor Olszewski nie żyje, zmarł w nocy. Mój Boże!, wieczorem z nami rozmawiał normalnie i powiedział, że choć jest stary, ale czuje, że do Polski wróci.

Żona czekała na niego, żeby mu dać herbatę jak co dzień. On trochę tej herbaty wypił i poszedł do ustępu, który był w podwórzu, ale jakoś długo nie wracał. Poszła do ustępu, a on leży na twarzy, plecami do góry i bez ruchu. Woła po imieniu, nic nie odpowiada. Pobiegła po swoją przybraną córkę i przyciągnęły go do mieszkania nieżywego. Zrobiły lament, płacz, zbiegli się z sąsiednich domów. Każdy go żałował, bo dobry był to człowiek dla wszystkich ludzi.

Pomodlili się za jego duszę i się rozeszli do swoich domów. Rano zeszli się z całego miasta prawie wszyscy Polacy odprowadzić go na wieczny spoczynek. Stolarz, który był

Polakiem, zrobił trumnę, co tu mało się praktykuje. Przeważnie zawija się ciało w rogoże albo w jakieś prześcieradło i do dołu wkłada i zasypuje ziemią, i basta.

Po śmierci doktora Olszewskiego przydzielili do szpitala na doktorkę Żydówkę, a że to było parę dni przed Wielkanocą, przydzielili na kuchnię trzy barany młode, miało to być na święta Wielkiejnocy. Mielim dostać na każdego po sto gramów mięsa. Jednego barana zaraz na obiad ugotowali. Jak dzielili po ugotowaniu, to może dostalim po pięćdziesiąt gramów, reszta poszła po boku.

Z tymi baranami to była rzadka okazja, a zwłaszcza przed świętami. Spory kawałek wziął lekarz naczelny Czernow, później gospodarz szpitala, no i inni też, co się dało, otrzymali. W Wigilię przyszedł sekretarz od naszego przedstawicielstwa dla Polaków Włodarczyk z Grodna i z nim przysłała młoda Żydówka, kucharka.

Przynieśli kilka puszek mleka skondensowanego słodkiego, po pół szklanki smalcu, po dwie łyżki cukru i po dwie łyżki czekolady w proszku, przy podziale mleka też wyszło po dwie łyżki. Powinszowali nam wesołych świąt i szybkiego powrotu do zdrowia i poszli.

Po świętach od razu zrobiło się ciepło, słońce grzało dobrze. Ja już pomału chodziłem po sali. Podszedł do mnie Nowacki i mówi: „Chodź pan na dwór, słońce już dobrze grzeje, to dobrze panu robi”. Usłuchałem go, wyszlim obydwaj, wziłem z korytarza sobie krzesła, usiedlim i grzejem się na słońcu aż do obiadu.

Obiad przyniósł mi Nowacki, zjadłem go na dworze i siedzę dalej aż do godziny czwartej po południu. Ale powiał mnie zimny wiatr, a byłem tylko w takim cienkim szlafroku i zrobiło mi się zimno. Wstałem, poszedłem do sali i zaraz położyłem się do łóżka. Gdy poleżałem trochę, zaczęło mnie zimno tłuc, aż mi zęby szczękały. Zawołali siostrę, przyszła i patrzy się na mnie. Potem pyta się mnie, czy ja kiedy chorowałem na malarię. Mówię, że chorowałem, jak miałem może lat czternaście. „To pewnie będzie malaria” - mówi i poszła, przyniosła jeszcze jeden koc, przyodziała mnie i poszła po lekarstwo dla mnie. Przyniosła jakiś proszek i pół szklanki wody, wsypała ten proszek do wody, zamieszała i kazała mi, żebym wypił. Wypiłem i utuliłem się, atak ustał po jakimś czasie.

Potem nastąpiła straszna gorączka, bielizna na mnie zrobiła się cała mokra od potu, dali mi drugą, też się zapociła. Okręciłem się w koce i rękę przyłożyłem do mokrej ściany, zimnej, naziębilem ją i potem przykładałem do rozpalonego czoła jak węgiel. Kilka razy powtórzyłem tę robotę i usnąłem.

Nad ranem znowu trzęsło mnie zimno, zęby szczękały, potem ustał ten zimny atak, a zaczął się gorący. Przyniosła na wizytę lekarka, zmierzyła temperaturę, było 39 i 8 kresek.

Pokręciła głową i poszła, przyniosła pół szklanki chininy, była w płynie, zielona i strasznie gorzka. Przyjmowałem ją przez cały tydzień.

Jeszcze nie wyleczyłem się z malarii, a już przyczepiła się do mnie cynga. Dostałem krost na całym ciele, a najwięcej na udach. Na dziąsłach porobiły się purchle, na nosie, strupy mnie obsypały i nogi zaczęły puchnąć, a wzdłuż łydek sine plamy się pokazały. Była to czwarta moja choroba w tym szpitalu, jeszcze jedna się nie skończyła, druga już brała mnie w swoje objęcia.

Cyngi dostałem z braku witamin. Jadło się mączne pożywienie, nawet bez cebuli, tak samo było w archangielskich lasach, tam jadłem dziką różę zieloną, a w kolchozie i róży nie było, cały czas witamin nie widziałem.

Po śmierci doktora Olszewskiego już druga lekarka objęła szpital, Żydówka z Ukrainy. Żona po doktorze Niemcu była w szpitalu z powodu nadejścia czasu na poród. Gdy przyszła ta chwila, był u niej doktor Czernow i była ta doktorka z Ukrainy. Siedzieli przy niej pół dnia i nic nie mogli poradzić. Doktor Czernow zatelefonował do Turkiestanu, ażeby przyjechał dobry akuszer, bo oni tu sami nic nie mogą zrobić. Za parę godzin przyjechała samochodem akuszerka z narzędziami. Całą dobę nad nią desperowali, w końcu kawałami z niej wydobyli dziecko. Matki też uratować nie mogli, nastąpił duży krwotok i na to oni nic nie mogli poradzić, na drugi dzień zmarła.

Po tym fakcie przydzielili do szpitala nową doktorkę Tatarkę, ona objęła szpital, a doktor Żydówka poszła do ambulatorium. Muszę przyznać, że była naprawdę dobrą i znaną lekarką. Mnie dokładnie zbadała i osłuchiwała, przeznaczyła dla mnie inne lekarstwa i wszystkim chorym po zbadaniu przeznaczała ściśle diety. Postarała się o przydział tłuszczu, o kaszę manną i kartofle, wszędzie wlaźła sama po urzędach i umiała zdobyć, co było konieczne.

Dla mnie były potrzebne proszki - witamina C. W aptece ich nie było, ale miał je u siebie w domu doktor Czernow, to ona od niego wzięła coś ze dwadzieścia proszków i mnie co dzień dawała dwa proszki. I tak trochę lekarstwa, trochę tłuszczu i po każdym jedzeniu płukanie ust z powodu chorych dziąseł. Znalazł się apetyt do jedzenia i gdyby nie bolące nogi, to czułbym się już trochę lepiej.

Potem przydzielili starszą siostrę Polkę. Chociaż jej ojciec z dawna osiedlił się w Rosji, a ona się tam urodziła, umiała mówić czysto po polsku i znała się nawet lepiej od niektórych doktorów. Ona mnie też dużo pomagała.

Gdy już mogłem jeść chleb, przynosiła mi, ile zjadłem. Ona była w średnim wieku, ale włosy miała białe jak gołąb. Opowiadała nam, że męża jej zabrali do łagrów, nic już



od kilku lat o nim nie wie, a ją przesiedlili do Kazachstanu. Już dziesięć lat tu mieszka. Mieli ją zwolnić, ale na czas wojny jeszcze będzie pracowała w szpitalu. Mieli jednego syna, który obecnie jest w wojsku i nic do niej nie pisze. A ona tu w mieście Czulał Kurgan złączyła się z fryzjerem, Rusinem i nieźle jej się powodzi. Ona ma niezłą pensję, on też dobrze zarabia.

Namawiałim ją, żeby jak wojna się skończy, jechała z nami do Polski, to ona mówiła, że jej jest tu dobrze i do Polski nie pojedzie. Po paru dniach przyszedł do szpitala Żyd z Wilna, ślusarz i mechanik, chory na zapalenie płuc. On tu w tym mieście pracował, dobrze zarabiał, miał żonę i siedmioletnią córkę. Leżał na naszej sali, żona go codziennie odwiedzała. Gdy był już zdrowszy, to żona przynosiła mu jaja, mleko, ciastka i inne dobre żarcie.

Gdy przyszedł przedstawiciel polskiej placówki, a on też był Żyd z Wilna, adwokat, to dostał od niego sto rubli na troje. Czeladnik jego bez żadnej rodziny też dostał pięćdziesiąt rubli zapomogi, a i tak dobrze zarabiał, ale był Żydem. A jak ja jeszcze byłem w kolchozie, to my dostalim sto pięćdziesiąt rubli i trzy pary butów na siedemdziesiąt cztery osoby. Mówił, że w tym mieście od przedstawiciela dostawali już kilka razy smalec, cukier i z ubrania prawie wszyscy dostawali, którzy tu mieszkają. Ale w miastach to przeważnie Żydzi mieszkali, to Żyd Żyda ratował. Dostawali buty i grubsze zapomogi pieniężne i inne produkty.

Za parę dni zachorowała córka tego Żyda z Wilna, dostała jakiegoś dużego wrzodu na głowie, leżała na sali kobiecej, inna dziewczynka lat jedenaście, sierota, zmarła w tym czasie. Pod koniec kwietnia przywieźli do naszego szpitala nieprzytomnego sekretarza naszej placówki Włodarczyka z Grodna. Położyli go na innej sali, był on bardzo gruby i aż czarny. Niczego się od niego nie można było dowiedzieć, ani słówka, nic nie jadł ani nie pił, był bez czucia, robił pod siebie i po tygodniu męczarni zmarł.

Prawie wszystkich tam zmarłych chowali bez trumien, zawijali ciało w prześcieradło albo, słyszałem, tylko twarz nakrywali i tak pochowali. Włodarczykowi przedstawiciel kazał zrobić trumnę i nawet krzyż drewniany zrobili. Na pochowanie jego dużo ludzi przyszło, a nawet byli Żydzi. Nieśli go na ramionach, z krzyżem na przedzie. Tamtejsi Kazachy przyglądali się jak na jakieś zjawisko, bo u nich, jak kto umrze, to nad nim zapłaczą, potem zawiną w prześcieradło białe, włożą na nosze z kijów, położą na osła i przywiążą. Jakich kilku chłopów jemu bliskich, przyjaciół odprowadza go na cmentarz. Dół wykopią, tam go złożą i zakopią, mogiłę trochę wyższą usypią i koniec. Potem jeszcze dwa tygodnie zbierają się i płaczą, przed wieczorem przygotowuje się w kotle barana i łapszę. Tak robią na każdym

pogrzebie, a jak rodzina jest biedna, to się składają wszyscy i kupują, bo taki u nich jest obrządek.

Za tydzień po córce mechanika z Wilna zachorowała jego żona i trzeciego dnia zmarła. Za mojej bytności w tym szpitalu zachorowały dwie młodsze siostry szpitalne, trzy sanitariuszki i to na tyfus, doktorowa, żona Czernowa i on sam doktor, ale jakoś się wylizali.

Chorowała kuzynka pani Olszewskiej i nauczycielka, co z nią mieszkała, dwie kobiety, jedna z dziećmi, dwoje dzieci jednej zmarło, a prócz tego ile zmarło w kołchozach i miastach po całej Rosji, nie da się nigdy dokładnie policzyć. Ile zostało zabitych i zamęczonych dobrych Polaków, niewinnych, którzy tylko pragnęli mieć wolną swoją Ojczyznę kochaną.

W szpitalu już dwa tygodnie nie dawali nam cukru, piliśmy herbatę z jakiegoś suszonego zielska wcale nie słodzoną. Nadszedł 1 maja 1942 roku, przynieśli rano spore pudełko cukierków landrynek bez papierków. Każdy otrzymał pięć sztuk do herbaty, przed wieczorem też po pięć sztuk, ale po 1 maja dłuższy czas znowu cukru nie dawali.

Ja na żołądek już byłem zdrowy, malaria też mnie już minęła, tylko ta przeklęta cynga mi dokuczała. Dziaśła jeszcze się nie goiły, po każdym jedzeniu musiałem je płukać raz szalwią, a drugi raz jakimś zielonym płynem. Inne lekarstwa dawali mi trzy razy dziennie. Z nóg opuchlizna mi trochę stęchła, ale nogi tak strasznie bolały, że nie mogłem ich wyprostować, wprost mnie przykulały.

Doktorka kazała mi w łóżku się gimnastykować. Z wielkim bólem pomału ruszałem nogami z zaciśniętymi z bólu zębami. Kilka razy zemdlałem, a gdy mi przyszło siadać na nocnik, to już było najgorzej. Nieraz się przewracałem z tym nocnikiem. Potem siadałem na kijku położonym na dwóch łózkach nad wiadrem. Kij przyniósł mi sąsiad z bocznego łózka i tak się załatwiałem i było dużo lepiej.

Przez cały czas leżałem w szpitalu, już prawie trzy miesiące z nogami skulonymi, bo na sali było zimno. Piec był, ale w nim nie palili, a ściany i cały szpital był z gliny, w kątach wilgoć się świeciła i dlatego nogi były skulone. Przy cyndze od razu spuchły jak nawoje, pręgi na łydkach wystąpiły, choć już zaczęła opuchlizna schodzić, ale ból jeszcze nie ustępował.

Doktorka mówiła codziennie, żeby się gimnastykować, dwa razy dziennie, bo inaczej ból nie ustąpi i mogę być przykulony na zawsze. Choć bolało, ale się gimnastykowałem, zrazu pomału, a potem coraz więcej, aby nie być przykulonym. Dziaśła też prawie były zdrowe, krosty znikły, dali mi kule i zaczynałem pomału na dwóch kulach chodzić po sali. Drugiego dnia chodziłem dość długo, nogi zaczęły boleć, położyłem się na łóżku, patrzę, a moje nogi

spuchły i temperatura, czuję, jest duża. Gdy rano mi siostra zmierzyła, jest 39 stopni. Przyszła doktorka i znowu mnie dokładnie bada. Powiedziała, że za długo chodziłem, płuca i serce są w porządku, a jak temperatura będzie trzymać dłużej, to trzeba będzie robić *ukoły*.

Na drugi dzień temperatura była trochę mniejsza 38, ale na wieczór znowu 39 i dwie kreski. Trzeciego dnia przyszła doktorka ze starszą siostrą, obejrzała kartę i powiada, że przez sześć dni trzeba zrobić *ukoły* i to pierwszy już dzisiaj. Ja wcale nie wiedziałem, co to za *ukol*.

Po śniadaniu pod koniec maja było już bardzo ciepło i połowa chorych wyszła na świeże powietrze. Do sali weszły dwie siostry, jedna starsza i druga młodsza. Starsza w rękę trzymała strzykawkę z nasadzoną igłą. Czy igła była wygotowana, tego nie wiem. Wzięła mnie za rękę i kazała mi się przekręcić, żeby jej było wygodniej, a młodsza siostra gumowaną białą szmatą okręciła mi rękę i wtedy starsza siostra poczęła dźgać w żyłę gdzieś koło łokcia, gdy rękę zgiąłem w łokciu. Ale igła była tępa i nie chciała przebić skóry, aż za trzecim silniejszym pchnięciem przebiła i naciągnęła krwi prawie pełną strzykawkę. Wyjęła, zasmarowały to miejsce i prędko musiałem się przewrócić na brzuch, plecami do góry. Wtedy młodsza siostra usunęła bieliznę, a starsza zaczęła mnie kłuć w pośladek i w niego wstrzyknęła mi tę krew. Ja ze strachu i bólu tylko zęby ścisnąłem, poty na mnie wystąpiły, jakby mnie kto wodą oblał.

Drugiego dnia przyniosły aż trzy igły, miałem jeszcze więcej strachu. Pierwszą igłą nie mogła przebić skóry, nasadziła drugą i znowu to samo, nie przebiła, aż trzecią przebiła i krwi nabrała i znowu się przekręciłem i wstrzyknęły mi w drugi pośladek. Już myślałem, że zemdleję, ale jakoś wytrzymałem. I tak siedem tych *ukolów* miałem robionych, ale po nich temperatura mi się unormowała. Byłem zdrowszy, tylko strasznie osłabiony, ale o kulach pomału chodziłem.

Jednego dnia chorzy zaczęli się upominać u doktorki o fryzjera, a ja na swoje nieszczęście przygadałem, że w ruskim szpitalu to tak jak w więzieniu - z zarośniętymi brodami trzeba leżeć. Ona się za to na mnie bardzo rozgniewała. Kazała mi się zaraz ubierać i uczyć chodzić, bo za kilka dni wypisze mnie ze szpitala.

Sykałem z bólu i o kulach chodziłem, odpoczywałem i znowu chodziłem. Fryzjer przyszedł do szpitala, wszystkich strzygł i golił, i mnie też, ale 26 maja doktorka wypisała mnie ze szpitala. Przynieśli moje łachy i kazali się ubierać. Ja nie chciałem i się nie ubieram. Przysłała dwóch drabów i przymusowo mnie ubrali i wyprowadzili na korytarz.

Krzesełko na korytarzu stało zawsze, usiadłem na nim. Siedzę i myślę, co ja teraz będę robił. W tym czasie wyszła z drugiej sali doktorka. Przeprosiłem ją za to, że wczoraj ją obraziłem i mówię jej, że jeść mi się chce, jestem głodny, bo nie dali mi ani chleba, ani

herbaty. On powiedziała, że zaraz powie, żeby mi dzisiejszy prowiant oddali, ale już nocować w szpitalu nie będę i mówi, żebym sobie znalazł kwatery gdzieś u Polaków, których w tym mieście jest bardzo dużo. A ja jej mówię: „A co ja będę jadł, przecież nikt mi darmo nie da, a chodzić nie mogę i robić też nie mogę.

„Ja wam dam zapisku do naczelnika *rajzpalkoma* i on zażąda podwodę z tego kołchozu, coście w nim pracowali. I pojedziecie do swego kołchozu i tam wam dadzą dwieście gramów mąki na dzień jako bezrobotnemu i będziecie żyć. A do tego czasu, dopóki podwoda nie przyjedzie, to on was zaprowiantuje i będziecie chodzić do stołowej na obiad i będziecie mogli sobie kupić kilogram chleba na dzień.”

I takie pismo napisali i mnie dali do tego naczelnika miasta i mówią, żebym zaraz poszedł z tym pismem, to tam mnie zapiszą i zaraz dadzą mnie już na jutro talony na chleb i do stołowej na obiady.

Wziąłem to pismo i myślę sobie, że marny los mnie czeka. Niech to szlag trafi! Uszedłem śmierci z czterech chorób w szpitalu, a teraz mogę z głodu wykitować, bo w kołchozie dają na dzieci i na starych, co nie robią, tylko po dwieście gramów mąki. Jak to można żyć całą dzień z tych dwustu gramów mąki?!

Gdy wyszedłem ze szpitala o kulach pod pachami, najprzód wstąpiłem do pani Olszewskiej, która mieszkała naprzeciw szpitala, tylko przejść ulicę. Ona mieszkała ze swoją siostrzenicą, razem z nimi w tej samej izbie mieszkała jakaś nauczycielka. Wszedłem, powiedziałem „Dzień dobry paniom”. Odpowiedziały. Pani Olszewska pyta się: „Co pan nam powie? Pan leży tu w szpitalu?” Mówię: „Leżałem trzy miesiące, ale wczoraj już ze szpitala doktorka mnie wypisała i szukam jakiegoś przytułku, żeby gdzieś przenocować. Pani Olszewska mówi: „Jak to?! Chorego o kulach wypisała? To wprost niemożliwe! Chyba pan się zachował jakoś niegrzecznie czy coś zrobił niedobrego”.

Opowiedziałem jej za co, że powiedziałem, że w ruskim szpitalu tak jak w więzieniu chorzy są obrośnięci, niegoleni, ani strzyżeni i brudni, za to mnie wypisała. Pani Olszewska mówi: „Źle pan powiedział, ale wszystko jedno, nie powinna pana wypisać. Ale tu wszyscy za prawdę się gniewają i karzą, to ich taka metoda rządzenia”.

W tym domu, co pani Olszewska mieszkała, był zamiast sieni długi korytarz walenie szeroki. W kącie tego korytarza leżało dużo suchego zielska na opał. Mówię: „Proszę pani, świętej pamięci pani mąż, doktor Olszewski, ratował mnie, gdy byłem ciężko chory, przynosił mi swoje lekarstwa, które miał jeszcze z Polski, a w aptece takich brakowało, jakie mi były potrzebne. I może tylko panu Olszewskiemu i Bogu zawdzięczam, że jeszcze żyję. Może pani mi pozwoli przenocować choćby na korytarzu na tym zielsku, zawsze to będzie cieplej niż

na dworze. Ja jutro będę szukał jakiegoś mieszkania. Mam pismo od doktorki do naczelnika *rajspalkoma*, to może on mi gdzieś przeznaczy jakieś przytulisko i powie, co ja mam robić, aby żyć”. Pani Olszewska mówi: „W tym mieszkaniu mieszkamy cztery kobiety, przyjąć do mieszkania nie mogę, ale jak pan chce przenocować na korytarzu, to proszę, może pan tamto zielsko rozłożyć sobie i spać. Ale radzę panu najprzód rano iść do przedstawiciela. To jest taki mąż zaufania dla Polaków. Daje zapomogi i opiekuje się tu w całym okręgu Polakami. On panu poradzi, co pan ma robić i da zapomogę”. Mówię: „Dobrze, jutro pójdę do przedstawiciela”.

Przy tej naszej rozmowie była i nauczycielka. Ona uczyła w tym mieście dzieci polskie, jej mąż umarł w Rosji. Na kolację dały mi wody przegotowanej zaprawionej zamiast herbaty jakimś zielskiem, nauczycielka dała mi kawałek chleba do tej niby herbaty. Po tej kolacji poszedłem sobie szykować na korytarzu spanie. Gdym rozkładał to suche zielsko, była tam z boku uwiązana kura pani Olszewskiej. Złękła się. Jak zaczęła gdakać! Ale potem uspokoiła się i już nie gdakała. Pani nauczycielka przyniosła mi koc, bo było zimno i mówi: „Niech pan nie boi się, bo on był dezynfekowany. Niech się pan odzieje dobrze, bo noce są zimne” i tak nocowałem razem z kurą.

Po zjedzeniu śniadania, takiego samego jak kolacji - suchy chleb i woda, poszedłem do przedstawiciela. On mieszkał na przedmieściu. Było do niego ze dwa kilometry, ciężko mi było iść, nogi bolały, ale szedłem, bo musiałem. Przyszedłem, a tu ludzi już pełno, nie tylko w sieni, ale i na dworze, z różnych kołchozów. A najwięcej było Żydów z Polski, ci się pchali bez kolejki, bo przedstawiciel był Żydem. Gdy umarł sekretarz Włodarczyk, to na jego miejsce był sekretarzem też Żyd z Wilna, adwokat. Oni swoich uwzględniali lepiej i bez kolejek, a Polacy musieli się najprzód zapisać, a potem według listy wchodzili do przedstawiciela po swój przydział.

Był to już 27 maja 1942 roku. Było już bardzo ciepło. Usiadłem i kule obok siebie położyłem i przyglądam się, że niektórzy to się nie zapisują i idą bez kolejki, a wychodzą z darami i ich nikt z listy nie wyczytywał. Z domu obok wyszła znajoma kobieta z podróży, żona kapitana polskiego, który był zastępcą komendanta transportu Podczasiaka. Jechalim wtenczas z Koźwy do Samarkandy. Tam była kradzież mąki i suszonych jabłek. Wtenczas, gdy rewidowali wagony, komendant transportu uciekł, a jej męża aresztowali za tę kradzież. Z trzech wagonów mężczyzn zabrali, winien czy niewinien, do więzienia w Samarkandzie. Nas po trzech dniach wypuścili.

Pytam się tej pani: „Gdzie jest pani mąż? Bo ja z pani mężem razem byłem aresztowany w Samarkandzie za kradzież mąki”. Ona się mnie pyta, co ja wiem o tej

sprawie, bo jej mąż nie wrócił i nic o nim nie wie. I pyta się, czy dobrze znałem jej męża. Mówię, że znałem, bo razem jechalim z Koźwy do Samarkandy. „Mąż i pani jechaliście w trzecim wagonie i – mówię – pani mąż nic nie był winien. Jego nie zatrzymali za kradzież, tylko jak w czasie rewizji wagonów komendant transportu uciekł, a pani mąż był zastępcą, to za to, że dopuścił do tej kradzieży. Ale na pewno go wypuszczą”.

I mówię, że z naszego wagonu było dwudziestu trzech zatrzymanych, ale po trzech dniach wypuścili wszystkich. „To na pewno i pani męża wypuszczą.” Ona zapłakała i poszła do przedstawiciela, bo rozmawialiśmy na dworze i mówi w uniesieniu: „Panie przedstawicielu, jest tu jeden człowiek, który wie, że mój mąż nic nie był winien. Razem był zatrzymany tego dnia”. Ja jak raz wygramoliłem się, a ona mówi: „Oto ten pan może powiedzieć wszystko, jak było”. Ale przedstawiciel powiedział: „Ja wierzę, że pani mąż nie kradł mąki”, a mnie o nic się nie pytał. Było to jemu obojętne. Żeby to był jaki Żyd, to może by się zainteresował, ale że to był Polak i to jeszcze kapitan, to musiał być winien, kiedy go zatrzymali.

Ludzi było dużo i wchodzili poza kolejką, więc wyszedłem, bo było ciasno i gorąco. Ona wyszła za mną i pyta się: „Czy pan nie jest głodny? Może pan co zje?” Mówię, że śniadanie jadłem, ale już bym coś zjadł. Poszła do mieszkania swego i wyniosła chleba posmarowanego smalcem i drugi większy kawałek chleba nie posmarowanego i kubek herbaty. Chleb posmarowany zjadłem, popijając herbatą, a ten bez smalcu większy kawałek schowałem do kieszeni. Na boku leżało suche zielsko do palenia, usiadłem na nim i patrzę, że nasi ludzie Polacy pilnują kolejki, ale co jakiś czas wchodzą i bez kolejki. Myślę, że to chyba Żydzi, bo tam nikt na nich nie krzyczy i wychodzą załatwieni, bo coś niosą.

Podniosłem się i idę pomału o kulach. Ludzie nic nie mówią, ale sekretarz mówi: „Wy jeszcze nie jesteście zapisani, najprzód trzeba się zapisać, a dopiero później, jak przyjdzie kolejka, to ja was zawołam”. Ja mówię, że nogi mnie strasznie boją, stać już dłużej nie mogę, ale widzę, że ludzie wchodzą bez kolejki i załatwiani są, chociaż są zdrowi. Spojrzał na mnie przedstawiciel zza stołu i mówi: „Niech pan usiądzie na tej skrzyni, tylko załatwię tych, co są w środku, to zaraz potem załatwimy pana”.

Była to duża izba, przepierzona kocami na połowę. Za tym przepierzeniem mieli różne artykuły dla internowanych. Był smalec w beczkach, cukier w workach, mydło w dużych sztabach kilowych i towary łokciowe, i ubrania przeważnie dla dzieci. A wydawali tylko na kołchozy. Na jedną osobę pół szklanki cukru i pół szklanki smalcu, pół kawałka mydła, ale cukier i smalec to tylko dla dzieci i ludzi starych.

Leżała i gromada nowych butów, ale na kolchoz po parę par, na przykład na siedemdziesięciu ludzi cztery pary butów i parę metrów towarów łokciowych dla dzieci.

Gdy już załatwił z tymi kolchozami, co byli w środku i kilku pojedynczych ludzi, zwraca się do mnie i pyta mnie, skąd ja się tu wziąłem i z jakiego kolchozu jestem. Opowiedziałem mu wszystko od początku, jak przyjechałem na komisję i się zaziębiłem i leżałem w szpitalu trzy miesiące. I za co mnie doktorka wypisała ze szpitala, chociaż jeszcze chodzić nie mogę, i jestem bez życia i dachu nad głową.

„Przyszedłem prosić pana przedstawiciela o opiekę nad sobą” i jeszcze mu mówię, że stawałem na komisję wojskową i jestem przyjęty do wojska, to abym mógł chodzić, to zaraz pojedę do wojska.

On wysłuchał mnie i mówi, że on się mną opiekować nie będzie, tylko muszę jechać do swego kolchozu i tam dadzą to, co się należy każdemu choremu i mieszkaniu. Jak już wyzdrowieję, to pojedę do wojska. Ja mówię: „Ja do kolchozu nie pojedę, bo jestem chory, a tam trzeba pracować. Ja się nie nadaję do pracy i tam z głodu umrę”. On mówi: „Ja wam też dam trochę zapomogi, dam trochę pieniędzy, sztabę mydła, słupek zapalek, pół szklanki smalcu i pół szklanki cukru, to za to w kolchozie można będzie dużo nabyć do życia”. „To ile da mi pan tych rubli?” On powiada: „Dam dwadzieścia rubli”. To ja mówię: „To jak pan przedstawiciel rozdziela te pieniądze? Jednym na osobę daje pięćdziesiąt rubli, a na trzech - mówił mi jeden - że dostał sto rubli”. To on się pyta: „Komu tyle dałem?” Ja mówię, że mi to mówił jeden, że on tyle dostał, leżał ze mną w szpitalu. „Uważam, że pan daje pieniądze za pokwitowaniem, to może pan sobie łatwo przypomnieć, jak zechce. A dla mnie chorego tylko dwadzieścia rubli? To jest za mało”.

Obejrzał się na sekretarza i kazał wypisać sumę trzydziestu rubli. Zaraz mi te pieniądze wypłacił. Potem dał mi kilową sztabę mydła, słupek zapalek, pół szklanki cukru i pół szklanki smalcu i ładną, nową koszulę. Ja widzę, że leży duża gromada butów nowych, a ja mam podarte kamasze, jeszcze z łagrów. Proszę go, żeby mi dał i buty. On mówi, że buty i inne materiały wydaje tylko na całe kolchozy i zależy, jaki był duży ten kolchoz. Mówi, że już wydał na nasz kolchoz trzy pary butów na siedemdziesiąt cztery osoby, to może oni tam ich nie wydali jeszcze, to jedną parę mnie dadzą. I mówi: „Wydałem parę par pończoch dzieciennych i damskich. A kolchozów mam bardzo dużo i muszę tak dzielić, żeby każdy kolchoz coś dostał”.

Ja pytam się go, jak ja się dostanę do swego kolchozu, do niego jest pięćdziesiąt pięć kilometrów. Może mógłbym zostać tu dłużej w jakim kolchozie, żeby mnie skierował. On mówi, że chorego do żadnego kolchozu nie przyjmą, tylko muszę jechać do swego, tam

muszą mnie przyjąć. „Pójdźcie do naczelnika *rajspalkoma* i on panu wyznaczy furmankę. Ja więcej nic panu nie pomogę”. Podziękowałem za to, co dostałem i wróciłem do pani Olszewskiej, na korytarz i pokazałem, co dostałem od przedstawiciela. Pani Olszewska dała mi kawałek chleba i kubek przegotowanej wody. Chleb posmarowałem smalcem, zjadłem i położyłem się, żeby odpocząć po tej podróży do przedstawiciela. Nogi mnie bolały strasznie, a jutro z rana pójdę do naczelnika o furmankę, żeby jechać do swego kołchozu.

Rano wstałem. Dały mi wody do umycia twarzy, ale umyłem sobie i nogi. Patrzę na nie - po wczorajszym dniu trochę mi popuchły. W tym korytarzu były jeszcze jedne drzwi i drugie mieszkanie, w którym mieszkały dwie siostry z matką staruszką. Były to Żydówki z Ukrainy, jedna była doktorką i pracowała w ambulatorium. Gdy ja przyglądałem się swoim nogom, podeszła do mnie, popatrzyła, potem dotknęła ręką moich opuchniętych nóg i powiada: „Trzeba je smarować wazeliną” i ona mi tej wazeliny przyniesie i bandaż. Mówię: „Dobrze, niech pani przyniesie, to ja będę smarował na noc i będę owijał bandażem. I z góry pani dziękuję”.

Pani Olszewska na śniadanie ugotowała czarnej kawy i dała mi kubek tej kawy, chleba kawałek dała mi nauczycielka, bo wszystkie panie kupowały w sklepie chleb na kartki po dziewięćset gramów na dzień. To było pierwsze moje śniadanie, chleb był posmarowany smalcem i czarna kawa z cukrem.

Po zjedzeniu śniadania wziąłem kule pod pachy i idę do naczelnika *rajspalkoma*. Pani Olszewska mi wytłumaczyła, na jakiej to ulicy. „Najprzód pójdzie pan prosto, potem pierwsza ulica w prawo, potem znowu w lewo i tak kilka ulicami, pytając się często przechodniów”. Wreszcie doszedłem, kulami się podpierając, aż mnie pod pachami bolało. Było już koło dziewiątej.

Budynek był duży i korytarz, na którym stał woźny. Pytam się go, czy jest naczelnik *rajspalkoma*. On mówi: „*Da*, a w jakiej sprawie wy przyszli do naczelnika?” Mówię mu, że chodzi mi o podwodę. „*Wot tam idzi*” i pokazał mi drzwi.

Zapukałem i usłyszałem „*da*”, otworzyłem drzwi i wszedłem. Patrzę, siedzi mały, drobny, garbaty człowieczek. Mówię „*zdrastwujcie*”, odpowiedział mi „*zdrastwujcie*”. Ja pytam się jego, czy jest naczelnik *rajspalkoma*, bo myślałem, że to jakiś pisarek. Wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. On mówi: „*Eto* ja jestem naczelnikiem. *A czto takoje*?” Ja mu opowiedziałem, że zostałem wypisany ze szpitala i nie mam co jeść i gdzie spać, żeby mi coś pomógł.

„To wy jesteście polski *grazdanin*?” Mówię, że tak. To on mówi, żebym się zgłosił do polskiego przedstawiciela, niech on się mną zaopiekuje. Mówię, że już byłem



u przedstawiciela. On mi trochę dał zapomogi i odesłał do pana naczelnika, żeby pan dał mi podwodę do kołchozu, w którym pracowałem. Dałem mu kartkę od doktorki, która też powiedziała, żebym się udał do tego naczelnika o podwodę. Przedstawiciel powiedział, że więcej nic mnie nie pomoże, ale pomyślał trochę i mówi: „Podwoda wam się należy, ale skąd ją wziąć? Teraz jest robota w polu”. Pochylił się na lewo do telefonu i zadzwonił do centrali, żeby go połączyli z *ziernozawodem*.

Stamtąd odezwał się głos: „Halo, tu *ziernozawod*, przy telefonie *zawiadujuszczy Zachar*”. Wtenczas on mówi: „*Tu naczalnik rajspalkoma, zdrastwuj Zachar*”. Tamten odpowiedział: „*Zdrastwujcie towaryszcz naczalnik*”. Potem naczalnik się go się pyta: „*Słysz, Zachar, czy u was są jakieś podwody za ziarnem z selsowietu Imek?*” Zachar odpowiedział, że będą za dwa dni. „Aha - powiedział naczalnik - *ladno*, słuchaj, Zachar, tu jest polski *grazhdanin*, on musi na tych podwodach pojechać do Inbeka. Tylko tego dopilnuj, Zachar”.

Słuchawkę położył i mówi do mnie: „Wy macie szczęście, za dwa dni będą podwody po ziarno *klapok*, czyli nasienie waty i wy z nimi pojedziecie do *selsowietu Imbek*”. Ja mówię, że jestem z kołchozu Kazałtu, to jest jeszcze piętnaście kilometrów, to ja tam nie zajdę, bo mnie strasznie bołą nogi. To on mówi, że da mi kartkę do przedstawiciela *selsowietu Imbek*, że ma mnie dostarczyć do kołchozu Kazałtu. Mówię, że dobrze i zaraz napisał tę kartkę i mnie dał.

To ja znowu mówię, żeby mi dał kartkę na chleb na dwa dni i do stołowej talony na obiady i herbatę. „Na chleb ja zatelefonuję do urzędu, oni wam dadzą kartkę na chleb i talony do stołowej na obiad”. Zatelefonowałem i powiedział, że to nie tak daleko, obok poczty.

Podziękowałem mu i biorę kule pod pachy i już wychodzę, to jeszcze mi mówi, żeby dopilnować podwody, bo później będzie gorzej. „Teraz idźcie prosto do tego urzędu po kartki na chleb.” Po drodze dopytałem się, gdzie ten urząd. Wszedłem do niego, było tam kilka urzędniczek i kierownik. Powiedziałem: „Zdrastwujcie, przyszedłem od naczelnika *rajspalkoma*. On tu telefonował, żebyście mi dali kartki do *larka* na chleb i do stołowej talony na obiady”. „*Charaszo*, siadajcie, zaraz damy na dwa kilo chleba i dwa talony do stołowej na obiady”. Zaraz niedaleko na tej samej ulicy był *larok*, kupiłem dwa kilo chleba i dopytuję się, gdzie jest stołowa. Wreszcie znalazłem ją, na pewno było już po godzinie dwunastej, ale ludzi w kolejce było około stu osób. Stałem z boku, posuwam się pomału i przyglądam się.

Stołowa była poza miastem. Był to barak gliniany. Gdy wchodziłem, talerz pokazałem, wszedłem. Od jednego stolika jak raz wstali i wyszli. Za ladą stał mężczyzna i odbierał talony, a dwie kobiety podawały na ladę jedzenie, inne dwie zbierały naczynia i odnosiły do kuchni, czy myły, to nie wiadomo. Na obiad była tak zwana łapsza - makaron

z odtłuszczonym mlekiem w blaszanych miskach. Łyżki były drewniane, ale tej łąpszy było sporo. Podała mi ją ta, co zbierała próżne naczynia. Ja wyjąłem chleb, ułamałem kawałek, najadłem się dobrze i wyszedłem.

Słońce paliło, pot spływał po twarzy, byłem zarośnięty, włosy miałem długie i na brodzie także. Czasu do wieczora miałem jeszcze parę godzin. Myślę: „Mam pieniądze, to trzeba iść do fryzjera i dać ostrzyc sobie włosy na zerówkę. I brodę zgolić”. Szukam fryzjera i znalazłem go. Był to Gryzia znany w cały miasteczku i przychodził do szpitala strzyc, gdy go wezwali.

Był wysiedlony z Rosji do południowego Kazachstanu. Tu się zapoznał z polską dziewczyną, która była starszą siostrą w szpitalu i tak sobie żyli po rusku i dobrze im się powodziło. Ona miała niezłą pensję i on też dobrze zarabiał na strzyżeniu. Czekałem dość długo, bo kolejka była niemała, ale się doczekałem. Ostrzygł mnie i ogolił, zapłaciłem mu trzy ruble. Miał jeszcze dwóch pomocników i cały dzień mieli co robić, jedni wychodzili, a drudzy przychodzili i tak do wieczora.

On sam mnie golił. Po goleniu dmuchnął mi na twarz wodą kolońską, bo poznał mnie ze szpitala. Po tej robocie dużo odmłodziłem. Gdy wróciłem, wszyscy się dziwili, bez brody i bez włosów na głowie, i trochę z zapachem.

Pani Olszewska podała mi kubek przegotowanej wody, ja ją trochę osłodziłem, chleba kawałek cieniutko smalcem posmarowałem i najadłem się dobrze. Zaraz położyłem się spać, bo nogi mnie bolały bardzo po całodziennym chodzeniu. Wróciłem już nad samym wieczorem do tej swojej kwatery korytarzowej razem z kurą.

Obudziłem się raniej i, mając prawie wszystko już załatwione, postanowiłem iść do tych ludzi, co przed szpitalem u nich kwaterowałem dziesięć dni. Może nie zużyli wszystkiej mojej mąki, to mi oddadzą. I pieniędzy pożyczyłem jednemu trzydzieści rubli, może mi odda jak będzie miał, bo dziś bardzo by się przydały.

W połowie drogi do nich spotkałem żonę tego, któremu pożyczyłem trzydzieści rubli. Poznałem ją od razu i mówię: „Dzień dobry pani. Czy poznała mnie pani? Byłem u państwa na kwaterze u trzy miesiące temu i pani mi bańki stawiała”. „A, to pan, mówili, że pan umarł zaraz po miesiącu w szpitalu”. „Widzi pani, że nie umarłem, bo stoję przed panią i szedłem do państwa, bo mam pokwitowanie na trzydzieści rubli, które pani mężowi pożyczyłem przed pójściem do szpitala. Chyba pani wie o tym?”

Ona mówi, że wie, ale męża nie ma. „On poszedł do wojska polskiego i ja otrzymuję zasiłek, to panu te pieniądze oddam zaraz”. Wyjęła portmonetkę i wyliczyła trzydzieści rubli i dała mi. Przyjąłem, podziękowałem i pytam: „Czy mąkę zużyliście wszystko, com u was

zostawił?” Ona mówi: „Dopóki nic o panu nie wiedzielim, to jej nie ruszylim, ale gdy poszła pogłoska, że pan umarł, to z połowę zużylim, a resztę na wszelki wypadek zostawilim, nie mając pewności, czy pan umarł. A może pan żyje? Jak byśmy wyglądali, gdybyśmy wszystko zjedli? Niech pan idzie ze mną, to panu oddam, co zostało tej mąki”. Gdy weszlim do mieszkania, powiedziałem „Dzień dobry państwu”, odpowiedzieli i przyglądają mi się wszyscy ze zdziwieniem, bo mieli mnie za umarłego, a tu przychodzi o kulach, ale ogolony i ostrzyżony, dużo młodszy jak był u nich na kwaterze.

Ten pierwszy, co mnie przyprowadził jako kuzyna, powiada: „Ja to przeczuwałem, że to może być omyłka, że może pan żyje. Tam dużo ludzi umarło w tym szpitalu, a nikogo do chorych w odwiedziny nie wpuszczali, bo tam panował tyfus i do tego był bałagan. No dobrze, że pan żyje. Trochę mąki pańskiej skonsumowali, a resztę panu oddamy. I co pan teraz myśli robić z sobą, kiedy pan o kulach chodzi?”

Powiedziałem, że muszę wracać do swego kołchozu, tam mają mi dać jakieś życie. No i mam tam kilku znajomych dobrych Kazachów, może mi coś pomogą, dopóki nie będę mógł chodzić i robić. Zresztą mam już prawie sześćdziesiąt rubli w kieszeni, dziesięć kilo mąki, mydło, zapalki i nową koszulę, jakoś się tam będzie żyć. Dwa dni temu myślałem sobie, że marny los mnie czeka. Niech to szlag trafi taki los! Uszedłem śmierci z chorób w szpitalu, to jak mnie długo nogi będą boleć, to mogę z głodu w kołchozie wykitować. Ale dziś już myślę inaczej, bo jestem na razie bogaty i może Pan Bóg da, że prędko wyzdrowieję i pojedę do polskiego wojska, a tam już nie będę się martwił, co będę jadł jutro. Dadzą mi wszystko, życie, umundurowanie i będę żołnierzem i zwałę z siebie te porwane łachmany, w których wyglądałem jak ostatni dziad w Polsce.

Wstąpiła we mnie nadzieja, że dam sobie radę i żyć będę. Pożegnałem się z dobrymi ludźmi, wszyscy życzyli mi zdrowia i powodzenia w dalszym moim życiu. Mąkę przywiązali mi na plecach, bo inaczej nie mógłbym jej zabrać, a do mego kołchozu Kazałtu było pięćdziesiąt pięć kilometrów.

Wróciłem do pani Olszewskiej już nad samym wieczorem. Pani Olszewska dała mi zawiadomienie, które przyniósł listonosz, że 27 maja przyjadą podwody po nasiona, a 28 odjadą, żeby już tam być, to razem na nich pojedę do swego kołchozu Kazałtu.

Zjadłem kolację i mówię, że już ostatnią noc będę tu spał, a na drugą to już pójdę do tego magazynu zbożowego. Tam się gdzieś prześpię i rano już pojedę do swego kołchozu. Dla nóg zrobiłem wyżej, bo mnie strasznie bolały, cały dzień chodziłem, aż mi trochę spuchły. Położyłem się spać, ale sen mnie nie bierze, dumam, co ja już mam. Dwadzieścia pięć rubli miałem, potem mąż zaufania dał trzydzieści rubli i trzydzieści otrzymałem

za mąkę, razem mam osiemdziesiąt pięć rubli. To jest dużo, w kolchozie będzie można dużo kupić za te pieniądze. Potem do tego mam szklanę smalcu i pół szklanki w torebce cukru - taki luksus i dwa kawałki mydła do prania i dwanaście pudełek zapalek. Do tego mam kociołek miedziany do gotowania stawy, który kupiłem sobie dosyć okazjnie za dwa ruble od jednego w izolatorze, no i jeszcze worek na te wszystkie rzeczy.

Na drugi dzień wstałem raniej i układałem cały swój majątek do worka, potem wziąłem się za śniadanie. Miałem chleb, ukroiłem wałną skibkę, posmarowałem smalcem, a pani Olszewska jak zwykle nalała mi kubek kawy, ja sobie posłodziłem i jem. Myślę, że takiego śniadania to nie jadłem już całe dwa lata i tłuste, i słodkie, bardzo mi smakowało. Podjadłem dobrze. No i trzeba się zabierać i iść do tego *zawodzierna*, bo już w nocy przyjadą furmanki po nasienie. A był to kawał drogi do tych magazynów, prawie kilometr. Jak ja tam dojdę z tym workiem, kiedy w jednym ręku mam kij do podpierania, a pod drugą pachą mam kulę i nogi mnie bolą?

Zwracam się do pani Olszewskiej, że może mi postręczy nająć jakiegoś człowieka, żeby mi ten worek zaniósł do tego *zawodzierna*, to ja bym mu zapłacił, bo sam nie zaniosę, a trzeba mi już iść, bo jak furmanki przyjadą wcześniej, to mogą zabrać nasienie i odjechać. To ja bym dopiero marnie wyglądał!

Natenczas nadeszła nauczycielka i słysząc tę rozmowę o worku powiada: „Ja z panną Helą zaniesiemy panu ten worek, będziemy niosły obydwie”. Ja aż wykrzyknąłem: „A to bardzo dobrze, dziękuję paniom bardzo za to!” Ona mówi: „Niech pan pomału idzie wpierw, a my pana dogonimy. Ja wiem, gdzie są te magazyny za miastem”.

Dziękuję pani Olszewskiej za sublokatorstwo i za kawę, co mi codziennie dawała, a ona mówi: „My też mamy biedę na nowo. Dostalim wymówienie, żebyśmy się starały o drugie mieszkanie, bo ten dom należy do szpitala i tu musi mieszkać doktor. W tym mieście mieszka dużo Polaków i Żydów. Już się dopytywałam, ale znaleźć nie mogę. Wszędzie pełno i nawet po dwie rodziny mieszkają razem. Nie wiem, co będzie z nami dalej”. Ja jeszcze raz dziękuję za wszystko i wychodzę, bo godzina już była jedenasta.

Wyszedłem i pomału sunę z kulą pod pachą, a w drugiej ręce kijem się podpieram. W połowie drogi doznały mnie panie z moim workiem. Idziemy razem i ja ich się radzę, co ja mam teraz zrobić. Kulę mi pożyczili tylko, aby tu chodzić po mieście, za to poręczyła posługaczka w szpitalu Gecowa, Polka z okolic Stanisławowa, i ona za tę kulę odpowiada. Ja tej kuli oddać nie mogę, bo nie będę mógł wcale chodzić. To jak nie oddam, to jej potracą z pensji, bo doktorka tak jej powiedziała od razu. A ona miała pensji tylko sto dwadzieścia rubli miesięcznie, to jej mogą za tę kulę całą pensję zabrać.

Nauczycielka mówi: „Niech się pan nie przejmujecie Gecową. Jak jej potrąca, to my jej zwrócimy. Ja pójdę do niej i jej to powiem. Niech pan uważa na siebie, bez kuli pan ani kroku nie zrobi. Jak pan wyzdrowieje, to wtedy kulę im odeśle albo sam przyniesie. A teraz choćby ją chcieli zabrać, to niech pan nie oddaje, bo ona panu jest potrzebna”. Podziękowałem jej za dobrą radę, bo inaczej nic zrobić nie mogłem.

I tak doszliśmy do *ziernozawodu*. One się tym workiem aż pomęczyły, bo był dość ciężki. Podziękowałem im serdecznie, one życzyły mi szybkiego powrotu do zdrowia i poszły z powrotem.

Magazyny były duże, omurowane glinianym wysokim murem z dość wysoką bramą. Przy bramie stał stróż z karabinem na ramieniu, w ubraniu cywilnym, stary Kazach. Na lewo od bramy stała nieduża lepianka z gliny dla stróża, za nią stała większa lepianka dla przyjeżdżających po nasienie albo po żniwach ze zbożem, tu stały kojki do spania. O jakieś trzydzieści metrów dalej stał duży budynek, w którym mieścił się urząd. Tam najprzód załatwiali interesantów, czy przywiózł zboże, czy przyjechał po nasienie. Dostał kwit i dopiero szedł do magazynu i za tym kwitem czy zdawał, czy odbierał, to już magazynier go załatwił według otrzymanego kwitu w kancelarii.

Z tym stróżem nic nie mogłem się dogadać, nie umiał po rusku mówić. Pokazywał tylko na ten dom, nic nie mówiąc. Zostawiłem worek przy jego lepiance i idę do drzwi kantoru, pukam. Nikt się nie odzywa, otwieram i wchodzę, ale tu nie ma nikogo. Wyszedłem z powrotem i czekam, może tu ktoś przyjdzie. Były w tym budynku jeszcze dwa mieszkania dla urzędników. Poszedłem do jednego, był tam tylko chłopak, może miał lat piętnaście.

Pytam się go, kto tu w kantorze urzęduje. On mówi, że *aciec*. „A gdzie jest *aciec*?” „*Paszol w gorod*”. Pytam się, czy prędko przyjdzie. „Tak, niedługo”. Napiłem się wody i wyszedłem, usiadłem i czekam, aż wrócą z miasta. Już się ściemniało, gdy wrócili. Był to kierownik tych magazynów, ojciec tego chłopaka, sekretarz i jakaś z nimi przysła kobieta.

Byli to Rosjanie, tylko wysiedleni za jakieś winy. Powiedziałem im, że mają tu przyjechać furmanki po nasienie z kołchozu Imbek i ja z nimi mam pojechać do swego kołchozu Kazałtu. Wszyscy mówili po rusku i byli dobrymi ludźmi, mogłem się z nimi dobrze rozmówić.

Pyta się mnie, czy ja byłem u naczelnika *rajspalkoma* w mieście. Mówię, że tak, byłem. „Bo on tu do mnie telefonował o was, *my znajem*. Oni przyjadą w nocy po *klapok* (tak się nazywało nasienie waty). To oni jak przyjadą i nabiorą nasienia, to was zabiorą.” Pytam się jego: „Gdzie wy mi dacie nocleg, bo ja na dworze zmarznę”. A on się pyta: „*Wy byli w bolnicy*?” Mówię: „Tak, ale nie bójcie się, ja tylko chorowałem na nogi, a nie na inne

choroby”. Powiedział: „*Ładno*, chodźcie ze mną!” Poprosiłem go, żeby on mój worek wziął i przyszedł do tego drugiego domu od bramy.

Drzwi otworzył, weszliśmy. Były tam dwa mieszkania, przeszliśmy do drugiego. Były tam dwie *kojki* zasłane kocami i na każdej była poduszka z waty. Pokazuje mi i powiada: „Na której chcesz, to się kładź i śpij!” Mówię: „*Ładno*, tylko dajcie mi *kipiatku*, bo ja jestem głodny”. Powiedział: „*Charaszo, pryniesu*” i poszedł.

Jak on wyszedł, to ja oglądam te obie *kojki* do spania. Jedna była na takiej podmurówce. Nie wiem dlaczego, ale na nią się położyłem. Były dwa koce i na gałęziach suche siano zasłane jakąś płachtą.

Rozebrałem się z grubsza, worek położyłem sobie pod głowę z boku, ażeby mi go kto w nocy nie ukradł. Pacierz zmówiłem, utuliłem się i śpię, *kipiatku* nie mogłem się doczekać, tylko kawałek chleba posmarowałem smalcem i zjadłem i zaraz usnąłem.

Jak długo spałem, tego nie wiem. Gdy się obudziłem, kierownik stał przy mnie z miską, jego syn trzymał jakąś lampę w ręku. Może to on mnie obudził, tego nie wiem. Daje mi miskę i mówi: „*Kuszaj, bo kipiataku* nie ma”. Wstałem, a raczej usiadłem, wziąłem miskę od niego, była i łyżka drewniana i pełna miska łapszy, czyli makaronu z mlekiem. Miska była dość duża, to najadłem się dobrze. Smakował mi ten makaron, bo był na czystym mleku, nie odciągany.

Gdy zjadłem, poczułem się, jakbym był zdrowy. Podziękowałem mu: „*Spasiba wam, wkusne byli*”. „*Tiepier spijcie*, ja was rano obudzę” i poszli. Ja też pomału wstałem, wyszedłem za swoją potrzebą, a potem znowu położyłem się do spania. Na koce położyłem jeszcze swój buszłak, żeby było mi cieplej i spałem do rana, do godziny dziewiątej.

Gdy się obudziłem, poczułem, że nogi mnie nie tak bolą jak po wczorajszym dniu. Położyłem z drugiego łóżka poduszkę, żeby leżały wyżej, bo tak mi zalecała doktorka. Wyszedłem na podwórze, słońce już było wysoko na niebie, ale furmanek jeszcze nie było. Przechodził sekretarz i pytam się go, czy na pewno przyjadą furmanki z Imbeku. On mówi, że na pewno, bądźcie spokojni, pojedziecie.

Widzę, że on też niezły człowiek. Mówię mu: „*A kipiatak* na śniadanie?” Powiedział *ładno*, ale poszedł do magazynów. Wróciłem do swojej chałupy i siedzę już ze dwie godziny, a *kipiatka* nie przyniósł. Furmanki zaczęły przyjeżdżać i osłów naprowadzali, ale z innych kolchozów bliższych, z Imbeku jeszcze nie ma nikogo. Wyjąłem resztkę chleba, posmarowałem smalcem i zjadłem. Wyszedłem znowu na podwórze, stał tam duży słup i do niego był przywiązany głośnik radiowy. Jak raz nadawali, że Niemcy Kercz zdobyli. Patrzę, idzie sekretarz. Pytam go, jak tam mój *kipiatok*. „*A ja zabył!*”, to znaczy, że zapomniał

i poszedł do swego mieszkania. Po chwili wyniósł mi całą lepioskę. „*A kipiątka uże nietu*” - znaczy nie ma. Jak mi dał, to zaraz poszedł, bo furmanek było co raz więcej.

Z Imbeku przyszły dwie, jedna zaprzęgnięta była w dwie krowy, a druga w jednego byka. Gdy przyszła na nich kolejka, podjechali pod magazyn, w którym był *klapok* - nasienie waty. Na wóz zaprzęgnięty w krowy włożyli sześć worków, a na wóz byka pięć worków. Gdy wyjechali już za bramę, przyszedł kierownik i pokazuje im mnie i mówi, że mają zabrać mnie ze sobą do kołchozu.

Pomogli mi się wgramolić na wóz zaprzęgnięty w krowy i podali worek. Wyjechalim i już było parę godzin po południu. Jechalim do samego wieczora i dopiero przejechalim połowę drogi. Kazach stary trzymał lejce i kiwał się na wozie śpiący, a krowy często skręcały z drogi na step głodne, aby trochę się trawą pożywić. Wtenczas Kazach się budził i bił kijem biedne, głodne krowy.

Ja też poczułem głód. Jeszcze miałem chleb, ułamałem spory kawał i jem posmarowany smalcem. Zobaczył to Kazach i pokazuje mi na migi palcami, żeby mu dać chleba. Drugi, co jechał w byka, też przyszedł i pokazuje palcami na usta i wyciąga rękę, żeby mu dać. A ja już sam mało go mam. A dać obydwóm, to już będzie po chlebie. Lepiej nie dam, pokazuję im swoje nogi i kręcę głową, że nie dam. Po rusku nie umieli mówić ani słowa, ale zrozumieli, że im nie dam. Ten, co jechał bykiem, poszedł do swego wozu, a ja gdy już się dobrze ściemniło, wyjąłem kawałek chleba i dałem swemu furmanowi. On zjadł i pokazuje na migi, że jak przyjedziem do kołchozu, to on mi odda. Myślę, że może mnie do siebie zaprosi w gościnę, bo dużo głową kiwał.

Dojechalim do jakiegoś innego kołchozu, zza chmur pokazał się księżyc, zrobiło się dość widno. Całe moje szczęście, że nasienie to było jakieś miękkie, przekręcałem się pomału z jednego boku na drugi. Kazach, mój furman, tak samo i ten drugi zatrzymali się i puszczali krowy i byka na trawę, żeby się nażarły. Mój furman miał coś w rodzaju kołdry, rozłożył ją pod wozem, potem miał kawałek wołoku, który podłożył pod głowę i kładzie się do spania. A ja siedzę i na to patrzę, co on robi.

Podszedł do mnie, patrzy, że ja nie śpię, coś tam po swojemu mówi i pokazuje palcem „*predsiedaciel*”. Zrozumiałem, że tu gdzieś *predsiedaciel* i on mi pokazuje, żeby iść do niego. Zaczęło się rozwidniać, pokazały się zorze na niebie takie pomarańczowe.

O jakieś dziesięć metrów od nas stał trochę większy od innych *kołoj*, leżały beczki chyba z ropą. Koło tej chałupy kręciła się jakaś kobieta, potem wyjechały dwa traktory, jeden pojechał gdzieś dalej, a drugi podjechał blisko tej chałupy z beczkami. Reflektory świeciły, bo to dopiero zaczęło świtać. Przy tej chałupie spało pięciu chłopów.

Ta kobieta, co się już tu dawno kręciła, wzięła budzić tych chłopów. Zaczęli z jednej beczki nalewać ropę i nosić do traktora. Potem traktor odjechał, gdzieś niedaleko orali pole do tego *klapoku*. Już raz zasiał, ale był przymrozek, to teraz mieli go siać drugi raz. Dzień i noc orali, a ci, co ropę brali i do traktora wlewali, klócili się na całe gardło, jeden drugiemu przyganiał.

Było jeszcze dobrze rano, a ja już usnąć nie mogłem, a bałem się próbować zejść z wozu. Nogi mnie bołą, że i ruszyć się boję. Ale przecież muszę zejść, a tu na wozie coraz jest zimniej. Zsuwam się pomalutku z wozu. Oj, co za ból poczułem w nogach! Ustałem przy wozie, mam kulę pod pachą i kij w ręku. Nie uważam na ból, przestępuję z nogi na nogę pomału, ażeby się choć trochę rozruszać. Ta kobieta co raz wchodzi do chałupy i wychodzi.

Mój furman śpi aż chrapie, ten drugi też śpi, pić mi się chce. Wypuściłem się do tej kobiety, pokazuję jej chociaż na migi, że chcę się napić wody. Zrozumiała, bo poszła do chałupy i wyniosła kubek wody. Wypiłem i pytam, gdzie mieszka *predsiedaciel*. Ona się na mnie patrzy i nic nie mówi, ja jej drugi raz mówię *predsiedaciel*, chyba zrozumiała, bo pokazuje ręką - tam.

Stała tam trochę większa chałupa z gliny. Przysunąłem swój worek do brzegu, a miałem go z dawna przyszykowany do noszenia na plecach. Przywiązałem dwa sznurki do rogów worka i na wierzchu tymi sznurkami worek się wiązało, a potem tylko się przesadziło ręce i worek był już na plecach.

Do tego *predsiedaciela* było walenie daleko, a nie mogłem tego swego majątku zostawić, bo mógł by mi go ktoś ukraść. Jakoś z biedą założyłem go sobie na plecy i idę, jak to mówią, jak jeź z drożdżami. Szedłem pomału i jeszcze się zatrzymałem, ażeby odpocząć i znowu szedłem dalej. Na prawo od drogi stała mała chałupa, a przy niej stały dwie kobiety Kazaszki, coś tam tak rano rozmawiały sobie. Gdy się zbliżałem, to jak mnie zobaczyły, to się przelękły, jedna aż krzyknęła i uciekły do domu i zamknęły drzwi za sobą.

Idę dalej, na lewo przy drodze stały jakieś mury z rozwalonego starego meczetu. Jeden szczyt trzymał się jeszcze z kawałkiem kopuły sklepionej, reszta to były tylko gruzy. Za nim obok był wybudowany nowy meczet, ale nikt tam nie chodził się modlić. Młode pokolenie śmiało się z tych, co się modlili, ale starzy Kazachy, jak go tam coś zabolą, to wołał „aj kajajaj” po ichnemu. Bóg tu nazywał się „kajaj”. Jedni modlili się do księżycy, inni do kajaja, ale też już mało. Więc w tym nowym meczecie była kooperatywa, ale w niej nic nie było, tylko sól i rzadko przywozili inne towary pierwszej potrzeby. Ten kołchoz to był Imbek,



był tam *selsowiet*. *Predsjedaciel* mieszkał jeszcze dalej i tam był urząd i magazyny zbożowe obok.

Było w tym kołchozie kilka rodzin polskich, a że to było jeszcze dobrze rano, myślę sobie: pójdę do jakiejś sieni i się położę i prześpię, bom się zmęczył. Jak już wszyscy powstają, to może spotkam się z jakąś rodziną polską, a może nawet będą jacyś znajomi. I nie namyślając się, zachodzę do jednej sieni. Leży tam w niej dużo disanu suchego, co nim opalają. Zdejmuję z siebie worek, kładę go pod głowę, dla nóg też zrobiłem wyżej, położyłem się i zaraz zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem. Gdy się obudziłem, usłyszałem polską mowę. Ta sień należała do trzech polskich rodzin. Jedną była kobieta z dziećmi i matką staruszką, mąż jej umarł w kołchozie na północy, a matka staruszka już ledwie chodziła. Kobieta miała syna lat szesnaście i córkę lat osiemnaście, pracowali w kołchozie, nieźle zarabiali i tak razem żyli. Chłopak jeszcze rąbał Kazachom disan na opał, to za to dawali mu mleko odtłuszczone, ale dobre i takie, aby tylko było.

Po drugiej stronie mieszkały dwie kobiety mężatki, jedna była bezdzietna, druga miała przy sobie syna lat czternaście, mąż jej z drugim synem lat osiemnaście poszedł do wojska polskiego, ale listu od nich jeszcze nie miała i nic o nich nie wie.

Ta bezdzietna była szwaczką, jej nieźle się powodziło, bo zawsze tam coś szyla albo *predsjedacielowi*, albo Kazachom, mąż jej też był w wojsku polskim.

Poszedłem do nich, mówię: „Dzień dobry paniom”, odpowiedziały: „Dzień dobry panu”. Pytam się ich: „Czy nie poznajecie mnie panie? Razem z mężami pań szedłem na komisję, a wy nas odprowadzałyście aż na górkę. Ja wtenczas zaziębłem się i leżałem w szpitalu trzy miesiące i cztery dni”. Dopiero sobie przypomniały, dały mi śniadanie, ale się wprzód umyłem i jem śniadanie. Natenczas przyszła jakaś stara kobieta, też Polka. Miała już osiemdziesiąt cztery lata, mieszkała z doktorami w Polsce, jeszcze ciężko chorowała. Mówiła, że była na operacji i miała jakąś blachę wstawioną do brzucha.

„Ale tu - powiada - jeszcze pracuję, rąbię disan na opał dla doktorów i dla szwaczki, i dla Kazachów, całe dnie rąbię”. Wszyscy tę pracowitą staruszkę uważali i dobrze ją wynagradzali. Miała co jeść i jeszcze komuś dała.

Posłuchała, jak ja opowiadałem, com przeżył przez te trzy miesiące w szpitalu i teraz ledwie o kulach chodzę. Posłuchała, co ja opowiadam o swoim nieszczęściu, zabrała się i poszła. Za jakąś godzinę przyniosła mi pełną miskę klusek z maślanką. Nie byłem bardzo głodny, bo już jadłem trochę śniadania, krawcowa mi dała, ale maślanka to była nowość dla mnie, zjadłem i będę syty do wieczora.

Po podwójnym śniadaniu poszedłem do *predsiedaciela* z kartką od naczelnika *rajspalkoma*, ale w urzędzie było jakieś zebranie od samego rana. Było tam z piętnastu mężczyzn i jedna kobieta z piórem w ręku, pewnie sekretarka. Ona wstała i podeszła do mnie i pyta się mnie, do kogo ja tu przyszedł. Mówię, że do *predsiedaciela*. Ona mówi: „Teraz nie można, jak się skończy zebranie. Teraz wyjdźcie na podwórze, a potem przyjdziecie”.

Wyszedłem na podwórze, usiadłem w chłodzie i czekam, aż się skończy zebranie. Gdy już zaczęli wychodzić, wstałem i podeszedłem do wejścia, żeby móc złapać tego *predsiedaciela*. Jak raz on wychodził.

Podeszedłem do niego i daję mu kartkę od naczelnika. Przeczytał i w tym czasie nadjechał z mojego kołchozu *predsiedaciel*, przywitali się i rozmawiają. Zauważyłem, że o mnie. Zwrócili się do mnie i ja swojemu powiedziałem „*zdrastwujcie grażdaniin*”, on odpowiedział *zdrastwuj*, więcej on po rusku nie umiał. Ten z kołchozu Imbek powiada mi, że podwoły nie ma, wszyscy pracują w polu, sieją. Potem rozmawiali znowu, domyślałem się, że ten z Imbeku namawiał mojego, żeby on mnie zabrał. Obrócili się do mnie i ten mój mówi, że jutro tu przyjedzie z Kazałtu po pocztę, to on mnie zabierze i razem pojedziemy. Kiwnąłem głową i powiedziałem *charaszo*.

Rano z kołchozu Kazałtu przyszło trzech młodych Żydów na jakąś robotę w Imbeku i jak raz się spotkaliśmy i im powiedziałem, że ja mam jechać do Kazałtu. To oni mówią, że nad wieczorem tu przyjedzie z Kazałtu furmanka po nasienie i jakieś narzędzia, to się razem z nimi zabiorę. Pomyślałem, że dobrze mi się składa i jeszcze dziś będę w Kazałtu. Czekam z niecierpliwością, ale wóz nie przyjechał.

Żydzi wrócili z roboty, przyszli do mnie i mówią, że im kazano mnie powiedzieć, że jutro mnie zabiorą na konia i pojedą konno do Kazałtu. „Ale my panu nie radzimy, bo jak pan wsiądzie na konia, to będzie już po panu.” Pytam się dlaczego. Bo ktoś z nich tego konia przyprowadzi, ale ich konie to takie szalone, jak i te Kazachy. Oni konno nie jadą wolno, tylko co wyskoczy, mijają się całą drogę i choćby pan chciał swego konia zatrzymać, to nie da pan rady, gdyż one chodzą stadami i jeden od drugiego nie da się zatrzymać.

„My tylko jeden raz przyjechalim konno tu na robotę i z dziesięć dni *gożlim* tylko, nawet usiąść nie można było. Teraz wolimy chodzić te piętnaście kilometrów niż jechać konno. Radzimy, aby pan na konia nie siadał”.

Już nad samym wieczorem przyjechał Kazach młody konno i drugiego przyprowadził, ale powiedziałem, że konno nie pojedą. Zawrócił zaraz i co tylko koń wyskoczy pognął z powrotem. Żydzi też nie poszli do Kazałtu, dali mi chałupę do spania i ja razem z nimi spałem. Byli to młode chłopaki, zdrowe, służyli w wojsku radzieckim jako

ochotnicy. Ale już po amnestii dla Polaków ogłoszonej w gazetach zwolnili się z wojska ruskiego jako obywatele polscy i chcieli wstąpić do wojska polskiego. Już stawali na komisję polską, ale w tym czasie Żydów do wojska polskiego nie przyjmowano, chyba że to był jakiś fachowiec, to go przyjęli.

Kolację mi przyniosła znowu ta staruszka, klusek z maślanką zjadłem i położyłem się spać. Rano przyniosła mi śniadanie ta kobieta, co mieszkała z krawcową i zaraz po śniadaniu poszedłem do *predsiedaciela*, żeby mnie jakoś dostarczył do Kazałtu. On powiedział, że tu na pocztę codziennie przyjeżdża listonosz, to on mu powie i on mnie zabierze z sobą.

Około godziny dziesiątej przyjechał listonosz, stary Kazach, w jednego osła, nawet znajomy, miał lat może z sześćdziesiąt. Czekałem już koło poczty, że on mnie zabierze. Podeszedłem do niego, poznał mnie, tylko on po rusku nie umiał mówić. Ja jego proszę, żeby on jutro wziął drugiego osła, to z nim pojedę do Kazałtu. Nie mogliśmy się obydwaj dogadać, aż podeszła kierowniczką poczty i jemu przetłumaczyła, czego ja chcę od niego. Wysłuchał i powiedział, że jutro przyprowadzi drugiego osła i razem pojedziemy.

Już na poczcie załatwił i poszedł do znajomego stróża przy bramie. A u nich jak ktoś przyjdzie - dobry znajomy, to zaraz goszczą. Wyszli na podwórze, rozłożyli duży wełniany dywan na ziemi, naschodziło się więcej Kazachów, usiedli w koło i piją czaj i zakąszają lepioskami.

Podeszedłem do nich, każą mi siadać razem, odłożyłem kulę na bok i siadam w ich kręgu. Najprzód stróż podał mi lepioskę całą, potem poszedł do domu i zaraz wyszedł i usiadł na swoim miejscu. Rozmawiają coraz głośniejsze i popijają czaj, tak zwany u nich *kipiatok*. Za parę minut wyszła z domu żona tego stróża z miską pełną takiej zabelonej zupy. Wyglądała ta zupa jak u nas z chleba żur. Zjadłem z lepioską wszystko z tej miski, aż mnie brzuch zabolął trochę.

Potem zaraz wszyscy rozeszli się w swoją stronę, listonosz też. Ja jeszcze na migi mu pokazywałem, żeby przyprowadził mi osła, kiwał głową, że tak. Już prawie wierzyłem, że jutro będę w kołchozie Kazałtu.

Już szykowałem się do spania, a tu przychodzi ta staruszka i przynosi mi maślankę. Ja jej chcę zapłacić za tę maślankę. Mówię jej, że mam pieniądze i darmo nie mogę brać, bo to wstyd. A ona mówi: „Pieniądzy mi nie potrzeba, ja tu nic nie kupuję, tylko zarabiam i żyję. Panu pieniądze się przydadzą, bo pan nieprędko będzie mógł pracować. Tu jest wszystko drogie, a pan jest chory”.

I mówi: „Ja też mam syna jedynaka. On był starszym sierżantem zawodowym, ale o nim nic nie wiem. Aresztowali go bolszewicy i wywieźli, od tej pory ślad po nim zaginął. Może też jest gdzieś chory, może też ktoś mu pomaga, a może już nie żyje, nic o nim nie wiem”.

Na drugi dzień listonosz wcale nie przyjechał. A mnie tak tam karmili po kolei. Przyniosła mi sześć pierożków z twarogiem ta kobieta, co była z dziećmi i ze starą matką i tak swego chleba, którego miałem kawałek, wcale nie ruszyłem.

Trzeciego dnia przyjechał listonosz, ale drugiego osła nie przyprowadził, ale ja go przed pocztą pilnowałem. Podszedłem do niego i pytam: „Gdzie drugi *iszak*?” On kiwnął głową, że niby jest, ale ja dobrze widziałem, że przyjechał tylko na jednym. Poszedł na pocztę, a ja czekałem, co to będzie. I pilnuję go, żeby jak wyjdzie, to go złapać. Tylko wyszedł, już byłem przy nim i proszę go po swojemu, żeby mnie dziś zabrał ze sobą do Kazaktu. On kiwnął głową i pokazuje mi dwa domki i każe iść, a on tam podjedzie i mnie zabierze.

Poszedłem się zbierać do odjazdu, wszystko już miałem w worku, ale wyjąłem cztery pudełka zapalek i dałem po jednym pudełku tym ludziom, co mi jeść przynosili. A tej kobiecie, co miała dwoje dzieci i stareńką matkę, dałem sztabkę mydła. Te zapalki i mydło miałem od męża zaufania. One dziękowały i ja im dziękowałem i powiedziałem, że jak wyzdrowieję, to ich odwiedzę. Dzieci tej kobiety już były spore i gdy wspomniałem, kto by mój worek doniósł do tych dwóch domków, one się zaraz zerwały i mówią: „My panu zaniemiemy”.

Gdy już miałem wszystko w worku, jeszcze raz podziękowałem wszystkim, a najbardziej tej staruszce, bo ona przez cztery dni zawsze mi przynosiła jedzenie, jak nie dwa razy, to raz, każdego dnia. Gdy już doszlim do dwóch domków, przed jednym pokazałem, gdzie mają położyć worek i poszli do swoich chałup. Usiadłem, czekam i wyglądam tego listonosza, ale go nie widać i myślę, że może nie mógł znaleźć drugiego osła. Czekam może jeszcze z godzinę, a może i więcej, już się niecierpliwie, wstałem, wyszedłem na środek drogi. Widzę, że jedzie, ale drugiego osła nie prowadzi dla mnie. Przygotowałem się, że jakby mnie chciał ominąć, to jakoś go zatrzymam.

Przyjechał i skręcił osła do tego drugiego domu, zsiadł z osła, zaczepił go o krzak i sam poszedł do środka, a ja za nim. Były tam dwie kobiety, gotowały obiad. On usiadł na dywanie, a ja stoję, ona pokazuje, żebym i ja usiadł. Pomału usiadłem. Podała nam po misce klusek z mlekiem, zjedlim i on z nią zaczyna rozmawiać. Pokazuje palcem na mnie i tak z pół godziny rozmawiają, miarkuję, że o mnie. Podczas rozmowy ona dała mi jeszcze pół

lepioszki i sama wyszła z domu, a ta kobieta druga poszła do tego drugiego domu. Ona poszła na pastwisko, osła przygnała, on już czekał, złapał go. On podała kawał wojłoku na siodło, osiodłali go i były tam dwa sznurki do kierowania.

Potem on pomału wsadził mnie na tego osła, ona go trzymała. On najprzód założył mój worek z tyłu, założył mi sznurki na ramiona, podał mi kulę i laskę, którą się podpierałem. Gdy już miałem wszystko na końcu, daje mi drut grubości palca u ręki. Na jednym brzegu on był sklepany prawie na grubość tępej siekiery. Jak już on swego osła odwiązywał, z tego drugiego domu Kazaszka dała mi całą lepioszkę. On wsiadł na swego osła i jedziemy.

On nie patrzy tej dróżki, co jego osioł już wydeptał, tylko jedzie świeżym miejscem i przez rowy, i po górach. On jedzie wprzód, a ja za nim. Ja najgorzej się boję, żeby w worku nie przekręcił się mój kubek ze smalcem, bo jak się przekręci, to się wszystko wyleje. Ale zapomniałem powiedzieć, że jak dał mi ten drut, to pokazuje na szyi tego osła taką ranę jak dziesięć złotych dawniejszej wielkości, żywe mięso różowe i pokazuje mi ten drut. Machnął ręką, żeby tego osła kłuć tym drutem, to on będzie prędzej szedł. Odchodząc do swego, klapnął i pokazał tę ranę na szyi tego osła i patrzy na mnie, ja kiwnąłem głową, że zrozumiałem i będę go kłuć.

Swoją kulę trzymam pod pachą i przyciskam do boku, żeby mi broń Boże nie wypadła. Ale mój osioł szedł wolniej od jego osła. Prawda, że on go nogami po bokach okładał. Zacząłem od niego się oddalać, on to zobaczył. Zatrzymał się, jechalim razem, on troszkę z tyłu i zaczął mego osła kijem okładać aż dudniło, ale i to nie pomogło, bo naprawdę to było za ciężko dla niego.

Spojrzałem na ten jego kark, trochę podgojony, nie miałem sumienia, żeby go kłuć drutem. On wziął drut ode mnie, podjechał bliżej i zaczął go kłuć drutem, po tym kłębie. Osioł przeraźliwie beczał, nogi zbierał, prawie biegiem jechaliśmy, wyszła na niego piana. A tam much i gzów więcej jak u nas bywało w lecie, temperatura mogła być 35 stopni Celsjusza.

Mój osioł zaczął parskać i nosem o ziemię trzeć, Kazach to zobaczył, oddał mi drut i zaczął na nowo kijem go okładać, ale to nic nie pomogło, szedł coraz wolniej, a Kazachowi widać się sprzykrzyło, bo minął mnie i pojechał.

Godzina mogła być około czwartej po południu. Mój osioł, już nie bity ani kłuty drutem, zaczął silnie parskać i nosem trzeć o ziemię. Potem hop! na ziemię i tylko parska i nosem trze o ziemię. A ja nad nim stoję na nogach, ale boję się przełożyć nogi, żebym miał obie razem z jednej strony, bo dla mnie to ciężka sprawa. Jak zacznę przekładać nogę przez niego, a on zechce wstać, to mnie przewróci i narobi mi bólu. Więc myślę - lepiej będę stać

tak nad nim. Może ten listonosz usłyszy, gdy będę go wołać. I wołam, ile tylko mam siły, ale listonosza nie widać, ani widu ani słyhu. Całe moje szczęście, że dotrzymał kulę, to mogłem stać. Worek mój leżał na boku, widać przez niego było tłuste plamy, to mojego smalcu resztki się wylało.

Myślę sobie, że jak on nie przyjedzie po mnie, to tu w tym stepie są takie duże węże, że jak się kręcą w krąg, to jak u nas były takie pół balijki do prania. Tylko że jak się ich nie drażni, to człowieka nie ukąszą. Ale ja tego nie wiedziałem. Były duże żółwie, tak jakby duży beret ktoś rzucił i to w kratę. Spotkałem raz takiego żółwia w trawie. Ucieszyłem się, skręciłem, myślę, że to jest beret. Ja do niego dwa chody dałem i jak z tego beretu ze cztery centymetry wysunął łepok i syknął na mnie, to ja zadrzałem i chodu od niego w nogi. I nawet nie wiedziałem, czy on się ruszył z miejsca. Ale strach ma wielkie oczy.

Były tam najgorsze skorpiony na długość palca, żółtawe w paski. Ten jak ukąsił w pierwszych miesiącach wiosny, to człowiek musiał umrzeć, nie było żadnego ratunku. Podobno w połowie lata to tylko strasznie bolało, ale się wyleczył.

Wracam teraz znowu do swego nieszczęścia. Ten mój osioł wcale nie ruszył się z miejsca. Już nie wiem, ile razy krzyczałem. Byłem zwrócony w stronę, gdzie listonosz odjechał. Zobaczyłem go. Aż mnie z radości zatknęło, jęczę, no to już mnie tu w tym stepie robaki nie zjedzą.

Przyjechał i od razu ręką macha. Pokazuje na grzbiet osła i pyta, dlaczego ja go nie kłułem drutem. Ja już byłem na boku osła i worek odsunąłem od niego, bo, bojał nie bojał, nogę przez osła przełożyłem. I stoję i patrzę, co on będzie robił. A on się przysunął do mojego osła, jak go weźmie kijem okładać! Wymierzył chyba ze sześć kijów z całej siły. Osioł podniósł się na kolana i wstał na nogi, zmęczony i zbity stoi. Kazach poprawił na nim wojłok do siedzenia, potem wziął mnie pod pachy, podniósł do góry i posadził na tym wojłoku, z tyłu założył mój worek, sznurkami przywiązał go do mnie, podał mi kulę i znowu przyłożył mu kija i jedziem. Ale ja jadę pierwszy, a on jedzie z tyłu i co raz to mego osła pogania i krzyczy, ażeby go drutem w kłęb kłuć. A że on mi tyle strachu narobił, dziobnąłem go dwa razy, chociaż nie bardzo mocno.

Jedziemy prawie biegiem i dojeżdżamy nie do kołchozu, tylko do namiotów z prześcieradeł. Gdy już zaczynają się sianokosy i całe żniwa, to oni wszyscy, kto może robić, z całym dobytkiem, co kto ma, wyjeżdżają w pole i pracują przy sianie i w żniwa przy zbożu. Zabierają ze sobą samowary i kociołki, tam sobie gotują, jedzą i pracują, a w nocy śpią. Gdy chłopci są dobrani, idą kosić trawę, to kobiety rąbią sobie na opał tak zwany disan. To jest taka pudlasta bylica. One ją rąbią i stawiają w takie wysokie kopy. Przez całe lato te

kopy stoją i wyschną, a w jesieni kobiety powrózkami noszą na korytarze w sieni, bo tam chlewów ani szop nie ma. Mężczyźni tej roboty nie robią i nawet wody ze studni nie przyniosą, bo od tego są kobiety.

Gdy dojechalim do tego osiedla, listonosz wziął mnie do swego namiotu. On był dość gruby, a żonę miał jeszcze grubszą, co u Kazachów mało się zdarza, żeby kobieta była gruba, chyba w ciąży. Przeważnie są chude, niektóre na twarzy mają plamy i dużo jest ospowatych, u nas nazywali takich gradowate, no i kose oczy przeważnie.

A mężczyźni przeważnie są wysocy i dosyć przystojni. Żona nazywa się tam marzia. Poznała mnie, bo jej wodę nosiłem i plac koło domu im obszykowałem, że zamieszkali jak na klombie. Dała mi zaraz lepioskę i maślanki, potem czaju z małą łyżeczką mleka, najadłem się dobrze.

Pytam się, gdzie mieszka *predsiedaciel*, muszę iść do niego, żeby mi przydzielił mąkę, bo co będę jadł. Po drodze wstąpiłem do jednego brygadzysty, ale go nie zastałem, poszedł do wojska. Z całego kołchozu do czterdziestu pięciu lat zabrali wszystkich zdrowych do wojska. Zostali tylko starzy i nienadający się do wojska.

Marzia była żoną tego brygadiera, zaczęła płakać. Pięcioro dzieci mieli, ale do roboty tylko dwóch chodziło, a mnie – powiada – paf! paf!, że jej mąż jest na wojnie.

Pośrodku podłogi leżał dywan. Pokazuje mi, żebym usiadł na nim. Usiadłem, podała mi gotowanej pszenicy, połała ją maślanką, potem jeszcze dała mi pół lepioszki. Był już wieczór, zaczęło się ściemniać. Patrząc, koło jej namiotu leżała duża kupa disanu na opał. Uszykowałem sobie legowisko do spania. Poszedłem do listonosza, zabrałem swój worek i spałem tu trzy noce. Co dzień chodziłem do znajomych, u których przed komisją równałem plac i tak co dzień u innego. Chętnie dawali mi jeść, co kto mógł - lepioszki, maślankę i łapszę, a nawet wołali mnie do siebie tacy, co u nich nie robiłem.

Wszyscy do Polaków odnosili się dobrze i pomagali, co mogli. Miałem jeszcze pieniądze, chciałem płacić, ale nie chcieli ode mnie.

Czwartego dnia przyszedł do mnie *predsiedaciel* z buchalterem i powiedzieli mi, żebym poszedł na kwaterę dwa kilometry stąd w stronę kołchozu Kazałtu. Tam były magazyny zbożowe i kilka chałup. W tych chałupach mieszkał stróż, Izmael się nazywał, a zaraz w drugiej chałupie mieszkali Polacy i tam mam razem z nimi mieszkać. *Predsiedaciel* powiedział, że mąkę będą mi dawać, tylko na razie nie mają.

Tych kilka dni było mi dobrze, chleba swego nie ruszyłem, jeść dawali, ale co było robić, nakazali, trzeba iść. Domów tych, do których miałem iść, widać nie było, ale według

kierunku, co mi pokazali, zebrałem swoje manatki i na wprost się puściłem. Te dwa kilometry szedłem może więcej niż trzy godziny.

Prowadziła tam dróżka, ale ja o niej nie wiedziałem. Lazłem na wprost, trawa była wysoka i trudno było, ale doszedłem. Ten stróż Izmael umiał trochę po rusku, stał przy swojej chałupie, pokazał, gdzie ja mam mieszkać.

Gdy wszedłem, zastałem tam starą, chorą kobietę, po tyfusie, z dwoma synami. Jeden miał lat czternaście, drugi dwanaście, starszy nazywał się Stasiek, a młodszy Jerzyk, nazwisko Ramzowie. Ojciec ich był stolarzem, zmarł w Rosji na północy, a oni przyjechali i wysprzedawali się po trochu, i tak żyli. Ci chłopcy byli lękliwi, bojący się odejść pięćdziesiąt metrów od domu. Żaden z nich nie poszedł nawet uciąć tego disanu. Kłócili się ze sobą i z matką, że trudno było przesłuchać. Ona już chodziła, ale wiatr nią śłaniał. Chodziła do Kazachów po prośbie, tych chłopaków prosiła, żeby poszli do jakiejś roboty, ale ani słuchać nie chcieli.

W tym domu jeszcze mieszkała Marżowa, też chorowała na tyfus, ale już chodziła do roboty. Cięła disan dla Kazachów i dzieci bawiła Izmaelce i u nich żyła, dawali jej całodzienne życie. W sieni mieszkał jej brat, nazywał się Wojtek. Poszedł na komisję, ale go do wojska nie przyjęli. Gdy szedł z powrotem, mówił, że go po drodze przestąpili, pobili i okradli, ale siostra od razu mówiła, że to nie jest prawda. On sam sprzedał, a mówi, że wszystko mu zabrali, miała to być brzytwa, portfel i inne drobne rzeczy.

Marżowej mąż już był w wojsku, ale żadnego listu od niego nie miała. Jak odchodził, był bardzo słaby, po tyfusie. Ona mówiła, że pewnie zmarł, a brat jej znowu mówił, że jak stawali na komisję, to on był przyjęty do wojska, a jego nie przyjęli i wrócił tutaj.

Kłóciły się stale Ramzowa z Marżową, że ona jej tego czternastoletniego syna bałamuci, bo on z nią chodził rąbać disan na opał i nieraz chodził z nią do innych robót. Ona znowu umyślnie jej przygadywała, że tak i co jej zrobią.

A tej matce znowu brakowało piątej klepki, bo to była nieprawda, żeby czternastoletni chłopak miał z trzydziestosześcioletnią kobietą jakieś stosunki. Że on był gałgan, to swoją drogą. Jak one się kłóciły, to on umyślnie matce dogadywał, że się z Marżową ożeni. To ta aż się trzęsła ze złości i wtedy istne piekło tam było. Tak z tą wyborową piątką ja zamieszkałem.

Wojtek, brat Marżowej, był wesołym chłopakiem, chociaż nic zupełnie swego nie miał, tylko to co na sobie. Opowiadał mi, że on jest już wdowcem, bo żona jeszcze w Polsce go rzuciła. Mieli jedną dziewczynkę, ale matka ją zabrała. On tym rozwodem wcale się nie



przejmował, był zawsze wesoły i mieszkaliśmy obydwaj w sieni, on w jednym rogu, a ja w drugim.

O pięćdziesiąt metrów od naszego mieszkania była łąka. Kazachy przyszli ją kosić, był z nimi brygadier, nazywał się Benadiob, mój znajomy i dobry człowiek. Już po paru dniach czułem się znacznie lepiej. Przywitałem się z brygadierem i wszystkimi, co mieli kosić trawę. Kosy mieli krótsze od naszych dziewiątek, mogły to być siódemki. Wziąłem od jednego kosę i oselkę, kosa była źle wyklepana. Ja umiałem kosić dobrze i wyklepać kosę też umiałem.

Oni już zaczęli kosić, trawa była duża, ale od spodu był tak zwany kozuch. Oni koszą nad kozuchem i tylko wyżej kozucha dwie trzecie trawy zetną, a jedna trzecia się ugięła i stoi. Ale na to nie zważają, tylko koszą, co da się ściąć.

Ja przekosiłem ze dwadzieścia metrów, ale przy samej ziemi, niżej kozucha, mój pokost jest trzy razy grubszy niż ich. Oni przekosili do brzegu, wrócili i przyglądają się na mój pokost i na swoje. Podobało im się moje koszenie. Ja tę kosę obsadziłem po swojemu, żeby nie była za odnadna ani żeby nie była za przysadna, poklepałem po swojemu. Babki do klepania kos mieli kwadratowe, trudno było na takiej babce dobrze kosę wyklepać, ale pomału było można,

Oni posiadali do jedzenia, mieli w żołądkach cielęcych pszenicę gotowaną na czystym mleku. Dostawali takie jedzenie tylko do ciężkiej pracy, do koszenia trawy i w żniwa. Każdy kolchoz musiał zdać dla państwa zboże, mleko i mięso, a nawet kaszę, którą tłukli w drążonych stępach i pewną ilość jaj. Taki naznaczony kontyngent co roku muszą dostarczyć do powiatowego miasta.

Gdy już wszyscy usiedli w gromadkę, brygadier rozdał żołądki z pszenicą na pięciu jeden. Woła i mnie, siadaj *i kuszaj*. Zaczepnęli pełen kubek tej pszenicy, dali i mnie całą lepioskę, której tylko połowę zjadłem, a pszenicę zjadłem wszystką. Potem jeszcze do kubka brygadier nalał mi pełen kubek mleka. Podjadłem dobrze i jeszcze jedną kosę im poklepałem, próbowali wszyscy i obścąpili, żeby im kosy klepać. Kosy z kosisków się nie zdejmowało, tylko trzeba było jedną ręką trzymać za kosisko, a drugą ręką klepać kosę młotkiem.

Było strasznie źle i ciężko, a szczególnie dla mnie, bo nogi mnie bolały. Gdy wszyscy się z kosami do mnie pchają, pokazuję im swoje nogi i krzywię usta, że mnie nogi bolą. I usiadłem i nic nie robię. Poszli wszyscy kosić, a brygadier resztki z żołądków pozlewał do jednego, zawiązał i zakopał do ziemi zimnej, jak już tam dobrze było się ochłodzić.

Ja już się zabieram do odejścia, a brygadier powiada: „Ja jutro przyniosę kosę i dla ciebie. Będziesz razem z nami kosić”. Kiwnąłem głową, że się zgadzam i przyszedłem z połową lepioszki, której nie zjadłem, do swego mieszkania.

Idę i myślę: „Co ja ci nakoszę, kiedy ja nie mam siły! A w dodatku nogi bolą”. Na kolację wyjąłem z worka kubek, który był po smalcu rozmazany na dnie, ułamałem kawałek lepioszki i wytarłem nią o dno kubka i o boki i tym posmarowałem całą połowę lepioszki i zjadłem.

Murżowa miała gotowaną wodę. Poprosiłem ją, żeby mi dała tej wody w kubek po smalcu, nalała mi pełen, wypilem i już był wieczór. Poszedłem i przyniosłem sobie siana dwa razy i posłałem sobie legowisko, gdzie miałem się położyć spać. Gdy się położyłem i pacierz zmówiłem, usnąć nie mogłem, pod sianem coś szurgotało, ale nie wiem, czy to były myszy. A może wąż tam wlaźł i też szykuje się do spania pode mną? Ale już widziałem, że wąż człowieka nie ukąsi, gdy się go nie rozdrażni.

Przepływała tam mała struga, to w niej były żmije po dwa metry długości i grube jak ręka poza dłonią, podobno człowieka mogły ugryźć. Rano gdy wstałem, poszedłem do tej strugi, nabrałem kubek wody i się umyłem. Ugotowałem sobie wody, osłodziłem cukrem i miałem jeszcze w worku dwa kawałki chleba, wyjąłem i jem, a obok mnie leży Wojtek i się patrzy, że ja zajadam, a on nie miał nic na śniadanie. Ja jeden kawałek chleba zjadłem, a drugi już zaczął kwitnąć, oddałem go Wojtkowi.

Pytam się: „Co dziś będziesz robił? Przecież musisz zarobić na życie”. A on mówi, że dziś idzie ciąć disan dla młynarza, to on mu jeść da, a może i jutro też mu będzie rąbał. On jest dobry Kazach, on u niego często robi.

„A ja pójdę do kośników, widziałem, że oni już dawno koszą. Może u nich zarobię na obiad?” Gdy tylko do nich przyszedłem, zaraz jeden podszedł, żeby mu kosę poklepać i wyszykować po swojemu, żeby była dobra. Wziąłem kosę i jemu każę trzymać równo na babce, to ja ją poklepię. Pomału poklepałem i po swojemu poprawiłem odległość i zacząłem kosić. Podkosiłem ze trzy metry i oddałem jemu, żeby on kosił. Wziął kosę i kosi, a reszta do brzegu dokosili i siadają do jedzenia i zaraz wołają i mnie. Usiadłem przy nich, dali mi najprzód gotowanej pszenicy z mlekiem, a potem całą lepioszkę i kubek maślanki. Najadłem się dobrze. Oni znów z kosami obstąpili mnie, żeby im kosy klepać i szykować na odległość, żeby dobrze kosili.

Naprzód im pokazałem, jak kosę poklepać i jak obsadzić, żeby nie była za przysadna ani za odsadna. Oni zaczęli sobie kosy klepać i obsadzać na odległość. Pokazałem nogi, że bolą i poszedłem do swego gniazda, do sieni i oglądam ściany, gdzie śpię. Było dużo dziur

w ścianach, pożyczyłem motykę do rąbania disanu i narąbałem sobie gliny, rozrobiłem i wszystkie dziury zalepiłem i myślę sobie, że teraz będę spokojnie spał.

Późnym wieczorem wrócił z kołchozu Wojtek Kubowicz i powiada, że w kołchozie o mnie wiedzą. Mówił im przedstawiciel wczoraj w rejonie i mają dla mnie smalec. Powiedzieli, żebym tam do nich przyszedł z garnuszkami.

Dowiedziałem się, że teraz w kołchozie jest mężem zaufania młody Jagełło z przykuloną nogą. Był on z ojcem i chorą matką, pochodzili z Białej Rusi. Było tam kilka rodzin polskich, a między nimi była już stara Jacynowa z dorosłą córką. A jedna starsza córka z dziećmi została na północy. Miała trzech synów, dwóch synów było już w polskim wojsku w Rosji, a o trzecim nic nie wiedziała.

Gdy rano wstałem, umyłem się w strudze i zaraz poszedłem do kołchozu. Było tam ze trzy kilometry. Ciężko mi było iść, ale musiałem, bo nie ma co jeść, a grunt smalec. Po drodze mieszkali nasi ludzie, co z nimi tu przyjechałem do kołchozu Kazałtu.

Byli Kozakowie z córką Kobylańską, z córką i starą matką, później była żona policjanta, męża jej zabili Ukraińcy w 1939 roku, była z szesnastoletnim synem, ale już dorosłym, był taki duży jak ja. Mężowie Kozakowej i Kobylańskiej byli już w wojsku polskim w Rosji. Kozakowa mieszkała oddzielnie, a reszta razem.

Ale te trzy rodziny miały się jeszcze dobrze, bo miały co wymieniać za mąkę. Do żadnej roboty nie chodzili, tylko chodził syn policjantowej i to nie zawsze. Matka jego była krawcową i szyła dla Kazachów różne sukienki na maszynie i sobie zarabiała trochę na życie. Do tych znajomych zaszedłem i mówię „Dzień dobry paniom”. Wszyscy odpowiedzieli i zdziwieni pytają się: „Co to, pan nie w wojsku?” „Zachorowałem i leżałem dotychczas w szpitalu, ale jak wyzdrowię, to do wojska pojedę, bo na komisji razem z pań mężami byłem przyjęty, tylko choroba mnie zatrzymała”. Poprosiłem: „Może która z pań da mi się czegoś napić? Aby nie surowej wody”. Pani Kobylańska powiada: „Ja mam czarną kawę, zaraz panu dam, to jest bardzo zdrowe”.

Wszystkie te trzy panie należały do komitetu i zawsze chodziły na zebranie do podziału, gdy przyniosły coś od przedstawiciela z rejonu. „Po południu my idziemy na zebranie, to może i dla pana coś tam będzie.” „A ja właśnie też tam idę, bo wczoraj Jagełło orędownął, żebym tam przyszedł i Kubowicz mnie to powiedział.”

Miałem jeszcze w worku mąkę, poprosiłem, żeby mnie ugotowały klusek. Pani Kobylańska mi ugotowała, podjadłem i podziękowałem, teraz ja pomału pójdę, bo to jeszcze będzie przeszło kilometr drogi.

Pomału doszedłem, ale młodego Jagełły nie zastałem, poszedł z innymi na ryby, tylko byli starzy rodzice. On się golił brzytwą, ona leżała w łóżku. Powiedziałem: „Dzień dobry państwu”, odpowiedzieli: „Dzień dobry panu”. Powiedziałem kto jestem i za czym przyszedłem. Mówię, że wczoraj pan przedstawiciel orędownął przez Kubowicza, żebym ja dziś przyszedł, to przyszedłem. Stara powiada: „Ja wiem, że jest dla pana smalec, ale czy coś więcej, to nie wiem”. Ona wstała i smalec przełożyła do mojego kubka i mówi: „Niech pan zaczeka, aż syn wróci, to może jeszcze co panu przydzielą”. A ja się pytam, co jest więcej do rozdzielenia. Ona mówi: „Są dwie koszule nowe, trzy pary kalesonów, kilka bluzek damskich, dwanaście sukien trochę już noszonych, dwie spódnice, trochę bielizny damskiej i parę swetrów”. Pytam się, czy mają buty. Nie, bo u przedstawiciela nie było, ale powiedział, że za jakieś dziesięć dni będą.

„Dziwna rzecz – mówię - byłem u niego tydzień temu, to leżało na gromadzie jakieś może ze sześćdziesiąt par butów. I dawał tylko na kołchozy po trzy pary. I już rozdał?” A resztę mógł rozdać, ale Żydom, a oni zaraz zamieniali na mąkę albo na inne produkty. Mało było spotkać Żyda w dziurawych butach. Oni z Polski mieli dużo ubrań, bo ich tak nie zabierali jak nas, w nocy, nikt się tego nie spodziewał, co kto miał na sobie, to w tym go zabrali. Żydzi w Rosji mówili, że te dary to wysyłają dla nich Żydzi z Palestyny.

Stary Jagełło ogolił się i mówi: „Przedstawiciel dba tylko o Żydów, bo i on jest Żydem, a Polaków czymkolwiek zbywa. Wielu Polaków narzekało na niego. Mówili: „Przedstawiciel Żyd, sekretarz Żyd, gospodyni też Żydówka, to co my tu możemy zrobić, kiedy oni wszystko mają w ręku”.

Tak przy tym narzekaniu czas zleciał i nadszedł młody Jagełło. Przywitalim się i on mówi: „Niech pan posiedzi, tylko ryby rozdzielim, to zaraz przyjdę, to pogadamy”. Młodą kaczkę też złapał i przyniósł. Za kilka minut wrócił z rybami, nawet sporo przyniósł. Usiadł i powiada: „My jutro będziemy rozdawać rzeczy, które nam przydzielono w rejonie. Ale ja chcę się dowiedzieć od pana, co panu jest więcej potrzebne, czy kalesony czy koszula, bo tu Żydzi mnie atakują o koszule, bo więcej nie mogę panu przydzielić jak jedną sztukę”.

Koszulę miałem jeszcze z łagrów lnianą, ale dobrą, kalesony miałem aż dwie pary, ale liche, łatane. Długo się nie namyślałem. Tu trzeba myśleć o życiu, a nie o ubiorze. Pomyślałem: „Niech pan mi da koszulę, za nią więcej mąki dostanę niż za kalesony”. Wyjął obie koszule i mówi: „Którą pan chce, niech tę bierze”. Jedna była kremowa, bardzo ładna, z wykładanym kołnierzykiem, zupełnie nowa. Druga była biała, ale lichsza, wziąłem kremową. Jagełło mówi: „Mnie jest wszystko jedno, resztę bielizny muszę rozdzielić Żydom, bo już na mnie skargę pisali, że ja im nic nie przydzielałem”.

Pytam się, kiedy drugi raz będzie w rejonie po przydział darów u przedstawiciela. „Kazał nam przyjść za dziesięć dni.” „Jak pan będzie, niech mu pan powie, że obiecał dać mi buty. To niech przydzielą na kołchoz, bo on przydziela tylko na kołchozy.” „Dobrze - powiedział Jagełło - niech by tylko dał, to panu je damy.” Na odchodnym pani Jagełłowa dała mi spory kawał chleba i wracam do swego legowiska na korytarzu.

Przy drodze Kazaszki okopywały słonecznik. Jak zobaczyły, że ja pod pachą coś niosę, przyleciały wszystkie, otoczyły mnie dokoła i dalej koszulę oglądać. Podobała im się wszystkim od razu. Z pięć pyta się, ile ja chcę mąki za tę koszulę. Mówię, że jutro sprzedam, dziś nie. Jedna mówi: „Ja dam osiem kilo mąki”, druga mówi: „Ja dam dziesięć kilo”. Podszedł chłopak lat może siedemnaście i mówi: „Ja dam pół puda mąki”. „Ja już mówiłem, przyjdź jutro, to się zgodziem.”

Gdy przyszedłem już do swojej sieni, to najpierw wziąłem się za jedzenie. Chleb posmarowałem smalcem i wyrównałem się nieźle. Wody przegotowanej popiłem i położyłem się spać. Rano przyszedł do mnie Izmael ze swoją marzio, czyli z żoną. Ktoś mu powiedział, że ja mam koszulę do sprzedania. Tylko wstałem i chciałem iść się umyć, a on stoi przy korytarzu i od razu mnie pyta, czy prawda, że mam koszulę do sprzedania. Mówię, że mam. „No to pokaż ją!” Pokazałem mu. Podobała im się. Pyta, ile chcę za nią. Mówię, że dwa pudy mąki pszennej. Poszli z nią do siostry, która tu blisko mieszkała. Ja za ten czas się umyłem, on też zaraz przyszedł, ale bez koszuli i mówi: „Dam półtora puda mąki”. Ja chcę jak najwięcej, mówię: „Półtora puda i sześć kilo kaszy z przypalonego jęczmienia i dziesięć litrów maślanki. Co dzień po jeden litr będę do was przychodził nad wieczorem. I trzy kilo twarogu - mówię mu - inaczej nie sprzedam”.

Kręcił głową, ale ja nie chciałem opuścić i zgodził się. I powiada: „Mąki dziś nie mam, ale przywiozę jutro, tylko pszenicę przebiorę i pojedę do młynka zemleć. I jutro nad wieczorem już będziesz miał”. Zgodziłem się. On zaraz poszedł do Murżowej, żeby z chłopakami przysła pszenicę przebrać. Oni zaraz z nim poszli.

Na drugi dzień przed wieczorem Izmael przywiózł mąkę i twarogu z kilogram. Resztę będzie spłacał codziennie według umowy. No - myślę sobie - tej mąki starczy mi na cały miesiąc. Potem może już będę mógł chodzić i zarobię sobie na życie albo pójdę do wojska, zobacz, jak mi się będzie szykować.

Przedstawiciel u naczelnika *rajspalka* zakupił mąkę dla Polaków, którzy byli w kołchozach. Na nasz kołchoz zakupiono dwieście kilo, ale dziewięćdziesiąt było już wybranych. Resztę miał komitet rozdzielić według uznania, przeważnie chorym, starym i

tym, co robić nie mogą. A resztę tym, co już nie mają nic do zamiany na mąkę, a takich było dużo.

Listę wypisali *predsiedaciel*, buchalter, brygadier i nasz przedstawiciel Jagełło i według jego uznania, komu ile dać, tak buchalter pisał. Ogłosili, żeby się koło młyna zeszli starzy, chorzy i ci najbiedniejsi. Byłem na liście i ja zapisany. Z naszej chałupy poszło od razu czworo: ja, Wojtek, Murżowa i Stasiak Ramzowy. Już rano przed godziną ósmą zeszli się wszyscy i zdrowi, i chorzy, i Żydzi.

Czekaliśmy parę godzin, dopiero koło południa przyjechał *predsiedaciel* z kobietą brygadierem, oboje na koniach osiodłanych i on powiada: „Tu zaraz przyjedzie magazynier i wyda mąkę według spisanej listy i według uznania komitetu i Jagełły, ile komu się należy. Zbiórka koło młyna”.

Nareszcie przyjechał magazynier, wyjął listę i przeczytał, komu ile przydzielono tej mąki. To się większości nie podobało, zaczęli krzyczeć, że mąka powinna być rozdzielona po równem, a nie jednemu mniej, a drugiemu więcej. Pogadali między sobą i powiedzieli, że mąka jest niesprawiedliwie podzielona i nie zgadzają się na taki podział i poszli do swoich chałup. Magazynier zobaczył, że większość poszła do domu, a my mówimy, żeby nam wydał, my się zgadzamy swoją zabrać mąkę. Ale on wsiadł na konia i pojechał do *predsiedaciela*.

Czekaliśmy jeszcze godzinę, że może jeszcze przyjedzie i wyda nam, ale nie przyjechał, poszlim i my do domu. Nad wieczorem mąkę zabrali i zawieźli do *predsiedaciela*, do urzędu. Na drugi dzień rano my idziemy do *predsiedaciela*, żeby nam wydał mąkę. Ja miałem przydzielone dziesięć kilo, miałem torbę i zważyli mi, potem Wojtkowi sześć kilo, Ramzesowej i Murżowej tylko pięć. Przyniósł mi tę mąkę Stasiak, syn Ramzowej, dałem mu za to z kilo mąki i przyszlim do domu.

Pozostali, jak się dowiedzieli, że my mąkę przynieśli, poszli i zabrali, ile komu było zapisane na liście. Tylko jedna pani Kozakowa urągała, że ja za koszulę dostałem dużo mąki i teraz dostałem dziesięć kilo, powiedziały mi o tym dwie kobiety, co razem z nią mieszkały.

Poszedłem do nich, powiedziałem „Dzień dobry paniom”, odpowiedziały „Dzień dobry”. Ja od razu mówię: „Doszły do mnie wieści, że pani Kozakowa za dużo zaczęła się mną interesować, że ja za koszulę dostałem tak dużo mąki i jeszcze mi przydzielono całe dziesięć kilo mąki. A dlaczego się pani nie zainteresowała, jak ja przyjechałem tu ze szpitala, czy ja mam co jeść, czy nie mam? Tylko że ja koszulę zamieniłem na mąkę i dlatego mam tak dużo. Zamieniłem, bo musiałem, dla mnie jest miłsze zdrowie i życie. Co to by mi było po koszuli, jak ja nie miałbym co jeść?” A ona dopiero mówi: „Ja nie tylko o panu mówiłam, tylko ogólnie, że lista była źle spisana”. Ja jej mówię: „Dobrze pani mówić o kimś, jak pani

ma dwa worki mąki i tyle pieniędzy, że starczy pani na masło i ser, i smalec i może pani nie zamieniać przy tych zapasach. A innemu pani zazdrości i chciałaby pani otrzymywać po równemu. To wstyd tak postępować! Do widzenia! Niech się pani więcej mną nie interesuje” i wyszedłem.

Czerwiec był bardzo gorący. Ja całe dni leżałem w sieni, tu był chłód, ale rano wstawałem prawie jak słońce wschodziło i chodziłem mniej więcej do godziny dziesiątej. Potem gotowałem sobie kluski, podjadłem dobrze i kładłem się spać, spałem do godziny drugiej, a czasem do trzeciej po południu. O jedzenie się już nie martwiłem. Izmael codziennie przynosił maślankę i lepioszkę. Po tym spacerze dobrze się jadło i co dzień czułem się zdrowszy. Nogi już mnie tak nie bolały, widać maślanka szła mi na zdrowie.

Kupiłem sobie parę kilo jęczmienia, trochę upaliłem na kawę, resztę chłopaki Ramzowej utłukli mi w stępie na kaszę. Na kolację to już piłem kawę i piekłem sobie lepioski, bo mąki miałem dużo.

Od przedstawiciela znowu przynieśli dary - dwanaście koców, do odzienia sporo sukienek i bluzek damskich. I to miało starczyć dla każdego. Wszyscy się zeszli pod chałupę Jagełły. Najprzód komitet miał zebranie. Potem każdego z listy wzywali i zaraz dzielili, butów i teraz nie przynieśli. Dostałem koc, był już używany, miał dwie małe dziurki, ale dobrze, że i taki dostałem, będę się miał czym przyodziewać. Były to koce niby wełniane, była w nich wełna różna, tylko z owcy nie było.

Kto otrzymał koc, to był napastowany przez Kazachów po kilkanaście razy dziennie, żeby im go sprzedać za mąkę czy za masło, czy mleko albo jaja. Tak samo inne rzeczy chcieli nabywać. Kobiety, mało która miała dwie sukienki, biedne ich życie tam było. Mężczyzna może co dziesiąty miał jakieś palto, buty tak samo, toteż co zobaczyli, to chcieli kupić, ale tylko za produkty, pieniędzy ja u nich nie widziałem.

Sukienki tam innej nie zobaczyłeś, jak z cienkiego perkalu albo z cienkiego płótna, i to lichego. Nieraz mnie się listonosz pyta: „*Słysz, skażyj prawdę, kto jest gorszy German czy komunista?*” Ja jemu mówię, że dla nas Polaków to obydwaj są dranie, którzy naszą ojczyznę rozerwali i podzielili po połowie. Jednocześnie biją nas, rozstrzelują Polaków bez miłosierdzia tylko za to, że tęsknią do swojej wolnej Ojczyzny. Pełne są więzienia jak u Niemców, tak i u waszych komunistów. W Mińsku w więzieniu siedzi Polaków około trzynastu tysięcy i po całej Rosji siedzą setki tysięcy. Polaków, którzy chcieliby z Rosją żyć w zgodzie, a oni wszystkie więzienia nimi zapełnili. Jednych sądzą do przymusowej pracy w lasach, w kołchozach i w innych zawodach. Ale ilu osądzili na śmierć, to tego nikt nie zliczy. Jak Niemiec, tak i wasz komunistyczny rząd”.

Wtenczas on zawołał dwóch innych Kazachów i pyta się: „A jak tam ludzie u Germańca żyją? Czy lepiej jak u nas?” Ja mówię, że lepiej, u nich kołchozów nie ma, każdy rolnik pracuje na swoim i dla siebie. Mają swoje domy i elektryczność w domu i we wszystkich budynkach gospodarczych. Co chcą, to mogą sobie kupić, co im potrzeba.

To oni kręcili głowami i tylko się oglądali, czy jakiś młody się nie zbliża. Nawet swoich synów się bojali, a mnie prosili, żebym nikomu nie mówił, że my o tym rozmawiali. Widać, że oni chcieliby jakiejś zmiany rządu.

Izmael, jak dowiedział się, że ja dostałem koc, to trzy razy dziennie przychodził i chciał go kupić i prosił, żeby nikomu nie sprzedać, bo on chciałby go kupić. Zapraszał mnie do siebie na obiad i na maślanek i nie dał mi spokoju. Ja nie myślałem go sprzedać, bo na razie miałem co jeść, około dwudziestu pięciu kilo mąki, pół kubka smalcu, parę kilo kaszy jęczmiennej, to nie było mi pilno sprzedawać. Inni Kazachy też przychodzili i chcieli go kupić i jeden drugiego w cenę gonił. Ale co to była za sprzedaż? Za parę czy za kilkanaście kilo mąki nabywali nieraz dobre rzeczy od Polaków.

Ja codziennie czułem się zdrowszy. Już nieraz, gdzie miałem bliżej iść, to szedłem i tylko kijem się podpierałem, a kulę zostawiałem. I tak myślałem, może Bóg da, że za miesiąc będę już bez kuli chodził, to pójdę do pracy, to sobie zarobię na życie. I tak wzdycham, czy ja jeszcze będę tak chodził jak dawniej, a nawet choćby tak jak przed chorobą. To byłoby już dobrze. Co dzień chodziłem dłużej, żeby nogi przyzwyczajając do późniejszego chodzenia. A może pójdę do wojska polskiego, to byłoby najlepiej.

Jednego razu poszedłem dużo dalej niż zawsze, też tylko o kiju, a z przeciwnej strony nadszedł stary Kazach, który też podpierał się kijem. Zatrzymał się i zaczynamy rozmawiać. Ale on do mnie mówi po swojemu, a ja jemu mówię po polsku, nic nie możemy się dogadać. To ja jemu mówię po rusku, on trochę umiał, ale mało. Pyta się, co mnie boli. Pokazuję mu, że nogi mnie bolą. On spojrzał na moje nogi i krzyknął. I buch! mnie swoim kijem po nogach i zaraz drugi raz uderzył. Za drugim razem opadł z mojej nogi żółtawy robak, nazywał się skorpion. Ja zrazu myślałem, że on dla żartu uderzył, ale drugi raz to było silniejsze uderzenie i jak ten robak upadł, to on jeszcze kilka razy go uderzył, aż go zabił.

Pytam się jego, czy kąsa. On usta skrzywił, ręce podniósł do góry i powiedział: „A jaj a jaj” i na palcach naliczył, że czternaście dni by bolało mnie to ukąszenie. Całe szczęście, że mnie ten robak nie ukąsił, bo on mi pokazał, że i usnąć nie można, tak strasznie boli. Był wielkości jak palec wskazujący, żółtawe pręgi miał po sobie.

Podziękowałem Panu Bogu, że uniknąłem ukąszenia, bo tylko mnie tego brakowało. Nie wiadomo, jakby to dla mnie się skończyło. Na drugi dzień, gdy leżałem w sieni, patrzę, a



po ścianie taki sam lezie, tylko trochę grubszy. Widać było, że to kotna samica, też ją zabiłem.

Ramziuki nie przynieśli sobie opału, więc biorą spod siebie ten, na którym spali. Jak ręką zajął od spodu, jak krzyknie! Jednocześnie bryknął. Wąż tam jest, a wszyscy spali na takim zielsku. Pozrywali się wszyscy na nogi, strach ogarnął, a on mówi: „Jak ja go dotknąłem, to jak on syknął, to po mnie ciarki przeszły!” Wszystkich strach ogarnął. Murżowa wzięła dwa kije, jednym podnosi zielsko, a drugi trzyma już w górze, żeby go uderzyć. Ale już go tam nie było. Skrył się tak, że prawie wszystkie zielsko wynieśli, zanim go zabili. Był jeszcze nie taki duży, pewnie młody.

Ja raz poszedłem na cmentarz, gdzie chowali nieboszczyków. Oni chowają nieboszczyka na siedząckę. Tam jedna mogiła się zapadła, to w tym dole był jeden wąż długości jakieś dwa metry, a gruby był jak kiełbasa. Chodziłem już bez kuli, chociaż mnie nogi bolały, a najgorzej jak nastąpiłem na coś nierównego, to tylko syknąłem z bólu, ale chodziłem.

Wojtek mówi: „Niech pan idzie, teraz jest tak gorąco, to się wykąpiemy i wymyjemy dobrze w tej rzeczce”. Poszlim, ja rozebrałem się i wszedłem do wody, tylko trochę za kolana i myję się, a on zaczął chodzić po całym tym dołku. Po drugiej stronie rosły krzaki i trzcina, on poszedł w te krzaki i zaczął tymi krzakami ruszać. Tam z tych krzaków wypłynęły dwie żmije. Ja oglądałem się - jedna długa z półtora metra płynie do mnie, już była blisko. Jak ja bryknę z wody! Ze strachu jakby mnie wcale nogi nie bolały. Zacząłem Wojtka sztorcować, a on się śmieje i mówi: „Prędzej panu z nóg ból ustąpi, jak pan tak będzie brykał!” Żmija, jak ja krzyknąłem, skręciła w bok i schowała się w trawę. Ja jeszcze wlałem do wody, umyłem się, on też i wróciłem do domu.

W tym czasie rozeszła się pogłoska, żeby wszyscy Polacy szli do fotografii, bo mieli wyrabiać paszporty zagraniczne, w trzech językach będą wypisane - w polskim, ruskim i angielskim. Słysząc było, że wszyscy Polacy wyjadą z Rosji. Wybierali się i od nas. Murżowa z Wojtkiem i Ramżowa ze Staśkiem mają iść za parę dni do rejonu.

Druga wieść znowu przysłała, że przyjechał do naszego kołchozu z wojska polskiego syn po swoją matkę i siostrę, Jacynów, i że on może zabrać piętnaście osób do wojska polskiego. Ma na to zezwolenie. Ja, gdy się o tym dowiedziałem, że to było ze dwa kilometry od nas, zaraz się wybieram tam iść i dowiedzieć, czy to jest prawda, co ludzie mówią. Trzy kilometry - wzięłem kij i kulę, bo to tak daleko bez kuli będzie mi trudno dojść, mogą mnie nogi zboleć.

Gdy tylko doszedłem do kolchozu, już się dowiedziałem od ludzi, że to prawda i ten syn Jacynowej nazywa się Stanisław. On, jak tylko została ogłoszona amnestia dla Polaków, od razu pojechał i był przyjęty do wojska. Dostał urlop na dwa tygodnie, aby zabrać matkę i siostrę. Siostra będzie sanitariuszką albo kierowcą samochodu, tam do tego szkołą, a matka pójdzie do obozu cywilnego i tam dostanie wszystko i życie przy wojsku. Już tam jest taki obóz i jest dużo Polaków.

Gdy wszedłem do nich, mówię „Dzień dobry państwu”, odpowiedzieli „Dzień dobry”. Jego w domu nie było, poszedł gdzieś spać. Pytają się mnie, do kogo ja przyszedłem. Mówię do matki, że chcę się widzieć z pani synem Stanisławem. Matka zaraz go zawołała. Ja siedziałem na kufrze, wstałem i mówię „Dzień dobry panu”. On podszedł i podał mi rękę, przywitalim się. Ja się pytam: „Czy prawdą jest, że pan może zabrać do wojska piętnaście osób?” On powiada: „Prawda - mężczyźni i kobiety, a dziewczyny tylko młode. Do czterdziestego piątego roku życia mogę zabrać”. A ja mówię: „Niech pan mnie zabierze, ja stawałem na komisję i jestem przyjęty, tylko zachorowałem i zamiast do wojska to poszedłem do szpitala i trzy miesiące leżałem w szpitalu”. A on patrzy na kulę i kij i on powiada: „Do kolei jest sto dziesięć kilometrów, pan nie zajdzie”. Pytam go, czy mu furmanki nie dadzą. On mówi: „Dadzą, ale my mamy sporo swoich rzeczy i tylko może wsiąść na wóz matka. A ja już z siostrą nie możemy na wozie jechać, a pan do stacji nie zajdzie”. Ja się pytam: „A kiedy pan będzie odjeżdżał?” A on mówi: „Mam urlop na czternaście dni. Wczoraj przyjechałem, to mam jeszcze trzynaście dni”. Ja mówię: „To ja za trzynaście dni nauczę się chodzić dobrze i zajdę do stacji kolejowej”. On powiada: „Dobrze, jak pan zajdzie, to ja pana zabiorę”.

Pani Jacynowa ugotowała obiad i mnie zaprosiła do obiadu. Najadłem się dobrze, były kluski na czystym mleku. Posiedziałem tam u nich z godzinę, rozmawiałem, potem Jacyna chwalił, że w wojsku dobre życie dają. Cywilów jest paręset osób i dzieci z ochronek też jest dużo. Podziękowałem za obiad i mówię: „Panie Stanisławie, proszę mnie zapisać, ja na pewno pójdę”. Powiedział, że dobrze.

Na drugi dzień wybierała się Murżowa iść do rejonu dowiedzieć się, co słychać z tymi fotografiami i dokumentami i o wyjeździe z Rosji. Ja jej dałem kulę, żeby ona oddała ją w szpitalu sanitariuszce Gecowej, bo ona gwarantowała, że ona odpowiada za nią, gdyby kula zginęła. „Niech pani jej odda i ode mnie jej podziękuje”. Powiedziała, że dobrze. I szedł razem do rejonu jej brat Wojtek oraz Staszek Ramzowej i oni zabrali tę kulę i oddali Gecowej, która im mówiła, że już myślała, że kula przepadła i ona musi płacić za nią. Dziękowała im za przyniesienie.

Na odchodnym Stanisław jeszcze powiedział, abym zaszedł do stacji kolejowej, to za przejazd nic płacić nie będziemy, ma na to dokumenty. Stacja nazywała się Siergo.

Gdy szedłem do domu, zatrzymywali mnie i pytają, czego ja się dowiedziałem od tego żołnierza, bo policjantowa chciałaby też jechać, ale się boi. Powiedziałem im, że ja jadę z nim do wojska. Mężczyźni są przyjmowani do czterdziestu pięciu lat i dziewczyny młode od lat szesnastu do dwudziestu pięciu. Jacyna mówił, żeby na wszelki wypadek uszykować sobie na drogę jedzenia na cztery dni.

Policjantowa prosi mnie, żebym jej poradził, czy jechać, czy nie, bo Jagełło jej mówił, że syna to przyjmą, a jej nie przyjmą i ona nie wie, jak decydować. „Jak mnie nie przyjmą, to co wtedy robić? Wracać do tego kołchozu?”

Mówię jej: „Niech pani ryzykuje. Syn pójdzie do junaków, a ja idę do wojska. Niech pani mówi, że jestem pani bratem, to co, miała pani zostać sama w kołchozie?” Ona mówi: „Okazja jest dobra, druga taka może się nie trafić. Ale jeszcze pomyślę”. Powiedziałem: „Jak pani chce, to jest rzecz pani. Do widzenia, idę do swojej budy z nadzieją, że może uda mi się wstąpić do wojska i wydostać się z tej rajskiej opieki nad Polakami. W wojsku to już nie będę się martwił o jedzenie, bo tam dadzą. A ja przecież jestem już stary żołnierz, wstąpiłem do Polskiej Organizacji Podziemnej, żeby walczyć za wolność Ojczyzny. To jest obowiązek każdego Polaka i mam nadzieję, że do tego dobrnę”.

Teraz już chodziłem prawie całymi dniami, aby przyzwycząić się do chodzenia, żebym mógł dojść do tej stacji kolejowej Siergo dziewięćdziesiąt cztery kilometry. Na tydzień przed wyjazdem Jacyna poszedł do przedstawiciela w rejonie i powiedział mu, żeby on ogłosił po kołchozach, żeby na dzień 13 czerwca stawili się mężczyźni do czterdziestu pięciu lat i dziewczyny od szesnastu do dwudziestu pięciu lat w rejonie u przedstawiciela, to on ich zabierze do wojska.

Ale przedstawiciel tego nie ogłosił, a jeszcze odradzał i mówił, że przyjdzie czas, to wszyscy pojedziemy. Jeszcze przed wyjazdem pomyślałem, że trzeba sobie kupić na drogę sera albo choć twarogu. Mówię do Wojtka: „Idź na fermę, może tam kupisz sera albo twarogu. Ja dam ci pieniądze i jak kupisz, to i tobie dam”. Powiedział: „Dobrze”. Dałem mu piętnaście rubli i on poszedł, ale sera nie mógł kupić, to tylko kupił sześć kilo twarogu. Dałem jemu dwa kilo twarogu. Zostało mi cztery kilo i zaraz sobie ugotowałem klusek z twarogiem. Najadłem się dobrze i myślę, że trzeba iść gdzieś na inną fermę, może tam da się kupić gałek suszonych z sera.

Pytam się: „Kto pójdzie za mną na drugą fermę? Może tam kupim sera czy gałek z sera suszonych?” Murżowa mówi: „Ja pójdę, to też sobie kupię” i starszy chłopak Ramzowej:

„I ja pójdę”. Umówiliśmy się, że jutro rano po śniadaniu pójdziemy. Tu droga wyjeżdżona była w lewo od naszego i Izmael mówił, że ona prowadzi do dużego kołchozu i tam będzie można kupić sera i twarogu.

Murżowa pożyczyła od Izmaela wiadra, a ja wziąłem szalik jedwabny, który kupiłem za papierosy jeszcze w więzieniu. Nie był on mi teraz potrzebny, bo było gorąco i bez szalika. I jedne kalesony. Dobrze rano, przed wschodem słońca, po śniadaniu wyszli. Miało być do tego kołchozu dziewięć kilometrów. Idziem i idziem, ale tego kołchozu jakoś nie widać, teraz idziemy trochę pod górę. Mówimy sobie, że jak wejdziem na górę, to chyba zobaczymy ten kołchoz.

Weszlim na górę, ale nie widać kołchozu, tylko dalej drugie góry i wciąż idziemy stepem, trawa duża do kolan. Pod tamtymi górami z prawej strony drogi pasie się duże stado bydła. To już - mówimy sobie - za tymi górami musi być ten kołchoz.

Gdy weszlim już na tę drugą górę, tam już są ślady więcej udeptane i ogromne stado owiec, a za nimi siedział na koniu chłop, ale kołchozu nie widać.

Teraz idziemy tym pastwiskiem, prosto do tego pastucha, co jest przy owcach. Przyszlim do niego i pytamy, gdzie jest kołchoz. On nic nie odpowiedział, tylko zmiarkował, o co nam chodzi, pokazał na prawo ręką i coś powiedział, ale nie wiedzieliśmy co, bo to po kazachsku.

W pokazanym kierunku idziemy już na trzecią górę. Gdy już weszlim, widać było duży kołchoz i kobiety już było widać, jak się kręciły. Przyszlim do nich, ja do nich zagadałem po rusku, nic nie powiedziały i poszły do namiotu. Z niego wyszedł Kazach duży i walnie gruby i kiwa, żeby za nim pójść do namiotu, weszlim. Ja do niego mówię po rusku, on nie rozumie, on znowu do mnie mówi, ja znów nie wiem, co on mówi.

Ale ja widzę, że na boku leży twaróg na szmacie. Pokazuję mu ten twaróg i wyjąłem pieniądze i pokazuję na twaróg. On domyślił się, o co chodzi. Na posadzce leżał dywan, on usiadł i nam pokazuje, żeby usiąść, posiadaliśmy, nogi mnie zaczęły boleć, tyle drogi zrobiliśmy.

Ona wyszła z namiotu, tam coś gotowała. On ją zawołał i powiedział, że my chcemy kupić twarogu. Pogadali. Kazach do chłopca coś powiedział i on wyszedł, i przyszedł z drugą Kazaszką. Pogadali, ta chyba była jego żoną, coś tam powiedziała tak prędko i ten swój twaróg nakryła i odsunęła w kąt. A tu zaraz wszedł drugi Kazach. On go zaraz zaprosił, żeby usiadł, no i on usiadł. Rozmawiają, a ta gospodyni wnosi miskę makaronu zwanego łapszą. Postawiła przed tym, co wszedł i drugą miskę przyniosła i postawiła przed nami. Potem przyniosła maślanki w dużym dzbanie i kubki. Ponalewała każdemu kubek. Mężczyźni najprzód napili się maślanki i zaczęli jeść palcami ten makaron. To były takie grube paski i im

to jedzenie jakoś szło zgrabnie, a my się patrzymy. Oni nas zachęcają, ale jak tu palcami jeść. Ja jemu pokazuję, żeby dali łyżki i ten Kazach lepiej zmiarkował, o co chodzi i powiedział swojej żonie i ona przyniosła jedną łyżkę drewnianą.

Ja najprzód mniej więcej swoją trzecią część zjadłem, później zjadła Murżowa, a na końcu Stasiak. Potem znowu po kubku maślanki wypilim. Ja się położyłem, bo mnie nogi strasznie bolały, a Stasiak z Murżową poszli do innych namiotów i prawie w każdym namiocie ich częstowali maślanką albo dawali kawałek lepieszki, albo jak mieli łąpszą, to dawali. Wrócili obżarci jak bąki.

Ten Kazach obcy zaraz poszedł, a ja zacząłem na migi kupować od nich twaróg. Ona przyniosła od tej młodej garnek i pokazuje, że pełen będzie kosztował jednego rubla. Ja mówiłem kiwnięciem głowy, że się zgadzam i w tym czasie ta z drugiego namiotu przyniosła w worku może z piętnaście kilo twarogu. Ja go wszystek kupiłem, był już tak walnie obsuszony. Przełożyłem go do mojego wiadra, a raczej do wiadra Murżowej. Mówiłem, że my się w domu pogodzimy i ona się zgodziła.

Ale gdy my ten twaróg przekładaliśmy, to chłopak przed namiotem pilnował, czy ktoś nie idzie, tak się bali sprzedawać swoją pracę. Ja dałem szalik i kalesony Staškowi, żeby tam gdzieś zamienił na mąkę czy na ser, ale nie zamienili, bo oni w szalikach nie chodzą, a kalesony były stare i liche i przyniósł je z powrotem. Kazachy dali jeszcze soli sporo i gałek suszonych, twardych jak kamień.

Wziąłem jedną gałkę od Murżowej i pokazuję tej Kazaszce, czy ona ma takie. Ona kiwnęła głową, że ma. Wychodzi i kiwa na mnie, żebym ja z nią szedł. Jej namiot był z pięć metrów od tego namiotu. Poszedłem, też tam leżał na ziemi stary brudny dywan, na boku w torbie wisiały gałki z serem. Zdjęła je, policzyła, było ich dwadzieścia sztuk, zapłaciłem jej za twaróg dwadzieścia rubli i za gałki dziesięć rubli.

Z boku na tym dywanie siedziało dwoje dzieci, brudnych, wyglądały jakby nigdy nie były myte. Jedno wyglądało na jakieś trzy latka, a drugie miało może z półtora roku. Ubrane były w jakieś gałganki, ni to sukienki, ni to spodnie.

Ona usiadła na tym dywanie i pokazuje ręką, żebym i ja usiadł. Usiadłem, ona wstała, wzięła kubek i nalała do niego maślanki, podała mi, ja wypilem ona zaraz nalała drugi kubek. Usiadła naprzeciw mnie i patrzy się na mnie. Ja z drugiego kubka tylko trochę łyknąłem i przyglądam się jej. Była młoda, wyglądała na jakieś dwadzieścia trzy albo dwadzieścia cztery lata, była nawet przystojna, ale ubrana, Boże zachowaj! Sukienka na niej była licha i łątana już, majtki miała czerwone, dłuższe od tej sukienki z piętnaście centymetrów.

Z odpoczynkiem wypilem ten drugi kubek tej maślanki. Ona chce nalać trzeci, ale nie chciałem. Ona wstała i pokazuje mi i mówi: Paf! paf!, pokazuje rękoma, tak jakby trzymała karabin i znowu mówi: Paf! paf! Zrozumiałem, że jej mąż jest w wojsku, może na wojnie, to paf! paf! znaczy, że on strzela. Ja jej pokazuję, że też pójde paf! paf! strzelać.

Już wstałem, zabieram się do odejścia, ona mnie za rękę przytrzymała i jeszcze gdzieś miała cztery gałki tego suchego sera i dała mi je. Ja wyjąłem pieniądze i chcę jej zapłacić, ale ona głową kręci i nie chciała wziąć. Kiwnąłem jej głową i wyszedłem, bo czas było już iść z powrotem do swojej chałupy, a droga do niej była daleka.

Murżowa i Stasiek już z wiadrem byli na dworze i czekali na mnie. Gdy odchodziłem, rękami do nich machałem i oni nam machali, wszyscy, ile ich tam się naschodziło. Ja w tym pierwszym namiocie dobrze wypocząłem, długo leżałem, potem siedziałem i jak szlim, to mało mnie nogi bolały. Szlim dość sporo.

Gdy przyszedłem do swojej chałupy, jak raz słońce zachodziło. Na drugi dzień bolały mnie nogi po wczorajszej podróży, ale wstałem. Marżowej dałem mąki, żeby ugotowała klusek z twarogiem. Najadłem się i zaraz wyszedłem na przechadzkę, żeby pomału rozdeptać nogi, bo dzień za dniem schodził i czas się zbliżał do wyjazdu Jacynów, a ja przy nich muszę iść około stu kilometrów do stacji Siergo.

Chodziłem pomału do południa, na obiad zjadłem kluski z mlekiem, bo mleka przyniosła Murżowa od Izmaela. Ona u nich pomagała, co trzeba było robić, a oni jej dawali mleko, mąkę, twaróg. To tak zawsze było, bo żona Izmaela miała małe dzieci.

Po obiedzie podarłem swoje kałesony, co ich Kazachy nie chcieli za mąkę zamienić i zacząłem kombinować, jak uszyć sobie z nich beret, bo już lipiec bardzo był gorący. Mogło być pięćdziesiąt stopni, a ja miałem czapkę watowaną jeszcze z łągrów. Już niemożliwe było w niej chodzić, a tu z gołą głową też niedobrze, bo wprost pali. Pomogła mi Murżowa i uszyliłm.

Miałem też kamasze jeszcze z archangielskich lasów, były dziurawe, sznurowane, kombinuję uszyć sobie bułki na nogi. Miałem rękawice brezentowe, w których ścinałem i układałem drzewo przy trzydziestu ośmiu stopniach mrozu. Były duże. Poprułem je i uszyłem sobie z nich bułki na nogi, będą lekkie i będzie mnie lżej w nich iść.

Dziesiątego lipca Stanisław Jacyna poszedł do *predsiedaciela*, żeby mu dał furmankę na noc z dziesiątego lipca na jedenastego, miał już takie papiery. Przed wieczorem Kazach na krowach podjechał pod dom, w którym mieszkali Jacynowie. Ja już byłem u nich. Oni wynieśli duży kufer, postawili go na wozie, zamknięty był na kłódkę.

Teraz powiem, co zrobiłem z twarogiem. Dałem Staškowi Ramzukowi za to, że niósł całą drogę to wiadro z Murżową, ja wcale do niesienia się nie brałem. Oni oboje przejmowali z rąk do rąk co jakiś czas i przynieśli do samego domu. Za to Staškowi dałem jedną trzecią część twarogu z wiadra. Resztą podzieliłem się z Murżową i poprosiłem ją, żeby mi z mojej połowy upiekła lepioszek, a resztę z wiadrem zabrała sobie i nic od nich nie wziętem, tylko Stasiak przyniósł opału do pieczenia lepioszek i na tym koniec.

Jeszcze powiem, jak te lepioszki u nich się piekło. Naprzód napaliło się kupę żaru, potem mieli takie jak u nas patelnie z rantem, nałożyli na tę patelnię ciasta, to potem przykrywali drugą patelnią, która też była z rantem, tak że jak się je złożyło i później wsadzało się w ten żar, to tam do środka nic się nie dostało ani żaru ani popiołu, tak były szczelnie dopasowane te oba ranty. Potem pogrzebacz się wsuwało i wyciągało te patelnie z chlebem.

Gdy tylko kufer ustawili na wóz, patrzymy, a obręcze na kołach są luźne, niepodobna jechać tyle kilometrów na tym wozie. Poszedł Jacyna, żeby dali inny wóz, lepszy, ale *predsiedaciel* pokazał mu parę wozów i wszystkie takie same były. Dał gwoździ i młotek, żeby tymi gwoździami poprzybijać obręcze i pomału pojechać.

Był tam Pawłowski, który też razem miał jechać do wojska. Zaczęli te koła reperować, klinowali i gwoździami przybijali. „No - mówią - drogą boczną, nie po bruku, to może dojedziem”. Oni zostali, a ja poszedłem po swój worek i pożegnać się z tymi, co zostają. Wojtek powiada: „Ja już byłem na komisji, ale mnie nie przyjęli do wojska, to teraz to samo będzie, nie pójdę”.

Ja zdjąłem swoje kamasze, wywlokłem z nich surowcowe sznurówki i mówię do Wojtka: „Ty masz kamasze gorsze od moich, to daję ci swoje, fufajkę też i czapkę zimową, ale pod warunkiem, że jak mnie do wojska nie przyjmą i ja tu wrócę, to ty mnie to oddasz. Ja już mam papiery te, com na komisję stawał i byłem zdrów i przyjęty do wojska, to myślę, że mnie przyjmą”. Wojtek mówi: „Dobrze, ale da Bóg, że pana przyjmą”.

Pożegnałem się ze wszystkimi. Już mam wychodzić, a tu wchodzi zdyszany Izmael i mówi, żeby mu ten koc sprzedać. Myślę sobie, bo czuję, że do wojska mnie przyjmą, to koc nie będzie mi potrzebny. Mówię: „Sprzedam, ale jak dasz trzysta rubli i pół kilo masła”. On mówi, że tyle to on nie ma, daje dwieście rubli i pół kilo masła. Ja miałem pieniędzy jeszcze około pięćdziesięciu rubli i mówię, że za mało i nie sprzedałem. Jeszcze tylko krótkie kalesonki miałem i je zamieniłem za dwadzieścia jajek.

Gdy już byłem gotów do odejścia, to mówię do Wojtka: „Zanieś mi mój worek do Jacynów”. Odpowiada, że dobrze i poszlim. Przychodzimy, Jacyny już wszystko włożyli,

mieli prawie pełen wóz, tylko na przedzie wozu było uszykowane miejsce do siedzenia dla starej Jacynowej i dla furmana. Ja jeszcze dałem za przyniesienie worka Wojtkowi dwa jajka i lepioskę. On mi podziękował, a ja jemu.

Ludzi się naschodziło na odjazd. I Polacy, i Kazachy chcieli jeszcze co kupić na odjezdnym. Ja wyjąłem koc i myślę, że jak kto da trzysta rubli, to go sprzedam. Kazachy oglądają go, mierzą i mówią, że z niego będzie dobra szuba. Jeden wyjął pieniądze i pyta, ile ja chcę za niego. Mówię, że trzysta rubli, podumał i zapłacił całe trzysta rubli. Izmael tylko się popatrzył.

Nadszedł jeszcze ten Kazach, co mu wodę nosiłem i pszenicę razem przebieraliśmy. Oddałem mu kawałek mydła i dwa pudełka zapalek, bardzo za to mi podziękował i poszedł uradowany.

Policjantowa z synem wynajęła duży wózek u jednej ruskiej rodziny, która tam była na wysiedleniu. Miała go zaciągnąć do stacji Siergo ze swoim synem. Policjantowa dała jej za to ładną marynarkę, jedną koszulę i jeszcze tam coś z innych rzeczy. Poszli już dwa dni wcześniej od nas. A nas wyjechało na piechotę siedem osób - ja, Jacyna, troje Pawłowskich, Murżowa i jedna dziewczyna osiemnaście lat, Gurzędnikówna. Ojciec jej zmarł w Rosji, ona była z matką i z bratem dwanaście lat. Chciał ją od matki kupić jeden Kazach za żonę, ale matka i ona nie chciała go; razem siedem osób.

Mielim tu jeszcze przenocować i dobrze rano wyjechać. Wszyscy się już rozeszli, Jacynowa z córką włączyły na wóz i utuliły się do spania, ja i Pawłowski spaliśmy pod wozem, Stanisław Jacyna gdzieś miejsce sobie zrobił na wozie, prawie nikt tam nie spał, każdy myślał, jak to będzie dalej. Ja zacząłem sobie ściszym głosem śpiewać piosneczki. I pobożne, i ludowe, i tanga brazylijskie, i inne, a umiałem ich bardzo dużo, ażeby sobie skrócić tę noc, żeby już można było jechać. Aby do kolei, a koleją jak najprędzej dostać się do wojska. Tylko raz zapytałem się pani Jacynowej, czy jej nie przeszkadzam w spaniu. Ona mówi: „Nie, sen mnie wcale nie bierze. Ja lubię słuchać. Jak pan chce, to niech pan śpiewa”. Córka też się odezwała: „Niech pan śpiewa, pan umie takie ładne piosenki!”

Więc śpiewałem jeszcze długo, ale wszystkich jeszcze nie wyśpiewałem, a zaczęło się rozwidniać. Kazach przyprowadził dwie krowy i zaczął je zaprzęgać w jakieś drewniane ramy, sznurkiem je wiązać. My zaraz się pozbieraliśmy, ja swój worek złożyłem na wozie. O jedzeniu nikt nie myśli, bo jest za rano. Kazach z batem w rękę ogląda koła oklinowane, głową pokręcił, nic nie mówi. Ja na niego się patrzę, a to ten sam, co on ode mnie chciał zęb kupić, na którym miałem złotą koronkę, a on nie miał ani jednego zęba na przodzie. Chciał,



żebym ja jemu swój ząb dał, ten ze złotą koroną, to on go sobie wsadzi. Ja z głupiego wariata uśmiełem się i na tym się skończyło.

Ciężka to była dla mnie ta podróż. Podszedłem parę kilometrów i nogi mnie zaczęły boleć. Jechalim teraz z górki i ja z tyłu usiadłem na wozie. On poganiał sporo, ale potem jedziem pod małą górkę. On ustał i przychodzi do mnie i ręką z batem pokazuje, żeby ja zszedł z wozu. Zszedłem, poszedł i wszedł na wóz. Jedziem, wjechalim na tę górkę, teraz jest równina, to ja znowu wszedłem na wóz. To on batem mi grozi i pokazuje, żeby ja zszedł i jeszcze krzyczy.

Nogi mnie bolą strasznie, słońce paliło niemiłosiernie. Pomyślałem: „Zejsć z wozu, nie zejść, chyba mnie siłą nie będzie ściągał”. A on wyłożył krowy i puścił w trawę, a sam się położył i leży. Ale to dość długo stoimy, on nie wstaje. Poszedł do niego Jacyna, mówi do niego i pokazuje, żeby on jechał. A on się przeciągnął, podniósł głowę, patrzy, że siedzę na wozie, głową pokręcił, że nie pojedzie, aż ja zejść z wozu.

Przychodzi do mnie Jacyna i mówi, żebym ja zszedł z wozu. Ja mówię: „Nogi mnie bolą. To co, chce pan mnie zostawić w tym stepie? Ja iść dalej nie mogę”. Jacyna mówi: „Ja pana nie zostawię, ale co ja będę robić? Niech pan zejdzie i idzie pomału. Jak nadgonimy, to pan znowu wsiaździe na wóz.

Ja zszedłem z wozu i pomału idę, on krowy założył i jadą, dogнали mnie, ja ustąpiłem z drogi i on mnie minął. Ja złapałem się drążka na wozie i idę, on się obejrzał, krzyknął i znowu grozi mi batem, ale ja nie zwracam uwagi na to, co on krzyczy, trzymam się wozu. Było to już nad wieczorem, widać było jakiś kołchoz.

Przed tym kołchozem zatrzymalim się na noc. Ja miałem lepieszki i trochę smalcu, posmarowałem chleb i najadłem się dobrze. Przez noc wypocząłem. Podszedł do mnie Jacyna i mówi: „Niech pan pomału idzie”. Ja mówię, że pójdę do tego Kazacha i z nim na migi pogadam. On już wstał, a ja miałem od kamaszy surowcowe sznurowadła. Podszedłem do niego i daję mu je. On wziął jedno i chce go rozerwać, ale nie może, okręcił sobie na ręce brzegami i teraz ciągnie, ale nie zerwał. To położył i bierze drugie, od razu okręca go na ręce, chce koniecznie rozerwać, ale nie rozerwał. Wziął oba, zwinął, uśmiechnął się i schował do kieszeni, pokazuje mi wóz i głową kiwa, żeby iść i siadać na wóz.

Przyszedłem do wozu, rozwiązałem worek, wyjąłem lepieszkę, zjadłem i wszyscy, co kto miał, to jadł i zaraz po śniadaniu ruszyliśmy w drogę. Nad samym wieczorem już byliśmy na stacji Siergo. Po oddaniu sznurówek całą drogę jechałem na wozie. Za sznurówki, co u nas w Polsce kosztowały piętnaście groszy, tu pięćdziesiąt kilometrów się jechało na wozie.

Przed stacją już nas wyglądali policjantowa z synem i jedna z dwoma córkami, i jeszcze jedna pani jechała na ryzyko bez pieniędzy i bez żadnych rzeczy. Powiada: „Wszystko mi jedno, czy tu zostać w kołchozie, czy tam. Jakby nawet mnie nie przyjęli, co będzie, to będzie”.

Był to 19 lipca. Kolej tu była wąskotorowa, mieliśmy jechać do Turkiestanu, tu już był tor szeroki. Gdy przyjechalim do tego Turkiestanu, kolejka na bocznym torze zatrzymała się i my wysiedlim, zabralim swoje rzeczy, Jacyna musiał je zdać na bagaż.

Tu miałem czekać dość długo, aż przyjdzie pociąg i pojedziemy do Taszkientu. Czekaliśmy w pięknym ogrodzie, naprzeciw stacji. W tym ogrodzie było bardzo dużo ludzi czekających na nadejście pociągu. Podszedł do mnie, gdy siedział na ławce, gruby jakiś mężczyzna. Usiadł obok mnie na ławce i pyta się mnie czysto po polsku: „Czy pan jesteś Polakiem?” Mówię, że tak. „A ci ludzie to wszyscy Polacy, co są w tym ogrodzie?” Mówię: „Nas jedenastu jest w jednej grupie. Jedziemy do wojska polskiego. A reszta to jest dużo Polaków i Żydów, dokąd jadą, to ja nie wiem”. Przyglądam się mu uważnie, żeby co złego nie wygadać.

Na czapce ma gwiazdkę bolszewicką i pyta mnie: „Skąd pan jest?” Mówię, że od Łomży. A on na to: „Aha, Łomża, Czerwony Bór, Zambrów...” Zaczyna nazywać dobrze mi znane miejscowości. Pytam się: „Czy pan tam był kiedy, zna pan te miejscowości?” Mówi: „Byłem dwa razy. Przed wojną światową mieszkałem w Warszawie, w Łomży byłem i w Zambrowie i w ogóle w tamtych stronach w roku 1920”. Pytam się: „Co pan tam robił?” „Ha, co ja tam robiłem, to nie potrzebuję mówić. Ja tylko chcę się pana zapytać, jak u was w Polsce po wojnie było, dobrze czy źle, przez tych dziewiętnaście lat”.

Mówię, że dobrze i zacząłem mu opowiadać, ile zarobił za jeden dzień pracy robotnik i co mógł za to kupić. Trzy złote zarobił, mógł kupić: pół kilo słoniny - 70 groszy, pół kilo mięsa - 70 groszy, pół kilo mąki - 60 groszy, kilogram chleba - 25 groszy, jedną paczkę machorki - 50 groszy, dziesięć papierosów - 25 groszy - razem trzy złote. Pyta się, czy ja prawdę mówię. „Co ja mam kłamać?! Niech się pan tu zapyta innych Polaków, to powiedzą to samo, co ja mówiłem”. „A to u was można było zawsze kupić?” Mówię, że zawsze, ile kto chciał. Pokręcił głową i mówi: „To bardzo dobrze, jeżeli to jest prawda”. Mówię: „Prawda. U nas zawsze były pełne sklepy mięsa, chleba, masła, jajek i aż prosili, żeby kupować”.

On mówi: „Dlatego się pana pytam, bo tu u nas mówili co innego, że w Polsce jest bieda i że jest dużo ludzi bezrobotnych i że wasze dziedzice mało płacą robotnikom i tak dalej”. Ja jemu mówię, że u nas kto był bezrobotny, to tylko ten, co robić nie chciał. I to mu

dawali zapomogę. A on się pyta: „A kto mu dawał?” Mówię: „W mieście dawał Magistrat, a na wsi gmina”. On powiada: „To nas tu okłamywali”.

Ja go się pytam: „Czy pan jest Polakiem?” On przeciągle powiedział „tak”, jakby z musu. Pytam go: „Czy panu jest tu dobrze?” On powiada: „Ja pracuję w fabryce, jestem brygadierem”, ale nie mówił, że jest mu dobrze. Jeździ co dzień do tej fabryki, która jest czterdzieści kilometrów od Turkiestanu. Ja pytam: „Czy pan żonaty?” „Tak, żona pracuje w kołchozie”. „To co, pan nie może na żonę zarobić?” „Oboje pracujemy i jest za mało”.

Wyjął zegarek z kieszeni. „Już na mnie czas, do widzenia” i czym prędzej poszedł na stację. My też przybliżyliśmy się bliżej toru, jak pociąg przyjdzie, żeby można się jak najprędzej do wagonu dostać.

Jacynowie mieli dużo różnych ubrań, poduszek, pierzynę, kufer z bielizną i inne jeszcze drobne rzeczy. Więc on poszedł zdawać swoje na bagaż, a ja swój worek miałem zawsze przy sobie. Jeszcze miałem w nim dwadzieścia pięć kilo mąki, jeszcze kilka lepioszek i gałki sera twardego jak kamienie, trzeba było je kamieniami rozbijać, bo tak się nie ugryzło. Jacyna musiał swój dokument ostemplować i przyszedł do nas i mówi, że tu musimy za bilet zapłacić po osiemdziesiąt pięć rubli za jedną osobę, bo tu będziemy jechać pociągiem osobowym i mąki nie wolno przewozić. Musielim dać łapówkę i w szmaty zawinać, żeby widać nie było.

Jacyna swoją zdał na bagaż, ja swoją w worku wziąłem ze sobą. Jacynowie mieli sześćdziesiąt kilo i jedna pani pięćdziesiąt kilo mąki. Pociąg przyjechał, Jacyna bilety załatwił i swój bagaż też i jedziemy do stacji Jakobagu. Tu się wygruzilim. Na stacji był posterunek żandarmerii polskiej, mieli telefon i Jacyna tam zatelefonował do 19 pułku pp, który stacjonował w Czerakczy, żeby przysłali furmanki. Za jakieś dwie godziny przyjechały trzy ruskie podwody zaprzężone po dwa konie, a na nich polscy żołnierze za furmanów. Już na noc byliśmy w Czerakczy, w namiotach pod opieką 19 pułku saperów.

Rano 14 lipca zaraz nas zarejestrowali w biurze opieki. Po opisaniu wszystkich pytają się mnie, jak ja się czuję. Mówię: „Nieźle, ja chciałbym wstąpić do wojska”. Powiedział : „Dobrze, będzie pan wraz z innymi odesłany na komisję”. W namiotach mężczyźni byli oddzielnie i kobiety oddzielnie.

Przy rejestracji pytali, skąd pochodzę, kiedy byłem aresztowany. Powiedziałem, że w maju 1940 roku. W więzieniu siedziałem w Łomży dziesięć dni, a potem przewieźli około stu ludzi do Rosji, do więzienia na Białorusi, w Mińsku. Zostałem osądzony zaocznym wyrokiem w Moskwie na osiem lat w archangielskie lasy, do obozu pracy. Tam byłem do amnestii dla Polaków. W pięć tygodni po amnestii zostałem zwolniony i wraz z innymi

przewieźli nas statkiem parowym rzeką Peczorą do Koźwy. Tam wydali nam dokumenty, gdzie kto chciał jechać. Przy otrzymaniu dokumentu byłem ostrzeżony, że nie wolno mi być bliżej frontu niż dwieście kilometrów. Ja poprosiłem, żeby mi dali dokument do armii polskiej i taki mi wydali.

Rano przy Opiece była pobudka. Wstawać i umyć się i iść do kuchni po śniadanie - do kuchni ogólnej dla cywilów w Opiece przy 19 pułku saperów. W kuchni tak samo dawali jak żołnierzom na śniadanie kawę i chleb, na obiad jakąś zupę, mięso albo konserwy mięsne i tak dalej. Potem każdego oglądali, jak był ubrany. Mieli tam różne łachy, ale lepsze niż te, co myśmy w nich chodzili, bo każdy, co miał przez dwa lata, to podarł albo zniszczył, to takim tam dawali.

Gdy ja poszedłem w buśkach z rękawic uszytych i w ogóle nędznie ubrany, dali mi zaraz buty z długimi cholewami, płaszcz wojskowy, koc i mundur wojskowy, lichy, ale cały. Mówię, żeby mi dali jeszcze spodnie. Ten, co wydawał, powiedział mi, że spodni nie mają, ale jak ja chcę, to mogę dostać długi płaszcz, to sobie gdzieś tam z niego uszyję spodnie. Wziąłem i długi płaszcz, były to płaszcze żołnierzy estońskich.

Była przy 19 pułku saperów ochronka dla dzieci, które nie miały rodziców - sieroty, one też były na utrzymaniu tej Opieki. Po trzech dniach pobytu w obozie cywilnym poszedłem do tych dzieci popytać się, czy tu nie będzie ktoś z naszych stron. Była tam przełożona, pani już poletnia, ale bardzo przyjemna. Pytam się jej, czy tu nie ma kogoś z Łomży. Mówi, że jest jeden chłopiec, ma sześć lat. Zawołali go. Był to z Łomży Jawoszczak, rodzice mieli sklep, matka jego została gdzieś chora, o ojcu nic nie wiedział. On mówił, że jak ich wywozili z Łomży, to Polacy przy wagonach bili bolszewików, więcej nie mówił.

Tego wieczora ogłosili, że wszyscy do czterdziestego piątego roku życia mają być gotowi i pojedą do miasta Guzar na komisję wojskową, kolejną pojedą osiemnastego rano. Godzina siódma rano, już po śniadaniu, przyszedł starszy sierżant na plac z zeszytem w ręku. Wszystkich zapisał. Potem się odmieniło, pojedziem nie kolejną, tylko autobusem wojskowym. Podeszedłem do tego sierżanta. „Co mam robić z kocem?” - pytam się. On mówi: „A co pan chce, mnie to nic nie obchodzi”.

Zaniosłem koc, płaszcz i resztę mąki z workiem do Jacynów i mówię, że chcę to zostawić u nich na razie, bo nie wiem, jak mi tam pójdzie na komisji. Mówią: „Dobrze, niech pan zostawi”. Gdy wróciłem, już autobus podjechał. Było to dość daleko do tego Guzar, zajechaliśmy przed wieczorem. Była tam rzeczka, poszedłem do niej i się umyłem dobrze cały.

W Guzarze przenocowaliśmy na dworze, prawda, że było ciepło. Przed odjazdem przyszedł major i powiedział: „Jeżeli kto nie będzie przyjęty do wojska, to niech wrac do Czerakczy, będzie przyjęty do opieki”.

Na tę komisję najechało się mężczyzn około tysiąca ze wszystkich stron, w tym bardzo dużo Żydów. Jakoś dobrze się złożyło, że o godzinie ósmej rano komisja już badała, ja byłem przyjęty do wojska z kategorią C i od razu pierwszych pięćdziesięciu czterech przyjętych było skierowanych do 21 pułku piechoty w Guzarze. Był to pułk zapasowy.

Ale jeszcze się wrócę do komisji. Żydzi tam trzymali się kupy i pchali się jeden przez drugiego, aż ich sierżant obsztorcował. Do 21 pułku zapasowego prowadził nas sierżant z listą. Ja już szedłem w butach z długimi cholewami. Do tego pułku było dość daleko, szliśmy jakoś bocznymi ulicami. Domy były duże i małe. Patrząc, wisi sztyld z butem, a ja już kombinowałem, żeby je zamienić na byle jakie lice, aby zdobyć trochę pieniędzy.

Mówię: „Panie sierżancie, żeby pan trochę się zatrzymał, bo mnie jakiś gwóźdź prze w nogę, tobym wpadł do tego szewca, to on by tam coś poprawił”. „Dobrze, niech pan wejdzie do niego”. Ja wszedłem i pytam go, czy on ma jakieś stare kamasze, choćby były dziurawe. On miał różnych chodaków kilka par, przyniósł dwie pary, jedna była dobra na moje nogi. Ja mówię: „Daj pięćdziesiąt rubli, a ja ci dam te z cholewami”. A to były dobre buty. On obejrzał i powiada, że da mi czterdzieści rubli. Zgodziłem się. W wojsku dostanę nowe. On wyjął pieniądze, liczy, a ja obuwam kamasze lichotę. Pieniążki przeliczyłem i czym prędzej wychodzę, bo już sierżant wołał. Wszedłem w kamaszach, a sierżant się pyta: „A gdzie masz buty?” Mówię, że zamieniłem, bo one nie były dobre. Krzyknął: „Zbiórka, w prawo zwrot i marsz!” Poprowadził przed kancelarię. Wszedł z niej też sierżant, nasz oddał mu listę, a obok rzędami stały namioty. Kilku żołnierzy wyszło i patrzą się na nas. Sierżant zaczął wyczytywać, każdy się odezwał i od razu przydzielają nas po kilku do namiotu. Zaczęło się ściemniać, a w namiotach to już było ciemno, bo tam żadnych lamp ani świec nie było.

Gdy my sobie zaczęliśmy robić gniazda, uchylił jeden żołnierz namiotu i pyta się, czy tu jest pan Pieńkowski. Odzywam się: „Jest”. On podszedł, ja do niego też. „Czy pan jest z Drozdowa?” Mówię, że tak. „Miał pan sklep swój?” „Tak”. „A czy pan wie coś o swojej rodzinie?” „Wiem tylko tyle, że została w Polsce, więcej nic”.

A on powiada: „Panie, pańska rodzina też jest w Rosji. Razem z Polski nas wywieźli 20 czerwca 1941 r. i w jednym kołchozie w Rosji mieszkaliśmy i w jednym domu. Jest żona pana i czworo dzieci - Marysia, Zbyszek, Danusia i mały Sobek przy piersi, a czworo zostało w Polsce, uciekli przez balkon, jak żonę zabierali”.

Gdym to usłyszał, to aż mi w głowie zaczęło szumieć, z oczu łzy mi wypłynęły po twarzy, jedna za drugą, słabo mi się zrobiło. Usiadłem na ziemi, żeby nie zemdleć i nie runąć na podłogę. Pytam się: „Gdzie oni są?” „W obłaści aktiubińskiej, rejon Hobda, kołchoz Dzeren-Kupom”. Złapałem się bić za głowę. Żeby ja wiedział wprzód o tym, byłbym szukał dotąd, aż bym ich odnalazł. Miałem przecież tyle czasu.

Pytam się jego: „Jak się pan nazywa?” „Hojnowski Jan ze Szczepankowa - i mówi - Nie martw się pan, są zdrowi. Zbyszek wyrósł, chłop taki duży jak pan. Robił ze mną w kuźni, dużym młotem bił jak stary chłop. Umyślnie go wziąłem do kuźni, żeby zarobił na miesiąc 180 rubli. Za te pieniądze mógł kupić jeden metr kartofli i pół metra żyta. Kołchoz ten jest niezły, można dostać mleka i kartofli, ale na zamianę, za bieliznę, czy ubranie i za inne rzeczy.

Najgorzej tam jest z opałem, bo lasów zupełnie nie ma, pali się trzcina i innym zielskiem. Zimno, nie można się nigdzie ruszyć, bo są ogromne śniegi. Jak zaczną padać, kręcić zawieja, tak że świata nie widać i to pada przez parę dni bez przerwy. Napada równo z domami i stodołami. Po wodę chodzi się tunelami, pod śniegiem”.

Razu jednego – opowiadał - w zimę nie mieli czym palić i na czym jeść ugotować. Poprosili o konie z saniami i pojechali za trzcina – on, Chojnowski, Zbyszek i Marysia. Ostrzegali ich tamtejsi Kazachy, że zanoszą się na burzę śnieżną, żeby lepiej nie jechali, ale oni nie posłuchali, bo jechać było musowo.

Jak tylko wyjechali, zaczął śnieg padać i to coraz grubsze płatki, a później całymi wiehczkami kręcił. Oni na to nie zważali, chcieli jak najwięcej tej trzciny uciąć, a do kołchozu było osiem kilometrów. Już zaczęło się ściemniać i to tak od razu. Wyruszyli z powrotem, ale za kilkanaście minut zrobiło się ciemno zupełnie. „Ja - mówi - konie puściłem luzem, niech idą, one może prędzej wiedzą, gdzie jechać, bo ja już straciłem orientację zupełnie. Nareszcie konie się pomęczyły i stoją. Mówię do Zbyszka: » Ty może trafisz na kołchoz, to może kto wyjdzie z Kazachów i nam pomoże dojechać«. Tylko każę mu coraz się odzywać, to ja będę uważał, czy on dobrze idzie. »I słuchaj mi co raz, co ja do ciebie będę mówił«. Poszedł, ale za parę minut skręcił w lewo. Ja krzyczę, żeby skręcił w prawo. Skręcił, ale znowu za dużo. Krzyczę, żeby się wrócił do nas. Posyłam go drugi raz, to samo wyszło, znowu go zawróciłem. I mówię: »Wy zostańcie, a ja pójdę szukać kołchozu«.

Zostawiłem ich na saniach i sam poszedłem. Szedłem z godzinę czasu, ale doszedłem, całe szczęście, że natrafiłem i kazałem jednemu Kazachowi wleźć na dach z latarką, żebyśmy mogli trafić z powrotem. Sam wracam do nich, już chodzę z godzinę i nie

mogę do nich trafić. Krzyczę, co tylko mam sił. Nareszcie mnie usłyszeli i znowu oni zaczęli się odzywać i doszedłem do nich.

Oni się już popłakali, myśleli, że ja do nich nie trafię i oni zamarzną na śmierć. Konie odpoczęły, jedziemy i tak pomału ledwieśmy dojechali. I - powiada - gdy sobie przypomnę tę zawieję śnieżną, to aż mnie ciarki po plecach przejdą jeszcze dziś. Przecież mogliśmy tam zamarznąć w tym śniegu na śmierć’.

„Żona pana narzeka na nogi - dodał - bołą ją i słabo chodzi, ale mówiła, że w Polsce też ją bolały. Ale dzieci chowają się zdrowo. Ja ich opuściłem w kwietniu 1942 r. List miałem w czerwcu, jest tam wszystko jak było, bez zmian”.

Po tej rozmowie on poszedł do swego namiotu, ja też położyłem się spać, ale oka nie zmrużyłem przez całą noc. Tylko myślałem nad losem mojej rodziny. Żona z czworgiem dzieci jest w Rosji, męczy się, najmłodszy synek Sebastian miał dopiero jeden rok i córka cztery lata, Danusia. A czworo dzieci zostało w Polsce pod Niemcami bez żywności. Jak oni tam żyją?

Bez przerwy myślałem do rana, co mi wypada teraz robić. Urlopu nie dostanę, bo dopiero wstąpiłem do wojska. Ale jutro rano poradzę się porucznika, dowódcy kompanii. Wstałem rano, umyłem się i po śniadaniu czekam, aż przyjdzie dowódca kompanii.

Gdy szedł do kancelarii, przeprosiłem go i opowiedziałem mu, czego ja się dowiedziałem wczoraj o swojej rodzinie. I pytam się, czy jest możliwe, żebym ja mógł jechać po swoją rodzinę i ją tu sprowadzić. On powiada: „Nie, dlatego, że my już niedługo z Rosji wyjeżdżamy, czekamy tylko na rozkaz, który może przyjść lada dzień. Z tego powodu urlopy są wstrzymane. Ale jak chcecie, to ja mogę was zwolnić z wojska i pojedziecie do swojej rodziny. Tylko to mogę zrobić. Ale wtenczas zostanieie w Rosji. Namyślcie się, co dla was lepsze, bo musicie się zdecydować, czy wojsko, czy rodzina, jedno z dwóch.”

Poszedł do kancelarii, a ja wróciłem do namiotu i zastanawiam się na nowo, co mi wypada robić. Rodzinę kocham z całej duszy i Ojczyznę tak samo. To samo przyszło mi na myśl, co w roku 1940 przed wstąpieniem do Polskiej Organizacji Podziemnej, że wprzód byłem Polakiem niż mężem i ojcem. Trzeba ratować Ojczyznę, a Bogu polecam rodzinę swoją w opiekę, będzie ona na pewno skuteczniejsza od mojej.

Ja raz się poświęciłem i przysięgałem, że łamać przysięgi nie wolno, za to mógłby mnie Pan Bóg ukarać, a Ojczyzna nie darować. Zresztą czuję się jeszcze na dobre niezdrów. Gdybym pojechał do rodziny, to byłbym jej ciężarem, a nie pomocą, to jest raz. A po drugie, jaką mogłem mieć pewność, że ja będę z rodziną? Może pobylbym jakiś czas, a później znowu by mnie aresztowali i tylko nowe zmartwienie byłoby dla rodziny. Bo w Rosji o to

nie trudno, kto powie jedno słowo, nawet może zmyślane oszczerstwo, to zaraz go aresztuje NKWD i nie ma żadnego tłumaczenia. Najprzód więzień, a potem sąd i łagry. A jeszcze ja, co mnie już sędzili na osiem lat za należenie do podpólnej organizacji, to więcej nic nie trzeba.

Postanowiłem pozostać w wojsku. Napisałem tego dnia list do rodziny, ażeby dać znać, że żyję, bo, jak mówił Chojnowski, że moja rodzina już miała małą nadzieję, że ja żyję. Adres dokładny dał mi Chojnowski Jan. Oni mieszkali razem w jednym domu. Za parę dni wyrobiłem w RCU zaświadczenie, że jestem w wojsku, żeby tym zaświadczeniem moja rodzina mogła udowodnić na placówce u przedstawiciela, żeby ją zaliczyć jako rodzinę wojskową i wypłacać im zasiłek, jaki należał się żonie - 150 rubli, a na dzieci do lat czternastu po 50 rubli miesięcznie. Czy oni to zaświadczenie dostali, tego nie wiem, bo żadnej wiadomości od nich nie otrzymałem.

Naszą piątą kompanię umundurowali w nowe zielone mundury, podzielili ją na cztery grupy i odesłali do innych kompanii. Nasza grupa była odkomenderowana do kompanii wartowniczej.

Tu spotkałem dwóch znajomych - dowódcę kompanii pana kapitana Tubielewicza, z którym siedziałem w więzieniu w Mińsku, obok siebie spaliłem w jednej celi parę miesięcy i szefa kompanii sierżanta Koniecznego Piotra, z którym byłem razem w archangielskich łagrach, w jednym baraku aż do zwolnienia po amnestii.

Powitaliśmy się bardzo serdecznie i dali mi funkcję prowiantowego kompanii. Po trzech dniach mówię do szefa Koniecznego, żeby mi dali przepustkę, aby jechać po swoje rzeczy do Czerakczy, to bym tam je sprzedał, to by było na gaz i na wino. Szef mówi: „Dobrze, dostaniesz, kiedy chcesz jechać? Jutro?” Szef zaraz zameldował to kapitanowi, on zaraz powiedział w kancelarii, żeby wypisali przepustkę, a szefowi powiedział: „Niech on tu przyjdzie, ja podpiszę i niech sobie jedzie”.

27 lipca poszedłem do kancelarii i przepustkę miałem napisaną, ale niepodpisaną przez pana kapitana. Ja mówię: „Proszę mi dać, ja pójdę do namiotu i pan kapitan mi podpisze”. Dali mi i poszedłem do namiotu pana kapitana. Tylko odchyliłem namiot. Kapitan zobaczył mnie i mówi: „Co, Pieńkowski, chcesz jechać?” „Tak, panie kapitanie, proszę o podpis przepustki” i podałem. Podpisał i mówi: „Z tą przepustką musisz iść do kancelarii pułkowej, tam ci podpisze dowódca pułku albo adiutant pułku i wtedy możesz jechać”.

Przepustkę już mam w ręku, wróciłem się do namiotu swojego, wziąłem chlebak i tornister, żeby mieć gdzie te rzeczy włożyć. W kancelarii pułkowej podpisał mi przepustkę adiutant i poszedłem na stację kolejową, do której było pięć kilometrów, ale na przełaj przez pola było dużo bliżej.



Na stacji był posterunek naszej żandarmerii. Tam zameldowałem, że jadę do Czerakczy po swoje rzeczy. O godzinie dziesiątej pociąg przyjechał, wsiadłem do niego i zajechałem do Jakobagu. Stamtąd dwanaście kilometrów miałem iść piechotą. Uszedłem może trzy kilometry, nadjechali Kazachy i z nimi podjechałem niedaleko Czerakczy, o godzinie czwartej już byłem na miejscu. Miałem z sobą list, który mi dał Fruziński do swojej żony, z nim razem wstąpiłem do wojska i byliśmy w tej samej kompanii.

Ona z dziećmi została w Czerakczy, pracowała w Opiece jako szwaczka. Dopytałem się, w którym on namiocie mieszka, pokazali mi ten namiot. Poszedłem. Jej nie ma, jej stara matka mówi, że ona jest w szwalni, tam pracuje ze swoją siostrą. Poszedłem do tej szwalni. One obie szyły koszulki i ubranka dla dzieci, które były w ochronce. W tej szwalni było tych szwaczek aż osiem. Powiedziałem „Dzień dobry paniom”, odpowiedziały „Dzień dobry”. Mówię, że ja do pani Fruzińskiej, list od męża przywiozłem. Ona zaraz się podniosła, a za nią jej siostra poicjantowa, z którą razem była w kołchozie Kazałtu.

Przywitałem się z nimi, policjantowa wcale mnie nie poznała i mówi: „Ale się pan zmienił!” Chodziłem w szmacianych buškach i w podartym buszłaku, a dziś koszulka, mundurek i spodnie, chociaż drelichowe, ale całe i nowe buty, też nowe kamasze aż się błyszczą, czapka trochę na bakier.

Mówię: „Wszystko się zmieniło. Chodziłem w łachmanach podartych jak oferma, a dziś jestem żołnierzem, to chyba jest różnica”. „O tak!” - powiedziała. Pani Trzcińska mówi: „Za pół godziny kończymy robotę, niech pan zaczeka w naszym namiocie, to porozmawiamy”. Ja mówię, że teraz pójdę do państwa Jacynów, a wieczorem przyjdę do pań. „Dobrze, niech pan przyjdzie, będziemy czekać z kolacją”. Jeszcze się zapytałem, czy państwo Jacyny mieszkają w tym samym miejscu, co mieszkali. „Tak, w tym samym”. „To do widzenia”.

Ze szwalni idę prosto do namiotu Jacynów. Zastałem obydwie. Te mnie poznały od razu. „Dobrze, że pan przyjechał, bo nie wiedziałyśmy, co z pańskimi rzeczami robić”. Ja mówię: „Czwartego dnia, gdy wstąpiłem do wojska, pisałem list do pań. Czy go otrzymałyście?” „Nie, żadnego listu od pana nie otrzymaliśmy”. Mówię: „To dziwne, trzy godziny jazdy koleją i dwie godziny pieszo, razem pięć godzin, a list za cztery dni jeszcze nie doszedł?” Funkcjonowanie poczty w Sowietach to chyba na całym świecie drugiej takiej nie ma. Kolejnictwu nie można zarzucić, funkcjonuje nieźle. A te głoszone w gazetach *wyrabotki* stachanowskie dwieście i trzysta procent to jest kłamstwo, to tylko oszukiwanie samych siebie. Bo tam tego nikt nie wyrabia. A jak nieraz wyrobią do dwustu procent, to ta robota

u nas absolutnie by była prawie nic niewarta, tylko zepsucie materiału. Ale nie gra roli, ilość, a nie jakość.

U Jacynów mieszkała pani, co z nimi razem przyjechała, ale zachorowała i leży w szpitalu. Córka jej poszła do ochotniczek, a syn poszedł do junaków, tylko po nich rzeczy pozostały. Potem ta pani, co jechała na ryzyko i mówiła, że nie ma nic do stracenia, to u nich dwa dni mieszkała, ale już sobie wytrzasnęła jakiegoś plutonowego, który pracuje w magazynie żywnościowym i wyprowadziła się do prywatnego mieszkania.

Ja zapytałem się, gdzie służy Stanisław. Był niedaleko, poszedłem do niego odwiedzić go. Przywitalim się, on zaraz zwolnił się i poszlim do namiotu, ugadaliśmy się do woli i u nich kolację razem zjadłem. On poszedł do swego namiotu, a ja do Fruzińskich. One też już miały kolację i tylko na mnie czekały.

Byłem niegłodny, ale trochę zjadłem, winogronami zakąsałem, pogadaliśmy sobie o naszym dawnym kołchozie. Ja opowiedziałem o swojej rodzinie, że też jest w Rosji, tylko bardzo daleko, w Kazachstanie, a my jesteśmy w Uzbekistanie, osiemset kilometrów stąd.

Pytam się pani Fruzińskiej, czy napisała list do męża. Ona mówi, że nie, ale jutro napisze, to ja mu doręcę. Mówię: „Dobrze, niedaleko od siebie mieszkamy, to oddam mu pieniądze, bo mnie one niepotrzebne”. Pytam się, czy tu ktoś z naszych ludzi kupiłby mąkę. Ona mówi, że w bocznym namiocie może by tam która kupiła, bo ich tam dużo mieszka. Poszedłem do tego drugiego namiotu. Mieszkały trzy rodziny razem. Pytam się, czy może kto chce kupić mąkę ode mnie. Ja bym tak sprzedał, jak płacą na rynku, mnie w wojskowym ubraniu nie pasuje iść na rynek i sprzedawać mąkę. Z tego namiotu syn z jednej rodziny poszedł ze mną do wojska tego samego dnia. Ojciec tego syna mówi, że u nas mąki nikt nie kupi, chyba może ta pani, co tu z nimi mieszka.

„Ale ja panu sprzedam tę mąkę na rynku. Cena jest dwadzieścia rubli za kilogram”. Ja mówię: „Niechby trochę taniej, aby sprzedać”. On mówi: „Ja na panu zarobić nie chcę, po ile sprzedam, to po tyle oddam panu”. Umówiliśmy się, że jutro rano przyniosę. Mówi, że dobrze. „Teraz pójdę do państwa Jacynów – mówię - i u nich przenocuję”.

Na drugi dzień rano przyniosłem tę mąkę, była ładna, pszenna. Sobie on odważył pięć kilo i z resztą poszedł na rynek. Za jakieś pół godziny już wrócił i wypłacił mi 290 rubli. „Tyle utargowałem i tyle panu oddaję”. Chciał jeszcze sprzedać płaszcz i koc, ale mało mi dawał i nie sprzedałem, tylko podziękowałem za sprzedaż mąki, a płaszcz i koc zapakowałem do tornistra.

Rano przyszedł Stanisław Jacyna. Chciałem kupić wina, ale on powiedział, że nie pije ani wódki, ani wina. Na śniadanie jedliśmy racuszki z herbatą. Po śniadaniu

podziękowałem Stanisławowi za pomoc w wydostaniu się z kołchozu, a matce i córce za opiekowanie się moimi rzeczami.

Idę do p. Fruzińskiej po list i pieniądze, wyliczyłem 2.500 rubli. Ona powiada: „Mnie te pieniądze nie są potrzebne, bo ja tu sobie zarobię na życie w szwalni. Może mężowi potrzeba co kupić, to niech sobie kupi. Miała jeszcze lejca surowcowego na paski. Chciały mnie poczęstować obiadem, ale autobus wojskowy zajechał na przystanek, pożegnałem się i wyszedłem, aby zdążyć wsiąść.

Przy autobusie stał nasz porucznik i on jednych wpuszczał do autobusu, drugich nie wpuszczał, bo było już ciasno. Ja zameldowałem się, że jechać muszę z przepustki do Guzar. Kazał wsiadać, wszedłem i jeszcze usiadłem. Wpuścił jeszcze kilku, ale tylko tych, co jechali w sprawach służbowych.

Dojechalim do Jakobugu, autobus się zatrzymał, kto miał tu wsiąść, to wysiadł. W Jakobugu na stacji zameldowałem się na posterunku żandarmerii, że wracam z przepustki do swego oddziału. Drugi pociąg do Guzar miałem dopiero za sześć godzin. Poszedłem do miasta, idę ulicą, na domu wisi szyld, na nim napis "*Kipiatok*". Zaszedłem i poprosiłem o *kipiatok*. Uzbek tam stał za ladą, podał mi, wypilem, zapłaciłem i siedzę. Ten Uzbek umiał słabo mówić po rusku. Przyszedł do mnie, bo miał czas, tylko jeszcze przy dwóch stolikach siedzieli ludzie, ale tylko rozmawiali.

Zaczęliśmy rozmawiać obaj. Pyta się, gdzie ja jadę. Powiedziałem, że do Guzar, tam jest mój oddział. Potem mówię: „Kup u mnie płaszcz i koc”. Wyjąłem i pokazuję, on obejrzał i powiada, że dobrze, tylko żeby trochę poczekać. Czym prędzej wyskoczył i za jakieś pięć minut wrócił, a z nim jeszcze przyszło dwóch. Obejrzeni, jeden z nich przymierzył go, dobry był na niego. Pyta się, ile ja za niego chcę. Mówię, że pięćset rubli. Pokręcił głową, że za dużo. Mówię: „Daj czterysta pięćdziesiąt rubli”. Oni pomiędzy sobą poświergotali i zapłacił mi czterysta pięćdziesiąt rubli. Ja zaraz dałem pieniądze temu właścicielowi tej czajni, żeby mi kupił dwie butelki dobrego wina, dałem mu sto pięćdziesiąt rubli. Przyniósł, jedną odłożyłem, pół szklanki wypilem, resztę zakorkowałem, wsadziłem do plecaka i pytam się ich, gdzie tutaj jest bazar, żeby można kupić winogron i pomidorów. Powiedział, że niedaleko, tam można kupić wszystko.

Poszedłem w kierunku, jaki pokazał i kupiłem dwie torby po kilo winogron, były bardzo ładne, jedną torbę dla siebie, drugą dla kapitana. I tańsze o połowę niż w Guzarz. I kupiłem kilo pomidorów na zakąskę, bo trzeba będzie wino wypić z szefem Koniecznym. Byłem tego dnia bogaty w Rosji, jak nigdy, teraz będę się odżywiać pomidorami, cebulą, arbużami i pomarańczami - wszystko to witaminy, dwa lata tego nie jadłem. Prawda, że

w lasach archangielskich jadłem dziką, zieloną różę, a w kołchozie dziki, mały jak leszczynowe orzechy czosnek i to ze cmentarza, to tylko te dwa owoce jadłem. Za to teraz sobie pozwolę, bo mam pieniądze i jestem bogaty.

Gdy przyszedłem na stację, spotkałem tam żołnierza, który jechał z przepustki od żony, też do Guzar. Wyjąłem tę butelkę wina napoczętą i wypilim resztę do dna. Przyjechalim na stację w Guzar, ale teraz trzeba dalej piechotą iść do kompanii. Ale tak na przełaj, to dużo bliżej. On poszedł prosto, a ja trochę w lewo, odwitaliśmy się. On poszedł do swojej jednostki, a ja do swojej. Ciemno już było, gdy przyszedłem do swojej kompanii. Zaraz poszedłem się zameldować do szefa kompanii sierżanta Koniecznego. Poszedłem z tą drugą butelką wina i z pomidorami na zakąskę.

Po zameldowaniu się wyjmuję butelkę wina i pomidory na zagrychę i zaczynamy pić. Ale ja wypilem tylko pół szklaneczki, bo jeszcze mi tamto, co wypilem, w głowie szumiało. Szef też tylko dwa razy po trochu gołnął i ja resztę wina zabrałem, bo trzeba było i z Chojnowskim wypić po kielichu.

Na drugi dzień poszedłem do Chojnowskiego. Wypilim resztę i mówię mu, jak dobrze trafiłem do tej piątej kompanii wartowniczej. Dowódca jest znajomy, razem siedzielim w więzieniu w Mińsku, szef kompanii też znajomy, byliśmy razem w archangielskich lasach w sowchozie Kazału.

Już jeździłem na przepustkę po swoje rzeczy i jak dłużej tu pobędziemy, to na pewno dostanę jakieś dziesięć dni urlopu i pojedę po swoją rodzinę, aby ją wyrwać z kołchozu i ściągnąć tu do Opieki przy pułku. Umówiliśmy się, że jak ja bym pojechał, to zabiorę i jego żonę i córkę.

Może by i przyszło do tego, ale w końcu lipca zarządzono ostre pogotowie i zaraz wieczorem maszerowaliśmy na stację kolejową w Guzarze. Kilka dni przed wyjazdem z Guzaru zachorowałem na malarię, nic jeść nie mogłem, tylko wodę piłem, może dziesięć litrów na dzień. Zdążyłem pół litra wypić, to już za dziesięć minut język był suchy i nie można było nim ruszyć, taki był suchy prawie cały dzień, wprost nie do wytrzymania.

W słońcu w południe temperatura była 70 stopni, po południu temperatura była 60 stopni. Malaria to taka choroba z gorączką, że trudno wytrzymać. Cały jesteś spocony, nakryty kocami, a trzęsiesz się, aż cię na łóżku rzuca. Potem się trochę uspokoi, a potem znowu rzuca i tak cały dzień i całą noc. Do stacji kolejowej w Guzar ledwie doszedł. Wszystkim żołnierzom wydali suchy prowiant - mięso, konserwy w puszkach jarzynowe, z mięsem, śledzie, suchary, chleb, kawę, herbatę i cukier. Był to suchy prowiant na kilka dni.

Nocowaliśmy przed stacją na ziemi, przydał mi się ten koc, com go nie sprzedał i na nim leżałem. Rano przyszedł bardzo długi pociąg. Po raz ostatni Uzbegy chodzili i krzyczeli: „Dobra pomidory! Dobra arbuz! i z żalem spoglądali na odjeżdżające wojsko polskie.

Pierwsze wagony były dla żołnierzy. Od tyłu siadali cywile, całe rodziny, które były blisko wojska i dzieci z ochronek wojsko zabierało. Co nadjechalim na większą stację, to już czekali cywile, aby razem jechać i wydostać się z bolszewickiego raję, którego się nigdy nie zapomni.

Jechaliśmy trzy dni do portu Krasnowodzk przy Morzy Kaspijskim. Miasto jest ładne i wino dobre, piła wiara, ile się dało za resztę rubli. Ogłosili nam, że przy wsiadaniu na okręt będą rewidować, żeby nikt nie miał pieniędzy ani żadnych zapisek, notatek, bo takich będzie NKWD zatrzymywało i aresztowało. Mówili nam: „Oddajcie pieniądze. Te pieniądze zabrane od was będą oddane do naszej ambasady w Kujbyszewie i tam je oddadzą naszym rodzinom, które zostają w Rosji”. Więc oddawaliśmy, ja oddałem wszystkie pieniądze.

Zbierał je młody mężczyzna, miał lat dwadzieścia pięć, z opaską na rękę i skautką i jakaś panna czy młoda mężatka, też z opaską na rękę. Ja oddając przeszło trzysta rubli mówię im, że moja rodzina jest w Rosji, proszę zapisać adres i przesłać mojej rodzinie. Mężczyzna mówi, że dobrze, zapisze ten adres, ale moja rodzina nic nie otrzymała.

Od cywilnej ludności zabierali wszystko przymusowo - pierzyny, poduszki, kożuchy, futra, palta i inne ubranie, prócz tego, co mieli na sobie, i to wszystko spalili przed Morzem Kaspijskim, żeby nie zawieźć jakiejś zarazy z Rosji do Persji, do której miałem płynąć okrętem.

W początku sierpnia wsiedliśmy na okręty. Było ich pięć czy sześć, przewoziły żołnierzy i cywilów. Ale do lądu te duże okręty nie mogły dopłynąć, bo morze było płytkie, a na okręcie było trzy tysiące ludzi. Okręt był mocno zagłębiony, więc z dużych okrętów przesiadaliśmy się na mniejsze statki, które nas dowoziły do lądu, do portu Pahlawi w Iranie.

Całą drogę stałem na boku i trzymałem się burty, żeby się nie przewrócić. A najgorzej, że jak tylko wszedłem na okręt, złapał mnie atak malarii, zaczęło mnie trząść i dwie godziny trzęsło. Bałem się, żeby mnie nie wysadzili i nie zostawili w Rosji, byłby to już koniec ze mną, ale tak się nie stało.

W nieszczęściu miałem i dużo szczęścia i tylko wodę piłem i kilka sucharków zjadłem. W Pahlawi zabrali mnie z kompanii i skierowali do obozu malaryków, których tam było przeszło tysiąc, a cywilów drugie tyle. Mieściliśmy się w dużych namiotach płóciennych, a temperatura w dzień była przeszło 50 stopni. Przyszli doktorzy polscy,

angielscy i perscy, badali i leczyli chininą i innymi lekarstwami. Po kilku dniach znalazłem apetyt do jedzenia, a było tam co jeść. Na śniadanie kakao bardzo słodkie i do niego bułka z masłem, na obiad zupa pomidorowa gotowana na delikatnym mięsie z jakichś kurczaków czy innych ptaków i z ryżem, była bardzo smaczna, a mięsa więcej niż zupy. Dawali nam na przemian chleb, zawsze biały, margarynę, jaja, daktyle, marmoladę, ser, kakao, a nawet niektórym i koniak.

Obok niedaleko od naszych namiotów przychodzili Arabowie i nosili na sprzedanie jajka gotowane i surowe, ryby na poczekaniu smażone, kiełbasę, ciastka różne, winogrona, daktyle i pomarańcze, arbuzy i ogórki, co kto chciał i nie bardzo drogo.

Pierwszy żołąd wypłacili nam tumanami, bo takie pieniądze były tam w obiegu. Ale nas ostrzegali, żeby dużo nie jeść, bo prawie każdy miał żołądek skurczony, dużo było z tego powodu wypadków śmiertelnych.

Przeważnie umierały dzieci zabrane z ochronek. Były tak zamorzone, że tylko skóra i kości. Fotografowali je Anglicy, Amerykanie, Persowie i Polacy również. Zmarło ich dwie trzecie, żołądki im popękały, jak dużo się najadły.

Po dwóch tygodniach kuracji skierowany zostałem z powrotem do 21 pułku zapasowego, bo nasza piąta kompania była poprzydzielana do innych oddziałów. Ja byłem już zdrow zupełnie. Po paru tygodniach pobytu w Iranie wyjechaliśmy perskimi autobusami i samochodami ciężarowymi przez całą Persję, przez wysokie góry, po ostrych zakrętach, aż strach było patrzeć z góry w dół.

Na dole widziało się samochody, wyglądały jak pudełka zapalek. Naszym kierowcom nie pozwolili jechać samochodem w dół, bo przez takie góry nigdy nie jeździli i to po ostrych zakrętach, a góry miały podobno trzy tysiące metrów. Jechaliśmy cztery dni.

Po przyjeździe do Iraku zaczęliśmy chodzić na ćwiczenia bojowe, prawie cały rok, od godziny siódmej rano do dziesiątej, potem była przerwa aż do godziny szesnastej i potem ćwiczyliśmy do godziny siódmej po południu. Beczkowozy zawsze przywoziły na plac ćwiczeń wodę chlorowaną, żeby żołnierze od zwykłej wody z rzeki prawie ciepłej nie pochorowali się, bo temperatura była bardzo wysoka w południe, nawet przeszło 70 stopni. Nieraz chodziliśmy do innej roboty, na zmianę.

Razu jednego byłem wyznaczony na robotę do kuchni, kartofle obierać. Idę, a tam siedział z książką pod pachą, pod ścianą w chłodzie Sokalski Józef i krzyknął głośno: „Pieńkowski, to i wy tutaj?!” Mówię: „Tak, we własnej osobie”. Ucałowaliśmy się, pogadali trochę, resztę zostawiając na później, bo ja nie miałem czasu i Sokalski także. Potem

po dawnemu ja u niego zakrapiałem robaka, a on u mnie. Opowiadaliśmy sobie, co kto przeszedł i kogo widział ze znajomych.

Dwudziestego piątego września 1942 roku zostałem odkomenderowany do szpitala wojennego nr 2, był on w Kanaksinie. Tam przy spisywaniu ewidencji kapitan mnie się pyta: „Jaki zawód macie z cywila?” Odpowiedziałem: „Kupiec, miałem swój własny sklep”. „Z jakim towarami?” Mówię: „Spożywczo-kolonialny, sprzedaż wódki i piwa i drobnej galanterii”. Kapitan powiada: „Takiego nam potrzeba. Idźcie do sklepu, tam jest kapral, to się u niego zameldujcie i będziecie handlowali”.

On nazywał się Alojzy Raksimowicz, jeździł i kupował towary, a ja sprzedawałem, ale przeważnie pomarańcze i cytryny, i trochę galanterii. Po dwóch miesiącach on zachorował i poszedł do innego szpitala się leczyć, a ja zostałem kierownikiem sklepu i zacząłem go zaopatrywać po swojemu. Miałem do dyspozycji szpitalną ciężarówkę i jeździłem do miasta po zakup towaru. Anglicy byli na posterunkach i pilnowali, żeby nikt z Polaków nie wyszedł ani wyjechał bez przepustki, na każdej drodze.

Ja za przepustką mogłem wyjechać samochodem po towar, przeważnie pomarańcze, cytryny u kupca, który miał koncesję od Anglików, ale on nie zawsze miał takie towary, jakie ja chciałem. Więc kupowałem u prywatnych kupców nie tylko pomarańcze i cytryny, ale i galanterię, perfumerię - różne kremy, olejki do włosów i inne drobne chusteczki. Dla chorych potrzebne było masło, kupowałem je skrzynkami. Z boku miasta była fabryka pod ziemią, szło się do niej ze dwieście metrów. Agent czy może wspólnik tej fabryki zawsze był przed wejściem. Jak ja przyjechałem samochodem, to zanim wszedłem, do tej fabryki, to za nami szło sześciu, a czasami ośmiu tragarzy Arabów, żeby wynieść to masło. Ja idę jeden, a ich idzie siedmiu Arabów, a pieniędzy zawsze mam przeszło tysiąc dinarów. Dinar miał wartość tyle co funt angielski, a funt angielski w przeliczeniu miał wartość czterech dolarów, więc ja nosiłem w górnej kieszeni munduru najmniej cztery tysiące dolarów. Nieraz idę i myślę, żeby oni mnie tu nie zabili, świadków by nie było, jeden tylko kierowca, który siedział w samochodzie i nie widziałby, że nie wyszedłem. Kieszonka moja aż znać było, że jest pełna dinarów.

Gdy ja zapłaciłem za masło, to oni jak wilki każdy za swoją skrzynię i niosą do samochodu. Jak im dam dinara, to znaczy cztery dolary, to nim się później dzielili, a świergotali jak Żydzi, uradowani byli, bo za robotę w ciągu pół godziny tyle forsy.

Tam Anglicy to im za cały dzień pracy grosze płacili. Na noszach przeważnie smołę leli, równali szaber, potem tylko wał ugniatał. Oni w czasie pracy mieli pół godziny czasu, aby obiad zjeść i dalej pracowali. Im dłużej przerwy Anglicy nie dali. Anglicy to tylko

przyjeżdżali na wieczór obejrzeć, a cały dzień przy robocie byli Hindusi, ze szpicrutą w rękę krzyczeli i gnali Arabów bez przerwy do roboty.

Przydzielili mi do pomocy dwie sklepowe - jedna to panna, a druga wdowa i ja jako kierownik prowadzący sklep. Razu jednego, gdy jechalim do miasta po towar, zatrzymał nas Arab, z daleka machał rękami. Ustalim, a on trzyma dwadzieścia dolarów papierosowych i na migi pokazuje, żeby od niego kupić. Nie możemy się dowiedzieć ceny, ile on chce. On na kartce napisał jeden dinar - trzy dolary. Na migi pokazuję mu, że nie mam pieniędzy, to on daje te dolary i po angielsku, co znaczy, że jutro mu zapłacę. Myślę sobie, co tam jutro. Wyjąłem siedem dinarów i wziąłem te dwadzieścia dolarów i on mi dodał jeszcze dolara.

Kupiłem pomarańcze, cytryny i potem pojechałem po masło, a na ostatku kupiłem różną galanterię. Przyjechałem, żołnierzy chorych ze szpitala czekało już pięćdziesięciu. We troje sprzedawalim, to załatwilim na poczekaniu wszystkich. Przyszło potem znowu kilku i mówię: „Może który chce kupić dwadzieścia dolarów?” Zaraz jeden się pyta, po ile. Mówię, że siedem i pół dinara. Wyjął pieniądze i zapłacił. Drugi się pyta: „A ma kapral jeszcze? To ja bym też kupił”. Mówię: „Dziś nie, ale jutro przywiozę”. „To niech kapral przywiezie”. Trzeci też - dla mnie tylko dziesięć dolarów - dobrze.

Na drugi dzień pojechali. Arab już przed miastem czekał, kupiłem dwa razy po dwadzieścia i dwa po dziesięć dolarów, razem sześćdziesiąt za dwadzieścia dinarów. Kupiłem znowu to, co mi było potrzebne i przyjechalim. Ci, co zamówili, już czekali, zapłacili i poszli. Na spacerze pokazywali te dolary drugim, to tamci się pytają, gdzie oni kupili. Ci mówią, że u tego kaprała, co sklep prowadzi. I znowu amatorzy się znaleźli i te drugie czterdzieści kupili. Ja już nie chciałem się tym trudnić, ale już jak który prosił i nalegał, to mu przywoziłem.

Ale poszła wieść po szpitalu i dowiedział się o tym major, komendant szpitala. Przychodzi do sklepu i od razu mówi: „Ty handlujesz dolarami!” Ja mówię, że ja nie handluję, ale jak mnie któryś prosi, to mu kupię. „A ty wiesz, co by ci za to było, gdyby żandarmeria angielska cię przyłapała?” Ja mówię: „Panie majorze, albo ja głupi przy Anglikach kupować?”

Major mówi: „Pamiętaj, że jak cię złapią i tu przyjdzie do mnie takie pismo, to ja cię ukarzę i to mocno”. A ja mówię: „Panie majorze, ja o to się nie boję, bo ja się złapać nie dam”. I jeszcze mówię, że na każdej ulicy pilnują, żeby czasami bez przepustki jakiś żołnierz do miasta ani pieszo, ani samochodem nie przyjechał. „No dobrze, a jak jedziesz po zakupy, to cię nie zatrzymują?” „Panie majorze, bo ja przed miastem wysiadam z kabiny i leżę na samochód i kładę się. A kierowca mi mówi, z której strony stoi żandarm, to ja się przekuluję



do tego boku i on mnie nie zobaczy, bo mnie kryje ściana. I tak zawsze jeżdżę. Mówię, że mnie i towaru u prywatnych kupców nie wolno kupować, a ja kupuję, bo chorym jest potrzebny.

Major: „No to pamiętaj, żeby cię nie złapali, bo ci jeszcze raz mówię, że jak przyjdzie raport, to cię ukarzę”. „Ja się nie boję o to”. I major pyta: „Czy ty możesz kupić i grubsze dolary?” „Mogę”. „A złoty funt angielski też możesz kupić?” Mówię: „Mogę, ale złoty funt kosztuje pięć dinarów”. „No to kup mi jednego funta złotego i pięćdziesiąt dolarów, to ja ci zapłacę. Ale pamiętaj, żebyś się nie dał złapać!” Mówię: „Panie majorze, ja pijany nie jeżdżę po towar i złapać się nie dam”.

Major poszedł, a ja poszedłem po samochód. Zabralim kosze na pomarańcze i cytryny i pojechalim jak zwykle do miasta po zakupy. Przed miastem już czekał Arab z dolarami. Napisałem jeden blankiet pięćdziesiąt dolarów, pięć po dwadzieścia dolarów i dziesięć po dziesięć dolarów oraz jednego złotego angielskiego funta. On dolary mi wyliczył, za dwieście pięćdziesiąt dolarów zapłaciłem mu osiemdziesiąt trzy dinary, a funta złotego nie miał, powiedział, że *tumoro*, co znaczy jutro.

Wjechalim do miasta, ja kupiłem tylko pięćset pomarańczy i dwieście cytryn, bo jeszcze wczorajszych nie sprzedalim. Galanterii też nie kupiłem, bo to nie tak prędko rozkupują. Po zdjęciu tych fruktów poszedłem szukać majora. Znalazłem, dałem mu pięćdziesiąt dolarów, a on mi dał siedemnaście dinarów. Resztę się policzmy, jak mu przywiozę funta. Trzeciego dnia przywiozłem jeden złoty funt. Dał mi pięć dinarów i sto filarów.

Podczas pobytu w sklepie dużo do mnie przychodziło znajomych - Kędziorek Stefan, Głowacki Piotr, Jarosiński Józef, wszyscy z Drozdowa.

Pierwszego marca 1943 r. zostałem powołany jako piekarz do piekarni polowej nr 101. Ja, gdy w Rosji wstępowałem do wojska, a będąc w Rosji zawsze głodny, przy spisywaniu pierwszej ewidencji podałem zawód piekarz. Myślałem, że jak będę w piekarni, to głodny nie będę. I teraz zabrakło piekarzy i mnie ze spisanej pierwszej ewidencji odnaleźli i rozkazem dowódcy 2 korpusu przysłali pismo, żeby odesłać mnie do piekarni nr 101.

Komendant szpitala nr 2 robił starania, żebym ja pozostał w sklepie, gdzie byłem jeszcze do połowy marca. Ale szesnastego marca przyszło ponaglenie i zdałem sklep. Major mówił: „Po co ty się podałeś piekarzem? Skąd ja wezmę takiego drugiego jak ty?”

Siedemnastego marca odjechałem do piekarni nr 101. Tu spotkałem się z Piotrem Osieckim, on w tej piekarni pracował już, jak tylko przyjechalim do Iraku. Jak on był kawalerem, to mnie piekł chleb i bułki, pieczywo było bardzo dobre. I tu spotkalim się i

cieszyłem się, że znowu mam choć jednego dobrego znajomego. On również był bardzo zadowolony, bo w piekarni, chociaż pracowało kilkudziesięciu żołnierzy Polaków, znajomego nie miał.

Piekarnia była pod wielkimi namiotami, czynna była bez przerwy na dwie zmiany, jedna zmiana to polscy żołnierze, a na drugą zmianę byli Hindusi, i tak stale.

Mnie Piotr Osiecki dał do podawania ciasta w bankach, a potem do odbierania chleba. Na wózku odwoziło się go i układało na półki z desek. Piekarnia była opalana ropą. Na odchodnym ze sklepu major powiedział: „Jak kiedy zachorujesz i trafisz do szpitala nr 2, to będziesz na stanie chorych do końca wojny. Ja już cię ze szpitala nie puszcę”.

Piekarnia stała za miastem, które nazywało się Kizyrabat. Po miesiącu pracy w piekarni znowu zachorowałem na malarię i zostałem skierowany do szpitala wojennego nr 3, który mieścił się w Kizyrabacie. Tam była starszą siostrą w stopniu starszego sierżanta pani Kaliszowa z Łomży, moja znajoma współniczka browaru w Drozdowie. Ją wywieźli, a mąż pozostał w Polsce. Bardzo się ucieszyła ze spotkania ze mną. Przyniosła mi gruby zeszyt do pisania pamiętnika i książeczkę do nabożeństwa i powiada: „To podarunek na pamiątkę naszego spotkania”. Kiedy miała dyżur, przychodziła do mnie i trochę porozmawiałim.

Na drugi dzień przyszedł do mnie Piotr Osiecki, piekarnia nie była daleko. Przychodził do mnie często Sokalski Józef i jeden raz przyszedł do mnie zięć Gąsiorowskich, Pokropowicz z Krzewa. Przy niedużym szpitalnym kościele byłem u spowiedzi i przystępowałem do komunii świętej. Już po dwóch tygodniach wróciłem zdrów do piekarni.

Na spacerze zobaczyłem Wacka Godlewskiego, mojego siostrzanka z Rakowa. Sowieci wzięli go do wojska w Rosji, on od nich uciekł i wstąpił do wojska polskiego. Po jakimś czasie przyjechała i dołączyła druga piekarnia z Mosulu, z nią przyjechał starszy sierżant z Łomży, z nim siedziałem w więzieniu w jednej celi w Mińsku. Odwiedził mnie również pan major Fiedowicz ze szpitala. Potem został przydzielony Bronowicz Modest, też piekarz, mój dobry znajomy. Miał swoją piekarnię w Jedwabnem.

Zapotrzebowali ośmiu żołnierzy z piekarni do postawienia namiotów dla 36. składnicy materiałów kancelaryjnych 2 korpusu. Poszedł razem z nimi Bronowicz Modest i tam zobaczył podporucznika Marczewskiego z Łomży. On miał księgarnię na ulicy Długiej w Łomży. Ja przed wojną prenumerowałem gazetę „2 grosze” i „Wyzwolenie”. Borowicz jemu powiedział, że ja też jestem w piekarni. Ale w tej składnicy potrzeba było więcej ludzi. Komendantem składnicy był kapitan Stanisław Karasiński. Wysłali zapotrzebowanie na ośmiu ludzi z piekarni do tej składnicy. Pan Marczewski był zastępcą kapitana i on wypisał

mnie i Bronowicza. I od pierwszego czerwca 1943 roku już byłem w tej składnicy materiałów kancelaryjnych 2 korpusu.

W składnicy założyli sklep i ja go prowadziłem do dnia wyjazdu do Palestyny. Trzynastego sierpnia wyjechaliśmy z Iraku. Siedem dni jechaliśmy samochodami przez Bagdad, Habanje i Transjordanę, dziewiętnastego przyjechaliśmy do Palestyny. Zatrzymaliśmy się między miastem Gazą a miastem Berdzirdzia przy ogrodzie pomarańczowym.

Tu znowu zachorowałem na malarię i pojechałem do szpitala wojennego nr 4, niedaleko granicy egipskiej. W nim leżałem aż siedemnaście dni. Już po trzech dniach codziennie chodziłem do kina wieczorem, a w dzień czytałem książkę "Ogniem i mieczem", potem czytałem "Potop". Piątego września już byłem zdrow i wróciłem do składnicy. Szóstego września stanąłem do raportu o urlop, dostałem dziesięć dni urlopu. Po szpitalnych kurach, które miałem na każdy obiad, baranina mi nie smakowała, więc urlop wziąłem do obozu żołnierskiego wypoczynkowego w Baciun, dziesięć kilometrów od Tel Awiwu nad Morzem Śródziemnym. Tam życie dawali dobre i co dzień siedziałem godzinę w morzu. Piątego dnia wyjechałem do Jerozolimy. Jechałem autobusem arabskim, ze sto dwadzieścia milsów jechaliśmy dwie godziny.

Po przyjeździe zameldowałem w Komendzie placu swój przyjazd do Jerozolimy. W samochodzie było nas czterdziestu pięciu żołnierzy z wycieczką. W Jerozolimie zwiedziłem Grób Jezusa Chrystusa. Ołtarzy w tej Bazylice było bardzo dużo, również i z Polski. W samym środku największy, najładniejszy i najbogatszy jest ołtarz prawosławny rosyjski. Światło z nadworza tam nie dochodziło, tylko było elektryczne. Na środku ołtarza był obraz Matki Boskiej z Panem Jezusem. Matka Boska była obwieszona brylantowymi koralami, które przy świetle elektrycznym tak błyszczały, że trzeba było oczy mrużyć. A różnych wot niezliczona ilość była!

U dołu tego ołtarza jest taka płyta, trochę zagłębiona, jak u nas były przed wojną kopańki do wygniatacia ciasta na placki. W tej płycie jest szpara, nierówno idzie wzdłuż tej płyty. To zwiastuje, że jak Żydzi ukrzyżowali Chrystusa, to ziemia się trzęsła i tak popękała. Na to pęknięcie kładło się dla uświęcenia złote pierścienie i medaliki z łańcuszkami.

Ale najprzód, jak się szło z ulicy do bazyliki, to po kilku schodach, potem jest wyłożony płytami równy plac, z boku na nim jest wybudowana jakby wartownia. Przy niej stoi dwóch Turków w czerwonych, wysokich czapkach i w białych, długich płaszczach przepasanych pasami, wyglądały jak piżamy. To na pamiątkę, że straż zaraz po ukrzyżowaniu

Chrystusa pilnowała wejścia do grobu. Jak się szło, to oni wyciągali ręce i jak żołnierze szli do bazyliki, to każdy dał przeważnie pięćdziesiąt fiłsów, oni ukłonem głowy dziękowali.

W środku bazyliki znowu w papierkach sprzedawali szczyptę białego proszku, też miał być uświęcony i to też po pięćdziesiąt fiłsów. Gdy się weszło do bazyliki, naprzeciw wisiał duży żyrandol z trzynastoma wiecznymi lampami elektrycznymi, dwanaście lamp wiecznie się paliło, a trzynasta nie. Ta trzynasta niepaląca się oznaczała trzynastego apostoła Judasza, a te wiecznie palące zwiastowały dwunastu apostołów.

Do grobu Chrystusa Pana szło się w lewo, potem po schodkach do takiej małej sali, gdzie na filarach stał sarkofag, jak trumna z ciałem Chrystusa Pana. Tam w dół nie można było schodzić, napisane było na desce, że jest remont.

Po drugiej stronie od żyrandola na wyższym poziomie leży marmurowa płyta. Na tej płycie trzy niewiasty maściły już z krzyża zdjętego Pana Jezusa. Potem tylko po bokach były ołtarze prawie wszystkich krajów katolickich i innych.

Do zarządu bazyliki należało trzech kapłanów, w tej trójce był Polak, nazywał się Aureliusz Borkowski. Z jego własnoręcznym podpisem kupiłem obraz z ośmioma najważniejszymi miejscami, na przykład Betlejem, rzeką Jordan i innymi. Przewodnikami naszymi i jednocześnie tłumaczami byli przeważnie księża, których tam było dużo z każdego kraju. Każda wycieczka stawiała się na umówionym miejscu, tam już czekał ksiądz i z nim chodziło się do ważnego miejsca czy klasztoru. Do Betlejem to już jeździłem swoim wojskowym samochodem i zawsze ten ksiądz umówiony chodził i jeździł z nami.

Po przyjeździe z wycieczką do Jerozolimy, to najprzód grupami szukaliśmy miejsca, gdzie się zakwaterować. Nas pięciu poszło pod adres, który mi dał Antoni Tarnawski z Jedwabnego, z którym siedziałem w jednej celi w więzieniu w Mińsku. On miał w Jerozolimie wujka, który był łącznikiem przy sztabie, jeździł motocyklem po wszystkich jednostkach wojskowych z rozkazami dowódcy korpusu generała Andersa.

To on już kilka razy jeszcze w Iraku jeździł do tego swojego wujka motocyklem. I jak się dowiedział, że ja jadę do Jerozolimy, przyjechał do mnie motocyklem. Przywitaliśmy się jak zwykle, bo on, jak tylko czas pozwolił, to przyjeżdżał do mnie, żeby choć trochę porozmawiać. Więc pierwsze jego było pytanie: „Olek, czy prawdą jest, że ty jedziesz do Jerozolimy?” Mówię, że prawda. A on się pyta czy sam, czy z wycieczką. Mówię, że jedzie nas pięciu. „O, to jak raz dobrze, bo u mojego wujka jest pięć łóżek, to co masz płacić Żydowi za hotel czy Arabowi. To lepiej idźcie do mojego wujka. Będziecie mieli czystą pościel i każdy swoje łóżko. I u swojego”.

Mówię: „Dobrze, dawaj adres!” i nas pięciu od razu poszło pod ten adres. On nazywał się Jan Dopierała, pięćdziesiąt dwa lata już mieszkał w Jerozolimie. Odnaleźliśmy go, było to przed wieczorem. Wchodzimy, ja pierwszy mówię: „Dzień dobry państwu”, odpowiedzieli „Dzień dobry”. Ja mówię: „Przysłał nas tu Antek”. A na dwóch łózkach siedzi dwóch żołnierzy naszych. Dopierała patrzy się na nas i mówi: „To panów jest pięciu?” „Tak” – mówię. On mówi: „Ja mam pięć łóżek, ale ci dwaj panowie to jeszcze jedną noc będą u mnie nocować. To jak będziecie chcieli, to jedną noc prześpicie się na trzech łózkach po dwóch i już na drugą noc będzie miał każdy swoje łóżko”. Wszyscy znaleźliśmy się dobrze, wszyscy byliśmy zdrowi, więc ja mówię: „Dobrze, tę jedną noc przenocujemy po dwóch”. Dopierała aż się ucieszył na to „dobrze”.

Po zwiedzeniu Bazyliki potem zwiedziliśmy kilka miejsc i drogę krzyżową. Byliśmy przy Ogrójcu, w Ogrodzie Oliwnym i w innych miejscach. Było tam w Jerozolimie osiem ruskich niedużych, ale ładnych cerkwi. Były w nich zakonnice. Ja umiałem po rusku mówić, więc rozmawiałem z nimi. Bardzo chętnie rozmawiały ze mną i były zadowolone, jak tam nasi żołnierze do cerkwi przyszli obejrzyć te ładne ikony.

Była tam na najwyższym miejscu Jerozolimy ruska wieża drewniana wysoka na czterdzieści metrów. Ja wszedłem tylko na dwadzieścia metrów po schodach, to mi się w głowie kręciło i wyżej już nie wszedłem. Widziałem z niej Dolinę Józefata, chcieli go podobnie utopić w tej studni. Drugiego dnia jeździliśmy do Betlejem, tam też bazylika była duża i ładna. W niej, jak się weszło, to na stolikach leżały złote łańcuszki z krzyżykami i zakonnice je sprzedawały żołnierzom.

Potem trzeciego dnia jeździliśmy do Morza Martwego. W nim, choćbyś się chciał utopić, to byś się nie utopił, tylko leżał na wierzchu, woda taka była gęsta i żadnej bełwy na niej nie było. Potem zwiedzaliśmy Ścianę Płaczu. Ściana była układana z dużych kamieni ciosanych, półtora metra długich, a metr grubych, czyli wysokich. W tej ścianie układanej były szpary i tam codziennie przychodzili Żydzi się modlić, po modlitwie płakali i w te szpary w ścianie wsadzali zwijane albo składane papierki, na których pisali do Pana Boga prośby, żeby im się stało, o co oni proszą.

Przy tej Ścianie Płaczu szła ulica asfaltowa szerokości około dziesięciu metrów. Na tej ulicy długości około stu metrów było pełno Żydów klęczących i kiwających się na modlitwach. I słychać było *tate Adonaj*, bo oni uznawali jednego Boga i tylko się do niego modlili.

Teraz tą ulicą przechodzili i Arabowie, i Żydzi. Jerozolima to się dzieli na dwie - Jerozolima stara to jest arabska. Tam są domy przeważnie z kamieni porośniętych mchem i ulice

bardzo brudne. A druga połowa Jerozolimy to jest żydowska, nazywa się nowa. Tam kamienice są trzypiętrowe, i nawet i czteropiętrowe, otynkowane ładnie, każda z balkonami. Przy domach są ładne ogródki z różnymi ładnymi kwiatami ogrodzone żelaznymi płotkami malowanymi olejną farbą. I to tak wszystkie ulice, aż się chciało pospacerować - zapach kwiatów i czystość na ulicy.

Piątego dnia wcześniej zakończyliśmy zwiedzanie miasta, co ważniejsze i ciekawsze, tylko jeszcze jeździliśmy do kaplicy, gdzie ukamienowali świętego Szczepana. Leżały tam jeszcze dokoła tej kaplicy kamienie, a nawet były kamienie w środku kaplicy.

Po przyjeździe trzeba księdza wynagrodzić, pięć dni z nami chodził i jeździł i tłumaczył dokładnie. Pytamy się, ile mamy wynagrodzić księdza za jego pracę. „Pieniądzy od was nie chcę, ale jak macie co do zjedzenia, to dajcie.” Ale wiedzieliśmy już o tym od innych żołnierzy, co oni dawali księżom czy innym cywilnym, którzy też oprowadzali żołnierzy po tych samych świętych miejscach.

Przeważnie angielski *biw* (beef), to mięso w pudełkach blaszanych, bardzo dobre i na zimno, i na gorąco można było jeść. Ksiądz też wiedział, że my to mamy i damy. Prowadził całą naszą grupę, która przyjechała tym samochodem, a było nas czterdziestu dwóch, to jak każdy dał jedno pudełko, to było czterdzieści dwa pudełka. Ksiądz miał taki półworek, to prawie pełen. Uradowany dziękował nam, a my jemu podziękowaliśmy i nasz kierowca samochodem mu odwiózł, bo nie dałby rady zanieść.

Teraz wrócę do Ściany Płaczu. Tą ulicą Arabowie na osłach przewozili fructa do rynku na sprzedaż, bo z tej strony miasta innej drogi nie było. Żydzi tam się modlili też nie całe dni, tylko z godzinę się pomodlił i paperek z prośbą do Boga wsadził w szparę między kamieniami i poszedł. Ale jedni odchodzili, to drudzy przychodzili, i tak cały dzień. To jak Arab prowadził osła, to uważał, gdzie jest luźniej. Ale to była trudna sprawa, więc nieraz osioł nadepnął Żyda. To Żyd krzyknął na cały głos: „Ajwaj, ajwaj!” i wszyscy Żydzi się zrywali z modlitwy i bili tego Araba. I by go mogli zabić, ale że w tym miejscu przy Ścianie Płaczu była żandarmeria angielska, i żydowska, i arabska, ledwie mogli tych bijących Żydów uspokoić. A to by ta bójka trwała cały dzień, bo Arabów też przybywało. I to co dzień to samo. Angielska żandarmeria całe dni tam była, tak samo żydowska i arabska.

Jak się Ściana Płaczu kończyła, to od niej zaczynał się tunel długości może sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu metrów. Za tą wysoką Ścianą Płaczu był meczet arabski, największy na świecie i podobnie najładniejszy. Ja w nim nie byłem, ale inni żołnierze byli, za wstęp do tego meczetu Arabowie brali po dwa dolary. Zaraz przed wejściem wszyscy zdejmowali buty i nakładali miękkie bułki, ażeby nie uszkodzić mozaikowej

posadzki. Opowiadali nasi żołnierze, którzy byli w tym meczecie, że to było istne чудо. Powiadali, że żyrandole to chyba były złote, błyszczały, aż trzeba było oczy mrużyć. Tak samo świeczniki i lichtarze, i półksiężyc, do którego oni się modlą.

W Jerozolimie było tam polskich sióstr dosyć dużo. Duży budynek własny, ale lichy. My, ale nie tylko, wszyscy polscy żołnierze tam się stołowali. Były tam do pomocy polskie kobiety i panny. Zaprowiantowanie mieli z naszego korpusu. Generał Anders z żołdu każdej dekady od wszystkich żołnierzy po pół funta angielskiego odtrącał na nowy budynek dla tych zakonnic. Wybudowały straszny gmach trzypiętrową kamienicę, w której później nasi żołnierze się stołowali i kwaterowali.

Ja jeszcze ostatniego dnia byłem w bazylice u spowiedzi i u komunii świętej. Gdy przyszedłem do swojej kwatery u pana Dopierały, on siedział na ławce przed swoim domem. Usiadłem obok niego i zaczynamy rozmawiać. Ja mówię do niego, że chyba pan jeden w Jerozolimie jest stałym mieszkańcem Polakiem. On mówi: „O nie, nas tu mieszka dużo, około stu stałych mieszkańców Polaków. Między nami jest książę Czartoryski, ma tu własny duży dom, w którym mamy świetlicę. Co niedziela po nabożeństwie wszyscy Polacy idziemy do tej świetlicy. Mamy w niej dużą bibliotekę, różne polskie książki, mamy gazety z Polski i polskie gazety z Ameryki. Jak kto chce, wypożycza książki do domu. Nasz książę jest bardzo dobrym człowiekiem i dobrym Polakiem. Zna kilka języków - angielski, francuski i niemiecki i on prenumeruje te gazety nasze i te inne. Jak co ciekawszego wyczyta z tych gazet innych krajów, to nam opowiada.

On z Polski uciekł jeszcze za cara, za politykę groziło mu wysiedlenie do Rosji. Naprzód przyjechał tu sam, potem przyjechała jego żona. Oboje nauczyli się mówić po arabsku i dobrze im tu i dobrze nam z nimi, każdy się coś ciekawego dowie i nic za to nie płaci.

Każdej niedzieli przychodzi do nas, posiedzi, porozmawia i tak całe lata. Ale jednej niedzieli, gdy my po nabożeństwie przyszlیم do świetlicy, książę wszedł bardzo błady, powiedział „dzień dobry”. Wszyscy odpowiedzieli „dzień dobry”, on usiadł i nic nie mówi, nie tak jak zawsze. Więc niektórzy podchodzą do niego i pytają, czy książę jest chory. On odpowiada, że nie, ale w dalszym ciągu nic nie mówi.

To znowu ktoś podchodzi i pyta, że chyba książę jest chory. I tak się pytało już kilku, więc on widzi, że tak co chwila ktoś będzie podchodził i pytał, więc wstał i mówi: »Ja tu w Palestynie zapoznałem się z takim bogatym Arabem, który mieszka trzydzieści kilometrów od Jerozolimy. Ma wielkie posiadłości i ma czternaście żon. My tak zżyliśmy się ze sobą i jeździmy do siebie na obiady. Jak on przyjedzie dziś na przykład do mnie na obiad, to ja jutro

jadę do niego na obiad i tak już długie lata. On dał mi konia i jeźdźcę do niego konno, żarcie dla konia przywozi mi jego służący, nic mnie to nie kosztuje.

Jak ja tam do niego przyjadę, to zaraz służący zabiera konia, poprowadzi do stajni i da mu żreć, drugi lokaj bierze ode mnie płaszcz i kapelusz, wtedy ja wchodzę, Arab już czeka, witamy się i siadamy na fotele plecione z białych różeg.

Na posadzce siedzi z podwiniętymi nogami jego jedna żona w czarnej woalce na twarzy i tylko się patrzy na męża, co on rozkaże. On tylko kiwnął głową, już ona się zerwała i poszła do innego apartamentu i przynosi dzban starego i dobrego wina. Potem przynosi jakieś mięso i chleb i duży pleciony talerz jak półmisek na pomarańcze, figi, daktyle i inne przysmaki«.

A ona znowu siedzi z podwiniętymi nogami i patrzy się na nich, jak oni jedzą. Gdy już się najedzą i napiją, to zaraz wychodzą, konie już są wyprowadzone, osiodłane, podprowadzają bliżej i oni wsiadają na konie. Zaraz podają dubeltówki Arabowi i Polakowi, wypuszczają z dziesięć psów i jadą na polowanie. Ale po obu bokach po pięciu, którzy klepią w deszczułki i straszą zające czy sarny. Są tam kuropatwy i bażanty, co im podleci, to zabijają i wracają. I znowu wino i zagrycha, potem Polak wraca do domu.

Na drugi dzień Arab przyjeżdża na obiad do Czartoryskich, po przywitaniu siadają do stołu, Polak razem z żoną i Arab. Mniej więcej takie samo jadło, jak i u Araba, tylko ta różnica, że żona polska nie siedzi z podwiniętymi nogami na posadzce, tylko obok męża przy stole i bez czarnej woalki. A do stołu podaje jakaś czysta kobieta ładnie ubrana i bez zasłony na twarzy. Gdy wszyscy podjedzą, to rozmawiają, bo pani Czartoryska też mówić umiała po arabsku. Po rozmowie ustawiają szachy. Arab i żona Polaka, tylko mąż jej pomaga. Jak sprzykrzą się im szachy, to grają w karty, a wina dzban stoi na boku. Polak dolewa jemu i sobie, żona piła trochę, więcej nie chciała i nie piła. Tak zeszło im parę godzin. Tak było co dzień długie lata.

Polak zaczął kombinować, bo Arab miał tych żon czternaście i co dzień jedna i co dzień to była inna, bo tylko jedna zawsze ich obsługiwała. Więc one go znały, a on ich nie znał, bo zawsze były w woalkach, bo taki był ich zakon.

Żony sobie kupowali, ale tylko do czternastu. Rodzice, którzy mieli córki, to potem mieli za nie pieniądze. A gorzej się mieli rodzice, jak im się urodziło kilku synów, bo trzeba było kupić synowi żonę, chociaż jedną. Ale jak pieniędzy nie mieli, to aż sam zarobił i potem sobie kupił. A jak nie zarobił, to został kawalerem do śmierci.

Wracam teraz do księcia Czartoryskiego. Udumał on sobie Araba upić i namówić go, żeby mu pokazał wszystkie swoje żony bez woalki. Była kolejka na niego. We wtorek



pojechał do Araba i jak zwykle podjedli, winem popili, potem polowanie. W środę przyjechał Arab i księżę przyszykował bardzo stare wino z myślą, że jak Araba spoi, to on po pijanemu zgodzi się pokazać swoje żony bez woalki.

Arab przyjechał, księżę był bardzo wesoły i po jedzeniu wino nalewał i sobie też. I tak parę godzin zeszło i znowu wino. Ale Arab był odporny i niepijany, a księżę się upił i dość głośnym głosem mówi: „Jeździmy do siebie tyle. Ty jak przyjedziesz do mnie, to moją żonę zawsze widzisz i rozmawiamy, razem się bawimy, a ja ani nie widziałem ani jednej twojej żony bez woalki. Jeżeli ty chcesz, żebyśmy tak dalej do siebie jeździli, to musisz mi pokazać swoje wszystkie żony bez woalki”.

Arab zbystrzał i powiada: „Nie pokażę!” To księżę mówi: „No to koniec z naszą przyjaźnią. Jutro do ciebie nie przyjadę na obiad”. „Przyjedź!” „Nie, słowo daję, nie przyjadę!” Arab poszedł, sam konia wziął i pojechał. Na drugi dzień Polak nie jedzie do Araba na obiad, drugiego dnia tak samo nie jedzie. Trzeciego dnia Arab przyjeżdża do Polaka i mówi: „Dlaczego ty nie przyjeżdżasz do mnie na obiad? Ja bez ciebie obydwaj dni obiadu nie jadłem, to dziś jedź ze mną”. A Polak: „Ty wiesz, dlaczego ja do ciebie nie przyjechałem. I dziś nie pojedę, jak mi nie przyrzekniesz, że swoje żony mi pokażesz bez woalki na twarzy”. Arab mówi: „Co chcesz, to ci dam, ale tego nie żądaj, bo to u nas taki zakon. A ja zakonu nie chcę łamać, ja go muszę szanować. Nie żądaj ode mnie tego, proszę cię bardzo!” A Polak mówi: „Ja ci mówiłem i powiedziałem słowo honoru, że więcej do ciebie na obiad nie przyjadę”.

Arab powiada: „Bierz konia i pojedziem!” A Polak: „Pokażesz mi swoje żony bez woalki na twarzy?” Arab mówi: „Kiedyś się tak uparłem, to pokażę”. Polak mówi: „No to jedź, ja się przebiorę i zaraz za tobą przyjadę”. Arab z miejsca ruszył galopem i pojechał. Polak ubrał się ładniej niż zawsze, wyprowadził konia i pojechał za Arabem.

Podjeżdża pod ganek, a na ganku stoi aż trzech. Jeden złapał konia, poprowadził, drugi czeka, aż Polak zdejmie płaszcz, zaraz go wziął i kapelusz, a ten trzeci to był ten Arab, złapał Polaka pod pachę. Idą, a Arab do Polaka mówi: „Słuchaj, może nie zechcesz, żeby moje żony wszystkie wyszły i woalkę z twarzy zdjęły”. A Polak mówi: „Właśnie dziś przyjechałem, żeby zobaczyć je bez woalki”.

Obiad był gotowy na stole, jedna żona już siedziała jak zwykle. Obiad jedli, winem popijali i Arab mówi: „Posiedź trochę. Zaraz moje żony wyjdą”. Tej, co siedziała przy stole, też kazał odejść i poszedł za nią. I każe się wszystkim ubrać jak najładniej, bransolety nałożyć i na ręce, i na nogi, no i mówi: »Wychodźcie wszystkie za mną!«, czego nigdy nie było. Wyszli, Polak siedzi, one go znały, bo on co drugi dzień przyjeżdżał na obiad. Arab

zdenerowany każe im ustać w rząd, jedna obok drugiej i mówi im: „Zasłony zdjąć!” Ale ani jedna nie sięgnęła po woalkę. One już przeczuwały, że będzie jakieś nieszczęście, A Polak siedzi i patrzy, co to będzie.

Arab zdenerwowany jak nogą tupnął o posadzkę i krzyknął rozkazującym głosem: „Zasłony zdjąć!”, to Polak widział jak im ręce drżały, gdy sięgały po zasłony. Jak już zasłony zdjęły, Arab podszedł do Polaka i mówi: „No, chodź, obejrzysz moje żony”. Polak wstał, Arab go wziął lewą ręką pod pachę i idą z brzegu. Wszystkie były obrócone twarzą w jedną stronę. Przeszli w jedną stronę do brzegu, szli powoli, Polak chciał się dobrze przyjrzeć. Arab się pyta: „No, która moja żona najlepiej ci się podoba?” Więc Polak pokazuje mu jedną palcem i mówi, że jemu się podoba ta.

Gdy tylko Polak wymówił to, Arab z tyłu w prawej ręce trzymał sztylet i błyskawicznie tym sztyletem zadał cios tej wskazanej swojej żonie. Ona od razu padła na posadzkę, krew chlusnęła z niej i te wszystkie żony jak krzykną! I złapały tę przebitą i ponieśli, skąd wyszły.

Arab krzyknął i zakrwawiony sztylet podniósł do góry nad głową Polaka i mówi: „Patrz, do czegoś mnie doprowadził!” Krew ze sztyletu jeszcze kapała na głowę Polaka, a on jak błyskawica uciekł, zostawiając płaszcz i kapelusz. Sam pobiegł do stajni, złapał swojego konia bez siodła i co tylko galopem przyjechał do Jerozolimy. Konia zaprowadził do stajenki i zaraz się położył i zasnął.

Tej niedzieli nikt nie czytał ani gadał, wszyscy słuchali, co ksiązę opowiedział i powiada: »Ja dziś dlatego tak wyglądam, bom się strasznie przeraził. Myślałem, że on mnie tym sztyletem przebije i uciekłem, zostawiając płaszcz, kapelusz, z gołą głową przyjechałem do domu. Teraz nie wiem, kiedy ja przyjdę do siebie«.”

To opowiedział mi Jan Dopierała, gdy siedzieliśmy obaj na ławce przed jego mieszkaniem. Ja mówię: „Było to bardzo ciekawe, co mnie pan powiedział. Ale teraz niech mi pan powie, jak pan tu do Jerozolimy przyszedł czy przyjechał, bo to też będzie dla mnie ciekawe. Skąd pan jest z Polski?” On powiada: „Ja jestem ze wsi, która nazywa się Pawełki, powiat Łomża i - powiada - nas w domu było trzech braci. Ja ciężko zachorowałem, dwa lata leżałem w łóżku. Raz jeden przywieźli bracia do mnie doktora, który mnie dokładnie zbadał i przeznaczył lekarstwo. Kilka razy mi je przywozili, ale nic nie pomagało, już myślałem, że umrę.

Ale razu jednego westchnąłem do Boga i mówię, że gdyby mi Pan Bóg przywrócił zdrowie, to pieszo bym poszedł do Jerozolimy, do grobu Chrystusa Pana. Po jakimś czasie poczułem się zdrowszy i coraz było mi lepiej, i lepiej, i wyzdrowiałem na dobre. Pomyślałem,

że Pan Bóg dał mi zdrowie, to ja muszę wykonać, co obiecałem. Było nas trzech braci, a ziemi wszystkiego sześć morgów miałem. Ja do nich mówię: »Wy mnie spłaćcie i ja od was pójdę i więcej do was nie wrócę, bo tu nie ma do czego. Ja pójdę w świat za pracą«.

Oni mówią: »Dobrze, ale my nie mamy pieniędzy. A ile ty byś chciał?« To mówię: »Sprzedajcie krowę i świnie i pożyczcie jeszcze ze sto rubli u kogoś i was pokwituję przy świadkach«. Oni mówią, że dobrze. Sprzedali krowę i świnie i pożyczili sto rubli i spisali umowę przy świadkach i poszedłem tam, co wyrzekłem, do Jerozolimy.

Szedłem pieszo najprzód do Bułgarii, potem do Turcji i tylko gdzieś promem jechałem, a potem znowu pieszo. Ale jak bliżej byliśmy Palestyny, to zebrała się duża pielgrzymka, tak że było nas kilkadziesiąt.

Gdy już przyszedliśmy przed Bazylikę Grobu Chrystusa Pana, wyszło z Bazyliki kilkunastu księży z różnych krajów i pytają, kto jest z jakiego kraju. Ja słucham. Jeden ksiądz pyta, czy jest kto z Polski, więc ja się wysunąłem do przodu i mówię, że ja jestem z Polski. To ten ksiądz mówi: »Chodź ze mną«. Przyjął mnie, dał jeść i pyta: »Co cię skłoniło do tej pielgrzymki?« Opowiedziałem mu wszystko.

»To co ty teraz myślisz robić?« To ja mówię: »Gdybym tu dostał jakąś pracę, to bym tu został, bo do domu nie mam po co wracać«. To ten ksiądz mówi: »Ja ci się o pracę postaram«. Ucieszyłem się, ucałowałem go w obydwie ręce i mówię: »Praca jaka by nie była, wszystko będę robił«. Już drugiego dnia przyprowadził mnie tu na posadę przy zakonie św. Franciszka.

Na górze stał duży klasztor, to ja w nim świece zapalam i gaszę po nabożeństwie i cały klasztor codziennie zamiatam i utrzymuję w czystości. Ja tu przy bramie jeszcze przed nocą pozamykam i w nocy czuwam, żeby jacyś złodzieje nie dostali się do klasztoru i nie ukradli wotów i innych kosztowności.

Ten domek, co w nim mieszkam, to też należy do klasztoru - adres Jerozolima, ul. Mamilu 8.»

„No a skąd ma pan żonę?” A on mówi: „W piętnastycie lat po mnie przyszła do Jerozolimy z pielgrzymką i ja ją zapoznałem i ożeniłem się. Nazywała się Makowska, spod Łodzi. Mamy córkę zamężną, wnuczka ma już osiem lat, a mąż córki jest Szkotem z Anglii. Jeden syn jest przewodnikiem, też prowadzi polskich żołnierzy po wszystkich świętych miejscach. Drugi syn pojechał do Polski i skończył tam szkołę podchorążych i był lotnikiem. Po wrześniu był jeszcze we Francji, pisał list, ale był ten list ostatni. Brał udział w wojnie i zginął bez wieści, od tego czasu nic o nim nie wiemy”.

Raz jeden przyszła ich córka z ośmioletnią córką, była ładna, jak i matka. Obydwie widne blondynki, po polsku czysto mówiły, a za godzinę przyszedł po nich jej mąż, był policjantem. On był brunet, włosy miał czarne jak kruk, też po polsku umiał mówić i lubił spacerować ze swoją córką. On czarny, a ona była blondynką, to się oglądali przechodnie, skąd on mógł taką ładną dziewczynkę wziąć, czy kupił, czy gdzieś ukradł.

Ja miałem napisany list do żony do Rosji. Poszedłem na pocztę żydowską, położyłem list na kontuarze. Urzędnik w średnim wieku wziął list, spojrzał na adres, znaczki nalepił i pyta po polsku: „Skąd pan?” Ja mówię, że od Łomży. A on aż wykrzyknął: „Od Łomży?! A ja jestem z Piątnicy!”

A Piątnica od Łomży to tylko kilometr drogi. Ja miałem znajomego kupca, który przed wojną wyjechał do Palestyny, nazywał się Abram Malinowicz. Chciałem go odszukać i odwiedzić i mówię: „Kiedy pan z Piątnicy, to może pan wie, gdzie jest Malinowicz z Łomży. To by mi pan dał adres do niego. Ja bym chciał jego odwiedzić”. On mówi: „Ja nie wiem, ale słyszałem, że on mieszka w Tel Awiwie. To niech pan jedzie i pójdzie do magistratu i tam poprosi, to oni go znajdą i dadzą panu adres”.

Zapłaciłem za znaczki i podziękowałem za poinformowanie i wróciłem na ostatnią noc do Jana Dopierały. Moi koledzy siedzieli na łózkach i sobie rozmawiali. Zapłaciłem za zakwaterowanie, no i położyłem się spać, bo jutro rano o godzinie piątej wyjedziemy.

Nasza składnica namioty wystawiła obok miasta Rechowo. Ja zaraz chciałem jechać do Tel Awiwu i szukać Malinowiczów. Idę do kapitana Karasińskiego i proszę, żeby jutro pozwolił jechać do Tel Awiwu, a kapitan mówi: „Za miesiąc, bo jest zarządzony przez generała Andersa areszt na cały tu nasz rejon i nie wolno oddalać się od namiotów”.

Odsalutowałem i odszedłem. Dopytuję, co się stało. Otóż jechał nasz żołnierz motocyklem ulicą, a przechodził przez ulicę stary, pewnie głuchy Żyd. Żołnierz trzasknął, ale nie słyszał, no i został potrącony motocyklem. Przewrócił się, żołnierz zaraz zatrzymał motocykl, podniósł tego Żyda, wyjął chusteczkę z kieszeni i ociera go. Jak Żydzi zobaczyli zakrwawionego Żyda, to co który miał pod ręką, młotek czy odważnik, czy jakąś sztabkę żelazną, wyskakowali ze sklepów i bili tego żołnierza. I może by go zabili, ale tam dużo naszych żołnierzy spacerowało, ale nie wolno było mieć żadnej broni. Każdy tylko musiał mieć buty dobrze wyczyszczone, dobrze mundur zapięty i krawat zawiązany na szyi. Więc nasi żołnierze nie mieli co do ręki, to pozdejmowali pasy, a one miały duże żółte sprzączki, to bili tymi pasami. Żołnierze bili pasami, a Żydzi młotkami albo sztabami czy odważnikami.

Namioty mieliśmy poza miastem. Dużo żołnierzy przybiegło do namiotów pokrwawionych i mówią: „Żydzi naszych biją, idźcie na pomoc!” Wszystkie namioty były palowane kołkami bambusowymi. Na tych kołkach bambusowych to była co pół metra narośl taka duża jak pomarańcz. Każdy żołnierz złapał za bambus i do miasta! Dokoła tego miasta to wszystkie namioty leżały, bo kołki półtorametrowe były powyrywane.

Żołnierze wpadli jak wilki, nie pomogły ani młotki, ani sztabki - całe miasto po wszystkich ulicach, gdzie tylko napotkali Żyda, to go bambusem. Byłoby może za nabicie Żydów nic, ale że parę szyb wystawowych było wybitych, więc generał Anders zarządził areszt na cały miesiąc.

Ale gdzie tylko wojsko stało, to Żydzi w sklepach targowali dobrze. Żołnierze kupowali zegarki, pierścionki i łańcuszki, a nawet krzyżyki złote. Na pierścionkach też były krzyżyki i na nich było wyryte *Jeruzalem*. Żydzi nawet jechali za wojskiem, jak u nas jadą z towarami na odpust.

Zeszło dwa tygodnie, Żydzi nic nie targują, więc wysyłają delegację do Ankony do generała Andersa. Jedzie rabin, jedzie prezydent miasta i jeszcze trzech ważnych radnych. Gdy już przyjechali, ustali przed kwaterą generała. Pierwszy zabrał głos rabin: „Panie generale, co było, to było, pretensji nie wnosim. Niech pan generał pozwoli żołnierzom do miasta przychodzić, tylko niech przykaże, żeby nie bili”.

Generał Anders powiada: „Wasi zaczęli bić żołnierzy, dużo okaleczyli, to potem żołnierze oddali z procentem”. „Ale, panie generale, kilka szyb wystawowych wybili, to na pewno i ukradli dużo.” „To wszystko przez to, że wasi ludzie zaczęli i byłiby jednego żołnierza zabili. Ale kiedy chcecie, to od jutra wycofam areszt. Możecie jechać z powrotem do Rechowodu.” „Dziękujemy panu generałowi.”

Po odwołaniu aresztu poprosiłem pana kapitana o przepustkę. Dostałem i zaraz poszedłem na przystanek. Nadjechał autobus arabski, wsiadłem, dałem sto filarów, bo tyle kosztował bilet. Konduktor swoją ręką odsuwa moją z pieniędzmi i głową kręci, że nie weźmie pieniędzy. I mówi: „Żołnierz gut polis, judy buł, buł” i pokazuje, że żołnierze nabili Żydów. To zaraz o tym w gazetach pisało i arabskich, i angielskich, i w polskich, i w żydowskich też pisało.

Zajechałem do Telawiwu piątego grudnia 1943 r. za dwie godziny, no i według informacji tego z poczty urzędnika dopytałem się, gdzie mieści się magistrat i zaraz do niego wszedłem. I od razu powiedziałem: „Dzień dobry panowie”. Jeden zaraz się zerwał i spieszy do mnie, podaje mi rękę i mówi: „Dzień dobry panu”. Przywitaliśmy się i on pyta: „Co pan sobie życzy?” Ja mówię: „Tu w Tel Awiwie mieszka mój znajomy z Polski, proszę o adres

do niego”. A on się pyta: „Jak on się nazywa?” Mówię: Malinowicz Abram. To on pyta, kiedy on tu przyjechał. Mówię, że w 1936 albo w 1937.

Poszedł do takiej dużej szafy, wziął z niej dwie grube książki i szuka. Przejrzał jedną książkę, nie było w spisie, wziął drugą, przejrzał spis, potem, nic nie mówiąc, szukał w książce, nareszcie zatrzymał się i pyta: „Malinowicz Abram?” Mówię, że tak. „No jest!” „To proszę mnie napisać dokładnie na jakiej ulicy i numer domu”. On poszedł do swojego biurka, wziął kawałek papieru i na nim napisał.

Przychodzi do mnie i mówi: „Jak pan wyjdzie na ulicę w lewo, będzie przystanek tramwajowy, to niech siada do numeru 15. On jedzie w kierunku morza, tramwaj zawróci, to niech pan wysiądzie. I Malinowicz na tej samej ulicy, tylko jeszcze dalej, jakieś osiemdziesiąt metrów, numer domu 86”.

Dokąd dochodził tramwaj, to po bokach były trotuary, a dalej było błoto. Gdy podjechał tramwaj numer 15, wsiadłem i dojechałem do zakrętu. Potem wysiadłem i idę pieszo. Patrząc na numery, jest 86. Płotek był drewniany i furtka. Od furtki jakieś sześć metrów był domek parterowy murowany, może miał sześć na sześć metrów. Podchodzę do otwartych drzwi, a Malinowiczowa siedzi na niskim stołku i skrobie ryby. Ja mówię: „Dzień dobry pani Malinowiczowa!” Ona głowę podniosła i mówi: „Oj, pan Pieńkowski, dzień dobry panu! Co pan tu robi?” Ja mówię: „Ja na razie nic nie robię, przyszedłem was odwiedzić”. Ona wstała i mówi: „Proszę, niech pan wejdzie do pokoju. Ale pan gość u nas! Abram się ucieszy, jak pana zobaczy”.

Weszliśmy do pokoju, na środku stał stół i otomana i kilka krzesełek. Usiadłem i pytam, gdzie jest jej mąż. Ona mówi, że on pracuje w kooperatywie, to jest taki sklep. Ja pytam: „To macie państwo swój sklep?” „Ale gdzie tam! To rządowy, tylko mąż tam pracuje. My tu nic nie mamy, tylko ten domek we dwóch. My tu na dole mieszkamy, a nad nami mieszka drugi wspólnik i mamy kawałek ogrodu. Mamy w nim cztery pomarańcze i dwie cytryny, więcej nic nie mamy. A może pan jest zmęczony? To niech pan się położy na kanapie, to pan odpocznie. Ale jak pan dobrze trafił, że mamy ryby, to zaraz będę smażyć”.

To ja mówię: „Do morza macie około sto metrów”. A ona mówi: „Panie, Żydzi to nie są rybaki i tu o ryby jest trudno. Ale na szczęście mamy ryby, to będziem mieli czym pana ugościć”.

Ja jej mówię, że zmęczony nie jestem, bo do Tel Awiwu przyjechałem autobusem i tu przyjechałem tramwajem. „A kiedy mąż pani przyjdzie?” „Niedługo, na godzinę dwunastą na obiad. A jak pan do nas trafił?” Mówię: „Poszedłem do Magistratu i dali mi adres. A jak

państwa córki, chyba już powychodziły za mąż?” „A tak, jedna wyszła za urzędnika, a druga za doktora”. Ja mówię: „Chyba tej doktorowej to jest lepiej, jak tej za urzędnikiem?”

„O nie, w Polsce najlichszy szewc to więcej zarobi jak tu najlepszy doktor”. „To dlaczego?” - pytam się. „Panie, tu w Palestynie jest klimat zdrowy. Bogaty się nie przeziębi, uważa na siebie i nie choruje. A biedny jak zachoruje, to się nie leczy, bo nie ma pieniędzy i dlatego doktorzy nie mają dochodu. Tu nie tak jest jak było w Polsce.”

Była godzina jedenasta. Żyd z Kibucu przywiózł na ośle mleko, dwie bańki, jedna na jednym boku, druga na drugim boku. Jak Malinowiczowa zobaczyła, złapała półlitrowy garnuszek i idzie po mleko. A mnie naszła chęć napicia się świeżego mleka i mówię jej: „Niech pani weźmie jeszcze jeden kubek, to ja się napiję. Trzy lata już nie piłem mleka”.

A ona: „Panie, pan myśli, że to dla nas to mleko? To tylko dla mojej wnuczki małej, a dla nas nie ma mleka. U nas wszystko na przydział. Mleko pół litra dla małej wnuczki, pół cukru na osobę na miesiąc, sześćdziesiąt deka mięsa na tydzień, pół litra oleju na tydzień”.

To ja się pytam: „To dlaczego tu jest tak?” Ona mówi, że to wojna. Ja jej mówię: „Przecież wy nie macie żadnej wojny!” A ona mówi: „No nie mamy, ale rząd przygotowuje się do wojny i dlatego z nas wszystkich ciągnie”.

Malinowiczowie w Polsce mieszkali w trzech pokojach z kuchnią, a tu jeden pokój i mała kuchnia. W pokoju stał stary kredens, stół, otomana i cztery krzesła - to cały majątek. I kawałek ogrodu, w którym rosły cztery pomarańcze i dwie cytryny.

W Polsce mieli sklep, w którym troje sprzedawało, za jeden dzień utargu mogli cały tydzień żyć i starczyło na mięso, mleko i inne produkty. A ryb ile tylko chcieli i jeszcze wszystkich pieniędzy nie wydali. Ja jej się pytam: „Czy pani pamięta, jak mieliście w Polsce?” Ona mówi: „Ja pamiętam i nigdy tego nie zapomnę, ale tu nie Polska”.

Furtka dała znać, że Abram idzie na obiad, ona wyskoczyła i krzyczy: „Abram, Abram, co u nas za gość!” Abram wpada jak bomba, przywitaliśmy się. Ona ryby przyniosła, chleb kroi, a on poszedł do kredensu i przyniósł kwadratową butelkę i mówi: „To jest spirytus, już cztery lata stoi od wesela naszej córki, to dziś spróbujemy, czy się nie zepsuł”.

Ona podała trzy kieliszki jak naparstki, a on mnie nalał pełen, sobie pół, a jej tylko troszkę na dno. Ja swój wziąłem do ręki i chcę się trącić z nimi i pytam się, dlaczego niepełne kieliszki sobie naleli. Ona mówi, że jest chora i nie może pić alkoholu, on też tak samo mówi. „No to wypijemy za zdrowie!” i ja pomału swój kieliszek przechyliłem, a ona do nosa przytknęła i postawiła, on umoczył usta i też postawił.

On chce mi nalać drugi kieliszek, ja go powstrzymałem i pytam: „Czy wy chcecie ze mną wypić? Ja też jeszcze jednego wypiję, a jak wy nie chcecie, to i ja nie chcę”. To on

mówi, że wypije razem ze mną. To ja się pytam: „Czy macie trochę większe kieliszki?” Ona mówi, że mają. To ja mówię: „Proszę podać!” Ona poszła do kredensu i przyniosła, postawiła przede mną. Ja wziąłem butelkę do ręki i najprzód jemu dopełniłem, potem trochę jej i sobie pełen kieliszek nalałem, wziąłem do ręki i mówię: „Powiedzieliście, że ze mną wypijecie, no to na zdrowie!” i przysunąłem się do niego z kieliszkiem. On na mnie się patrzy i kieliszka swojego nie bierze. Ja mówię: „Bierz pan, trącimy się kieliszkami i pomału wypijemy, bo jak wy nie wypijecie, to ja też nie wypiję” i postawiłem swój kieliszek na stole.

Wziąłem jeszcze jedną rybę i jem. Oni mówią, że im alkohol szkodzi: „A pan jak może, to prosimy, niech pan pije”. Mówię: „Jak razem, to wypiję”. To on rad nierad wziął swój kieliszek do ręki i: „Za to pańskie zdrowie, co będzie, to będzie!” i trąciliśmy się kieliszkami. Ona też tak samo wzięła kieliszek do ręki: „To za pańskie zdrowie, żeby pan szczęśliwie do Polski wrócił” i kieliszkami trąciliśmy się.

Ja obracam się do Abrama. On z tym kieliszkiem stoi, ja mówię: „No, pomału, ale do dna!” Wypił połowę i postawił resztę, to ja też to samo, połowę wypilem i resztę postawiłem.

Porozmawialiśmy trochę i ja biorę za swój kieliszek, odwracam się do Abrama i mówię: „No, kończymy!” Ruszył ramionami i wziął swój kieliszek i pije aż z odpočzynkiem, ale wypił. Ja też pomału swój wypróżniłem, a on mi przysuwa butelkę i mówi: „Jak pan może, to prosimy, niech pan jeszcze wypije”. Ja wziąłem butelkę do ręki, korek leżał na stole, zakorkowałem i mówię: „Dziękuję, napiłem się dobrze. Niech pani schowa, może znowu jakiś znajomy się zjawi, to się przyda”. A ona mówi: „Znajomy to się nie zjawi, ale niedługo córka nasza coś urodzi, to będzie na urodziny”.

Obejrzałem się że oni w tej ziemi obiecanej bardzo skromnie żyją. Godzina dochodziła druga po południu. Mówię: „Do widzenia, jak będę miał czas, to jeszcze którego dnia do was przyjadę. A teraz już muszę wracać, do widzenia”. Ona mówi: „Prosimy bardzo”.

Gdy wróciłem, miałem w zapasie ze dwa kilogramy cukru, w sklepie kupiłem dwie paczki herbatników i czekoladę. Poszedłem do kuchni i pytam, czy mogą mi dać herbaty, bo mam tu znajomego, to bym mu zawiózł. A oni mówią: „A ma pan w co?” Ja już przyszykowałem sobie torbę i mówię, że mam. „No to niech pan idzie do tej skrzynki i sobie nabierze, ile zechce”.

Skrzynia była z dykty, pięćdziesięciokilowa, nakładłem z kilo, powiedziałem dziękuję i trzeciego dnia pojechałem do nich. „Dzień dobry”. Ona odpowiedziała „Dzień dobry”. Ja wyłożyłem na stół, co przyniosłem. A ona mówi: „Po co pan to przywiózł? Albo to panu się nie przyda?” Ja mówię: „Mnie w wojsku dają tyle, że mi wystarcza, to niech pani



zaniecie córce ciastka i czekoladę. A wam też cukier i herbata się przyda”. A ona mówi: „Cukier się przyda, ale herbata to tu nie jest droga, bo cukru na przydział jest mało, to i herbata niepotrzebna”. „Mnie też niepotrzebna, do widzenia” i wyszedłem.

Z jednym Żydem spotkał się Teofil Gałązka z Rogonic, który przyjechał do Palestyny na siedem lat przed wojną. I pyta Gałązka: „Jak ci się powodzi w Palestynie?” „Panie, ja najprzód powiem panu, co ja miałem w Polsce. Ja byłem kowalem w Rutkach, to miałem wszystko - chleb, mięso, mleko, na szabas była kaczką albo gęś, gugel, jaja, masło, co ja chciałem, to miałem. A tu, niech pan mi wierzy, że przez całe siedem lat, to tylko jadłem ryż i ryż, bo tu jest najtańszy”.

Gałązka mówi: „Dobry jest i ryż jak z mlekiem albo z tłuszczem, no i kawałek mięsa do tego”. „Panie, ja dopiero mięsa spróbowałem, jak polskie wojsko przyjechało. Ja dla wojska urąbię drzewa, wykopię dół na ustęp, trzcina go ogrodzę i mi dadzą kawałek mięsa i chleba. I tak co dzień robię, co mi każą”.

„No to chyba po wojnie pojedziesz do Polski?” „Panie, jak będzie wolno, to ja pierwszym okrętem pojedę”. Gałązka się pyta: „Czy jesteś żonaty?” „Nu, na co mi jest żona, kiedy ja na siebie nie mogę zarobić, na lepsze życie? A gdybym miał jeszcze żonę, to by był koniec ze mną i z żoną z głodu byśmy umarli.”

W Palestynie byłem trzy miesiące i wyjechalim do Egiptu, z którego w porcie Aleksandria wyjechalim okrętami do Włoch na wojnę.

### **Polacy wywiezieni na Wschód**

Głowacki z rodziną, Tatarowski z rodziną, Sokalski J. z Drozdowa z rodziną, Malinowski Franciszek z Drozdowa, Śiderski, Bielicki, Marszałek, Cybuski, Nowacki, Baczewski z Suchych Baczów, Mickiewicz Ludwik wieś Bieniakoń kAA/ilna, Marchewka z Białegostogu, Zakościelny Stefan z Berezy Kart., Michałowski Kostek z Baranowicz, Piekarski Wł. Rakowo, Grzędzielski Juliusz Lwów, Łupiński Fr., Koziół L. nauczyciel pow. Łomża Rzędziany, bracia stryjeczni Mściwojewski, Ciborowski Zbyszek marynarz, Czerniewski, Batowski uczeń z Grodna, Polkowski z Grajewa, Cybulkin Żyd dzierżawca browaru w Dojlidach, Sienkiewicz aptekarz, Zalewski Zygmunt z Bronek k. Jedwabnego, Zalewski Władysław, Buzek Jedwabne, Tarnacki Antoni Jedwabne, Orłowski Żyd Łomża, Jaśmian Mieczysław ze Słonimia, Nasacki Henryk siostrzeniec Antora, Janicki J. Łomża, Szymanowski poseł, Chrzanowski z Białegostogu, Tubielewicz kpt. rezerwy, Kowalski, Słubiński, Olszewski Białystok, Małachowski brat kapucyn, Nowacki Stanisław Rakowo

Boginie, Iwanowski J., Kucharski, Michałowski Franciszek, Iwanowski Józef, Fryc Franciszek Augustów, Kowalewski z Warszawy, Chodnicki Piotr Jedwabne, Jórkowska Jadwiga, Bosowski Jan podchorąży Łomża, Dębski inż. leśnik, Witkowski podporucznik, Radecki z Wilna, Konieczny sierżant, Fidelis prezes Polaków na Łotwie, Kancewicz Antek, Chodnicki Piotr Jedwabne, Bosowski Jan Łomża, Podczasiak inż., Sokołowski Wołyń, Dęmski ? Stanisław, Eustachewicz adiutant Rydza Śmigłego, Zonenszajm, Szacht inż, Pankiewicz Wilno, Podczasiak porucznik, Ryk Edward Łódź, Antek Jedwabne, Modest Bronowicz Łomża, Olszewska Wilno, Markwatowa Wilno, Trzeciakowa Wilno, Żukowska Wilno, Jaszczuk Janek, Łuczyński Białystok, Łazarski, Paszkiewicz, Machula. Antkiewicz Franciszek Pniewo, Kobylański, Kozak Kazimierz z rodziną, Wójcik felczer,, Włodarczyk Grodno, Maciaż, Gurzędnik, Olszewski felczer z Krakowa, Frydman Warszawa, Dobosz Wołyń, Nowacki Grodno, Gecowa Stanisławów,

Stasiek, Jerzyk Ramzowie Kazachstan, Rodzina Murzów, Kubowicz Wojtek, Jagiełło, Jacynowa z córką, Kobylańska z córką i matką, Kubowicz, Jacyna Stanisław z matką i siostrą, Gurzelnikówna, Pawłowski, Jaworski 6 lat Łomża, Chojnowski Jan ze Szczepankowa, Tubilewicz kapitan WP, Konieczny Piotr, Fruziński, Kaliszowa z Łomży, Prokopowicz z Krzewa, Marczewski podporucznik -Łomża, Karasiński St., kpt., Bysping hrabia właściciel browaru Dojlidy k. Białegostoku